



VINELAND

thomas pynchon

PIERWSZE POLSKIE WYDANIE

O książce

Kalifornia, rok 1984

Frenesi Gates, która z hipiski stała się informatorką FBI, postanawia uciec od swego dotychczasowego życia. Jej były mąż, Zoyd Wheeler, szykuje się do dorocznego skoku przez okno, żeby zachować świadczenia socjalne przysługujące mu jako osobie chorej psychicznie, podczas gdy detektyw Hector Zuniga po raz kolejny próbuje zrobić z niego donosiciela, a psychopatyczny prokurator Brock Vond chce wykorzystać córkę Zoyda, by dopaść jego ekszonę. DL, mistrzyni japońskich sztuk walki, musi odpokutować za potraktowanie „dotykem śmierci” niewłaściwego człowieka, wiążąc się z nim „bez uprawiania seksu”.

Wszyscy oni, zmagając się z konsekwencjami swoich wyborów z lat sześćdziesiątych, z nostalgią myślą o czasach dzieciokwiatów, o z góry skazanej na zagładę enklawie wolności, jaką w tamtych czasach była Kalifornia.

thomas pynchon

VINELAND

Z angielskiego przełożył
JĘDRZEJ POLAK



Wydawnictwo
A. Kuryłowicz

Wydanie elektroniczne

Thomas Pynchon (ur. 1937 r.)

Jeden z najwybitniejszych współczesnych amerykańskich pisarzy, jest regularnie wymieniany wśród kandydatów do Nagrody Nobla. Do najbardziej znanych z jego ośmiu powieści należą Tęcza grawitacji, Wada ukryta i W sieci. Jako człowiek Pynchon, który obsesyjnie strzeże swojej prywatności, jest dla dziennikarzy i czytelników wielką zagadką.

www.thomaspynchon.com

Tego autora

WADA UKRYTA
W SIECI
VINELAND

Tytuł oryginału:
VINELAND

Copyright © Thomas Pynchon 1990
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.
2015

Polish translation copyright © Jędrzej Polak 2015

Redakcja: Katarzyna Dziedzic

Ilustracja na okładce: Jacek Kawalerowicz

Cover illustration copyright © Marzena Kawalerowicz

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-264-2

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em

Mojej matce i ojcu

*Każdy pies ma swój dzień,
dobry pies
nawet dwa.*

Johnny Copeland

Pewnego letniego poranka w roku 1984, później niż zazwyczaj, Zoyd Wheeler wychynął ze snu w słońcu sączącym się przez zwisający w oknie pnący fikus, przy wtórze szwadronu tupiących po dachu sójek. Śniło mu się, że sójki są gołębiami pocztowymi skądś zza oceanu, lądującymi jeden za drugim i znów zrywającymi się do lotu, przynoszącymi wiadomości, których, pośród rozedrganych światłem skrzydeł, odebrać na czas nie był w stanie. Pojmował, że to kolejny bolesny kuksaniec od wiadomych sił niemal na pewno powiązanych z listem, który nadszedł wraz z psychiatrycznym świadectwem rentowym i przypominał mu, że jeśli przed upływem tygodnia nie odstawi publicznie jakiegoś wyskoku, przestanie się kwalifikować do renty. Wyjąkował się z łóżka. Gdzieś w dole wzgórza pracowały młoty i piły, a w radiu czyjejs furgonetki grała muzyka country. Skończyły mu się fajki.

Na kuchennym stole, obok pudełka płatków Count Chocula – jak się okazało pustego – znalazł wiadomość od Prairie. *Tato, znów zmienili mi zmianę, więc pojechałam z Thapsią. Dzwonili z Kanału 86, mówili, że to pilne, powiedziałam im: spróbujcie go kiedyś dobudzić. I tak Cię kocham. Prairie.*

– Znowu Fruit Loops – mruknął do liściku. Nie są takie złe, kiedy posypie się je nesquikiem, w dodatku w różnych popielniczkach walało się kilka dających się dopalić petów. Spędziwszy w łazience tyle czasu, że więcej się nie dało, zabrał się za szukanie telefonu, dzwonienie do lokalnej stacji telewizyjnej i recytowanie tegorocznego komunikatu prasowego. Ale...

– Niech pan to lepiej sprawdzi jeszcze raz, panie Wheeler. Powiedziano nam, że zmieniono panu harmonogram.

– U kogo mam sprawdzić? Przecież sam to robię, nie?

– Wszyscy mamy się zameldować w Cucumber Lounge.

– Ale beze mnie, bo ja będę w Log Jam w Del Norte.

Co się dzieje z tymi ludźmi? Przecież Zoyd planował to od wielu tygodni.

Desmond leżał na ganku w okolicy miski, która za sprawą sójek, zrywających się z sekwoi i porywających psu jedzenie kawałek po kawałku, zawsze była pusta. Od jakiegoś czasu psia karma zmieniła nastawienie sójek do świata; niektóre, jak mówiono, ganiały za samochodami osobowymi i pick-upami przez całe kilometry i dziobały każdego, komu się to nie podobało. Kiedy Zoyd wyszedł, Desmond obrzucił go pytającym spojrzeniem.

– Kombinuj dalej. – Zoyd pokręcił głową, widząc czekoladowe okruszki na pysku psa. – Wiem, że cię nakarmiła, Desmond, i wiem też, czym cię nakarmiła. – Pies odprowadził go aż do bierwion na opał, machając ogonem na znak, że nie czuje urazy, wpatrywał się w swojego wyjeżdżającego tyłem na leśny dukt pana, a w końcu odwrócił się i zajął własnymi sprawami.

Zoyd pojechał do Galerii Vineland i krążył przez chwilę po parkingu, wypalając połowę skręta, którego znalazł w kieszeni, po czym zaparkował furę i poszedł do More Is Less, dyskontu dla obfitszych kobiet, kupił barwną sukienkę koktajlową w dobrze wyglądających w telewizji kolorach, płacąc za nią czekiem, który – jak przeczuwali oboje z ekspedientką – był bez pokrycia i wyląduje przylepiony do kasy; następnie udał się do męskiej toalety na stacji benzynowej Breez-Thru, gdzie przebrał się w sukienkę i damskim grzebyczkiem utapirował to, co miał na głowie i na policzkach w kłębowisko, które – jak miał nadzieję – specjalistom od zdrowia psychicznego wyda się należycie zaburzone. Wrócił do samochodu, nalał do baku benzyny za pięć dolarów, wyjął ćwierć galonu oleju z trzymanej na tylnym siedzeniu skrzynki, znalazł lejek, wbił go w puszkę

i dolał większość do silnika, z wyjątkiem odrobiny, którą zmieszał z benzyną i przelał do zbiorniczka maleńkiej eleganckiej, zapewne importowanej piły łańcuchowej wielkości karabinka maszynowego Mini-Mac, a potem ukrył piłę w płóciennym torbie plażowej. Znajomy Prairie, Slide, wyszedł z kantorka, żeby popatrzeć.

– O-o, czy to już pora?

– W tym roku też mnie to zaskoczyło. Chyba robię się na to za stary.

– Znam to uczucie. – Slide pokiwał głową.

– Masz piętnaście lat, chłopie.

– I wszystko widziałem. Na czyje okno padnie w tym roku?

– Niczyje. Daję za wygraną, wyskakiwanie przez okna to przeszłość, w tym roku biorę małą piłę łańcuchową do Log Jam i przekonam się, co będzie dalej.

– Eee... może lepiej nie, panie Wheeler. Był pan tam ostatnio?

– No, wiem, że siedzą tam twardzi hombra, same skurczybyki, którym przez cały dzień drzewa zwalają się na łby, więc nie mają za bardzo cierpliwości do wygłupów, ale przemawia za mną element zaskoczenia, nie?

– Przekona się pan – rzucił znudzony Slide.

Jasne, że tak, ale dopiero po zmarnowaniu mnóstwa czasu – o wiele więcej, niż mogło znieść jego mocno nadwerężone poczucie humoru – na stojedynce, a to z powodu konwoju przybyłych z innego stanu i objeżdżających ospale sekwoje kamperów Winnebago, pośród których na dwupasmowych odcinkach musiał hamować, redukować bieg i znosić multum nie zawsze przyjemnych uwag.

– Odwalcie się! – wrzeszczał, przekrzykując silnik. – Tak, to... eee... oryginalny Calvin Klein!

– Calvin nie szyje rozmiarów większych od czternastki! – wołała do niego przez okno dziewczynka młodsza od Prairie. – A ciebie trzeba zamknąć!

Była już pora lunchu, kiedy w końcu dojechał do Log Jam, gdzie z rozczarowaniem stwierdził, że brakuje mediów, bo na

świeżo wyasfaltowanym parkingu stały tylko maszyny z wyższej półki dla zamożniejszych klientów. Była to pierwsza z kilku nieprzyjemnych wiadomości z ostatniej chwili. Starając się myśleć pogodnie – przyjmować, na przykład, że ekipy telewizyjne zwyczajnie się spóźnią – Zoyd zabrał torbę z piłą, poprawił raz jeszcze fryzurę i wpadł do Log Jam, gdzie z miejsca zauważył, że wszystko – począwszy od kuchni, aż po klientelę – pachnie inaczej.

O-o. Czy nie powinien przypadkiem stać gdzieś tutaj bar dla drwali? Wszyscy wiedzieli, że nadeszły wspaniałe czasy dla sztywniaków z lasów – choć nie dla tych z tartaków, bo Japończycy kupowali na pniu nieprzerobione na tarcicę drewno – ale mimo wszystko widok był zaskakujący. Niebezpieczni mężczyźni o pogardliwym nastawieniu, szczególnie wobec śmierci, siedzieli na designerskich stołkach barowych, sącząc mimozy z kiwi. Szafa grająca słynna niegdyś na odcinku setek zjazdów z nadbrzeżnej autostrady dzięki gigantycznej kolekcji country-and-western, wśród której było sześć coverów *So Lonesome I Could Cry*, została przeformatowana na lekką muzykę klasyczną i new age ciurkający taktownie na granicy słyszalności, spowalniający i usypiający całą salę drwali i pilarzy, którzy obecnie przypominali modeli z reklam na Dzień Ojca. Jako pierwszy zwrócił na Zoyda uwagę jeden z wyższych spośród tych osobników i postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Miał stylowe okulary przeciwsłoneczne, koszulę Turnbull & Asser w pastelową kratę, warte kilkaset dolarów džinsy od Mme. Gris i buty après-rąbanie z przygaszonego, lecz niezaprzeczalnie błękitnego zamszu.

– Dzień dobry, śliczna panienko, wystrzałowu panienka wygląda, w innych okolicznościach i innym nastroju wszyscy zechcielibyśmy poznać panienkę i jej rozliczne zalety bliżej, bo modowy komunikat panienki wskazuje, iż należy panienka do wrażliwych osób, które potrafią ocenić problem, który nam się zarysował w kwestii orientacyjnych drgań, jeśli panienka nadą...

Mocno skonfundowany Zoyd, którego instynkt samozachowawczy nie spisywał się od jakiegoś czasu najlepiej, postanowił wyjąć z torby piłę.

– Buster! – zawołał błagalnie do właściciela za barem. – Gdzie są media? – Urządzenie natychmiast przykuło uwagę gości w sali, i to nie tylko ze względu na nowinkarstwo techniczne. Widzieli przed sobą wykonane na zamówienie damskie narzędzie łańcuchowe, „wystarczająco mocne do drewna” – jak głosiła reklama – lecz na tyle małe, by zmieścić się w torebce”. Prowadnicę, uchwyty i obudowę wyłożono prawdziwą macicą perłową, a nad łańcuchem gotowym w każdej chwili zazgrzytać zębami wypisano górskim kryształem imię młodej damy, od której pożyczył instrument – CHERYL – potraktowane przez wszystkich obecnych jako przebierankowy przydomek Zoyda.

– Spokojnie, kowbojko, wszystko jest w porządku. – Drwał cofnął się, Zoyd pociągnął ostrożnie za jedwabny sznureczek misternego rozruszniczka, i damska perłowa piła łańcuchowa zgrzytnęła i ożyła.

– Posłuchaj, jak mruczy to maleństwo.

– Zoyd, co ty tu, do kurwy nędzy, wyprawiasz tak daleko od domu? – Buster doszedł do wniosku, że czas interweniować. – Żaden kanał nie przyśle ci jebanej ekipy taki kawał od miasta. Czemu nie jesteś w Eurece albo gdzieś w Arcacie?

Drwał spojrzał uważnie.

– Znasz tę osobę?

– Graliśmy razem w starej Six Rivers Conference – odparł Buster cały w uśmiechach. – To były czasy, nie, Zoyd?

– Nie słyszę cię! – wrzasnął Zoyd, starając się zachować szybko blednący groźny image. Niechętnie skręcił przepustnicę ślicznej perłowej piły, najpierw do damskiego basu, a potem całkiem. I rzucił w niosące się po sali echo: – Widzę, że zmieniliście wystrój.

– Jakbyście wpadli w zeszłym miesiącu, ty i ta twoja piłka, pomogliście nam wybebeszyć knajpę.

– Wybacz, Buster, chyba rzeczywiście wybrałem zły lokal, nie mogę ci przecież nic odpłouwać, bo wpakowałem w to kupę forsy... Przyjechałem tu tylko z powodu gentryfikacji South Spooner, Two Street i innych kiedyś podejrzanych okolic, na której cierpi moja kieszeń, bo teraz mieszkają tam ludzie lubiący się procesować, i to o grubą kasę, i mają takich prawników od odszkodowań z miasta, że wystarczy, że się wysmarkam w ich designerską chusteczkę, i siedzę po uszy w gównie.

– No, mówiąc szczerze, my też nie jesteśmy już tacy ostatni, Zoyd, jak nas pamiętają. Odkąd odwiedził nas George Lucas z ekipą, dokonała się tu, powiadam ci, prawdziwa zmiana światopoglądowa.

– Taa, zauważyłem... Słuchaj, nalejesz mi małe damskie piwko... Wiesz, że jeszcze nie widziałem tego filmu?

Mówili o *Powrocie Jedi* (1983), kręconym częściowo w tej okolicy, co, zdaniem Bustera, zmieniło tutejsze życie na zawsze. Barman oparł tłuste łokcie na jedynej rzeczy, której nie zmieniono: oryginalnym barze z przełomu wieków, arcydziele snycerki wykonanym z jednego gigantycznego pnia sekwoi.

– Pod spodem wciąż jesteśmy chłopakami ze wsi.

– Sądząc po parkingu, z niemieckiej.

– Ty i ja, Zoyd, jesteśmy jak Wielka Stopa. Czas płynie, a my się nie zmieniamy. Posłuchaj mnie teraz: odkrywam w tobie pragnienie nowych doświadczeń, ale nie jesteś zwykłym barowym zabijaką, więc lepiej trzymaj się swojej specjalności, którą jest chyba w zasadzie... transfenestracja?

– Mmm... tak przypuszczałem – szepnął niemal niesłyszalnie jakiś drwal, przysuwając się i kładąc rękę na udzie Zoyda.

– Poza tym – ciągnął niewzruszony Buster, wbijając wzrok w dłoń drwala – wyskakiwanie przez okna to twój modus operandi. Zacziesz z czymś nowym w tak późnym wieku, a stan będzie musiał grzebać ci w danych w komputerze, co nie nastawi ich do ciebie przychylnie. „Aha, zbuntował się, nie?”, powiedzą sobie i zaraz renta zacznie ci się spóźniać, może się nawet gdzieś zapodzieje na poczcie... No, spójrz na mnie,

Lemay! Pokaż mnie tę rękę, dobry człowieku, pokaż mnie, kochanieńki, wnętrze dłoni na barze. Na chwilę, bo chcę ci powróżyć, co ty na to? – Dłoń drwała, która równie dobrze mogła zacisnąć się w pięść, przymuszona dziwnym jowialnym magnetyzmem Bustera zsunęła się natychmiast z uda psychicznie sparaliżowanego Zoyda, czy raczej Cheryl, jak nazywał go oczarowany (jak się wydaje) Lemay. – Będiesz długo żył. – Buster patrzył prosto w oczy Lemaya, a nie na jego dłoń. – Dzięki zdrowemu rozsądkowi i trzeźwemu spojrzeniu na rzeczywistość. Pięć dolców.

– Hę?

– No, dobra, postaw nam kolejkę. Ten tu Zoyd wygląda trochę dziwnie, ale odwala robotę dla rządu.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Lemay. – Tajniak!

– Świr – wyznał Zoyd.

– Och, no cóż... to też interesująca praca...

Właśnie wtedy zadzwonił telefon, szukano Zoyda. Z Cucumber Lounge, zajazdu znanego w całym okręgu Vineland, dzwonił poruszony Van Meter, przyjaciel Zoyda z dawnych lat. – Mamy sześć telewizyjnych wozów transmisyjnych, jeden z samego miasta, plus karetkę i furgonetkę z przekąskami. Wszyscy czekają, wszyscy zastanawiają się, gdzie jesteś.

– Tutaj. Dzwonisz do mnie. Pamiętasz?

– Aha. Celny strzał. Ale dziś masz wyskakiwać przez okno w Cuke!

– Nie! Dzwoniłem wszędzie i powiedziałem im, że jestem tutaj. Co się stało?

– Mówią, że zmienili harmonogram.

– Kurwa. Wiedziałem, że któregoś dnia mnie to przerośnie.

– Lepiej tu przyjedź – poradził Van Meter.

Zoyd odłożył słuchawkę, schował piłę do torby, dokończył piwo i wyszedł, przesławszy wszystkim w powietrzu całusy i przypomniawszy, żeby oglądali wieczorne wiadomości.



Zajazd Cucumber Lounge rozciągał się od cieszącego się złą sławą motelu z charakterystycznym neonem w głąb kilku hektarów dziewiczego sekwojowego lasu. W cieniu ogromnych majaczących czerwono drzew stało ze dwadzieścia karłowatych domków kempingowych opalanych drewnem z gankami, grillami, łózkami wodnymi i kablówkami. Podczas krótkiego na północy Zachodniego Wybrzeża lata domki te służyły turystom i podróżnym, a przez deszczową resztę roku mieszkali w nich przeważnie miejscowi, płacący tygodniowy czynsz. Opalane drewnem kozy nadawały się do gotowania, smażenia, a nawet pieczenia, a w niektórych domkach stały kuchenki gazowe, więc oprócz dymu z bierwion i surowego zapachu drzew, w powietrzu unosiła się przez cały dzień woń gotowania.

Parking, na którym Zoyd usiłował znaleźć wolne miejsce, nie został utwardzony, a natura od lat żłobiła na nim wąwozy. Dziś parking ten zaszczyciły wozy mediów oraz pojazdy policyjnych sił specjalnych – stanowych i okręgowych – migoczące światłami i odgrywające syrenami motyw muzyczny z teleturnieju *Va banque*. Ekipy telewizyjne, światła, kable, kamery były wszędzie, parę przyjechało nawet z zatoki San Francisco. Zoyd poczuł treść. „Może jednak powinienem odpiłować coś taniego Busterowi...”, mruzczał pod nosem. W końcu musiał zawrócić i zaparkować tyłem na jednym z miejsc Van Metera. Jego stary basista i kumpel od wyskoków mieszkał tutaj od lat w czymś, co nadal nazywał komuną i co składało się ze zdumiewającej liczby aktualnych i byłych starych, byłych chłopaków starych, dzieci zrodzonych z aktualnych i nieaktualnych kombinacji rodziców oraz rozmaitych ludzi wpadających na noc. Zoyd oglądał kiedyś w telewizji film o Japonii, o takim, chyba, Tokio, gdzie żyjący w niewyobrażalnym ścisku ludzie, nauczyli się wskutek dziejowej konieczności odnosić się do siebie kulturalnie, więc

mimo przeludnienia świetnie dawali sobie ze sobą radę. Kiedy Van Meter – odwieczny poszukiwacz sensu – wprowadził się do bungalowu w Cucumber Lounge, Zoyd miał nadzieję, że w efekcie ubocznym uzyska japoński spokój ducha, ale nic z tego. Zamiast cichego rozwiązania kwestii przeludnienia, „komuna” Van Metera wybrała wyjście wysokoenergetyczne – ciągłą zwadę. Nieustanne wielodecybelowe kłótnie wyniesione do poziomu ceremoniału, opisywane w wewnętrznym biuletynie „The Blind-Side Gazette”, słyszane nawet na autostradzie przez kierowców rozpędzonych ciężarówek, z których część brała je za zakłócenia radiowe, a inni za nawiedzające okolicę niespokojne duchy.

Lecz oto zza rogu Cuke wyszedł sam Van Meter z firmowym grymasem zranionej niewinności na twarzy.

– Jesteś gotów? Zaraz zacznie się ściemniać, wyjdzie mgła, i co ty, do cholery, robiłeś w Log Jam?

– Nie, Van Meter, powiedz mi, dlaczego wszyscy są tutaj?

Szli ścieżką na tyłach Cuke, a Van Meter marszczył i odmarszczał czoło.

– Chyba mogę ci powiedzieć, skoro już tu przyjechałeś, że właśnie zjawił się twój stary kumpel.

Zoyd natychmiast się spocił i przeżył napad strachu – taki, od którego od razu chce się srać. Czy to postrzeżenie pozazmysłowe, czy tylko reakcja na ton głosu przyjaciela? Ale wiedział, o kogo chodzi. I zamiast skupić się na skoku przez okno, zaczął się bać przybysza z dawnych czasów. Nie bez powodu, bo był nim stary prześladowca Zoyda, agent DEA, Hector Zuñiga, który wrócił niczym błędna federalna kometa ciągnąca za sobą podczas każdego przelotu przez orbitę Zoyda nowe klątwy i złowrogie oddziaływania. Minęło już sporo czasu od ich ostatniego spotkania, w zasadzie widzieli się po raz ostatni tak dawno, że Zoyd zaczynał mieć nadzieję, że Hector znalazł sobie inne żerowisko i przepadł na zawsze. Możesz sobie pomarzyć, Zoyd. Hector czekał obok toalet, udając, że gra na automacie Zaxxon, i licząc bez wątpienia na to, że zostanie na nowo wprowadzony do towarzystwa – honor ten miał

przypaść w udziale menadżerowi Cuke, Ralphowi Wayvone'owi Juniorowi, młodemu utracjuszowi z San Francisco, gdzie ojciec Ralpa, dorobiwszy się w takich gałęziach przedsiębiorczości, w których rozliczenia dokonywane są zazwyczaj gotówką, wiele znaczył. Dzisiaj Ralph Junior odpicował się w garnitur od Cerrutiego, białą koszulę ze spinkami, zagraniczne półbuty „nadepnij je, a zginiesz” na podwójnej podeszwie i całą resztę. Jak wszyscy wokół wydawał się niezwykle spięty i podekscytowany.

– Cześć, Ralph, rozluźnij się, to ja odwałam całą brudną robotę.

– Nie gadaj... W przyszły weekend mam ślub siostry, orkiestra odwołała przyjazd, a ja jestem koordynatorem weselnym, więc muszę znaleźć zastępstwo. Znasz kogoś?

– Taa, może... Lepiej tego nie spieprz, Ralph, bo wiesz, co się stanie.

– Żarty się ciebie trzymają, hę? Dobra, dobra, chodź, pokażę ci okno, przez które wyskoczysz. Każę chłopakom zrobić ci drinka. A przy okazji, Zoyd, przyjechał twój stary kumpel, żeby trzymać za ciebie kciuki.

– Oo... – Zoyd wymienił z Hectorem najkrótszy uścisk kciuka.

– Wspaniały garnitur, Wheeler.

Zoyd ostrożnie jak saper wyciągnął przed siebie rękę, żeby poklepać Hectora po brzuchu.

– A ty nieźle poruszasz wąsami, amigo.

– Większy, ale nie miększy, ése. A skoro już mowa o lunchu, co powiesz na jutro w kręgielni Vineland Lanes?

– Nie dam rady, zarabiam na czynsz i mam już opóźnienie.

– To ważne! – rzucił z naciskiem Hector. – Spójrz na to tak: jeśli ci udowodnię, że wciąż potrafię być takim samym złym desperado jak zawsze, pozwolisz mi postawić sobie lunch?

– Takim samym złym... – Jak to? Dlaczego Zoyd zawsze daje się nabierać na te sztuczki Hectora? Najlepsze, co mu z tego kiedykolwiek przyszło, to wielki dyskomfort. – Hector, jesteśmy już na to za starzy.

– Po tylu radościach i po tylu łzach...

– No, dobra, przestań, umowa stoi. Ty jesteś zły, a ja przyjadę na lunch, ale pozwól mi teraz wyskoczyć przez to okno, okay? Dasz mi parę sekund...

Kierownicy produkcji szepnęli coś do walkie-talkie, techniczni za wyznaczonym oknem machali światłomierzami i nastawiali mikrofony, a Zoyd, oddychając spokojnie, powtarzał w duchu mantrę, którą Van Meter pod koniec zeszłorocznej fascynacji jogą sprzedał mu za dwadzieścia dolarów – niezupełnie do wyłącznej dyspozycji Zoyda – twierdząc przy tym, że kosztowała go aż sto. Wszystko było gotowe. Van Meter przekazał mu wolkańskie pozdrowienia Spocka.

– Gotowym na twój znak, Zet Wuj!

Zoyd przyjrzał się sobie w lustrze za barem, poprawił fryzurę i odwrócił się opanowany, by z wrzaskiem i czystym umysłem podbiec prosto ku oknu i wyskoczyć przez nie na zewnątrz. Od razu wiedział, że coś poszło nie tak. W ogóle nie poczuł siły uderzenia, szkło w zetknięciu z jego ciałem zabrzmiało i zachowało się inaczej niż zwykle, nie stawiało oporu i nie rezonowało, nie pękło z trzaskiem i tylko mlasnęło jakoś tak pokrętnie.

Po obowiązkowej szarży z obłąkanym grymasem na ustach na każdą z telewizyjnych kamer oraz po zakończeniu przez policję papierkowej roboty Zoyd dostrzegł kątem oka Hectora, który przykucnąwszy wśród leżących na ziemi błyszczących odłamków wybitej szyby, podniósł ostry wyszczerbiony wielokąt okiennego szkła.

– Czas na złe wieści! – zawołał, uśmiechając się złośliwie w dobrze znany Zoydowi sposób. – Jesteś gotów? – Wysunął szybko głowę jak atakująca żmija i odgryzł spory kawał szyby.

Kurwa mać, Zoyd zamarł. Odjechało mu..., ale nie, chyba nie, bo Hector żuł spokojnie szkło i zgrzytał obślinionymi zębami z tym samym złośliwym uśmiechem na ustach, mrucząc z zadowoleniem:

„Mmmm!” oraz „*¡Qué rico, qué sabroso!*”. Van Meter puścił się pędem za odjeżdżającą karetką, wrzeszcząc: „Sanitariusz!”, a Zoyd załapał, bo nie był przecież medialną dziewczycą

i czytywał „Tele Tydzień”, więc przypomniał sobie artykuł o kaskaderskich oknach wykonywanych z przejrzystego arkusza cukru, który pęka i łamie się, nie raniąc i nie wyrządzając szkód. To dlatego okno od razu wydało mu się dziwne: młody Wayvone wyjął z niego normalną szybę i zastąpił ją cukrową.

– Znów mnie wyruchałeś, Hector, wielkie dzięki.

Ale Hector zniknął już w wielkim szarym sedanie z federalną rejestracją. Niedobitki kamerzystów filmowały krajobrazowe przebitki w Cuke i słynny obracający się neon, który Ralph Junior z radością włączył wcześniej niż zwykle: zielony neonowy ogórek z mrugającymi pryszczami, wzniesiony pod kątem graniczącym plus minus o jeden czy dwa stopnie z obscenicznością. Czy następnego dnia Zoyd powinien pojechać do kręgielni? Technicznie rzecz ujmując, nie. Ale w oczach agenta pojawił się błysk, który dało się widzieć i teraz – mimo przyciemnianych szyb federalnego auta, mimo przedwieczornej mgły kłębiącej się na szerokim poboczu, w którą wjechał Hector, mknąc ku stojedynce. Zoyd czuł w kościach, że znów zostanie wkręcony. Hector od lat chciał zrobić z niego TW, ale do tej pory – znów z technicznego punktu widzenia – Zoyd zachował dziewictwo. Ale skurwysynek nie chciał dać za wygraną. Wracał, ciągle wracał, za każdym razem przywożąc ze sobą nowy, coraz bardziej obłąkany plan, a Zoyd wiedział, że któregoś dnia dla świętego spokoju powie „pieprzę to” i przejdzie na drugą stronę. Pytanie brzmi, czy robi to teraz, czy może kiedy indziej? Czy ma czekać na kolejny obrót? Bo czuł się jak w *Kole fortuny*, choć w okolicy nie było Pata Sajaka, który by go po przyjacielsku pocieszył, ani opalonej i pięknej Vanny White w rogu ekranu, która zaczarowałaby koło, życzyła mu szczęścia i odkryła przed nim kolejne litery wiadomości, której za nic w świecie nie chciał przeczytać.

Zdążył dojechać do domu, żeby obejrzeć siebie w Pudle, ale musiał poczekać, aż córka skończy oglądać film o czwartej trzydziści: Pia Zadorę w *The Clara Bow Story*. Prairie pomacała materiał jaskrawej sukienki.

– Piękny wzór, tatusiu. Nówka, chiba. Dasz mi ją, jak już nie będzie ci potrzebna. Rzucę ją na futon.

– Ej, spotykasz się z drwałami, pilarzami, rębaczami i takimi tam?

– Zoy-oyd...

– Nie obrażaj się, paru takich gości dało mi dzisiaj swoje telefony, pojmujesz? Razem z banknotami o różnych nominałach.

– Po co?

Zmrużył oczy i przyjrzał się jej uważniej. Czy to jakieś podchwytliwe pytanie?

– Poczekaj, mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty, tak? To znaczy, że masz ile... czternaście lat?

– Prawidłowa odpowiedź. Grasz o samochód?

– No, nie złość się, to nic osobistego. – Zdejmował sutą kolorową suknię.

Prairie odwróciła wzrok; udając zawstydzenie, zakrywała usta dłonią i zrobiła wielkie oczy. Pod spodem Zoyd miał na sobie stare szorty do surfowania i porwany podkoszulek z baru Hussong's przy plaży.

– Masz, sukienka jest twoja, mogę sprawdzić, jak wypadłem w wiadomościach?

Usiedli razem na podłodze przed Pudłem z torbą cheetos wielkości taboretu i sześciopakiem gazowanego napoju

grapefruitowego ze sklepu ze zdrową żywnością. Oglądali wiadomości sportowe, reklamy i pogodę – znów bezdeszczową – aż nadszedł czas na kończące program duperele. „No, cóż... – prowadzący wiadomości Skip Tromblay zachichotał – w Vinelandzie jak co roku doszło do mrozących krew w żyłach scen, kiedy leczony ambulatoryjnie pacjent tutejszego domu bez klamek, Zoyd Wheeler, wykonał swój popisowy numer, wyskakując przez kolejne okno. Tym razem padło na niesławny Cucumber Lounge przy drodze numer sto jeden, widoczny na ekranie. Ekipa filmowa *Hot Shot News* Kanału 86, powiadomiona przez anonimowego informatora, znalazła się na miejscu, by udokumentować wyczyn pana Wheelera, który w zeszłym roku o mało nie trafił do *Good Morning America*”.

– Nieźle ci poszło, tatku.

W Pudle Zoyd wypadł właśnie przez okno przy wtórze podłożonego prawdziwego trzasku tłuczonego szkła. Policyjne wozy patrolowe i sprzęt gaśniczy błyskały chromowanymi ozdobami. Zoyd przyglądał się sobie padającemu na orsztyń, koziołkującemu, zrywającemu się na równe nogi i szarżującemu z wrzaskiem i obnażonymi zębami na kamerę. Materiał nie zawierał zdjęć z zatrzymania pro forma i uwolnienia przez policję, ale z radością stwierdził, że sukienka – neonowopomarańczowa, niemal ultrafioletowofiołkowa, wściekle seledynowa oraz tu i tam karmazynowa, szczególnie w obrębie retrohawajskiego nadruku z papugami i dziewczętami tańczącymi hula – naprawdę przykuwa w Pudle uwagę. Na jednym z kanałów nadających z San Francisco nagranie powtarzano w zwolnionym tempie, dzięki czemu na ekranie pojawiły się miliony kryształowych trajektorii, eleganckich jak krople wody, a wiszący w powietrzu Zoyd obracał się w przeróżnych pozycjach, których, z tego, co pamiętał, w ogóle nie przyjmował i które – jako stop-klatki – mogłyby wygrywać nagrody w konkursach fotograficznych. Później pojawił się przegląd jego wcześniejszych wyczynów, a przy każdym kroku wstecz kolory i walory produkcyjne zmieniały się na gorsze. Po tym wszystkim pokazano

zorganizowany w studiu panel, w którym wziął udział profesor fizyki, psychiatra oraz trener lekkiej atletyki, biorący udział w dyskusji ze studia olimpijskiego w LA. Uczestnicy panelu rozmawiali o ewolucji techniki Zoyda na przestrzeni lat, przeprowadzając przy okazji konieczne rozróżnienie między osobowością defenestracyjną, wyskakującą z otwartych okien, a transfenestracyjną, rozbijającą w drodze ku ziemi szyby. Każda z tych osobowości odzwierciedla, zdaniem panelistów, zupełnie inny podtekst psychiczny, a słuchający tego Zoyd i Prairie zaczęli tracić zainteresowanie.

– Przyznaję ci, tatku, dziewięć koma pięć punktu, twój najlepszy wynik! Szkoda, że magnetowid się zepsuł, bo moglibyśmy to nagrać.

– Naprawiam go.

Spojrzała na niego spokojnie.

– Potrzebny jest nam nowy.

– Potrzebne są nam pieniądze, żołnierzu, bo brakuje nam nawet na jedzenie.

– O, nie! Wiem, co to oznacza. Gadanie o odchudzaniu! Co mam zrobić? To nie ja zostawiam wszędzie ciastka, ciasteczka, a w lodówce czekoladowe batoniki, to nie ja używam nesquika do słodzenia! Ej! Nie mam z tobą szans!

– Ale ja mówiłem tylko o pieniądzach, córeczko. Kto bez przerwy gada o odchudzaniu?

Głowa Prairie obróciła się powoli i precyzyjnie na długiej szyi i zajęła pozycję odpowiednią do rozmowy z ojcem.

– Nooo... kilka razy wspomniał o tym Wielki I.

– Cudownie! Znany na całym świecie punkowy dietetyk! Który teraz ma ksywę po kim? Po jakimś robocie?

– Nie po robocie, tylko po Isaiahu Dwa Cztery, wersecie z Biblii – sprostowała, kręcąc wolno głową na znak, że się poddaje – który, przypominam, mówi o przekuwaniu mieczy na lemiesz i włócznie na sierpy oraz tym podobnych peacenikowskich bredniach, które w sześćdziesiątym siódmym zrzucili na Wielkiego I jego rodzice, a twoi powaleni przyjaciele hipisi.

– Lepiej oboje uważajcie z tym pieprzonym odchudzaniem. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że twój R2D2 jest zwyczajnie skąpy i żałuje ci żarcia? Co on robi? Co pozwala ci jeść?

– Miłość nie wybiera, tato, może już o tym zapomniałeś.

– Wiem, że miłość nie wybiera, wiem o tym od roku pięćdziesiątego szóstego, kiedy nauczyłem się nowych chwytów. Jesteś zakochana w tym typie, więc może nie pamiętasz, że go znam, że pamiętam, jak nie tak dawno temu chodziliście oboje z cukierkiem i psikusem, zatem pozwól mi sobie powiedzieć, że każdy facet, który pojawia się w drzwiach jako Jason z *Piątku, trzynastego* (1980) jest... uwierz staremu wariatowi... mocno zaburzony.

Prairie westchnęła.

– Wtedy każdy był Jasonem. Ten film to już klasyk, jak Frankenstein, więc co w tym złego... nie rozumiem, w czym ci to przeszkadza. Isaiah zawsze cię, no wiesz, podziwiał.

– Że co?

– Za to wyskakiwanie przez okna. Oglądał wszystkie nagrania, klatka po klatce. Mówił, że parę razy o mało się nie nadziałeś.

– O mało! A niech mnie...

– Jak szyba wypada z framugi – tłumaczyła – pęka w takie długie ostre kliny, no nie? Na tyle długie, żeby cię przebić na wylot. Isaiah mówi, że wszyscy jego kumple zawsze podziwiali twój niebiański spokój, jakbyś miał w nosie niebezpieczeństwo.

Zoyd pobladł i zrobiło mu się niedobrze, ale nie przestał z niedowierzaniem zerkać na córkę jednym okiem. Nie ma sensu opowiadać o dzisiejszym cukrowym szkle, Prairie wyglądała na bardzo, nawet nienaturalnie przejętą, podziwia go, lepiej nic jej nie mówić. Ale czy to możliwe, czy prawdą jest, że był tak bliski śmierci, a przynajmniej poważnej operacji chirurgicznej, za każdym poprzednim przezabawnym razem? Jak ma więc dalej zarabiać na życie, jeśli nie złączą mu wstawiać wszędzie cukrowych szyb? Cholera, powinien już dawno zatrudnić się w jakimś kaskaderskim cyrku, takiego na ten przykład Joeya Chitwooda, i zgarniać prawdziwą kasę.

– ...i myślę, że ty i Isaiah moglibyście się w końcu dogadać, a może nawet zrobić razem jakiś interes – tak bez wątpienia powiedziała Prairie – bo wiem, że on by chciał, i wystarczyłoby, żebyś zachował otwarty umysł.

Zoyd nie miał pojęcia, o czym Prairie mówi, ale zmusił się do beztrioski.

– Lepiej, żeby Wielki I nie otwierał mi głowy. – Unik przed trampkiem, na szczęście bez stopy Prairie w środku, przelatującym obok ucha.

– Oceniasz go po fryzurze, wyłącznie po fryzurze. – Grozi mu palcem jak poirytowany sąsiad albo ordynator oddziału psychiatrycznego z opery mydlanej. – Zamieniłeś się dokładnie w takiego samego ojca, jak ten, który cię dręczył, kiedy byłeś hipisowskim świrem.

– Jasne, stanowiłem takie samo zagrożenie dla ogółu jak twój chłopak, ale nikt z nas, zapewniam cię, nikt z całego mojego pokolenia nie przychodził do czyjegoś domu w samym środku nocy w masce hokejowej, z nożami i nawet, zdaje się, z sierpem. I ty mi mówisz, że mam z nim zrobić interes. Jaki, pytam? Remont letniego obozu dla chłopców? – Rzucił w nią cheetosami, zasypując podłogę.

– Wpadł na dobry pomysł, gdybyś tylko zechciał go wysłuchać, papo.

– Mówi się „papu”. – Wrzucił sobie do ust chrupkę, którą wcześniej celował w Prairie. – Oczywiście, że mogę go wysłuchać, mam nadzieję, że tyle jeszcze potrafię, za kogo ty mnie bierzesz, za jakiegoś sztywniaka, może się okazać, że to fajny gość, choć dowody wskazują na co innego, ale weźmy, na przykład, takiego Moondoggiego z *Gidget* (1959)...

– Isaiah! – wrzasnęła Prairie. – Rusz tyłek, człowieku, bo nie wiadomo, jak długo będzie w dobrym nastroju...

I z innego wymiaru, w którym akurat orbitował, wyłonił się Isaiah Dwa Cztery, który dziś, jak zauważył Zoyd, miał irokeza pofarbowanego na wściekle seledynowy kolor, z wyjątkiem końcówek, prysniętych na karmazynowo. Tak się składało, że były to dwa ulubione kolory Zoyda, a Prairie, od której dostał

w prezencji mnóstwo popielniczek i podkoszulków z lat sześćdziesiątych w tych fantazyjnych barwach, doskonale o tym wiedziała. Czy ktoś tu sili się, żeby być miły?

Isaiah na powitanie przybił z Zoydem górną i dolną piątkę, wierząc, zdaje się, od zawsze, że Wheeler walczył w Wietnamie. Ruchy chłopaka – te, które rozpoznał Zoyd – pochodziły z buszu, inne z kicia, a jeszcze inne – te, za którymi nie nadażał, choć bardzo chciał – były choreografią Isaiaha do mruczanego pod nosem *Purple Haze* Jimiego Hendrixa.

– Jest git, panie Wheeler – rzucił w końcu chłopak. – Jak leci?

– Jak to „panie Wheeler”, a co się stało z „ty mielone ścierwo”? – Ten epitet zakończył ich ostatnie spotkanie, podczas którego powściągliwa początkowo rozmowa o zapatrywaniach muzycznych eskalowała do obopólnego zanegowania w dosyć szerokim zakresie systemów wartości obu stron.

– No, wtedy, proszę pana... – odrzekł orędownik przemocy na co dzień, postury i wielkości gracza NBA, sypiający albo niesypiający z jego córką – ...chodziło mi o „mielone ścierwo” wyłącznie w kategoriach naszego splatającego się przedziwnie losu jako doczesnej karmy na łasce lub niełasce szcęk przeznaczenia, więc z tej perspektywy to chyba bez różnicy, czy pan lubi muzyczne wypowiedzi Septic Tank i Fascist Toejam – wijąc się jak piskorz w tak oczywisty sposób, że Zoyd nie mógł mu nie odpuścić.

– Na tej samej zasadzie powinienem uznać za nieistotne twoje natchnione poparcie dla uzi jako sposobu rozwiązywania większości naszych konfliktów społecznych.

– Jest pan bardzo wspaniałomyślny, proszę pana.

– Jedzenie, chłopaki. – Prairie weszła z galonem guacamole i gigantyczną paczką tortilowych chipsów, a Zoyd zastanawiał się, czy przypadkiem wkrótce się nie pojawi... ha!, oto i ono: zimny sześciopak dos equis, tak jest! Otwierając z szerokim uśmiechem piwo, po raz kolejny zauważył u córki sprytną, choć jeszcze nie w pełni profesjonalnie rozwiniętą umiejętność kombinowania, którą musiała odziedziczyć po nim, więc oblał

się rumieńcem dumy, no, chyba że to przez guacamole, do którego dodała dziś trochę za dużo marnej salsy.

Wspomniany przez Zoyda wcześniej pistolet maszynowy Uzi, nazywany w ojczystym Izraelu „Bandytą Pustyni”, okazał się rekwizytem jak najbardziej na miejscu. Gdyż pomysł Isaiaha sprowadzał się z grubsza do założenia pierwszego z wielu Centrów Bezprawia, z których każde, zakrojone na skalę małego parku tematycznego, wyposażono by w strzelnice do broni automatycznej, wojskowe tory przeszkód, sklepy z pamiątkami oraz bary i automaty do gier wideo dla dzieciarni, albowiem Izajasz prorokował wzrost zainteresowania tego rodzaju atrakcjami wśród rodzinnej klienteli. Pomysł obejmował także standardowy rozkład powierzchni oraz logo, co mogło znacznie ułatwić franszyzę. Isaiah siedział przy okrągłym, przypominającym szpulę do kabla stoliku i rysował diagramy tortillowymi chipsami, puszczając wodze fantazji.

– Dreszcz Trzeciego Świata: tor przeszkód w dżungli, który pokonuje się po linach, wpada do wody, strzela do wyskakujących z zasadzki celów przypominających autochtoniczne elementy partyzanckie... Miejskie Szumowiny: goście ścierają z powierzchni ziemi niepożądany margines miejski, w tym Alfonsów, Zboczeńców, Handlarzy Narkotyków i Ulicznych Bandytów, z założenia wielorasowych, żeby nikogo nie obrazić. Margines będzie się pojawiał we właściwym dla siebie środowisku ciemnych zaułków, krzykliwych neonów i sączącej się zewsząd muzyki saksofonowej... A dla koneserów Czarna Lista, na której znajdują się wybrane na zamówienie i odtwarzane z magnetowidu najbardziej znienawidzone osobistości życia publicznego, pokazywane pojedynczo na ekranach starych telewizorów kupowanych po cenie złomu i stawianych na taśmociągach jak kaczkę w wesołym miasteczku, przez co przyjemność rozwalenia znienawidzonych gadających podobizn ulegnie wzmożeniu dzięki implozjom kineskopów...

Zoyd ledwo nadażał przed spienionym bałwanem, który zalewał go i topił w demograficznych danych statystycznych i prognozowanych wpływach. Zupełnie nie uświadamiał sobie, że opadła mu szczęka i długo nie był w stanie zamknąć ust. A kiedy mu się to udało, zrobił to tak gwałtownie, że przygryzł sobie język, dokładnie wtedy, kiedy Isaiah rzucił:

– A najlepsze jest to, że nie straci pan ani centa.

– O-o. Ile ci trzeba?

Isaiah ukazał w szerokim uśmiechu pięciocyfrową kalifornijską ortodoncję i spojrział mu głęboko w oczy. Wkład Zoyda polegałby na podżyrowaniu pożyczki...

Zoyd pozwolił sobie na długi wymuszony chichot.

– A kto będzie pożyczkodawcą? – zapytał, spodziewając się adresu z odległego stanu, uzyskanego z pudełka po zapalkach. Okazało się jednak, że kredytu może udzielić im ni mniej, ni więcej tylko Bank Vineland. – Ty... hm... nie groziłeś im bronią ani nic z tych rzeczy? – Zwrócił się uszczypliwie do rzucającego długi cień młodzieńca.

Isaiah wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Po zastanowieniu oddam panu prace budowlane i kształtowanie terenu naszych inwestycji.

– Chwileczkę, dlaczego nie podżyrują ci rodzice?

– No... chyba dlatego, że zawsze byli, wie pan, przeciwni przemocy? – W głosie Isaiaha dał się słyszeć jakiś smutny ton. Nie chodziło mu już nawet o to, że jego starzy są wegetarianami, ale bardziej o to, że z czasem stali się wymagający nawet wobec warzyw, wyrzucając z menu, dajmy na to, wszystko, co czerwone, bo czerwień to kolor gniewu. Chleb w większości odmian był zakazany ze względu na mordercze drożdże. Zoyd, choć nie był świrologiem, zastanawiał się, czy chłopak przypadkiem nie odgrywa się na Prairie za to, co robią mu w domu w aspekcie zaburzeń dietetycznych.

– To... twoi starzy jeszcze o tym nie wiedzą?

– Chciałem, żeby to była niespodzianka.

Zoyd zachichotał.

– Rodzice uwielbiają niespodzianki. – Kątem oka dostrzegł dziwne spojrzenie Prairie, coś jakby „Naprawdę? No, to się przekonasz...”. Lecz zamiast tego usłyszał:

– Jedziemy wszyscy na kemping na parę dni, okay? Znaczą się zespół i parę innych dziewczyn...

Isaiah grał w miejscowym heavymetalowym składzie, który nazywał się Billy Barf and the Vomitones i miał ostatnio kłopoty ze znalezieniem pracy.

– Idź, pogadaj z Ralphem Wayvone’em Juniorem z Cuke – poradził mu teraz Zoyd. – W przyszły weekend jego siostra bierze ślub w mieście, orkiestra odwołała nagle przyjazd, a Ralph jest zrozpaczony, że nie znajdzie zastępstwa.

– Naprawdę? Od razu to załatwię, mogę skorzystać z telefonu?

– Jest chyba w łazience, był tam, kiedy ostatni raz zaglądałem.

Gdy zostali z Prairie sami, udało im się jakoś nawiązać kontakt wzrokowy. Nigdy nie była wiercipiętą, nawet jako dziecko. W końcu zapytała:

– I co myślisz?

– On jest okay, ale spokój, żaden bank nie zaakceptuje mnie jako żyranta pożyczki!

– Jesteś lokalnym biznesmenem.

– Pracuję na czarno jako dekarz, a oprócz tego jestem wszystkim winny pieniądze.

– Uwielbiają, kiedy ktoś jest im winien pieniądze!

– Uwielbiają, Prairie, kiedy wszyscy inni są im winni pieniądze, lecz nie ja. Jeśli ten projekt trafi szlag, zabiorą nam dom.

Ten argument mógłby nawet do niej trafić, ale z łazienki wypadł Isaiah, krzycząc:

– Mamy fuchę! Mamy! Niesamowite! Nie mogę uwierzyć!

– Ja też nie – mruknął Zoyd. – Zagracie na tradycyjnym włoskim weselu, tylko co? Największe przeboje Fascist Toejam?

– To wymaga dogłębnej analizy – przyznał Isaiah. – Bo dałem mu jakby do zrozumienia, że jesteśmy Włochami. Na początek.

– Nauczycie się paru sycylijskich melodii, dacie radę, nie martw się.

Chichotał pod nosem, kiedy Prairie i Isaiah wychodzili na dwór: tak jest, zawsze do usług, mój chłopcze, występ przed ludźmi z miasta, czemu nie, nie musisz mi dziękować... W swej muzycznej karierze Zoyd parokrotnie grywał na mafijnych weselach i wiedział, że dzieciakowi nie stanie się krzywda, a dobre żarcie zrekompensuje weselnym gościom wszelkie muzyczne potknięcia, więc to nie tak, że celowo wpuszcza chłopaka córki – na którego punkcie jeszcze stuprocentowo nie oszalał – na minę, ani nic w tym rodzaju. Isaiah Dwa Cztery jako problem do rozwiązania jest małym piwem w porównaniu z prawdziwymi zmartwieniami, z których najważniejszym stał się nagle nawrót biegunki znanej jako Hector Zuñiga – przypadłości, ku której, kiedy zapalał skręta i siadał przed grającym bezgłośnie Pudłem, nieuchronnie wracała jego myśl.

Był to trwający od lat romans, tak dokuczliwy jak miłość kota Sylwestra i ptaszka Tweety. Hector mógł czasem życzyć Zoydowi nagłej jak na filmach rysunkowych śmierci, ale stosunkowo wcześniej pojął, że Zoyd jest ściganym, którego prawdopodobnie nigdy nie wsadzi na dobre do pudła. Nie znaczy to wcale, że posądzał Zoyda o kręgosłup moralny w stawianiu oporu. Przypisywał wszystko tępemu uporowi Wheelera, nadużywaniu przez niego narkotyków, nieustannym problemom psychiatrycznym, a także jego wielkiej bojaźliwości, niepozwalającej wyobrazić sobie odpowiednio dużej skali dla ważnych życiowych transakcji, w tym narkotykowych. Hector nie upierał się dłużej przy zwerbowaniu Zoyda – ten kryzys mieli dawno za sobą – ale z jakiegoś powodu nie mógł przestać nawiedzać go raz po raz, najlepiej bez zapowiedzi. Po raz pierwszy pojawił się w życiu Zoyda tuż po wyborze Reagana na gubernatora Kalifornii. Zoyd mieszkał wtedy dalej na południe, w Gordita Beach, w domu wynajmowanym wspólnie z elementem muzycznym z zespołu surfrockowego, w którym od gimnazjum grał na klawiszach. Zespół nazywał się Corvairs, a w domu pojawiali się często mniej lub bardziej przelotni znajomi. Dom był tak stary, że nadzór budowlany patrzył przez palce na termity i inne naruszenia przepisów, z nadzieją, że przy kolejnym umiarkowanym kataklizmie chałupa się zawali. Wzniesiono ją jednak w innych czasach – w epoce architektonicznego dostatku – w związku z czym okazała się wytrzymalsza, niż na pierwszy rzut oka wyglądała, a pod odłazącym tynkiem widać było pokolenia farby w przeróżnych plażowych pastelach, skorodowane od soli i petrochemicznej

mgły snującej się latem po nabrzeżnych wydmach aż za Sepulveda, a często nawet po ugorach wokół autostrady do San Diego. Długa, osłonięta siatką weranda wychodziła na dachy innych domów stojących na opadającej ku plaży wydmie. Od ulicy wchodziło się do środka przez przepołowione holenderskie drzwi, których górna otwarta połowa ukazała tamtego wieczoru sprzed lat Hectora w podniszczonym skórzanym kapeluszu o szerokim rondzie, w ciemnych okularach i z ciemniejącym, zwieńczonym białymi falami Pacyfikiem w tle poniżej. Na ulicy stał służbowy plymouth, którego przednie siedzenie w trzech czwartych zajmował ówczesny partner Hectora, cierpiący na chorobliwą nadwagę agent Melrose Fife. Zoyd, który miał pecha i otworzył drzwi na pukanie, stał nieruchomo i usiłował zrozumieć, o czym mówi ten typ w zbójckim nakryciu głowy i z policyjnymi bokobrodami na policzkach.

Po jakimś czasie wyszedł z kuchni i dołączył do nich gitarzysta prowadzący, a jednocześnie wokalista Corvairsów, Scott Oof; oparł się o ościeże i zaczął się bawić włosami.

– Może później spróbujesz wyjaśnić to wszystko swojemu kumpłowi, bo nie wiem, czy do niego trafiam... – zwrócił się do niego Hector.

– ¿*Qué?* – zapytał dowcipnie Scott. – *No hablo inglés.*

– *Hola...* – Powitalny uśmiech Hectora nagle zastygł. – Mam przyprowadzić tu swojego kumpla? Widzicie go w samochodzie? Może tego nie widać, bo siedzi, ale jak wstanie, przekonacie się, że jest taki gruby, że nie warto go fatygować, bo, kapujecie, ma potem problem z wsiadaniem do auta.

– Pan się nie przejmuje Scottem – rzucił szybko Zoyd. – Jest surferem... spadaj Scott... i parę lat temu miał mały zatarg z... eee... pewnym młodym dżentelmenem meksykańskiego pochodzenia, więc czasem...

– Na parkingu przed Taco Bell w Hermosie, tak, to pamiętne wydarzenie, które przeszło do legendy mojego ludu. – To było w czasach, kiedy wszyscy udawali Ricarda Montalbana, przez lata nabierając wraz z nim wyrafinowania.

– Przyjechał pan się zemścić?

– Że co? Wybacz... – Hector sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i niby przypadkiem ukazał Zoydowi służbową cokrę kaliber trzydzieści osiem w kaburze pod pachą, po czym wyjął federalną odznakę w przemyślnie zmaistrowanym, otwieranym jednym machnięciem skórzanym etui.

– Tutaj nikt nie robi nic federalnego – rzucił Zoyd bezmyślnie.

Przybiegł Van Meter, którego wygląd w tamtych czasach zasługiwał co najmniej na rewizję osobistą, i uniósł brwi.

– Co się stało Scottowi? Uciekł tylnymi drzwiami.

– Mówiąc szczerze, przyszedłem tu w sprawie narkotyków – wyjaśnił Hector.

– Chwała Bogu! – wrzasnął Van Meter – Już od tygodni nic nie przypaliliśmy! O, tak, to cud... – Zoyd gorączkowo kopał go w kostkę. – Kto cię przysłał? Ty jesteś ten koleś, co zna Leona?

Rozbawiony agent federalny ukazał w szerokim uśmiechu zęby.

– Gość, o którym wspominasz, przebywa tymczasowo w areszcie, choć na pewno niedługo wyjdzie i pojawi się tam, gdzie zawsze, pod Molem Gordita.

– Aaaaa... – Van Meter wypuścił powietrze z płuc.

– Bez obaw, to nie moja sprawa, ale bardzo cenimy właśnie taką weryfikację dowodów. – Hector pstryknął palcami jak iluzjonista i wyjął zza ucha Van Metera świeżutki pięciodolarowy banknot, co w tamtych czasach dało się przeliczyć na pół działki handlowych meksykańskich konopi. – Mamy tego o wiele więcej w naszym funduszu pożyczkowym. Ale pożyczki udzielamy tylko pod zastaw towaru pierwszej jakości. Za zmyślane brednie nie ma, rzecz jasna, pożyczek, a z czasem cierpliwość pożyczkodawcy ulega wyczerpaniu.

Podejrzane pięć dolców nie było pierwszym ani ostatnim w okolicy wynagrodzeniem za Kontrolowany Zakup Informacji. W tamtych czasach w mieście działało tylu antynarkotykowych agentów federalnych, że w South Bay mylono ich z drogówką. Wszystkie nadmorskie miejscowości, a także Torrance,

Hawthorne i wielka Walteria, znalazły się w jakimś monumentalnym projekcie pilotażowym finansowanym z niewyczerpanej podatkowej skarbnicy, z której spore kęsy trafiały do antynarkotykowych tworów na górze i na dole rządowej drabiny. Zoyd, możecie być pewni, nigdy osobiście nie korzystał z pieniędzy KZI, którymi dysponował Hector, ale bez żenady jadał produkty spożywcze, wypalał benzynę i nawalał się trawą kupowaną przez innych za tę forszę. Raz po raz dawał się zrobić w konia przy małym zakupie: sprzedawano mu zafoliowaną bazylię albo fiołkę proszku do pieczenia Bisquick (no tak, mamrotał, każdy ma prawo do błędu, ty też), więc naprawdę kusilo go, czasem nawet przez wiele dni, żeby zakapować cwane dealera Hectorowi. Ale zawsze były jakieś powody, żeby tego nie robić. Cwaniak okazywał się spokojnym gościem, który potrzebował forsy, drugi dalekim kuzynem z Bliskiego Wschodu, a trzeci morderczym maniakiem, który mógł się mścić, i tak dalej. Zoyd nikogo nie zakapował, a Hector wpadał w szal. „Myślisz, że ich bronisz? A oni i tak zawsze cię wyrolują”. Złość w jego głosie brała się z frustracji, bo wszystko w jego przydziale do Gordity było kurewsko rozczarowujące; identyczne domy przy plaży zlewały mu się w jeden, co prowadziło do niedopuszczalnych pomyłek w adresach, porannych nalotów na Bogu ducha winnych młodych obywateli czy do nieudanych zatrzymań ściganych, którzy przeskakowali przez płoty, kryli się po zaułkach i uciekali miejskimi schodami. Wielopoziomowy układ nadmorskiej zabudowy, poprzecinanej alejkami, rogami domów i zwieńczonej okapami, tworzył topografię jak w kasbie, w której można się szybko zgubić, w której umiejętności partyzanckie są więcej warte niż siła charakteru. Była to architektoniczna wersja niepewności jutra, urojenie, które rzucono jak kłodę pod nogi jego federalnej kariery, kiedy go tu oddelegowano.

– Sytuacja w tamtych latach... liczne związki... wszystko się plątało w tamtym domu w mniej lub bardziej tymczasowych układach miłosnych i erotycznych – zreasumował Zoyd. – Ktoś zawsze był o kogoś zazdrosny, ktoś zawsze się na kimś mścił,

a do tego jeszcze dealerzy nielegalnych substancji oraz ich kurierzy, nie mówiąc już o agentach, którym się wydawało, że są tajniakami ścigającymi nas wszystkich, plus cholera wie ilu politycznych, zbiegłych z różnych jurysdykcji... Wszyscy przychodzili i wychodzili, tak to wyglądało, a w tym wszystkim ty, jak w supermarkecie z kapusiami, do którego wpadałeś o każdej porze przez całą cholerną dobę.

Siedzieli przy stole na tyłach restauracji w kręgielni Vineland Lanes. Zoyd po bezsennej nocy postanowił przyjechać na lunch. Zamówił zdrową enchiladę, a Hector zupę dnia, krem z cukinii, oraz wegetariańską tostadę, którą – gdy ją przyniesiono – zaczął rozrywać kawałek po kawałku i składać na nowo w jakiś kształt, którego Zoyd nie potrafił zidentyfikować, lecz który musiał dla Hectora wiele znaczyć.

– Spójrz no, popatrz na to jedzenie, Hector, co ty z nim wyprawiasz?

– Przynajmniej nie kruszę i nie śmieczę, nie brudzę sobie koszuli jak na parkingu. – Tak, Hector wypowiedział te słowa z pewnym, bez najmniejszej wątpliwości, wzruszeniem, bo przecież siedzieli razem na paru, niezbyt wielu, to fakt, parkingach i przeżywali na nich nawet jakieś przygody. Zoyd domyślił się, że w którymś momencie od czasu ich ostatniego spotkania Hector dostrzegł burzę nadciągającą nad jego życiowy horyzont i zaczął szukać schronienia pod dachem. Przez lata działał w terenie za marną urzędniczą pensję (GS-13), nie awansował ze względu na rasowe uprzedzenia i poprzysiągł sobie – jak się wydawało Zoydowi – że rzuci wszystko, zanim zostanie *cagatinta*, biurokratą srającym atramentem. W końcu musiał znaleźć uznanie w oczach przełożonych, a może zrobiło mu się za zimno na dworze, i pożegnał się ze wszystkimi – omiatanymi cudzym i swoim wzrokiem, wystawionymi na działanie żywiołów i prawa prawdopodobieństwa – parkingami, dostał podwyżkę (GS-14) i zostawił świat poza biurem ludziom na początku kariery, którzy potrafili to docenić. Kiepsko. Dla Zoyda, który sam żywił wiele uprzedzeń i najbardziej cenił w Hectorze jego niezmorzoną wytrwałość.

Federalne komputery nie uprzedziły Hectora, że tego ranka w kręgielni rozgrywane są akurat regionalne półfinały juniorów. Ze wszystkich położonych na północy okręgów zjechały dzieciaki, żeby współzawodniczyć ze sobą na misternie ułożonych na wpust, prawdziwie mistrzowskich torach pochodzących z czasów rozkwitu przemysłu drzewnego, kiedy na szkieletach z sekwoi wznoszono duże domy, a z mokrych od deszczu dylizansów wysiadali legendarni stolarze, prawdziwi geniusze drewna, którzy potrafili zbudować wszystko, od kręgielni do przybudówki w stylu Carpenter Gothic. Kule uderzały w kręgle, kręgle przewracały się na drewno, echa kolizji grzmiały w sąsiedniej sali, a do restauracji wbiegały hordy dzieciaków w sportowych bluzach, niosących przynajmniej jedną kulę w torbie, a oprócz tego chwiejne piramidy napojów gazowanych i żarcia. Każdy z nich otwierał piszczące w zawiasach drzwi między restauracją a kręgielnią i puszczał je ze zgrzytem prosto na następnego dzieciaka, a ten z piskiem otwierał je ponownie. Nie trzeba było wiele takich powtórzeń, żeby popsuć nastrój współbiednikowi Zoyda, śledzącemu to wszystko rozbieganym wzrokiem i nucącemu przy tym jakąś melodię, którą Zoyd dopiero po szesnastu taktach rozpoznał jako *Meet the Flintstones*, motyw muzyczny znanej z telewizji kreskówki. Hector skończył nucić i zde gustowany spojrzał na Zoyda.

– Któreś z nich jest twoje?

Szydło wyszło z worka. Okay.

– Co chcesz wiedzieć, Hector?

– Wiesz, co chcę wiedzieć, palancie.

Nie wyczytał nic z jego oczu.

– Z kim rozmawiałeś?

– Z twoją żoną.

Mordował enchilady widelcem, a Hector czekał.

– No i... eee... co u niej?

Hector miał wilgotne, lekko wytrzeszczone oczy.

– Nie za dobrze, koleżko.

– Chcesz mi powiedzieć, że co... ma kłopoty?

– Szybko chwytasz jak na starego ćpuna, a teraz obczaj to: słyszałeś kiedyś o cięciach budżetowych? Może słyszałeś w wiadomościach w Pudle o Reaganomice, ograniczeniach w wydatkach federalnych i takich tam?

– Była objęta jakimś programem? I już nie jest? – Rozmawiali o byłej żonie Zoyda, Frenesi, oddalonej o lata i kilometry świetlne w przeszłość. Dlaczego, pominąwszy darmowy lunch, siedzi tu i słucha tego wszystkiego?

Hector pochylił się z błyskiem w oku; zaczęło mu się to podobać.

– Gdzie ona jest? – spytał Zoyd.

– No... mieliśmy ją w programie ochrony świadków.

Początkowo nie odnotował nacisku, z jakim Hector wypowiedział słowo „mieliśmy”.

– Nie pierdol, Hector, to jest dla mafii, która nie chce być mafią i nie chce przez to umierać. Odkąd to wsadzacie politycznych do mafijnej zamrażarki? Myślałem, że pakujecie ich do psychiatryków, jak w Rosji.

– No cóż, technicznie rzecz biorąc, finansowano to z innego worka, ale i tak podlegała U.S. Marshals, jak świadkowie mafii.

Tamten Człowiek może zniszczyć Zoyda jednym uderzeniem w klawisz komputera, więc dlaczego wysła Hectora, który jest wobec niego tak nienaturalnie przyjazny? Ale niewykluczone, że tym starym tępyim trepem kierowała życzliwość, której tak bardzo brakowało mu od urodzenia, że nikt – ani żywy, ani martwy – nigdy jej wcześniej nie zauważył.

– Okay, więc siedzi w programie z kapusiami mafii, kończy się wam forsa, ale w komputerze zostały jej dane i możesz je wystukać, kiedy tylko zechcesz...

– Błąd. Dane zostały usunięte. – Słowo to zawisło złowieszczo w powietrzu pomiędzy perkusyjnymi solówkami z sąsiedniej sali.

– Ale dlaczego? Myślałem, że nigdy nie usuwacie żadnych danych, bo macie z nich kasę, fundusze, refundowanie na te swoje gierki...

– Nie wiemy dlaczego. I to nie jest żadna gierka Waszyngtonu, *chále ése*, nikt przy tym nie grzebie dla jakichś krótkoterminowych korzyści, to jest prawdziwa rewolucja, a nie jakieś fantasmagoryczne walenie konia, którym wy się zajmowaliście. To narastająca fala, Zoyd, fala Historii, i możesz się na nią załapać, albo cię skreślą. – Hector spojrział na niego z wielką pewnością siebie, której, zważywszy na to, co robił z tostadą, teraz już na całym blacie, brakowało autentyczności. – Skreślą faceta, który przepłynął kiedyś na desce pod Molem Hermosa podczas sztormu i burzy z piorunami. – Pokręcił głową. – Słuchaj, w tym tygodniu w K-Marcie sprzedają za bezcen pełnowymiarowe lustra. Nie jestem specjalistą od dobrego wrażenia, ale namawiam cię, żebyś kupił sobie takie lustro. Mógłbyś poprawić sobie image, koleżko.

– Chwila! Ty nie wiesz, dlaczego usunięto jej dane?

– Dlatego potrzebna jest nam twoja pomoc. Za niezłą forszę.

– O kurwa, ja nie mogę... ha, ha, ha... zgubiliście ją, właśnie dlatego tu jesteś, jakiś kretyn u was skasował jej dane w komputerze, nie? Teraz nie wiecie nawet, gdzie jest, i myślicie, że ja wiem.

– Niezupełnie. Uważamy, że chce tutaj wrócić.

– Nie może tu wrócić, Hector, taka była umowa. Zastanawiałem się, ile to potrwa... dwanaście, trzynaście lat, całkiem niezłe, zadzwonię, jeśli pozwolisz, do Księgi Rekordów Guinnessa: właśnie padł rekord w dotrzymywaniu słowa przez faszystowski reżim.

– Widzę, że wciąż rozsadzają cię te same stare emocje... Myślałem, że złagodniałeś przez ten czas, że pogodziłeś się z rzeczywistością, sam nie wiem...

– Pogodzę się, kiedy to państwo trafi szlag, Hector.

– *Caray*, wieczne dzieci z lat sześćdziesiątych! Zdumiewające! Kocham was. Jedziesz sobie, obojętnie gdzie, a tu, hej, Mongolia! Jedziesz sobie do miasteczka w Mongolii Zewnętrznej, *ése*, i zawsze trafi się jakiś fanatyk w twoim wieku, który wybiega na drogę z palcami ułożonymi w literę

„V” i wrzeszczy: „Jaki jest twój znak, człowieku?!”, albo śpiewa „In-A-Gadda-Da-Vida” nuta w nutę.

– To przez te satelity, wszyscy wszystko słyszą, kosmos to wielka rzecz, bo przez co innego?

Antynarkotykowy glina pozwolił sobie na zniuansowany grymas w stylu Clinta Eastwooda.

– Nie kłam, nie kłam, bądź wierny sobie, wiem, że wciąż wierzysz w te gówna. Wszyscy jesteście w środku dziecimi i wciąż żyjecie w tamtej epoce. Wciąż czekacie na gwiazdkę z nieba. Ale nie ma sprawy, mogę z tym żyć... Ale nie chodzi o to, że jesteś leniwy i boisz się roboty... trudna z tobą sprawa, Zoyd. Nigdy nie mogłem dojść do tego, za kogo ty się uważasz. Za chodzącą niewinność? Czasem przez długie miesiące wyglądałeś jak hipisowski wędrowny muzyk, jakbyś nigdy inaczej nie zarabiał na życie. Zastanawiające. Naprawdę.

– Hector! Ugryź się w język! Chcesz mi powiedzieć, że nie byłem niewinny?! Że tylko udawałem świętego?

– Zachowywałeś się jak wszyscy inni, współniku. Wybacz.

– Tak źle?

– Nie każę ci dorosnąć, ale czasem zadaj sobie, proszę, pytanie, tylko jedno pytanie: „Kto przetrwał?”. Nic więcej. To proste: „Kto przetrwał?”.

– Jak to?

– Jeden przedawkował w kolejce U Tommy’ego, czekając na hamburgera, drugi powiedział nie to co trzeba do nie tego co trzeba gościa na jakimś parkingu, trzeci przepadł bez wieści w jakimś odległym kraju, i tak dalej. Ponad połowa z was jest poszukiwana, a ty zaszyłeś się tak daleko, że nic nie wiesz. Tyle zostało z waszego szczęśliwego domu. Mielibyście więcej szans w strzelaniu ze SWAT-em. Więc jak się kiedyś zagłębisz we własne myśli, Zoyd, zrób sobie takie ćwiczenie, taką małą medytację zen: „Kto przetrwał?”.

– Ty, Hector.

– *Ay se va*, no dalej, niech ci pęknie to stare serducho, *compinche*. Myślałem, że wiesz wszystko, a okazuje się, że

gówny wiesz. – Hector wyszczerzył zęby, naciągnięta skóra, paskudna mordą.

Był to niemal jedyny sposób, w jaki mógł poużalać się nad sobą: ta sugestia, którą poczynił, że pośród upadłych, sam upadł najdotkliwiej, może nie najniżej, ale najboleśniej, rozpoczynając proces spadania dawno temu, gdy skupiony szybował z wdziękiem jak orzeł, by tracić profesjonalizm – czego dowodziły jego zabiegi z tostadą – wraz z wysokością i zawieść zupełnie jako agent w terenie. Wraz z upływem lat coraz częściej uciekał się do ordynarnej siły, próbując neutralizować tych, którzy stali mu na drodze, asortymentem środków przymusu, poczynawszy od ogłuszania do unicestwienia, a jeśli zdarzyło się, że na niego czekali i do nich należał pierwszy ruch, *ay muere*, tym gorzej dla nich. Hector ze smutkiem uświadomił sobie kiedyś, że nie jest samurajem zawsze gotowym na śmierć – taka myśl naszała go tylko parę razy w życiu dawno temu. Obecnie, kiedy stracił dawną wolę walki, każdy prosty impuls czy pragnienie uważał za zaawansowaną i postępującą nienawiść wobec samego siebie. Zoyd, wielki idealista, chciał wierzyć, że Hector pamięta każdego, do kogo strzelał, kogo trafił, kogo nie trafił, kogo przyskrzypił, przesłuchiwał, rozgromił albo oszwabił; że każda z tych twarzy zapisała się w sumieniu Hectora i że jedyny sposób, żeby żyć z czymś takim, to ryzykować dalej własny zapluty los i do końca kariery podbijać coraz wyżej stawkę. Ta teoria powstrzymywała Zoyda przed planowaniem zamordowania Hectora, na co inni, jak słyszał, tracili sporo czasu i potencjalnie produktywnych godzin. Hector należał do tego gatunku desperatów, którzy sami mordują siebie: wybierają najlepszą metodę, czas, miejsce i zawsze mają lepsze od innych motywy.

– Pozwól, że zgadnę: mam być systemem wczesnego ostrzegania, jakimś niewidzialnym promieniem, który przetnie Frenesi, żebyście mieli kilka minut na reakcję, po czym zupełnie przestają się liczyć, czy, jak kto woli, idę na śmietnik historii. Tak to wykombinowałeś?

– Wcale nie. Będziesz żył jak do tej pory. Nikt cię nie będzie prowadził, nigdzie nie musisz się zgłaszać, nie zadzwonimy, póki nie zajdzie taka potrzeba. Wystarczy, że zostaniesz na scenie i będziesz sobą, jak uczyła cię pewnie pani od muzyki.

Spóźniony przytyk, pomyślał Zoyd, to zupełnie do niego niepodobne, co się dzieje z tym kolesiem, z jego dystansem do wszystkiego?

– Brzmi czadowo, i chcesz mi powiedzieć, że będziesz za to płacił?

– Jak tajnemu współpracownikowi, może nawet z premią.

– Dwadzieścia dolców, jak kiedyś? Ciepłych i wymiętych, prosto z portfela agenta, sprezentowanego mu przez syna na święta...

– Jasne, ale przekonasz się, że mówimy już o trzech cyfrach, Zoyd. Dolnych granicach trzech cyfr.

– Chwileczkę... premia? Za co?

– Za cokolwiek.

– Mogę dostać mundur, odznakę i colta?

– Zrobisz to?

– Kurwa mać, Hector, czy mam wybór?

Agent federalny wzruszył ramionami.

– To wolny kraj. Bóg, jak mówią w okolicach mojego biura, obdarzył nas wszystkich, nawet ciebie Zoyd, wolną wolą. Mówiąc szczerze, to dziwne, że nie chcesz się dowiedzieć, co u niej.

– Cholernie sentymentalny z ciebie hombre, istny kupidyn, który wsadza nos w nie swoje sprawy. Ale coś ci powiem i może to zrozumiesz: jeśli chodzi o nią, potrzebowałem wiele czasu, żeby znaleźć się w tym miejscu, w którym jestem. A ty chcesz znowu wepchnąć mnie tam, gdzie byłem. Ale wiesz, co? Nie mam zamiaru tam wracać i babrać się w tym wszystkim.

– A co z twoją córką?

– No właśnie, Hector, co z nią? Naprawdę bardzo jest mi teraz potrzebna światła rada przedstawiciela rządu na temat wychowywania dzieci. Wszyscy wiemy, jak wy, reaganowcy,

dbacie o podstawową komórkę społeczną, wiemy już choćby z tego, jak przy niej majstrujecie.

– Może koniec końców nic z tego nie wyjdzie.

– Wydaje mi się – zaczął Zoyd ostrożnie – że poświęcasz strasznie dużo sił i środków na zapomnianą przez Boga i ludzi sprawę federalną.

– Żebyś wiedział. Tylko że ta sprawa może być większa od twojej byłej starej, koleżko.

– Daleko, daleko większa?

– Kiedyś martwiłem się o ciebie, Zoyd, ale teraz widzę, że mogę przestać, bo łagodny detergent upływającego czasu zmył z twoich okularów wazelinę młodości... – Hector popadł w *zomoskepsis*, kontemplację zupy. – Powinienem wziąć od ciebie opłatę za poradę, ale sprawdziłem, co masz na nogach, więc udzielę ci rady za darmo. – Wyczytał to w zupie? – Twoja była stara, póki nie obcięli nam finansowania, żyła w podziemiu państwa, choć nie tak jak Weathermani¹, ani nic w tym rodzaju. Żyła w takim świecie, o którym wy, cywile, widzący w słońcu na powierzchni wszystko w wesołych barwach, nie macie bladego pojęcia... – Hector był zazwyczaj spokojny i nigdy bez potrzeby nie łapał nikogo za kłapy, ale coś w jego głosie powiedziało Zoydowi, że gdyby miał teraz na sobie marynarkę, Hector mógłby za nią chwycić. – Nie pokazują go w Pudle, bo tam jest zimno... zimniej, niż chciałbyś wiedzieć...

– W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym trzymał się od tego z daleka, a zwłaszcza od ludzi, z którymi się kumpłowała, więc życzę ci powodzenia, kolego.

– Nie chcę tego słyszeć z twoich ust, Zoyd, jesteś tak popierdolony jak kiedyś, a w dodatku zrobiłeś się złośliwy.

– Nie bardziej złośliwy niż każdy inny stary hipis, Hector. Rozczarowany stary hipis. Pełno się ich tu kręci.

– Sami się o to prosiliście, wy cipy – warknął Hector. – Teraz już nie możesz się na nic skarżyć, już za późno, to tylko interes i obaj na nim skorzystamy. Ty przywarujesz i będziesz czekał, a ja odwalę całą brudną robotę.

– Mam nadzieję, że nie chcesz usłyszeć ode mnie już teraz „tak” albo „nie”.

– Czas ma kluczowe znaczenie, bo nie jesteś jedyną osobą, która jest tutaj moim kontaktem. – Hector pokręcił ze smutkiem głową. – Od lat łazimy po tych samych bulwarach, a czy ty przysłałeś mi choć raz kartkę na święta albo zapytałeś o Debbi czy dzieci? Albo o to, co się dzieje z moją psychiką? Może zostałem mormonem, a ty nic o tym nie wiesz? Może Debbi namówiła mnie na weekendowy wyjazd do jakiegoś kurortu i ta wycieczka odmieniła nam życie? Może powinieneś pomyśleć o zbawieniu duszy, Zoyd.

– O zbawieniu duszy...

– Wystarczy trochę dyscypliny, nic więcej. To ci nie zaszkodzi.

– Wybacz, Hector. Więc jak się miewają Debbi i dzieci?

– Zoyd, gdybyś tylko przez całe życie nie był takim skurwielem, gdybyś nie przeskakiwał z kwiatka na kwiatek i tak dalej, i nie uważał przy tym, że jesteś wyjątkowy i nie musisz robić tego, co inni...

– Może wcale tak nie myślę. Wydaje ci się, że tak myślę?

– Hej, w porządku, popierdoleńcu, ale posłuchaj tego: Będziesz musiał umrzeć. Taa... he-he-he, pamiętasz o tym? O śmierci? Po wielu długich latach nonkonformistycznego szamba skończysz jak wszyscy inni! *¡Ja, ja!* Więc po co ci to było? Całe to życie w hipisowskim brudzie, jeżdżenie jakimś złomem, którego nikt nie chce ubezpieczyć, wyrzekanie się grubej forsy, którą mógłbyś wydać nie tylko na siebie i córkę, ale też na swoich ukochanych braci i ukochane siostry, wszystkich hipisowskich pojebów, którym forsa jest tak samo potrzebna jak tobie.

Podeszła kelnerka z rachunkiem. Obaj – Hector odruchowo, a Zoyd z przymusu i zaskoczenia – zerwali się ku niej i zderzyli ze sobą, a zaniepokojona dziewczyna cofnęła się o krok, wypuszczając z rąk rachunek, po który natychmiast sięgnęły trzy pary górnych kończyn, przez co papierek zawirował w powietrzu i wylądował na obrotowej tacy z przyprawami,

gdzie zanurzył się w dużej puszystej hałdzie majonezu, lekko zjełczałej po bokach.

– Ładna breja – zdążył zauważyć Zoyd, zanim nagle za wychodzącymi na ulicę drzwiami rozległo się wycie syren, pełne determinacji okrzyki, tupot – równy – ciężkich buciorów zmierzających w ich stronę.

– *¡Madre de Dios!* – zawołał piskliwie dziwnie spanikowany Hector, zerwał się na równe nogi i pobiegł w kierunku kuchni, zostawiając na szczęście na stole, jak zauważył Zoyd, dwudziestodolarowy banknot.

Do restauracji wpadł i puścił się za nim pluton funkcjonariuszy ubranych w identyczne polowe mundury oraz bojowe hełmy z napisem NIEWCZAS. Dwaj mundurowi stanęli przy drzwiach, dwaj inni zajrzeli do kręgielni, a reszta pobiegła za Hectorem do kuchni, skąd dobiegały wrzaski i tłuczenie garami.

W drzwiach między wartownikami stanął facet w laboratoryjnym kitlu narzuconym na koszulę Pendleton. Gdy ruszył prosto na Zoyda, ten wyszczerzył się nieszczerze.

– Nie znam człowieka, nigdy go nie widziałem!

– Zoyd Wheeler! Cześć, oglądałem cię wczoraj w telewizji, byłeś cudowny, nie miałem pojęcia, że się znacie z Hectorem, słuchaj, on nie jest sobą, zapisał się do nas na terapię, a teraz, mówiąc szczerze...

– Uciekł.

– W końcu go dorwiemy. Ale jeśli się z tobą skontaktuje, zadzwonisz do nas, hmmm?

– Kim wy jesteście?

– Och, wybacz. – Mężczyzna podał Zoydowi wizytówkę z nadrukiem: Dr Dennis Deeply, MOPS, Adiunkt Narodowego Instytutu Edukacji Wideo-Cyfrowej z Aktywizacją Społeczną w jakimś mieście na północ od Santa Barbara, pod tym kółko wokół telewizora przecięte piorunem, a nad tym łacińskie motto *Ex luce ad sanitatem* z przekreślonym wydrukowanym numerem telefonu i dopisanym długopisem innym. – To nasz

lokalny numer. Zatrzymaliśmy się w Vineland Palace do czasu ujęcia Hectora.

– Musicie mieć niezłą dniówkę. Jesteście federalni?

– Dwusektorowi w istocie, prywatni i publiczni, granty, kontrakty i tak dalej. Badamy i leczymy uzależnienie od telewizora oraz inne zaburzenia medialne.

– Detoks dla telezajobów? Chce pan powiedzieć, że... Hector... – I Zoyd przypomniał sobie, jak Hector nucił dla uspokojenia nerwów temat muzyczny z *Flintstonów* i jak nazywał go „koleżką”, zupełnie jak kapitan w serialu *Wyspa Gilligana*, co stwarzało zupełnie nowe konteksty, o których wolał teraz nie myśleć.

Doktor Deeply wzruszył wymownie ramionami.

– Jeden z najbardziej niepojętych przypadków, z jakimi mieliśmy do czynienia. Opisany w literaturze fachowej. Znany wśród specjalistów jako „Pociecha Bradych” ze względu na głębokie, choć nie wyłączne uzależnienie od serialu komediowego o tej rodzinie.

– No, tak, pamiętam... najstarsza była Marcia, nie? A ten środkowy ma na imię... – Zoyd nie mógł nie dostrzec świdrującego spojrzenia, jakim go mierzono.

– Niewykluczone, że i ty powinieneś skontaktować się z nami jak najprędzej – mruknął doktor Deeply.

– Nie powiedziałem, że pamiętam wszystkie imiona! – wrzasnął za doktorem, który był już w połowie drogi do drzwi. Wkrótce dołączyli do niego inni i po chwili zniknęli, nie schwytawszy Hectora.

Hector – który niespodziewanie uzyskał status zbiegłego szaleńca – nadal przebywał na wolności.

Zoyd wyjechał na Phantom Ridge Road jakąś godzinę później, niż powinien, bo Elvissie ze wzgórza pękła uszczelka głowicy cylindra, co spowodowało Elvissę na dół o szóstej rano, żeby pożyczyć forszę, a Zoyd potrzebował dłuższej chwili na znalezienie zamiennika. Okazał się nim pick-up Datsun Li'l Hustler należący do jego sąsiada Trenta, z kempingową nadbudówką, której niezwykle kształt sprawiał, że pojazd miał pewne problemy z braniem zakrętów.

– Lepiej nie skręcaj z pełnym bakiem – poradził mu z dobrego serca Trent. – Z pełnym do połowy też nie... ani z prawie pustym.

Lecz to nie bak był problemem, ale nadbudówka kryta w całości cedrowym gontem, wskutek przywiązania jakiegoś ćpuna do idei imbrykacji, i zwieńczona szpiczastym dachem z kominem od kanonki. Zoyd bardzo ostrożnie skręcił w prawo i wkrótce wspinał się zakosami na grań po zboczu porośniętym jeszcze nieściętymi, zasadzonymi przez człowieka cedrami. Po drugiej stronie grani leżało Phantom Creek. Mgła na tej wysokości unosiła się stosunkowo wcześnie, zostawiając po sobie lekki błękitny opar, który zasnuwał co bardziej odległe drzewa. Zoyd jechał na małą farmę przy drodze nad strumieniem, gdzie wraz z weteranem z buszu i jego rodziną prowadził na boku interes z rakami. Zbierali małe sukinkoty w strumieniu Phantom oraz w paru jego dopływach, a Zoyd zwoził smaczne skorupiaki drogą 101 do sieci restauracji karmiących zdeprawowanych japiszonów lubujących się w kuchni kalifornijsko-cajuńskiej, choć tu i ówdzie

sprzedawano te ścierwa jako *Ecrivisses à la Maison* czy homary z Vinelandu.

RC i Moonpie, których prawdziwe imiona zatarły się gdzieś na mocno wytartym od końca wojny szlaku, byli uszczęśliwieni dodatkową forszą, tak samo jak ich dzieciaki robotą na dworze: Morning, najstarsza, biegała środkiem strumienia, rozchlapując wodę, wraz z innymi dziećmi. Zabierały ze sobą słoje i woreczki z ćwiekami, które wbijały w dno każdego rozlewiska z wodą po kolana. Na gwoździe nabijały plasterki bekonu. Nim wróciły do miejsca, od którego zaczęły, na przynętę nacierały gorączkowo raki, tłoczące się wokół bekonu, do którego nie mogły się dostać.

Dalsza procedura polegała na umiejętnym użyciu podbieraka: należało trafić raka kijkiem w nos i schwytać go w siatkę, kiedy wyskakiwał z wody. Dzieciaki pozwalały czasem dorosłym pomagać sobie przy robocie.

Zoyd znał tę rodzinę od wczesnych lat siedemdziesiątych; w zasadzie poznał Moonpie w dniu uprawomocnienia rozwodu, który był również dniem pierwszego skoku przez okno, co stało się jakby częścią jednej i tej samej umowy. Pił piwo w Lost Nugget, knajpie dla długowłosych w South Spooner w Vinelandzie, szukając sposobu, żeby nie myśleć o Frenesi ani o życiu we dwoje, które właśnie oficjalnie i nieodwołalnie dobiegło końca, a Moonpie, równie młoda i piękna w tamtych czasach, wydała się zaburzonym receptorom Zoyda najlepszym na to lekarstwem. Tak było do chwili, kiedy z klopa wyszedł RC – RC o głębokim wejrzeniu i śmiertelnie poważnym nastawieniu do życia, mówiącym wiele o wszystkich innych miejscach, w których przebywał. Oparł się o bar, położył dłoń na ramieniu Moonpie, a ona przytuliła się do niej policzkiem. Kiwnął głową do Zoyda i spojrzał na niego pytająco, a w tym spojrzeniu kryło się ostrzeżenie „proszę, tylko nie pajacuj”. Zoyd, który już wcześniej zdążył się nad wszystkim dobrze zastanowić, spędził resztę wieczoru – podobnie jak wiele innych wieczorów w nadchodzących latach, nie wspominając już o wypadach na piwo za dnia, a także medytacjach na

autostradzie czy zadumach na kiblu – na obsesyjnym wspomnianiu żony (nigdy nie zdołał się przekonać do terminu „była żona”), czym wkurwiał każdego, kto znalazł się w promieniu uchodzącym nawet w tamtych szczęśliwych czasach za mało bezpieczny.

Wymarzony album, który Zoyd nagra kiedyś jako wokalista, będzie się składał z piosenek o niespełnionej miłości i zostanie zatytułowany *Not Too Mean to Cry*. W tej powracającej fantazji dotarł do miejsca, w którym w późnych godzinach wieczornych rozpoczyna telewizyjną kampanię reklamową: w dole ekranu, przy akompaniamencie pięciosekundowych fragmentów każdej piosenki, mruga bezpłatny numer telefonu, lecz nie po to, a w każdym razie nie tylko po to, żeby sprzedawać płyty, ale po to, żeby skorzystała z niego Frenesi, która o trzeciej nad ranem wyzwoli się z objęć jakiegoś supermana, włączy przypadkowo telewizor, żeby odegnąć złe duchy, i zobaczy Zoyda przy klawiaturze w jakimś niesamowitym barwnym smokingu, gdzieś przy Vegas Strip, z całą hotelową orkiestrą; wpatrując się w przesuwające się przez ekran tytuły piosenek – *Are You Lonesome Tonight, One for My Baby, Since I Fell for You* – będzie wiedziała, że każdy z tych tęsknych standardów mówi o niej.

Frenesi wjechała w jego życie niczym banda straceńców na motorach. Czuł się przy niej jak uczeń szkółki niedzielnej. Za dnia pracował dorywczo na budowach, a wieczorami grał z Corvairsami, choć rzadko na plaży, przeważnie w głębi lądu, gdzie na spieczonych słońcem polach uprawnych istniało prawdziwe zapotrzebowanie na ich muzykę, a to za sprawą żłopiących za kierownicą piwo wieśniaków z dolin, czujących osobliwe pobratymstwo z surferami i ich przebojami. Oprócz wspólnego zainteresowania dla piwa, przedstawiciele obu subkultur, i tych śmigających na deskach, i tych siedzących za kółkiem chevroletów 409, łączyły udreki i ekstazy pasywnego, niesionego nieznaną siłą jeźdźca, jakby silnik samochodu krył w sobie potęgę porównywalną z potęgą oceanu, należąca do nieznanych Innych – jak morska fala do bogów morza – technofalę, kupowaną przez jeźdźców jak leci na dyktowanych

przez Innych warunkach. Surferzy dosiadali Boskiego Oceanu, a piwni jeźdźcy – Pędu wzbudzanego przez lata wolą przemysłu motoryzacyjnego. Śmierć tym drugim zaglądała w oczy częściej niż surferom, co wyrobiło w nich niechcący postawy, które nie raz i nie dwa napędzały strachu członkom Corvairs w kiblu czy na parkingu, zmuszały policję do interwencji i prowadziły do nagłych rozstań o północy.

Zespół grał w dolinach całkiem w tamtych czasach nieznanymi, jeśli pominąć paru wizjonerskich deweloperów. Występowali w małych zajazdach przy skrzyżowaniach dróg, gdzie pewnego dnia wyrosną domy, a liczba ludzkich szaleństw we wszystkich dziedzinach życia wzrośnie geometrycznie. Członkowie Corvairs, nie mogąc często zasnąć po pobudzającej pracy, włączyli się nocami po dworze lub urządzali sobie motoryzacyjną ruletkę we mgle unoszącej się nad dolinami. Ten mlecznobiały byt – ślepy, kryjący w sobie nagłą śmierć na drodze – zasnuwał, jakby rozumnie, choć w nieprzewidziany sposób, całą okolicę. W tamtych czasach nie było zdjęć satelitarnych, więc ludzie patrzyli na wszystko z ziemi. A ziemia była zamglona i tylko na drodze, nagle, jak upiór w filmie, pojawiała się coś niesamowitego. W zabawie chodziło o to, żeby wjechać w mlecznobiałą ścianę z szybkością znacznie powyżej dopuszczalnej, licząc na to, że w białym tunelu nie ma innych pojazdów, ostrych zakrętów ani robót drogowych, tylko gładka, równa, pusta, nieskończenie długa droga – co było motoryzacyjną odmianą marzenia surferów.

Zoyd dorastał w San Joaquin, ścigał się najpierw z Bud Warriors, a później z Ambassadors i brał udział w wielu straceńczych wyścigach „urazonej (jak powiedziałyby Dick Dale) dumy” przez cytrusowe zagajniki na przedmieściach i dalej przez pola papryki; stracił w nich stosunkowo wysoki procent kolegów z klasy, po których zostawały czarne prostokąty w kronikach szkolnych, a którzy wcześniej zasiadali za kółkiem po pijanemu, nie biorąc pod uwagę zawodności maszyn. Wrócił do tej słonecznej – czy, jak był gotów przysiąc, nawiedzanej – okolicy w dniu ślubu, który odbył się w południe na mieniącym

się złocistozielonymi barwami kalifornijskim stoku, nakrapianym tu i ówdzie ciemniejszymi dębami, z widoczną w pewnej odległości autostradą, z biegającymi i bawiącymi się wokół dziećmi i psami, z wieloma gośćmi, pod błękitnym niebem przesłanianym wielokolorowymi kształtami, z których części nie da się zwyczajnie opisać.

„Frenesi Margaret i Zoydzie Herbercie, czy chcecie przysiąc sobie, że pozostaniecie zawsze, w zdrowiu i chorobie, a także w odlocie, na najcudniejszym haju nazywanym Miłością?” i tak dalej – wszystko to mogło trwać godzinami lub skończyć się w pół minuty, bo zgromadzeni nie mieli zbyt wielu zegarków, ale nikomu się nie spieszyło, bo ceremonia odbywała się w Rozmarzonych Latach Sześćdziesiątych, kiedy czas płynął wolniej, przedcyfrowo, i nie był pocięty na kawałki nawet przez telewizję. Dzień ten przypominał ujęcie z nieostrej fotografii – takiej, jakie po latach pojawiły się na „romantycznych” pocztówkach. Cała przyroda i każda żywa istota obecna tamtego dnia na stoku pogrążyły się – co brzmiało nieco dziwnie, kiedy Zoyd opowiadał o tym później – w łagodności i ciszy, a cały widzialny świat stał się rozświetloną słońcem owczą fermą. Wojna w Wietnamie, morderstwo jako instrument prowadzenia polityki w Ameryce, czarne dzielnice zamieniające się w pogorzeliska, śmierć, wszystko to działo się na jakiejś innej planecie.

Do tańca grali Corvairsi, których styl nazywał się w tamtych czasach surfodelią, ale najbliższa plaża znajdowała się w Santa Cruz, sześćdziesiąt kilometrów po wiejskich drogach przez mordercze górskie przełęcze, musieli więc zadowolić się towarzystwem tradycyjnie nieokrzesanych piwnych jeźdźców z okolicy, a choć Zoyd po latach zmuszał się do wspomnienia wszystkiego w najczarniejszych barwach, nie potrafił sobie przypomnieć, żeby doszło do jakiejś bójki, pyskówki czy demolki, bo prawda była taka, że wszyscy jak zaczarowani bratali się ze wszystkimi, co sprawiło, że wesele to należało do najlepszych w jego życiu: ludziom podobała się muzyka i świętowali przez całą noc, a potem następną, przez cały długi

weekend. Przyjechali też udający bandytów motocykliści z dziewczkami, wszyscy w pełnym umundurowaniu, potem wtoczył się wóz drabiniasty wypełniony po brzegi wracającymi do natury kwasoholikami z doliny, zażywającymi staromodnej przejażdżki, a na końcu pojawił się szeryf, który zatańczył strolla – taniec z czasów młodości – z trzema ślicznotkami w minispódniczkach do rozwrzeszczanej elektrycznej aranżacji *Pipeline*, i był na tyle miły, że nie zbliżył się, nie mówiąc już o kosztowaniu, do wazy z ponczem i zadowolił się, gdyż dzień był upalny, puszką zimnego burgie.

Frenesi przez cały czas uśmiechała się błogo. Zoyd nigdy nie zapomni jej – cieszących się już złą sławą – błękitnych oczu pod dużym słomkowym kapeluszem. Podbiegły do nich małe dzieci, przywołujące ją po imieniu. Siedziała z Zoydem na ławce pod figowcem, zespół miał przerwę, lizała tęczowego owocowego lodu w różku, kolory cudownie się nie zlewały, pochylała się, by nie poplamieć ślubnej sukni, w której kiedyś wychodziła za męża jej matka i babka. Rudy kocur, który pojawiał się i znikał, stanął tuż pod kapiącym różkiem, spadła na niego lodowa kropelka limonki czy też pomarańczy albo winogrona, więc miauknął zdziwiony, wytarzał się w piasku, łypnął ślepiami i uciekł, ale po chwili wrócił, by powtórzyć wszystko od początku.

– Widziałeś moją kuzynkę Renée? Myślisz, że dobrze się bawi?

Renée właśnie zerwała z chłopakiem, ale nie poddając się przygnębieniu, przyleciała aż z LA, gdyż doszła do wniosku, że weselne przyjęcie dobrze jej zrobi. Zoyd zapamiętał ją najlepiej spośród wszystkich ciotek, wujów, kuzynów i kuzynek żony, bo była wysoką bujną dziewczyną w sukience mini z nadrukiem – od dekoltu do rąbka spódnicy – oblicza Franka Zappy, co połączyło ją w jakiś sposób w głowie Zoyda z górą Rushmore.

Uśmiechnął się, mrużąc oczy, jak uczeń, który wciąż nie może uwierzyć w swoje szczęście. Zerwał się lekki wietrzyk i poruszył listkami figowca.

– Frenesi, myślisz, że miłość nas ocali? Myślisz tak, prawda?
– Nie wiedział jeszcze, że to idiotyczne pytanie. Zerknęła na

niego spod kapelusza. Pomyślał: Zapamiętaj przynajmniej to! Schowaj gdzieś głęboko jej twarz w tym świetle, jej łagodne spojrzenie, usta, które zaraz się otworzą...

Wściekły czy nie, nie płakał z tego powodu przez długi czas. Lata przetaczały się jak fale, których kiedyś doświadczył – wysokie, spokojne, dzikie, bezwietrzne. Codziennosc, konieczna codzienność stawiająca mu coraz wyższe wymagania, uchwyciła go w szpony, a z tego, co było przedtem, zostało mu tylko gorzkie rozbawienie, którego się trzymał i za nic w świecie nie chciał puścić. Od czasu do czasu, kiedy księżyc, przypływy i planetarny magnetyzm harmonizowały ze sobą, zapuszczał się niezwykłymi środkami transportu – przez trzecie oko na czole – tam gdzie była ona, i szybował całkiem niewidzialny, odczuwany jedynie jako lekki niepokój, nawiedzając ją tak długo, jak tylko zdołał, ciesząc się każdą wyciśniętą w ten sposób minutą. Był to karygodny występ, to prawda, w dodatku taki, do którego przyznawał się bardzo niewielu ludziom, w tym – prawdopodobnie niemądrze – własnej córce, Prairie, nie dalej jak tego ranka.

– Och, śniło ci się – spytała przy śniadaniu, składającym się z crunch dietetycznej pepsi.

Zoyd pokręcił głową.

– Nie spałem. Przebywałem poza ciałem.

Spojrzała na niego w sposób, którego – o tak wczesnej porze – wolał nie interpretować jako wyrzutu, że stroi sobie z niej okrutne żarty. Od dawna było wiadomo, że nie śmieszają ich podobne rzeczy, a szczególnie żarty na temat mamy.

– Pofrunąłeś do niej i co? Przysiadłeś gdzieś na gałęzi i przyglądałeś się, czy fruwał w kółko? Jak to działa?

– Jak lot pana Sulu według współrzędnych, choć trochę inaczej – wytłumaczył Zoyd.

– Wiesz dokładnie, dokąd lecisz?

Kiwnął głową, a ona poczuła jakiś dziwny przypływ czułości dla tego wynędzniałego, zazwyczaj ociężałego umysłowo przedstawiciela wymierającego gatunku, którego na tej planecie wyznaczono jej na ojca. Teraz liczyło się tylko to, że

potrafił nawiedzać nocą Frenesi, co oznaczało, że potrzebował jej prawie tak bardzo jak Prairie.

– I dokąd w końcu trafiasz? Gdzie ona jest?

– Usiłuję się tego dowiedzieć. Usiłuję odczytywać znaki, odnajdywać punkty orientacyjne, jakiekolwiek wskazówki, ale... znaki stoją na rogach ulic, odbijają się w sklepowych witrynach i nic mi nie mówią.

– W jakimś obcym języku?

– Nie, po angielsku, ale między napisami na nich a moim mózgiem otwiera się jakaś przepaść, której nie mogę pokonać.

Prairie wydała z siebie dźwięk brzęczyka z teleturnieju.

– Czas dobiegł końca, panie Wheeler... – Załamana i podejrzliwa, znów się oddalała. – Pozdrów ode mnie wszystkich nad Phantom Creek, okay?

Skręcił w lewo przy rzędzie skrzynek na listy, przejechał z klekotem przez elektrycznego pastucha, zaparkował przy stajni i wszedł do środka. RC odrabiał pańszczyznę w Blue Lake, ale Moonpie była w domu i zajmowała się Lotosem, niemowlęciem. Raki pływały w starej wiktoriańskiej wannie, która służyła również za koryto. Zoyd i Moonpie wyłowili je podbierakiem i zważyli na wadze do ziarna, paszy i nawozów, a Zoyd wypisał jej antydatowany czek, na którego pokrycie będzie musiał dopiero zarobić w dalekiej przyszłości.

– Ktoś w Nugget... – z dzieckiem w ramionach spojrzała mu zmartwiona w oczy – ...pytał o ciebie niedawno. RC chyba skądś go zna, ale nic więcej nie chciał mi powiedzieć.

– Latynos? Obcięty prawie na Elvisa?

– Aha. Coś nie tak, Zoyd?

– Moon, najdroższa, czy kiedykolwiek wszystko było jak należy? Mówił, gdzie się zatrzymał czy coś w tym rodzaju?

– Głównie gapił się w Pudło przy barze. Oglądał jakiś film na Kanale osiemdziesiąt sześć. Trochę gadał do telewizora, ale chyba nie był naćpany.

– Nieszczęśliwy gość chyba, i tyle.

– Uau! I kto to mówi...

Widząc dziwny uśmiech Zoyda, dziecko powtórzyło: „I to to mófi!”.

Przenieśli raki do wanien z wodą w kempingowej nadbudówce pick-upa i wkrótce Zoyd zawracał z chlupotem ku drodze. Widział Moonpie i Lotos w lusterku, odprowadzały go wzrokiem do zakrętu, póki nie rozdzieliły ich drzewa.

Więc znowu ten jebany Hector. Zoyd minął się z nim o włos, bo nie zajrzał do Lost Nugget, dokąd zwykle chadzał, i zdecydował się zamiast tego na ciche miejsce na tyłach Steam Donkey tuż obok starego centrum handlowego w Vinelandzie, na bar spowity mgłami poprzedniego stulecia. Po pewnym czasie dołączył do niego Van Meter i siedzieli razem, popijając wolno lucky lager i wspominając stare dobre czasy.

– Wykształcona cipa. – Zoyd westchnął. – Nie wiem dlaczego, ale z jakiejś przyczyny stałem się dla niej łatwym łupem. Reżyserka! Studiowała w Berkeley! A ja kładłem rynnny! Chiba nieźle ją trafiło, jak się przekonała, że jest w ciąży.

Wszystko to działo się przed wielu laty, kiedy poczęli Prairie, która od pewnego czasu była tematem rozmowy.

Frenesi udzielano darmowych porad przedmażeńskich w obie strony. Niektórzy mówili jej, że to koniec świata, koniec artystki i rewolucjonistki, namawiali ją do usunięcia ciąży, co w tamtych czasach nie było takie łatwe, chyba że skoczyło się za południową granicę. Jeśli nie chciało się skakać na południe, trzeba było być bogatym i przejść komisyjny egzamin organizowany przez ginekologów i psychiatrów. Z kolei inni podpowiadali jej, że ma cudowną okazję na wychowanie dziecka w politycznie poprawny sposób, choć definicje wychowania w politycznej poprawności obejmowały tak różnicowane pomysły, jak czytanie dziecku Trockiego przed snem czy dodawanie LSD do pokarmu.

– Ale najbardziej boli mnie to – ciągnął Zoyd – że brałem ją za całkiem niewinne stworzenie. Jebany głupek. Chciałem ją wyedukować, a jednocześnie chronić przed wiedzą o wszystkich podłościach tego świata. Pogięło mnie.

– Winisz siebie za to, w co się wpakowała?

– Za to, że byłem ślepy. Że myślałem, że się nam upiecze, że pokonamy ich wszystkich.

– Fakt, spierdoliłeś sprawę. – Van Meter zarżał ze śmiechu. Ich długotrwała przyjaźń opierała się po części na udawaniu, że szydzą ze swoich nieszczęść. Zoyd kiwał potakująco głową, „Fakt, fakt...” – Tak się przejąłeś Hectorem, że nie zauważyłeś, jak inny agent bzyka ci żonę, póki nie było za późno. Co za odlot, człowieku!

– Dzięki za wsparcie, przyjacielu. Ale faktycznie wolałem wtedy schodzić Hectorowi z drogi i nie wsadzać palca między drzwi. – Dopiero teraz pojął, że kiedy uciekł z Prairie, Hector, jak wszystkie cierpiące telezajoby, doszedł do wniosku, że to koniec seansu, że się usrało, że czas na reklamy i zapowiedzi kolejnych odcinków... Frenesi przepadła, ale zawsze będzie kochał córkę, a miłość do niej płonie niczym wieczna lampa bliskim, spokojnym, ciepłym światłem przez całe życie... Hector w tej swojej wystudiowanej dosłowności i niepasującym do niej konformizmie był całkiem porąbany, ale już nigdy nie naruszy równowagi środowiska Zoyda. Skończonego kretyna Zoyda. Namieszał mu w głowie dawno minionymi, mitycznymi już dramatami, przez co Zoyd prawie zapomniał, że mają z Prairie całe życie przed sobą.

Przez resztę dnia wszyscy przyglądali mu się w bardzo dziwny sposób. Kiedy Zoyd wszedł do Redwood Bayou, fagas nakrywający do lunchu natychmiast zniknął na tyłach – tam gdzie był telefon. Kelnerki w Le Bûcheron Affamé zbiły się w rogu w gromadkę i poszeptywały coś sobie na ucho, rzucając mu przez ramię znaczące spojrzenia, w których nawet on był w stanie dostrzec litość. „Czołem, panienki! Jak tam dziś sałatka z kaczki na ciepło?” Ale nikt nie był w stanie powiedzieć mu niczego więcej poza tym, że wszędzie widziano wszędobylskiego Hectora. Znalazłszy się z powrotem na autostradzie, Zoyd rozglądał się przezornie we wszystkie strony, bo nigdy nie wiadomo, skąd może nagle wychynąć oszalały od Pudła uciekinier z Teledetoksu. Na następnym przystanku, w Humbolaya, gdzie aż skręcało go od aromatów specjału dnia,

tofu *à la étouffée*, poprosił o udostępnienie służbowego telefonu, z którego zadzwonił do doktora Deeply'ego na bezpośrednią służbową linię w skrzydle Vineland Palace.

– NIEWCZAS – powitał go bojowy kobiecy głos po drugiej stronie.

– He? Jeszcze o nic nie pytałem. Dzwonię w sprawie Hectora Zuñigi...

– Proszę poczekać. – Głos opadł o oktawę. Po krótkiej przerwie, podczas której w słuchawce nadawano wiązkę tematów muzycznych ze znanych programów telewizyjnych, odezwał się doktor Deeply głosem ociekającym miodem.

– Nie chcę pana niepokoić, doktorze, ale mam wrażenie, że mnie śledzi – powiedział Zoyd.

– Czy to... wrażenie nasila się od jakiegoś czasu, Zoyd? – W tle słychać było, jak Little Charlie and the Nightcats śpiewają *TV Crazy*, prawdopodobnie z płyty.

– Taa... w przypadku Hectora od jakichś piętnastu czy dwudziestu lat. To jak wyrok!

– Posłuchaj, mogę powiadomić moich ludzi, ale nie jesteśmy w stanie chronić cię na okrągło ani nic z tych rzeczy. – Właśnie wtedy w drzwiach pojawiła się głowa szefa kuchni 'Ti Bruce'a, który ryknął:

– Ciągłe gadasz? – Najwyraźniej zależało mu na jak najszybszym pozbyciu się Zoyda, choć zawsze spędzali razem sporo czasu przy pączkach i kawie z cykorią.

Skończywszy z rakami, Zoyd pojechał na mierzeję Old Thumb, gdzie w warsztacie, w którym podrasowywano auta Rick & Chick's Born Again, stojącym wśród stert drewna i parkingów dla okręgowych flotyli samochodów, wyznaczył sobie następny przystanek. Właściciele warsztatu, bliźniacy z okręgu Humboldt, odnaleźli – mnie więcej w tym samym czasie – Jezusa i kapitał zakładowy, a działo się to podczas kryzysu paliwowego z lat siedemdziesiątych, kiedy GM, chcąc uzyskać zwolnienie z podatku za wprowadzenie na rynek pierwszego amerykańskiego pasażerskiego diesla, z pewnym pośpiechem przerobił na ropę prawie sześciolitrowy silnik V-8

z cadillaca. W okresie coraz większego rozczarowania nabywców spece od silników, w tym Rick i Chick, przekonali się, że mogą zarobić od ręki po dwa i pół tysiąca za każdą przeróbkę źle zaprojektowanych silników na ropę z powrotem na benzynowe. Wkrótce poszerzyli działalność o przerabianie karoserii, dołożyli do tego lakiernię i zajęli się podrasowywaniem aut, zyskując wielką sławę wzdłuż całego wybrzeża, a nawet za Sierrą, jako automobilowi dawcy drugiej szansy.

Kiedy Zoyd wjeżdżał do warsztatu, obok bliźniaków stał podejrzany z prawnego punktu widzenia duet holowniczy, składający się z Eusebia „Zioma” Gomeza i Clevelanda „Cholery” Bonnifoya, a wszyscy czterej godni szacunku dżentelmeni podziwiali rzadki, niemal legendarny (niektórzy twierdzili, że nawet mityczny), model edsela escondido – przypominający napakowanego forda ranchero z masą chromowanych akcentów, w tym z dobrze znaną kontrowersyjną chłodnicą, mocno obecnie nadwerężoną przez lata słonych mgieł – spuszczonej niedawno wyciągarką na ziemię z okrętu flagowego pojazdów holowniczych V & B Tow’s F350, *El Mil Amores*. Zoyd zastanawiał się, jakie scenariusze piszą się właśnie w głowach współników. Zawsze, kiedy się tu zjawiali, grali w jakiegoś kuriozalnego debła z bliźniakami, a podstawową zasadą w tej grze było milczenie na temat wątpliwego – często nawet bardzo – pochodzenia pojazdu, którego „przeróbka” nie mogła z prawnego punktu widzenia oznaczać nic poza tym, co oznaczała.

Dziś Ziom, natchniony falą doniesień o grasującej ponoć w okolicy Wielkiej Stopie, niemal przekonał sceptycznie nastawionych sobowtórów, że escondido stał porzucony na polanie, a jego właściciel dał nogę przed Wielką Stopą, na którego terytorium znalazł się pojazd, przez co z prawnego punktu widzenia należy się on znalazcy, a są nim obaj chłopcy, którzy przypadkiem zawitali w niebezpieczne rejony lasu, gdzie przeżyli umiejętnie stopniowane przygody obfitujące w ucieczki o włos i szaleńcze jazdy z napędem na cztery koła,

w których towarzyszyli im z otwartymi ustami przy każdym zwrocie akcji Rick i Chick, póki Cholera, zazwyczaj lepiej zorientowany w całej procedurze, nie rzucił:

– Więc Wielka Stopa jest jakby *force majeure* i mamy pełne prawo do znaleziska. – Oszołomieni bliźniacy pokiwali głowami w nieco zróżnicowanym tempie, rozpoczynając tym samym kolejną epopeję wiekopomnej samochodowej przeróbki, o której będzie się mówiło w całej branży i nie tylko.

Zoyd, mocno już podenerwowany reakcjami ludzi na swoją osobę, nie poczuł się pewniej, gdy zorientował się, że na jego widok zgromadzenie chce się rozejść, kiwając nerwowo głowami i wymachując nerwowo rękoma. Wszyscy czterej spoglądali wymownie po sobie i w końcu padło na Cholere, żeby pogadać z Zoydem.

– Chodzi o Hectora, zgadza się?

– Słyszeliśmy, że wrócił – odpowiedział Cholera – ale to nie on, cholera, tylko... eee... ktoś inny. Ja i mój wspólnik zastanawialiśmy się właśnie, czy wrócisz na noc do bazy?

Zaburczało mu boleśnie w brzuchu. Zoyd wiedział, że dawno temu w Sajgonie Cholera nie raz i nie dwa słyszał takie ostrzeżenia od tych z Wietkongu, w których interesie leżało zachowanie go przy życiu i w biznesie.

– Kurwa mać! Jeśli to nie Hector, to kto?

Podszedł do nich Ziom z miną tak poważną jak u Cholery.

– To federalni, ziom, ale to nie Hector, bo on wciąż ucieka przed pościgiem z Teledetoksu.

Zoyd poczuł się nagle jak śmieć.

– Lepiej zadzwonię do córki. – Rick i Chick niczym w lustrzanym odbiciu wskazali mu telefon. – Ten Jikov trzydzieści dwa, ten gaźnik od skody, którego szukałeś, leży na przednim siedzeniu. Zobacz, czy ci się spodoba.

Prairie pracowała w Bodhi Dharma Pizza Temple, gdzie nieco na wyrost oferowano najzdrowszy, nawet jeśli najwolniej serwowany fast food w okolicy, w tym klasyczną kalifornijską konceptualizację pizzy w jej najbardziej pomyślonej postaci. Zoyd był zarówno maniakiem pizzy, jak i znanym powszechnie

sępem, ale nigdy w życiu nie naciągnął Prairie choćby na jeden nepotyczny kawałek wypieków Bodhi Dharmy. Tamtejszy sos do pizzy trzeszczał w zębach od garści tylko marginalnie włoskich ziół, które nadawały się raczej do syropu na kaszel, a ser bez podpuszczki przypominał klientom albo sklepowy sos holenderski, albo masę do spoinowania płyt gipsowych; wszystkie dodatki były rygorystycznie organiczne, a duża ilość zawartej w nich wody przesączała się do ciasta, nim zdążyło się upiec, przez co twardy jak kamień, dwunastoziarnisty spód miał lekkość i strawność bunkra przeciwlotniczego.

Zoyd złapał Prairie podczas przerwy na medytację.

– Wszystko gra?

– Coś nie tak?

– Wyświadczyć mi przysługę i czekaj, póki nie przyjadę, okay?

– Ale przyjeżdża po mnie Isaiah z zespołem, jedziemy na kemping, pamiętasz? Rany, palisz tyle tego gówna, że masz w głowie magiczny ściernalny telewizorek do rysowania zamiast mózgu.

– Oo, nie denerwuj się, ale mamy do czynienia z sytuacją, w której pyskowanie, nawet tak mistrzowskie jak twoje, nie zda się na wiele. Choć raz zechciej współpracować z ojcem, proszę.

– Jesteś pewien, że to nie paranoja od przypalania?

– Jestem. Przy okazji, poproś tych młodych dżentelmenów, jak przyjadą, żeby byli w pobliżu.

– Oni tylko groźnie wyglądają, tato, nie potrafią się bić, jeśli o to ci chodzi.

Czując się zaszczuty z każdej strony, Zoyd pognał na pełnym gazie – ignorując znaki „stop” i czerwone światła – do Vinelandu i zdążył stanąć przed bankiem, kiedy zamykano drzwi. Regulujący wejścia i wyjścia funkcjonariusz w garniturze, niewpuszczający spóźnialskich, na widok Zoyda zaczął nerwowo otwierać przed nim drzwi, a jego współpracownicy w okienkach automatycznie sięgnęli po telefony. Nie, to nie była paranoja od przypalania, a Zoyd nie miał zamiaru wejść do banku. Przy drzwiach stanął strażnik i odpiął kaburę. Okay. Zoyd dał dyla, machając im na

pożegnanie jak świnka Porcky. Na szczęście zaparkował furę Trenta za rogiem.

Prairie kończy pracę za parę godzin. Zoyd potrzebował gotówki i paru rad na temat szybkiej zmiany wyglądu, a obie te rzeczy mógł zapewnić mu tylko Millard Hobbs, przedsiębiorca działający w branży kształtowania terenów zielonych, który wynajmował go czasem do trawników i drzew. Millard był kiedyś aktorem i zaczął jako medialna twarz firmy, a skończył jako właściciel dosyć niegdyś skromnego przedsiębiorstwa pielęgnacji trawy, którego założyciel, miłośnik książek zakazanych, nazwał je „Marquis de Sod”. Początkowo Millard występował tylko w produkowanych na miejscu i nadawanych w późnych godzinach nocnych spotach reklamowych, w których – w pludrach, pończoszkach do kolan, trzewikach z klamerkami i srebrnej peruce (pożyczonej od żony Blodwen) – trzymał w ręku gigantyczny nahaj. „Tha-wa nie ho-śnie?”, pytał z francuskim akcentem. „Ha, ha! Se ne pa posibl! Dzfoń Marquis de Sod! Wi-ba-to-zi tha-wa jak szeń pha-tsz!” Wkrótce interes rozkwitł, a zakres usług poszerzył się o baseny i drzewa. Przynosił takie zyski, że Millard zaczął się zastanawiać, czy nie przejść na procent, zamiast brać płatne z góry honoraria. Ludzie ze świata spoza Pudła brali go za właściciela firmy, gdyż ten prawdziwy przebywał najczęściej gdzieś na wakacjach, a Millard, jako aktor, uwierzył publiczności. Krok po kroku kupował udziały i zaczął poznawać branżę, rozbudowując przy okazji scenariusze reklam i same spoty, które z trzydziestosekundowych filmików nadawanych na wampirycznej zmianie stały się pięciominutowymi mikroarcydziełami dziesiątej muzy, odtwarzanymi w czasie największej oglądalności, z muzyką i efektami specjalnymi wykonywanymi przez rzemieślników z odległego, leżącego na północ od San Francisco okręgu Marin. W obrazach tych markiz – występujący teraz w autentycznych osiemnastowiecznych kostiumach – prowadził dialogi z jakimiś źle wychowanymi trawnikami, które następnie batożył. W zbliżeniach każde źdźbło trawy miało maleńką buzię i usteczka, z których

wydobywały się zwielokrotnione tysiąckrotnym echem echopleksu jęki: „Jeszcze, jeszcze! Mocniej, mocniej! Nie szcędź bata!”. Na co markiz pochylał się rozbawiony i mówił: „Pli foh! Nie sli-szę!”. A trawa odpowiadała mu, wyśpiewując firmowego dżingla: postdyskotekową aranżację *Marsylianki*...

*A lonże thaf się w góhę wiiią
Sod Marquis nami rzondziiii dziś!*

Millard był znany z hojnego szafowania zleceniami i płacenia gotówką, najczęściej nieksięgowaną. Dziś połowę parkingu dla maszyn zajmował furgon skądśtam z pustyni Mojave. Na furgonie leżał wielki skalny głaz: osmalony, podziurkowany, zasmużony metaliczną glazurą.

– Bogaty klient – wyjaśnił markiz. – Chce, żeby wyglądało, że meteoryt nie trafił w dom.

Zoyd spojrział posępnie na skałę.

– Ci ludzie sami proszą się o nieszczęście. Igrają z losem.

Weszli do biura. Blodwen, z ołówkami i długopisami zatkniętymi we fryzurę, zerknęła znad komputera, po czym wbiła wzrok w Zoyda.

– Właśnie dzwoniła Elvissa. Wszędzie cię szuka! Zarekwirowali ci furę!

O kurwa. Jeszcze tego brakowało! Elvissa pojechała do Safewaya w Vinelandzie, a kiedy wyszła z powrotem na parking, zastała tam tylu przedstawicieli prawa, ilu widywała tylko w dawnych czasach marszów protestacyjnych. Wszyscy otaczali pick-upa, którego pożyczyła rano od Zoyda. Czaili się w taki sposób, jakby twój wóz miał wyciągnąć na nich broń. Elvissa usiłowała się dowiedzieć, o co chodzi, ale nie miała szczęścia.

– Słuchaj, Millard, człowieku, potrzebne mi będzie przebranie, i to szybko... i twoja profesjonalna rada, jeśli możesz mi poświęcić chwilę.

– Co zrobiłeś, Zoyd? – chciała wiedzieć Blodwen.

– A co się stało z domniemanem niewinności?

– Chcę tylko wiedzieć, czy pójdą śladem forsy.

W tych stronach było to całkiem logiczne pytanie, bo konta wszystkich zleceniobiorców miały więcej końcówek niż odkurzacze. „Więcej krzywych ryjów niż na Krzywej Wieży w Pizie”, zauważył kiedyś Zoyd, na co Blodwen odpowiedziała: „Więcej pijawek niż w kalifornijskiej gliniance: żony, były żony, ubezpieczenia, banki, Lost Nugget, krawcy z odległych stanów – to wszystko efekt nieuporządkowanego trybu życia”. „Chyba twojego”, odpowiedział Zoyd. „I dlatego wy, dzwońce, dostajecie forszę na lewo”, rzuciła, robiąc przy tym minę, którą Zoyd widywał na twarzach nauczycielek w szkole podstawowej.

Nie była złą kobietą, choć, jak się domyślał, byłaby szczęśliwsza, gdyby mieszkała z mężem w Hollywood. Millard i Blodwen poznali się w trupie teatralnej w San Francisco, w której ona grywała pierwsze niewinne, a on przemyślał nad wystawianiem Brechta. Pewnej nocy w Haight ktoś przyniósł kwas, więc rozpędziwszy się z przechyłem w latach sześćdziesiątych, ocknęli się z anarcho-psychodelicznego snu trzydzieści kilometrów dalej na błotnistym torze przeszkód, nazywanym drogą przez tych, którzy nigdy jej nie widzieli, w leśnym szałasie wśród cedrowych lasów Vinelandu, nad strumieniem, w którym nocami szemrała woda, obracając złotonośne kamyki. Kiedy interes wystrzelił, wynajęli dom w mieście, ale nie pozbyli się chatki w górach, w której wrócili na ziemię.

– Trochę jestem teraz zajęty – powiedział Millard, wręczając Zoydowi kopertę z pewną sumą w zielonych banknotach. – Później będzie lepiej. Słuchaj, kochanie, jaki film nadają dziś o ósmej?

– Eee... no... *The Frank Gorshin Story* z Patem Sajakiem.

– Więc powiedzmy o wpół do jedenastej?

– Dobra, muszę zadzwonić do Trenta. W sprawie fury.

Trent, wrażliwy poeta-artysta z Miasta, przeniósł się na północ dla poratowania nerwów, które obecnie znów coś nadszarpnęło.

– Uzbrojone wozy bojowe! – usiłował krzyżeć, a zarazem wyrażać się najspokojniej. – Jakies typy w kamizelkach kuloodpornych depczą warzywne grządki! Ktoś powiedział, że zastrzelili psa Stokely’ego. Siedzę w domu z trzydziestką i nawet nie wiem, jak się ją ładuje, Zoyd, co się dzieejeeee?

– Zaczekaj... spokojnie, współniku... to mi wygląda na KAMP.
– Miał na myśli przedstawicieli niesławnej stanowo-federalnej Kampanii Antymarihuano-Prewencyjnej. – Ale na nich jeszcze nie sezon...

– Im chodzi o ciebie, skurwielu! – wybełkotał Trent. – Zrobili sobie u ciebie kwaterę główną! Wybebeszyli dom, wywalili wszystko na podwórko! Na pewno znaleźli już twój zapas...

– Wiedzą, czym jeżdżę?

– Nie ode mnie.

– Dzięki, Trent. Nie wiem, kiedy...

– Lepiej nic nie mów – ostrzegł go Trent, pociągając nosem. – Do kiedyś! – Odłożył słuchawkę.

Zoydowi przyszło do głowy, że najlepszym rozwiązaniem będzie znalezienie parkingu dla pojazdów rekreacyjnych i wtopienie się w tłum. Posługując się fałszywym nazwiskiem i modląc się, żeby nikt nie podsłuchiwał tej linii, zarezerwował miejsce na kempingu parę kilometrów za miastem, nad Seventh River. Potem ostrożnie podjechał szkaradzieństwem krytym cedrowym gontem pod Bodhi Dharma Pizza Temple, którą dziś dało się najpierw słyszeć, a dopiero potem widzieć, ponieważ wszyscy goście świątyni pizzy intonowali pieśń, a raczej coś, w czym, wyczulony na drgnienia nadciągającego kataklizmu, rozpoznał – choć nie po słowach, bo śpiewano po tybetańsku, ale po melodii z poruszającą wszystkie kości długą linią basu – potężne i tajemne zakłęcie przeciwko najeźdźcom i prześladowcom, słyszane zazwyczaj o nieco późniejszej porze roku, porze zbiorów, kiedy na niebie zbierały się helikoptery KAMP-u, a północna Kalifornia, wraz z innymi amerykańskimi obszarami uprawy marihuany, ponownie przyłączała się, mówiąc operacyjnie, do Trzeciego Świata.

Kiedy wjeżdżał na parking, pierwszą osobą, którą ujrzał przez szybę świątyni, był Hector, stojący sztywno na stole w otoczeniu wznoszących zakłęcie klientów i personelu. Zoyd nie zatrzymał się, odnalazł budkę telefoniczną i zadzwonił do doktora Deeply'ego w Vineland Palace.

– Nie wiem, na ile jest niebezpieczny ani jak długo zdołam go zatrzymać, więc się pośpieszcie, okay?

W Bodhi Dharma Pizza Hector bronił się wściekle z płonącymi oczyma i potarganą fryzurą.

– Zoyd! *¡Órale, carnal!* Powiedz tym ludziom, jak bardzo niepotrzebne mi to całe gówno!

– Gdzie jest moja córka, Hector?

W toalecie dla pracowników, gdzie jak się okazało, Prairie zamknęła się od środka. Zoyd stanął pod drzwiami i wymieniał z nią głośno uwagi, nie spuszczając Hectora z oczu. Śpiewy trwały dalej.

– On mówi, że wie, gdzie jest mama... – rzuciła drżącym głosem.

– Nic nie wie! Sam mnie o nią niedawno pytał. Chce cię wykorzystać.

– Ale mówił, że sama mu powiedziała... że bardzo chce się ze mną zobaczyć.

– Kłamie, Prairie. On jest z DEA, a kłamstwo to jego praca.

– Błagam! – zawołał Hector. – Zrób coś z tym kółkiem różańcowym, bo czuję się wśród nich... nie wiem... dziwnie?

– Chciałeś porwać mi dziecko, Hector?

– Sama chciała ze mną jechać, ty palancie!

– Czy to prawda, Prairie?

Otworzyły się drzwi toalety. Po policzkach dziewczyny spływały wielkie tłuste łzy, przemieszane z fioletowym tuszem do rzęs.

– Tato, o co w tym wszystkim chodzi?

– On oszalał. Uciekł z detoksu.

– Lepiej dobrze ją chroń, Wheeler! – Agent federalny zrobił się nieprzyjemny. – Lepiej skombinuj trochę kasy, inaczej za

chwilę będziesz żałował, że nie została ze mną, *ése*, bo nie jestem dziś jedynym obcym w mieście.

– Masz na myśli tę armię w moim domu? Powiedz mi, Hector, kim oni są?

– Każdy głupek to wie! To siły uderzeniowe Departamentu Sprawiedliwości, mają wsparcie wojska, a dowodzi nimi twój stary kumpel, Brock Vond we własnej osobie. Pamiętasz go? Pamiętasz gościa, który odebrał ci starą, ha, *cabrón*?

– Kurwa.

Zoyd zakładał do tej pory, że ma do czynienia z ludźmi Hectora, z DEA oraz miejscową brygadą antynarkotykową. Ale Brock Vond był prokuratorem federalnym z Waszyngtonu, waśniakiem i sprawcą – o czym nie omieszkał przypomnieć mu Hector – wielu lat bezsennych i prędzej czy później kończących się płaczem nocy, spędzanych przez Zoyda w takich miejscach jak Lost Nugget. Dlaczego po tylu latach Człowiek natarł na Zoyda z taką siłą? Chyba że... to wszystko ma coś wspólnego z Frenesi i tamtą starą smutną historią?

– I lepiej zapomnij o powrocie do domu, baranie, ponieważ już nie masz domu, już odwalają papierkową robotę, konfiskują ci dom z mocy RICO², bo zgadnij, co w nim znaleźli, Zoyd? Marihuanę! W twoim domu! Tak! Były tego gówna ze dwie uncje, ale zrobimy z nich tony!

– Tato, o czym on mówi?

– Są w naszym domu, żołnierzu. To prawda.

– A mój pamiętnik? Mój lakier do włosów? Moje ciuchy? A Desmond?

– Odzyskamy wszystko, zobaczysz...

Podeszła do niego, a on przytulił ją jedną ręką. Wierzył w to, co mówił, bo jeszcze nie wierzył całkiem w to, co się działo. Trent mógł przecież koloryzować, prawda? A Hector mógł mieć telewizyjne delirium po serialach policyjnych.

– Chcę wiedzieć... – zwrócił się do obleganego na stole agenta federalnego – ...dlaczego Brock Vond i wojsko robią mi to wszystko.

Śpiewy umilkły nagle, niczym recytatyw przed arią Hectora, a wszystkie oczy wbiły się w agenta. Stał pod witrażem w oknie przedstawiającym ośmiokątną Mandalę Pizzy, która w pełnym słońcu jaśniała niczym szkarłatno-złociste satori, lecz teraz, w ciemności, mrugała tylko tu i ówdzie od światła przejeżdżających ulicą samochodów.

– Mam znajomości w Hollywood, Zoyd. Znam Erniego Triggermana. Tak! A Ernie czekał od lat na wielką falę nostalgii za latami sześćdziesiątymi, które, według jego danych, były najlepszym okresem w życiu większości ludzi, co może jest i smutne dla nich, ale nie dla przemysłu filmowego. Naszym marzeniem, Erniego i moim, jest odnalezienie legendarnej i aktywnej obserwatorki tamtych lat: Frenesi Gates, twojej byłej starej, Zoyd, i twojej mamusi, Prairie. Chcemy wydobyć ją z zapomnienia, w jakim żyła przez lata pod ziemią, chcemy nakręcić film o dawnych sporach politycznych, narkotykach, seksie i rock'n'rollu, obraz, którego wiekopomne przesłanie powie Ameryce, że największym zagrożeniem dla kraju, zarówno wtedy, jak i teraz, jest nielegalne używanie narkotyków!

Zoyd zmrużył oczy.

– Och, Hector...

– Pokażę ci wyliczenia – ekscytował się dalej Hector – nawet przy jednoprocentowym wskaźniku penetracji rynku będziemy dzięki temu filmowi żyć jak pączki w maśle do końca życia, człowieku!

– Jacy „my”? – zastanawiał się głośno Zoyd. – Chcesz mi powiedzieć, że ty i Ernie sprowadziliście na pokład kapitana Vonda?

Hector wbił wzrok w czubki własnych butów.

– Jeszcze tego nie sfinalizowaliśmy.

– W ogóle się z nim nie kontaktowaliście, prawda?

– No, nie wiem... ése... bo nikt nie odbiera telefonów.

– Nie wierzę ci. Skąd ta nagła potrzeba zaistnienia w świecie rozrywki? Przez całe życie byłeś terrorystą pracującym dla państwa, takiego cię znam! Chcesz mi wmówić, że kiedy

mówiłeś o „ostrych cięciach” i „amerykańskim planie Reagana”, miałeś na myśli ruchome obrazy? Myślałem, że interesuje cię tylko broń samopowtarzalna i jeszcze maszynowa. Patrzcie, ludzie, macie przed sobą samego Stevena Spielberga!

– Żeby tak ryzykować wspaniałą, trwającą niemal całe życie karierą w wymiarze sprawiedliwości! – zdziwił się świątobliwy kierownik nocnej zmiany, który przedstawiał się jako Baba Havabananda. – I po co? W służbie coraz to krótszego zakresu skupiania uwagi coraz bardziej zinfantylizowanej populacji! Żalotne widowisko...

– Gadasz jak Howard Cosell³.

– Chcesz mi wmówić, Hector, że Brock Vond skonfiskował mi dom zupełnie bez związku z twoimi planami filmowymi, czy tak?

– Chyba że... – odezwał się nieśmiało Hector, a Zoyd domyślił się, co chce powiedzieć. – Chyba że... on też jej szuka. Z jakichś... – dodał cichym dobrotliwym szeptem – ...powiedzmy, znanych tylko sobie powodów.

W tym momencie – wreszcie! – przez przednie i tylne drzwi Bodhi Dharma Pizza Temple wpadli w polowych mundurach NATO chłopcy i dziewczęta z sił prewencyjnych Teledeteksu, żeby zabrać spokojnie Hectora „tam, gdzie zdołamy mu pomóc”, jak się przymilnie wyrażali wśród tłumu, który znów zaintonował zakłęcie. Do Zoyda podszedł doktor Deeply, głaszcząc brodę i przybijając po drodze górną piątkę z Baba Havabanandą.

– Wielkie dzięki. Jeśli coś możemy dla ciebie zrobić...

– Wystarczy, że zniknie mi z oczu na jakiś czas.

– Nie mogę ci tego obiecać. Nie mamy pełnych zabezpieczeń. Zatrzymamy go na obserwacji, ale jeśli zechce, wróci na ulice przed upływem tygodnia.

– Mam kontrakt! – wrzeszczał Hector, kiedy ładowano go do teledetoksykacyjnej suki, która ruszyła z piskiem opon w tej samej chwili, w której na parking wjechał z piskiem opon Isaiah Dwa Cztery wraz z przyjaciółmi.

Chłopak stanął nad Zoydem i Prairie, marszcząc i odmarszczając czoło, i znów je marszcząc, gdy uzupełniali jego wiedzę. Pozostali Vomitonesi wydawali w tym czasie groźne pomruki. W końcu:

– Ten ślub w mieście... może Prairie pojechałaby z nami na jakiś czas? Zabralibyśmy ją z tej dusznej okolicy?

– Mamy do czynienia z siłami zbrojnymi, Isaiah. Jesteś na to gotów?

– Będę ją chronił – szepnął chłopak, rozglądając się, żeby sprawdzić, kto słucha.

Prairie była coraz bardziej skonsternowana.

– Co to ma znaczyć? Zachowujecie się jak typowi faceci, przerzucacie mnie sobie z rąk do rąk jak poleć wołowiny?

– Wolę wieprzowinę.

Isaiah, ku niemałej uldze Zoyda, choć zupełnie nieświadomie, chciał szturchnąć swawolnie Prairie palcem pod zebro i zarobił kuksańca. Powodzenia, młodzieńcze!

– Wiesz już, jak wygląda życie w drodze – powiedział Zoyd. – Nie sądzisz, że będziesz bezpieczniejsza w ruchu?

Padła mu w ramiona.

– Tatusiu, nasz dom... – Nie płakała, na chuj komu łzy...

– Zostań ze mną na noc. Isaiah przyjedzie po ciebie rano.

Hector mówił prawdę, przyznała później, była gotowa pojechać z nim i odnaleźć mamę.

– Kocham cię, tato. Ale ta miłość jest niekompletna.

Leżeli na pryczach w ekscentrycznym pojeździe kempingowym Trenta, słuchając rogów mgłowych na rzece.

– Zapudliło cię bardziej od Hectora, jeśli uważasz, że twoja mama i ja kiedykolwiek się zejdziemy.

– Tak mówisz. Ale czy na moim miejscu nie wierzyłbyś w to?

Nie lubił takich pytań. Nie był nią. Czuł się przy niej taki stary i zbrukany.

– Może chodzi ci tylko o to, żeby na jakiś czas dać nogę z domu?

– Oo!

Brzmi nieźle.

– Nie mogłaś wybrać sobie lepszej pory, bo wygląda na to, że nie mamy domu. Mamy tylko ten mały smurfowozik.

– Wiedziałaś, że tak będzie? Że kiedyś do tego dojdzie? Wiedziałaś, prawda?

Zoyd zgrzytnął zębami.

– No... ale była umowa.

– Kiedy?

– Byłaś jeszcze mała.

– Więc dlatego nie ożeniłaś się po raz drugi. Czy to też było w umowie? Że nigdy nie będę miała mamy?

– Opanuj się, żołnierzu! Z kim niby miałem się ożenić? Kim są te damy, które się ubiegały o moją rękę? Thapsia? Elvissa? Nieważne! Liczy się tylko to, żebyś miała mamę?

– Ale ty spotykasz się tylko z takim... wybacz... wybrakowanym towarem! Wybrakowanym w kategoriach potencjału rodzinnego. Z dziewczynami, które podrywają, jak się opychają do nieprzytomności w Arctic Circle Drive-In, albo z dziewczynami z tych klubów po godzinach, ubierającymi się całkiem na czarno, albo dla odmiany z takimi, które z chłopakami motocyklistami o imieniu Aarrggh wstrzykują sobie w żyłę syrop na kaszel. Prawdę mówiąc, wiele z nich widuję codziennie w szkole. Wiesz, co myślę? – Wytoczyła się z dolnej pryczy, by stanąć i spojrzeć mu prosto w oczy. – Że zawsze, z umową czy bez umowy, kochałaś moją mamę. Że kochasz ją tak bardzo, że jeśli nie możesz z nią być, nie będziesz już z żadną inną.

Nie, tego nie było w umowie. Uczciwość w jej spojrzeniu sprawiła, że poczuł się jak zagubiony oszust. Zdobył się tylko na:

– Uau... Myślisz, że jestem pomyłony, nie?

– Nie, nie – odpowiedziała szybko, opuszczając na chwilę głowę. – Czuję dokładnie to samo, tato... że mam tylko jedną mamę.

Pokręciła głową i znów podniosła wzrok i patrzyła na niego, jakżeby inaczej, błękitnymi oczyma Frenesi. Chwila była stosowna, żeby ją przytulić, ale jej wcześniejsze uwagi, zresztą

coraz częstsze, o roli lolitek w jego życiu emocjonalnym, ostrzegły go, żeby tego nie robił, nie tym razem, choć sam potrzebował czegoś na kształt przytulenia... Będzie musiał się zadowolić kiwnięciem głową, buńczuczną miną, nazywaniem jej „żołnierzem”, może poklepywaniem po ramieniu dla dodania otuchy... ale nie może się ruszyć, musiał leżeć, mając nad sobą niecałe pół metra pustej przestrzeni, niech sama znajdzie najlepszy sposób, by zasnąć.

Rankiem, pełnym wodnego ptactwa, papierosowego dymu i odgłosów telewizorów, dwoma piaszczystymi koleinami drogi dojazdowej przybyła oficjalna furgonetka Billy’ego Barfa and the Vomitones, pokryta od zewnątrz skomplikowanym wzorem graficznym, przedstawiającym nuklearnie uszczęśliwioną cyberśmierć, a wewnątrz zawierająca między innymi obręcz z zespawanych miniaturowych żelaznych trupich czaszek, służącą za kierownicę, którą trzymał Isaiah Dwa Cztery. Za zabarwionymi na niebiesko bulajami pokazały się inne, mniej wyraźne twarze. Zoyd nie miał bladego pojęcia, w co pakuje się Prairie, czuł się bezradny, nie pamiętał, czy czegoś nie przegapił zeszłego wieczoru i czy córka nie wyjeżdża na dobre. Umówili się, że będą się kontaktować przez Sashę Gates, była teściową Zoyda, która mieszka w LA.

– Nie kopć tyle, stary ćpunie – powiedziała Prairie.

– Kolana razem! – odrzekł. – Nastoletnia laluniu.

Ktoś włączył kasetę Fascist Toejam: trzysta watów dźwiękowej apokalipsy dobiegającej z głośników furgonetki. Isaiah z galanterią podsadził Prairie do wybitego fuksjową tapicerką seraju na kółkach. Prairie wtopiła się natychmiast w niedający się rozróżnić tłumek Vomitonesów i ich dziewczyn, a furgonetka zawróciła niepodziewanie zgrabnym łukiem, przyspieszyła, wrzuciła wyższy bieg i – niczym maszyna czasu odlatująca w przyszłość, o wiele za wcześniej dla Zoyda – zagrzmiała, po czym zniknęła na wąskim, przygniecionym chmurami gościńcu.

Tuż przed odjazdem Prairie Zoyd wcisnął jej w rękę starą japońską wizytówkę, czy raczej amulet, której – jak zwykle nieufna wobec pozostałości po niedokończonych interesach ze starych hipisowskich czasów – początkowo nie chciała nawet tknąć. Zoyd dostał tę wizytówkę przed wielu laty w zamian za przysługę. W tamtym czasie dostał muzyczny angaż na pokładzie latających na Hawaje samolotów Kahuna Airlines, startujących poza rozkładem z LAX East Imperial Terminal. Robota trafiła mu się przypadkowo w ostatnim, zdecydowanie niespokojnym okresie małżeństwa i była rozpaczliwą próbą – tym razem transpacyficzną – uratowania związku, tak to wówczas widział, choć Frenesi potraktowała wszystko jako kolejny przejaw ingerencji w jej prywatność, co było o tyle dziwne, że do Honolulu poleciał z zaczerwienionymi oczami wycarterowanym statkiem powietrznym niewiadomego pochodzenia, będącym nie tylko okrętem flagowym, ale i całą flotyllą powietrzną kraju, o którym nikt, włącznie z Zoydem, do tamtej pory nie słyszał. Trudno orzec, czy się go spodziewała na Hawajach, a jeśli tak, to z pewnością nie w takim stanie, w jakim się pojawił: kompletnie rozwalony i owładnięty paranoiczną szajbą – na którą już nie miał wpływu – dowiedzenia się za wszelką cenę, jak żona spędza wieczory. „Co u mnie...? Daję sobie radę”, ćwiczył przed poplamionym i spękany lustrem w toalecie samolotu, powtarzając szeptem te słowa pośród ryku silników odrzutowych i drgań kadłuba, „martwię się tylko o ciebie, Frenesi”. Stał kilkanaście kilometrów nad oceanem i stroił do siebie miny.

Chwilowe rozstanie wydało mu się początkowo świetnym pomysłem w trudnym dla nich obojga czasie. Sasha odprowadzała z Zoydem córkę na lotnisko, podawali sobie małą śpiącą Prairie, przerzucali ją z rąk do rąk, niczym podczas próby generalnej późniejszych ustaleń. Była to jedna z rzadkich chwil zgody i harmonii między teściową a zięciem, zazwyczaj wobec siebie nieufnych, bo Sasha nigdy nie wiedziała do końca, co myśleć o Zoydzie, i przy każdym spotkaniu zadowalała się odruchowym uściskiem dłoni, któremu towarzyszył najczęściej nerwowy uśmiech oznaczający: „Jesteś tak nieodpowiednim partnerem dla mojej córki, że sam powinienes to dostrzec i śmiać się z tego, jak ja; jesteśmy przecież dorośli i umiemy się z siebie śmiać, prawda?”. Później – co zdumiewające – znaleźli się po tej samej stronie barykady, przynajmniej w oczach wymiaru sprawiedliwości, co oznaczało, że nigdy nie toczyli ze sobą batalii o opiekę nad dzieckiem, ponieważ, o czym mieli się wkrótce przekonać, żaden sędzia nie chciał marnować czasu na orzekanie, czyja kartoteka policyjna jest bardziej dyskwalifikująca – odwiecznie czerwonej babki, czy nieustannie upalonego ojca – przez co Prairie objęto opieką kuratora, przed czym bez dwóch zdań musieli ją chronić. Więc czy im się to podobało, czy nie, uzgadniali od czasu do czasu wspólne stanowisko.

„Czuję się jak mąż Mildred Pierce, Bert”. Tak Zoyd podsumował swoje uczucia do Frenesi, kiedy znalazł ją wreszcie w olbrzymim Dark Ocean Hotel, strzelistej dwuskrzydłowej ścianie z 2048 pokojami z identycznymi tarasami na wspornikach, wychodzącymi co do jednego nad błękitną otchłań Pacyfiku. W dole maleńkie figurki ślizgały się na maleńkich falach, opalały na plaży i dokazywały w maleńkich lśniących akwamarynowo basenikach pośród ciemnozielonych tropikalnych zagajników.

Z pewnej odległości baczny obserwator dostrzegał na wielkiej rozłożystej fasadzie oddychających bryzą, posilających się z hotelowych wózków, palących miejscowy cannabis i bzykających się niemal publicznie ludzi.

– Doceniam to porównanie, Zoyd, choć jak widzisz, jestem sama, tak, całkiem sama, co nie znaczy, że brakuje tu przystojnych facetów...

– Nie myślę o podrywach, bo gdybym myślał, odbylibyśmy to słodkie spotkanie już dawno temu.

– Doprawdy? Kiedy dokładnie?

– Nieważne, zapomnij o tym.

– Chwileczkę! Zwalasz mi się na głowę...

– Owszem, sam zapłaciłem za bilet... – Miał zamiar dodać: „I nie kupiłem go za pieniądze mamusi”, ale widząc, że właśnie tego się spodziewała, odpuścił sobie tę falę.

Wynajął pokój obok jej pokoju, a teraz stali na dwóch sąsiadujących ze sobą tarasach kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią oceanu i prowadzili dorosłą dyskusję, trzymając w dłoniach puszki z piwem. Frenesi była w bikini, a Zoyd w starych spodenkach plażowych. Pominąwszy ich nastawienie, rozmowa ta mogłaby się toczyć dwa lata temu w Gordita Beach. Nad ich głowami kłóciło się w sposób niekontrolowany inne małżeństwo. Punktujące rozmowę krzyki pomogły skalibrować ton Frenesi i Zoyda, choć nie na tyle, by spojrzeli na siebie wyrozumiale i przyznali w duchu „aż tacy źli nie jesteśmy”, bo wiedzieli, że są.

Zoyd zastanawiał się – niemal na głos – gdzie się podział charyzmatyczny federalny przyjaciel żony, Brock Vond. Schował się pod łóżkiem w jej pokoju? Opala się na plaży Waikiki? Nie chciał przeżyć rozczarowania. Bo przecież to właśnie z powodu braku wiedzy na temat miejsca pobytu prokuratora federalnego Vonda i jego wynicowanej obecności przeleciał przez Pacyfik w samolocie, którego siła nośna stawała się w jego wspomnieniach coraz bardziej wątpliwa.

Sasha niewiele mu pomogła.

– Nie wchodzę w to. Nie będę donosić na własną córkę, nie? Nawet gdybym cokolwiek wiedziała, a nie wiem... bo niby dlaczego miałyby mi coś mówić?

– Bo... jesteś jej matką.

– No, tak.

– Okay, więc co z tym Brockiem Vondem, oboje wiemy, kim jest, oboje wiemy, że to dokładnie taki sam zbrodniczy faszysta, do jakich z przekonaniem przez całe życie strzelałaś... Chcesz być lojalna wobec kogoś takiego? Pytam tylko... – spuścił z tonu, niczym prawdziwy kanciarz – ...czy go poznałaś? Czy spojrzałaś mu w oczy?

Sasha usłyszała w jego głosie błaganie, niemal skomlenie, co kazało jej zachować ostrożność. Ten nieszczęsny naiwniak z łatwością zadowoliliby się każdym okruszkiem cierpienia, ale chciał cierpieć pełną gębą. Głupiec. Po co marnować czas? Był już na tyle duży, że mógł przeżywać coś podobnego wcześniej, ale kto wie, może właśnie wypłynął w dziewiczy rejs po zielonym oceanie zazdrości. Mogłaby go o to zapytać, ale w tamtych czasach jej robota polegała, jak się jej wydawało, na trzymaniu języka za zębami – ciętego i w pogotowiu, lecz ukrytego w pieczarze ciszy. Co było frustrujące w dwójnasób, gdyż wściekała się na córkę jak jasna cholera. Zażyłość Frenesi i Brocka była nie tylko, ujmując rzecz politycznie, niedopuszczalna, lecz dowodziła także, że córka po raz kolejny nie zdołała wziąć spraw w swoje ręce – właśnie dlatego Sasha wściekała się na Frenesi i jej znany od dzieciństwa nawyk wycofywania się z każdej sytuacji, za którą powinna wziąć odpowiedzialność, a przynajmniej postarać się ją załagodzić. Na ile zdążyła się zorientować, ta skłonność do ucieczki nie zmniejszała się przez lata, a jej ostatnią ofiarą padł Zoyd.

Który teraz udawał, że rozgląda się po Honolulu.

– Jakoś... nigdzie nie widzę tego superjebaki. Co się stało, Steve McGarrett nie zdołał rozwiązać sprawy i po niego posłał?

– Zoyd, daj sobie spokój, nie chcemy żadnych problemów.

To, że wyraziła się o sobie i o nim „my” i z taką łatwością, wybiło mu powietrze z płuc, ogłuszyło go, odebrało mowę.

– Ja? Mam być problemem? Hej... – rozpiął hawajską koszulę, którą niedawno kupił, pomachał łokciami. – Jestem czysty, panienko. Nie zastrzelę jakiegoś chuja tylko dlatego, że pierdoli mi żonę, a szczególnie federalnego cynka... – Jedyne, na co miał teraz ochotę, to zwinąć się wpół, w zaciśniętą pięść, na

jej oczach... tyle że wtedy odwróciłaby te ślepka malowane błękitem, jak śpiewają we włoskim standardzie, i skierowała je ku morzu, pogodzie czy jakimukolwiek innemu pozostającemu w zasięgu wzroku rekwizytowi, bo użycie tych ultramarynowych cudów działało tak samo – o czym dobrze wiedziała – jak dotyk dłoni i jej nagłe cofnięcie.

Wycofała się do swojego pokoju i zasunęła szklane drzwi, zaciągnęła zasłony. Został na tarasie i wpatrywał się w przestrzeń dzielącą go od ziemi. Był tak wkurwiony, że mógłby to zrobić... nieomal... Skończył trzymane w dłoni piwo i z – jak sobie wyobrażał – chłodnym naukowym zaciekawieniem wypuścił z niej puszkę, po czym przyglądał się, jak spada, wpatrując się w zbieżność toru jej spadania z torem pieszego daleko w dole – surfera, niosącego deskę na głowie. Równą sekundę po uderzeniu puszką w deskę Zoyd usłyszał cichy stukot, a odbita puszka wpadła do pobliskiego basenu i utonęła, nie zostawiając po sobie śladu, poza odpryskiem na desce, którego doskonałą geometrię studiował obecnie surfer z podejrzliwością sięgającą daleko poza ziemską orbitę.

Zoyd wrócił do pokoju i zaczął szukać drzwi łączących sąsiadujące numery, ale nic takiego tutaj nie było. Położył się na łóżku, włączył Pudło, zapalił skręta, wyjął kutasa i wyobraził ją sobie za gipsową barierą, która równie dobrze mogłaby symbolizować nadchodzące lata, widział ją tak wyraźnie, jak miał widywać ją później po wielekroć podczas nocnych astralnych lotów, w które się wznosił, żeby być blisko niej, nawiedzać ją najlepiej, jak umiał; widział, jak zdejmuje bikini, górę i dół, potem, jak odpina kolczyki w ukazującym jej szyję akcie, który zawsze poruszał sercem Zoyda. Poszła prosto pod prysznic, czując się z całą pewnością zbrukana spotkaniem na tarasie. Podreptał za nią – początkujący astralny podglądacz – i przyglądał się kąpielowemu rytuałowi, który brał kiedyś – co za głupek! – za przynależny mu raz na zawsze, a teraz mógł tylko przybrać postać otulającej jej ciało pary, bo w swej bezcielesności był ograniczony do najbardziej ulotnych form fizycznych...

Jak na lubującego się w perwersjach Zoyda ta fantazja erotyczna była dosyć nijaka. Niemal jak dawna fantazja. Żadnych przebrań, akcesoriów czy scenariuszy, poza przeczystą interakcją kobiety, wody, mydła, no i jeszcze pary. Wszystko to zarejestrowało niewidzialne, mrugające niespokojnie oko Zoyda. Akomodowało się już wraz z nim do smutnej, czekającej ich razem przyszłości. Nie odnotowało tylko, że Frenesi, tuż po ich balkonowej scenie, natychmiast spakowała walizki i wymeldowała się z hotelu tak cicho, że zajęty waleniem konia Zoyd w ogóle tego nie zauważył.

Dopiero później, kiedy chciał posłać kwiaty do jej pokoju, przekonał się, że jej nie ma. Musiał, tak, musiał przeżyć silne załamanie nerwowe, rozplakać się i wyrzucić z siebie opowieść o nieszczęśliwej miłości, zanim asystent kierownika recepcji zgodził się poinformować go, że Frenesi pojechała na lotnisko i napomknęła o najbliższym locie powrotnym do LA.

– O kurwa! – zawył Zoyd.

– Nie robi pan niczego... mm... głupiego, prawda?

– Jak to?

– Hawaje to miejsce, do którego mężczyźni z Kalifornii zwożą złamane serca, szukając tu najbardziej egzotycznych, niedostępnych na kontynencie form zrobienia sobie krzywdy. Niektórzy wyspecjalizowali się w czynnych wulkanach, inni decydują się na bardziej klasyczne i eleganckie wypłynięcie na pełne morze. Mogę skontaktować pana z kilkoma biurami podróży sprzedającymi pakiety Fantazji Samobójczych, jeśli pan tylko chce.

– Fantazji! – Zoyd zaszlochał. – Kto tu mówi o udawaniu, kolego? Myślisz, że to dla mnie zabawne?

– Oczywiście, że nie, oczywiście, że nie, proszę tylko...

– Jedyne, co mnie powstrzymuje – dodał Zoyd, wydmuchując starannie nos – to upokorzenie, jakie musiałbym przeżyć, leżąc z pękniętą czaszką przy basenie i słysząc w ostatnich chwilach na tej ziemi, jak Jack Lord⁴ mówi: „Przymknij go, Danno. Samobójstwo z premedytacją”.

Asystent kierownika recepcji, przyzwyczajony do takiej gadaniny, pozwolił Zoydowi marudzić jeszcze przez chwilę, a potem taktownie się zmył. Wkrótce nadszedł wieczór i otulił wyspy. Po krótkiej nieplanowanej piwnej drzemce Zoyd wstał, założył na hawajską koszulę biały pożyczony od Scotta Oofa garnitur, podwinął za długie nogawki spodni, nie zapiął za ciasnej i również za długiej marynarki nadającej całości wygląd dzollerskiego garniaka, założył kupione na lotnisku ciemne okulary i słomkowy kapelusz i wyszedł na ulicę w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby usiąść za klawiaturą, najlepiej z ludźmi, których zna. To, że nie pojechał na lotnisko, wynikało po trosze z tego, co napisano niedającym się odczytać drobnym drukiem na dole biletu, a co było specjalną ofertą wycieczkową, o której żaden przedstawiciel zagranicznych linii lotniczych nie miał zielonego pojęcia, a po trosze z dziwnego ekstatycznego fatalizmu, który często, jak choćby teraz, ogarniał go zamiast płaczu. Pieprzyć ją, mruczał pod nosem, od dziś jest wolna, niech ją sobie weźmie stary Brock, niech ją wprowadzi do świata prawników, w którym wszystko wolno i wszystko jest na wyciągnięcie ręki; pewnego dnia, kiedy skurwiel stanie do wyborów, Zoyd zobaczy ich oboje w telewizji, otworzy sobie piwo i wzniesie toast do ekranu, wspominając ostatnią scenę balkonową i to, jak Frenesi się odwróciła, kręcąc tyłkiem w skąnym kwiecistym bikini, zarzucając włosami, i jak zasunęła drzwi bez choćby jednego spojrzenia...

Wpadał do barów w Honolulu, ufając zakrytym przed wzrokiem trybom nocy w mieście oraz własnemu talentowi, którym się czasem szczyił, do dryfowania, nawet jeśli nie ku skrzyżowaniom greckiej tragedii i wielkiej fortuny, to przynajmniej z dala od niebezpieczeństw – przeważnie. Po jakimś czasie znalazł się w toalecie na tyłach Cosmic Pineapple, znanego wówczas klubu acid-rocka, gdzie nawiązał rozmowę z basistą, z którym kiedyś grywał. I to właśnie on powiedział mu o pracy pokładowego klawiszowca w Kahuna Airlines.

– Śmiertelnie niebezpieczna chałtura – zapewniał go kumpel – bo nikt nie wie, jakim cudem prowadzą ten interes, a to niejedyna tajemnica. – Pojawiały się niepotwierdzone pogłoski o różnych incydentach wysoko nad powierzchnią planety – incydentach, o których nie mówiono inaczej, jak tylko eufemistycznie. Lista pasażerów wsiadających na pokład nie zawsze odpowiadała liście pasażerów wysiadających z samolotu. Coś się działo między startem a lądowaniem, tam wysoko.

– Właśnie czegoś takiego szukam – doszedł do wniosku Zoyd.
– Do kogo mam się zgłosić?

Okazało się, że miał zadzwonić na czynny całą dobę numer z książki telefonicznej, gdzie znajdowało się okienko reklamowe i wytłuszczony tekst: ZAWSZE ZATRUDNIAMY. Zoyd zadzwonił do nich o wpół do trzeciej nad ranem i z miejsca go zatrudniono na lot do LA o świcie. Miał akurat tyle czasu, żeby wrócić do hotelu i wymeldować się.

Każdy z boeingów 747 flotyli Kahuna Airlines został wybebeszony i przerobiony na wielką hawajską restaurację z barem, pełną wiszącą wyspiarskiej roślinności oraz klubowych foteli i stołów, zamiast zwykłych siedzeń. Nie zapomniano nawet o miniaturowych wodospadach. Podczas lotów wyświetlano *Hawaje* (1966), *Hawajczycy* (1970), a także *Gidget Goes Hawaiian* (1961), choć nie tylko. Zoydowi dano grubą, podniszczoną, pseudohawajską partyturę oraz salonowy syntezator japońskiej marki, o której kiedyś słyszał, lecz której nigdy nie używał. Na tablicy rozdzielczej instrumentu znalazł opcję ukulele, która zapewniała do trzech orkiestrowych sekcji składających się z ośmiu gitar. Potrzebował aż ośmiu przelotów nad Pacyfikiem tam i z powrotem, żeby się wczuć w ten niezbyt przyjazny dla użytkownika samograj. Bestia lubiła fałszować, lub gorzej, piszczeć przeraźliwie, od czego dostawało się skrętu kiszek, który przerywał natychmiast każdy flirt i zatruwał starannie wypracowaną atmosferę. Rozwiązywanie problemów z leżącego pod stołkiem podręcznika użytkownika w niczym

mu nie pomogło, a wszystkie techniczne wygłupy brał coraz częściej za świadome decyzje maszyny.

Lecz zdarzały się i noce pod gwiazdami rozrzuconymi na przezroczystej kopule nieba nad samolotem, kiedy palce Zoyda nastawiały potajemnie tryb autoodtworzenia w buduarowym, obrysowanym podfioletowym neonem syntezatorze, a on sam poddawał się melancholii i rozmyślał nad trwającą destrukcją swojego małżeństwa. Postoje w LA były tak krótkie, że znajdował czas tylko na telefon, którego nie odbierała, i z rzadka na odwiedziny u Prairie i jej babci. Nigdy nie spotkał u nich Frenesi, która zawsze wymykała się wcześniej. Podczas lotów na zachód zadanie Zoyda przy klawiaturze – podobnie jak tancerek hula, połykaczy ognia, kelnerów roznoszących koktajle i barmanów – polegało na odwróceniu uwagi pasażerów od tego, co czeka ich w Honolulu: nadanych nie tam, gdzie trzeba, i zagubionych na zawsze bagaży, braku autobusów do hoteli, w których dawno temu zaginęły wszystkie rezerwacje, nieobecności na lotnisku obiecywanego w broszurze Jacka Lorda, który miał fotografować się z pasażerami. Zupełnie nieprzewidywalny rozkład lotów Kahuna skutkowało przylotami o bardzo wczesnych lub późnych porach, w których ochrona lotnisk lubi odgrywać rolę o trudnych do zaakceptowania podtekstach i nęka podróżujące samotnie kobiety, daje wycisk ćpunom, zachowuje się niestosownie wobec starszych obywateli i obcokrajowców, gapi się, wbija szpile i ogólnie chce, żeby coś się działo. Gdzie się podziały tradycyjne miejscowe piękności z wieńcami kwiatów dla każdego wysiadającego z samolotu? „Dla was?“, rechotali uzbrojeni umundurowani funkcjonariusze. „O tej porze? Po co?”

Ale było jeszcze niebo i to, co działo się między portami lotniczymi. Od czasu spotkania w Cosmic Pineapple Zoyd słyszał różne pogłoski, powtarzane potem przez współpracowników i współpracownice, takie jak Gretchen – pseudopolinezyjska kelnerka, której przedstawił się za pomocą

arpeggiowych akordów w tonacji Es-dur i oryginalnego materiału, który brzmiał tak:

*Łału! Rozkołysz się pomału
Zielenią materiału
Mi spadnij
Ku ciału!*

*Przypal powolutku
I smużkę smutku
Zduś pomalutku.*

*Trawka trzymana szczypcami
Szeleści między ustami
Och, otacza dymami
Co między nami*

*Bo nic nie stanie się ci
A wszystko stanie się mi
Gdy ty
Potrząsniesz mi
Trawiastą mini![5](#)*

lecz zanim wybrzmiał do końca, Gretchen zdołała wyswobodzić się z jego objęć – dosyć, przynajmniej, od samego początku nieprzekonujących, co zresztą, wzięwszy pod uwagę mgłę zasnuwającą jego trzeźwy osąd, przez którą w tamtym czasie ledwo co widział, nie było zupełnie beznadziejnym podejściem towarzyskim, w każdym razie podejściem nieobraźliwym, za co Gretchen nie omieszkała przyznać mu paru punktów – za to, że mu się chciało. Tak czy inaczej wypracowali razem pewną homeostazę, a Gretchen zaczęła mu się zwierzać z tego, co usłyszała, a po jakimś czasie i z tego, co widziała na własne oczy. Jak choćby lecące obok samoloty – lecące identycznym kursem i z identyczną prędkością, wiszące obok w odległości kilkunastu metrów, bez okien, niemal niewidzialne, co trwało niekiedy godzinami.

– UFO?

– Nie... – zawahała się, szeleszcząc rytmicznie spódniczką z trawy wykonanej z poliestru – ...to, co my nazywamy UFO...

– A co?

– No, nie wiem... one wyglądają normalnie... jak z Ziemi, na sto procent, a nie z... skądś tam, nic z tych rzeczy.

– A widziałaś, kto nimi leci?

Wodziła przez chwilę rozbieganym wzrokiem, po czym szepnęła:

– Nie oszalałam. Zapytaj Fionę, zapytaj Inge, wszystkie je widziałyśmy.

Zagrał cztery takty *Do You Believe in Magic?* i zmrużył oczy, wpatrzone głównie w pewien punkt wśród syntetycznej trawy.

– Czy ja to ujrzę, Gretchen?

– Módl się, żebyś nie ujrzał...

Chyba nie za bardzo się modlił, bo podczas następnego lotu z LAX, jedenaście tysięcy metrów nad oceanem, wesoły hawajski samolot został zdobyty przez piratów jak wyładowany towarem statek handlowy. Był łatwym celem: aluminiowy kadłub okazał się dla tego drugiego pirackiego samolotu, znacznie solidniejszego, mniejszego, o większej masie i szybkości, kruchy jak skorupka jajka rudzika. Zgodnie z tym, co mówiła Gretchen, nie było to UFO sensu stricto. Kapitan Kahuna Airlines wykonał wszystkie możliwe do wykonania uniki, ale ten drugi bez trudu kontrował jego manewry. W końcu stanęli bok w bok nad zwrotnikiem Raka, który oddzielał ich od siebie dwudziestometrowym pasem, poprzez który wiał wściekły wiatr, co nie przeszkodziło tamtemu w wysunięciu – nie teleskopowo, lecz przepuklinowo z błyszczącego pasa wsporników – wiatroodpornego tunelu dostępowego o przekroju wydłużonej łyżki, która przylgnęła mocno do przedniego wjazdu wejściowego boeinga.

W samolocie pasażerowie stłoczyli się wokół lśniących stołów w kształcie pokryw wjazdu, wokół plastikowych tiki i sztucznej roślinności, ściskając w rękach drinki z przesadnie dużymi papierowymi parasolkami, a Zoyd kontynuował wiązanek ludowych melodii. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje.

Rozpoczęły się kłótnie. Przez okna na lewej burcie dało się dostrzec skrzące się szwy i połyskujące silniki tamtego. Ostatnie promienie słońca układały się warstwami nad horyzontem, a niektóre okna zaczynał pokrywać szron, lecz nie był to spokojny i nieszkodliwy szron, taki jak na kuchennych oknach na ziemi, ale efekt naprężeń i kolizji odrzutowych geometrii.

Kiedy wreszcie z sykiem otworzył się właz, na pokład latającego nocnego klubu weszli z wdziękiem komandosów intruzi trzymający w pogotowiu automaty i ukrywający twarze za ciemnymi kuloodpornymi szybami, bez cienia poczucia humoru. Rozkazano, by pasażerowie usiedli. W głośnikach rozległ się głos kapitana: „Dla waszego własnego dobra: nie interesują ich wszyscy, tylko niektórzy. Kiedy podejda do waszego fotela i poproszą o współpracę, starajcie się nie wierzyć plotkom. Dopóki nie dostarczymy całej reszty na miejsce przeznaczenia, drinki stawia Fundusz Nieprzewidzianych Wypadków Lotniczych Linii Kahuna!”, co wywołało gorący aplauz, który – jak dowiodło długie, badające ten incydent śledztwo – był owacją na cześć nieistniejącego bytu.

Gretchen przycupnęła przy synteźatorze, by złapać oddech.

– To zabawne – powiedział Zoyd. – Po raz pierwszy usłyszałem głos kapitana. Jeśli umie śpiewać *Tiny Bubbles*, mogę stracić pracę.

– Wszyscy są zdenerwowani i piją. Co za pech! I to znów Kahuna Airlines!

– Dużym liniom lotniczym to się nie przytrafia?

– Mają zdaje się jakieś branżowe porozumienie... Ale Kahuna nie chciała w nie wejść, bo było za drogie. Wszyscy mówią o jakichś ubezpieczeniach...

Zapadła noc jak koniec filmu. Alkohol lał się strumieniami i wkrótce odszpuntowano mieszczące się w skrzydle rezerwowe zbiorniki taniej wódki. Niektórzy pasażerowie padli nieprzytomni, innym szklily się oczy, jeszcze inni zrzucili obuwie i tańczyli przy złowrogich, pracujących wolno i metodycznie na pokładzie żołnierzach w szklanych maskach.

Kiedy Zoyd zaczął grać tytułowy temat z *Godzilli: Króla potworów* (1956), z tyłu, z nieco niższego poziomu, zagadnął go jakiś głos:

– Co się dzieje, brachu! Mogę się dosiąść?

Zoyd odwrócił się i zobaczył kogoś z jasnymi, po hipisowsku długimi włosami, w kwiecistych dzwonach i hawajskiej koszuli, z kilkunastoma plastikowymi kwietnymi girlandami wokół twarzy i ramion. Człowiek ten miał oprócz tego ciemne okulary, słomkowy kapelusz, a w ręku ukulele z okresu międzywojennego. Fryzura okazała się peruką pożyczoną od Gretchen, która poleciła nieznajomemu Zoyda jako przykrywkę.

– Polują na ciebie, he? – zapytał cicho Zoyd, odnajdując partyturę z, co zrozumiałe, rysunkiem ukulele. – Co powiesz na to?

– Aha! – odpowiedział nieznany ukuleleista. – Ale łatwiej będzie w tonacji G! – Gadał, jakby naprawdę znał się na rzeczy. Nowy sideman Zoyda podał całkiem niezłe rytmy do starego hawajskiego standardu *Kokosy powalone*, choć kiedy Zoyd zaczął śpiewać, wszystko tak mu się pomieszało, że wrócił do toniki i czekał.

*Słyszysz... to one...
(buum) Ko-ko-sy powalone
(um) Ko-ko-sy powalone
Tupoczą w rytm muzyki
Ko-ko-szac taniec dziki –
W tropiki*

*Jeden po drugim one
(bum) Ko-ko-sy powalone
(bum) Ko-ko-sy powalone
Na dach skaczą jak Rambo
Dudnią jak w bęben Bambo
Bum-bum*

*No i dlaczego one
Ko-ko-sy powalone, nade mną się ko-ko-szą?
Nad głową się panoszą...
Uch, nie są mi roz-ko-szą*

*(bum!) one...
(bum!) Ko-ko-sy powalone
Nad sufit wyz-
Wol-one!*

Prześladowcy balujących i kataleptycznych sunęli metodycznie przez pokład, nie zwracając specjalnej uwagi na szarpiącego struny zbiega, szukając, zdaje się, kogoś o innym profilu. Zoyd odkrył przypadkiem, że kiedy uderzał palcem w najwyższy dźwięk, intruzi chwyтали za słuchawki w uszach, jakby nie mogli usłyszeć lub odszyfrować sygnału, więc walił w klawisz tak często, jak tylko mógł, i wkrótce przekonał się, że obce wojska rozpoczęły niechlubny odwrót.

Dziwaczny nieznajomy z rytualną powściągliwością podał Zoydowi wizytówkę z opalizującego plastiku, którego barwa zmieniała się według jakichś nieodgadnionych reguł.

– Życie... Wygląda na to, że ocaliłeś mi życie!

Na wizytówce widniał napis:

Takeszi Fumimota
WYRÓWNYWANIE

Numer w książce telefonicznej w wielu rejonach

– To ty jesteś Takeszi?

– Ethel dla twojej Lucy⁶, jakbyś był kiedyś w potrzebie! – Zagrał parę taktów na ukulele. – Nadejdzie taka chwila, że będziesz mnie potrzebował, a wtedy przypomnisz sobie nagle o tej wizytówce! Że ją dostałeś! I że dobrze ją ukryłeś!

– Nie przy mojej pamięci...

– Przypomnisz sobie – powiedział nieznajomy i w jednej chwili rozpląnął się, stał się niewidzialny wśród pasażerów i trwającej całą noc balangi, która wraz z odejściem nieproszonych gości weszła w szczytową fazę.

– He-e-e-j! – zawołał Zoyd do sali. – Słyszałem o takich profesjonalnych sztuczkach, ale wolałbym raczej nie zadawać się ze specjalistami, nie bierz tego do siebie, znaczy się, jeśli tu

jeszcze jesteś i mnie słyszysz, he? – Bez odpowiedzi. Wizytówka powędrowała do kieszeni, potem do innej, do całej serii kieszeni, portfeli, kopert, szuflad i pudełek, przetrwała bary, pralnie chemiczne, zaniki pamięci ćpuna i zimy na północy Zachodniego Wybrzeża, aż tego ranka, kiedy nie pamiętając, co się z nią stało, przypomniał sobie nagle po latach, gdzie jest, i wcisnął ją w dłoń Prairie, jakby to jej była przeznaczona.

W domu między zmianami Frenesi zasiadła z filiżanką kawy przy kuchennym stole w mieszkaniu w starszej śródmiejskiej części kredowobiałego wilgotnego miasta w Słonecznym Pasie o niemal powszechnie znanej nazwie, która wkrótce zniknie z oczu cywilnej gawiedzi, zatarta federalnym markerem. Słońce wlewało się do środka, nieprzesłonięte żadnymi liśćmi, a ona czuła się jak melodia, która zawsze odnajduje macierzysty akord – zapisana, zinternalizowana, wyciszona kojącymi obrotami z przeszłości, z których wiele, jak choćby dzisiejszy, obejmowało jej nieznaną córkę, Prairie, którą widziała po raz ostatni jako prawie bezzębne uśmiechnięte niemowlę, ufające, że mama wróci jak zwykle wieczorem, usiłujące – tego ostatniego razu – wyrwać się z ramion Zoyda i przytulić do niej. Po każdej przeprowadzce z Flashem do nowego domu, przesądnie i odruchowo, niczym podczas święcenia wszystkich kątów solą i wodą, wracała myślami do Prairie i wybierała dla niej miejsce do spania w nowej aranżacji, najpierw dla niemowlęcia, później dla dziewczynki, którą starała się sobie wyobrazić.

Gdzieś w dole ulicy ryczały metalicznie piły tarczowe *iii-ja!* *iii-ja!*, waliły młoty, wyły silniki i głośniki ciężarówek, z czego niewiele do niej docierało, bo wyobrażała sobie teraz ponętą, podobną nieco do niej, nastoletnią Prairie w jakimś kalifornijskim domku nad morzem, wijącą się w kostiumie kąpielowym z rozkładówki w uścisku jakiegoś miłośnika surfingu z sypiącym się wąsem, jakiegoś Shawna albo Erika; wijącą się pod lampionami przy pomruku wieży stereo, wśród zatłuszczonych toreb po hamburgerach i zgniecionych puszek

po piwie. Gdybym zobaczyła ją gdzieś na ulicy, napominała się, nie poznałabym jej... kolejna nastolatka, taka sama jak inne, które widywała każdego dnia w pracy w Southpleksie – jednej z czterech galerii handlowych zawdzięczających nazwę czterem stronom świata, biorących miasto w nawias z czterech stron. Tabuny takich dziewczyn przewalały się co dnia przez to centrum handlowe, przyglądała się im ukradkowo, denerwując się jak podglądacz, chcąc się dowiedzieć, jak chodzą i co mówią, czym się interesują, chcąc poznać każdy szczegół, który mógł łączyć daleką Prairie, choćby abstrakcyjnie, z przedstawicielkami jej pokolenia.

Nie była w stanie rozmawiać o tym z Flashem. Nie dlatego, że nie rozumiałby – przeciwnie, jemu też odebrano dwoje dzieci – ale z tej przyczyny, że na pewnym komunikacyjnym poziomie przestawał słyszeć cokolwiek. Był nienormalny, uważał, że Frenesi chce napisać całą ich historię od nowa, i powtarzał:

– Och, to tylko twoje subiektywne zdanie, najdroższa. Pomyśl, gdybyś nie trzymała się od niej z daleka, byłoby jeszcze gorzej. – Unosił przy tym i wyginał brew w sposób, który, w jego mniemaniu, był odbierany przez kobiety jako wyraz szczerzej troski. – Stary Brock i tak by cię dopadł bez względu na to, gdzie byś ją zabrała i... – kwaśny uśmiech – ka-put!

– Och, nie wygłupiaj się – oponowała. – Nie zrobiłby krzywdy małemu dziecku.

– Sukinsynowi odebrało rozum za pierwszym razem, kiedy od niego odeszłaś. Wtedy o tobie usłyszałem. Szalał przez tydzień.

Ryki Brocka Vonda, dobiegające z dźwiękoszczelnych pomieszczeń na górnych piętrach wielkiego federalnego monolitu w Westwood, odbijały się echem od nagrobków na cichym cmentarzu weteranów i bez względu na porę dnia dawały się słyszeć ponad zgiełkiem aut na autostradzie. Podczas tego kryzysu nikt nie wiedział, co począć z Brockiem, który niewątpliwie potrzebował nieco odpoczynku i rekreacji w Loco Lodge, położonym na pustyni kurorcie dla świrów

z Departamentu Sprawiedliwości. Ale żaden z Nixonowskich najemników w wydziale spraw wewnętrznych nie potrafił znaleźć sposobu, żeby go tam skierować. Wreszcie – po zbyt długim, według niektórych, czasie – uspokoił się na tyle, że pewnego pięknego dnia sam się spakował i wrócił do Waszyngtonu, gdzie powinien przebywać od dawna, a całe jego kalifornijskie dossier powędrowało do niszczarki. Ale musiało upłynąć jeszcze wiele dni, zanim do centrali przestały spływać meldunki z jadłodajni i barów – w których obowiązywały rzecz jasna ściśle przestrzegane reguły postępowania – w najbardziej nieprawdopodobnych miejscowościach Zachodniego Wybrzeża, donoszące o zakłóceniach porządku, których dopuszczał się, jak pisano, „rozwścieczony” czy też „śmiertelnie przygnębiony” Brock Vond. Wielu informatorów donosiło, że spodziewali się, iż wzmiankowany rozbierze się do naga i zrobi coś niesłychanego.

– Fakt, straszny świr! – skomentowała to wówczas Frenesi. Siedzieli w nowej kuchni; jasne odcienie drewna, laminat, rośliny doniczkowe, w sumie lepiej niż w innych domach, w których mieszkali, choć w lodówce nie działał termostat. Złapała go za rękę i usiłowała spojrzeć mu w oczy. – Tak czy inaczej mogłam później uciec. Zabrać ją, zabrać moją córeczkę i dać, kurwa, nogę.

– Aha – mruknął, kiwając opuszczoną uparcie głową.

– To się naprawdę liczy i nie powtarzaj, proszę, że to moje subiektywne zdanie, bo nie oglądamy meczu NFL w telewizji.

– Chcę ci tylko pomóc. – Uścisnął jej dłoń. – Dla mnie to też nie było łatwe, sama wiesz, z Ryanem i Crystal... musiałem posmarować mnóstwo lepkich rączek, żeby się dowiedzieć, jak się teraz nazywają, ale to było dawno.

– Taa. Świetna robota. – Milczeli, wspominając obóz reedukacyjny Brocka Vonda, na którym się poznali. – Snią ci się czasem?

– No. Bardzo wyraziście.

– Słyszałam – szepnęła – raz czy dwa w nocy. – I dodała: – Nawet po drugiej stronie miasta.

A potem przyjrzeni się sobie uważnie. Jej niebieskie oczy i jasne dziewczęce czoło zawsze go poruszały, ale teraz czuł to także we wnętrzu dłoni, w dziąsłach oraz w miejscu między pępkiem a kutasem, w którym gromadzi się energia Qi, gdzie najpierw coś pojaśniało, a potem łaskawie stwardniało na kamień, mrugając przy tym ostrzegawczo, że nie potrzeba żadnych słów, które – sądząc z doświadczenia – przysparzają tylko kłopotów.

Z punktu widzenia siedzącej po drugiej stronie stołu Frenesi Flash pochłaniał światło, był kimś, kogo musiała odszukiwać wzrokiem i mocno starać się poznać; kimś, komu poświęcała za dużo własnej energii, szczególnie wtedy, kiedy znajdował się „po drugiej stronie miasta”, jak nazywał eufemistycznie uganianie się za innymi kobietami. Uwielbiał wałęsać się po mrocznych kompleksach biurowych w śródmieściach Słonecznego Pasa, szukając wykształconych pań w biznesowych kostiumach, mających chrapkę na banitę w skórach. Co – nie ulega kwestii – było dosyć wkurwiające, ale gdyby została sama, wystawiona na przeciwności losu, nie dałaby, jak przypuszczała, rady. Brakowało jej pomysłowości. Już za późno, pomyślała, oboje siedzimy w tym po uszy. Choć często wyobrażała sobie koniec rozmowy, podczas której mogłaby powiedzieć: „Tyłu facetów, Flash, wiem, że cię to boli. Nienawidzę siebie za to, przepraszam”. Na co by odpowiedział: „Ale obiecaj, że już nigdy tego nie zrobisz”. A ona: „Nie mogę. Już się przekonali, że jestem gotowa zdradzić każdego, z kim poszłam do łóżka, już mam naszywkę specjalistki, już wiedzą, że to nie musi być nikt ważny, a sprawa niekoniecznie wagi państwowej; mają pewność, że mogą poszczuć mnie na każdego w każdej sprawie, nawet zwykłego przekroczenia obowiązków. Wystarczy, że chcą się dobrać do dupy jakiemuś sędziemu okręgowemu, który myśli kutasem, a w porze obiadu dzwoni mój telefon i mrożona lasagne wraca do lodówki”. Na to nie potrafiłby znaleźć odpowiedzi, więc to Frenesi musiałyby odważnie naszkicować niemożliwe opcje: „Fletcher, ucieknijmy stąd, do cholery, na dobre, we dwoje... Znajdziemy jakieś

miejsce. Wchodzisz w to?”. Czasem mówiła to nawet głośno. Odpowiadał zawsze „Jasne... moglibyśmy to zrobić”, lecz nigdy dotąd „Zróbmy to, do cholery!”. A potem przenoszono ich na nową placówkę, do innego mieszkania, na które ledwo wystarczał przychodzący coraz mniej regularnie czek. Czy ich los w ogóle jeszcze kogoś obchodzi? Czy warto jeszcze wierzyć w federalne obietnice ochrony? W bajkę o nieoznakowanych rządowych samochodach krążących po okolicy przez całą dobę, czuwających nad ich spokojnym snem, dbających, by rządowym świadkom nigdy nie stała się krzywda.

Cisza w całym domu, ich syn Justin zasnął w poświacie z Pudła. Prairie... nigdy tu nie było. Filodendron i salonowa palma zastanawiały się pewnie, co się dzieje, ale kot Eugene już wiedział. Frenesi wyjęła dłoń z dłoni Flasha i wszystko wróciło do normy; przeszłość – łowca nagród z szaleństwem w oku, ciągle jeszcze krok czy dwa za nimi – dała na chwilę za wygraną. Jasne, Frenesi znała wielu ludzi, którzy nie mieli żadnych problemów z przeszłością. Nie pamiętali sporej jej części. Mówili, że tak czy siak wystarczy im martwienie się o to, co dzieje się teraz, bez marnowania cennej energii na rzeczy, które, bądźmy szczerzy, minęły bezpowrotnie piętnaście czy dwadzieścia lat temu. Ale dla Frenesi przeszłość istniała od zawsze, choćby w jej aktach, jak zombie na karku, wróg, którego nie chce się spotkać, gęba szeroka i ciemna jak grób.

Kiedy lata sześćdziesiąte dobiegły końca, kiedy wydłużyły się spódniczki, ubrania zmieniły barwy na ponure, makijaż zaczął wyglądać tak, jakby nie miało się makijażu, a łaty i wystrzępione mankiety odeszły w zapomnienie, kiedy zarysy Nixonowskich represji stały się tak wyraźne, że ujrzeli je nawet najbardziej dziecienni z hipisowskich optymistów, Frenesi – właśnie wtedy, stojąc twarzą do porywistego jesiennego wiatru, który się zerwał – pomyślała: Oto wreszcie mój Woodstock, moja złota epoka rock and rolla, moja próba kwasu i moja Rewolucja. Stała w końcu na własnych nogach, na legalu, pojmując swoje zniewolenie jako wolność przyznawaną niewielu, by działać poza nakazami i wytycznymi, by

ignorować historię i zmarłych, nie wyobrażać sobie przyszłości ani tego, co się dopiero narodzi, by podążać zwyczajnie dalej, kierując się tylko chwilą i tym, co ona niesie. Oto świat prostoty i pewności, którego nie odkryje żaden ćpun ani rewolucyjny anarchista, świat zerojedynkowy jak życie i śmierć. Minimalistycznie piękny. Według wzoru życia i śmierci...

Lecz w swym nieopatrzonym pośpiechu tych pierwszych dni nie potrafiła wyobrazić sobie, że Nixon i jego banda przeminą, że Hoover umrze i że wkrótce zacznie się odgrywać szarady, w których obywatele udają, że się domagają, a co więcej dostają pozwolenie na czytanie własnych ocenzurowanych rządowych dossier. Watergate i liczne reperkusje tej afery zakończyły złoty wiek dla Flasha i Frenesi. Zapamiętała, że nie wychodził z domu całymi tygodniami, oglądał relację z przesłuchań, a potem jej powtórki nocą w publicznej telewizji. Siedział na podłodze z głową w Pudle, wpatrując się we wszystko z takim napięciem, w jakim jeszcze nigdy go nie widziała, przez całe lato wkurwiał się i jęczał przed migoczącym ekranem. Wyczuwał, że nadejdzie era oszczędności, zmniejszenia lub zlikwidowania dniówek, zwracania, wycofywania, odmawiania voucherów. Koniec z apartamentami w Ramada Inn przy lotnisku, wypożyczania samochodów gran turismo, przywilejów dla weteranów, darmowych posiłków w barach, dodatków mundurowych, dodatków kostiumowych poza wymaganymi podczas najpilniejszych operacji, a nawet koniec darmowych rozmów telefonicznych. Wymieniono personel, represje trwały dalej, poszerzały się i pogłębiały, stały się mniej widzialne bez względu na nazwiska tych u władzy, a odległa biurokracja zaczęła decydować o przydziale tych dwojga, o nowych adresach i misjach, z których każda oddalała ich oboje od kosztownych przyjemności, od wielkiego formatu, od konieczności noszenia broni. Wplątywano ich w niekończącą się serię coraz bardziej ponurych, drobnych, żądlących operacyjek o zmniejszającym się zakresie i efektach, wymierzonych w zupełnie bezsilne cele – bezsilne w porównaniu z tymi, którzy je organizowali; w istocie tak

bezsilne, że tymi, którzy je organizowali, musiały kierować mniej świetlane motywy niż narodowa racja stanu. Za każdym razem musieli uczyć się nowego scenariusza, głupszego od poprzednich, ćwiczyli role we dwoje, choć przecież nie zawsze pracowali razem. Flash zniknął na długo, nie mówiąc po co, choć czasem, ma się rozumieć, powodem były kobiety. Frenesi szybko doszła do wniosku, że wyjąwszy niespodziewane wyznaczenie, nigdy się niczego nie dowie, więc nie ma sensu się martwić. Zaczęła wierzyć, że właśnie w ten sposób Flash wyraża to, co myśli o tym, co zrobili ze swoim życiem i dla kogo to zrobili.

– Wielka szkoda – próbowała kiedyś zagaić – że najlepsze były te pierwsze przydziały na uczelniach, gdzie udawaliśmy studenckie małżeństwo.

– Teraz to sama rutyna dla cipy – stwierdził zamyślony.

– Fletcher...!

– Och, wybacz. Miałem na myśli waginę, oczywiście!

Jednym z największych zmartwień Flasha było to, że kiedyś, nie tak dawno temu, był banitą z krwi i kości – wielkie kradzieże aut, twarde i niebezpieczne dragi, broń krótka i dynamit oraz trasy na długich dystansach w świetle księżyca. Ale potem go złapali, jego nastoletnia żonka odeszła, sąd zabrał mu dzieci, a Flash się nawrócił, nie miał wyboru, musiał przejść na ich stronę prawa. Lecz wkrótce przekonał się, że nikt mu nie wierzy na tyle, żeby wciągnąć go głębiej w jakąkolwiek strukturę władzy. Więc musiał stać na zewnątrz niczym element dekoracji i trzymać się z tymi, których prowadził lub przez których był prowadzony, a wszyscy oni byli jak rzygacze zawieszane na pionowej fasadzie. Wiedział, że pozwolą mu odejść tylko wtedy, kiedy nie będą mieli już nic do stracenia, gdyby się znowu nawrócił. Oznaczało to dwudziesto- lub trzydziestoletnie orbitowanie wokół krzykliwej neonowej planety młodości – całą karierę w roli śledzonego nastolatka, któremu nowa „rodzina” nigdy nie uwierzy.

Na zdjęciach z prawa jazdy i aresztu, na świątecznych polaroidach czy na starych fotografiach zbiorowych o tak

niskiej rozdzielczości, że żadna z twarzy nie dawała się już rozpoznać, Flash zawsze wyglądał tak samo – był na nich poważnym, szczupłym, przedwcześnie sposepniałym młodym człowiekiem, czujnym i czystym, przystrzyżonym przez jakiegoś lokalnego stylistę. Tak dawno wpadł w pułapkę udawania, że zawsze wie, co robi – co zresztą bardzo pasowało mu na początku – że udawał dalej nawet wtedy, kiedy, jak powiedziałyby Wilson Pickett, „nikogo nie ma w pobliżu”. W tych czasach jego rodzinne obowiązki były całkiem jasne, choć, mówiąc szczerze, niezbyt frapujące, a że nie potrafił wyobrazić sobie, że ich troje kiedykolwiek się rozstanie, wypełniał powinności z na pozór pogodnym stoicyzmem, ale w środku pozostał ekstrawagancko płomiennym zrzedą, który przekonawszy się, że można zrzedzić agresywnie, wykorzystywał to w negocjacjach o tych parę rzeczy, jakie chciał od świata. Jego charyzmą było oburzenie – wiara w to, że go skrzywdzono, pomagająca mu przekonać obcych, w tym zupełnie niezwiązanych z taką czy inną bieżącą sprawą, że są winni. Słyszał z tego, że na autostradach ścigał policjantów na motocyklach, zmuszając ich do zjazdu na pobocze, gdzie wdawał się z nimi w awantury. Nieszczęsny policyjny motocyklista kulił się ze strachu na siodełku, wił się jak piskorz, myśląc „To jakiś wariat”, nie mogąc odnaleźć guzika w radiotelefonie... dziwne... „Czy tylko dlatego, że pozwalają ci jeździć na tym... co to właściwie za gównno... ścigasz się z mopedami? Co to jest? Kto to produkuje? Fisher-Price? Mattel? To motorynka dla Barbie czy co?” U niektórych mężczyzn tego rodzaju kłótniwość byłaby wyraźną oznaką słabości, ale nie u Flasha, bojownika obywatelskich krzywd, wyrównującego rachunki zabójczym wielkokalibrowym ryjem.

W społeczności kapusiów wielu to aprobowało, gdyż wielu miało dosyć tradycyjnego obrazu informatora jako płochliwego szczura.

– Dlaczego mamy szpiclować z ukrycia, jakbyśmy wstydzili się tego, co robimy? – zastanawiał się Flash. Wszyscy kablują. Dokonuje się Rewolucja Informacyjna. Za każdym razem, kiedy

korzystasz z karty, mówisz Człowiekowi więcej, niż powinien. Nieważne, czy mówisz do rzeczy czy bredzisz, jemu to jest potrzebne.

Frenesi pozwalała mu pieprzyć. Spędziła dzieciństwo i wczesną młodość na telefonicznym podsłuchu, z szarymi samochodami po drugiej stronie ulicy, a w szkole obrzucano ją wyzwiskami i prowokowano do bójek. Nie była niemowlęciem z czerwoną pieluchą w ścisłym znaczeniu tego terminu, bo w latach pięćdziesiątych dorastała zaledwie na obrzeżach walki politycznej w Hollywood, ale pierwszą zasadą, jaką poznała, było to, że nie rozmawia się o innych, a szczególnie o ich przekonaniach. Matka czytała wówczas scenariusze, ojciec, Hub Gates, był mistrzem oświetlenia, a ona zamiast bajek słuchała o czarnych listach, szarych listach, dochowanych i zdradzonych sekretach. Dorośli zachowywali się jak najbardziej rozwydrzone bachory, a bachory zachowywały się tak, jakby wiedziały, co się dzieje. Jako domowa recepcjonistka Frenesi musiała nauczyć się i nie mylić długiego spisu pseudonimów oraz tego, kto ich używa i w jakich okolicznościach. Bez względu na to, o co chodziło, nienawidziła i bała się tego wszystkiego: jednej bandy dorosłych nastających na drugą bandę, słów i nazw, których nie rozumiała, choć wiedziała, kiedy Sasha jest bez pracy, a Huba wywalono z filmu – ci dwoje wpatrywali się wówczas w siebie nieustannie, a choć nie mówili za wiele, Frenesi schodziła im z drogi.

Mała Frenesi przysłała na świat tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, a imię nadano jej na cześć płyty Artiego Shawa, którą puszczano we wszystkich stacjach radiowych i wszystkich szafach grających w ostatnich dniach wojny, kiedy Hub i Sasha zakochiwali się w sobie. Frenesi miała własną wersję ich pierwszego spotkania: częściowo rozpuszczony kok, zawadiacko nasunięta na bakier czapka marynarska, jitterbug, wielki zatłoczony parkiet, palmy, zachody słońca, okręty wojenne w zatoce San Francisco, dym w powietrzu, wszyscy palą, żują gumę, piją kawę – niektórzy wszystko naraz. Czająca się w każdym oczach – jak sobie wyobrażała – wspólna

świadomość bycia młodym i żywym w niebezpiecznych czasach, bycia razem przez jedną noc.

– Och, Frenesi... – Matka wzdychała, kiedy Frenesi opisała jej ten kostiumowy dramat. – Gdybyś tam była, inaczej byś śpiewała. Spróbuj kiedyś być kobietą o silnych przekonaniach politycznych w samym środku wojny światowej. Szczególnie wśród napalonych facetów. Byłam głupiutka jak gąska.

Przyjechała do Miasta spośród sekwoi starą drogą 101, nastoletnia piękność o błękitnych oczach i wywołujących gwizdy podziwu nogach, które odziedziczyła córka; była zdana na siebie od najwcześniejszych lat, bo w domu zostało mnóstwo gąb do wykarmienia. Jej ojciec, Jess Traverse, organizował drwali w Vinelandzie, Humboldt i Del Norte, dopóki nie przydarzył mu się wypadek zorganizowany przez niejakiego Crockera „Buda” Scantlinga ze Stowarzyszenia Pracodawców na oczach całej lokalnej społeczności, żeby wszyscy pojęli płynący z niego przekaz: podczas meczu. Jess grał w baseball i jako środkowy stał z samego brzegu boiska. Tamto drzewo rosło w kępie starych sekwoi tuż za płotem, podpiłowano je wcześniej niemal do końca. Nikt na trybunach nie słyszał ostatnich pociągnięć piłą ani wbijania klinów... nikt nie mógł uwierzyć, a kiedy to w końcu zauważono, pień zaczął przechylać się z trzaskiem – reszta żywych stała – i opadać. Kiedy ludzie odzyskali głos, ich krzyk dotarł w końcu do Jessa, a ten uskoczył na tyle daleko, by uratować życie, ale nie nogi. Sekwoja je zmiażdżyła, wbijając go do połowy w ziemię. Potem Stowarzyszeniu zrobiło się przykro, ktoś podrzucił do auta odszkodowanie w torbie na zakupy, firmy ubezpieczeniowe przysłały parę czeków – za mało, żeby utrzymać trójkę dzieci. Sprawą zajął się miejscowy adwokat ubogich, który nie był jednak George’em Vandeverem i niczego nie wskórał, a przynajmniej nie tyle, by Scantling się tym przejął.

Matka Sashy, Eula, pochodziła z Beckerów z okręgu Beaverhead w Montanie. W dzieciństwie bujali ją na kolanach znajomi taty, którzy strzelali do łamistrajków bądź własnoręcznie wrzucali ich do kopalnianych szybów. Szyby

były tak głębokie, że, jak mówiono, prowadziły do samego piekła. Spotkanie z Jessem było czystym przypadkiem, tamtego wieczoru Eula nie miała zamiaru wybrać się do miasta, ale spotkała kilka przyjaciółek, które namówiły ją na spacer do świetlicy IWW⁷ w Vinelandzie, gdzie знаły paru związkowców. Kiedy Eula weszła do świetlicy, zobaczyła Jessa oraz – o czym się wkrótce przekonała – prawdziwą Eulę Becker. „Jess pokazał mi moje własne sumienie – mawiała w późniejszych latach – został strażnikiem całej reszty mojego życia”. Związkowcy – którymi gardzili nie tylko właściciele gruntów w Vinelandzie, ale i niektórzy najemcy tłumaczący sobie, wszyscy razem, nazwę związku jako „I Wieczne Wolne” – nie cieszyli się uznaniem panien na wydaniu, lecz Eula, poznawszy siebie, odkryła to, na czym naprawdę jej zależało: drogę, jego drogę, jego życie włóczęgi, jego pełne niebezpieczeństw czeladnictwo u Idei – marzeniu o Jednym Wielkim Związku nazywanym przez Joego Hilla „wspólnotą znoju, który nadejdzie”. Wkrótce była z nim w ponurych tartacznych miasteczkach na ogołconych z drzew stokach, gdy przemawiał na rogach pokrytych błotem ulic, przy których stały niepomalowane baraki i nadpalone pieńki sekwoi bez choćby jednego listka; kiedy zwracał się do obcych „klasowy bracie” i „klasowa siostrze”, kiedy go aresztowano podczas słownych awantur. Kochali się wśród olch przy ruczaju na majowym pikniku, przyzwyczajali do „bycia razem” w czasie, gdy jedno z nich siedziało w więzieniu – niemal każdego roku. Dobrze zapamiętała ten pierwszy raz, kiedy strzelali do niej agenci Pinkertona w obozie nad Mad River, zapamiętała to lepiej niż rodzenie pierwszego dziecka – Sashy. Po okaleczeniu Jessa osiągnęła wreszcie stan chłodnej wypracowanej furii, do której dorastała, jak jej się wydawało, przez te wszystkie lata. „Żałuję, że nie mogę spakować tobołka i ruszyć z tobą w drogę – powiedziała przed wyjazdem córki. – W tym mieście nic już nas nie czeka. Teraz możemy tylko trwać. Wkurwiać ich dalej. Przypominać każdemu, kto ujrzy Traverse’a albo Beckera, jeśli

już o tym mowa, o tym drzewie, o tym, kto je podciął i dlaczego. To lepsze od pomnika w parku”.

Sasha wyjechała do Miasta, znalazła pracę, wysyłała do domu tyle, ile mogła. Zamieszkała w nieokiełznanym związkowym mieście, wciąż żyjącym w euforii po strajku generalnym z 1934 roku. Zadawała się z dokerami i dźwigowymi, którzy kiedyś rzucali kulki z łożysk pod kopyta policyjnych koni. Zanim wybuchła wojna, pracowała w sklepach, biurach, portach i fabrykach samolotów, a potem dowiedziała się o próbach organizowania robotników rolnych w dolinach Kalifornii. Akcję tę nazywano „Marszem w głąb łądu”, a ona przyłączyła się do niej i sypiała w rowach z imigrantami z Meksyku i Filipin, z uchodźcami ze stanów dotkniętych burzami pyłowymi, stała w nocy na warcie przeciw najemnikom i zbirom ze Stowarzyszenia Farmerów, strzelano do niej niejednym raz, o czym pisała do domu. „Nieźle, co nie?”, odpisywała Eula. Frenesi, dorastając, słuchała opowieści o przedwojennych czasach, o strajku w fabryce konserw w Stockton, o strajkach w sprawie buraków cukrowych z Ventury, kapusty z Venice, bawełny z San Joaquin... o ruchu przeciw poborowi do wojska w Berkeley, gdzie, jak nie omieszkała podkreślić Sasha, długo przed przyjściem Maria Savia⁸ na świat odbywały się demonstracje nie tyle na placu Sproula, ile przeciwko samemu rektorowi Sproulowi. Gdzieś między tym wszystkim Sasha znalazła czas, by działać na rzecz uwolnienia Torna Mooneya⁹, walczyć z niesławnym rozporządzeniem zakazującym pikiet Proposition One i wziąć udział w kampanii Culberta Olsona¹⁰ w 1938 roku.

– Wojna zmieniła wszystko. Umowa była taka, że nie strajkujemy podczas wojny. Wielu uważało, że to jakiś ostatni rozpaczliwy kapitalistyczny manewr, sposób na zmobilizowanie Narodu pod przewodnictwem Przywódcy, nieróżniącego się niczym od Hitlera czy Stalina. Ale z drugiej strony większość z nas naprawdę uwielbiała FDR. Byłam tak skołowana, że na pewien czas rzuciłam pracę, choć wszędzie

było mnóstwo wspaniałych ofert. Musiałam wszystko sobie przemyśleć. Wyobrażasz sobie, jak bardzo mi pomagano.

– A inne kobiety? Nie pomagały ci? – zastanawiała się na głos Frenesi.

– Myślisz o siostrach w walce? O, nie, nie, moje biedne naiwne dziecko, zapomnij o nich. Wszystkie były zajęte. Mężowie wypłynęli w morze, a one miały romanse, wychowywały dzieci, zmagaly się z teściowymi, pracowały albo balowały i nie miały głowy do polityki. Nie miały też głowy na kursy wieczorowe, studentów, nauczycieli i takich tam. Więc kiedy wreszcie pojawił się twój ojciec w wojskowym mundurze, którego nawet z daleka nie widział prawdziwy krawiec... mankiety spodni miał tak wysoko, że widać było spod nich skarpety, za którymi chował zapasowe fajki...

– Widzę te obracające się talerze gramofonów, słyszę te łagodne sekcje dęte – ekscytowała się Frenesi. – Uwielbiam to, mów dalej!

– Och, w knajpach wieczorami było pełno ludzi. Wszędzie mundury. Szaleństwo i awantury jak w filmach z Clarkiem Gable'em. Bary były czynne przez cały dzień i całą noc, trąbki i saksofony ryczały od samego progu, tłumy w hotelowych salach balowych... Anson Weeks i jego Orkiestra w Top of the Mark... strumienie mundurów i kusych kiecek w całym śródmieściu. Żywiłam się lukrowanymi pączkami i kawą bez mleka i w końcu musiałam znów rozejrzeć się za pracą.

Wkrótce została adoptowana – prawdopodobnie również seksualnie, bo nie inaczej, niewinnie – przez mały zespół ze stałym angażem w Tenderloin. Każdego wieczoru do Tenderloin zwalali się marynarze i żołnierze, by tańczyć z dziewczynami z San Francisco do bladego świtu, do muzyki Eddiego Enrica i jego Hong Kong Hotshots.

– Tak jest, byłam ich wokalistką, zawsze umiałam śpiewać, w domu śpiewałam dzieciom kołysanki i nigdy nie się skarżyły. Co prawda, kiedy zaśpiewałam *Gwiazdzisty sztandar* w finale rozgrywek w szkole średniej, moja nauczycielka muzyki, pani Cappy, podeszła do mnie i kręcąc wolno głową, powiedziała:

„Sasho Traverse, nie jesteś Kate Smith!”, ale wcale się tym nie przejęłam, bo chciałam być Billie Holiday. Nie zżerała mnie od środka ambicja, ale miałam takie miłe marzenie. No i wtedy, dosłownie znikąd, pojawił się ten zawodowiec, Eddie we własnej osobie, i powiedział „Umiesz śpiewać”... Nie, nie chciał zaciągnąć mnie do łóżka, miał już dosyć zawracania głowy z byłymi żonami i dziewczynami z tras pojawiającymi się niespodziewanie w mieście, i tak dalej. Zaufałam mu, pracował przez lata w największych orkiestrach: był na wschodzie i grał na congach u Ramona Raquella tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy przerwano im *La Cumparsită*, by podać najświeższe wiadomości o najeździe z Marsa. W końcu, kiedy w mieście zaczęła się moda na boogie-woogie, zebrał własny zespół. No i jeśli Eddie był zdania, że umiem śpiewać, to znaczy, że umiałam. Śpiewałam. Poza tym i tak nikt mnie nie słuchał. Wszyscy chcieli się bawić.

Okazało się, że dopóki miała umyte włosy i nie fałszowała, była kolejnym instrumentem; na jej miejscu mógł być ktokolwiek, ale wybrano akurat Sashę, kiedy pewnego ranka weszła na wysokich obcasach do klubu Full Moon, szukając posady kelnerki, o której usłyszała poprzedniego wieczoru w innym barze. Tak wyglądało wówczas jej życie: włóczenie się po nocnych klubach – za dnia. Full Moon nie był zbyt eleganckim miejscem, ale знаła gorsze. Znalazła właściciela za barem, naprawiał jakieś rury i od razu kazał jej podawać sobie klucze. Do baru wpadł, obmacując się po marynarce, jeden z Hotshotów z Hong Kongu. Szukał portfela. Sasha zauważyła, że nie jest Chińczykiem, podobnie zresztą jak reszta zespołu. Chińskie nazewnictwo kojarzyło się w tamtych czasach z pochodnymi opium, natomiast skład Hotshotów wywodził się głównie z orkiestr wojskowych, na przykład z Dwieście dziewięćdziesiątej ósmej stacjonującej w okolicy, lub też spośród cywilów za młodych albo za starych do służby wojskowej, zatem combo łączyło w sobie młodzieżowy entuzjazm, doświadczenie wieku oraz cyniczny profesjonalizm, z którego słyną orkiestry wojskowe.

– Przepraszam – zwrócił się do Sashy szukający portfela. – Przyszłaś tu w charakterze kanarka?

Że co? – zastanawiała się Sasha. Ale odpowiedziała:

– Jasne. Czy ja wyglądam na hydraulika?

Właściciel wyjrzał spomiędzy rur.

– Śpiewasz? Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

Muzyk, którym był Eddie Enrico we własnej osobie, usiadł przy fortepianie, a Sasha niespodziewanie zaczęła śpiewać *I'll Remember April* w tonacji G. Dlaczego wybrała akurat ten kawałek? Tonacja zmienia się w nim ze sto razy. Ale Hotshotom musiało rozpaczliwie brakować kanarka, bo Eddie nie starał się, żeby padła, przeciwnie, pomagał jej, sygnalizując zmiany akordów, dyrygując nią łagodnie, zanim zgubiła melodię. Kiedy skończyli – jednocześnie – właściciel rzucił na nią okiem.

– Masz coś... eee... modniejszego do wrzucenia na grzbiet?

– Jasne. Wkładam to, kiedy szukam posady kelnerki. Co by pan wolał: złotą lamę czy suknię bez ramion obszytą norką?

– Okay, okay, myślę tylko o chłopakach w mundurach.

Zupełnie jak Sasha, która wraz z Eddiem zaczęła już cztery szybkie takty *Them There Eyes*. Odpięła guziczek sukienki, zdjęła kapelusz, udrapowała grzywkę nad jednym okiem jak Veronika Lake i znów przeszli razem przez całą piosenkę bez specjalnych kłopotów.

– Zapytam żony – powiedział właściciel. – Może znajdzie ci coś wystrzałowego.

Śpiewała przez pewien czas w Full Moon. Zdarzało się, że chłopaki i dziewczyny, zamiast tańczyć, otaczali kręgiem podest dla orkiestry i stali przed nim, trzymając się za ręce i kołysząc w rytm muzyki. Jakby naprawdę słuchali. Początkowo przyjmowała to nieufnie. Dlaczego nie chcą tańczyć? Kto im każe kołysać się powoli w zachwycie? Ale potem stwierdziła, że to kołysanie pomaga jej odnaleźć się w muzyce.

Ostatniej wojennej wiosny i ostatniego wojennego lata San Francisco naprawdę zaczęło pałać i gorzeć, przez miasto przewalały się tabuny żołnierzy w drodze na Pacyfik, w tym mat-elektryk, Hubbel Gates, który dostał przydział na świeżo

zwodowanym długokadłubowym niszczycielu klasy Sumner. Niszczyciel popłynął przez ocean na Okinawę i zdążył zaliczyć trafienie podczas pierwszego kwadransa działań bojowych. Trafił go kamikadze, a okręt dowlókł się do Pearl Harbor, gdzie go wyremontowano. Kiedy remont dobiegł końca, było już niemal po wojnie, a Hub miał więcej niż ochotę na romans.

– Posłuchaj, to było zdumiewające – oznajmiła Sasha. – Pozwalał mi myśleć na głos, jako pierwszy mężczyzna w moim życiu. – Po jakimś czasie myśli Sashy uporządkowały się. niesprawiedliwość, jaką widywała na ulicach i polach wiele razy – zbyt wiele razy – pozostawała niewyrównana, a ona ujrzała ją bardziej dosłownie, nie jako dzieje świata, nie jako walkę klas ani nic teoretycznego, lecz jako człowieka, pojedynczego człowieka, zazwyczaj mężczyznę żyjącego tu, na tej planecie, często w zasięgu ręki, i popełniającego zbrodnie, duże i małe, jedną po drugiej, przeciwko innym ludziom. Może wszyscy powinniśmy ulec Historii, zastanawiała się, a może i nie, ale sprzeciw wobec bandytyzmu z konkretnym imieniem i nazwiskiem, z konkretną twarzą, to całkiem inna sprawa.

– Myślała, że jej słucham – wtrącał w tym momencie Hub – Jak cholera! Słuchałbym jej, nawet jakby czytała tego tam... Trockiego! Jasne! Choćby po to, żeby spędzić z nią trochę czasu. Myślała, że jestem nie wiem jakim politycznym umysłem, a mnie chodziły po głowie tylko takie myśli, jakie chodzą po głowie marynarzom na przepustce.

– Potrzebowałam wielu lat, żeby przekonać się, jak mnie nabrał – dodawała Sasha, kiwając głową z udawaną irytacją. „To najboleśniejsza prawda, z którą musiałam się zmierzyć. Twój ojciec nie ma w sobie ani krztyny myśli politycznej.

– Słuchaj uważnie, co mówi. Co za kobieta! – dodawał z uśmiechem.

Frenesi nie po raz pierwszy kręciła głową od jednej do drugiej rodzicielskiej twarzy, jakby montując dwa przeciwne ujęcia dialogujących aktorów. Przeżyła już sporo takich „wymian poglądów”, jak je nazywał Hub. Najczęściej kończyły się wrzaskami oraz rzucaniem domowymi sprzętami

i wiktuałami. Wiedziała, że rodzice lubią wspominać minione wydarzenia, szczególnie z lat pięćdziesiątych, z czasów antykomunistycznego terroru, spisku milczenia trwającego do dziś. Znajomi Huba sprzedawali znajomych Sashy i vice versa, a oboje wycierpieli całkiem sporo z rąk tego samego sukinsyna. Dla Sashy okres czarnych list – ze skomplikowanymi sądowymi tańcami ruchających i wyruchanego, ociekający zdradą, tchórzostwem i kłamstwem – był naturalną kontynuacją działalności przemysłu filmowego w jego wcześniejszej postaci, choć w formie politycznej. Wszyscy, których znali, wymyślali inne historie, żeby się wybielić i pogrążyć pozostałych.

– Historia w tym mieście – zrzędziła Sasha – jest tyle samo warta co pierwszy lepszy scenariusz i dzieje się w taki sam sposób: kiedy tylko pojawia się pierwsza wersja, staje się własnością wszystkich. Złazą się ludzie, o których nie słyszałaś, i zaczynają w niej dłubać. Postaci i czyny zmieniają role i wydzwięk, płynące z głębi serca słowa młotkuje się na amen albo w ogóle usuwa. Hollywood z lat pięćdziesiątych jest teraz wyraźnie za długą, przepisywaną wielokrotnie wersją pierwotnej historii, w dodatku niemą, rzecz jasna, bo nikt nic tu nie mówi. To nieme kino.

Była prawdopodobnie zgorzkniała, lecz nauczyła się maskować to chłodną nonszalancją podpatrzoną u Bette Davis. Frenesi musiała zdać sobie z tego sprawę stosunkowo wcześniej, bo zawsze gdy oglądała w Pudle *Wszystko o Ewie*, wracała pamięcią do najwcześniejszych wspomnień o olbrzymce o niewyraźnych rysach, która unosi ją wysoko i deklamuje: „Zapnij pasy, cwaniaczku, będzie kołysało”. Wybuchła uradowana śmiechem i przytuliła ją. Po co komu w domu marudne dziecko?

Frenesi wchłaniała politykę przez całe dzieciństwo, lecz później, oglądając z rodzicami stare filmy w Pudle, łącząc po raz pierwszy w głowie odległe obrazy z prawdziwym życiem, miała wrażenie, że wszystko źle zrozumiała, bo przywiązywała zbyt dużą wagę do czystych emocji, prostych konfliktów, podczas gdy w rzeczywistości przez cały czas działało się coś

zupełnie innego, a na jej oczach rozgrywał się wielki dramat, który nie znalazł uznania w Filmie. Postawiła ważny krok w politycznej edukacji. Nazwiska na szybko przewijających się napisach, niemające żadnego znaczenia dla młodszych widzów, wywoływały u rodziców burczenie żołądka, pomruki wściekłości, pogardliwe prychnięcia, a w skrajnych przypadkach doprowadzały do szybkiej zmiany kanału. „Myślisz, że będę siedziała i oglądała to beztalencie? Tego łamistrajka!” Albo: „Chcesz zobaczyć spaprany plan? Przyjrzyj się, jak trzaska drzwiami! Widzisz? Cała ściana lata. To stolarka łamistrajków przysłanych przez jakiegoś lokalnego mafiosa z IATSE¹¹. Tak wygląda produkcja łamistrajków”. Czy też: „Ten kutas? Myślałam, że już nie żyje. Widzisz ten napis? – Sasha podchodziła szybko do telewizora, żeby pokazać palcem inkryminowane nazwisko. – Faszystowska kurwa – stukała wściekle paznokciem w ekran – wisi mi za dwa lata pracy! Mogłabyś pójść na studia za to, co ten skurwysyn mi wisi”.

Pamiętała, że wzdłuż całej pogrążonej w ciemnościach ulicy mrugały sinawo nieme telewizory. Zlatywało się zewsząd dziwne głośne ptactwo i zachowując ciszę, przysiadło na palmach, by wypatrywać szczerów między palmowymi liśćmi, albo też podlatywało do okien i znalazłszy wygodne miejsce, siedziało i oglądało obrazki. Ptaki śpiewały podczas reklam, a czasem nawet bez nich, nieziemsko czystymi głosami. Sasha wychodziła na werandę po zmroku, robiła na drutach, siedziała, rozmawiała z Hubem albo sąsiadem. Autostrada była daleko, więc gwizd przedrzeźniaczy w koronach drzew niósł się przez całe przecznice, przenikliwy jak piszczałka, choć dziecko mogło przy nim usnąć bez najmniejszego kłopotu...

Odkąd Frenesi zniknęła z powierzchni cywilnego życia, za każdym razem, kiedy obowiązki sprowadzały ją do LA, specjalnie, a nawet rytualnie, wyprawiała się na wschód od La Brea na nizinę domków mieszkalnych, między bungalowy o stromych dachach z jasnymi smugami, gdzie czekały psy i warczały kosiarki, żeby znów odnaleźć to miejsce i przejechać

obok na niskim biegu, tak jak robiło to FBI przez jej całe dzieciństwo, żeby zobaczyć Saszę, której jednak nigdy nie ujrzała, ani razu, nawet na podwórku czy przez okno, aż za którymś razem dostrzegła na podjeździe nowe maszyny, a obok nich odblaskowy trójkołowiec i porozrzucane na trawniku zabawki, więc musiała, choć nie miała na to ochoty, zapukać do drzwi kilku wiszących jej przysługi dłużników, żeby dowiedzieć się, dokąd wyprowadziła się matka – do małego mieszkanka, jak się okazało, w tej samej okolicy. Dlaczego? Czy wytrwała w domu tak długo, jak tylko mogła, mając nadzieję na powrót Frenesi, a w końcu któregoś dnia, przygnieciona ciężarem lat lub tym, że dowiedziała się czegoś niewybaczalnego o córce, poddać się wreszcie i zwyczajnie się jej wyrzec?

Wierząc, że promieniowanie z telewizyjnego ekranu wymiecie z pokoju duchy jak miotła, włączyła telewizor i sprawdziła program. Za chwilę mieli nadawać powtórkę *CHiPs*, niezapomnianego serialu o gliniarzach na motocyklach. Poczula przyspieszone tętno, ostrzegawczą wilgotność. Niech się wściekają smętne feministki, Frenesi i tak wiedziała, że na świecie jest mnóstwo kobiet, które – jak ona – szaleją na punkcie mężczyzn w mundurach, miewają na autostradzie erotyczne fantazje o policjantach z drogówki, a nawet – jak sobie to teraz uplanowała – dotykają się, oglądając w Pudle powtórki Poncha i Jona. I co z tego? Sasha uważała, że córka „odziedziczyła” po niej ten mundurowy fetyszym. Dziwne, że akurat Sashy przyszło coś takiego do głowy, ale Frenesi od czasu pierwszej Parady Róż aż do teraz czuła w sobie tę nieuchronność, tę bezradną fascynację obrazami władzy, a szczególnie umundurowanymi mężczyznami – czy to na stadionie, czy w Pudle, czy to aktorami w filmach o odwiecznych wojnach, czy nawet maître d'hôtel w restauracjach, nie wspominając już o kelnerach i garsonach. Co gorsza, uważała, że przypadłość ta będzie przekazywana dalej, jakby Kosmiczny Faszysta powiązał na zawsze akurat tę sekwencję DNA, która prowadzi do takiej formy uwodzenia i inicjacji w mroczne uciechy kontroli społecznej. Zanim

którykolwiek z jej przyjaciół czy wrogów zwrócił na to uwagę, Sasha na własną rękę doszła do wniosku – i musiała się z nim zmierzyć – że istnieje ohydne prawdopodobieństwo, iż cały jej sprzeciw wobec wielorakich form autorytetu i władzy, choć sprawiedliwy i dobry, wypływa w gruncie rzeczy z potrzeby wyparcia niebezpiecznego rozedrgania, w jakie wpadały na obrzeżach jej wzrokowe półkule mózgowe za każdym razem, kiedy docierał do nich obraz maszerującego wojska, z potrzeby wyparcia zwilgotniałej uwagi i – być może – z przekleństwa przodków. Frenesi – ze względu na polityczną niepoprawność tej teorii – początkowo zareagowała na nią gniewem, potem uznała ją za irytującą, a obecnie, po blisko dwóch dekadach milczenia, jakie zapadło między nią a matką, za wartą smętnego pociągnięcia nosem. Obróciła telewizor, położyła się na kanapie, rozpięła spodnie i była gotowa zabrać się za siebie, kiedy nagle wydarzył się cud, o jakim marzy każda telewizyjna nimfomanka, a mianowicie rozległo się krótkie męskie pukanie do kuchennych drzwi, a za nimi, za siatką przeciw owadom, wyrósł na ganku rozpikselowany jak w telewizorze maleńkimi drucianymi oczkami przystojny krępy szeryf w pełnym umundurowaniu, w kapeluszu na głowie, ze służbowym coltem przy skórzanym pasie. Trzymał w ręku kopertę. Jego partner czekający obok samochodu w chylącym się ku zachodowi słońcu był jeszcze przystojniejszy.

Od razu rozpoznała kopertę. Był w niej czek z federalnym stypendium, na które czekała od zeszłego tygodnia jak na spóźniony okres. Nie przyszedł pocztą, znajdował się w wielkiej, chropowatej, ukrytej w rękawicy dłoni stróża prawa, dłoni, której Frenesi – zbliżająca się do czterdziestki, lecz wciąż mająca ochotę – specjalnie dotknęła, odbierając czek.

Uniósł okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnął się.

– Nie była pani jeszcze w biurze, prawda?

U.S. Marshals administrowali i obsługiwali program ochrony świadków, a Frenesi po każdym nowym przydziale zawsze składała kurtuazyjną wizytę w ich biurze, niczym ambasador przybywający na placówkę z listami uwierzytelniającymi.

– Dopiero się wprowadziliśmy – odpowiedziała z naciskiem na liczbę mnogą, żeby przekonać się, co się stanie.

– No, tak. Nie widzieliśmy jeszcze także... eee... – zerknął do skórzanego notesu – ...Fletchera.

Oparł rękę o framugę i gadał oparty, jak chłopcy w szkole średniej. Idąc do kuchennych drzwi, zapięła rzecz jasna spodnie, ale miała rozpiętą dosyć mocno koszulę i nie nosiła oczywiście stanika. Przekrzywiła głowę, żeby zerknąć na zegarek na opalonym policyjnym nadgarstku, zaledwie kilkanaście centymetrów od opalonej policyjnej twarzy.

– Powinien niedługo wrócić.

Opuścił okulary i zaśmiał się.

– To może jutro? Zaraz po ósmej rano? Da pani radę?

Zadzwoił telefon w głębi domu.

– Może to on? Może dzwoni, żeby powiedzieć, że się spóźni? Może pani odbierze?

– Miło się z panem gawędziło. Zatem do jutra.

– Mogę zaczekać.

W połowie drogi do telefonu zerknęła przez ramię, ale nie zaprosiła go do środka. Z drugiej strony, nie mogła powiedzieć mu, żeby sobie poszedł, prawda?

Dzwonił Flash z terenowego biura, w którym pracował, ale nie po to, by powiedzieć jej, że się spóźni, bo nigdy tego nie robił i wracał, kiedy mu się podobało.

– Nie wpadaj w panikę, ale... Miałaś dziś jakichś gości?

– Jest u mnie szeryf, który osobiście dostarczył czek, co wydało mi się nieco dziwne.

– Przyszedł czek? Wspaniale! Posłuchaj, czy mogłabyś wyjść najprędzej jak się da i zrealizować dla nas ten czek, kochanie?

– Co się dzieje, Flash?

– Nie wiem. Wpadłem do biura i zacząłem rozmawiać z tą Grace, tą Meksykanką, którą ci kiedyś pokazywałem...

Wielkie cycki.

– Aha.

– Powiedziała, że pokaże mi coś śmiesznego. Ale to wcale nie było śmieszne. Okazuje się, że wielu ludzi, których znamy... nie

ma już w komputerze. Zwyczajnie zniknęli.

Mówił lekko drżącym głosem, jak Johnny Cash, a ona nauczyła się rozpoznawać te sygnały, ten stuprocentowo wiarygodny zły omen. Drzenie głosu oznaczało – jak powiadał – głębokie szambo, za każdym razem.

– Justin niedługo wróci. Mam się zacząć pakować?

– Eee... najpierw zrealizuj czek, jeśli będziesz mogła, najdroższa, a ja wrócę najszybciej, jak zdołam.

– Pajac – rzuciła i odwiesiła słuchawkę.

Szeryfowie odjechali na dobre, ale oto tylnymi schodami wspinał się Justin, trzymając się metalowej poręczy, a za nim jego kolega Wallace, a za Wallace'em jego zasapana potężnie mama, Barbie. Frenesi przytuliła na chwilę synka, całując go w gołe ramię, a potem obaj z Wallace'em popędzili do sypialni, która stała się pokojem dziecięcym.

– Szarańcza! – Barbie westchnęła.

Frenesi stała przy przelewowym ekspresie do kawy.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że kawa już jakiś czas stoi.

– Im dłużej, tym lepiej. – Barbie pracowała na pół etatu w sądzie, a jej mąż na pełen etat w budynku federalnym, oboje znaleźli zatrudnienie w różnych gałęziach wymiaru sprawiedliwości; na zmianę z Frenesi opiekowały się czasem dziećmi, choć mieszkały w przeciwnych końcach miasta. – Jesteś wolna w poniedziałek, nie?

– Jasne! – Jasne. – Posłuchaj, Barb, wiem, że nie powinnam cię prosić, ale bankomat bez przerwy wypluwa mi kartę, nikt nie wie dlaczego, bo nie mam debetu, a dziś bank już zamknięty, a dostałam czek, chyba jednak nie mogę...

– W zeszłym tygodniu byłoby mi łatwiej, liczyliśmy na świadczenia, które miały nadejść, ale wyobraź sobie, powiedzieli nam, że „zagubiły się” w komputerze, prawdziwa niespodzianka.

– Komputery... – zaczęła Frenesi, ale w napadzie paranoi ugryzła się w język i nie powtórzyła przyjaciółce tego, co usłyszała od Flasha. Zamiast tego dodała coś o czeku.

Chłopcy oglądali kreskówki, a one usiadły w kuchni w wietrzyku wpadającym przez siatkowe drzwi, piły kawę i opowiadały sobie komputerowe horrory.

– Kiedyś narzekąło się na pogodę – zauważyła Barbie. Flash wrócił, kiedy ona i Wallace wychodzili.

– Barbie! Ooo! Popatrzmy! – Chwycił ją za lewą rękę, obrócił, a potem z rozbawieniem przyjrzał się jej dłoni. – Nadal zameźna, he?

– No. Tak jak J. Edgar Hoover jest nadal martwy.

– ...widzenia, panie Fletcher! – wrzasnął Wallace.

– Widziałeś wczoraj mecz, Wallace? Co ci mówiłem?

– Dobrze, że się nie założyłem o tę forszę na lunch.

– Flash! – ryknęły obie kobiety jednocześnie.

Flash stał na ganku i przyglądał się, jak Barbie i Wallace wsiadają do samochodu i odjeżdżają. Machał im na pożegnanie.

– Nie zachowywała się dziwnie?

– Nie. Dlaczego?

– Jej stary jest jakimś bonzem w biurze regionalnym, nie?

– Siedzi za biurkiem, Flash. W administracji.

– Hm. Myślisz, że jestem zdenerwowany? Aha, co z czekiem? Zrealizowałaś? Jasne, że nie... dlaczego w ogóle pytam? Przez całe życie. Mogę na niego zerknąć? – Zmrużył oczy, podstawiając czek pod światło z każdej strony. – Wygląda dziwnie. Nie? Nie sądzisz?

– Zajmę się nim, jak zjemy – obiecała. – Powiedz mi lepiej, kogo nie ma w komputerze i dlaczego doprowadziło cię to do szaleństwa.

Przyniósł do domu sporządzoną na kolanie listę, na której znajdowały się nazwiska wolnych strzelców, takich jak oni. Frenesi wyjęła z lodówki dwie zamrożone, czy raczej rozmrożone do połowy ze względu na zepsutą lodówkę, pizze, włożyła je do piekarnika i zabrała się do robienia sałatki, a Flash otworzył piwo i zaczął odczytywać nazwiska. Byli wśród nich alumnowie więzienia Long Bihn, półprofesjonaliści z ław przysięgłych, windykatrzy i panie na sznurkach, które przekonano, żeby pomogły usidlić byłych klientów, szpicle

o fotograficznej pamięci, dziewice w dziedzinie morderstw, fałszerze czeków, wciągacze koki i ci, co kompulsywnie chwytają kobiety za tyłki, a każdy z nich miał więcej niż dosyć powodów, żeby szukać schronienia w cieniu federalnego skrzydła, a niektórzy z nich przy odrobinie szczęścia mogli się pod tym skrzydłem ukryć.

Tak im się przynajmniej wydawało. Bo teraz, gdy zgubili się w komputerze, czy mogą czuć się bezpiecznie?

– Jesteś tego pewny? – drążyła. – Wiesz na pewno, że ta... jak ona ma na imię... dobrze to sprawdziła?

– Sam to sprawdziłem. Wpisywałem nazwiska, wciskałem „Enter” i pojawiał się komunikat „Plik nie istnieje”. Mało? Miałem ją pobić? To dałoby ci pewność?

– To poważna sprawa?

– Jak cholera.

Właśnie wtedy nadszedł Justin; skończyła się kreskówka, a jego rodzice stali się na chwilę całkiem znośnym programem, przynajmniej na pół godziny. I dobrze, że przyszedł, bo ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowali, była kłótnia lub to, co uchodziło w ich oczach za kłótnię: coś w rodzaju gry w inwazję z obcej planety, podczas której Flash strzelał pretensjami o różnych rozmiarach i szybkości, a Frenesi starała się je parować lub neutralizować, zanim padło jej własne pole grawitacyjne.

– Suchaj, Justinuś, co tam u Transformatorów, ładują się jak zawsze?

– A jak było u Wallace’a?

Chłopiec uśmiechnął się łagodnie, machnął ręką, a potem przyłożył dłoń do ucha jak Reagan mówiący: „Ze co?”.

– Poproszę o kolejny zestaw pytań. – Justin rozejrzał się z rozbawieniem po kuchni. – Mamo? Podniosłaś, zdaje się, rękę?

– Masz teraz za swoje! Za te wszystkie pytania, którymi nas zasypywałaś...

– Amen – wtrącił Flash.

– ...nie tak dawno temu.

– Niczego takiego nie pamiętam! – Hamował się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, bo doskonale pamiętał, ale chciał się z ojcem podrażnić.

– Chyba się starzejesz, człowieku – mruknęła Frenesi.

– Zadawałeś nam w kółko mnóstwo pytań. – Flash dał się nabrać. – Na przykład: „A co to metal?”

– Albo: „Skąd wiesz, kiedy śnisz, a kiedy nie?” – przypomniała sobie Frenesi. – To było moje ulubione.

Zajęła się pizzą, a Flash odszedł na chwilę zerknąć do Pudła. Po chwili, kiedy już jedli, odezwał się, jakby spadł z kosmosu:

– Dwie możliwości widzę.

Wiedziała, że ma na myśli komputerową listę. Pierwsza z tych możliwości sprowadzała się do tego, że ci, którzy byli na liście, już nie żyją albo ukrywają się przed tymi, z którymi współpracowali, bo ci... i to był najgorszy scenariusz... ale nie mogła powiedzieć o tym na głos, nie chciała psuć apetytu synowi, który pochłaniał pizzę zgodnie z takimi samymi prawami fizyki jak te, które umożliwiały Dagwoodowi Bumsteadowi jedzenie kanapek. Zaryzykowała drugą możliwość:

– Może przeszli na drugą stronę, wyszli na powierzchnię, ujawnili się światu?

– No. Ale dlaczego?

Justin, z kawałkiem pizzy w połowie drogi do ust, mruknął:

– Może obcięli im wszystkim budżet?

Flash potargał mu włosy, jakby usłyszał dowcip.

– Kiedyś to było dziecko. Co się stało?

– Czego się nasłuchałeś, Justin?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Powtarzam wam, ludzie, powinniście oglądać MacNeila i Lehrera, przez cały czas gadają o budżecie, prezydencie Reaganie i Kongresie. Teraz też, jeśli was to interesuje. Czy mogę odejść od stołu?

– Ja... – Flash spojrział pytająco na Frenesi – ...nie mogę! Zaraz do ciebie... eee... przyjdę. Myślisz, kochanie, że Justin ma

rację? Że wywalają ludzi z Programu, bo jest za wiele gęb do wykarmienia?

– Nic nowego. – Był to znany od dawna sposób, by ludzie od brudnej roboty, młodociąni, szpicle i niebieskie ptaki skakali sobie do gardeł, rywalizując o zmniejszające się fundusze, by mieli nigdy niepotwierdzone oficjalnie przekonanie, że Departament Sprawiedliwości pozostaje w nieustannym kontakcie z tym, co nazywa się „przestępczością zorganizowaną”, w związku z czym lista współpracowników jest płynna, bardzo płynna.

– Ale nie w takiej skali – rzucił Flash, machając wydrukiem.
– To masakra!

Rozejrzała się po domu, do którego jeszcze się na dobre nie wprowadzili – prawda? – więc dlaczego zrobiło się jej smutno na myśl o nieuchronnej wyprowadzce?

– Spróbuję zrealizować ten czek w Bramie Siedem – powiedziała. – Najszybciej jak się da. – Wyszła wprost na zachód słońca, w oddali ruch lotniczy, śródmieście rzucało poświatę. Wsiadła do służbowego cutlassa supreme Flasha i ruszyła do niewielkiej miejscowości nazywanej Bramą 7, która wyrosła przez lata na obrzeżach gigantycznej niewidzialnej bazy wojskowej. Jeśli wierzyć drogowskazom rozmieszczonym wzdłuż starego systemu drogowego biegnącego przez wielkie betonowe korytarze, w których niosło się echo i kładły cienie, bram było przynajmniej ze sto, a każdą z nich przeznaczono do wpuszczania – lub niewpuszczania – innej kategorii przybyszów. Nikt nie wiedział na pewno, ile jest tych bram. Niektóre stały w oddali, trudno było do nich dojechać, a jeszcze trudniej przedostać się przez nie ze względu na silne fortyfikacje, ale rzadko kto z nich korzystał; inne, jak Brama 7, wypączkowały osiedlami oraz centrami handlowo-usługowymi.

Sklep Quik Liquor i Deli przy Bramie 7, przycupnięty wśród ślimaków i rozjazdów, był zapchany. Właśnie skończyła się piątkowa zmiana, na parkingu było jak w zoo, więc Frenesi zaparkowała przy jezdni z przodu, pod niezapaloną latarnią. W sklepie kręcili się i awanturowali mężczyźni i kobiety

w mundurach, po cywilnemu, w garniturach, w strojach wyjściowych i roboczych, trzymając w zębach sześciopaki, pod pachą dzieci lub wielkie torby chipsów, czytając pisma i tabloidy, a wszyscy, jak się wydawało, liczyli na zrealizowanie czeków. Frenesi ustawiała się w kolejce pod jarzeniówkami, pod cuchnącą spalinami klimatyzacją, a na drugim końcu kolejki dostrzegła dwie zatrudnione na część etatu uczennice szkoły średniej, z których jedna siedziała przy kasie, a druga pakowała zakupy. Żadna z nich nie miała prawa – jak się okazało po upływie pół godziny, kiedy Frenesi stanęła przed kasą – zrealizować czeku.

– Gdzie jest kierownik?

– Ja zastępuję kierownika.

– Spójrz, to rządowy czek, często realizujesz takie czeki: czeki z bazy, zgadza się?

– No, ale to nie jest czek z bazy.

– To jest czek z budynku federalnego w centrum, z numerem telefonu. Zadzwoń do nich.

– Jest już po godzinach pracy, proszę pani. Czym mogę panu służyć? – Kolejka za Frenesi wydłużyła się i stała się niecierpliwsza. Frenesi spojrzała na dziewczynę: pewna siebie mina, kiepski nastrój. Chciała jej powiedzieć: hej, dzieciaku, lepiej, kurwa, uważaj! Ale dziewczyna była w wieku Prairie... i może przyjdzie jej siedzieć za tą kasą przez resztę życia, a Frenesi miała już dawno za sobą dni największej świetności w pionie federalnym, kiedy to jeden telefon wystarczał, by rozwiązać wszelkie spory, więc nie mogła się za bardzo rzucać. Upokorzona, bezradna, wyszła spocona jak mysz na przesadnie poszarzałe nocne ciemności, smród samochodów, brak ulicznych lamp, odległe, trudne do zlokalizowania dudnienie gdzieś z głębi bazy.

Pojechała do śródmieścia, zachowując wielką ostrożność, bo nie chciała w tym stanie zrobić nikomu krzywdy. Znalazła sklep z alkoholem, gdzie realizowano czeki, lecz w środku uzyskała taką samą odpowiedź. Wyszła niemal z siebie, ale pojechała do

kolejnego supermarketu. Tym razem powiedziano jej, żeby zaczekała, aż ktoś wykona telefon.

I właśnie tam, wpatrując się w długi rząd mrożonek tuż za kasami i w śmiertelną czerń za frontowymi oknami, przeżyła rzadką, acz rozpoznawalną chwilę niekwestionowanego satori. Pojęła, że topory Reaganomiki tną na oślep, że ona i Flash nie są żadnym wyjątkiem, że prawdopodobnie porzucono ich już na pastwę świata na powierzchni i niedokończonych spraw, które tam zostawili... jakby przez te wszystkie lata żyli poza czasem, a teraz, wskutek niezrozumiałego kaprysu czegoś, co sprawuje władzę, znów znaleźli się w zegarowym werku przyczyn i skutków. Gdzieś czeka na nich prawdziwy topór czy coś równie boleśnie piątkowotrzynastego i terminalnego jak ostrze przecinające mięso – przecinające z oddalenia, w jakim znajdują się wobec nich Frenesi, Flash i Justin, klawisze alfanumerycznej klawiatury, która oznacza nieważkość, niewidzialny łańcuch elektronicznej obecności lub nieobecności. Jeśli strumienie jedynek i zer są jak życie i śmierć i jeśli wszystko, czym jest człowiek, da się zapisać w pamięci komputerowej za pomocą jedynek i zer, to jaka istota powstanie ze strumienia życia i śmierci? Z pewnością wyższa o jeden poziom – jak anioł, półbóg czy to coś, co siedzi w UFO. Trzeba będzie ośmiu ludzkich żyć i śmierci, żeby zapisać tylko jeden znak z imienia tej istoty, a jej pełne dossier może pochłonąć znaczną część dziejów świata. Jesteśmy cyframi w boskim komputerze – nie tyle pomyślała, ile zaśpiewała pod nosem do jakiejś melodii gospel – a do czego się nadajemy, żywi lub martwi, tylko On wie. Nasze łzy, nasze marzenia i wszystko inne na tym świecie znoju i krwi nie zasługuje na uwagę hakera, którego nazywamy Bogiem.

Wrócił kierownik nocnej zmiany, trzymając przed sobą czek jak jednorazową pieluchę.

– Wstrzymali realizację.

– Banki są zamknięte. Jak to zrobili?

Znacząca część kariery zawodowej kierownika nocnej zmiany w supermarkecie upływa na objaśnianiu prostych

życiowych faktów bandzie komputerowych analfabetów, którzy przychodzą do sklepu.

– Komputer – zaczął łagodnie po raz któryś z rzędu – nigdy nie śpi i nie ma przerw w pracy. Jest czynny codziennie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę...

Posiadłość Wayvone'ów zajmowała kilkanaście hektarów na wzgórzu na południe od San Francisco, rozciągał się z niej widok na zatokę, most San Mateo i okręg Alameda, najczęściej poprzez smog, choć dziś powietrze było przejrzyste. Dom, wzniesiony w latach dwudziestych w stylu śródziemnomorskiego renesansu, prezentował od strony ulicy skromną parterową fasadę, za którą w dół stoku spływała ośmiopoziomowa gigantyczna willa otynkowana gładko na biało, z łukowatymi oknami i czerwoną dachówką, ogrodowym pawilonem, dwoma werandami, ogrodami i dziedzińcami, figowcami i drzewami oliwnymi, mandarynkami, brzoskwiniami, bugenwillami, mimozami, barwinkami oraz – wszędzie dziś na cześć panny młodej – białymi plantacjami jaśminu, zsuwającymi się w dół stoku niczym ślubny tren, gwarantującymi w nocy, po odwiezieniu gości do domu, eteryczne baśnie o rajach.

Z basenu wielkości Morza Kaspijskiego wyłoniła się postać w kąpielówkach w szkocką kratę od Brooks Brothers; nawet przy pobieżnym spojrzeniu nie dało się jej pomylić z otaczającymi ją posągami z białego marmuru. Ralph Wayvone Senior zarzucił na siebie ręcznik ukradzony nie tak dawno z Fairmont i wspinał się po schodkach, by stanąć i spojrzeć w dal ponad murem oporowym, który w porannej mgłę zdawał się zamykać nie tyle krawędź uskoku, ile krawędź świata. Miał przed sobą zaledwie kilka sylwetek drzew; autostrady i El Camino Real były dziwnie ciche, i właśnie w takich chwilach Ralph Senior, ceniący spokój jak każdy człowiek, robił sobie

mikrowakacje na wysepkach czasu, kruchych i bezcennych niczym jakieś Tahiti.

W oczach obcych Ralph Senior wyglądał na takiego szefa, którego wyobrażenie o władzy ucieleśnia klęcząca pod biurkiem sekretarka, ale w gruncie rzeczy troszczył się o innych bardziej, niż było to w różnych okresach pożyteczne. Uwielbiał dzieci i prawdziwie zajmował się nimi, całymi hordami dzieci pojawiających się na rodzinnych przyjęciach takich jak dzisiejsze. Dzieciaki wiedziały o tym, doceniały to i rewanzowały mu się nie mniejszym uwielbieniem. Przyjaciół cenił za gotowość do mówienia bez owijania w bawełnę takich rzeczy, jak: „Twój problem, Ralph, polega na tym, że jak na robotę, której się podjąłeś, masz za małego zajoba na punkcie władzy” albo „Pozwalasz sobie na złudzenie, że to, co robisz, naprawdę się liczy, ale w gruncie rzeczy głównie cię to obchodzi”. Psychoanalityk mówił mu dokładnie to samo. Jeden pan Bóg wie, kto ma rację, bo Ralph tego nie wiedział. Przeglądając się w lustrze, widział wysportowanego mężczyznę w sile wieku, który regularnie korzysta ze spa i gra w tenisa, oraz ma w ustach kosztowną robotę dentystyczną, z której pomocą jada powściągliwie i stylowo. Ma cudowną żonę, Shondrę. Czy można chcieć więcej? A dzieci... miały jeszcze czas, a jak wiadomo, czas pokaże. Gelsomina, najmłodsza, bierze dzisiaj ślub z wykładowcą z LA, z dobrej rodziny, z którą Ralph robił wolne od skarg i zażaleń, a nawet honorowe interesy. Dominic, „filmowy baron”, jak nazywał go Ralph, przyleciał wczoraj z Indonezji, gdzie kierował na planie produkcją gigantycznego obrazu, którego budżet wymagał poprawek co godzinę, przez co Dominic nie odchodził od telefonu. Przyjdzie spory rachunek, ale ci, co go podsłuchują, będą mieli niezły zgryz. Ralph Junior, który pewnego dnia przejmie stery Ralph Wayvone Enterprises, przyjechał na jeden dzień z Vinelandu, gdzie zarządzał gościńcem Cucumber Lounge.

– Jedyne, co musisz zapamiętać – powiedział synowi Ralph Senior w dniu jego osiemnastych urodzin na wcześniejszym

o trzy lata przyjęciu z okazji *ventunesimo*, co było podyktowane koniecznością i rozsądkiem, gdyż Ralph Junior zaczął wykazywać niezwykły talent do ściągania sobie na głowę kłopotów – zanim za bardzo się zaangażujesz, to to, że jesteśmy spółką całkowicie zależną.

– A co to znaczy? – zapytał Ralph Junior.

W dawnych czasach jego ojciec wzruszyłby ramionami, odwrócił się bez słowa i wyszedł, żeby rozpaczać w samotności. Stali wtedy w piwnicy z winem i Ralph Senior mógłby go w niej zostawić sam na sam z butelkami. Lecz zamiast tego zadał sobie trud wyjaśnienia synowi, iż w gruncie rzeczy do rodziny „nic nie należy”. Co roku otrzymują budżet od korporacji, do której należy wszystko. I tyle.

– Jak angielska rodzina królewska, co nie?

– Synu mój pierworodny – Ralph przewrócił oczami – jeśli ci to pomoże... owszem.

– To ja byłbym jak ten... księżę Karol?

– *Testa puntita*, błagam.

Ale zaniepokojone oblicze młodego Wayvone'a rozjaśniło się na widok zakurzonej butelki Brunello di Montalcino rocznik 1961, leżakującej tu od dnia jego narodzin tylko w jednym celu: odkorkowania jej właśnie dziś, w dniu jego wejścia w dorosłość. Szkoda tylko, że tę część zawartości butelki, która przypadnie mu w udziale, spotka ten sam smutny porcelanowy los co tańsze wina, które pija w nadmiarze.

Gelsomina, jako córka, nie miała rzecz jasna swojej butelki. Ale czy się na to skarży? Dzisiejsze wesele kosztuje Ralpa więcej niż ten dom. Po pełnej ślubnej mszy będzie przyjęcie z homarami, kawiozem i *tournedos à la Rossini*, oraz bardziej swojskim żarciem, takim jak ziti z pieca i skomplikowana zupa ślubna, którą umie przyrządzać tylko jego zacna szwagierka Lolli. Wino będzie się lało strumieniami, począwszy od czerwonego własnej roboty po szampan Cristal, a wzgórze zaludnią setki wypindrzonych znajomych, krewnych i współpracowników, z których większość będzie w nastroju do świętowania. Jedynym znakiem zapytania, ale niezbyt palącym,

była muzyka, gdyż orkiestra symfoniczna San Francisco bawiła na zagranicznym tournée, a eleganckie combo, które Ralph Senior zarezerwował na samym początku, wpadło w tarapaty w Atlantic City, gdzie niechcący przedłużono mu angaż, aż odrobi to, co przegrało w kasynie w rezultacie kilku niezbyt mądrych zakładów. Wynajęte w ostatniej chwili przez Ralpha Juniora na północy zastępstwo – wynajęte bez przesłuchań – Gino Baglione and the Paisans, nikomu nie było znane. Lepiej, żeby się spisali – Ralph miał tylko tyle do powiedzenia na ten temat. Nawet nie tyle do powiedzenia, ile do pomyślenia, kiedy zaczęła unosić się mgła, spod której nie ukazały się obrzeża wieczystej otchłani, ale zwyczajna Kalifornia, taka sama jak wczoraj.

Zespół przyjechał koło południa po dwóch dniach leniwej, pełnej objazdów podróży przez krainę win, nadbrzeżny okręg Marin i Berkeley. Wjechali w końcu na górę myślącą płataniną krętych uliczek i zaczęli dopieszczać po drodze kostiumy i makijaż: lśniące krótkowłose peruki w syntetycznym odcieniu ciemny brunet, jednolicie szykowne pistacjowe garnitury o kontynentalnym kroju, złotą biżuterię i dolepione sztuczne wąsy. Zatrzymali się w końcu przed główną bramą wjazdową do ekskluzywnego osiedla Lugares Altos, gdzie kazano im opuścić pojazd i poddano dyskretną kontrolę osobistą, a także skanowi w poszukiwaniu metalowych obiektów do wielkości broszki oraz urządzeń elektronicznych włączonych i wyłączonych. Młody Ralph czekał niecierpliwie na parkingu Wayvone'ów, gdzie wszyscy wyładowali się ponownie. Panie Vomitonesów, w tym Prairie, także postarały się stonować swój ekstrawagancki image za pomocą peruk, makijażu i sukienek pożyczonych od bardziej normalnych przyjaciółek. Billy Barf, którego znajomość włoskiego ograniczała się do tekstów deuteragonisty Donkeya Konga oraz kilku reklam makaronu w puszkach, uparł się, żeby mówić z niedoskonałym w każdej sekundzie etnicznym akcentem, na szczęście Isaiah Dwa Cztery połapał się w porę, jak bardzo nieautentyczne są te usiłowania i jak wielki kryje się w nich potencjał zniewagi, więc odciągnął

młodego frontmena na stronę i zamienił z nim dwa słowa, choć Ralph Junior, mówiący po kalifornijsku przez całe życie, wcale nie poczuł się urażony, wzięwszy sposób wysławiania się Billy'ego Barfa za wrodzoną wadę wymowy.

– Robiliście to już, co nie, chłopaki? – pytał raz po raz, kiedy wyładowywali instrumenty, wzmacniacze i cyfrowe interfejsy, by przenieść to wszystko do wielkiego przewiewnego namiotu rozstawionego przy krawędzi niewielkiej łączki, gdzie krążyli lokaje w liberiach, którzy rozstawiali szkło i rozkładali serwetki, znosili tony kostek lodu, kosztowne przekąski, kwiaty oraz składane krzesła, omawiając przy tym głośno i zawzięcie najważniejsze kwestie związane z wykonywanymi przez siebie obowiązkami, które przecież spełniali już tysiące razy.

– Gra na weselach to nasz żywioł – uspokajał Ralpha Billy Barf.

– Spoko, okay? – mruknął Isaiah.

– No ta! Święta prawda. – Lester, gitarzysta rytmiczny, zachichotał. – Billy, jak to spieprzysz, będzie po nas.

Odegrali pierwszy zestaw utworów: łagodnych melodii pop, rockandrollowych klasyków, a nawet paru broadwayowskich standardów. Ale w przerwie pojawił się wielki emisariusz, zaufany i totumfacki Ralpha Wayvone'a Seniora, „Two-Ton” Carmine Torpidini o wyraźnie stożkowatej głowie, który przyniósł wiadomość dla Billy'ego Barfa.

– Pozdrowienia od pana Wayvone'a, który śle podziękowania za dotychczasowy nastrój. Bajecznie przypadł on do gustu wszystkim młodym ludziom. Pan Wayvone pyta jednak, czy w drugiej części nie zagralibyście czegoś dla starszego pokolenia, czegoś, co wpadłoby w ucho starszym... czegoś włoskiego?

Vomitonesom nie trzeba było powtarzać tego dwa razy, rozpoczęli część drugą od przeciwiczonej wielokrotnie składanki włoskich melodii z przewijającym się wątkiem transcendencji: *More z Pieskiego świata* (1963) w rytmie salsy, *Senza Fine z Lotu Feniksa* (1966) w wolnym rytmie na trzy czwarte, a na koniec angielskojęzyczną, podaną nosowym

tenorem Billy'ego, wersję *Al Di La* z różnych seriali telewizyjnych.

Jakże zakłopotany wydawał się Billy, kiedy Two-Ton Carmine zjawiał się ponownie, tym razem zadyszany z pośpiechu, z zaczerwienionym i podekscytowanym obliczem, jakby czuł, że wreszcie nadchodzi chwila, w której weźmie się za zwykłą brudną robotę, za którą mu płacono.

– Pan Wayvone mówi, że nie przypuszczał, że będzie musiał wchodzić w szczegóły, ale rozchodzi mu się o coś bardziej w stylu *C'e la Luna* i *Aviomarina*, no wiecie, takie numery do wspólnego śpiewania, i też trochę opery, może *Cielo e Mar*, nie? Brat pana Wayvone'a, Vincent, jak chyba słyszeliście, jest doskonałym śpiewakiem...

– No... – mruknął Billy, jakby nie rozumiał po angielsku. – No... tak. Jasne! Mamy gdzieś te aranze...

– W furgonetce – odpowiedział szeptem Isaiah.

– ...w furgonetce – powtórzył Billy Barf. – Zaraz po nie pój... – Nie dokończył, bo gdy zabrał się za zdejmowanie gitary z szyi, Carmine chwycił za instrument i zaczął nim obracać w kółko, zaciskając coraz mocniej i mocniej pasek na szyi frontmena.

– Aranze! – parsknął rozeźlony Carmine. – Jaki aranż jest ci potrzebny do *Aviomarina*? Podobno jesteście Włochami, nie?

Zespół milczał nieprofesjonalnie, przyglądając się garotowaniu wokalisty. Byli w przeważającej części białymi anglosaskimi protestantami szkocko-irlandzkiego pochodzenia, z wyjątkiem jednego Żyda – w składzie nie znalazł się żaden Włoch.

– Katolikami! – ryknął Carmine, podkreślając tę uwagę szarpnięciem paska od gitary. – Mam was zmusić do deklamowania dziesięciu zdrowasiek? Nie? Więc powiedzcie mi, póki jeszcze jest czas, co się tu, do cholery, dzieje? Mały Ralph nie dogadał się z wami? Hej, a co to? Chwila... – Podczas garotowania wokalisty i szarpania go za szyję „włoska” peruka Billy'ego zsunęła mu się z głowy, ukazując jego prawdziwą fryzurę, ufarbowaną dziś na jaskrowoturkusowy kolor. – Wy nie jesteście żaden Gino Baglione and the Paisans! – Carmine

pokręcił głową, splótł dłonie i strzelił palcami. – Jesteście bandą oszustów! Wiecie, że możemy wytoczyć wam proces?

Isaiah, widząc, że spanikowany Billy Barf zupełnie zapomniał o zatrzaskach na obu końcach paska przytrzymującego gitarę na szyi, podszedł do kolegi i odpiął pasek od instrumentu, co pozwoliło odetchnąć zataczającemu się do tyłu wokaliście.

– Pan pozwoli. – Isaiah zwrócił się do Carmine’a. – Jako osoba grająca na perkusji, jestem przyzwyczajony do mocnego uderzenia i niemiłych niespodzianek, które rytmizują w taki sposób, żeby ludzie mogli tańczyć, tylko tym się zajmuję na co dzień, natomiast pan, jako koneser muzyki i człowiek, który, wnosząc z pańskiego wyglądu, odebrał w życiu kilka mocnych uderzeń, dostrzega zapewne, że obecny kryzys nie jest wart takiego emocjonalnego zaangażowania, jakie pan rozważa, nie wspominając już o siniakach na szyi Gina czy, jak pan woli, Billy’ego, które zmuszą go do noszenia bandany całymi tygodniami, co będzie miało niewątpliwie różnorakie reperkusje muzyczne i wywoła panikę licznych młodych wielbicielek, które, jak może pan sobie wyobrazić, źle zniosą domysły, że dał się pokąsać innym fankom, więc po co w ogóle zajmować się mocnym uderzeniem, jeśli można to załatwić delikatnym pociągnięciem szczoteczki po górnym perkusyjnym talerzu naszego życia, he? Mam rację, czy nie?

– Że co...? – wymamrotał jak zahipnotyzowany przerośnięty goryl. – Tak... chłopcze... masz rację. Co przyznaję z bólem, bo miałem ochotę na małą konfrontację z przeważającymi siłami wroga.

– Świetnie! – rzucił Billy Barf gdzieś zza wzmacniacza, gdzie gorączkowo szukał kluczyków do furgonetki. – Świetnie, że wszystko sobie wyjaśniliśmy.

Na szczęście w bibliotece Ralpa Wayvone’a stał od jakiegoś czasu niezbędny w takich okolicznościach egzemplarz *Włoskiego śpiewnika weselnego wraz z akordami* pióra Deleuze’a i Guattariego, po który Gelsomina, panna młoda – chcąc uchronić własne weselne przyjęcie przed przynoszącymi

pecha złymi omenami, takimi jak krew na weselnym torcie – pobieгла i przyniosła Billy’emu Barfowi. Na nieszczęście Billy, ściskając z determinacją kluczyki w garści, oddalił się już na parking, co doprowadziło do tego, że panna młoda musiała uganiać się w babcinej sukni ślubnej za jakimś nie-Włochem o turkusowych włosach, co z kolei – zdaniem co bardziej tradycyjnych elementów skupionych wokół Ralpha Wayvone’a – urągało przyzwoitości i domagało się pomsty. Zatem mimo wigoru, z jakim zespół zabrał się za wykonywanie weselnej muzyki, mimo tańców i okrzyków radości oraz mimo uratowania najważniejszego dnia w życiu Gelsominy Wayvone, wisząca nad głową Billy’ego Barfa niewypowiedziana groźba paraliżowała wokalistę przez resztę wieczoru, gdyż domniemany Gino był święcie przekonany, że w najwyższych kręgach wydano już na niego wyrok śmierci.

– Hej, Bill, jak będą chcieli cię schłodzić, to i tak to zrobią – pocieszał go basista Vomitonesów o pseudonimie artystycznym Meathook. – Jedyne, co może cię uratować, to automatyczny karabin szturmowy kalibru dwadzieścia dwa. Przynajmniej paru ze sobą zabierzesz, jak po ciebie przyjdą.

– Neeeeee... – nie zgodził się wirtuoz trąbki 187, którego artystyczny pseudonim był numerem paragrafu kalifornijskiego kodeksu karnego, mówiącego o morderstwie – ...tylko patałachy posługują się bronią maszynową. Bill musi nauczyć się walki wręcz, kupić sobie nóż, nunczako i poćwiczyć jeet kune do...

– Zabawa się skończyła, Bill – dodał grający na klawiszach Bad. – Wyjedź z miasta albo wynajmij sobie ochronę.

– Isaiah, człowieku, wstaw się za mną – prosił Billy.

– Jakkolwiek na to nie patrzeć – odrzekł Isaiah – podobało im się *Volare*.

Podczas całego tego zamieszania Prairie znajdowała się jeden czy dwa poziomy wyżej; stała na poły zrozpaczona przed ozdobnie obramowanym, nakrapianym złotem zwierciadłem, jednym z wielu wiszących tam, gdzie się pudruje nosek, czyli w damskiej toalecie o niebywałym poziomie bezguścia. Właśnie

doświadczyła czegoś na kształt NONSENSUF – Nieopanowanej Obsesji Nastolatki Sensu Stricto Uczesania Fryzury. Pozostałe Vomitonetki latały z pofarbowanymi włosami albo w perukach, natomiast Prairie, chcąc wyglądać przyzwoicie, musiała tylko wyszczotkować włosy. „Świetnie!”, powiedział jej taktowny jak zwykle Billy. „Nikt nawet na ciebie nie spojrzy”.

Wpatrywała się we własne odbicie, w buzię, która od zawsze była dla niej czymś w rodzaju zagadki, choć przecież Zoyd i Sasha nie ukrywali przed nią fotografii mamy. Potrafiła wyróżnić w swoim obliczu rysy ojca – zadarty podbródek, wygięcie brwi – ale od dawna umiała je blokować i odnaleźć twarz mamy w tym, co zostało. Znów zaczęła układać fryzurę za pomocą koralowego plastikowego grzebienia do tapirowania, podwędzonego dla niej w butikiu przez znajomą. Lustra irytowały ją, szczególnie takie jak te, wiszące nad marmurowymi umywalkami z syrenkami zamiast kurków, w pomieszczeniu wielkości dworca autobusowego, ze ścianami pokrytymi złocistym aksamitem z wypukłym wzorem heraldycznym, z różowymi i kremowymi akcentami oraz fontanną pośrodku, będącą reprodukcją – w odpowiedniej skali – jakiejś rzymskiej fontanny, oraz z ukrytymi głośnikami, z których sączyła się niczym jad lekkostrawna muzyka klasyczna z lokalnej stacji radiowej.

Prairie szesała długą grzywkę do przodu, a resztę odgarnęła na ramiona – był to najpewniejszy sposób, żeby się rozwalić do reszty, bo bez względu na okoliczności, a nawet porę dnia czy nocy, pod grzywką żarzyły się szmaragdowo i wyzierały na nią z cienia oczy tak niebieskie, że łatwo mogła sobie wyobrazić, iż należą do ducha mamy. A duch ten – jeśli wpatrywała się w niego pół sekundy za długo – zaczynał mrugać, podczas gdy jej oczy pozostawały otwarte, poruszał też ustami i mówił jej rzeczy, których wolałaby nie słyszeć...

A może chciałaś je słyszeć przez całe życie, tylko za bardzo się boisz? – pytała ją, jak jej się wydawało, ta druga twarz, unosząc brew odrobinę wyżej od Prairie. Nagle tuż za sobą ujrziała inne odbicie, które mogło stać w lustrze od jakiegoś

czasu i które – co dziwne – chyba znała. Obróciła się szybko i stanęła oko w oko z prawdziwą masywną kobietą, która przysunęła się nieco za blisko. Była wysoka i jasnowłosa, miała na sobie zieloną sukienkę koktajlową, która może i pasowała do koloru jej włosów, ale nie do sposobu, w jaki się nosiła – atletycznego, niemal wojowniczego; wpatrywała się w dziewczynę w skądś jej znany, lekko defensywny sposób, jakby właśnie miała podjąć przerwana rozmowę.

Prairie obróciła grzebień o sto osiemdziesiąt stopni, kierując ku nieznajomej ostro zakończoną rączkę.

– Jakiś problem, proszę pani?

Ni z tego, ni z owego w podniszczonej skórzanej torbie na ramię, należącej do nieznajomej i odstawionej na kafelkowy blat obok płóciennej piaskowej torby Prairie, rozległa się cicha piszcząca melodia w trójgłosowej harmonii – szesnaście taktów motywu z *Hawaii Five-O*, które zaczęły się powtarzać, potencjalnie bez końca.

– Przepraszam, czy nie masz przypadkiem w torebce starej wizytówki Takesiego Fumimoty? – Kobieta sięgnęła do własnej torebki i wyjęła z niej nieduże srebrzyste pudełeczko, wciąż grające do stop-klatek tancerki hula, setek różnych ujęć oceanu, biegnącego Danna zapatrzonego w dal błękitnymi oczyma i McGarretta na hotelowym tarasie.

– Proszę – odpowiedziała Prairie, podając kobiecie opalizującą kartę. – Dostałam ją od taty.

– Mój skaner wciąż jest zaprogramowany tak, żeby je wyłapywać, ale myślałam, że te weteranki trafiły już do kosza. – Wyłączyła muzykę tuż po części, która leci tak:

*Na ulicach Ho-NO-lu-lu-lu-lu-LU,
Pełno jest prze-mo-cy i bó-lu-lu-lu.
My nie śpimy nigdy, chociaż drzemie zło,
Dobra wysłannicy... z Hawaii Five-O!*

Wyciągnęła rękę.

– Nazywam się Darryl Louise Chastain. Ja i Takeszi jesteśmy współnikami.

– Mam na imię Prairie.

– Kiedy przyglądałam się przed chwilą twojemu odbiciu w lustrze, wydało mi się, że jesteś kimś, kim być nie możesz.

– Oo... ja też gdzieś już panią widziałam... Hej, chwileczkę... DL Chastain, DLC... zawsze myślałam, że to ksywa... coś jak sztuczny diament, ale to pani, jasne, że to pani! Wygląda pani inaczej, ale babcia pokazywała mi wasze stare fotki. Pani i mojej mamy!

– Twojej mamy? – Prairie zauważyła, że DLC odetchnęła w wyćwiczony i świadomy sposób, jak niektórzy pracownicy Bodhi Dharma Pizza Temple. – Litości... – Kiwnęła głową, uśmiechając się lekko, przy czym z jednej strony uśmiech był szerszy niż z drugiej. – Jesteś córką... Frenesi. – Wypowiedziała to imię nie bez wysiłku, jakby nie mówiła go na głos od dosyć dawna. – Twoja mama i ja... biegałyśmy razem w dawnych czasach.

Wyszły na dwór i znalazły zaciszne miejsce na tarasie, gdzie Prairie opowiedziała DL – jak kazała się nazywać DLC – o pogłoskach na temat powrotu mamy, o facecie z DEA, któremu odbiła szajba, o jego filmowych planach oraz o zajęciu ich domu przez oddziały paramilitarne z Departamentu Sprawiedliwości.

DL słuchała jej z poważną miną.

– Jesteś pewna, że mówiono o Brocku Vondzie?

– No. Tata mówi, że to sukinsyn.

– Nawet skurwysyn. Mamy niewyrównaną karmę, ja i Brock. Wygląda na to, że ty też. – Położyła japoński amulet na blacie stołu. – Takeszi nazywa te wizytówki weksłami *giri*, takimi karmicznymi wierzytelnościami. Bierze mnóstwo amfy, popada w megalomanię, chce zbudować w oparciu o te weksle ogólnoswiatowy system monetarny i tak dalej... ale honoruje każdą wizytówkę, która do niego wraca. Miałaś zamiar się nią posłużyć?

– Czuję się jak Dumbo z tym piórkiem, teraz chwyciłabym się wszystkiego. Tylko dlaczego? W jaki sposób twój wspólnik może mi pomóc? Odnajdzie mamę?

DL znalazła się w kropce. Spędziła lata z Takeszim, lecz wciąż nie wiedziała, co on może. A czego nie może. Jeśli Frenesi naprawdę wypływa na powierzchnię, każdy głupi będzie mógł ją odnaleźć. Lecz jeśli Brock Vond spuścił psy ze smyczy, jej ruchy mogą nie być tak oczywiste.

Cokolwiek powie teraz tej dziewczynie, nie będzie to, prawdopodobnie nigdy nie będzie, prawdą. Improvizowała więc:

– Mija... minęło... ile?... z piętnaście lat... tyle, ile ty masz... udawania, działania w dobrej wierze w sprawach, które teraz wydają się obłąkane, kłamstw, donoszenia na siebie... Minęło za dużo czasu, a każdy pamięta wszystko inaczej...

– Mam ci najpierw opowiedzieć o sobie, zanim ty opowiesz mi swoją historię?

– Wiedziałam, że zrozumiesz.

Obok przechodził kelner w liberii z tacą zastawioną kieliszkami szampana, a Prairie – która nie piła nawet piwa – i DL – która ze względu na zasady światopoglądowe sprzeciwiała się wszelkim używkom – wzięły po kieliszku.

– Frenesi Gates... – DL stuknęła kieliszkiem w kieliszek dziewczyny, a przez plecy Prairie przebiegł dreszcz.

Nad odległą łączką unosiła się muzyka Vomitonesów przedzierających się z brzękiem przez suitę z *Toski*.

– No, tak... tata i babcia opowiadają mi ciągle to samo. Biorę ich w krzyżowy ogień pytań, usiłuję ich podejść, ale jeśli pominąć jakieś drobne szczegóły, utratę pamięci od ćpania i tak dalej, albo mówią prawdę, albo dawno temu uzgodnili zeznania, prawda? – Czekala, aż DL powie jej, że jest za młoda na taką paranoję. Ale DL uśmiechnęła się tylko znad krawędzi wysmukłego kieliszka. – Okay, więc mama kręciła filmy w imię Rewolucji, którą chcieliście wzniecić, ukrywała się, ścigali ją listami gończymi, FBI rozlepiło jej podobizny w urzędach pocztowych, przez jakiś czas Zoyd służył jej za przykrywkę

i wtedy zrobili mnie... i byliśmy rodziną, dopóki federalni nie dowiedzieli się, gdzie jest, więc musiała zniknąć... zapaść się pod ziemię. – Głos Prairie drżał lekko i uporczywie.

Podziemie. Jasne. DL powinna była wiedzieć, że sprzedadzą dziewczynce tę bajkę. Podziemie. No, dobra, ale jak ma powiedzieć jej to, co wie, i jak może tego nie zrobić?

– Brock Vond – zaczęła ostrożnie – miał w tamtych czasach własną ławę przysięgłych. Byli wszędzie, wyjmowali przeciwników wojny, radykalnych studentów, stawiali ich w stan oskarżenia i właśnie tak zrobili z twoją mamą. Tego rodzaju przestępstwa nie przedawniają się, więc akt oskarżenia ciągle jest w mocy.

Prairie zrobiła minę z gatunku „nic z tego nie rozumiem”.

– Chcesz powiedzieć, że wciąż jest ścigana, po piętnastu latach, za pieniądze podatników! Jakby nie było dosyć prawdziwych przestępców!

– Z tego, co usłyszałam od ciebie, zgaduję, że twoja mama siedzi po uszy w jakimś gównie, że ściga ją Brock, który zajął nawet wasz dom, co oznacza, że chodzi mu również o ciebie, może chce cię wziąć jako zakładniczkę i wymienić na mamę? – Wszystko to brzmiało jak wyjaśnianie dziecku, czym jest gwałt, bez mówienia o seksie.

– Ale dlaczego?

No tak. W popołudniowym cieniu powieki dziewczyny wydawały się lekko przymknięte, gdy, zupełnie niewinna i nieświadoma, chwytiała się z obłąkaną córczyną nadzieją każdego słowa i każdej pauzy między słowami. DL spojrzała na nią wymownie, jakby Prairie miała sama to wykombinować. Dziewczyna z wielką niechęcią musiała przyznać w duchu, że wszystko wskazuje na to, iż między jej matką a Brockiem Vondem zaszło coś niebezpiecznie osobistego. Straszliwie bała się wkraczać na to terytorium, podobnie zresztą jak DL. Hector, miotający się na stole w Bodhi Dharma Pizza, wrzeszczał coś o gościu, który odebrał Zoydowi „jego starą”. Prairie myślała, że chodzi o aresztowanie, które zmusiło mamę do ucieczki, czy coś w tym rodzaju. Ale może nie...

W pomarańczowym świetle słońca goście w sukniach z górnej półki Magnina, w koszulach z żabotami, smokingach i frakach rzucali coraz dłuższe cienie na stok wzgórza, wędrując, zbijając się w grupy i przegrupowując się z jedzeniem, piciem, cygarami, tańcami i kłótniami. Niektórzy z nich podchodzili chwiejnym krokiem do mikrofonu, żeby zaśpiewać gościnnie z zespołem. Prairie stwierdziła, że ma pusty kieliszek, a po chwili, że znów jest pełny. W pewnym momencie pojawił się jakiś starszy, lekko wstawiony gość, który pocałował DL w rękę i chciał złapać ją za tyłek, ale musiała się tego spodziewać, bo po uniku facet nawet jej nie tknął. Zarzuciło go za to obok Prairie przez niski murek na bufet na niższym poziomie. – Shondra i dzieci wyglądają cudownie – powiedziała DL, gdy facet wrócił i został przedstawiony Prairie jako ich gospodarz, Ralph Wayvone. – Nie chciałabym sikać do półmiska z ponczem – dodała DL – ale powinieneś wiedzieć prędzej niż później, że Prairie miała niedawno do czynienia z twoim starym partnerem od bezika, Brockiem Vondem.

– *Porca miseria*. – Ralph aż usiadł. – Myślałem, że w końcu uda mi się o nim zapomnieć. Myślałem, że nawet ty zdołasz o nim zapomnieć. Znów się pomyliłem, hę?

– Zdaje się, że on nie chce zapomnieć o mnie.

– Przeszłość... – Łypnął wzrokiem. – Mój psychoanalityk twierdzi, że powinienem zostawić ją za sobą. Ma rację, prawda?

– No cóż, Ralph... – DL przeciągała samogłoski. – Chodzi o to, rozumiesz, że Brock nie należy obecnie do przeszłości, znów jest w czasie teraźniejszym i rozpierała okrąg Vineland, jakby dowodził siłami okupacyjnymi.

– Ej, ja nie mam nic wspólnego z tymi, co uprawiają marihuanę, okay? Wiesz o tym. Kiedy tylko usłyszałem o tej antynarkotykowej histerii, zdywersyfikowałem działania na całym rynku. Poza tym mówimy o republikańskim Departamencie Sprawiedliwości! Współpracuję z tymi ludźmi od zawsze.

– Jasne, tylko że oni nie wiedzą czasem, kiedy się zatrzymać. Tak czy inaczej, nie chodzi im o marychę, jeszcze nie sezon.

Brock nie odbiera, jak słyszę, telefonu i nikt nie wie, co się naprawdę dzieje, oprócz tego, że jeden pojeb najechał z całą armią Kalifornię.

Ralph Wayvone stanął chwiejnie na nogach. Miał posępną minę. Poklepał DL po ramieniu.

– Każę ludziom usiąść przy komputerze, zadzwonić tu i tam. Będziesz w okolicy?

– Jadę w góry, mam rendez-vous z Takeszim.

– Pozdrów go ode mnie.

Ruszył do domu. Słońce chyliło się ku zachodowi, a DL i Prairie wciąż miały wiele spraw do omówienia.

– Myślisz, że jestem jak te dzieciaki z talk-show Phila Donahue – wymamrotała Prairie – co stają po latach przed drzwiami jakiejś kobiety i krzyczą „mama, mama!”. Hej... cenię swoją prywatność, czasem o nią walczę, wiem, ile jest warta, i nie mam zamiaru rzucić się na mamę i wywrócić jej życia do góry nogami.

– Ale to, Prairie, jest małe piwo w porównaniu z problemem Brocka. On jest niebezpieczny.

– A nie możemy jej odnaleźć przed nim? – Prairie wypowiedziała to zdanie z tak nieskrywaną tęsknotą, że DL wbiła wzrok w czubki pantofli jak stepujący amatorsko tancerz.

– Powinnaś przynajmniej wysłuchać tego, co ma do powiedzenia w tej sprawie Takeszi. Masz jakiś powód, żeby ze mną nie jechać?

Prairie wyjęła wizytówkę, którą dostała od Zoyda, i przysunęła ją do spoczywającego w torebce DL skanera. Znów zabrzmiał temat McGarretta – melodia, obbligo i akompaniament.

– Muszę ci zaufać.

– Musisz zaufać sobie. Jeśli to dla ciebie za trudne, nie rób tego. To wszystko.

– Chodź, poznasz Isaiaha.

Znaleźli go w furgonetce z Meathookiem, wciągał parę kresek, przygotowując się na nadgodziny.

– Heeej, a oto i ona! – Wyszczrzył zęby. – Dobrze wieści! Ralph Junior wynajął nas do Cucumber Lounge. Jak się uda, będziemy tam grać na stałe.

– Więc wracacie do Vinelandu?

Zmarszczył brwi, położył wielką dłoń na jej ramieniu, jakby chciał rozwiązać zagadkę.

– Ty nie wracasz? – Spojrzał na DL, a Prairie przedstawiła ich sobie, opowiedziała Isaiahowi o amulecie i Japończyku, który jest jej dłużnikiem. – Ale obiecałem twojemu tacie...

– Powiedz mi o wizytówce, którą od niego dostałam, i wszystko będzie w porządku. A poza tym, im dłużej jestem z wami, tym bardziej was narażam. Samochód jest poszukiwany... nie wiem...

Isaiah zerknął na DL, poruszając brwiami jak unoszący zdobycz orzeł skrzydłami.

– Ona jest wporzo, chiba – mruknęła Prairie.

– Śpiewasz? – chciał się dowiedzieć Meathook o lśniącej białej i nieco znieczulonej górnej wardze.

– Jak będziecie grzeczni – DL się rozpromieniła – zaśpiewam wam historię mojego życia.

I stało się tak, że zerwał się lekki zefirek, który poruszył wszystkimi listkami w okolicy, wzdłuż alejek i w koronach drzew rozkwitły cytrynową zielenią i żółcią girlandy świateł, Ralph Wayvone – uwielbiający hymny w tonacji uzis-moll – poprosił wydaną za męża córkę do fokstrota, a DL podeszła swobodnym krokiem do mikrofonu i stanęła przed zgromadzoną na nowo formacją Vomitonesów, trzymając przed sobą w charakterze rekwizytu pistolet maszynowy uzi – wyjęty wcześniej ze zręcznością, jakiej nie powstydziałaby się żadna kunoichi, z pochwy pewnego goryla („Hej, przystojniaku, pożyczysz mi tę zabaweczkę?”). Obróciła pistoletem niczym coltem w westernie, roztrzepała włosy i przytupując do rytmu, zaśpiewała z akompaniamentem zespołu:

*Zabawka fruzi to zgrabne uzi
Mała miss świata używa gnata...*

*Mogłam być modelką śliczną
Lub cnotliwą zakonnicek.*

*Och, czy by-było, tak by-było,
Bez przyjaciela z Izraela?
Ni słońce, ni piach, nie zatnie się,
Trach... nie mój strach...
A jakie mam zamiary? Sta-ry,*

*Zostaw se okula-ry. Niech noszą
Twoje cór-ki te koralików sznur-ki...
Ja śmigam białym merc-em,
Ja biorę to co zechc-em...*

*Smutki topię w jacuzzi, z uzi.
Bo życie jest radości usłane kwiat-em
Dla ślicznej fru-zi, co nosi u-zi
I dla miss zatem, co chodzi z gna-tem.*

Ralph uwielbiał tę piosenkę, więc krzyknął „BIS!”, lecz DL odrzuciła uzi prosto w ręce skonsternowanego adwognata, a Isaiah zwolnił rytm i w ośmiu ostatnich taktach załomotał przy nieparzystych w krawędzie talerzy, co jest starą koncertową sztuczką, którą odpowiednio uwarunkowana amerykańska publiczność przyjmuje dzikim aplauzem, dokładnie tak jak teraz, choć tu i ówdzie dały się jeszcze słyszeć okrzyki „Kim jest twój agent?” i „Masz męża?”.

Vomitonesi chcieli grać dalej, ale DL z żalem odeszła od mikrofonu i w towarzystwie Prairie i Isaiaha ruszyła pośród lampionów i obudzonego nocą jaśminu na parking, gdzie stał jej wóz – czarny trans-am '84 z dodatkowymi aerodynamicznymi osłonami, bocznymi rurami, pigułami i fasetami, jakich się nie uświadczy w standardowym modelu, a wszystko to pokryte zdumiewająco treściwymi prążkami autorstwa legendarnego Ramona z La Habra, układającymi się w kilka motywów, w tym eksplozje i węże.

- Megazajefajny, chiba – zachwycił się Isaiah. – Co potrafi?
- Jeździć. Jak ma wenę.

– Prairie, jeśli nauczę cię szybko grać na perkusji...

Spojrzała na niego z niskiego fotela, górował nad nią na tle świetlnego smogu, przez który przebijało się zaledwie kilka gwiazd.

– Jak zobaczysz tatę...

– Jasne. Podjedziemy i rzucimy okiem na dom, jeśli chcesz.

– Przepraszam za to wszystko, Mój Garniturze z Krempliny.

– Będzie dobrze niedługo, zobaczysz. – Przyklęknął, by pocałować ją na pożegnanie. – To tylko krótka przerwa na reklamy. Trzymaj się, Prair.

DL pozwoliła młodym na jeszcze jeden cmok i przekręciła zapłon, a wokół rozległ się groźny, acz muzykalny pomruk, przy którym Isaiah Dwa Cztery złapał się w ekstazie za głowę. Trans-am cofnął się, zawrócił i przy majestatycznym dętym chorale neoglasspakowych tłumików – zamieniających spalanie w muzykę w różnych tonacjach w zależności od biegu – odjechał, a chorał cichł z każdym kolejnym zakrętem, by zagrzmieć po raz ostatni przed bramą i podjąć na nowo zamierającą melodię, która wtopiła się wreszcie w szum odległej autostrady.

Opisywana w „Światowym Almanachu Ruchawek” jako „coś w rodzaju Instytutu Esalen dla dzid” górską samotnia Żeńskiego Zgromadzenia Służebniczek Kunoichi stała na słonecznym, nakrapianym ciemną kalifornijską zielenią wzgórzu nad płytką dolinką oddzieloną kilkoma zaledwie graniami od torów Southern Pacific, a prowadzący do niej drogą gruntową ostatni podjazd był dosyć przykry dla tych, którzy przybywali tu w porze deszczowej, i tak wyżłobiony głębokimi koleinami w porze suchej, że wielu nieświadomych wędrowców grzęzło na długo w tym wysoko położonym landszafcie, a koła ich pojazdów obracały się na próżno w powietrzu, wywołując przelotne zdziwienie stworzeń pasących się lub polujących na okolicznych stokach. Wzniesiona w czasach misyjnych samotnia stanowiła początkowo schronienie Las Hermanas de Nuestra Señora de los Pepinares – jednego z żeńskich instytutów życia konsekrowanego, jakie w siedemnastowiecznej Hiszpanii wyrastały wokół jezuitów, choć nigdy nie zostały uznane przez Rzym, a nawet przez Towarzystwo, lecz z wdziękiem i wytrwałością przetrwały tu, w Kalifornii, przez setki lat – i z czasem rozrosła się, zyskała przybudówki, prąd i telefon, kanalizację oraz bieżącą wodę, aż w końcu kilka nieprzemyślanych inwestycji zmusiło sodalicję, a raczej to, co z niej zostało, do wystawienia siedziby na wynajem i rozpierzchnięcia się po tańszych osiedlach, choć siostrzyczki nigdy nie przestały wytwarzać słynnej na całym świecie ogórkowej brandy zawdzięczającej nazwę zgromadzeniu.

Na początku lat sześćdziesiątych kunoichi, którym także potrzebny był świeży finansowy zastrzyk, zaczęły skłaniać się ku wejściu w pączkujący dopiero biznes samodoskonalenia – który jak wiadomo, wybuchł po upływie kilku zaledwie lat – i przedstawiły własną ofertę rynkową: fantazyjne maratony dla miłośniczek orientu, grupowe zniżki dla dzieci na Weekendy Nindza, wsparcie dla odrzuconych adeptów zen („Nigdy więcej bambusowych kijków”, obiecywała reklama w „Psychology Today”) oraz inne wschodnie metody. Zawsze mogły liczyć na stosowną rynkową reakcję mężczyzn w pewnym wieku o krótko przyciętych włosach, chodzących w mundurkach safari i pożerających wzrokiem każdą azjatycką, pokrytą rosą członkinię *corps de ballet*. Wyobraźcie sobie ich zdziwienie, gdy pierwszego dnia na sesji orientacyjnej stawały przed nimi jedna po drugiej na scenie wszystkie siostry ubrane w stroje nindza, zapatrzone dziwnie nieobecny wzrokiem gdzieś w dal. Nie dość, że nie było wśród nich ani jednej Azjatki, to większość była czarna a-albo z Meksyku! Do czego to doszło!

– A oto i ona – powiedziała DL. – Zobacz. – Wyjechały z zakrętu w jasnym świetle księżyca, las urwał się, a ziemia opadała łagodnie pastwiskami ku olchowym zagajnikom, w które wpływał kaskadami potok, a nad tym wszystkim wysoko po jednej stronie stała Samotnia. Strone, zmurszałe, dawno niebielone mury nie tyle górowały nad falistą postrzępioną ziemią, ile ją niemal czytelnie odzwierciedlały, jakby lśniły pod wieloma różnymi kątami niczym wielkie powleczone liszajem zwierciadła wiszące nad krytymi dachówką, pociemniałymi, skorodowanymi od żywiołów dachami, zaopatrzone w ukryte w cieniu okna, które pozornie nie miały związku z żadnym znajdującym się w środku piętnem. Gdy podjechały bliżej, Prairie ujrzała sklepione bramy, dzwonnice i ich interpenetrację z wysoką ścianą cyprysów, schinusów peruwiańskich, z sadem... lecz żadne z tych zjawisk specjalnie jej nie przerażało. Była bowiem dzieckiem Kalifornii i ufała roślinom. To, co przerażało ją najbardziej i było jądrem zgrozy, zostało daleko za nią w twardej i niemal niewidzialnej

jak kwarc postaci – choć nie tylko – jej prześladowcy, Brocka Vonda.

DL znano przy wszystkich bramach, zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych, i obrzucano spojrzzeniami, których Prairie nie potrafiła zinterpretować. Nim dojechały do zabudowań recepcyjnych, na oświetlonym lampami podjeździe stał już komitet powitalny ubrany w czarne *gi*. Na jego czele znalazła się wysoka, wysportowana, przypominająca uczoną kobieta, którą nazywano siostrą Rochelle i która okazała się starszą służebnicą, czyli matką przełożoną klasztoru.

– DL-san – powitała dawną uczennicę i przeciwniczkę. – Cóż to za nowe szelmstwo?

DL ukłoniła się i przedstawiła Prairie, w którą siostra Rochelle wpatrywała się w taki sposób, jakby ją dobrze знаła, lecz z jakiegoś powodu udawała, że jest inaczej. Przeszły na nieduży, wyłożony kostką dziedziniec z fontanną. Pohukiwały i przelatywały sowy. Nagie kobiety leżały w świetle księżyca. Inne, w czerni, stały w gromadzie w cieniu krużganka.

– Wzbudzamy zainteresowanie wymiaru sprawiedliwości? – zapytała siostra Rochelle.

DL powinna była odpowiedzieć jej z oburzeniem „Och, czyżbyś zaczęła dla nich pracować?”, ale stała, milcząc, przyjąwszy – jak dowiedziała się później Prairie – standardową postawę służebnicy, z opuszczonym wzrokiem i zasznurowanymi ustami.

– Myślisz, że szeryf z miejsca sforsuje bramę, czy zaczeka do poniedziałku? Nie wystawiamy tu *Dzwonnika z Notre Dame*, a nawet jeśli ona przed nikim się nie ukrywa, złożyłaś przysięgę nindzетки, której paragraf ósmy, podpunkt B stwierdza, jeśli sobie przypominasz, że „nie udzielamy schronienia nikomu, kto nie może wziąć pełnej odpowiedzialności zarówno za swoje wejście, jak i wyjście”.

– Coś w rodzaju „zarabiaj na żarcie i nie sraj uparcie”? Robię to od lat – oznajmiła Prairie. – Coś jeszcze? – Nie była dzieckiem, które bierze wszystko do siebie; co więcej, postrzeżenie pozazmysłowe podpowiadało jej, że tutaj coś takiego mogłoby

zostać uznane za niefajne, więc pilnowała tylko, żeby się nie garbić, i spokojnie odwzajemniała obojętne, acz wnikliwe spojrzenie kobiety. – Może macie tu jakiś program nauki i pracy, listę dostępnych kursów, cennik, może wybiorę dla siebie coś taniego, zamieszkać w internacie, zarobię na chesne? – Oderwała na chwilę wzrok od siostry Rochelle i rozejrzała się, jakby szukała zadań, które należy wykonać, żeby umowa doszła do skutku.

Przełożona nindzетка wydała się zainteresowana.

– Umiesz gotować?

– Trochę. Naprawdę nie macie kucharki?

– Gorzej. Mamy tu wiele osób cierpiących na kliniczne urojenia co do własnych umiejętności w kuchni. W kręgach seminaryjnych nasza kuchnia cieszy się najgorszą sławą. W następny weekend spodziewamy się kolejnej trzódki, więc wypróbujemy różne kombinacje personelu kuchennego, ale żadna się nie sprawdza. Karmiczna stała polega na tym, że za wysokie zdyscyplinowanie sióstr płacimy zoologiem w kuchni. Chodź, przekonasz się.

Poprowadziła Prairie i DL w ciemnościach za róg, potem następny, i dalej długim okolonym treliązem chodniczkim na tyły głównego budynku. Pora kolacji dawno już minęła, lecz gdzieś w pobliżu niosły się oburzone głosy trwającej wciąż intrakulinarnej krytyki. Ludzie tłoczyli się onieśmieleni przy kuchennym wejściu, z którego dobiegały zadziwiające odgłosy tłuczenia wielkimi metalowymi półmiskami o kamienną posadzkę oraz gniewne okrzyki mieszające się w tle z nadawaną przez lokalną stację radiową dwadzieścia cztery godziny na dobę muzyką new age, zalewającą okolicę falami akustycznej melasy. W kuchni coś jeszcze się tliło z tyłu pieca. Tłum otaczał gary, które trzeba będzie mocno szorować. W starej obszernej kuchni zalegał przygnębiający odór zjełczałego zwierzęcego tłuszczu i środków dezynfekujących. Kucharz, który miał dziś dyżur, klęczał z głową opartą o piec i płakał gorzko.

– Cześć – zaczęła siostra Rochelle. – Co robicie?

Odbывała się, oczywiście, codzienna godzina krytyki, podczas której wszyscy mieszały z błotem pełniącego dyżur szefa kuchni za niedotrzymanie obietnic zawartych w jadłospisie i knuli, jak będą mieszać z błotem kolejną ofiarę następnego dnia.

– Zrobiłem wszystko zgodnie z zaleceniami – wymamrotał szef kuchni stłumionym, acz nieugiętym głosem. – Byłem wierny pokarmom.

Jeden z obiboków przy piecu uniósł głowę.

– Co nazywasz „pokarmem”, Gerhard? To, co nam dzisiaj zaserwowałeś, nie było „pokarmem”!

– To, co ugotowałeś, to trucizna z tłuszczem! – rzuciła gniewnie jakaś pani z tasakiem w rękę i dla podkreślenia wagi swoich słów wbiła tasak w pobliską deskę do dzielenia mięsa.

– Nawet w twoich zimnych nóżkach są szumowiny – dodał ubrany stylowo młody człowiek w modnej kucharskiej czapce z Bullock’s Wilshire.

– Wystarczy, błagam – jęknął Gerhard.

– Totalna szczerść – przypominali mu ludzie.

To małoduszne ćwiczenie, uważane za terapeutyczne, było częścią otrzymanego przez każdego z obecnych zadania na dziś, nazywanego przez Gerharda „niekończącą się pokutą kulinarną”.

To prawie jak wymuszenie rozbójnicze, pomyślała później Prairie.

Nie do końca, bo wszyscy podpisali tu umowy czeladnicze, wyrazili zgodę, bo znaleźli się w takim miejscu swoich żywotów, że nie mieli wyboru. Mówili o dyżurach w kuchni jako o odkodowywaniu indywidualnych paradygmatów niejedzenia, a zatem o transcendencji talerzy, garnków i brudnych na swój sposób rondli, i jeszcze o transcendencji cech charakteru ku takim poziomom, na których nie jest się tym, co się je, lecz tym, jak się je... Prairie na początku pracy w kuchni nie miała czasu, by ogarnąć te wszystkie duchowe wymiary, bo dostawała w kość non stop. Kuchenni penitencji o zastraszonych spojrzaniach kolonistów na galaktycznej

placówce powitali jej przybycie niczym objawienie. Jak się okazało, żaden z nich nie potrafił ugotować nawet tego, co lubił zjeść. Przez co niektórzy całkiem zubożeli na jedzenie, a inni czynnie je znienawidzili. Dlatego też nowe przepisy zostały przyjęte niczym zaawansowana technologia spoza tutejszego układu gwiazdowego. Po odwiedzinach w warzywniaku, sadach, chłodniach i spiżarniach Samotni, podczas których Prairie zastanawiała się, czy nie narusza jakiejś Podstawowej Zasady, nauczyła wszystkich, jak się przyrządza zapiekankę szpinakową. Co okazało się wstępem do zrobienia z tych ludzi zespołu.

– Co chcieliście im podać? – Musiała zadać to pytanie.

– Sos – zaćwierkał agent od nieruchomości z Mill Valley.

– S'mores. – Harcmistrz z Milpitas zachichotał. – Z syropem klonowym.

– Gotowany obiad z Nowej Anglii – odrzekł ze wzruszeniem ramion były więzień.

Kluczem do zapiekanki szpinakowej był ULEP, czyli Uniwersalne Lepiszczce – zupa krem z pieczarek, która, co nie powinno dziwić, stała w rzędach gigantycznych puszek w magazynach nindzetek. W głębinach lodówek dało się także odnaleźć wiele rodzajów i kawałków sera, nie wspominając już o skrzynkach pełnych bardziej tradycyjnej velveety i cheez whiz; szpinak też nie był problemem, bo całe jego bloki zajmowały własne skrzydło w chłodni. Tak więc następnego dnia klasyczny przepis stał się wegetariańską *entrée du jour* na kolację. Dla tych, którzy jedli mięso, nadziano w całości na ruszt gigantyczne mortadele. Kłótniwy do niedawna personel kuchenny obracał ruszty i podlewał mortadele winogronową galaretką, przygotował również grzanki z czerstwego chleba i krzątał się pilnie przy rozmrażającym się szpinaku, podśpiewując z radiem, które ktoś litościwie przestawił na stację rockandrollową.

DL wpadła późnym popołudniem do kuchni i rozejrzała się.

– Tak właśnie myślałam: nastoletnia charyzmatyczka!

– Ja? Nie... – Prairie wzruszyła ramionami. – To przepisy.

- Hm... a to fioletowe na ruszcie?
- To z programu telewizyjnego. A co się dzieje?
- Siostra Rochelle pyta, czy nie jesteś wolna?

Przed opuszczeniem kuchni Prairie starannie i we własnym tempie – jak kot – przyjrzała się kilku zapiekankom i obróciła na ruszcie mortadelę. Gawędziły przez chwilę na górze w Kafeterii Nindzetek, gdy nagle, znikąd, pojawiła się przełożona nindzетка z kubkiem kawy w ręku. Prairie wydało się, że to czary. Później dowiedziała się, że Rochelle nauczyła się na pamięć rozkładu pomieszczenia: układu cieni, zasłon, odległości między meblami... poznała to pomieszczenie tak dobrze, że mogła je uosabiać w pełnej przejrzystości i pustce.

– Mogłabym się tego nauczyć?

– To wymaga poważnego skupienia uwagi. – Spojrzenie w bok. – Pytanie brzmi: po co miałabyś się tego uczyć? – Rochelle mówiła miarowym, lekko schrypniętym od papierosów i alkoholu głosem. Prairie wydało się, że słyszy w tym głosie jakieś odległe wiejskie nuty, które Rochelle celowo ukrywała na rzecz czegoś bardziej niewidzialnego.

Prairie wzruszyła ramionami.

– Takie coś może się przydać.

– To tylko ciężka praca i zdrowy rozsądek. Pierwsze z wielu rozczarowań kunoichi polega na tym, że poznanie nie spada z nieba za jednym zamachem w chwili wielkiej transcendencji, prawda, DL?

– Ale ci ludzie od zen, co ze mną pracują, mówią...

– Och, to się zdarza. Ale nie tutaj. Tutaj zawsze poruszamy się po obrzeżach, licząc milimetry i ułamki sekundy, wydzierając siłą, pojmujesz, wszystko, co mamy.

– Więc lepiej tego nie zaczynać, jeśli nie myśli się o tym poważnie?

– Szkoda, że nie widziałaś tych wszystkich świrów, którzy tu przyjeżdżają w poszukiwaniu wiedzy tajemnej za przystępną cenę; szczególnie z twojej grupy wiekowej, ale nie bierz tego do siebie. Myślą, że zabierzemy ich do duchowej myjni, spłuczemy z nich błoto i namaścimy na dalszą drogę; że jak wyjadą po

drugiej stronie i zatrzymają się przy najbliższym Orange Julius, to wszyscy koledzy i koleżanki zakrzykną „Uau!”. Tak właśnie myślą. Wydaje się im, że jak nie pozwolimy im spać przez cały weekend, to o świcie w niedzielę zaczną halucynować i doznają oświecenia, które wezmą za życiowe osiągnięcie. Zresztą, kto wie? Czasem myślą nas też z zakonem albo baletem.

Dziewczyna spojrzała wymownie na zegarek: wielokolorowy plastikowy czasomierz z targowiska w Vinelandzie.

– Daję tym mortadelom piętnaście minut na kilo, tak chyba będzie dobrze?

DL uśmiechnęła się złośliwie.

– Nie wchodzi w to, Rochelle-sun.

Starsza służebnica zmieniła bieg.

– Posłuchaj, Prairie, subskrybujemy tu zewnętrzne serwisy informacyjne, ale mamy też własne komputerowe archiwum, w tym całkiem pokaźny zbiór danych o twojej mamie.

Tam, skąd pochodziła Prairie, fraza „twoja mama” wypowiedziana takim tonem oznaczała zazwyczaj kłopoty, choć teraz nie była pewna, czy ta kobieta – przypominająca przedstawicielkę klasy średniej – zdaje sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Drżała na samą myśl o tym, że mogłaby się czegoś dowiedzieć o mamie, tak jak niektóre dziewczyny, które znała, drżały na myśl o chłopcach – ich numerach telefonu w książce telefonicznej i tym podobnych rzeczach.

– Czy byłoby możliwe... – powoli (powinna się uklonić?) – ... żeby...

– Może po kolacji?

– Ohm, mój Boże, jak mawiał mój dziadek elektryk. – Wróciła do kuchni w samą porę, bo zapiekanki przekraczały już cienką czerwoną linię, a polewa na mortadeli siniała. Udając, że chce świecić przykładem, Prairie stanęła przy kuchennym blacie, położyła na nim, nie bez trudu, gorącą mortadela, naostrzyła szybko nóż i zaczęła ją kroić na parujące, fioletowe po brzegach plasterki, które następnie ułożyła apetycznie na paterze i polewała szczerze lśniąca winogronową polewą.

Patera miała trafić na jeden ze stołów w jadalni, gdzie zgłodniałi będą się mogli częstować, z wyjątkiem tych, rzecz jasna, którzy uczestniczyli w programie asertywności i siedzieli przy innym stole, mając przed sobą talerze z nałożonym jedzeniem.

Z jadalni dobiegł ambiwalentny pomruk – po trosze głodu, a po trosze obawy – narastający z każdą chwilą. Prairie chwyciła kociołek firmowej pomidorówki i zaniósła go do stołów, a przez następne dwie godziny taszczyła stosy świeżo umytych kubków i talerzy, wynosiła brudne naczynia, ścierała blaty, nalewała kawę i zajmowała się wszystkim, czym akurat zająć się należało, wyczuwając częściowe próżnie i starając się je wypełnić; zauważyła przy tym, że ludzie biorą dokładki zapiekanki szpinakowej i – a jakże – mortadeli. Później wyszorowała garnki i rondle, pomogła zmyć kamienną posadzkę w kuchni i pochować naczynia. Zanim dotarła na górę do Terminalu Komputerowego Nindzetek i dowiedziała się, jak się zalogować, letnie słońce dawno już zaszło, a na dziedzińcu trwały wieczorne warsztaty koto, których odgłosy mieszały się z dobranocką ptaków.

Dane na temat Frenesi Gates, gromadzone przez lata, często przypadkowo, i pochodzące z różnych źródeł, przypominały Prairie notes prowadzony przez czyjś ekscentrycznego wujka hipisa. Niektóre dokumenty wytworzyła administracja stanowa i federalna, jak na przykład mandaty z wydziału komunikacji czy notatki na listownikach z nagłówkiem FBI pokreślone magicznym markerem, inne natomiast były wycinkami z nieistniejącej od dawna „podziemnej” prasy, transkrypcjami radiowych wywiadów Frenesi w stacji KPFK i odnośnikami do czegoś, co nazywało się 24k/s i co – jeśli dobrze zapamiętała – było spółdzielnią filmową, w której przez pewien czas działały razem Frenesi i DL.

Wpadła więc w to wszystko po uszy jak dziewczynka w domu, w którym straszy, prowadzona z pokoju do pokoju, ze strony na stronę przez widzianą kątem oka biel, ledwo słyszalny żarliwy szept matczynego ducha. Wiedziała już, jak

bardzo dosłowne potrafią być komputery, nawet odstęp między znakami mają w nich znaczenie. Zastanawiała się, czy duchy bywają dosłowne w takim samym sensie. Czy duch myśli sam z siebie, czy reaguje tylko na sygnały żyjących, czy trzeba wystukać mu coś na klawiaturze, żeby ją wpuścił do swojego świata: jakiś wers smutku, żalu, niesprawiedliwości?... Lecz żeby być przydatnym i „rzeczywistym”, duch powinien okazać się czymś więcej niż tylko udawanie wyrefinowaną obecnością...

Prairie przekonała się, że może przywołać na ekran również fotografie, i te prywatne, i te z czasopism czy gazet, obrazy mamy, przeważnie z kamerą w ręku – podczas demonstracji, aresztowań, pozującej z różnymi słabo rozpoznawalnymi postaciami Ruchu z lat sześćdziesiątych, rzucającej gdzieś pod jakąś siatką znaczące spojrzenie gliniarzowi w pełnym rynsztunku bojowym i muskającej dłonią (Prairie nauczyła się na pamięć dłoni mamy, nauczyła się odczytywać każdy ich gest na dziesiątki sposobów, wyobrażała sobie, jak się poruszały poza fotograficznym kadrem) lufę szturmowej strzelby. Obrzydliwe! To jej mama? Ta dziewczyna w staromodnym uczesaniu i makijażu, zawsze w minispódniczce albo w tych przedziwnie wyglądających dzwonach, które wszyscy wtedy nosili? Za kilka lat Prairie będzie niemal w jej wieku. Miała przecucie, że minispódniczki znów będą modne.

Zatrzymała się na zdjęciu Frenesi i DL. Szły prawdopodobnie przez jakiś kampus. Daleko za nimi widać było kładkę dla pieszych, po której w obie strony wędrowały maleńkie figurki, sugerując – przynajmniej przez chwilę – ład społeczny. Cienie dziewczyn były długie, kładły się na krawężniki, poprzez trawę, wplatały między szprychy rowerzysty. W wieczornym lub porannym słońcu kąpały się palmy, odległe schody, boisko do siatkówki, kilka ledwo widocznych okien. Frenesi obróciła lub obracała głowę ku towarzyszce, może przyjaciółce, na jej ustach majaczył podejrzliwy lub hamowany uśmiezek... DL mówiła. Błyskały jej dolne zęby. Nie o polityce – Prairie wyczuwała w jasnych

kalifornijskich kolorach, wyostrzonych piksel po pikselu w nieśmiertelność, śpiewną melodię ciała, pozbawione zmarszczek odprężenie twarzy, które nie musiały stroić min w swoim towarzystwie, wyzwolone z autoryzowanych wersji na czas swobodnego codziennego łyku świeżego powietrza. Dalej, pomyślała Prairie, idźcie dalej! Idźcie przed siebie...

„Kim był ten chłopak, pytała DL, ten koleś na proteście? Ten z długimi włosami i koralikami i skrętem w ustach?”

„Myślisz o tym w dzwonach i koszuli w indyjskie wzory?”

„Tak jest, siostrzo!”

„Psychodelia!” Przybiły dłonie. Prairie zastanawiała się, kto zrobił to zdjęcie – ktoś ze spółdzielni filmowej, z FBI? Miała omamy hipnagogiczne przed poplamionym, głębokim, krystalicznym ekranem. Terminal wyczuł to od razu i zamrugał, a karta dźwiękowa zaczęła odgrywać w kółko refren z *Wake Up, Little Susie* The Everlys'. Prairie przypomniała sobie, że musi wstać przed świtem, żeby przygotować śniadanie. Wyciągnęła rękę do klawisza wyłącznika i powiedziała dobranoc maszynie.

„Dobranoc i tobie, śliczna użytkowniczko, odpowiedziała maszyna, śpij najspokojniej”.

Gdzieś w komputerowym archiwum, w pamięci, dwie dziewczyny – bezwolne zera i jedyńki pośród milionów innych w jakiejś zdefiniowanej przestrzeni – wędrowały dalej przez oświetlony niskim słońcem kampus, trwając, gdy zrobiono tę fotografię, w odnawialnej przyjaźni już bez mała od roku, obie splecione bliskością, kryjące wzajemnie własne tyłki, połączone złożonymi i renegocjowanymi obietnicami, znoszeniem uszczypliwości, dobrze znanymi drogami na skróty, niwelującym jakiegokolwiek wątpliwości postrzeganiem pozazmysłowym. Pewnie było im przeznaczone spotkać się kiedyś w taki sposób, ale kto mógł przewidzieć, że zostaną razem? Niespokojne czasy sprowadzały rozmaitych ludzi do takich miast jak Berkeley, kusiły ich – jak DL – nadzieją na czyn. DL jeździła wtedy tam i z powrotem po drodze 101, wypatrując damskich gangów motocyklowych, którym mogłaby napędzić strachu, piła z gwinta wódkę z minimarketów, podrywała gości

o takich ksywach jak „Wąż” i skręcała ich na tyle tabletek amfy z krzyżykiem, by dotrzeć do kolejnego skupiska ludności stanowiącego stosowne ryzyko dla jej bezpieczeństwa. Dzień przed poznaniem Frenesi ścigała członkinie Tetas y Chetas M.C., kierujące się na północ przez spowite mrokiem tereny wiejskie wokół Salinas, gdzie na drogach leżały w wielkiej obfitości spadające z ciężarówek warzywa rozjeżdżane i miażdżone kołami pojazdów za dnia i parujące w nocy, od czego powietrze owiewające jej twarz pachniało jak gigantyczna sałatka. W końcu DL skończyła się benzyna i musiała pozwolić im uciec. Znajdowała się niedaleko Berkeley, o którym bez przerwy opowiadano w radiu, więc postanowiła tam zajrzeć. Nie potrafiłaby powiedzieć ani wtedy, ani później, czego tam szukała.

Ale znalazła Frenesi, biegnącą od świtu po mieście z kamerą i torbą pełną kradzionych taśm ECO, kończącą dzień na Telegraph Avenue filmowaniem pierwszej linii sił paramilitarnych nadchodzących ulicą w pełnym rynsztunku, z krótkimi strzelbami – strzelającymi, jak miała nadzieję, gumowymi kulami – w rękach. Kiedy poprzednim razem oderwała oko od wizjera kamery, stała na czele tłumu, który powoli wycofywał się z kampusu, niszcząc po drodze wszystko, co nawinęło się pod rękę. Rolka dobiegła końca, Frenesi, chcąc, nie chcąc, opuściła bezpieczne pole widzenia w kadrze i stwierdziła, że została sama w połowie drogi między policją a ludem, bez możliwości czmychnięcia w jakąś boczną uliczkę. Hm. Sklepy pozamykano na łańcuchy, a witryny zabito deskami. Następnym krokiem Frenesi powinna być zmiana rolki i podjęcie filmowania na nowo, ale sięgnięcie teraz w głąb torby mogłoby zostać odebrane jako zagrożenie przez chłopaków w khaki, którzy podeszli tak blisko, że czuła już ich zapach ponad unoszącą się wszędzie smrodliwą bazową nutą gazu łzawiącego; czuła płyn po goleniu, spiż w słońcu oraz nowe mundury, które pod pachami zdążyły zająć piżmem strachu. Och, potrzebny mi jest Superman, modliła się w duchu, Tarzan na lianie. Fundamentalny kamienny ucisk w trzewiach

pojawił się i zniknął mniej więcej wtedy, kiedy pojawiła się DL w czerni – w czarnym kasku z czarną osłoną – na powszechnie szanowanym, groźnie czerwono-srebrzystym, stanowczo przedeseignowanym czeskim motocyklu ČZ, na który porwała Frenesi, wybawiając ją z opresji, wraz z kamerą, minispódniczką, torbą ze sprzętem i całą resztą, z którą uwiozła ją w dal. Omijała z poślizgiem leżące na ulicy śmieci, płonące ogniska papierzysk, stłuczone szyby samochodowe, próbując nie przejechać nikogo z leżących na jezdni. Skręciła na chodnik, wzięła zakręt i pognęła stokiem w dół ku zatoce San Francisco migoczącej w przedwieczornym słońcu – uciekły w sennej płątanie szybkości i zapachów. Frenesi ścisnęła gołymi udami obleczone w motocyklowe skóry biodra wybawczyni i stwierdziła, że przytula policzek do pachnących motocyklową skórą pleców. Nawet nie przyszło jej do głowy, że może ścisnąć w ten sposób kobietę.

Motocyklowa ekstaza, to pewne. Usiadły do cheeseburgerów, frytek i mlecznych koktajli w jakiejś nabrzeżnej knajpie pełnej uchodźców z pola bitwy na wzgórzu, a ich oczy, w tym te, które płakały, oświeślała od środka jakaś jasność, choć może były to tylko wiszące pod sufitem jarzeniówki albo refleks odbitego od wody zachodzącego słońca... Nie... zbyt wiele było wokół tych rozjarzonych i rozgorączkowanych podwójnych lamp, by ich światło nie pochodziło skądś spoza, z dopiero co rodzącego się świata, jeszcze niezdefiniowanego, lecz wartego utraty niemal wszystkiego na tym łez padole. W szafie grającej śpiewali Doorsi, Jimi Hendrix, Jefferson Airplane, Country Joe and the Fish. DL zdjęła kask i gdy roztrzepała włosy, zalśniły w zbliżającym się pomarańczowym zachodzie słońca jak kometa. Frenesi – roztrzęsiona, głodna i oniemiała jednocześnie – usiłowała uporządkować myśli.

– Ktoś cię przysłał, prawda?

– Przejeżdżałam obok, to wszystko. Gadasz jak paranoiczka.

Frenesi machnęła wymijająco burgerem, z którego skapywały kropelki ketchupu zmieszanego z tłuszczem; każda

z nich na skutek oddziałujących na nią podczas lotu sił układała się w mikrowzory czerwieni i beżu, by...

– To Rewolucja, dziewczyno! Nie czujesz tego?

DL zmrużyła oczy, zastanawiając się, kogo ma przed sobą. Czuła się jak dorosła, która napotkała samotne dziecko w niebezpiecznej okolicy o niebezpiecznej porze dnia, w dodatku nieświadome jeszcze nieobecności mamy.

– Wiedziałam, że jesteś zakręcona – powiedziała jej wiele miesięcy później. – Nie mogłam podarować sobie, żeby ci nie podokuczać. Byłaś taka... – Nie dokończyła, udając, że słowo wyleciało jej z głowy. Nie chodziło jej prawdopodobnie o „zrewolucjonizowana” – termin przywoływany w tamtych czasach na prawo i na lewo, niekiedy z uwielbieniem, mający wiele semantycznych konotacji. Frenesi marzyła się wówczas tajemnicza jedność ludzkości skupiającej się razem w nadziei na światło, co ludzkości udało się osiągnąć raz czy dwa na ulicach i czego była świadkiem, widząc krótkie bezczasowe wybuchy, ześrodkowujące w sobie wszystkie tory pocisków i ludzi – naprawdę ludzi jako całość – i policji, podobnie, jednego wymierzając cios ostrza; nawet ci, którzy na mityngach strasznie nudzili i byli jak wrzód na dupie, na jej oczach niemal mimowiednie ulegali transcendencji i stawali między policyjną pałką a ofiarą, za co dostawali w łeb, albo kładli się na drodze toczących się gąsienic, albo patrzyli prosto w lufy karabinów i zachowywali zdolność mówienia... trudno było orzec w tamtych czasach, kto ulegnie niespodziewanej przemianie w taki sposób, kiedy i dlaczego. Niektórzy, potajemnie, wchodzili w to, żeby doznać takiej przemiany. Ale DL przyznała, że nie jest aż tak święta...

– Najbardziej interesuje mnie kopanie po tyłkach – wyznała, wpatrując się w Frenesi i oczekując jej dezaprobaty. – Ale ktoś mi powiedział, że to niewiele znaczy, dopóki nie dokonam właściwej analizy. Według której będę postępować dalej. Słyszałaś o czymś takim?

Frenesi wzruszyła ramionami.

– Słyszałam. Ale chyba nie mam do tego cierpliwości. Ufam temu, co czuję. A czuję, że to jest dobre, DL. Tym razem naprawdę zmienimy świat... – Spojrzała na nią w sposób mówiący „No dalej, powiedz coś”. Ale DL tylko uśmiechnęła się cierpko w duchu. Na tle rąbka zachodzącego słońca jej oblicze – czego Frenesi była oszołomionym świadkiem – zamieniło się w wizerunek młodego mężczyzny, dalekiego, wyobrazonego: Moody’ego Chastaina, ojca DL. Później, kiedy pokazywały sobie zdjęcia, Frenesi ujrzała go wyraźniej, tę samą twarz w srebrze i utrwalaczu, potwierdzając ów pierwszy rozbłysk: aureolę świeżo wydobytej miedzi, upiornego młodego bohatera, który przybył jej na ratunek, „wielkie mi ale” tamtego dnia z Rewolucją w tle, ze światowej klasy burgerami, solidarnością z grającej szafy, zachodzącym za okrąg Marin słońcem oraz zapachami potu i ekscytacji cipki DL, przenikającym przez motocyklowe skóry i mieszającym się z woniami benzyny i smaru.

Moody. Kiedyś był młodym teksańskim próżniakiem promującym złe zachowanie wokół Harlingen, Brownsville i McAllen. Wraz z bandą podobnym mu nicponi dotarł aż do Mobile Bay, siejąc strach od Mertz po Magazine, a wkrótce wrócił na rodzimą orbitę, by rozdawać wszystkim paniom orchidee z Dauphin Island, przechowywane wraz z piwem w wannie z lodem na pace furgonetki, i odgrzać stare nawyki obejmujące szybką jazdę, strzelanie na oślep z broni palnej i podawanie z rąk do rąk otwartych pojemników z alkoholem do czasu, aż zaprzyjaźniony z rodziną zastępca szeryfa nie postawił sprawy jasno, wskazując wybór między natychmiastowym pójściem do wojska a więzieniem w Hunstville nieco później. Nikt nie mówił otwarcie o zbliżającej się wówczas wojnie.

- No dobra, a z czego będę strzelał – chciał wiedzieć Moody.
- Z każdej broni dowolnego kalibru.
- Znaczą się, do kogo?
- Do każdego, którego ci wskażą. Najlepsze w tym wszystkim, moim zdaniem, jest to, że nikt nigdy nie pociągnie

cię do odpowiedzialności.

Było to coś w sam raz dla Moody'ego, który poszedł prosto na komisję i wstąpił do armii. Kiedy służył w Fort Hood, poznał Norleen w tym samym wąskim drewnianym kościółku, w którym później wziął z nią ślub tuż przed wypłynięciem za ocean. Dopłynął do połowy Atlantyku, kiedy – po wielu dniach rzygania, otoczony tylko rzeczami, które w mniejszym lub większym stopniu przypominały stal, wyobrażając sobie z nadnaturalną przejrzystością horyzont wokół okrętu – zrozumiał wreszcie, jak bardzo się boi. Po raz pierwszy w życiu nie mógł wskoczyć do furgonetki i popędzić gdzie go oczy poniosą. Czuł, że za chwilę zwariuje w głębokim zatłoczonym lochu, ale jakoś wytrzymał, patrząc dalej niż strach, co dałoby się porównać z odnalezieniem na nowo Jezusa – Moody ujrzał, niczym na komiksowych lub biblijnych ilustracjach, kolejne sceny mówiące mu, dokąd musi pójść, czyli wyobraził sobie najgorsze, a potem siebie jeszcze gorszego niż to. Musi torturować bandytów, rabować bogatych, dać pijakom coś, od czego mogliby się zataczać. Będzie musiał zostać wojskowym żandarmem i być tak złym, jak będzie trzeba, żeby przeżyć, wykorzystując przy tym całą wiedzę zdobytą w czasach próżniactwa. I tak też postąpił i dostał pierwszy żandarmeryjny przydział w Londynie w okolicach Shaftesbury Avenue, a wraz z nim białe akcesoria nazywane w wojskowym slangu z tamtych czasów „śnieżynkami”.

Darryl Louise urodziła się tuż po wojnie w Leavenworth w Kansas, gdzie Moody, przeżywszy wojnę, dostał przydział w wojskowym więzieniu. Podczas wojny sporo się nastrzelał – zranił parę osób, a parę zabił – ale mimo miłości do uzbrojenia zaczął postrzegać bomby, armaty, a nawet karabiny jako byty zbyt abstrakcyjne i chłodne. Pokojowy Moody chciał zająć się teraz życiem osobistym. Choć przez całą wojnę miał uprawnienia do używania środków przymusu bezpośredniego, służących do rozbijania głów i wyłamywania ramion, nie rozchmurzył się, póki nie odkrył dzudo i dżiu-dżitsu pokonanych Japońców – sportów cieszących się po wojnie

wzmocnionym zainteresowaniem. Od tamtej pory trenował, kiedy tylko mógł i wszędzie tam, gdzie go przydzielano, poznając to, co najlepsze ze szkół filozoficznych Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża, podejmując wreszcie dorywczą pracę instruktora własnej grupy uczniów. Kiedy DL miała pięć czy sześć lat, zaczęła łączyć za tatą do dodżo.

– Mamie strzeliło do głowy, że tata się szlaja. Chyba miałam mieć go na oku.

– Mhmm. Domyślam się dlaczego.

Zdjęcie, na które patrzyła Frenesi, ukazywało Moody'ego w galowym mundurze z baretkami, medalami, naszywkami i furażerkami, trzymającego przerośniętą ośmiomiesięczną DL na rękach i szczerzącego zęby w słońcu. Za nimi rosły palmy, więc to nie było już Kansas.

– Na mój rozum – powiedziała Frenesi, kiedy mogły już mówić sobie bezpiecznie takie rzeczy – przeszedł na drugą stronę. Młody zabijaka, który został zastępcą szeryfa.

– Aha – naburmuszona DL kiwnęła głową – i zgadnij, na kim się to odbiło. – DL, kiedy trochę podrosła, zauważyła, że jej mama, Norleen, często wychodzi z zajmowanej przez nich w danej chwili kwatery po tajemnicze „sprawunki”, a słowo to nie oznacza żadnych „sprawunków”, ale coś innego, a raczej kogoś innego, prawdopodobnie kochanka lub kochanków, jak domyśliła się po latach. Jednym z wywołujących problemy obszarów osobowości Moody'ego było praktykowane przez niego na co dzień znoszenie do domu stanów emocjonalnych właściwych dla wykonywanej pracy. Pewnego dnia po jakiejś większej awanturze DL wrzasnęła na matkę:

– Dlaczego godzisz się na to skurwysyństwo? – Ale Norleen odwróciła tylko zażawione oczy. Chciała porozmawiać, owszem, ale nie z własną córką, którą w swoim mniemaniu powinna ochraniać.

– Zaczekaj – przerwała jej Frenesi – bił twoją mamę?

W odpowiedzi DL obdarzyła ją spojrzeniem, które mówiło: „A za kogo ty się, kurwa, uważasz?”

– Tam, skąd pochodzisz, tak nie było?

– A ciebie też?

DL uśmiechnęła się cierpko.

– Nie. Tylko ją. – Kiwnęła głową, wysuwając dolną szczękę. – Skurwysyn, kapujesz, nie chciał nawet ze mną ćwiczyć... nawet wtedy, kiedy byłam już w jego wadze i miałam taki sam pas. Nigdy nie stanął ze mną do walki.

– Wolał nie ryzykować.

– Och, nie skopałabym mu tyłka aż tak mocno... – rzuciła z poważną miną do uśmiechniętej szeroko Frenesi. – Serio, podczas walki nie wolno dopuszczać do siebie takich spraw jak to, co się myśli o tacie. To nie jest profesjonalne i źle wpływa na ducha.

– A twoja mama? Dlaczego to znosiła?

Jedyne wytłumaczenie, na które wpadła Norleen, brzmiało:

– Taką ma pracę. – Ale DL wciąż tego nie rozumiała. – Kocha nas, tylko czasem puszczają mu nerwy.

Tamtego dnia mama miała tak opuchniętą i zniekształconą twarz, że przestraszyła córkę, która wyobraziła sobie, że Norleen zamienia się w jakąś inną istotę – taką, która może zrobić jej krzywdę.

– Chcesz mi powiedzieć, że każą mi to robić? – spytała ją DL.

Norleen odpowiedziała westchnieniem – jednym z tych, które przerażały jej córkę, bo brzmiały jak łamiące serce skomlenie zbitego psa.

– Pewnie nie, choć na jedno wychodzi. Takie jest życie. Kierują nim mężczyźni, nie pytają nas o zgodę, więc lepiej się go naucz, bo ono się nie skończy, kiedy dorośniesz, Darryl Louise.

– Mówisz, że każda z nas musi...

– Każda, maleńka. Możesz podać mi tę łyżkę?

Wiele lat później DL złożyła jedną z niewielu wizyt u mamy, już rozwiedzionej, mieszkającej wówczas w Houston. Norleen w końcu jej powiedziała:

– No, tak, twój ojciec doprowadził mnie do szaleństwa. Co miałam zrobić? Nie umiałam nawet strzelać z tych kretyńskich rewolwerów, które walały się po domu. I powiadam ci, masz

szczęście, że uciekłaś od tego, gdzie pieprz rośnie. Wiem, że coś... Ktoś... nade mną czuwał.

DL potrafiła już wtedy wysłuchać cierpliwie i spokojnie każdej reklamy chrześcijaństwa, nadawanej przez Norleen przez telefon. Przyznała oficjalnie, że matka ma duszę, co było jednym z wielu pozytywnych skutków ubocznych trenowania sztuk walki. Dyscyplina stosunkowo wcześniej pozwoliła jej pozbyć się bezbronności i jadu nienawiści do samej siebie, który zatrąby ją prędzej czy później. Gdzieś po drodze dano jej do zrozumienia, że przekona się, iż wszystkie dusze – ludzkie i inne – są odmiennymi emanacjami jednej i tej samej istoty wyższej – żywego Boga. Szanowała Norleen i jej umiłowanie Jezusa, choć podążała własną drogą, odkąd tylko przestała być dziewczynką, odkąd Departament Obrony, ten powszechnie znany szafarz oświecenia, pomyślał o wydelegowaniu Moody’ego do Japonii.

Działo się to w czasach zastoju między Koreą a Wietnamem, ale żołnierze na przepustkach czy urlopowach i tak dawali Moody’emu w kość. Norleen często wychodziła po te swoje sprawunki, a DL zostawała sama. Zaczęła opuszczać szkołę dla dzieci żołnierzy i rozglądała się za instruktorem walk wręcz; kończyło się to zazwyczaj w salonach pachinko, gdzie zawierała podejrzane znajomości i poznawała język pozwalający odnaleźć się w towarzystwie o wiele lepiej niż po kursach dobrego wychowania dla gejsz.

Pewnego dnia przy trzasku milionów stalowych kulek opadających pomiędzy pomysłowo nawoskowanymi łebkami kołków wprost w sferofagiczne „tulipany”, zdała sobie sprawę z pęknięcia oplatającej ją sieci, z chwilowego przesunięcia uwagi. Rozejrzała się. Był ubrany skromnie i sprawiał wrażenie służącego.

Uklonił się wedle wszelkich kanonów i zapytał:

– *Jesz soba?*

Odkłoniła się.

– *Stawiasz?*

Miał na imię Noburu i twierdził, że potrafi przejrzeć każdego na wylot i zna prawdziwe przeznaczenie każdego człowieka.

– Nie zrozum mnie źle – rzucił między siorbnięciami – masz wielki potencjał *szodan* w tej grze, ale pachinko nie jest twoim przeznaczeniem. Chcę, żebyś ze mną poszła i poznała mojego nauczyciela.

– A kim ty jesteś... jakimś doradcą zawodowym?

– Szukam kogoś takiego jak ty od dawna. Prosił mnie o to sensei.

– Zaczekaj! Gram w te kulki już na tyle długo, by wiedzieć, że to uczeń szuka nauczyciela. Co to za bezklasowy układ? – Nie miała szczęścia na własną rękę, więc kto wie, czy to nie „wiadomość z zaświatów”, jak mawiała jej ciotka Tulsa.

Podczas pierwszej rozmowy sensei Inosziro trzymał – jak można się było obawiać – jedną rękę na udzie DL, a drugą odpalał papierosa za papierosem. Układ był prosty: wchodzisz w to albo nie wchodzisz. Obserwując grającą w pachinko DL, wysłannik sensei dostrzegł u niej daleko posuniętą niezłomność ducha, którą mistrz, poddając dziewczynę dyskretnej obserwacji, sam natychmiast potwierdził. DL zastanawiała się, jakie znaczenie miało w tym wszystkim to, że przewyższała wzrostem większość dorosłych Japończyków, a kolor jej włosów łatwo wpadał im w oko.

– Jestem zobligowany, żeby przekazać dalej pewne... umiejętności, które do nikogo nigdy nie należały, ale które należy nieść dalej.

– Ale ja nawet nie jestem Japonką!

– Moja fundamentalna karmiczna misja polega tym razem na wydostaniu się poza zakłęty krąg japońskiego izolacjonizmu, na osiągnięciu stanu ponadnarodowego *kopami jajacharata, ne? Cho-no!* – zawołał sensei. – Idziemy potańczyć!

– Co?

– Chcę zobaczyć, jak się ruszasz!”

Poszli (DL mrużyła po drodze oczy i marszczyła czoło) do „handlującego wodą” baru za rogiem, The Lucky Sea Urchin,

gdzie zatańczyli jakiegoś podejrzanego two-stepa i gdzie DL odmawiała wszystkiego, oprócz 7-Up. Bo działało się tak, że ci dowcipnisie molestowali ją w dosyć rozchwianym okresie życia. W szkole w bazie wojskowej dziewczynki poznawały jedynie ogólny rządowy zarys fenomenu dojrzewania płciowego. A dojrzewanie płciowe DL przebiegało tak, jakby wybrała się na wakacje na obcej planecie i zgubiła czeki podrózne. Tuż przed spotkaniem z sensei miała pierwszą, obsesyjnie wyczekiwaną miesiączkę, a w międzyczasie dopadały ją długie, trwające niekiedy całe dni, fale rozproszenia, podczas których wszyscy, a szczególnie chłopcy, przyglądali się jej bacznie. Ale sensei, mówiąc najogólniej, nic sobie z tego nie robił. W tradycyjnych opowieściach, które DL poznała przed opuszczeniem Japonii, terminowanie u sensei trwa długo i wymaga poświęceń, odbywa się najczęściej w jakimś malowniczym miejscu w górach, gdzie uczeń wykonuje na dworze najprostsze prace fizyczne, wprawia się w cierpliwości i posłuszeństwie, bez których później nie nauczy się niczego, i sama ta propedeutyka zajmuje, według niektórych podań, lata. To, co zafundował jej sensei Inosziro, miało postać przyspieszonego kursu zmodernizowanego. Jej mistrzowi wyraźnie brakowało czasu, brakowało tak bardzo, że wołała nie znać przyczyny, wyobrażała sobie bowiem, że jest nią romantyczna śmiertelna choroba albo też czekająca gdzieś na sensei krucha starsza niewiasta... Inosziro nie może wrócić w góry z jakichś nieznanych mrocznych powodów, prawdopodobnie zabił kogoś eksponowanego, kto uchybił niewieście, a teraz – kiedy ona wydaje ostatnie tchnienie – musi odbywać pokutę przykuty do ziemi okowami miasta, tęskniąc za nią rozpaczliwie, tęskniąc za mgłami i pogiętymi od wichur drzewami.

Sensei przeczołgał DL po całej mapie Japonii, każąc jej załatwiać rozmaite niezrozumiałe – niektórzy powiedzieliby „bezsensowne” – sprawy. Zaklejał jej oczy taśmą, przesłaniał je dodatkowo ciemnymi okularami i zabierał ją w podróż Linia Yamanote, którą jeździli godzinami, zmieniając pociągi. Kiedy w końcu odklejał taśmę z oczu, podawał jej kamień

o określonym kształcie i wadze, po czym zostawiał ją samą, zupełnie zagubioną, z poleceniem powrotu do domu przed zmrokiem według wskazań kamienia. Przekazywał jej niepojęte wiadomości dla ludzi, których nie znała, mieszkających pod adresami, które musiała wykuć na pamięć, a które najczęściej nie istniały lub okazywały się czymś zupełnie innym, na przykład salonem pachinko. Zapisał ją także do niewielkiego dodżo prowadzonego przez dawnego ucznia. Przez połowę zajęć wykonywała tradycyjne formy i ćwiczenia, a w drugiej połowie wymykała się na dwór, za róg, w zaułek, na bardziej potajemne niż przestępcze rendez-vous.

Tymczasem w domu pojawiły się problemy z powodu wagarów. DL niemal codziennie zmagala się ze śledzącymi wagarowiczów trójkami klasowymi. Moody nie zwracał na to uwagi, dopóki nie zaczęli niepokoić go w pracy przy innych żołnierzach, w tym oficerach, co sprawiało, że nie wracał do domu z uśmiechem. Przez półtora tygodnia darł mordę już na ulicy, zanim skręcił na ścieżkę prowadzącą do drzwi wejściowych, płosząc ptaki, zmuszając psy, koty i małe dzieci do panicznej ucieczki do domów; wrzaski trwały dalej – niosąc się po okolicy przez siatkowe drzwi i schludne podwóreczka – podczas kolacji, pory największej oglądalności, i dłużej: wulgarne, zgorzkniałe i jak powiedziałyby sensei, pozbawione stylu. Norleen jak zwykle nic nie mówiła; trzymała się na uboczu, choć czasem kierowana impulsem przynosiła im, nie wiedzieć czemu, kawę w samym środku wścieklej awantury. Moody na szczęście nie brał się do bicia córki, która teraz, na ile się orientował, mogłaby go naprawdę skrzywdzić. W tych czasach, po blisko dwudziestu latach służby, zaczynał, mówiąc szczerze, tracić zapał; pracował tylko na dzienną zmianę przy przekładaniu papierów, co było najodleglejszym echem adrenaliny i jaj potrzebnych do tego, co robił w przeszłości; spędzał coraz mniej czasu w sali gimnastycznej, na bieżni, na basenie czy w dodżo i zadowalał się siedzeniem i tyciem przy kubku kawy przyspawanym na stałe do palca wskazującego, albo też wspomnianiem starych dobrych pałowań

z niezliczonymi kumplami, którzy bez przerwy do niego wpadali. Stracił dawny entuzjazm dla sportów walki, a DL nie potrafiła przekonać go – ani przemawiając mu do rozsądku, ani krzykiem – do uwielbienia dla uwielbianej niegdyś przez niego dyscypliny. Opowiadała, starając się brzmieć jak posłuszna córka, o dodżo, ale nie o sensei Inosziro, bo złożyła przysięgę milczenia, i wyczuwała przygnębiający ciężar podejrzliwości Moody’ego. „Jak cię kiedyś spotkam z jakimś małym skośnookim koniobójcą – jak się wyraził – zabiję chuja, a tobie zrobię irygację cloroxem, kapujesz?” DL kapowała, choć z całego serca nienawidziła tego, że kapuje.

Kolejna wiadomość z zaświatów, bez wątpienia. Przystąpił do psucia wszystkiego, warczenia, celowania w nią brzuszyskiem przypominającym obleśną bombę, wyzywania jej od „dziwek”, „cichodajek dla żółtków” i – co dziwne – od „komunistek”. Norleen przygryzała wargi i spod przymkniętych powiek posyłała córce żalosalne spojrzenie, mówiące: „Dlaczego go wkurwiasz, wyżyje się na mnie”.

– Byłam sadystką – przyznała DL wiele lat później przed sobą i przed matką. – Byłam tak wściekła na ciebie za to, że znosisz to bez słowa, że go prowokowałam, zastanawiając się przy tym, ile i jak musisz jeszcze oberwać, żebyś zareagowała.

Norleen wzruszyła ramionami. Centralna klimatyzacja pulsowała z wolna w ciemnościach, ruch ledwo dyszał na autostradach, a drzewa niemal się nie poruszały w wilgotnym subtropikalnym powietrzu.

– Wiesz, oczywiście, że przez cały czas spotykałam się z kapitanem Lanierem...

– Co? O matko! Z jego dowódcą? – No cóż, nie wiedziała, aż do tamtego dnia, bo skąd miała wiedzieć?

– Zapłacił nawet za rozwód.

DL pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Pieprzysz?

Norleen, odrodzona w Jezusie, dobrze wychowana i w ogóle, zachichotała jak dziewczynka z ogrodowym szlauchem w ręku.

– Nie pieprzę.

DL od razu się domyśliła, że Moody wiedział o wszystkim przez cały czas. Kapitan nie pozwalał mu o tym zapomnieć. Mężczyźni mają na to swoje sposoby. Przeżyła dzieciństwo w bagnie intryg, w którym pod powierzchnią pływały niewidzialne oślizgłe paskudztwa bez nazwy, ocierały się o nią, dotykały jej skóry, choć wszyscy udawali, że życie toczy się tylko na powierzchni. Tyle że pewnego dnia ją oświeciło. Spłynęła na nią pewność, że czuje się dobrze tylko wtedy, kiedy jest daleko od nich, obojga rodziców, kiedy uczy się walczyć. Sensei, mimo całej swej obłeśności, ataków szału, fochów i niskiej tolerancji na niemal wszystko, stał się dla niej schronieniem, ucieczką od tego, co kryło się i dyszało niewidzialne pod geometrycznie wytyczonymi podwórkami, płotami i śmietnikami amerykańskiego osiedla – gotowe w każdej chwili unieść łeb i skoczyć jej do gardła. Zatem zamiast czekać na jakieś dramatyczne wydarzenie, które dałoby jej powód – co mogło okazać się zbyt niebezpieczne – pewnego dnia, kiedy obojga rodziców nie było w domu, spakowała niewielki wojskowy worek, wkładając do niego rzeczy najpotrzebniejsze, zamieniła niemal całą zawartość lodówki na kanapki, które umieściła w dużej – rozmiar 66 – torbie z supermarketu, ukradła dla sensei butelkę Chivas Regal z kantyny i nie oglądając się za siebie, zdezerterowała.

Kiedy stanęła przed domem sensei, stwierdziła, że niemal całą szerokość zaułka zajmuje biały lincoln continental, którego niemałe przeciw gabaryty pogrubiono dodatkowo pancierzem, radarem, gniazdami karabinów maszynowych i wieżyczkami dowodzenia. W pobliżu kręcił się i pozował oddział uśmiechniętych pod nosem, krótko ostrzyżonych młodych gości w czarnych garniturach i koszulach, białych krawatach i ciemnych okularach. Znała już życie na tyle dobrze, by zejść im z drogi, przywarować, ukryć włosy pod chustką, poczekać w cieniu, aż z domu sensei wyjdzie starszy pan w garniturze i homburgu. Młodzi ukłonili się, a potem złożyli ręce w nie całkiem dostrzegalny sposób. *Kobun* usadził gościa Inosziro w samochodzie, który następnie wyjechał ostrożnie tyłem

z ciasnego zaułka. Ruch pieszy wznowiono jak po deszczu i znów było widać Edo.

W środku walały się piankowo-plastikowe pojemniki po sake. Posyłali po nią przez cały dzień. Noburu był nieprzytomny, ale DL wydało się, że sensei jakoś się trzyma. Poprosiła go z szacunkiem o schronienie. Wydawał się rozbawiony.

– Wiesz, kto tu był?

– Yakuza.

– Jesteś na to za mała, laluniu!

– „Nawet płaczące niemowlę wstrzymuje oddech, kiedy słyszy imię Jamaguczi-gumi” – wyrecytowała po japońsku.

Wyciągnął po nią rękę – z namolną protekcjonalnością. Błąd, sensei. Przyjęła natychmiast pozycję znikania, wystawiając kanty, gotowa mu przyłożyć na najrozmaitsze sposoby w zależności od tego, co zrobi.

– Odpręż się! Tylko cię sprawdzam!

– Aha. Powiedz mi, sensei, jeśli trzymasz z yakuzą, a ja pracuję dla ciebie, czy to oznacza, że...

– Nasza przyjaźń to bardzo stare *giri*, za dużo szczegółów, japońskich nazw, pogubiłabyś się w tym. Duże znaczenie miała wojna. Ale ty i ja... nas łączy tylko więź mistrza i ucznia, którą zawsze można przerwać. Jeśli tak łatwo przyszło ci opuścić rodzicielski dom, nie będziesz miała wyrzutów sumienia, odchodząc ode mnie.

Co to znaczy? Poczucie winy?

– Chcesz, żebym wróciła?

Zachichotał i powiedział coś zupełnie niezrozumiałego.

– Wrócisz! Ale do tego czasu trzymaj się blisko!

Od tamtej pory poświęciła się w całej pełni nindzitsu, w tym praktykom spoza oficjalnego kanonu poznanego – dawno temu – przez sensei; praktykom, wskutek których wypaczała się pierwotna czystość intencji nindza, zamieniając je w okrucieństwo, pozbawioną ducha przyziemność, w której starodawne i odwieczne techniki stawały się jednorazowe i ulegały zużyciu, a okazałe niegdyś formy spłaszczają się do

cyklu spotkań – pojedynczych i grupowych – z których żadne nie miało większego znaczenia. Właśnie to musiał przekazać jej sensei – nie odważny, ciężko zdobyty wdzięk wojownika, ale tandetną brutalność zabójcy. Kiedy DL w końcu powinęła się noga, zwróciła mu na to uwagę.

– Jasna sprawa – odpowiedział jej. – To wszystko dla nas, maluczkich, żyjących pośród robactwa; dla tych, którzy nie nadają się na wojowników, bo nie potrafią podjąć właściwej decyzji przez dwie dziesiąte sekundy i muszą z tym żyć przez resztę swych dni; dla nas, pijaków i kapusiów, i dla tych, którzy czują za mocno, żeby zabić, kiedy zajdzie taka konieczność... To nasza pukawka, nasze ostrze, jedyne, czym możemy się dzielić. Bo my też mamy przodków i zstępnych... całe własne pokolenia... i własną tradycję.

– Ale każdy przynajmniej raz staje się bohaterem – powiedziała. – Może jeszcze nie miałaś okazji się wykazać.

– DL-san, jesteś pomyłona – zdiagnozował ją łagodnie. – Naoglądałaś się najpewniej zbyt wiele filmów. Ci, z którymi będziesz walczyć, ci, którym musisz stawić czoło, nie są samurajami ani nindza. To *sararimani*, przeciętniacy, którzy nie potrafią zdobyć się na odwagę i gardzą tymi, którzy to potrafią... Szanują tylko to, czego cię muszę uczyć.

Nauczył ją Trzech Chińskich Ścieżek, Dim Ching, Dim Hsuen i Dim Mak z Dziewięcioma Śmiercionośnymi Ciosami oraz Dziesiątym i Jedenastym, o których się nie mówi. Dowiedziała się, jak sprawić, żeby ktoś umarł na atak serca bez choćby jednego dotknięcia, by rzucił się z wysoka i by popełnił – wskutek oddziaływania Obłoku Winy – seppuku, myśląc przy tym, że sam na to wpadł. Dostała też całą torbę podrózną strategii wyłączonych z kumi-uczi, oficjalnego systemu walki nindza, na przykład takich jak Wściekły Wróbel, Ukryta Stopa, Dłubiąca w Nosie Śmierć czy prawdziwie niewypowiadalne *Gojira no Chimpira*. Mimo przyspieszonego kursu pewne chwyt, których sensei Inosziro nauczył DL, nabiorą dla niej sensu dopiero, powiedzmy, po dziesięciu latach – wymagające rygorystycznych ćwiczeń dzień po dniu tylko po to, żeby zacząć

je rozumieć – w związku z czym otrzymała surowy zakaz wcześniejszego ich stosowania w szerokim świecie.

Mijały dni i tygodnie, a DL poznawała system herezji o ludzkim ciele. W wywiadzie udzielonym wiele lat później „Almanachowi Ruchawek” wspominała okres u boku sensei Inoshiro, jako powrót do własnego jestestwa, odzyskiwanie własnego ciała. „O którym zawsze nam kłamią, jakby znali je lepiej, bo zależy im, żebyśmy byli od niego jak najdalej. Być może myślą, że w ten sposób łatwiej nami sterować”. Powtarzana w szkole prawda brzmiała: „Nigdy nie poznasz tak dobrze swojego ciała, by wziąć za nie odpowiedzialność, więc raczej oddaj je w ręce innych, lepiej wykwalifikowanych, na przykład lekarzy i laborantów, a dalej trenerów, pracodawców, chłopców ze wzwodami i tym podobnym”. Zaniepokojona, by nie powiedzieć wkurwiona tym, doszła do radykalnego wniosku, że jej ciało należy wyłącznie do niej. Stało się to wtedy, kiedy myślała jeszcze o nindzitsu. Po kilku latach już o tym nie myślała, ale i tak ćwiczyła każdego dnia, znajdując odpowiednie miejsce i czas – często dużym kosztem, ale za to codziennie.

Zgodnie z przewidywaniami sensei, wróciła do Norleen i Moody’ego, przynajmniej na trochę. Między yakuzą a armią Stanów Zjednoczonych istniały potajemne kanały informacyjne, więc ostatecznie wszyscy i tak wiedzieli, dokąd uciekła oraz że nic jej nie grozi. Mama i tata byli uszczęśliwieni – choć każde z innego powodu – że zniknęła na chwilę z domu, a jedyną przyczyną, dla której DL podjęła na nowo rolę małej podopiecznej, było to, że żona dowódcy dowiedziała się o mężu i Norleen i postarała się o to, by urządzić wszystkim małe piekło do czasu, aż Moody wrócił wraz z rodziną do Stanów.

Parę lat później DL, biorąc udział w jakichś zawodach, usłyszała o Żeńskim Zgromadzeniu Służebniczek Kunoichi.

– Teraz już wiesz, jak to wygląda. Dojechałam autostopem do końca zwirowej drogi, przeszłam pieszo parę ostatnich kilometrów. W tamtych czasach pozwalały przespać się za

darmo każdemu, kto się pojawił. Pierwsze lata, więcej idealizmu, mniej pieniędzy.

Wyszły z Prairie trochę się przewietrzyć nad strumykiem. Od ich przyjazdu minęło już kilka tygodni, a Prairie stała się bywalczynią sali komputerowej, nie mówiąc rzecz jasna o kuchni.

– Ta... dzisiaj mamy tu ubezpieczenia grupowe, plany emerytalne, konsultantkę finansową z LA, niejaką Vicki, która wykonuje za nas niezbędne ruchy na giełdzie, i prawnika w Century City, choć od czasu postawienia go w stan oskarżenia większość roboty wzięła na siebie aplikantka Amber.

DL wydawała się lekko podenerwowana. Jej wspólnik, Takeshi Fumimota, miał przyjechać na badania. Umówili się na spotkanie, ale Takesziego wciąż nie było.

– Martwisz się? – zapytała Prairie, która zawsze była w gruncie rzeczy dosyć wścibskim dzieciakiem, choć teraz zależało jej tylko na tym, żeby DL się wygadała, bo to mogło pomóc.

– Nieee... Syn Nipponu poradzi sobie w każdej sytuacji.

– Hm. A jak się poznaliście?

– AUUUUUUUUU! – Prairie nigdy nie słyszała tak przeraźliwego krzyku, jeśli nie liczyć sobotnich kreskówek.

– Sorki. Myślałam, że to niewinne pytanie...

– Jak się poznaliśmy...? – Głos DL opadł do wysokości wzburzonego sopranu. – O rany! Przez Ralpa Wayvone 'a, mówiąc szczerze. Poświęciłam całe lata życia na fantazjowanie o zemście na Brocku Vondzie. Chciałam go zabić, bo w taki czy inny sposób pozbawił życia ludzi, których kochałam. W zamordowaniu go nie widziałam niczego złego. Byłam tak bardzo odjechana i skażona nim, że straciłam trzeźwy osąd.

Początkowo brała Ralpa za kibica. Widywała go wśród innych na turniejach, zawsze w garniturze. W końcu podszedł do niej w barze w Eugene, gdzie wpatrywała się ponurym niewidzącym wzrokiem – niewątpliwie od dłuższego czasu – w talerz z czterema gumowymi krewetkami królewskimi w cieście, kupionymi świeżo w sklepie z suwenirami przy tej samej ulicy i polanymi dla niepoznaki sosem pomidorowym. Zdała sobie sprawę z obecności Ralpa, kiedy jego cień padł na krewetki. Świdrował je wzrokiem.

– Jak możesz to jeść?

– Sama je zamówiłam. Coś jeszcze?

Nieznajomy usiadł naprzeciw, otworzył pancerną aktówkę i wyjął z niej tekturową teczkę z portretem o wymiarach 24x30 centymetrów osoby, którą znała: wykonaną w zakładzie fotograficznym w procesie węglowym Fressona fotografię Brocka Vonda, który wyglądał jak świeżo uprany i wyprasowany – wysokie gładkie czoło, policzki z odrobiną dziecięcego tłuszczu, długie szpiczaste uszy, mała broda, zgrabny, mały, niezłamany nosek. Do fotografii przypięto zszyte zszywaczem kartki, na których ujrzała federalne pieczęcie i tłoczenia.

– To wszystko z FBI. Stuprocentowo legalne. – Zerknął na ultracienki, bardzo drogi zegarek. – Posłuchaj... ty go chcesz... my go chcemy... powiedz tak, a nasze wspólne marzenia się spełnią.

Sprawdziła już krój i gatunek materiału, z którego uszyto garnitur Ralpha.

– A co porabia ostatnio stary Brock? – zapytała.

– Jest takim samym funkcjonariuszem federalnym, jakim zawsze był, tylko wyżej. Znacznie, znacznie wyżej. Wydaje mu się, że wygrał wojnę z lewactwem, więc obecnie widzi swoją przyszłość w wojnie z narkotykami. Co, naturalną kolejną rzeczą, bardzo niepokoi drogich mi przyjaciół.

– Jest dla nich za wysoko? Błagam... chyba odebrało wam rozum, że przychodźcie z tym do mnie.

– Nie. Bo jesteś zmotywowana. – W reakcji na jej pytające spojrzenie dodał: – Znamy twój życiorys, jest w komputerze.

Przypomniała sobie białą pancerną limuzynę przed domem sensei Inosziro dawno temu.

– Więc wiecie, że to osobista sprawa. Jeśli zależy wam na prawdziwym produkcie nindza, moje osobiste zaangażowanie stanowi poważną przeszkodę... Zakładam, że kupujecie umiejętności, a nie uczucia.

– Kupujemy, jasne, ale i dajemy. Jedyne, czego naprawdę pragniesz, hę? Rewelacyjne zlecenie na złego człowieka. Widzę po twoich oczach, że je chcesz.

Nie odwróciła wzroku, nie zareagowała na te podejrzone zaloty, ale miał rację – przejrzał ją na wylot, zdaje się, że przy pomocy FBI. Co się dzieje? Czy Ralpha miał dojdzie do ich bazy danych? Jeśli wiedzieli, że jest zlecenie drogich przyjaciół Ralpha na Brocka, dlaczego nie chronili jednego ze swoich? Jeśli, rzecz jasna, nieszczęsną wrabianą w tej sytuacji nie jest przypadkiem – co wielce prawdopodobne – sama DL: próba morderstwa funkcjonariusza federalnego, pewnie niezły wyrok w pierdolonym systemie więziennictwa...

Ralph Wayvone, mistrz telepatycznych drgań, starał się być pomocny.

– Oni nie muszą nikogo wrabiać, panno Chastain. Wchodzą, biorą, kogo chcą, a później martwią się o papierkową robotę... Co? Jeszcze się nie przekonałaś? Gdybym wiedział, że jesteś taką grzeczną dziewczynką, kupiłbym ci lalkę Barbie.

– Dobra, ale dlaczego ja? Myślałam, że lubicie pukawki, sztylety, bomby pod samochodami i tego rodzaju sprawy.

– Słyszałem... – oczy Ralpa zaszły mgłą – ...o takim dotyku... tak lekkim, że się go nie wyczuwa, po którym pada się trupem po roku, akurat wtedy, kiedy w innym mieście je się na obiad żeberka z szefem policji.

– Chodzi panu o Wibrującą Pięść albo Dotyk Śmierci Nindza.

Wyjaśniła mu, starając się nie okazywać rozdrażnienia, całą procedurę i to, jak poważne jest to przedsięwzięcie. Nie przychodzi się, na przykład, i nie składa dotyku na czołach wszystkich ludzi, których się nie lubi. A poza tym to nieskuteczne bez długotrwałego treningu w sztukach walki, bo opanowanie tej techniki trwa całe wieki, a jej zastosowanie jest czynem głęboko poruszającym moralnie. W pewnym momencie zauważyła, że sama mu się podkłada. On też to dostrzegł. Poklepał ją po dłoni.

– Powiadasz, że już nie muszę się martwić.

– W swoim czasie, panie Wayvone, byłam w tym najlepsza.

– Pamiętam – odpowiedział zamiast „Tak mi mówiono”, ale nie zwróciła na to uwagi.

W gruncie rzeczy na linii YakMaf chodziły o niej słuchy od lat, zwykle plotki z dodzo, mówiące o nadzwyczajnych wydarzeniach rozgrywających się podczas takich czy innych regionalnych eliminacji. Więc kiedyś wsiadł do samochodu i którejs nocy przejechał całą pustynię Mojave, żeby zobaczyć ją w akcji. W cuchnącej cementowej hali jej włosy żarzyły się jak aureola anioła zagłady. W kołonoatniku pamięci Ralpa młoda DL żarzyła się równie mocno. I wtedy postanowił ruszyć za nią z turnieju na turniej na południu i zachodzie Stanów; spotykał po drodze te same ponure gęby świeżo z Wietnamu, zatrzymywał się w motelach zawsze oddalonych o dziesiątki kilometrów od turniejowej sali, zjeżdżał w złych miejscach

z autostrady, gadał o interesach, pił, woził broń, widywał wokół same podkoszulki z trupimi czaszkami, węzami i niebezpiecznymi środkami transportu. Ralphowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że jego mina przypomina gębę starego bezradnego impotentu zagląającego przez płot na szkolne boisko; miał wrażenie, że emanuje z niego czujność mikromenadżera. I czasem emanowała. W przypadku DL czas, który w nią zainwestował, przyniósł mu dossier, które, był pewien, kiedyś wykorzysta. I tak też się stało.

Przywiózł DL w prezencie prawdziwy kryzys. Wiedziała, że hołubiąc obsesję na punkcie Brocka Vonda, powoli zatruwa sobie duszę. Lecz oto pojawił się Ralph z obietnicą rozwiązania i wyzwolenia. Więc nie miała na co się skarżyć. Tylko czyny – głęboko poruszające moralnie i inne – miały jakiegokolwiek konsekwencje: działanie karmy. Jeden niewyczuwalny dotyk odpowiedniej części anatomii Vonda mógł skierować jej życie na całkiem nowe tory. Nigdy nie uwolni się od Ralph – to nie ulegało wątpliwości. Dziewczyna wykona jeden Dotyk Śmierci, a ludziom od razu przychodzą do głowy różne rzeczy. Bez względu na to, co postanowi, wpakuje się w tarapaty. Obiecała, że powiadomi go o swojej decyzji następnego dnia podczas obiadu, a potem wyjechała szybko z miasta i zgubiła ostatnie ogony Ralph pod Drain w Oregonie, gdzie zostały obok najnowszego modelu oldsmobile'a z parą buchającą spod maski.

Zanim dojechała do LA, znów zmieniła auto, a potem wsiadła do autobusu i pojechała do banku położonego w połowie Wilshire, gdzie kiedyś opatrnie zdeponowała kopertę z dokumentami, które pozwalały jej wybrać dowolną nową tożsamość. Przy Western Avenue zapłaciła gotówką za plymoutha fury rocznik '66, po drugiej stronie ulicy kupiła perukę, a na stacji benzynowej przy Olympic weszła do pewnej legendarnej – w środowisku ćpunów – damskiej toalety i wyłoniła się z niej jako inna – mniej rozpoznawalna – osoba. Samochodowe radio, nastawione na stację KFWB, grało *People Are Strange (When You're a Stranger)* Doorsów, a DL

wstrzyknęła się na pas dla wolno jadących pojazdów prowadzącej w kierunku wschodnim autostrady, żałując, że opuszcza to wszystko: Banning, dinozaury, wyjazd do Palm Springs, Indio, żeby przeprowić się przez pustynię Mojave śnioną na nowo w przyblakłych, acz intensywnych barwach – a to z powodu nienaturalnie drobnego piasku wiejącego kłębamii poprzez słońce, kładącego niemowlęco błękitne cienie na zmarszczkach wydm i różowawym niebie; trzymała się tych obrazów i pozwalała im odejść, śniąc na nowo podczas noclegów w coraz mniej zachodnich miejscach, przez które przejeżdżała każdego dnia, odklejając się powoli, wjeżdżając do Stanów Zjednoczonych, próbując się nie rozczulać, ale wciąż wpatrując się w opowiadaną przez tylne lusterko bajkę o oddalających się i znikających punktach, tak jak wpatrujemy się w spojrzenia odprowadzających nas na pociąg ukochanych.

Kierując się nawigacją bezwładu, wiedząc, że będzie wiedziała, czego szuka, kiedy to znajdzie, DL zatrzymała się dopiero na przedmieściach Columbus w Ohio, które ujrzała wokół siebie w połowie dnia w zdumiewającej szarzy smogu i ruchu. Zdążyła już opanować samochód i jego nieortodoksyjną, uruchamianą przyciśnięciem guzika zmianę biegów, dokonawszy analizy, z której wynikało, że dźwignia zmiany biegów = penis, i doszedłszy po niej do wniosku, że uruchamiana guzikiem przekładnia jest przynajmniej z pozoru lechtaczkowo damska, czy – jak by powiedziała – regresywna, gdyby miała to komu powiedzieć, a oczywiście nie miała. Znalazła sobie małe mieszkanie i pracę u dystrybutora części zamiennych do odkurzaczy: w biurze przy maszynie do pisania i kartotekach.

Columbus obiecywało życie, o którym zawsze marzyło gdzieś w dusznych ciemnościach jej szczątkowe jestestwo.

– Superman zamieniał się w Clarka Kenta – zwierzyła się kiedyś Frenesi – i nie wolno tego nie doceniać. Praca w „Daily Planet” to były hawajskie wakacje Człowieka ze Stali, jego sobotni wieczór w mieście, jego marihuana i opium, a ja oddałabym wszystko...

Za wieczorną lekturę gazety... gdzieś tam na Środkowym Zachodzie... Wychodziłaby z pracy w porze drukowania dziennika i szła najkrótszą drogą do jakiejś niezbyt odległej knajpy – rzut kamieniem od redakcji, żeby czuć wibracje maszyn drukarskich poprzez drewniany bar. Wypijałaby żytniówkę, nie zdejmując kapelusza, przecierała okulary krawatem, a potem w półmroku wymieniałaby się nowinami z innymi stałymi bywalcami. Zimą za oknami byłoby już ciemno. W wyczyszczonych butach odbijałyby się najważniejsze wiadomości wraz z zapalaniem ulicznych lamp... Nie czekałaby na nikogo ani na nic, bo byłaby tylko Clarkiem Kentem. Lois Lane nie chciałaby marnować dla niej czasu, ale wcale by jej to nie przeszkadzało, bo spotykałaby się z jakąś sekretarką. Wychodziłyby razem na obiad do przytulnej neapolitańskiej knajpki nad brzegiem jakiegoś jeziora, gdzie *mussels posillipo* były nie do pobicia.

Ale zamiast latać, dokąd tylko chcesz – zauważyła jej przyjaciółka – musiałabyś wsiadać do samochodu, za który wciąż płacisz raty, i jechać jako Clark Kent na miejsce jakiegoś wypadku... Krew, ciała, muchy, ciągle nawaleni nastoletni technicy, świadkowie w szoku... Superman nie musiałby się w to bawić. Wolałabyś zostać śmiertelnikiem? Lepiej być aniołem, aniele.

DL – bardziej pobłażliwa w tamtych czasach – doszła do wniosku, że przyjaciółka kompletnie jej nie zrozumiała.

W Columbus spędzała całe dni – jako Nindza Steno – w centrach handlowych, gromadząc niewidzialną garderobę: bure wełny, przygaszone pastele, pantofle na płaskich obcasach i dobrane pod kolor torebki, beżowe pończochy, białe majtki; dziwiło ją, jak mało wymagające okazało się to zadanie, najnudniejsze akcesoria ze sklepowych witryn przykuwały jej spojrzenie, działały damskie w dyskontach stały się miejscami obfitości, czekającymi tylko, żeby w nich przebierać. Do tego czasu nawiązała bliższe stosunki z plymouthem, dała mu na imię Felicia, kupiła jej – Felicii – nowe stereo i myła ją przynajmniej dwa razy w tygodniu oraz dodatkowo

w weekendy, kiedy to również ją woskowała. Pływała, uprawiała tai-chi i wykonywała poznane w Japonii ćwiczenia. Przyzwyczała się do nie swojego odbicia w lustrze: krótko obciętych włosów, mysiej płukanki, piegów ukrytych pod podkładem, pomalowanych oczu, których nigdy wcześniej nie malowała – to wszystko stawało się powoli jej drugą naturą, a ona stawała się starą panną z małego miasteczka, prowadzącą doskonale umniejszony żywot drugoplanowej, przedwcześnie postarzałej i wyliniałej piękności.

Więc kiedy zjawili się i porwali ją z parkingu przed Pizza Hut, żeby wywieźć ją z powrotem do Japonii, nie była zrazu pewna, czy chce zostać przedmiotem handlu żywym towarem i czy to najwłaściwszy krok w jej karierze. Porwali ją tak fachowo, że poczuła się jak amatorka. Jej maleńka Felicia została sama na parkingu, przyzywając ją czasem poprzez tysiące kilometrów i lata niczego nierozumiejącym głosem, pytając nieśmiało, dlaczego nie wraca. Walczyła, ale zleceńodawcy przysłali ekspertów wyspecjalizowanych w nieniszczeniu młodych kobiet. Legenda, którą w końcu usłyszała, mówiła o kliencie gotowym zapłacić pokaźną – do bardzo sówitej – zaliczkę za amerykańską blondynkę posiadającą umiejętności kopania po tyłkach.

– Nigdy nie wiadomo, co kręci facetów – tłumaczyła szeptem Lobelia, jej współlokatorka z pokoiku w hotelu w Ueno, gdzie czekały na wystawienie na aukcję – szczególnie takich, jakich poznamy.

Przez całe dni i całe noce dudniły pociągi i auta. Rozchwierutany hotelik przypominający domek z kart stał, trzęsąc się w posadach, między Linia Yamanote a Autostradą numer 1. Dziewczyny karmiono *jakitori* na wózkach z Showa Aircraft Industry i pozwalano im wychodzić w pilnowanych grupkach na zakupy na straganach pod torami. Niektóre z dziewczyn – co wynikało z rynkowego prawa popytu – okazały się chłopakami, z których najbardziej olśniewającą była przyjaciółka DL, Lobelia.

– Uau! – wykrzyknęła, przedstawiając się. – Ależ jesteś zaniedbana! – Po czym nieproszona zaproponowała remont DL od cebulek włosów do koniuszków palców. DL opuściła głowę i mruknęła:

– Chryste, chyba powinnam to zapisać.

Lobelia przerwała jej i zamrugła.

– Chcę ci tylko pomóc, cukiereczku. Pomyśl, staniesz na wybiegu i jak się będziesz czuła, kiedy sprzedadzą cię za dolara dziewięćdziesiąt osiem centów?

– Tanio.

– Właśnie, więc dlatego proponuję ci fioletowy tusz do rzęs i przynajmniej trzy cienie do powiek, zaufaj mi, wiem, co lubią klienci, a ty, kochanie, nie chcę być okrutna, ale...

Więc kiedy nadszedł wielki wieczór, DL wyszła do kupców z jeszcze inaczej wymalowaną twarzą, którą z trudem rozpoznawała jako swoją. W sali kipiało od woni alkoholu, dymu i wód kolońskich. Z ukrytych głośników płynęła muzyka *koto* i *samisen*. Hostessy chodziły na paluszkach, klękały, przynosiły i nalewały. Na dworze wiatr łomotał arkuszami blachy, uliczny ruch syczał wilgotnie i frykatywnie, neony – jeszcze nieznane poza Tokio – zamieniały okolicę w jaśniejącą witrynę transgresji i pożądania. Lecz w środku, w półmroku za gumowanymi zasłonami, sala aukcyjna miała własne barwy, za które odpowiadała chałturząca na boku ekipa elektryków filmowych, rzucająca różowe i łososiowe snopy łaskawego światła na dziewczyny w przykuwających uwagę strojach, wybranych wcześniej z gigantycznej garderoby – do której można było wchodzić, a nawet wjeżdżać – wypełnionej kostiumami, które tutejsi klienci uznawali za erotyczne, w tym robiącymi furorę tego wieczoru szkolnymi mundurkami, które po części wzmagały i tak dziewczęcy wygląd „dziewcząt”, a po części były preferowane z mniej oczywistych powodów, które sprawiają, że dorosłe kobiety ubrane w stroje uczennic bywają nieodparte. Wielką wagę przywiązywano rzecz jasna do detali, takich jak szkolna tarcza, plecione paski, bielizna, plisowane

spódniczki, gdyż każda najmniejsza, niemal niewidoczna niespójność mogła z łatwością zepsuć efekt i zrujnować aukcję.

– Dziewczyno, nie wiesz, co to znaczy być wybrednym – zauważyła Lobelia – póki nie byłaś na japońskich targach mięsa.

Na sali licytowało parę kobiet, ale większość kupujących stanowili mężczyźni. Aukcję prowadził popularny komik telewizyjny. Wśród tłumu dało się zauważyć starszych dżentelmenów z obciętymi palcami – usłużnych jak gejsze, choć reagujących na zupełnie inne sygnały. Potencjalni kupcy wymieniali się cicho uwagami, przeglądali katalogi, zapisywali coś w notesach. W barze grał telewizor, nadawano transmisję meczu baseballowego, faza playoff Ligi Centralnej, paru gości oglądało mecz do tradycyjnej 8:56, kiedy w samym środku podwójnej gry przerwano nagle przekaz ze stadionu. Wszczął się rwetes, a do sali wpadli w chmurze ambiwalentnego dymu ostatni maruderzy, wyrażający głośno niezadowolenie. Zamknięto i zaryglowano ciężkie intarsjowane jadeitem wrota, przygaszono światła, przyciszono romantyczną muzykę disco, przed mikrofonem stanął komik i rozpoczęto aukcję.

Każda dziewczyna miała numer przypięty do kostiumu. Kiedy go wywoływano, stawała w świetle punktowca i wykonywała tradycyjny wymach tyłkiem i cyckami jak na konkursie piękności. Towar przed DL pochodził z górskiej doliny w północnej Tajlandii i trafił tu w ramach wymiany barterowej za heroinę. Tego wieczoru wystrojono tę dziewczynę w czarny szyfon i rzęsy z norek. Właśnie wstępowała do świata, w którym już nigdy nie spotka nikogo, kto słyszałby kiedykolwiek o wiosce, w której się urodziła i z której ją zabrano. Sprzedano ją za milion jenów, usunęła się z korzystnego teatralnego oświetlenia i wkroczyła w mrok, gdzie czekał na nią nowy właściciel. Poczwała, że coś ciepłego, lecz nieustępliwego – jak okryta aksamitem stal – zamyka się wokół jej szyi i nadgarstka... nikt nie odezwał się do niej ani słowem. Nikt nie odezwie się do niej przez wiele następnych dni.

DL, przypomniawszy sobie oglądane w dzieciństwie w Pudle wywiady z uczestniczkami konkursów piękności, szepnęła w duchu: „Odpręż się i baw się dobrze”, po czym przyspieszyła kroku i znalazła się w ciepłej otulinie światła, by każdy mógł się jej przyjrzeć. Kiedy tylko weszła w światło, usłyszała przyspieszone oddechy i szepty w wielu obcych językach, lecz sama była dziwnie świadoma obecności tylko jednego elektryka, opierającego się w milczeniu o boczną lampę... tuż poza jej polem widzenia. Ta niewyraźna rozmazana obecność wydała się jej bardziej rzeczywista od bardziej namacalnego istnienia któregokolwiek z licznych licytantów, któregokolwiek z jej potencjalnych właścicieli... Jak to możliwe? „Wyluzuj się”. Uśmiechnęła się całą sobą, nawet oczyma Lobelii, wyprężyła sutki i lechtaczkę, a jej cenę przebijano delirycznie. Nagle usłyszała jakiś nowy głos. Pozostali też go usłyszeli. Licytacja dobiegła końca. Walnął młotek licytatora, wyszła ze światła punktowca; nic przez chwilę nie widziała, stąpała po zdradzieckim wybiegu na wysokich obcasach, a potem poczuła czyjąś dłoń na przedramieniu, chwytając ją jak w okowy i prowadzącą za kulisy...

Kiedy odzyskała wzrok, owiało ją chłodne powietrze na dworze, szła szybko przez zaułek, w którym czekała długa amerykańska limuzyna. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na nabywcę. Ciemne okulary, czarno-biały ubiór, niższy od niej o kilka centymetrów, ale – jak się przekonała, czując jego dotyk – szybszy i lepszy od niej.

– Spokojna głowa – zaszczebiotał uspokajająco. – Ja tu tylko sprzątam. – Otworzył przed nią tylne drzwi. Owinięta śliskim tiulem wsunęła się i zwinęła na tylnym siedzeniu. Facet zniknął na przedzie, trzasnęła solidna blokada drzwi i pojechali prosto w neonowy zamęt. Na siedzeniu czekały na nią świeże kwiaty – orchidee. Uniosła podbródek. Jako dziewczyna nie była na ani jednych tańcach, nawet na balu maturalnym, więc tak się złożyło, że po raz pierwszy w życiu dostała bukiet z orchidei.

Tamtego dnia została umówiona na randkę w ciemno z samym Ralphem Wayvone'em, który wynajął apartament

w Imperialu. Przyglądali się sobie przez okazały salon. Od razu zrzuciła pantofle i zanurzyła palce w miękki dywan.

– Jesteś wkurwiony, nie? – zasugerowała.

Ralph nalewał szampana. Odwrócił się do niej z dwoma kieliszkami w rękach, a DL zwróciła uwagę na zmiany w jego opakowaniu. Garnitur leżał na nim jak na Carym Grancie, wyglądało na to, że ogolił się nie dalej niż godzinę temu, a w butonierce miał różowy tropikalny kwiat. Nadal jednak cuchnął jak najniższa półka w dziale kosmetyków męskich w supermarkecie, a strzygł go ktoś, kto musiał niedawno rzucić palenie.

Gdzieś w oddali nad morzem szalała burza z piorunami, która – wnosząc z tego, co było widać za oknem – zmierzała ku miastu, strzelając na oślep błyskawicami wzdłuż horyzontu. Gdzieś w apartamencie włączyło się stereo ze stertą płyt z lat pięćdziesiątych, z których każda utrzymana była w słodko-namiętym nastroju, a tenor umierał z miłości czy – jak kto woli – przeżywał okres dojrzewania płciowego.

– Nie mogłem uwierzyć, że to ty – szepnął niskim, niemal niesłyszalnym głosem, podając jej pokryty rosą kieliszek szampana. Zrobiła dla niego stosowne wymachy jak na wybiegu, zanim ją kupił, i wypila szampana.

– Kosztowałam cię kupę forsy.

– Coroczny iwent, idzie z odpisu emerytalnego.

– Znaczy się, udawałeś, że mnie kupujesz.

– Niezupełnie. Powiedzmy, że tu zostaniesz, póki nie będziesz wolna.

– Ciągłe chcesz Brocka Vonda.

– Teraz bardziej niż kiedykolwiek. – Wysunął dolną wargę, jakby spotkała go wielka krzywda.

– Błagam... Potrzebne mi są wakacje od życia. Nigdy o tym nie słyszałeś?

– Zdaje się, że będę musiał udzielić reprimendy moim wywiadowcom. Czyżby karmili mnie fałszywymi informacjami na twój temat? Gdzie się podział twój zapal? Już nie chcesz

dorwać tego fiutka? Straciłaś... – Spodziewała się, że powie „odwagę”, ale po namyśle dokończył: – ...ochotę.

Spojrzała mu w oczy.

– Może rozejrzałbyś się, póki jesteś w tym mieście, za jakimiś łowcami talentów? Nie jestem, jak wiesz, jedyną osobą, która zna tę orientalną sztuczkę.

– Ale jesteś jedyną osobą, która może ją wykonać. – Tony Bennett śpiewał *The Boulevard of Broken Dreams*. Ralph musnął jej gołe ramię. – Darryl Louise, pomyśl o tym, kim jesteś: pisano o tobie w „Black Belt”, kiedy miałaś zaledwie dziesięć lat, „Soldier of Fortune” zrobił z tobą wywiad, a ta rozkładówka w „Almanachu Ruchawek” zajęłaby o mały włos drugie miejsce w konkursie na Niebezpieczną Nastoletnią Miss '63...

– Dałam radę tylko w Miss Urazy. Po co mi przypominasz o tej policyjnej kartotece?

– Masz wielki talent i chcesz od niego uciec? Spędzić resztę życia na wypisywaniu faktur i oganianiu się przed facetami z działu obsługi klienta? Zbiera mi się na płacz.

– Płacz. Będę musiała jakoś z tym żyć.

– Ach... jesteś zimna jak lód... Mogę cię wziąć, ale nigdy nie będę cię miał. – Odstawił kieliszek i rozłożył szeroko ramiona. – Pójdź, Czarny Pasie! Zatańcz ze starszym panem.

Ralph wpadł – czuła to wyraźnie – w zakrzywienie czasoprzestrzeni i znalazł w latach pięćdziesiątych, a ona, znalazłszy się w jego ramionach, stwierdziła z zaskoczeniem, że po raz pierwszy od Pizzy Hut jest w stanie ogarnąć myślą swoje położenie. Pominąwszy nawet szampana i orchidee, po raz pierwszy w swym życiu uciekiniarki spotkała kogoś, kto zechciał rzucić się za nią w pogoń, a nawet publicznie ją kupił – bez względu na konsekwencje – za cenę detaliczną lamborghini z pełnym wyposażeniem. Czy coś takiego może nie zrobić wrażenia na dziewczynie? A wisienką na torcie była jedyna w swoim rodzaju możliwość schłodzenia wstrętnego Brocka Vonda raz na zawsze.

Płynęli po dywanie neutralnej barwy, wyjcy wyli, a nad miasto nadciągnęła burza. Starał się mówić, przystawiając usta

do jej ucha, tylko podczas partii instrumentalnych.

– Może nawet spodoba ci się praca dla nas. Nasz system świadczeń emerytalnych jest najlepszy na rynku. Masz prawo odmówić przyjęcia każdego zlecenia, nie rozliczamy cię z wykonania tygodniowych planów, tylko co kwartał kontrolujemy przepływ gotówki do każdego z was...

– Więc o co teraz chodzi? Gdzie twój mundurek safari, złote łańcuszki i czapka z misiem koala?

– *Ufa, mi tratt' a pesci in faccia*, moja droga miss Chastain! Czy jest na świecie mężczyzna, który odważyłby się pokierować taką kobietą jak ty? Przepełnioną liberalizmem, znającą śmiertelnie groźne chwytły! Czy ja wyglądam na idiotę?

No cóż, problem polegał na tym, że rzeczywiście nie wyglądała na idiotę. I gdyby nie ten pikantny odcień skóry niwelujący zgrozę długich baczków, gdyby nie starannie dozowany uśmiezek nadrabiający brak kontaktu wzrokowego, z całą pewnością zrezygnowałaby z tego przedsięwzięcia i zajęła się innymi, mniej obiecującymi zadaniami. Ale stało się tak, że po nocy i dniu walenia się na okrągło, amfetaminy, szampana i steków à la Szalopin, zamawianych na górę z Les Saisons, wsiadła do lincolna i popędziła z zasychającą na pończochach spermą, bez jednego zgubionego na zawsze kolczyka, przez lśniące od deszczu mokre ulice do słynnego Haru no Depaato, czyli Domu Towarowego Wiosny, gdzie czekał na nią prywatny gabinet oraz kopertówka pełna jenów na tymczasowe wydatki do czasu przejścia na stałą pensję.

– Twoi pozostali klienci – syknął pomocnie Ralph – będą tylko przykrywką, tak?

– Tak, Ralph, niczego mi więcej nie trzeba. – I tak było w istocie, choć nie ze względu na „pozostałych klientów”, którzy nie okazali się wcale tacy źli, ale dlatego, że w końcu miała czas iść do dodžo, na rozciąganie, uderzanie, na ćwiczenia z nunczako i Szponami Orła, na medytację, odnajdowanie w sobie drogi powrotnej do sanktuarium, które, jak się jej wielokrotnie wydawało, utraciła na zawsze. Na dworze, na ulicach, chcąc utrzymać się w odpowiednim nastroju, zwracała

szczególną uwagę na drogowe kolizje, karetki na sygnałach, a nawet na miseczki z urwanymi główkami krewetek w jadłodajniach serwujących zupy, gdy wraz z Ralphem Wayvone'em uzgadniali szczegóły scenariusza morderstwa Brocka Vonda.

– Przylatuje na dwutygodniowe międzynarodowe sympozjum prokuratorów i zatrzyma się w Hiltonie. Mamy dokładny rozkład jego dnia, w tym czasu wolnego, zakładając, że nie jest jednym z tych podstępnych chłoptasiów, którzy chodzą na wagary. Będiesz czekała, będziesz żyła według jego planu zajęć, a prędzej czy później się pojawi, bo zawsze się tu pojawia, kiedy jest w mieście.

– Ale nie pozna mnie, nie przypomni sobie?

– Nie w nowej charakteryzacji.

Oo, w nowej charakteryzacji... Mimo wielu przeżytych w tym mieście wstrząsów nowa charakteryzacja okazała się największym. Dotarło to do niej, kiedy tylko zajęły się nią stylistki z Depaato, kiedy tylko przyniesiono perukę. Przejrzała się w lustrze i poczuła dreszcze na całym ciele, bo ujrzała siebie i zarazem Frenesi.

– Pan Brock Vond – wyjaśniły jej stylistki – lubi amerykańskie dziewczyny, lubi konkretne amerykańskie dziewczyny, zawsze takie same.

W kusej sukienusi z lat sześćdziesiątych, w krzykliwym ówczesnym makijażu... Ale będę musiała włożyć ciemne okulary, bo kiedy zobaczy moje blade oczy, może się zniechęcić, bo będzie marzył o Frenesi i tych jarzeniowobłękitnych oczach ... Jasne, że tak, ale i o to zadbano, bo kiedy nadeszła pora, DL dostała odpowiednio zabarwione szkła kontaktowe.

– Wiedziałam! – eksplodowała Prairie. – Moja mama i ten kutas! Lepiej powiedz mi, DL, czy to było poważne... Jak bardzo?

– Poważne.

– Więc tata i babcia okłamywali mnie przez cały czas! Wmawiali mi, że stała po stronie ludu... Jak mogła zbliżyć się do takiego potwora jak Brock Vond?

– Nigdy tego nie rozgryzłam, dziecino. Był wszystkim, czego nienawidziłyśmy.

Lecz DL przeżyła inny rodzaj wstrząsu, przekonawszy się, że Vond kochał Frenesi, ale jej nie posiadał, co doprowadziło go do uprawiania fetyszyzmu w najodleglejszych krajach, jako jedyne go sposobu na pofolgowanie sobie, gdyż nie był w stanie się zmienić, cierpiał na obsesję, podobnie – do czego nie była gotowa się przyznać – jak DL. A Ralph, ten skurwiel, wiedział o tym od samego początku. Podniecało go to? Czy raczej robił sobie jaja? Czasem, kiedy czekała na klientów w swoim gabinecie, zastanawiała się, czy to nie jest przypadkiem pokuta, żeby tak siedzieć zamknięta w obrazie tej, którą kochała, która ją zdradziła... tylko siedzieć... Czy to koan, który musi dogłębnie rozważyć, czy od początku do końca iluzja, w której się zagubiła, przeczytawszy o niejkiej Frenesi Gates w poczekalni u dentysty albo w kolejce do kasy, kiedy coś jej się przestawiło w głowie i wymyśliła całą tę historię? Czy naprawdę mieszka w japońskim burdelu, czekając na wykonanie wyroku na Brocku Vondzie, czy jest może bezpiecznie zamknięta w psychiatryku w Stanach, gdzie dla poprawienia nastroju pozwalają jej się przebrać za postać z nieszczęsnych halunów. Czekając, włączała sobie dla towarzystwa Pudło z przyciszonym dźwiękiem. Siedziała nieruchomo, a przez ekran przewalały się obrazy, czasem rozbudzała się pytaniem „cóż jest rzeczywistość?”, ale zawsze zachowywała równowagę, nie zbaczała ani o krok z wytyczonej drogi, oddychając świadomie podczas zmiany godzin, panując nad przyływem i odpływem pięciu żywiołów w swym ciele, w organach, nad tańcem męża i żony, zakazem matki i syna. Obecnie w każdym supermarkecie można sobie kupić Kalkulator Dotyku Śmierci Nindza, który w mgnieniu oka wykryje, obliczy i zaprojektuje śmiertelne muśnięcie, ale w tamtych czasach DL musiała polegać wyłącznie na swojej pamięci i na tym, czego się nauczyła od sensei Inosziro, zobligowana wcześniej – ona i jej mózg – do wkroczenia w system operacyjny odwiecznej odpłaty, szumiący cicho z jej udziałem czy bez, z jej istnieniem czy bez jej

istnienia. Sensei nazywał to „sztuką mrocznych południków” i zwracał jej nieustannie uwagę na wybór właściwej pory. „Idealny cios w odpowiedni punkt spustowy, ale w złym czasie... Równie dobrze możesz zostać w domu i pooglądać sobie filmy z wytwórni Run Run Shaw!”. Zapytała, czy mogłaby go odwiedzić. Odpowiedzieli „nie”.



Tymczasem Takeszi Fumimota, który zajmował się wówczas zagadkowym zburzeniem kompleksu badawczego, należącego do tajemniczego globalnego konglomeratu Chipco, przyjeżdżał w interesach do Tokio i wyjeżdżał. Jakiś tydzień po przylocie Brocka Vonda do Japonii Takeszi stał na krawędzi gigantycznego odcisku stopy, prawdopodobnie zwierzęcego pochodzenia, w miejscu, w którym dzień wcześniej wznosiło się laboratorium. Z punktu widzenia ubezpieczyciela laboratorium przestało istnieć, choć obyło się bez ofiar w ludziach, bo kataklizm miał miejsce dokładnie w czasie próbnego alarmu przeciwpożarowego. Dziwne!

W gęstej porannej mżawce Takeszi nie był w stanie dostrzec drugiego krańca krateru w kształcie stopy. Z wysokiej krawędzi widział tylko żółte lampki na kaskach techników poruszających się daleko w dole, pobierających próbki wszystkiego, każdego najmniejszego okruchu, do dalszych badań. Tu i ówdzie krawędzie odcisku zaczynały się zapadać.

Kiedy ostrożnie ruszył na dół, trafił na płataninę plastikowych kładek ułożonych na mokrej ziemi oraz działające już, przenośne uliczne światła. Ruch był duży. Zatrzymał się przy skrzyżowaniu, nalał sobie kolejny kubek kawy z termosu i zażył kolejną kapsułkę amfetaminy. „Chwilę potrwa – zachichotał głośno, zwracając na siebie uwagę paru osób – zanim dotrzemy do dna!”. Innym dziwnym elementem układanki, o którym przypomniał mu wczoraj przez telefon dawny mentor, profesor Wawazume, ekscentryczny prezes

zarządu Wawazume Na Życie & Nie-Życie, było to, że Chipco zażądało spisania aneksu do śródlądowej polisy morskiej, obejmującego „szkody powstałe wskutek działań każdego dowolnego gatunku fauny”. Zniszczony obiekt mieścił się na małym uczęszczanym fragmencie wybrzeża, więc Chipco z pewnością mogło twierdzić, że coś wyłoniło się z morza, postawiło stopę na piasku dla równowagi i stanęło drugą na laboratorium.

Ponieważ wszystko wydarzyło się podczas odpływu, pierwszy odcisk stopy na płyciźnie dawno zmyły fale. „Niewątpliwie gadzi – podsumował profesor – lub będący wynikiem działań niezadowolonego bojownika ochrony środowiska!”. Takeszi, zanim ujrzy całość z powietrza, nie chciał wykluczać kolejnej nienaukowej ewentualności – działań zawodowca. Po okolicy kręciło się sporo miłośników wybuchów: filmowych specjalistów od efektów, jankeskich weteranów z Wietnamu, członków yakuzy – znał większość tych chłopców i dziewcząt, choć nie zawsze za nimi nadążał, gdyż ich metody stawały się coraz bardziej wyrafinowane. Ten dwudziestotysięczny rozmiar stopy mógł być dziełem artefaktu takiego jak szewskie kopyto.

Takeszi rozpoczął karierę zawodową wysoko nad fioletową poświatą miasta w mocnym korporacyjnym uścisku Wawazume Na Życie & Nie-Życie i przez wszystkie upiorne zmierzchy w dzielnicy Marunoczi marzył o wyzwoleniu i wolności, o życiu ronina – samuraja bez pana – o wolnym strzelectwie w niebezpiecznym świecie. Kiedy los przywiódł go tutaj, w głąb cuchnącego odcisku bestii – pełnego zamglonych czerwonych, zielonych i żółtych świateł, pasiastych zapór, babrania się w błocie i deszczu w tajemnicy, która ostatecznie okaże się zapewne tak prosta jak chciwość – był już przynajmniej niezależny, choć profesor Wawazume raz po raz podsylał mu mnóstwo zleceń. Nie nosił korporacyjnego znaczka w klapie, miał klapę nieoznakowaną, był bezpieczny, a jego jedynym stałym adresem stał się boks na obrzeżach dzielnicy Ueno, który podnajmował i w którym stała szafka na akta,

telefon i fotografia (z autografem) profesora. Profesor podarował mu ją w dniu, w którym Takeszi zaczął działać na własną rękę (powiększone zdjęcie wykonane przez paparazzo: profesor – wyglądający bardziej nieporadnie niż zazwyczaj – oglądał się za znaną pięknoscią w złotej lamie, z utapirowaną fryzurą i długimi na dwa centymetry rzęsami; oglądał się przed barem w Szindzuku, a z kącika ust spływała mu przezroczysta ślina). Takeszi już od dawna był nomadą na pustynnym niebie; wyprawiał się nieustannie w oparach ropy do innych pacyficznych portów, by tam szukać powiązań, by kiwać głową gębom, które widział po raz ostatni, gdy wychodziły z wieżowca Yat Fat przy Des Voeux Road, by przyglądać się figurze stewardes i temu, co dało się dostrzec z okna samolotów, i by wreszcie, podczas startu, polecać się bogom niebios. Lecz mimo milionów przelecianych mil pasażerskich, nigdy nie znalazł się w ich królestwie, a przynajmniej nie umiał sobie tego przypomnieć, bo zamiast tego pamiętał postękiwanie kadłubów, kiedy przelatywali nad siecią linii energetycznych, dzielenie się przestrzenią powietrzną z samolotami kursującymi między lokalnymi lotniskami, o których nigdy nie słyszał i które były niemal niewidzialne w przemysłowych wyziewach i samochodowym smogu – to wszystko przeszkadzało mu w spełnieniu marzenia o szerokich niebieskich przestworzach.

Staął wreszcie na dnie przedziwnego krateru, daleko poniżej poziomu morza, zaliczywszy po drodze objazdy i mając poczucie straconego czasu... Technicy, z którymi usiłował rozmawiać, byli do tej pory bardzo oszczędni w słowach. Wiem! – krzyknął w duchu. Stawiałem za mało drinków! Deszczowe chmury zgęstniały. Unosząc głowę, nie widział już krawędzi, z której zszedł. Stojący w pobliżu specjaliści pokrzykiwali na siebie gniewnie, a promienie latarek na ich kaskach zakołysały się i przecięły. Takeszi zauważył znajomego: Minoru, rządowego eksperta od ładunków wybuchowych. Minoru nie był geniuszem, w żadnym razie, raczej uczonym głupcem o rentgenowskim wzroku. Kiedy spór przeniósł się dalej, Minoru został sam i wpatrywał się w coś, co trzymał w dłoni.

– Trochę to dziwne, Minoru-san!

– Dziwne! Popatrz na to!

Coś znajomego.

– Blok Wschodni, *ne?*

– Ale patrz teraz! – Minoru obrócił okruch. – *Hen na!* –
Pozwolił mu na zmodyfikowanie wniosków.

– Republika Południowej Afryki!

– *Motto hen na!*

W końcu Minoru machnął ręką i ruszył przed siebie.

– Nigdy nie byłem w takiej dziurze. Nie podoba mi się tutaj!

– Chodźmy na drinka! – zawołał za nim Takeszi.

Odpowiedź Minoru zagłuszył nagle hałas – straszliwy ryk, przewalający się w dół we mgle całkiem blisko. Wszyscy, których widział Takeszi, stanęli lub przykucnęli, zadzierając głowy, lecz nie rzucając się do ucieczki – bo dokąd niby mieliby uciekać w błotnistej śmiertelnej pułapce? – a stojąc bezradnie w oczekiwaniu na jakąś niewyobrażalną lawinę... Lecz co to wyłania się z za zasłony chmur, wywołując falę mimowiednych „ochów” wyrrywających się z gardeł patrzących? Co to za błyszczące czarne łuski ociekające morską wodą i glonami? Co to za gigantyczne szpony wykrzywione ku ziemi?

– Wróciła! – wrzasnęli poniektórzy i jednak rzucili się do ucieczki. Inni wyjęli z za pazuchy aparaty i zaczęli fotografować zamieszanie, a jeszcze inni wymachiwali mikrofonami i licznikami skażenia ku zbliżającej się bestii. Zanim Takeszi zdążył zareagować, tajemniczy potwór – mniejszy, niż mogło się początkowo wydawać – obniżył lot, zmierzając ku tymczasowemu lądowisku, okazał się bowiem jednym z flotyli wykonanych na zamówienie, potężnych, pasażerskich helikopterów Chipco. Załoga maszyny – ucieleśnienie kawalarstwa znane w całej korporacji – ozdobiła dowcipnie jej podbrzusze arkuszami plastiku i osłonami aerodynamicznymi o odpowiednich kształtach, które nadawały całości wygląd stopy potwora. Wszyscy dali się nabrać!

Helikopter przyleciał z zadaniem ewakuowania techników pracujących w dziurze, natychmiast, jak ogłoszono przez

zamontowane na maszynie głośniki. Czy to kolejny żart?

– Kogo to obchodzi? – mruknął głośno Takeszi. – Jestem gotów. Wystarczy pracy na dziś!

– Słyszałem, co powiedziałaś – odezwał się Minoru, wspinając się na pokład. – Mówiłaś poważnie? O tych drinkach?

– Jasne. – Coś mu chodziło po głowie, tylko co? – Myślisz, że serwują tu singapore slings?

Kiedy startowali, wznosząc tumany błota na krawędziach krateru, opadające zaraz w ciemności z makabrycznymi plaśnięciem, Takeszi przypomniał sobie o samochodzie, który zostawił na parkingu. Czy wypada mu pójść do wypożyczalni i znów zwalić winę na siłę wyższą, w co mogą już nie uwierzyć? Wzbili się w gęste chmury i przez jakąś godzinę lecieli przy zerowej widoczności. Pasażerowie – w większości technicy i wojskowi – czytali tabloidy i komiksy, słuchali przez słuchawki tranzystorowych odbiorników radiowych, grali w karty albo w go. Takeszi i Minoru przeszli na rufę do małego baru, w którym niebotyczność cen nadrabiała brak urozmaicenia. Nie podawano singapore slings, więc zamówili piwo. Wraz z kolejnymi opróżnianymi butelkami stojącymi na wibrującym od śmigieł barze Minoru stawał się coraz bardziej tajemniczy i nieszczerzy.

– Podoba mi się tu... czuję się jak w toalecie... końcowym prywatnym pokoiku.

– Ach... Dużo latasz?

– Interesy. Głównie zamorskie w tych czasach. W zeszłym roku byłem w niebie częściej niż na ziemi!

Takeszi przypomniał sobie, że gdy jego towarzysz nie rozbierał bomb osobiście, podzlecał to zadanie innym.

– Nie lecieliśmy razem – ciągnął Minoru, uśmiechając się złośliwie – od Lhasy. Lhasa International! Stara dobra LHX!

– Och, wiedziałem, że o tym wspomnisz.

– Nie może mi to wyjść z głowy, szczególnie dziś. Domyślasz się dlaczego?

Helikopter wydostał się z chmur wprost na popołudniowe słońce. Lecieli nad jakimś olbrzymim żółto-szarym parkiem

przemysłowym, pełnym budowli, których jedynym zadaniem było osłanianie tego, co dzieje się w środku, przed przelatującymi wścibskimi. W okolicy były też prawdziwe parki i coś, co przypominało centra handlowe i rekreacyjne. Z głośników popłynął komunikat: „Zbliżamy się do słynnego Technologicznego Miasta Chipco, w którym mieszka Chuck, najbardziej niewidzialny robot na świecie”. Takeszi i Minoru chcieli zamówić jeszcze dwa piwa, ale bar już zamknięto. „Zadajecie sobie pytanie, płynęło dalej z głośników, jak bardzo niewidzialny jest Chuck. No cóż, przechadza się pośród was podczas całego lotu! Owszem. Obecnie może stać obok ciebie... albo ciebie!” Zaczęli obniżać lot, zapaliły się sygnalizacyjne lampki, a Minoru westchnął.

– Wolałbym zostać w górze. – W głośnikach rozległo się kolejne obwieszczenie o połączeniach kolejowych. Chipco miało własny przystanek przy linii Shinkansen, a podróż do Tokio trwała niecałe trzy godziny.

W pociągu wrócili do himalajskiego skoku. Były pewne podobieństwa – atak na nieożywione, czeskie pochodzenie detonatora i materiału wybuchowego. Semtex... i zwodniczy motyw.

– A zatem – odezwał się Takeszi – uważasz, że to nie był samobój?

– Kto podpisał polisę?

– Profesor Wawazume we własnej osobie. – Tak jak w Himalajach. Popatrzyli po sobie jak dwaj starzy wyjadacze, czuli się jak mieszkańcy dżungli, zbierający złom po pożarze, dwa jeny za tonę. Gdzieś wysoko ponad ich głowami od lat toczyła się globalna wojna, życie traciło na wartości, kumulowano władzę, dokonywano zmian personelu, rządono się zasadami walk plemiennych i krwawej zemsty, choć na znacznie większą skalę. Chipco siedziało w tym po same uszy i wyglądało na to, że profesor wycisza niektóre sprawy. Ani Minoru, ani Takesziego nic już nie dziwiło w tej grze, w której pionkami były na co dzień stratosferyczne statki pirackie i przejmowane dla okupu Himalaje.

– Te Himalaje! – wspominał Takeszi. – W samym środku awantury nadciąga zamieć...

– ...gubimy drogę... wszystko białe! Przełącz przepadła, a sekundy... mijają!

– Twój zegarek... turkusowy cyferblat... jedyna rzecz, jaką widać w zamieci! Zamachowiec jest już z powrotem w Genewie... z doskonałym alibi! I nagle... Kogóż to widzimy w tym małym szałasie... nad krawędzią nieskończoności? Dosłownie!

– Kutsuszita-san! – Obaj mężczyźni eksplodowali śmiechem. – Wszyscy myśleli, że zapił się na śmierć...

– A on wyjechał do Tybetu... żeby ocalić duszę!

– Moje pierwsze zadanie nuklearne – rozmarzył się Minoru, kiedy skończyli się śmiać.

Takeszi kiwnął głową.

– Nazywaliśmy cię Dzieciakiem!

Powspominali sobie stare dobre czasy, ale po przyjeździe na tokijski dworzec nic się nie wyjaśniło w bieżącej sprawie. Minoru poszedł zadzwonić, a Takeszi, czekając, sięgnął po srebrną georgiańską tabakierkę, w której spoczywało *schabu*. Minoru, coraz bardziej podekscytowany, wykonywał drugie połączenie. Nagle odwiesił słuchawkę i z pobielającymi wyraźnie tęczęwkami podszedł do Takeszkiego, gotowego uciekać w drugą stronę.

– Musimy się z kimś spotkać! Natychmiast! Może być już za późno! – Chwycił Takeszkiego za krawat i pociągnął za sobą. Na nic zdały się protesty, ciągnął go przez zatłoczony dworzec, aż do postoju taksówek. Minoru rzucił kierowcy, że ma jechać do Tokio Hilton International w zachodnim Szindzuku. Odbywał się tam zjazd prokuratorów z całego świata, obecne były grube ryby z Interpolu i prokuratorzy okręgowi z największych miast, nie mówiąc już o zwykłych, podróżujących z konwencji na konwencję niespokojnych duchach, pośród których Minoru znał przynajmniej kilku takich, którzy powiedzą mu wszystko o fragmencie detonatora, a nawet zdobędą dla niego na poczekaniu faksymile dowodu sprzedaży i jeśli będzie trzeba,

aktualny adres kupca. Takeszi trzymał rękę na klamce u drzwi taksówki, ale kiedy samochód zwalniał, zapominał wyskoczyć. Był rok 1978, toczyła się krwawa wojna uliczna pomiędzy największymi ugrupowaniami yakuzy i w żadnym miejscu publicznym nie można było liczyć na zwolnienie od odpowiedzialności. Życie pieszych w Szindzuku toczyło się w strasznie nerwowym tempie. Muzyka disco płynąca z klubów utrzymana była w tonacji moll, w wolniejszym, nienadającym się do tańczenia rytmie. Przez lata statecznego rozwiązywania pogmatwanych aktuarialnych zagadek – czym zarabiał na życie – nauczył się cenić i obserwować sygnały i symptomy ze świata, komunikaty z zaświatów, a dziś, pominąwszy nawet skutki uboczne nadużywania narkotyków, żadna rzecz w mieście nie wydawała się na swoim miejscu, jakby po wystarczająco trudnym dniu miała nadejść jeszcze gorsza noc...

W Hiltonie osoby z listy Minoru uczestniczyły sumiennie w wieczornych zajęciach: jedna w warsztatach yak doc, inna w klinice transakcyjnej, jeszcze inna w symposium na temat „Finansowanie tej pierwszej kampanii wyborczej”. Zawiedzeni, ruszyli do baru i siedzieli przy drinkach, aż odezwał się pager Minoru i ten zaraz zniknął i przepadł na dobre. Po pewnym czasie Takeszi oddalił się do toalety, a po wyjściu z niej nie zdołał od razu odnaleźć drogi powrotnej: po kilku zakrętach na chybił-trafił znalazł się w jakimś foyer na tyłach, tuż przy ulicy, na której warczały na jałowym biegu wielkie silniki V-8. Dwaj Amerykanie w gabardynowych garniturach kłócili się ze sobą.

Jednym z nich był Brock Vond, który mówił:

– Potrzebujemy czasu, żeby zorganizować jakieś wojsko. Nie chcemy, żeby się dowiedzieli, że coś odkryliśmy, nie? Rozstawią posterunki stąd dotąd, więc teraz potrzebujemy tylko trochę wiarygodnego łupieżu na tylnym siedzeniu. Kto wie, Roscoe, może nawet ty się nadasz.

– Poznają mnie w try miga, Brock. Nie, potrzebujemy... – Roscoe rozejrzał się dla zasady i zauważył skonfundowanego Takeszkiego. – Hej... to może być nasz klient. *Kombanwa*, kolego, mówisz po angielsku?

I właśnie wtedy Takeszi po raz pierwszy ujrzał Brocka Vonda, który przysunął się do światła. Przez jedną albo dwie przerażające sekundy wydawało mu się, że zobaczył siebie i że wydarzyło się coś nieodwołalnego, jak śmierć. Widział napięty groźnie komiksowy rysunek swojej twarzy – tego, co golił i czemu się długo przyglądał – której posuwisty ruch do przodu zahipnotyzował go. Brock wsunął biały plastikowy prostokąt do kieszonki marynarki Takesziego.

– Twoja przepustka na noc, której nie zapomnisz – syknął.

– Tylko nie mów, że nic dla ciebie nie zrobiliśmy – dodał Roscoe.

Takeszi siedział już z tyłu przesadnie dużego amerykańskiego auta z zablokowanymi drzwiami, wieziono go przez ulice Szindzuku na południe drogą ekspresową do Roppongi. Spodziewał się min przeciwczołgowych i ostrzału z broni automatycznej, był przekonany, że trafił w sam środek jakiejś japońskiej wojny gangów z dwoma *gaidzin* w rolach drugoplanowych.

Wysadzono go obok budowli wielkości magazynu z jedną jedyną lampą obok metalowych drzwi, oświetlającą szczelinę wielkości karty, którą dostał. Okolica była wyludniona. Takeszi zastukał w szybę auta, ale kierowca tylko zwiększył obroty i odjechał, skręcając za róg. Takeszi spojrzał na kartę. Obok logo przedstawiającego przyjemną dla oka młodą kobietę w prowokacyjnym negligiu widniał angielski napis KLUB CYCKI I DUPY DLA PANÓW/Dla Koneserów. Coś w sam raz dla Takesziego, choć wiedział przecież, że Brock i Roscoe wysłali go na przynętę.

– Ciężka sprawa – przyznał – ale co miałem zrobić?

– Znaleźć taksówkę – powiedziała Prairie. – Choć z drugiej strony...

W końcu poznała Takesziego, który pojawił się w samym środku nocy, gadając jak najęty i żądając terapii w punkutronie, maszynie, która kiedyś, jak uważał, przywróciła mu życie. Przedstawiono ich sobie rano przy śniadaniu: Prairie miała przed sobą niższego starszego gościa ubranego w prawdziwie

obrzydliwy garnitur z udającej tweed krempliny w kolorze wątroby w jasnoszare cętki. Spodnie powypychane na kolanach. DL oparła się lekko na ramieniu Takesziego i spojrzała na niego z góry, jakby przepraszająco.

– Patrz tylko na jego stopy, a nic ci się nie stanie – rzuciła, kiedy Takeszi ujął dłoń Prairie i łypnął na nią łakomie. – Spójrz... – DL wyciągnęła rękę i przyczesła mu grzywkę na czoło, choć mamrocząc pod nosem, usiłował ją odepchnąć. – Kogo ci przypomina?

– Moe Howarda¹²! – krzyknęła Prairie.

Puścił do niej oko.

– Co ona ci naopowiadała, laleczko?

– Wszystko – rzuciła DL.

– Chyba przybyłem w samą porę. – Od tej pory nie wstydził się dodawać kolorytu do wersji DL. Póki nie doszedł do ciemnych metalowych drzwi, otwieranych plastikowym kluczem, bo przy nich przerwał i zastanowił się głośno: – Może powinienem pominąć sceny erotyczne...

– Jest jeszcze dziewczynką – zgodziła się DL.

– Hej, ludzie! – zaprotestowała Prairie.

– Więc nie zważając na nic, przesuwał palcem po gładkim sztywnym obrysie, wsunąłem... plastikową kartę w szczelinę i zadrzałem... bo coś świsnęło kartę... wessało mi ją nagle do środka pomiędzy palców...

Po szybkim skanie wywaliło kartę jak jęzor. W środku nie było nikogo, żadnych dowodów na jakąkolwiek pokątną działalność, oparów sake, przytłumionego stukotu kości do gry czy przechadzających się i zerkających zalotnie pań... Czyżby nalot policyjny? A może wojska Brocka? Gdzieś na dalekich obrzeżach dał się słyszeć poszept głosów. Nagle Takeszi znalazł się w samym środku rozszczebiotanych pokojówek, nie mniej niż tuzina czarujących subretek w skandalicznie krótkich strojach z organdy i tafty – otoczyły go wianuszkami niczym olśniewające ptaszęta zagłady. Spociał się ze strachu, a oprócz tego miał wzwód. Popychano go, przymuszano przepyszny

paznokciami w kolorze burgunda, każąc iść z sali do sali na odmawiających posłuszeństwa nogach pośród cichego stukotu wysokich obcasów, podtrzymywano go, kiedy potykał się w pustych korytarzach, usiłując hojraczyć i wołać: „Panienko, panienko!” i „O co chodzi?”. Ale był tylko przesyłką. Owiewany przezroczytymi półhaleczkami i trzepoczącymi rzęsami, trafił w końcu do windy i wszyscy nagle opadli przyciśnięci do siebie, aż w końcu stanęli przed długim korytarzem, oświetlonym czarnymi świecami o zapachu piżma, z jedynymi drzwiami na drugim końcu. Kiedy przepychali się przy wyjściu z windy, dziewczęta odezwały się do niego po raz pierwszy: „Miłego wieczoru, Vond-san!”, zawołały. „Niech pan się nie denerwuje!”. Potem wszystkie razem – szeleszcząc bez żenady – ukłoniły się i odjechały windą, sięgając, gdy zamykały się drzwi, za gorsety i paski do pończoch po papierosy i zapalki.

„Vond-san?” To musiał być ten jego sobowtór z Hiltona! Brały go za tego Amerykanina! Co robić? Rozejrzał się za guzikiem, żeby przywołać z powrotem windę, ale niczego takiego nie było – ściana okazała się gładka. Drzwi na drugim końcu korytarza spowijał czarny aksamit. Otwierało się je srebrzystą gałką. Zbliżył się do nich najciszej jak umiał, choć i tak słyszał w tym wyciszonym pomieszczeniu skrzywienie własnych podszew. Może Minoru zrobił mu jakiś kawał? Zastukał do drzwi, ale aksamitne fałdy wygłuszyły pukanie. Musiał osobiście przekręcić gałkę, otworzyć drzwi, wejść do środka... Ujrzał leżącą w łóżku DL: w kapeluszu, z długimi kolczykami w uszach i minispódniczce! Niesamowite! Ten gość Vond też ugania się za minispódniczkami! Uśmiechnęła się.

– Raz-dwa, Brock. Ściągaj te jebane ciuchy.

O rany, bardzo asertywna kobieta! Podoba mi się to, pomyślał Takeszi.

– Ale to nie... – zaczął.

– Ciii. Nie gadaj. Rozbieraj się. Tutaj jesteś bezpieczny.

Drżąc jak rzadko kiedy w burdelu, zdjął ubranie, świadomy każdej rzeczy, której się pozbywał, a także powietrza i wagi jej spojrzenia na swojej skórze. Gdzieś w oddali wybiła godzina.

Godzina koguta w starożytnym systemie pomiaru czasu. „Na wiele sposobów”, dodawał Takeszi po latach z komicznym akcentem ku wielkiej irytacji DL. Kogut – ptak kojarzony zazwyczaj ze świtem – w kodeksie Dotyku Śmierci należał do wczesnych godzin nocnych. O tej porze cykl Qi ofiary docierał do rejonów Potrójnego Ogrzewacza, uznawanego za żonę pęcherza, który z tej przyczyny znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie. W technice Dim Mak, Palec Igła, którego chciała użyć DL, mógł być skalibrowany do wywołania opóźnienia rzeczywistego momentu śmierci o rok, w zależności od siły i kierunku jego zastosowania. Mogła zaatakować Brocka Vonda natychmiast, i po wielu miesiącach, w chwili, gdy on padnie trupem, być daleko stąd i mieć doskonałe alibi.

– Zaczekaj – przerwała jej Prairie. – Jesteś w superintymnej sytuacji z facetem, który zdjął ubranie. To Takeszi, ten tutaj, obcy, a ty wciąż nazywasz go Brockiem?

– To przez te szkła kontaktowe, które kazali mi założyć – odpowiedziała DL. – Żebym miała niebieskie ślepka jak twoja mama... i ty, skoro już o tym mowa. Ale te dusigrosze z Depaato nie wykupiły nawet szkieł przepisanych mi przez okulistę!

– Miałaś czyjeś soczewki? Fúj!

– I gównu widziałam. Brock i Takeszi byli mniej więcej tego samego wzrostu i budowy, a mój umysł działał w tamtej chwili w trybie pozapersonalnym.

– Skupiłaś się na zadaniu do wykonania – domyśliła się Prairie.

Tak bardzo, że zupełnie zapomniała o soczewkach, które jej odebrano zaraz po wykonaniu zadania. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym częściej przechodziły ją ciarki. Nigdy nie dowiedziała się tego ze stuprocentową pewnością, ale doszła do wniosku, że soczewki, które jej dano, wyjęto z oczu trupa. Że – co więcej – miała spoglądać na dokonywane przez siebie morderstwo skorygowanym wzrokiem właśnie tej osoby! Prawdopodobnie dziwki, spekulowała, którą pojmano, kiedy się ukrywała, i która spędziła całe krótkie życie poza oficjalnym

obiegiem, której imienia, a nawet zawodowych pseudonimów, nikt już nie pamięta. Która przepadła na zawsze.

I to jej martwymi oczyma DL spoglądała na leżącego na łóżku nagiego mężczyznę, którego dosiadła, którego penis wsunęła w siebie, oddychając precyzyjnie, świadoma jedynie rozciągających się pod nią ludzkich słabych punktów, bezbronnych, biegnących wzdłuż mrocznych południków. Nie potrzebując już niczyich oczu, kierowała się innymi zmysłami, zmierzając prosto do celu, przeciwstawiając się jego pływom Qi, wysnuwając z siebie własne z właściwą arbitralnością. Takeshi nic nie poczuł. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy przeżywał orgazm i zaczął pruć mordę w kolokwialnej japońszczyźnie, DL, zdetranscendentowana, zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Zawisła nad krawędzią łóżka, wydłubując sobie oczy, a Takeshi, już całkiem miękki, wyszedł z niej i odsunął się z zakłopotaniem. Kiedy znów ujrzał jej oblicze, zdziwiła go nagła bladozieloność jej tęczywek, jakby coś z niej odpłynęło. Zaciśnęła powieki, zamrugła.

– O Boże... o nie... – Szybciej, niż był w stanie zareagować, wyskoczyła z łóżka i przyjęła pozycję bojową obok drzwi, które miała po prawej stronie.

– Hej, ślicznotko – oparł się na łokciu. – Jeśli zrobiłem coś nie tak...

– Kim ty jesteś? Nie... nieważne... – Odwróciła się i wybiegła z pokoju w przebraniu z rozkwitu lat sześćdziesiątych; obserwowana po drodze przez Bóg wie ile kamer, przemierzała korytarze zaludniane się w tym momencie – zaludniane się w oczach DL wiernymi kopiami dobrze znanych wrogów, niosących dawne urazy, stare rachunki do wyrównania, gromadzących się wokół jej niezdarnej i amatorskiej próby morderstwa...

Ralph Wayvone, którego dowieziono na miejsce dzięki uprzejmości Imperialu, przyglądał się ucieczce DL na ulicę na własnym monitorze, na którym było widać także skonfundowanego, ubierającego się i wychodzącego Takeszkiego.

– Każ się komuś zaopiekować tym Japońcem. Może zdołamy mu pomóc.

– Mam ją dorwać? – zapytał Two-Ton Carmine Torpidini.

Wyglądało na to, że Ralph rozważa taką ewentualność.

– Dajmy jej uciec, zawsze możemy ją odnaleźć... już wie, ile nam zawdzięcza.

Zadzwoił telefon. Carmine podniósł słuchawkę.

– Mówią, że ktoś dał cynk naszemu chłopakowi. Że przysłał kaskadera.

Ralph nie odrywał oczu od monitora, przyglądając się odchodzącej DL – tym długim, pięknie toczonym nogom niosącym ją wolnym, właściwym dla adeptów sztuk walki krokiem. Wreszcie z ekstrawaganckim „Miaauuu!” posłał jej pocałunek, a ona zniknęła.

– Żegnaj, laleczko. Myślałem, że będziesz tą jedyną... Ale jeśli ty nie zdołałaś go przygwoździć, to kto tego dokona?

– Ma farta – odezwał się filozoficznie Carmine. – Ale żyje na kredyt, bo fart nie trwa wiecznie.

– Jebany Vond. – Ralph Wayvone westchnął. – Jest jak Struś Pędziwiatr.

□□□

DL poleciała z powrotem do Kalifornii, celując znów całkiem bezmyślnie w Samotnię Kunoichi, do której przyjeżdżała od czasów dorastania, a potem wyjeżdżała, by ponownie wracać, nawiązując długoterminową, opierającą się na miłości i nienawiści relację ze służebniczkami, a szczególnie z siostrą Rochelle. Tym razem Rochelle zorientowała się w porę, w jak opłakanym stanie przybyła DL, i bez słowa oddała jej celę, zostawiając rozmowy na później.

DL miała dzięki temu czas, by przyjrzeć się po cichutku, centralnie, temu, co uczyniła. Bez sensu. Płakała, nie mogła zasnąć, masturbowała się, zakradła się do kuchni i objadała, zakradła się do Sali Regresji i oglądała stare filmy w Pudle,

a potem aż do świtu i przebudzenia ptactwa paliła pety z publicznych popielniczek. Wlokąc się na spotkanie ze starszą służebniczką, była niewyspanym wrakiem człowieka. Starsza niewiasta wyciągnęła rękę i odgarnęła włosy ze spoconego czoła DL.

– Popełniłam grzech... – zaczęła z drzeniem dziewczyna i przerwała z braku właściwego słowa.

– Dlaczego chcesz mi o tym powiedzieć?

– Co? A komu niby miałabym powiedzieć? Z nadzieją, że zrozumie?

– Właśnie tego mi trzeba! Akurat teraz, kiedy zaczęłyśmy zarabiać, kiedy odkryłam swoje prawdziwe powołanie kobiety interesu! Mogłam się tego spodziewać... Wtaczasz się i nagle muszę być ojcem Flanaganem. – Starsza służebniczka pokręciła głową, zacisnęła wargi jak zakonnica, ale wysłuchiwała spowiedzi DL. Po czym powiedziała: – Okay, parę pytań: jesteś pewna, że nie wycofałaś się w ostatnim momencie?

– Nie... jestem... nie...

– Uwaga – rzuciła posępnie przełożona – jest wszystkim, o co chodzi, DL-san. – Ta cielesna transakcja ma kompleksowy charakter, w dodatku odnośny; odwołuje się nie tylko do przepływu Qi, ale i do pory dnia, a także pamięci, sumienia, namiętności, zahamowań, a wszystko to zbiega się w jednej śmiercionośnej chwili. Starsza służebniczka spojrzała spokojnie na wklęsły brzuch, odwróconą głowę. – Zważywszy na twój dotychczasowy tryb postępowania, przypuszczam, że żyjesz przeważnie w pewnym, powiedzmy, oddaleniu od rzeczywistości innych, zesłaś...

– Uprowadzono mnie!

– Sprowadzono cię... znów na złą drogę i zamiast być uważna, zamiast się zastanowić, przygotować, musiałaś być niebaczną dziwką i pędzić przez zewnętrzne formy, więc rzecz jasna wszystko spieprzyłaś. Czego się spodziewałaś?

I wtedy DL przypomniała sobie słowa sensei Inosziro o tych, którzy nigdy nie zostają wojownikami, którzy kierując się impulsem, wszystko pierdolą i muszą z tym żyć przez resztę

swych dni. On wiedział! Ujrzał to w niej! Jakąs skłonność do nieskutecznego działania w krytycznym momencie, miała to zapisane w gwiazdach – ale czy mógł ją przestrzec? DL zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu kiwa solennie głową.

– Muszę wiedzieć – szepnęła w końcu – czy to da się odwrócić?

– Masz na myśli bieg swojego żywota? Zapomnij o tym. A jeśli pytasz o Wibrującą Pięść, to i tak, i nie. To zależy od wielu zmiennych, z których nie najbliższą jest to, jak szybko udzieli mu się pomocy.

– Ale... – tylko co chciała powiedzieć? – Ale byłam tam i...

– Od czasu twojego ostatniego pobytu stworzyliśmy całkiem sprawny oddział ambulatoryjny... paru dyplomowanych doktorów medycyny w personelu, kilka nowych maszyn terapeutycznych... Nie udzielamy na co dzień pomocy przypadkom Dotyku Śmierci Nindza, ale twoja ofiara będzie miała większe szanse, jeśli szybko się tu zjawi.

– Ale jak mam go znaleźć? Nie myślałam, że... będzie trzeba...

Teraz też chodziło jej po głowie coś zupełnie innego.

– Mów – powiedziała Rochelle.

– Myślałam – odezwała się cichym głosem DL – że może tu zostanę?

Za przesłoniętym eukaliptusami oknem wznosiły się białe niegdyś, porośnięte bluszczem mury, biegła odległa pętla autostrady wciśniętej w coraz większy skrawek zdobyczej ziemi na dole, gdy tu, na górze, pośród złocisto-zielonych wzgórz dął wiatr, zda się, nieskończenie. Tu, w górze, wybiła martwa godzina – sam środek dnia. Siedziały w Kafeterii Nindzetek i wpatrywały się w napastliwe słońce migoczące w filizankach.

– Gdyby istniały ławy przysięgłych nindzitsu, odebrano by ci prawo wykonywania zawodu za to, co jak twierdzisz, zrobiłaś – powiedziała Rochelle. – Może tym razem, siostró, w końcu weźmiesz się w garść. Zawsze wierzyłyśmy w twoją szczerść, ale daleko na niej nie zajdziesz. Czy ktoś widział cię

kiedykolwiek skoncentrowaną? Jaką masz długość koncentracji uwagi? Beztrąsko zjeżdżasz sobie z drogi w jakimś tandetnym rajdowym wózku, wysiadasz z niego ubrana jak po wyprzedaży dla sekretarek kupców u Zody'ego i błągasz, żebyśmy znów cię przyjęły, a potem wypuściły, a potem znów przyjęły, i tak przez lata, żadnej ciągłości, żadnej wytrwałości, żadnego... kurwa... skupienia. Widzimy kogoś, kto bez przerwy ucieka, bo jakby się zatrzymał, toby upadł i nic więcej.

– Myślałam, że przyjmiecie mnie bez względu na wszystko.

– Myślałaś, że gdybym chciała, żebyś opuściła nas na zawsze, to powiedziałabym „odejdz”, i to by wystarczyło, prawda?

– Musiałabym odejść. – Po raz pierwszy podczas całej rozmowy dziewczyna o słonecznych włosach podniosła wzrok ku nieruchomej Rochelle, obdarzając ją złożonym spojrzeniem, zalotnym, a jednocześnie odpychającym, z pewnością zrozpaczonym na myśl o konieczności odnalezienia Takeszkiego. – A jeśli go sprowadzę...

Siostra Rochelle przewróciła oczami z udawaną rezygnacją.

– Powinnyśmy nagrodzić cię pozwoleniem na stały pobyt? Och, dziecko... Trzydziestoletnie, niepoprawne, zimne i piękne dziecko!

DL nie mogła liczyć na inne błogosławieństwo. Poprosiła o kilka dni na przygotowania i udzielono jej pozwolenia. Musiała się ukryć gdzieś z dala od cudzych fajek, nie gmerać sobie przy cipce i hipnotyzować się do snu, gdy... ktoś to stanął u bram, jak nie Takeszi we własnej osobie? Szukał właśnie jej, oszczędzając wszystkim zmartwień.

Nie znaczy to, rzecz jasna, że wszystko poszło mu jak po maśle, począwszy od ataku pierwotnej paniki jeszcze w Tokio, kiedy dowiedział się, co zaszło, co nie zabrało mu zbyt wiele czasu. Rankiem po przygodzie w Haru no Depaato usiłował dodzwonić się do Minoru w wydziale antyterrorystycznym ministerstwa, ale uzyskał tylko zwodnicze informacje, mówiące między innymi o tym, że osoba, o którą pyta, nie istnieje już w takiej postaci, w jakiej znał ją Takeszi. Po pewnym czasie pod

każdym z wybieranych przez niego numerów wewnętrznych kazano mu czekać i zostawiano go w takim stanie.

Takeszi snuł się przez cały dzień i następny, czując się jak składowisko toksycznych odpadów. Przeszywały go symptomy wszystkiego – szczególnie piersiowe i brzuszne. Przestał zamawiać jedzenie do pokoju, bo na sam widok jedzenia dostawał mdłości. Ostateczny cios zadała mu pralnia, gdy odebrał garnitur – ten sam, który miał na sobie podczas spotkania z DL. Na garniturze była dziura na dziurze, a każda z nich – z przodu marynarki i na siedzeniu spodni – o średnicy od pięciu do dziesięciu centymetrów i poszarpanych oraz przysmalonych krawędziach, jakby je wygryziono i przypalano jednocześnie. Zadzzwonił do *Kemi-ko praso-san*, lecz choć go przepaszano, niewiele mu to pomogło.

– Używaliśmy perchloroetylenu, jak do wszystkich ubrań! Sam byłem zdziwiony, jak się pokazały te dziury!

– Pokazały? Same się pokazały?

– Same się pokazały i rosły! Wystarczyło im kilka sekund! Nigdy czegoś takiego nie widziałem!

Spocony i obolały, bardzo zaleźniony, umówił się na pilną wizytę u jednego z łapiduchów pracujących dla Wawazume Na Życie & Nie-Życie, pamiętając o zabraniu ze sobą inkryminowanego garnituru. Doktor Oruni położył garnitur na kozetce i przesunął ponad nim zautomatyzowanym skanerem, siedząc wraz z Takeszim w sąsiednim pokoju przed monitorem pokazującym wyniki w formie graficznej i tekstowej.

– To wszystko punkty spustowe na ciele – oznajmił doktor, wskazując kursorem rozkład dziur. – Jakaś przedziwna szkodliwa energia, bardzo destrukcyjna! Brał pan udział w bójce?

Takeszi przypomniał sobie to, o czym przez cały dzień usiłował zapomnieć: o młodej Amerykance, o tym, jak patrzyła, o przerażeniu i poczuciu klęski malujących się na jej twarzy tuż przed tym, jak uciekła. Opowiedział lekarzowi o tym rendez-vous w Haru no Depaato, kiedy ten badał go pobieżnie, pomrukując posępnie od czasu do czasu. W zasadzie niczego

nie odkrył, dopóki nie zajął się moczem. Wtedy wyjął z małej lodówki butelkę suntory scotch, znalazł dwa papierowe kubki, nalał do nich szkockiej, napełniając je w dziewięćdziesięciu procentach, położył nogi na biurku i smętnie oddał się rozważaniom tajemnicy.

– Nie ma raka, zapalenia ani kamieni. Białka, ketony i takie tam... wszystko w normie! Ale coś niesamowitego dzieje się z pańskim pęcherzem! Coś jak uraz, tylko... znacznie wolniejszy!

– Czy... mógłby pan wyrażać się konkretniej?

Doprawdy... myśli pan, że wyjaśnienie znajdzie się w jakiejś... tabeli ubezpieczeniowej? Że jak oszacuje pan ryzyko i pozna nazwę, to wszystko minie?

– To się nie zdarza często, *ne*?

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem, czytałem tylko o tym w fachowej prasie, słyszałem rozmowy w klubach... anegdoty. Jeśli pan chce, pošlę pana do kogoś, kto poda szczegóły...

– A co pan może mi powiedzieć?

– Słyszał pan kiedyś o Wibrującej Pięści?

– Ta... Byłem tam kiedyś, raz czy dwa!

– Nie mówię o barze, Fumimota-san. Mówię o technice zabijania z wbudowanym opóźniaczem czasowym! Odkrytej przed wiekami przez malajskich Chińczyków, stosowanej przez naszych nindza i yakuza. Nauczanej do dziś w kilku systemach, z jednakowym skutkiem!

– Zrobiła mi to...? – Skutek? – Ale ja nic nie czułem!

– *Dewa*, to dobra wiadomość! Mówi się, że im mniej wyczuwalny dotyk, tym dłuższy czas do detonacji.

– Jak długi?

Lekarz zachichotał.

– Jak mało wyczuwalny?

Takeshi sam zjeżdżał windą, owładnięty podczas opadania strachem przed śmiercią. Wyczuwał teraz boleśnie każdy z cierpiących słabych punktów, liczył różne sprzeczne ze sobą uderzenia pulsu, wyobrażał sobie pływy *Qi* – zakłócone, zablokowane, odwracające się posepnie, skalane, zagubione,

niszczące powoli jego jestestwo. Teraz każda próba oddania moczu będzie męką.

– Załatwiło mnie moje własne plugastwo!

Za późno na wyrzuty sumienia za lata zmarnotrawione na prowadzenie – jak mu się obecnie wydawało – głupiego, emocjonalnie zaburzonego życia. Wytoczył się z windy pod połączonym wpływem amfy, szkockiej i jakiegoś nowego środka uspokajającego, o którym nikt nic nie wiedział, a którego wielka tekturowa beczka – z próbkami – stała w poczekalni, wtoczona tam przez przedstawiciela handlowego i zaopatrzona w napis, żeby się częstować, ile tylko dusza zapragnie. To, co niektórzy uznaliby za pewną swobodę w zachowaniu Takesziego, było niewątpliwie wynikiem oddziaływania środków chemicznych.

Po powrocie do hotelu znalazł w pokoju bilet na nocny lot do San Francisco oraz wiadomość od Two-Ton Carmine'a, wyrażającą współczucie z powodu niewygód oraz nadzieję, że po wylądowaniu w Stanach zadzwoni pod podany niżej numer. Było mu wszystko jedno, więc wzruszył tylko ramionami. Zapakował do torby podróźnej dwutygodniowy zapas amfetaminy, majtek i koszul, po czym wskoczył do hotelowego autobusu jadącego do portu lotniczego Narita.

Godziny spędzone w samolocie należały do najgorszych w jego życiu. Pił na umór, a kiedy tylko zdołał sobie przypomnieć, łykał zielone kapsułki uwalniające się powoli dekstroamfetaminy, które zakąszał amobarbitalem. Poświęcił chwilę na przeczytanie ulotki dołączonej do środka uspokajającego, który wziął z poczekalni lekarza. Ho, ho, ho! Spójrzcie tylko na przeciwwskazania! Każde gówno, które krążyło już w jego organizmie, było w istocie rzeczy zabronione. No, cóż – powiedział głośno – w takim wypadku... – Zamówił kolejnego drinka i połknął jeszcze parę uspokajaczy. Siedzący obok pasażer, poważnie wyglądający biznesmen, który do tej pory był całkowicie pochłonięty jakąś trzymaną w rękę grą komputerową, obrzucił Takesziego uważnym spojrzeniem i nie odwrócił wzroku.

– Nie popełnia pan przypadkiem samobójstwa?

Takeszi wyszczerzył do niego zęby.

– Samobójstwa? Nie! Ee, kolego, próbuję się tylko odprężyć. Znaczy się, nie boisz się latać? Hę? Bo jak się człowiek zastanowi nad tym wszystkim, co może się wydarzyć...

Młody biznesmen zajmował fotel przy oknie, od którego natychmiast się odsunął.

– Masz, spróbuj tego – zaproponował Takeszi. – Co powiesz? Rzecz wyśmienita, aż łeb urywa! Evoex, słyszałeś o nim? Nowość na rynku!

– To ukryta kamera, prawda? Będę w telewizji? W reklamie?
– Pytanie to zabrzmiało niemal błagalnie, zważywszy na okoliczności: za owalnym okienkiem oświetlone księżycem chmury jak z dziecięcej kolorowanki, jarzące się łagodnie elektryczne światło kładące się na twarzach i dokumentach, pozbawiona afektu muzyka w słuchawkach, prawdopodobieństwo transcendentalnego pochodzenia szaleństwa Takesziego...

– Opowiem ci coś niesamowitego! – zaczął na nowo. – Może zdołasz powiedzieć mi, co o tym sądzisz, bo, szczerze mówiąc, jestem już u kresu sił! – I wyrzucił z siebie całą swoją opowieść, nie szczędząc żadnych szczegółów medycznych.

Ubrany w garnitur młodzieniec słuchał ochoczo wszystkiego, gdyż, jego zdaniem, odwlekało to łatwy do wyobrażenia moment, w którym Takeszi wyciągnie zza pasa broń i wpadnie w szal w przejściu samolotu.

Kiedy Takeszi skończył opowieść, Amerykanin starał się okazać mu współczucie:

– Czego się można spodziewać? Po kobiecie!

– Nie, nie! Ktoś wziął mnie za kogoś innego.

– Hm. Może ty wziąłeś ją za kogoś innego.

Takeszi natychmiast wpadł w paranoję, zakładając z jakiegoś powodu, że młody biznesmen mówi o jego byłej żonie, aktorce filmowej Micziko Yomama, występującej obecnie w roli nieco komicznej położnej w serialu telewizyjnym *Stuknięte wcześniaki*, który jako produkcja japońska zaliczał obecnie w niewytłumaczalny sposób rekordy oglądalności w Stanach

Zjednoczonych. Jeśli istniał jakiś związek między tą morderczą kurwą z Haru no Depaato a Micziko o łagodnym uśmiechu i darze znikania, Takeszi nie był w stanie go zgłębić. Wzięli ślub na, mówiąc najogólniej, klasycznym kwasowym odlocie z lat sześćdziesiątych, kiedy stało się dla nich więcej niż jasne, że dobrze się znali w jakimś innym świecie. Jednakże na tym świecie zostali zaprogramowani jedynie do wspólnych nieszczęść. Przez lata odnajdywali się wzrokiem z dwóch przeciwnych kątów pokoju i wpatrywali się w siebie przez chwilę, chorzy z zazdrości, przypominając sobie głęboką i przepiękną, niedającą się zamknąć w słowach pewność, zastanawiając się, dlaczego dano im tylko ją dostrzec i co się z nią teraz stało. Po wielu takich latach wyprowadził się z domu. Ona przeniosła się do Los Angeles. Dzieciaki pracowały już bezpiecznie w różnych korporacjach. Takeszi i Micziko zachowali dla siebie cienką nić sympatii, a on wpadał do niej od czasu do czasu, bawiąc przejazdem w LA.

– Nie – odpowiedział na insynuacje współpasażera – bo myślałem wtedy tylko o pierdoleniu!

Młodzieniec zacisnął usta i zmarszczył brwi.

– Mm-hmm.

Wrócił do gry komputerowej, czegoś o nazwie *Nukey*, co zawierało elementy seksu i detonacji, choć tandetna wczesna karta dźwiękowa redukowała odgłosy orgazmu do wznoszących się popiskiwań podzielonych na części, jakby dla złapania oddechu, a domniemane wybuchy ładunków nuklearnych – do symbolicznych, słabiutkich i jeszcze mniej satysfakcjonujących eksplozji szumu.

Kiedy wylądowali na San Francisco International, Takeszi nie spał już od trzech dób, podczas których także się nie mył i nie golił. Przyjrzał się własnemu zarostowi w lustrze w męskiej toalecie. Nie ogolę się, postanowił, dopóki nie zasnę. Stał nad umywalką, kołysząc się lekko. Czy to oznacza, kontynuował poprzednią myśl, że zacznę się golić, kiedy tylko zasnę? Zauważywszy spojrzenia ciekawskich, wyfrunął do lotniskowego lobby, lecąc jakiś centymetr albo dwa nad

powierzchnią posadzki i przypominając sobie w samą porę o zapięciu rozporoka.

Numer telefonu podany przez Carmine'a był numerem telefonu samego Carmine'a.

– Hej, Fumimota-san!

Takeszi zaczął się trząść. Z lotniskowego tłumy wyłoniła się młoda kobieta o regularnych rysach, ubrana w biały fartuch. Oparła przedramię na ramieniu Takesziego i szepnęła:

– Strzeż się paranoi, błagam! – Po czym zniknęła.

– Byłem u lekarza. Co możecie mi jeszcze podać?

Tożsamość DL i jej nietrafionej ofiary.

– Głośny antynarkotyczny celebryta, był w programie Donahue, miał całą stronę w „Vogue'u”, ale on ci nic nie pomoże, nie zrobiłby tego, nawet gdyby mógł.

– A ona?

– Masz większe szanse. Z tego, co wiemy, ten, kto to zrobił, może to odkręcić.

Takeszi usłyszał cichą, plastikową perkusję klawiszy, gdy Carmine wystukiwał palcami – przywykłymi do bardziej staromodnych i mniej magicznych zadań – najświeższe doniesienia o DL Chastain, którymi podzielił się z Takeszim, dorzucając do tego wskazówki dojazdu do Samotni Nindzetek.

– Jakby były jakieś problemy, daj nam znać. Jeszcze raz przepraszam za pomyłkę. *Sayonara*.

– Ciao.

Pomyłkę? Wypożyczył samochód i zameldował się w jednym z moteli przy lotnisku, włączył klimatyzację i Pudło, wcisnął klawisz „Szukaj” na pilocie i leżał, oglądając przelatujące przez ekran co dwie sekundy kanały, aż w końcu w jakiejś wysoko numerowanej niezależnej stacji ujrzał... Kogo? Ujrzał wyglądającą wyjątkowo dobrze byłą żonę Micziko we wnętrzu nocnego klubu. Była, jak można domniemywać, na randce z mniej więcej rocznym niemowlęciem w smokingu, raczkującym po blacie stołu, przewracającym drinki, zwalającym popielniczki, piszczącym przy tym z radości i zwracającym na siebie uwagę publiczności. Nadawano

oczywiście *Stuknięte wcześniaki* – powtórkę odcinka, którego nie widział. Był w stanie tylko patrzeć. Przy drugiej przerwie na reklamy poczuł bowiem zalewającą całe ciało falę smutku, która zbliżała się, narastała i rozszarpywała go od środka. Przez całą, głównie bezsenłą noc miał łzy w uszach, smarki w wąsach i obolałe jak utracona miłość zatoki, choć w porównaniu z tym, że, technicznie rzecz ujmując, był już martwy, niedogodności te wydawały się niczym.

Następnego dnia, czując się niewytłumaczalnie lepiej, wrócił do sprawy, odwiedzając oddalone od siebie apteki wokół zatoki San Francisco ze sfalszowanymi receptami na amfetaminę; kupił ukulele i wątrobiano-jasnoszary garnitur, jaki miał na sobie, kiedy ujrzała go Prairie; studiował mapę drogową niczym wytrawny rajdowiec, póki nie opanował alternatywnych tras dojazdowych i nie opracował planów B związanych z każdą z nich, po czym skręcił wreszcie na wschód i zaczął się wspinać ku Samotni Służebniczek Kunoichi, co przypominało całodniową, trzymającą w napięciu grę komputerową, wiodącą z jednego poziomu trudności na drugi wraz ze wznoszeniem się terenu i nadciągającym zmrokiem. Wszystko to, podobnie jak przebywanie w kosmosie, może, jak to się mówi, „robić człowiekowi różne rzeczy”. Kiedy przybył do Samotni stojącej wysoko na wyniosłym kalifornijskim szczycie, nie był już przy zdrowych zmysłach i stał się przedmiotem takiej uwagi, jakiej zazwyczaj nie lubił. Wszędzie wokół dziedzińca pogrążonego w półksiężycach cienia słyszał odgłosy wyjmowanej z ukrycia broni krótkiej. Lecz nawet nieuzbrojone kunoichi mogły z łatwością wyekspediować go w pojedynkę stąd do Gardena w Kalifornii. Jego parcie do przodu wstrzymał na sekundę widok DL z płomienną fryzurą i wytrzeszczonymi na maksa lodowatozielonymi oczami. Nie zapominaj, napominał się, że to kobieta, która cię zamordowała nie tak dawno temu. Cóż z tego, kiedy miał wzwód i zdołał zapomnieć wszystko, z wyjątkiem tamtej nocy w Depaato Wiosny, z wyjątkiem zdystansowanej długonogiej Amerykanki, która go dosiadała, ujeżdżając niczym dziką bestię, z podświetlonymi od tyłu włosami i skupieniem

malującym się na pozostającej w cieniu twarzy. Drapała go po południkach ostrymi, pomalowanymi ciemnym lakierem paznokciami... zabijając go w międzyczasie! Cudowne! Myśl o tym powinna osłabiać jego wzwód, ale, co dziwne, nie osłabiała.

– Dajcie spokój, wy wszystkie! – krzyknął niefrasobliwie. – Ja już jestem martwy! – Na niebezpiecznie otwartej przestrzeni, śledzony bez wątpienia przez lufy uzi nastawione na ogień ciągły, pod znieruchomiałymi nagle dziobami górskiego ptactwa, Takeszi sięgnął do torby i wyjął z niej tylko ukulele – żaden problem, dziewczyny! – po czym brzdąknął w struny, odegrał czterotaktową przygrywkę i zaśpiewał na dowód, że jest niegroźny:

TAK JAK WILLIAM POWELL

*Czuję się jak frotowy biały taśel,
Co go składa co dzień hotelowy boy,
Przystojniakiem jestem niczym William Powell
Który ciągle szuka pięknej Myrny Loy!
Och, och, ma Lassie swego McDowalla,
U Triggera chodzą Clark i chyba Roy
I to uwiera Williama Powella:
„Gdzie jest do cholery moja Myrna Loy?”*

*A gdy pomyślę o Tarzana wyciu,
Gdy doń frunie Czita, a tuż za nią boy,
Czuję się jak plama po wymyciu,
Niczym Flatfoot Floogie bez jednego Floy.*

*Pomyślałem sobie owinięty w taśel:
Żaden ze mnie amant ani pół-McCoy,
Nie wyglądam wcale tak jak William Powell
Chociaż ciągle szukam pięknej Myrny Loy.*

Zapadła cisza wyrażająca nie tyle zdziwienie, ile namysł nad tym, czy skosić tego gnojka razem z jego ukulele już teraz, czy nieco później. Jeśli Takeszi liczył na cokolwiek, to właśnie na owo wyczuwalne w powietrzu niezdecydowanie i towarzyszące

mu podejrzenie, że DL nie cieszy się tutaj niekwestionowanym wsparciem.

Podczas wykonywania piosenki przytupywał do rytmu, zbliżając się niepostrzeżenie do DL, która wpatrywała się w niego z mieszaniną rozbawienia i odrazy. Kiedy znalazł się już bardzo blisko – tak blisko, że ujrzała jego twarz wyłaniającą się jakby z porannej mgiełki – pojęła, że od chwili ich kolizji w Tokio i mimo jej ucieczki, pragnął jej. Lecz nie potrafiła sobie wyobrazić – ani wtedy, ani teraz – motywów erotycznych, które nim kierowały. Pokręciła głową.

– Odpierdoliło ci?

– Być może przybywam tu, żeby wyświadczyć ci przysługę, Piegusku – odrzekł Takeszi.

– Stać! – Na dziedziniec wyszła obserwująca wszystko siostra Rochelle, która postanowiła przerwać to mało obiecujące *tête-à-tête*. – Ty – wskazała palcem Takesziego – jesteś głupcem, a ty... – zwróciła się do DL – i powiem to, czując się osobiście zawiedziona, nie pozostajesz daleko w tyle. Powinnam była domyślić się tego od samego początku! Zasługujecie na siebie. Zatem ty, siostrzo Darryl Louise, zostajesz skazana, pod groźbą nałożenia sankcji głównej, na towarzyszenie temu głupcowi w roli małej, czy raczej w twoim wypadku dużej, pomagierki, która będzie starała się zbilansować wasze karmiczne rachunki i odpracować wielkie zło, jakie mu wyrządziłaś... Czy masz coś do dodania?

– Ale bez seksu – zastrzegła DL.

Takeszi zaczął gderać.

– I kiedy kończy się wyrok? – chciała jeszcze wiedzieć.

Siostra Rochelle doszła do wniosku, że rok powinien wystarczyć – mniej więcej tyle czasu trzeba, by orzec, czy nierozważny Palec Igła DL pozwoli Takeszemu żyć.

– Za rok i jeden dzień, i nie patrz tak na mnie DL-san, bo przyjechałaś tu, żeby złożyć swe życie w ofierze, co przypomina mi o twoich rachunkach za znaczki...

Rozległ się cichy aplauz z ocienionych zakamarków dziedzińca, który przemierzały parami bądź trójkami

zaintrygowane nindzetki, poszeptujące między sobą, dotykające się.

– A teraz – Rochelle kiwnęła głową do Takesziego – zajmujemy się przywracaniem cię do życia. Siostró DL, zechcesz obserwować.

– Czy... ona musi to wszystko widzieć? – zaprotestował Takeszi. – Czy nie dosyć już nabroiła?

– Do śmierci mi tego nie zapomnisz – warknęła DL.

Weszli do środka, kłócąc się ze sobą i maszerując gęsiego poprzez tłumek zaciekawionych nindzetek. Znowu dały się słyszeć ptaki, choć śpiewały już bez przekonania, a ich głosy wydawały się dziwnie przyziemne i zbolale. Cała trójka przeszła do Kliniki Samotni – dumy i radości siostry Rochelle, siedziby słynnego punkutronu.

– Trzeba ci przywrócić właściwy obieg *Qi*. Natychmiast.

Takeszi rozejrzał się. Znajdował się w przewiewnym pomieszczeniu, które było niegdyś stodołą, obecnie podzieloną na gabinety zabiegowe, lecz zdominowaną w przeważającej części przez maszynę, której końcówki wznosiły się nawet na dwa piętra. Punkutron – jedna z wielu maszyn terapeutycznych sprzedawanych wówczas na wolnym rynku w Kalifornii – choć nie był miły dla oka pacjenta, miał w społeczności znachorskiej wielu zwolenników. Do jego przeciwników należeli jak zawsze czujni przedstawiciele Agencji do spraw Żywności i Leków, ale na razie producenci maszyny zawsze wyprzedzali ich o krok. Dla większości było jasne, że modus operandi maszyny polegał na przepuszczaniu nieznanych ilości prądu elektrycznego z jednej lśniącej części do drugiej, a ostatecznie do każdej z osobna lub wszystkich naraz ozdobnych końcówek „czy jak kto woli”, mruknęła obsługująca punkutron nindzetka technik, która miała się zająć Takeszim, „elektrod”. A zatem co, a raczej kto, zamknie obwód?

– O, nie... – sprzeciwił się Takeszi. – Raczej nie!

– Czy masz inne wyjście? – zapytała przełożona nindzetka. – Zachowuj się jak dorosły.

Pojawiła się inna służebniczka – młoda i ładna, i bardziej zainteresowana kontaktem wzrokowym, niż to wskazane dla dbającej o właściwą koncentrację pobożnej nindzетки. Niosła stertę formularzy na podstawie do pisania. Podała Takesziemiu dziesięciostronicową listę nagrań, z której mógł wybrać coś do słuchania podczas sesji na punkutronie. Wybór był olbrzymi, a każdy z utworów wywoływał niewątpliwie pożądany zestaw reakcji fizjologicznych... Czy *Pułkowe dudy grają Prime-Time* pomogą mu bardziej czy mniej od *Zdrowego tajwańskiego aerobiku dla mózgu*? Trudny wybór. Kiedy studiował listę, w głowie zaświtała mu myśl, że utwory muzyczne nie zostały wyselekcjonowane starannie i naukowo, lecz trafiły tu całkiem przypadkiem z koszy z przecenionymi kasetami w jakimś wiejskim dyskoncie, a zważywszy na umiejętności, z jakich słyną nindza, prawdopodobnie nawet za nie nie zapłacono. W tym samym czasie przykuto go do złowrogiego ebonitowego aparatu o końcówkach z matowego złota. Końcówki te, a raczej stylowe elektrody, dawały się przymocować do ciała na przynajmniej dwa, jeśli nie trzy sposoby: przymocować „do”, przymocować „na”, a niekiedy nawet „w” poszczególnych organach czy obszarach organizmu.

– To całkiem... seksowne, no nie, laleczko? – Takeszi, rozebrawszy się, próbował przygadać nindzетkę ze stosem dokumentów, udając jednocześnie, że nie zwraca uwagi na równie ładną nindzетkę punkutechnika, która powoli przymocowywała mu elektrody w dosyć niekiedy intymnych miejscach.

– Jesteś miły jak amant ze starych filmów – oznajmiła zalotna nindzетka. – Ale musisz wypełnić formularze: o, tu i tu.

– A tu nie...? Och, przestań, maleńka, ja pewnie... umrę pod tą maszyną! Mogłybyście przynajmniej... spełnić ostatnie życzenie człowieka...

– Nie wierć się – syknęła druga nindzетka, próbując przypiąć mu coś do głowy – Siedź spokojnie.

– No... może dałabyś radę wysunąć nieco nogę... mmhh...?

– Po prostu nie wierzę – nadąsała się DL. – Czy on w ogóle wie, co my dla niego robimy? Hej, śmieciu, czy ty...

– Przestańcie kłapać dziobami, dobrze? – odezwała się znużonym głosem przełożona. – Dziękuję. Spokój? Profesjonalizm?

– ...okay, i płyta Ackera Bilka – zdecydował Takeszi – oraz... niech no się zastanowię... *The Chipmunks śpiewają Marvina Hamlischa?*

Zakończono podłączanie. Siostra Rochelle stała z wyszczerzonymi zębami, trzymając w ręku główny przełącznik.

– A teraz, mój dobry człowieku, przekonamy się, ile w tym prawdy, że punkutron działa na południki jak spirala do udrażniania rur, czyli śpiewająco!

Hmmmm, owszem, zadziałał tak do pewnego stopnia. W kolejnych latach DL nie raz i nie dwa wrzeszczała do Takesziego: „Powinnam była cię zostawić pod tym punkutronem!”. Wrzeszczała w zasadzie tak często, że konstatacja ta brzmiała niemal czule. Kiedy sesja dobiegła końca, nindzетки odłączyły go i zabrały na wózku do izby rehabilitacyjnej – nieupiększonej, z wyjątkiem kwiatów i mosiężnego posążka Buddy na półce. Tam – przecięty promieniem słońca, który przyłapał go w trakcie sięgania pod laboratoryjny fartuch nindzетки – Takeszi zapadł jak zaczarowany zmysłowo w sen.

Poddano go intensywnej terapii obejmującej sesje na punkutronie, ziołolecznictwo oraz rekaliibrację fal mózgowych. Niektóre z tych czynności wymagały obecności DL. Zdali sobie sprawę, że w przedziwny sposób są do siebie dostrojeni. Być może za sprawą fal mózgowych, być może za sprawą Qi albo starego dobrego postrzegania pozazmysłowego. Leżeli obok siebie podłączeni do maszyny niczym aktorzy w filmie o transplatacji mózgu, punkutron wibrował cicho, a Takeszi, którego preferencje muzyczne zmieniły się tajemniczo, słuchał przez słuchawki chwytających za serce tybetańskich chorałów. Wciąż nie miał pojęcia, kim ona jest.

Pewnego wieczoru, gdy leżał w łóżku, oglądając odcinek *Nadkobiety*, do pokoju weszła przełożona nindzetek, żeby ściszyć telewizor i opowiedzieć Takeszemu jeszcze inną bajkę na dobranoc.

– Hej, ona właśnie...

– Jaime Sommers nam wybaczy. To ważne, więc nadstaw ucha. Rzecz dzieje się w Rajskim Ogrodzie. W tamtych czasach, dawno temu, nie było w ogóle mężczyzn. Raj był sfeminizowany. Ewa i jej siostra Lilith były same w Raju. Postać o imieniu Adam dodano później do tej opowieści, aby legitymizować mężczyzn, choć w gruncie rzeczy pierwszym mężczyzną nie był Adam, tylko Wąż.

– Podoba mi się ta bajka – powiedział Takeszi, wtulając się w poduszkę.

– Wąż był śliskim i obleśnym facetem – ciągnęła Rochelle – który wymyślił „dobro” i „zło”, choć wcześniej kobiety zadowolaly się zwykłym byciem. Spośród innych szwindli narzuconych kobietom w tamtych czasach na uwagę zasługuje wynaleziona przez mężczyzn „moralność”, której jesteśmy, jak nas przekonali, szafarkami. Wciągnęli nas w tę ruinę, w którą przekształcili Stworzenie, podzieloną i usystematyzowaną, dali nam klucze do kościoła, a sami pobiegli na tańce i do barów. Posłuchaj... mimo tych odjazdowych okularów od Oscara Goldmana wydajesz mi się na tyle inteligentny, żeby zrozumieć, że mówię o Darryl Louise. Choć trzyma wszystkich na dystans, nie będzie miała z tobą łatwo w szerokim świecie, bo tam nic nigdy nie przychodzi jej łatwo, więc może nie od rzeczy będzie prośba, abyś od czasu do czasu poświęcił jej nieco namysłu.

Takeszi przesunął okulary na czoło i spojrzał w oczy przełożonej, zaintrygowany wyrazem jej twarzy. Wyglądało to tak, jakby prosiła go o przysługę.

– Z przyjemnością... Ale chcesz mi powiedzieć coś jeszcze?

Przełożona nindzetek wzruszyła... ale tylko brwiami.

– Nie popełniaj grzechu pierworodnego. Pozwól jej tylko być i sam tego spróbuj.

„Łatwo ci powiedzieć, paniusiu”, mruknął bezgłośnie i znacznie później, nie w przytomności Rochelle, ale kiedy wyjeżdżał – kiedy odjeżdżali z Samotni, z tego szczytu nad jodłowym lasem ponad nadmorskimi chmurami. Zabierał DL na dół błotnistymi koleinami ku bitym wiejskim drogom i dalej ku arteriom, do wjazdu na międzystanówkę, gdzie znów znalazła się w samym sercu Mobilności. Pędząc autostradą w wynajętym firebirdzie, oboje zdali sobie sprawę, że są całkiem sami po raz pierwszy od czasu łóżka w Tokio.

Spojrzała na niego.

– Więc tak wygląda Zadośćuczynienie Ofierze? Nie powinienesz przypadkiem wydawać mi rozkazów czy coś?

Zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Nic nie przychodzi mi do głowy ze względu na ten paragraf „ale bez seksu” i w ogóle.

– Hej – odpowiedziała pospiesznie – pomyśl, co ja czuję w związku z czekającym mnie rokiem.

Pierwsza sprzeczka.

– Dobra – rzucił po chwili. – Posłuchaj, może... wysadzę cię na pierwszym dworcu autobusowym, który mi wskażesz. Kupię ci bilet... z powrotem do Samotni!

Nie spojrzała na niego, ale pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Nie przyjmą cię z powrotem?

– Jeśli się u nich pokażę przed upływem roku, czeka mnie kara główna. Nie pytaj, proszę, na czym polega.

– Wal śmiało. Może mnie podrajcuje tanim kosztem.

– Ordalia Tysiąca i Jednej Broadwayowskiej Piosenki...

– Przestań, przestań! Zmieniłem zdanie...

– Izba Andrew Lloyd Webbera...

– Mówisz poważnie? Zrobiłyby ci to...

– To i jeszcze więcej...

Jechali przez chwilę w milczeniu, niespokojnym milczeniu przypominającym pogłębiającą się wspólną depresję. Za oknami samochodu przetaczały się ponuro zalesione wzgórza,

a ona wpatrywała się w niego nerwowo, póki nie wyszczerzył się do niej połówką ust.

– Zabawne, nie?

Parsknęła, lecz nie było jej do śmiechu.

– Taa, bez seksu.

Zaczął chichotać.

– Przez jeden rok!

Samochód przez kilka sekund lawirował między pasami, jakby nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Jesteś głodny? – zapytała DL.

– Nie mam apetytu... to przez tę pseudoefedrynę z apteki! Zaczekaj! Widzę ładny wyjazd! Spójrz na tę poświatę na niebie! MAMA DA JE... ŚĆ, czy można się temu oprzeć?

– Oszalałeś – rzuciła, gdy wjeżdżali na parking. – Popatrz na to miejsce, posłuchaj szafy grającej, zwróć uwagę na zaparkowaną maszynę... O, nie, mam wiele niedobrych doświadczeń, Mister Fumimota-san, z tego rodzaju przybytkami, nad którymi widnieje wielki napis KŁO-PO-TY, więc lepiej od razu zawróćmy na autostradę!

– Nie muszę się niczym przejmować. Ty... jesteś... musisz być... moją ochroną!

– Nie, ee, nic nie rozumiesz. Pierwsza zasada kunoichi mówi: „Trzymaj się z daleka od kłopotów”, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Znaczy się od barów i innych takich miejsc, do których wchodzi kunoichi, a ja, jako twoja ochrona chyba...

– Okay, okay... – Właśnie zauważył, że jedyna droga do środka prowadzi przez wejście na tyłach, gdzie parking był tak źle oświetlony, że nie od razu dało się dostrzec kilka podejrzanych osób zataczających się po asfalcie z łyżeczkami w nosach, i to w dodatku nie z eleganckim małym złotym modelem, ale z jego pełnowymiarowym odpowiednikiem ze stali nierdzewnej, służącym do mieszania kawy i rąbniętym z tego właśnie przydrożnego zajazdu. – Byłoby nieźle... gdybyś zrobiła coś z naszą... widzialnością! – gderał Takeshi. – Podobno jesteście w tym dobre!

– Okay, w Santa Rosa jest taka lakiernia. Pracuje dla nindża. Zrobią ci taki kamuflaż na tym autku, że będziesz mógł parkować i palić gandzię na trawniku szeryfa i nikt cię nie zauważy. Pytaj o Manuela.

– Myślę o tym, Darryl Louise, co dzieje się teraz. – Przebijali się przez labirynt autoanatomii i skręcili w kolejny rząd na parkingu. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

– Po namyśle mam wrażenie, że nic nie dzieje się bez przyczyny, więc może powinniśmy tu wejść – powiedziała.

– Może nie... to staromodna hipisowska filozofia!

– Okay, a jeśli ja stawiam?

Takeszi wślizgnął się na wolne miejsce i zgasił silnik. Kiedy weszli do środka MAMA DA JEŚĆ i dobrze się rozejrzeli, było już za późno na cokolwiek, oprócz odnotowania w pamięci dróg ewakuacyjnych. Usiedli w boksie z odrapanego turkusowego plastiku i próbowali nie patrzeć nikomu w oczy, w tym sobie nawzajem. Okazało się, że EMDEJOT jest słynnym w okolicy grillowiskiem. Okna zamalowano na czarno, a lada baru biegła wzdłuż olbrzymiego, położonego na środku paleniska, w którym żarzyły się bierwiona i przy którym kucharze piekli, polewali, ściągali i kawałkowali wołowinę oraz wieprzowinę, pieczone kiełbaski i żeberka. Dym snuł się leniwie ku wyciągom, a jego część mieszała się z wszechobecnym dymem z papierosów, cygar i skrętów. Takeszi zamówił Galaktyczne Żeberka, a DL zdecydowała się na Fantazję z Mostka, ale głównie interesowali się kawą.

Zegarek Takesziego, z jednym z cyferblatów nastawionych na czas w Tokio, wydał krótki przerywany sygnał. – Dymny szlag! Muszę się skontaktować z profesorem! – Odnalazł automat telefoniczny przy toaletach i wystukał długi kod. Profesor Wawazume osobiście podniósł słuchawkę.

– Po pierwsze, twój kolega Minoru, ten z oddziału saperów, nie wrócił do pracy! Zniknął!

– Czegoś się dowiedział – mruknął posępnie Takeszi. – Powinienem był się dowiedzieć czego!

– Żaden problem! – zawołał figlarnie profesor; zaniepokojony Takeszi wiedział aż za dobrze, co to może oznaczać.

– Chyba nie chce pan powiedzieć...

– *Hai!* Rozpuściłem pogłoskę, że Minoru wszystko ci wyśpiewał! Tuż przed... tajemniczym wyjściem z kadru!

– Więc teraz mnie będą ścigać!

– Ma się rozumieć! Dobrze, że zadzwoniłeś, *ne?*

– Jakież wieści z laboratorium o tym odcisku stopy?

Owszem: programiści z WNŻ & NŻ, pracując gorączkowo dniami i nocami, przedstawili Wystandaryzowaną Analizę Odruchową opierającą się na klasycznej przesłance głoszącej, iż wiele cielesnych południków, czy powiedzmy zakończeń nerwowych, urywa się na podszewkach stóp – trójwymiarowe ciało wyświetla się na dwuwymiarowej podszewce, tworząc mapę samego siebie. Wzdłuż i wszerz całego pozostawionego w błocie odcisku zachowały się maleńkie elektromagnetyczne podpisiki, z których część zmył deszcz, reszta natomiast wystarczyła do stworzenia fotografii tego, co działo się w kluczowych organach, w tym w mózgu, osobnika, do którego należała stopa, w chwili stąpania.

– W organach! W mózgu! Mówi pan, że...

– W raporcie napisano: „Zachodzi zgodność z odciskiem stopy jaszczura mierzącego... sto metrów!”

– Pozwoli pan profesor, że zrekapituluję: to nie było dzieło zamachowca, a pan wysłał tych, którzy zajęli się Minoru, do mnie! Czy o czymś zapomniałem?

– O jednej rzeczy! – Głos profesora zaczął zanikać. Z uwagi na cięcia kosztów Takeszi korzystał z usług Tanisata, ekonomicznego satelity komunikacyjnego, który w przeciwieństwie do droższych jednostek nie był geostacjonarny, czyli zawieszony na jednej i tej samej orbicie nad jednym i tym samym punktem nad ziemskim równikiem, ale szybował nieustannie do tyłu po niebie, zawsze znikając za horyzontem w samym środku ważnej rozmowy telefonicznej, dokładnie tak jak teraz. – O notowaniach Chipco! – krzyczał

przeraźliwie profesor Wawazume, aż do niesłyszalności. – Na Tokijskiej Giełdzie! Stały się nagle bardzo... dziwne! Tak, „dziwne”, to właściwe słowo! Na przykład... – W tym momencie tani orbiter zaszedł za horyzont, a Takeszi, klnąc, musiał odwieść słuchawkę.

Kiedy wrócił do boks, stwierdził, że jego miejsce w turkusowym cieniu zajął młody gość, którego nie znał, i który, co gorsza, pałaszował zamówione przez Takesziego niedawno przyniesione Galaktyczne Żeberka: uwędzone, pachnące, nasączone niezdrowym sosem czekającym tylko, by zaatakować błony śluzowe kolejnego niczego nieświadomego miłośnika. Nieznajomy zżarł już połowę. Po całym blacie rozpryskiwały się krople sosu barbecue, a między nimi stało sześć pustych butelek po piwie.

– Hej!

Nieznajomy osobnik, wyglądający na prawie dorosłego nastolatka, niższy od Takesziego, zerwał się z za stołu z zasmarkanym nosem, jakby psychopobudzony od chili i musztardy. Przedstawił się jako Ortho Bob Dulang, autostopowicz i – jak się okazało – Tanatoid.

– Ta śliczna panienska powiedziała, że mogę wgrzyźć się w twoje żeberka, współniku, chyba nie masz nic przeciw temu?

– DL przyglądała się im z miłym i, według Takesziego, całkowicie sztucznym uśmiechem. – Tanatoidzi nieczęsto jadają pożywne pokarmy, takie jak, dajmy na to, żeberka – ciągnął Ortho Bob. – W tańskiej wspólności jedzenie nigdy nie było ważne.

– To wszystko wyjaśnia, nie ma sprawy. Ale czy mógłbym zapytać...

– Kim są Tanatoidzi? Jasne. To w zasadzie skrót od „osobowości tanatoidalnej”, co oznacza „jak śmierć, tylko trochę inna”.

– Rozumiesz coś z tego? – Z tym pytaniem Takeszi zwrócił się do DL.

– Z tego, co wiem, mieszkają wszyscy razem w tańskich czynszówkach albo tańskich lepiankach w tańskich wioskach.

Stosują zabudowę modułową, dosyć skromnie wyposażoną, nie korzystają zbyt często ze sprzętu stereo, dywanów, bibelotów, mebli, obrazów, naczyń stołowych, sztucców. Nic z tych rzeczy, bo po co się przejmować, zgadza się, OB?

– Fale pooglondamy uszo Fudła – odpowiedział chłopak z ustami pełnymi żeberek Takesziego.

– Ale oglądamy dużo Pudła – przetłumaczyła DL.

Czekając na informacje niezbędne do realizacji własnych potrzeb i celów pośród jeszcze żyjących, Tanatoidzi poświęcają przynajmniej część każdej godziny jawy na gapienie się w Pudło.

– Nigdy nie będzie serialu komediowego o Tanatoidach – powiedział im w zaufaniu Ortho Bob – bo jedyne, co mogliby pokazać, to Tanatoidów oglądających Pudło! – Lecz nawet i to mogłoby zainteresować pewien margines odbiorców seriali komediowych – w zależności od stopnia ich zdesperowania – gdyby nie praktykowana przez Tanatoidów z dawien dawna, jeszcze przed zalewem nadawanych przez dwadzieścia cztery godziny na dobę seriali, wstrzeźliwość w większości dziedzin, a przede wszystkim w okazywaniu uczuć, z których ujawniali tylko te, które mogły się okazać pomocne w postępie ku śmierci. Spośród tych najpowszechniejsze było rozżalenie, gdyż historia oraz reguły nierówności i równowagi ograniczały Tanatoidów do odczuwania niewiele więcej ponad pragnienie zemsty.

– Rozumiem, że poczęstowała cię Wibrującą Pięścią – powiedział Ortho Bob, oderwawszy się w końcu od mięsnego piekła.

Takeszi popadł w zadumę, pamiętając doskonale, jaką odczuł ulgę, zwierzywszy się nie tak dawno współpasażerowi z samolotu ze swych obaw na ten sam temat, w dodatku taki temat, o którym Tanatoid posłuchałby z przyjemnością. Ortho Bob wodził wyczekująco i inteligentnie wzrokiem od DL do Takesziego, obdarzając przy tym oboje „uśmiechem”, który Tanatoidzi – i nikt poza nimi – uznawali za dosyć miły.

– No, więc... – zaczął Takeszi, sięgając po kawałek brzoskwiowego placka zamówionego w samą porę przez DL, szukając wzrokiem na obrzeżach kadru śladów wycofania zawodowych plenipotencji i kolejnych Tanatoidów – ...dają tu niezłe żeberka, he?

– Taa. – Uśmiech stał się szerszy. – Dają tu niezłe żeberka, ale ty też jesteś po części Tanatoidem, co nie, koleś?

DL, ochrona, skorzystała z okazji, żeby się wmieszać.

– Masz z tym jakiś problem, OB?

– Różnica polega na tym – odezwał się Takeszi – że, moim skromnym zdaniem, podążam w drugą stronę! Z powrotem do życia!

– Myślałem, że jak cię dotknie taka Pięść, to już koniec.

– Ona uważa, że może to odwrócić, jeśli tylko mi zadośćuczyni w odpowiedni sposób!

– Bez urazy, ludzie, ale to mi wygląda na... myślenie życzeniowe, nie?

Takeszi prychnął.

– Mam inny wybór?

– Mojej mamie bardzo by się to spodobało. Ogląda te wszystkie seriale, w których miłość zawsze zwycięża śmierć. Takie bajki dla dorosłych. Więc w waszym wypadku, ludzie, mówimy o winie i śmierci? Hej, to bardzo po tańsku i życzę wam powodzenia.

Ortho Bob wracał do miasteczka Tanatoidów przy ujściu Shade Creek do Seventh River w Okręgu Vineland. Jeśli go tam podwiozą, znajdzie im miejsce, w którym mogliby zostać.

Takeszi łąpnął na DL i przekazał jej najświeższe doniesienia z Tokio: profesor Wawazume poniesie prawdopodobnie koszty rozdeptania laboratorium, a dzięki jego przemyślności rozpoczął się właśnie budzący grozę pościg za nim i za nią, za nimi obojgiem.

– Chiba przydałaby się nam jakaś kryjówka – rzuciła DL.

– Sama słyszałaś, moje ty biuro bezpieczeństwa! Jedziemy do Ortho Bob-sana!

Ten nieplanowany pobyt w Shade Creek – jak powiedzieli Prairie po latach – dał początek biznesowi wyrównywania karmy. Całe miasto pełne Tanatoidów! Niewyczerpane zasoby klientów, choć większość z nich – wskutek zachłanności spadkobierców i cesjonariuszy – nie była w stanie płacić zbyt wiele. Sprawa rozdeptania laboratorium, choć nadal aktualna, stała się mniej nagląca, więc Takeszi i DL mogli się angażować bez pośpiechu w inne – często niesłychanie skomplikowane – historie wydziedziczenia i zdrady. Opowiadano im o tytułach ziemskich i prawach wodnych, bandach zbirów i najemników, kamienicznikach, prawnikach i deweloperach – zawsze opisywanych przy użyciu skatologicznej symboliki – o niesprawiedliwościach z przeszłości niezagojonych do dziś jak rozjątrzona rana, jak złożona przez KAMP obietnica świetlanej przyszłości egzekwowania prawa wprost z nieba. Wkrótce wynajęli salę konferencyjną w Woodbine Motel po przeciwnej stronie miasta na drugim brzegu strumienia, początkowo tylko na weekendy, bo przez resztę tygodnia woleli przytulny kącik na tyłach zabudowań Zero Inn, dokąd przyjść mógł każdy, kto chciał dać świadectwo.

Lecz na samym początku DL posadziła Takesziego naprzeciw siebie i oparta łokciami na stole, odbyła z nim rozmowę.

– Nie jesteśmy w Tokio, czaisz? W tym kraju nie da się być wolnym strzelcem w „wyrównywaniu karmy”, cokolwiek to znaczy, nikt ci za to nie zapłaci!

– Ha, ha! I tu się mylisz, karotko! Będą nam płacić tak jak płacą śmieciarzom z wysypiska, hydraulikom w skażonym zbiorniku i czyszcicielom po trującym wycieku!

Sami nie chcą tego robić, więc my zrobimy to za nich! Zanurkujemy na samo dno! W głębiny śmietniska czasu! Wiemy, że czas ten przeminął bezpowrotnie, ale oni nie wiedzą!

– Mówisz o nas...?

– Zaufaj mi... to jak ubezpieczenia, tylko trochę inne! Mam doświadczenie, a nawet lepiej, bo nietykalność!

Bała się tego, co to słowo może oznaczać.

– Nietykalność... – Błądziła wzrokiem od świetlika do okien i w końcu wskazała to, co na zewnątrz: niewidzialną, bezsenną populację Shade Creek.

– Takeszi-san... oni są duchami.

Puścił do niej obleśne oko.

– Chcesz się ugryźć w język, czy mam to zrobić za ciebie? To słowo jest tu zabronione! Tanatoidzi – tłumaczył – są ofiarami karmicznej nierównowagi, nieoddanych ciosów, nieodkupionego cierpienia, ucieczek winnych, wszystkiego, co zakłóca codzienne wyprawy w głąb Śmierci z mediumicznej odskoczni miasteczka Shade Creek, za którym roztaczają się nienaniesione na mapy połacie ziemi zamieszkałe przez zbłąkane dusze w ciągłej fluktuacji, nieżyjące, lecz nieustępliwe, wczepione w najmniejszy skrawek nadziei.

Podszedł z DL do okna. Tej nocy prawie nie spali, właśnie świtało. Strome ulice biegły nieregularnie, a bramy, wyloty i rozwidlenia – wszystkie ukryte zazwyczaj kąty – z tej wysokości i przez to jedno okno były wyraźnie widoczne, a każdy naiwny, prostoliniowy, pozbawiony cienia i ukrycia, wędrujący po dworze we śnie i na jawie Tanatoid, każdy pusty pojemnik, zagubiony klucz, butelka, każdy kawałek papieru w dziejach nocnej zmiany schodzącej właśnie z posterunku, słowem, wszystko wokół było zwrócone ku oknu, przez które wyglądali Takeszi i DL, patrząc na pierwsze ziewające, wybudzające się, oddalające z miejsc publicznych Cienie...

– Są tak blisko... widzą nas? – spytała DL.

– To złudzenie... poranne światło!

Gdyby stali w oknie aż do wschodu słońca, ujrzeliby zmiany zachodzące w miasteczku, obracające się z wolna kandy wszystkich rzeczy, cienie wywracające kąty na nice, kiedy to „prawa” perspektywy ustalały się na nowo, przez co około dziewiątej tworzyła się dzienna wersja tego, co dało się widzieć przez to konkretne okno.

– Fumimota-san – DL odwróciła się od okna, gdy świeżo wzeszło słońce zalewało ulice – niektóre z tych Cieni nie wyglądają za dobrze.

– A czego się spodziewałaś? Noszą na sobie ślady tego, co im wyrządzono, mają to wypisane na twarzach, żeby wszyscy mogli widzieć!

– A każda załatwiona przez nas skarga przywróci im utracone kończyny, wygładzi blizny, a mężczyznom zapewni wzwód. O to chodzi?

– Nie... nie przywrócimy im utraconej młodości! Co ci jest? Nie masz innego powodu, żeby czuć się winna?

– No, mam... jedna głupia pomyłka i przyjdzie mi płacić za nią przez resztę życia.

– Tylko przez resztę mojego życia, aniele!

Na spokojnej, zalanej słońcem powierzchni oceanu ukazał się na chwilę peryskop bezlitosnej łodzi podwodnej USS *Niewypowiedziany* – rzucił okiem na ich jednostkę pływającą, doszedł do wniosku, że nie jest statkiem miłości, i zanurzył się na powrót w głębiny. Powoli uczyli się razem, jak robić uniki, a w tej chwili najdogodniejszy unik wiódł przez labirynt ubogich zaułków i niezabudowanych działek Shade Creek ku obfitemu śniadaniu i kolejnemu dniu pracy.

Nadszedł Ortho Bob, chwiejąc się na nogach; wyglądał tak strasznie jak noc, którą jakoś przeżył, i chciał porozmawiać o swojej sprawie. Unicestwiono go w Wietnamie na więcej niż jeden sposób według listy, z której starannie – choć prawdopodobnie zabobonnie – wykreślał śmierć. Jego spis żalów do wyrównania zawierał i bez niej dosyć zadr, a żadnej z tych spraw nie dało się załatwić zwykłymi kanałami.

– Pierdolę forszę, chyba... – zastrzegł Ortho Bob. – Załatwcie mi tylko zemstę, okay?

– Na twoim miejscu starałbym się o pieniądze – przekonywał go Takeszi. – To znacznie prostsze. – Bo zemsta, na przykład, na kim?

Zawsze gotów do pomocy Ortho Bob przedstawił kilka nazwisk, o których Takeszi wiele słyszał.

– Spójrz na to z mojego punktu widzenia – powiedział, kiedy były żołnierz piechoty, który według ziemskiego czasu miałby obecnie jakieś dwadzieścia osiem lat, usiadł i zaczął jeść gofry

z jego talerza. – Co półtora roku podwaja się ilość pamięci w procesorze! Rozwój technologii przyspiesza, ale ma własne tempo! – W tradycyjnym karmicznym wyrównywaniu rachunków – mówił Takeszi – sprawy toczyły się niekiedy przez stulecia. Napędzający impuls zapewniała śmierć, a wszystko obracało się wraz z cyklami rodzenia się i umierania, co dla większości ludzi było nie do przyjęcia, bo nie zapewniało odpowiedniej niszy rynkowej. Powstał zatem system odroczonej spłaty – kredytowania przyszłych karmicznych zysków. W Nowoczesnym Wyrównywaniu Karmicznym śmierć usunięto z kalkulacji.

– Fchachfo fi fchadafć!

– Łatwo ci gadać... – przetłumaczyła DL.

– Zrozumiałem! Nie martw się, jeśli to się nie sprawdzi, zawsze możemy skorzystać z opcji reinkarnacji!

Jedna z kelnerek, nie-Tanatoidka, dojeżdżająca samochodem z Vinelandu, podeszła do stołu z egzemplarzem tabloidu „Meteor”.

– Niesamowita historia, chłopaki, mogę prosić o autograf?

Na trzeciej stronie szmatławca widniało zdjęcie Takesziego i DL, nocne, na dworze: oboje byli ubrani niezobowiązująco i wyglądali jeszcze bardziej paranoidalnie niż zwykle.

– To tło... to chyba... Sydney w Australii! – mruknął Takeszi do DL. – Byłaś tam... kiedyś?

– Nigdy, a ty?

– Nie... chyba że oboje cierpimy na amnezję. Albo to... fotomontaż! „Tajemniczy Takeszi Fumimota i jego... nieznana towarzyszka na wakacjach na antypodach”! „Zawsze uwielbiałem tam jeździć”! „Poruszył brwiami jak Groucho Marx i wbił spojrzenie w okolicę miednicy kelnerki. Uśmiechnęła się smętnie”.

Chodziło rzecz jasna o laboratorium i odcisk stopy, kontrolowany przeciek do „Meteoru” i Bóg wie do kogo jeszcze. Takeszi robił dobrą minę do złej gry:

– Przynajmniej ciebie nie zidentyfikowali! – powiedział.

– Odebrało ci rozum? Chcą nas wykurzyć, o to im chodzi, i jeszcze o to, że jeśli cię wydam, nic mi nie zrobią, kapujesz, tępy obleśny Japońcu?

Rozejrzył się gorączkowo za pierwszym lepszym dragiem; okazał się nim niedawno zmieszany mrożony mai tai, pozostawiony bez opieki na sąsiednim stole.

– Zaczekaj! – Chwyliła go za rękę w połowie drogi do koktajlu.

– Nikt nie pije takiego gówna do śniadania! To może być frappé yakuzy z pozdrowieniami dla ciebie! – Doceniając tę troskę, Takeshi oparł dłoń na jej udzie. Po namyśle: – Pij, co chcesz! – rzuciła. – Zapomniałam, że w poprzednim życiu miałaś tendencje samobójcze. Chodziło jej o to, co nazywał „interesującą pracą w lotnictwie” podczas drugiej wojny światowej. – Choć, mówiąc szczerze – ciągnęła – nie wyobrażam sobie ciebie w czyichkolwiek siłach powietrznych, a co dopiero wśród kamikadze, którzy, wnosząc z tego, co wyczytałam w książkach do historii, byli dosyć wybredni w doborze kandydatów.

– Rozchmurz się! To będzie... wspaniała reklama!

– Ten dureń cierpi obecnie na widzenie tunelowe – mruknęła do siebie.

Z poważną miną podniósł okulary na czoło.

– Nigdy nie chciałem przysparzać ci kłopotów, DL-san. Może powinnaś się zastanowić nad teleportacją z tego „my”?

Poprawiła włosy i spojrzała na niego.

– Nie mogę.

– To czarna dziura! Odebrała mi trzydzieści lat życia! Nie mogę cię w nią wciągać!

– To moja praca... nie mogę się wycofać.

– Gadasz jak... moja była żona! – Rozejrzył się, udając wariata. – *Domo komarimashita!* Co ja zrobiłem! Ożeniłem się po raz drugi i już zdążyłem o tym zapomnieć!

– Ty... – Nie wierzyła własnym uszom – ...mocny w gębie głupcze! Siostra Rochelle plus przeszkolony zespół medycyny orientalnej przywrócili cię do jebanego życia. Myślisz, kretynie,

że za darmo? Jestem twoim rachunkiem za pobyt w szpitalu, cwaniaku, płacisz, trzymając mnie przy sobie każdego bożego dnia, tę, która cię kiedyś zamordowała, pamiętasz? Jestem do ciebie przyspawana więzami obowiązku wykraczającymi daleko poza twoje, jak się wydaje, pojmowanie, ty hańbo dla rasy, która wymyśliła *girt*!

Niezrażony Takeszi oscylował gałkami ocznymi – co powinno, jego zdaniem, zostać odebrane jako przyjazny gest – między cyckami DL, które, tak się złożyło, znajdowały się na wysokości jego głowy.

– Dobrze się bawisz, Takeszi? Hm... pochlebiasz mi, naprawdę, i owszem, przy takich okazjach zastanawiam się, czy... no wiesz... nie zapomnieć o ślubach nindzетки.

– Naprawdę, naprawdę?

– I zamordować cię!

Kilka głów przy sąsiednich stołach zwróciło się z wyczekiwaniem w ich stronę. Choć cofanie się nie leżało w zawodowych obowiązkach DL, z przyjemnością zamieniłyby się teraz w jakąś ciecz, odprężyła się dla odmiany, bo odkąd tu przyjechała z Takeszim, nie miała czasu, żeby usiąść i przejść choćby w fazę niezakurzonego lustra, bo raz po raz stawiał ją na baczność jakiś kurewski kryzys, który wyrывał ją z przedpokojów oświetlenia i ściągał o wiele poziomów niżej, do cuchnącej, źle oświetlonej, do niczego niepodobnej piwnicy, w której zawsze królował Takeszi lub stworzone przez niego sytuacje, przy czym on sam, guru karmicznego wyrównywania, zajmował się, jak je nazywał, interesami, a ona, kochanka niewidzialnego, cierpiała, ale nie płakała za utraconą zwykłością, choć pragnęła jej jak cierpiący na bezsenność człowiek marzący o słodkim, głębokim śnie.

Wyszli z knajpy i ruszyli pod długimi wijącymi się arkadami wśród niewidzialnego ptactwa i wciąż zalegającej w cieniach rosy, zmierzając do sali konferencyjnej. Mały przenośny neon głosił: OTWARTE. KLINIKA KARMOLOGII. PROSZĘ WCHODZIĆ BEZ UMAWIANIA. Takeszi był ubrany w garnitur i krawat, a DL w szyte na miarę *gi* z surowego jedwabiu z Burlington Arcade

przy Nathan Road w Kowloon. Pracowali przy długim bankietowym stole ustawionym na niskim podeście wśród wielokolorowych roślin doniczkowych z plastiku – przypominających wytwory wyobraźni obcych, gdyż nikt, kto je widział, nie potrafił ich rozpoznać; mieli za sobą mapę okręgu Vineland wielkości fresku, z dwoma flagami – amerykańską i kalifornijską – po bokach. W sali była także przenośna tablica, kącik do robienia kawy, mikrofon i wzmacniacz. Takeszi i DL słuchali, nagrywali, zadawali pytania, robili notatki, siłąc się przy tym na nieoficjalną powagę.

Tego ranka czekał na nich duet holowniczy Ziom i Cholera, których poznali poprzedniej nocy na parkingu Woodbine Motel. Panowie poruszali się grzmiącym, nisko zawieszonym custom deluxe o nazwie Mi Vida Loca i rozglądali się za podobnymi pojazdami. Kiedy Takeszi i DL stanęli w świetle ich reflektorów, Ziom i Cholera „namierzali” samochody na parkingu, jak leśnicy chodzący po lesie, żeby oszacować, ile bieżących kubików drewna da się z niego wyciągnąć. Ich zadanie było na pierwszy rzut oka całkiem proste: wybierali najdroższy pojazd do odholowania. Wybór jednak zależał, jak przyznawali obaj, od wielu czynników, w tym od marki pojazdu, bo na przykład właściciel rolls-royce’a, który zna się na rzeczy i wie, jak zamienić czasochłonny kłopot odzyskiwania auta w wesołą zabawę, zawsze jest gotów ponieść z uśmiechem na ustach niebotyczne koszty – wymyślane na poczekaniu – i dodaje do nich napiwek. Inaczej rzecz się ma z holowaniem mercedesów, nawet na niewielką odległość, bo sprawa jest z góry skazana na porażkę. Żaden właściciel mercedesa nie pojawi się w siedzibie Z & C Holowanie o trzeciej nad ranem w nastroju do żartów. Ziom i Cholera byli niedawno na warsztatach w spa w okręgu Marin, które poświęcono dokładnie tej tematyce. „Programowanie interpersonalne i problemowy odholowywany”. Podczas szkolenia podkreślano raz po raz, że właściciel mercedesa, odzyskując zaareztowany pojazd, zachowuje się równie chamsko jak na drodze i próbuje z miejsca – zgodnie zresztą z tradycją marki, zmuszając do

niesygnalizowania zamiarów – wykpić się niezapowiedzianym kopem w jaja.

– Ee. – DL pokręciła ostrzegawczo głową, kiedy zafascynowany jej kształtami Ziom podszedł bliżej, bełkocząc coś po nosem, sam nie wiedząc co.

– A czasem, doktorku – podjął opowieść Cholera, zwracając się do Takesziego – mamy na parkingu najlepsze światowe marki, po które, cholera, nikt się nie zgłasza. – Roześmiał się w udawany opętańczy sposób, który Takeszi odebrał jako *kiai*, paraliżujący okrzyk tuż przed atakiem, ale Cholera złapał go tylko za głowę, zaczął nią obracać i ścisnąć jak cytrynę na wyciskarce. – Nie da się trzymać czegoś takiego przez wieczność – dodał cichszym, dziwnie czułym tonem – więc obniżamy cenę i jazda!

– Czegoś takiego...? – wykrztusił Takeszi między jednym wyciśnięciem a drugim. – Czyli czego?

– Dajmy na to ferrari, pasuje ci?

– Mówisz o tym... ferrari?

– Czy wspominałem o szczegółach? – Odrzucił głowę Takesziego jak wyciśniętą skórkę cytryny. – Czepiasz się i zaraz będziesz się pytał o cenę.

– Bez urazy.

– Gada jak drużyna, na którą postawiłem w zeszłym tygodniu – wtrącił Ziom.

– Tak jest! – Wykonali we dwóch wietnamski uścisk dłoni do melodii z *Odysei kosmicznej: 2001* (1968), śpiewając na głosy *Da, da, da DAdaaa* i przybijając górną piątkę – *Da, da, da, da DA* – obracając się, klepiąc się w dłonie za plecami i tak dalej, a Takeszi i DL patrzyli na to wszystko oparci o przedni zderzak ciężarówki. Ziom wyjął wizytówkę, na co Takeszi odruchowo dał mu swoją.

– Gwarantowany dwudziestoczerogodzinny dostęp do listy Preferowanych Marek Z & C, uaktualnianej codziennie nowymi modelami, rocznikami, wyposażeniem i wyposażeniem dodatkowym – wyrecytował Ziom.

– A ty, doktorku – rzucił Cholera – też nie możesz, cholera, spać po nocy...

– Jasne. – Takeszi wyciągnął rękę z „białymi diamentami”.

I chłopcy pojechali dalej, rozglądając się za czymś do odholowania. Ale następnego dnia zjawili się niespodziewanie w Klinice Karmologii z wiadomościami o Wietnamie w ogólności, i Ortho Bobie Dulangu w szczególności – z opowieścią o tym, co kto kupił i od kogo w latrynie Ton Son Nhut, kiedy nietoperze przechwytywały legendarnie przerośnięte moskity, wlatując z wyciem w skrępowany upałem świat, który rozpoznawały w ostatniej chwili, kiedy upaleni łowcy nietoperzy zdążyli już zarzucić w ciemności zakończone haczykami wędki... i o tym, kto tylko gadał i kto co zrobił oficerom, których mieli, jak się wydaje, wspólnych, i o tym, dlaczego poprowadzono ich w zasadzkę i ilu z nich zostało, kiedy zaszło słońce, a ilu, kiedy wzeszło... część z tego była opowieścią z wojny, część zwykłym pieprzeniem, a jeszcze inna część ślepą odurzoną pewnością, która poprzedza w niektórych okolicznościach dar mówienia językami, choć ani Ziom, ani Cholera jeszcze do tego nie doszli.

Kiedy poznali się lepiej i dowiedzieli się o Dotyku Śmierci, Samotni Nindzetek, punkutronie oraz roku i jednym dniu – który z czasem przedłużył się do kolejnego roku i jednego dnia współdziałania, a potem jeszcze jednego i tak dalej – pozostali w tej niewielkiej mniejszości, która nie oferowała DL i Takesziemmu żadnych dobrych rad, choć żywo komentowali między sobą tę historię. Ziom chciał przerobić ją na serial komediowy. Kiedy wracali do tematu, zawsze wybuchał śmiechem w przerwach między puentami, zastępując zgromadzoną w studiu telewizyjnym publiczność.

– Ale to nie tak – protestował Cholera – bo przypuśćmy, że to Film Tygodnia, w którym facet cierpi na nieuleczalną chorobę?

– Neeee... Mnie się widzi, ziom, że ona mu wszystko mówi, ale gość nie chce się przekonać, czy to prawda, i pozwala im robić, co chcą, pieprzyć się ze strzykawkami, elektrycznością i całym tym gównem, bo niby po co ma się przejmować, co nie?

Bo przecież nie wie, ile czasu mu zostało. A ona mu nie chce powiedzieć... bo nie ma nastroju i nikt nie ma śmiałości do niej podejść bliżej niż na dziesięć kroków. Ma jej grozić bronią? Jakby jej strzelił w łeb, to dopiero miałyby przejebane!

Takeszi, mówiąc szczerze, rozważał optymistyczny scenariusz, choć niezbyt długo, bo wiedział, co dzieje się z marzeniami. Ale powiedzmy, że... – fajnie się ludzić – ... nabierała go przez cały czas, a ta historia była dosyć ekstrawaganckim, by nie rzec: zaburzonym, rodzajem uprawianego przez nią flirtu? W gruncie rzeczy nie był w stanie uwierzyć, że Naprawdę Mu To Zrobiła, bo nawet w tak podeszłym wieku nie godził się na własną śmierć. Jeśli go zamordowała, to po co się z nim dalej zadawała? Jeśli nie, to dlaczego robiła mu – komuś zupełnie obcemu – to wszystko? Cała ta historia doprowadzała go – jak przypuszczał, zbliżając się do tego stanu – do bezrozumnego szaleństwa. Nie było sposobu, żeby doświadczyć tego obłądu i ocalić zdrowe zmysły. Nie był pewien, czy jej prawdziwa misja nie polega przypadkiem na tym, żeby uczynić z jego życia *koan* – nierozwiązywalną zagadkę zen, która pośle go pomrukującego z rozkoszy wprost ku transcendencji.

Ale zaczął się nad tym zastanawiać dopiero po jakimś czasie. Nie mógł zapytać o to wprost – odpowiadała wymijająco, odwracała głowę i uśmiechała się, choć nie złowieszczo, ale jak znające rozwiązanie zagadki dziecko, z półprofesjonalnym błyskiem w oku, a nawet tęsknie. Dopiero wiele lat później przyznała, że wykorzystywała ten uśmiech, żeby przetrwać, bo tęskniła do Samotni, szczytu w chmurach, wysokich jasnych murów, za którymi mogłaby przysiąc na chwilę z innymi – wcale nie z wróbelkami ze złamanym skrzydełkiem, ale z drapieżnym ptactwem skonanym po burzy, wymęczonym łowami, spragnionym odpoczynku. Tęskniła do gór, tak jak wyobrażała sobie kiedyś, że tęsknił za nimi romantycznie jej stary mistrz sensei Inosziro. Który usiłował przygotować ją właśnie do czegoś takiego: do odziedziczenia wplątania w świat, w terażniejszość, a także – bo czymże innym był ten

oblakany szwindel Takesziego z Karmologią? – w przeszłość, w zbrodnie rządzące światem, w tysiące krwawych strumyków płynących w odmętach czasu rozlewającego się posepnie w głąb ładu od jazgotliwego brzegu Teraźniejszości.

Kiedy Takeszi i DL przyszli otworzyć podwoje, Ziom i Cholera rozwalali się na składanych krzesłach, podśpiewując w duecie jakąś dziwną, nieskrępowaną formalnie antyfonę, czasem milknąc, by podjąć melodię dokładnie dwa i pół taktu dalej jednym, potencjalnie groźnym jak szum roju pszczół głosem. Był to słynny Temat Przewodni Spółki Z & C Holowanie, oparty na motywie *I'm Chip! – I'm Dale!* z filmu rysunkowego Disneya, śpiewany pierwotnie przez duet wiewiórek, które nigdy nie dorównały sławą i charyzmą tercetowi Rossa Bagdasariana: Alwinowi, Simonowi i Theodore'owi. W Wietnamie Ziom i Cholera pracowali głównie w warsztatach, ale od czasu do czasu wyruszali ciężarówkami w trasy. Zwykle rutynowe objazdy dżungli zamieniały się najczęściej w niewypowiedziane mroczne, śmiertelnie niebezpieczne konwoje, a po jednym z takich kursów weszli któregoś popołudnia do betonowego baru w podziemiach kompleksu Long Binh i cuchnąc nieprawomyślnością, otworzyli sobie po piwie i usiedli, żeby pooglądać Pudło. Jakiś dowódca w odległym miejscu orzekł, że filmy rysunkowe Disneya będą dla nich najlepszą rozrywką – i miał rację, choć z innych powodów, niż mu się wydawało. Siedzący w barze żołnierze odsuwali się nerwowo od chłopców, a na ekranie pojawiły się wiewiórki. Chip i Dale! I wszystko stało się jasne! Wsłuchawszy się w temat przewodni, zapisał słowa i melodię, w przerwie na reklamy zachwalającej zalety służby wojskowej Cholera spojrzał na Zioma i zaśpiewał: *JA Cholera!*, a Ziom natychmiast mu odpowiedział: *JA Ziom!* I razem: *Para skurwieli, co...* – w tym miejscu wkradł się pewien wokalny dysonans, gdyż Ziom zdecydował się na klasyczną Disnejowską wersję *wesołe co dnia są*, a Cholera odszedł od niej, stawiając na *ujebane w trupa są*, po czym natychmiast spojrzał z wyrzutem na Zioma:

– Co ty pierdolisz? Jakie *wesołe, co dnia są!*

– Okay, okay, będziemy śpiewać *ujebane w trupa są!* Nie ma sprawy. – I zaczął raz jeszcze: – *JA Ziom...*

– No... *JA Cholera...*

– *Para...* – lecz Ziom nie dał za wygraną i zamiast *skurwieli, co...*, zaśpiewał złośliwie *co poniewiera*.

Przerwali i spiorunowali się wzrokiem. Przez następne lata, kiedy zakładali razem interes i później, historia ta powtarzała się niejednokrotnie. Czasem udawało im się wykonać piosenkę od początku do końca bez najmniejszych przeszkód, ale częściej musieli się spierać. Utwór ten stał się czymś w rodzaju tablicy ogłoszeń ich spółki – miejscem, w którym zawieszali rozmaite przychodzące im do głowy komunikaty, by skomentować bieżące wydarzenia czy zaplanować dzień. Poprzedniego wieczoru, na przykład, Cholera śpiewał w ciężarówce *...co żre w fast foodzie żarcie/od którego idzie w zaparcie*, co było komentarzem do toczonego od tygodnia sporu o to, gdzie zabrać trzeciego wspólnika Z & C Holowanie – Thi Anh Tran – na jej urodzinowy lunch. Datę urodzin wspólniczki wścibski Cholera znalazł w jej kalendarzu. Obaj zgodzili się, że zrobią jej niespodziankę, tylko nie mogli się zdecydować gdzie.

Wykluczyli chińszczyznę, japońszczyznę, wietnamszczyznę, tajszczyznę i polinezyjszczyznę.

– Nie będzie jadła tego gówna, przez całe życie nie jadła nic innego, tylko to gówno, więc na pewno nie będzie go jadła w urodziny, cholera! – krzyczał Cholera.

– Okay, ziom – powiedział Ziom. – A co powiesz na meksykańszczyznę? Zabierzemy ją do Taco Carajo w samo południe. Żywi, przechadzający się leniwie mariachi, gorące meksykańskie *antojitas...*

– Hej, może ty lubisz srać na czerwono...

Sprawa wydawała się nie do rozstrzygnięcia, każda wybierana przez nich knajpa mogła stanowić obelgę, a żaden z nich nie miał ochoty na stawianie czoła przekleństwu Smoczycy, padającym z ust kobiety, która w tych czasach trzymała w swych przepięknych drobnych dłoniach finanse Z & C do trzeciego miejsca po przecinku, będące przedmiotem

zainteresowania nie tylko urzędów skarbowych, ale i organizacji znacznie bardziej uwrażliwionych na oszustwa. Choć Ziom i Cholera wspólnie i głośno się tego wypierali, obaj bali się współniczki. W maju 1975 roku gniła – wraz z tysiącami innych, których przerzucono do kraju po upadku Sajgonu – w Pendleton, gdzie ją odnaleźli, ale ich wspólne losy sięgały dalej w przeszłość, do legendarnych wojennych operacji Gormana „Fantomasa” Flaffa – operacji w przekazach pieniężnych w piastrach; wkupili się w nie w najwłaściwszym momencie poplątanej finansowej kariery Fantomasa, co pozwoliło im na dokonanie metafizycznej racjonalizacji, że działają z woli aniołów. Dzięki temu zdobyli zaufanie zabobonnego Flaffa, który posunął się do tego, że wyznaczył ich w testamencie do przejęcia jego zobowiązań wobec Thi Anh Tran.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedyś o tym rozmawiali, ziom.

– Nieee, zwyczajnie to zrobiliśmy, co nie?

– No, właśnie.

– Byliśmy to winni Flaffowi.

– A Flaff był to winien jej.

Płacił za jej edukację w jednej z Écoles des Jeunes Filles w Sajgonie i wysyłał czeki ze skromnym kieszonkowym z przyczyn, o których tylko krążyły plotki. Jedna z nich głosiła, że uwędził jej rodzinę i czuł się winny, ale ani pierwsza, ani druga część tej historii nie pasowała do Fantomasa. Gorman doszedł do kresu, a raczej do złej linii lasu, zaledwie po kilku miesiącach. W bazie podszedł do nich kapelan z listem zaadresowanym do Zioma i Cholery. Wtedy po raz pierwszy zetknęli się z imieniem i nazwiskiem Thi Anh Tran. Pili ciepłą colę, siedzieli, a nad dżunglą latały grzmiące phantomy, wirniki helikopterów mieszały wilgotne powietrze. Po latach pojawiła się w Pendleton jako dorosła wykwalifikowana księgowa. Prześwietlona na wylot, mieszkała w dwudziestopięciosobowym wojskowym namiocie, paliła koolsy i słuchała rock and rolla na falach długich. Warunkiem

ich sponsoringu było to, że dadzą jej pracę księgową. Wkrótce przekonali się, jaki z niej skarb, i przyjęli ją do spółki. Teraz wprowadzała ich w takie podenerwowanie, że byli gotowi zrobić wszystko, byle tylko jej nie rozdrażniać.

– Słuchaj, cholera – powiedział Cholera do Zioma. – Ta wietnamska dziwka mówi, że chce z tobą pogadać.

– Oo – mruknął zaniepokojony Ziom.

– Coś wykręciłeś?

Ziom domyślał się, że chodzi o hamburgera z frytkami, które zostawił na firmowym plastikowym krzeselku. Spędził w jej gabinecie dziesięć minut, przez które zza drzwi nie dobiegał żaden odgłos. W końcu wyszedł, kręcąc głową. Cholera przypadkowo trwał na posterunku.

– I co, ee, jak leci, cholera?

– Ta wietnamska dziwka... wiesz, co... jest nieziemską – odparł Ziom.

– I ty mi to mówisz? Myślisz, że nie wiem?

– Taa... tyle że tym razem miała jakiś pistolet, ziom.

– Pistolet? Jaki pistolet?

– ChiCom MAC dziesiątkę.

– Nie ma czegoś takiego! Mierzyła do ciebie?

– Czy ktoś to widział? Widziałeś to?

– Nie, a ty?

– Widziałem, ziom.

Kiedy w końcu postanowili, że zaproszą ją na urodzinowy lunch do drogiej greckiej makrobiotycznej restauracji pod nazwą Kiedyś Dawano Tu-Flaki, powstało pytanie, który z nich zanieśie jej zaproszenie. Klócili się przez pół godziny, zanim uradzili, że zaproszą ją razem. Tyle że nie mogli się zdecydować, który wejdzie pierwszy.

– Wietnamska dziwka woła „wejść!” – wymamrotał Cholera.

– No to wchodź! – odpowiedział szeptem Ziom.

– Co to, kurwa, znaczy „no to wchodź!”?

– Kto tam? – odezwał się kobiecy głos zza drzwi.

– My! – wrzasnął zmienny Ziom.

– Cii-cii. Kto cię pytał?

– No, ona, człowieku...

Drzwi otworzyła Thi Anh Tran. Zerknęła od dołu na nich obu. Nigdzie nie było widać ChiCom MAK-a 10 – przynajmniej dla niewprawnego oka. Miała na sobie jasnobezowy kostium ze spodniami z luźno tkanej bawełny, a do tego dodatki w różnych odcieniach czerwieni – oprawki okularów, apaszkę, pasek i zamszowe kowbojki, które musiały ją kosztować jakieś pięćset dolarów. Czerwone designerskie spinki upinały jej włosy przy czaszce o mocno uwypuklonym czole i skroniach, które często zdradzały więcej od półprzymkniętych oczu.

– Nie jest taka zła – zasugerował Ziom nieco później tego wieczoru, w drodze powrotnej do domu.

– O co ci chodzi?

– No... sam wiesz. Jakby zrobiła coś z włosami, może włożyła coś prześwitującego, nie?

Cholera, który w tym miesiącu nie zbliżył się nawet do wyznaczonego poziomu wesołości, pozwolił sobie na parsknięcie i chichot półgębkiem.

– Znowu przytrzaśniesz sobie kutasa.

– Dzięki. Właśnie to spotyka człowieka, kiedy robi tak, jak mówią mu na terapii, kiedy chce być całkiem szczerzy z towarzyszem broni. Pierdolenie. Przerabialiśmy to już tyle razy, że jeszcze jeden raz nie zaszkodzi.

– Wiele razy – zgodził się Cholera.

– Znaczy, że się nie uczę. Właśnie to chcesz mi powiedzieć?

Kłócili się, kiedy ciężarówka mijiała wjazd na autostradę.

– Uważaj, Ziom, o mało nie walnąłeś w autobus Greyhounda...

– Widziałem go, cholera.

Radio wydarło się na nich. Ziom miał głośniki z przodu i z tyłu, a zaskoczony jak zwykle Cholera skurczył się w sobie pod naporem decybeli; ciężarówka zmieniła pasy.

– Musi być tak głośno? – spytał.

Ziom właśnie sięgał do gałki, kiedy radio zagrzmiało: „Cześć, chłopaki!”. Przy normalnej głośności byłby to całkiem intrygujący kobiecy głos.

Ziom zamarł.

– To ona! Ta wietnamska dziwka!

– Ziom i Cholera, Ziom i Cholera, gdzie jesteście, zgłoście się, okay?

– Hm, brzmi jak ta, o której myślisz, więc czemu nie podniesiesz radiotelefonu?

Było to nagłe wezwanie z Shade Creek. Tanatoidzi. Na tym kawałku drogi 101 ciężarówka Z & C Holowanie była niemal sama w swym powołaniu odholowywania pojazdów należących do Tanatoidów, a co za tym idzie wysłuchiwanie tańskich opowieści. Dzisiejsza zdobycz zjechała z drogi na szczycie wzgórza i zawisała w koronie jabłonki w sadzie poniżej.

– Dobrze jedziemy? – Ziom udał, że potrzebuje potwierdzenia współnika.

– Ty jesteś kierowcą, ty mi powiedz.

Więc Ziom sięgnął teatralnym gestem po mapę okręgu ukrytą w schowku i rozłożył ją strzepnięciem z efektami perkusyjnymi.

– Nic nie widzę. Co to jest? – rzucił po chwili.

– To noc, oto, co to jest, bezmózgu – odrzekł Cholera.

– Czekał, zapalę górne światło, dobra?

– Ha! Masz patrzeć na mapę, to czemu se nie włączysz lampki do mapy?

– Bo włącza się ją głęboko pod deską rozdzielczą, a lampka rzuca nieduży krąg światła i jak chce się w nim coś zobaczyć, to trzeba przesuwając mapę centymetr po centymetrze, więc właśnie dlatego, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, nie włączam lampki do mapy.

– Powiem ci, cholera, czego chcę uniknąć: chcę uniknąć siedzenia w jakiejś pozostającej poza moją kontrolą przestrzeni, na którą pada mniej światła niż na przestrzeń, w której siedzę teraz, rozumiesz, właśnie tego chcę uniknąć, a właśnie to się wydarzy, kiedy włączysz górne światło...

– Dobra, powiedz mi tylko, gdzie jest latarka, okay? Poświecę se latarką, ziom. Gdzie ona jest, nie ma jej tutaj?

– Jest w skrzynce ze sprzętem elektrycznym, tam gdzie być powinna.

– Na pace.

– Jest elektryczna, nie?

To była zwykła sprzeczka rekreacyjna. Prowadzili wspólnie interes już od wielu lat i znali drogi Vinelandu na tyle dobrze, żeby poruszać się nimi w ciemności, co niekiedy musieli robić. Mapy były rekwizytami, kiedy Ziom i Cholera pruli podmiejskimi alejkami, porośniętymi trawą piaszczystymi gościńcami, rozjechanymi błotnistymi koszmarami. Wspinali się po osypiskach, wjeżdżali między drzewa i zgarniali cenne pojazdy, począwszy od pierwszych wytrzymałych porsche, których właściciele wybrali się na terenową przejażdżkę, po eleganckie rybackie vany z kolorowymi malunkami pstrągów i lśniącymi alfanumerycznie nalepkami z kodami wywoławczymi CB Radio. Widzieli w lasach, a szczególnie nad Seventh River, takie rzeczy, o jakich nie dało się mówić na głos w większości przydrożnych knajp, bo mówienie o nich groziło sumarycznym skreśleniem, a także mniej oficjalnymi sankcjami na parkingu.

Zjechali do North Spooner i znaleźli się na River Drive. Kiedy minęli światła Vinelandu, rzeka przybrała dawniejszy kształt i stała się tym, czym była zawsze dla Yuroków – rzeką duchów. Wszystko miało swoją nazwę: miejsca połowów i zastawiania sideł, zbierania żołądzi, skały w rzece, głazy na brzegach, zagajniki i pojedyncze drzewa – każde z własnym imieniem – źródła, sadzawki, łąki, wszystko, co żyje, i wszystko, co ma własnego ducha. Yurokowie nazywali te duchy *woge* – były jak ludzie, tylko mniejsze, i mieszkały tu, zanim przybyli pierwsi ludzie. *Woge* wycofały się przed najazdem. Niektóre odeszły w fizycznej postaci na zawsze, na wschód, przez góry, albo zagnieździły się wszystkie razem w olbrzymich sekwojowych dłubankach i śpiewały unisono pieśni o wywłaszczeniu i ucieczce, zanikające gdzieś na morzu, pełne smutku nawet w uszach nowo przybyłych, zagubione na wieki. Inne *woge*, które nie zdołały uciec, ukryły się w ustroniach; zachowały

świadomość, wspominały lepsze czasy, smuciły się, a wraz ze zmianą pór roku doświadczały i innych uczuć, kiedy pokolenia Yuroków siadywały na nich, łowiły w nich ryby, odpoczywały w ich cieniu, podczas gdy one uczyły się kochać i wrastać głębiej w niuanse wiatru i światła, trzęsień ziemi i zaćmień Słońca oraz potężnych śnieżyc nadciągających z rykiem jedna po drugiej znad zatoki Alaska.

Dla Yuroków, którzy zawsze uznawali tę rzekę za wyjątkową, rejs od oceanu w górę nurtu był wyprawą przez królestwo poza doczesnością. Mgielne zjawy szybowwały ponad zatoczkami, ociekające wodą paprocie pęczniały w wąwozach, tak że niemal się to słyszało, na poły niewidzialne ptaki śpiewały wręcz ludzkimi głosami, a szlaki zapadały się bez ostrzeżenia w głąb ziemi ku Tsorrek, królestwu umarłych. Ziom i Cholera, którzy – jako chłopcy z miasta – powinni byli bać się tego wszystkiego, traktowali okolicę w taki sposób, jakby sami wracali z wygnania. Hipisi, z którymi rozmawiali, mówili, że to reinkarnacja – że to wybrzeże, ten dział wód, są święte i magiczne, i że *woge* były w gruncie rzeczy morświnami, które zostawiły swój świat ludziom, których dłonie mają taką samą pięciopalczystą budowę kostną jak ich płetwy, a potem wskoczyły do oceanu tuż za Patrick's Point w Humboldt i czekają w nim na to, jak ludzie poradzą sobie ze światem. Jeśli wszystko spierdolimy, konkludował pewien lokalny informator, wrócą i nauczą nas, jak trzeba żyć, ocalą nas...

Sad, którego szukali Ziom i Cholera, leżał po drugiej stronie Shade Creek, co oznaczało trudną jak zwykle przeprawę po ruinach starego, wzniesionego przez WPA¹³ mostu, na którym jakimś cudem zawsze był czynny przynajmniej jeden pas ruchu. Czasem jednak znikwały całe przęsła, jakby spłynęły w dół rzeki na pontonach – wówczas konieczne były objazdy, których kierunek wskazywały napisy sporządzone sprayem na murach albo na starych okiennicach ze sklejki, sporządzone taką samą najeżoną czcionką, jak graffiti młodzieżowych gangów. Przy moście przez całą dobę pracowały na okrągło ekipy budowlane.

Tej nocy Ziom i Cholera czekali, aż ciężarówka wyładowana pogruchotanym betonem i skorodowanymi prętami wytoczy się, zarzucając tyłem, po własnych ubitych śladach. Tu i tam widzieli ludzi w polowych mundurach, a czasem w hełmach: stali w niewielkich grupkach i należeli, być może, do Korpusu Inżynieryjnego, choć nikt nie wiedział tego na pewno. Ludzie ci nie reagowali na przejeżdżających, nie kierowali ruchem. Kierowcy sami musieli ocenić, czy da się jechać, czy nie. Cholera przemieszczał wóz centymetr po centymetrze, omijając wielkie trójkątne wyrwy w jezdni, przez które widać było ostry splot prętów zbrojeniowych, a pod nim granatową o północy rzekę. Roboty trwały tu nieprzerwanie od powodzi w 1964 roku, kiedy wzburzona Seventh zabrała część mostu. Przez te wszystkie lata na tle nieba majaczyła połamana sylwetka przedwojennej konstrukcji.

Przeprawiwszy się bezpiecznie na drugą stronę, włączyli wszystkie światła, wrzucili do odtwarzacza kasetę Bernarda Herrmanna i pojechali Shade Creek Valley w rytm nocnego przeboju kierowców – muzyki z *Psychozy* (1960) – aż trafili na sad oraz, za pomocą szperaczy, na toyotę zawieszoną w koronie jabłonki. Kiedy się jej przyglądali, otworzyły się przednie drzwi, przez które zaczął wysiadać kierowca, co spowodowało szaloną oscylację auta, strącającą jabłka na ziemię.

– Lepiej się pan nie ruszaj, póki nie znajdziemy drabiny! – zawołał Ziom.

– To bez znaczenia, jestem Tanatoidem.

– Jesteśmy od tego ubezpieczeni. Co z autem?

– Zwyczajne. – Co oznaczało, że toyota jest dającym się dotknąć, trójwymiarowym pojazdem, który nie zniknie w niewytłumaczalny sposób gdzieś między Shade Creek a parkingiem Z & C, tak jak zdarzało się to z innymi czterośladowymi Tanatoidami – samochodami, które ze względu na drogową karmę, ku wielkiej irytacji współników, wracały z Totalności. Znaleźli w szopie ogrodową drabinę, po której zszedł na ziemię kierowca – klasyczny model z końca lat sześćdziesiątych: długie włosy, wielki jak koszykarski

skrzydłowy, ale bez poczucia humoru. – No cóż, jestem pielgrzymem, który potrzebował dziesięciu lat waszego czasu, żeby tutaj dotrzeć – przedstawił się. – Tam, skąd przybywam, aż huczy o tym karmicznym wyrównywaczu pracującym w Shade Creek. Że niby ma rezultaty... Przyjechałem go prosić, żeby zajął się moją sprawą.

– Znamy go, cholera. Jak chcesz, podrzucimy cię do miasta.

– *Sate...* wasz znajomy... jest gdzieś w okolicy? – zapytał teraz Takeszi, mrużąc oczy i rozglądając się po sali konferencyjnej.

– Nie – odrzekł nieco nerwowo Ziom. – Pomyśleliśmy, że najpierw sprawdzimy, jak się sprawy mają po waszej stronie.

– Bo jemu nie może przejść przez gardło, że ty go znasz, DL – dodał Cholera. – Bo zastrzelili go w zaułku przy plaży w powiecie Trasero jakieś dziesięć lat temu.

Znała go.

– O – znała go doskonale – kurwa. – Więc nadleciała pierwsza gąska, z tych stad, od których wkrótce pociemnieje niebo, szukająca Domu i Grzędy, prawdopodobnie już nieistniejących.

– Weed Atman! Cóż... Nieszczęsny pojebany Weed. Chyba powinnam wiedzieć, że przyjdzie.

– Wspomniał o jakiejś starej koleżance, z którą urzędowałaś – dorzucił Cholera.

– Chyba wciąż jest na nią zły i wini ją za to, co się stało – uzupełnił Ziom.

Prairie usłyszała to z ust DL w zalanej słońcem kuchni Samotni Kunoichi.

– Mama zabiła jakiegoś faceta? – Zadrżała na całym ciele, niemal z podniecenia, ale przede wszystkim ze strachu.

– Weed powiedział, że ktoś inny trzymał broń, ale że ona to ustawiła.

– Ale dlaczego? Kim on był?

– Wszyscyśmy trochę ze sobą urzędowali przez pewien czas w Trasero, w College of the Surf. Weed był kimś w rodzaju studenckiego rewolucjonisty. Ale krążyły plotki, że pracuje też dla drugiej strony.

– Pytałaś go, po której był stronie? Mógł ci to przecież powiedzieć, prawda? Nie miał już powodu, żeby kłamać.

Takeshi parsknął śmiechem. A DL odpowiedziała:

– To nie takie proste... ale widzę, że to dla ciebie ważne. Choć naprawdę ważne nie jest to, po której stronie był Weed, ale ona...

– Bardzo się starasz, żeby czegoś mi nie powiedzieć, DL. Najpierw mówisz, że uciekła od taty z tym federalnym gównojadem, a teraz, że pomogła zabić jakiegoś gościa. Czy wszyscy o tym wiedzą, a ja jestem małym dzieckiem, któremu nie mówi się prawdy?

– Porozmawiaj o tym z ojcem i Sashą. Mówię ci o tym tylko dlatego, że jeśli dodasz dwa do dwóch, to...

– Wychodzi mama?

– Ona pracowała dla Brocka, Prairie.

Małe dziecko potrzebowało tylko trochę więcej niż chwili, żeby krzyknąć:

– Taa?! Nosila odznakę?! Identyfikator?!

– Była niezależną tajną współpracownicą. Wszyscy oni byli, są... Dzięki temu Człowiek mógł się ich wyprzeć w razie wpadki.

– Po co mi o tym mówisz? Kogo to obchodzi?

– Brock zajął się teraz tobą, więc powinnaś wiedzieć, Prairie... Już czas.

– Okay, ale daj mi sekundę na uporządkowanie tego wszystkiego, a poza tym muszę jeszcze nakryć do kolacji. Czy któreś z was wie, co kryje w sobie pstrokaty bochenek?

DL pozwoliła jej zmienić temat.

– Myślałam, że Agencja Ochrony Środowiska już je skonfiskowała.

Dla Prairie była to ostatnia szansa. Wszystkie pstrokate bochenki przechowywane w odległym kącie chłodni zaczęły nagle świecić łagodną błękitnozieloną poświatą, niczym nocne lampki dla reszty zamrożonej żywności, bo nie były – jak kiedyś podejrzewano – martwe i twarde jak kamień, wcale nie, tylko spały tak jakoś dziwnie... al... albo tylko udawały, że śpią... fuuuj! Prairie, jak wszyscy inni zatrudnieni w kuchni, miała

pewien próg wytrzymałości, jeśli chodzi o długość czasu spędzanego w złowrogiej chłodni – po jego przekroczeniu nie tylko termometryczny chłód wyganiał ją z łomoczącym sercem do mniej nawiedzonego świata.

– Okay, potrzebna mi ekipa do wejścia, wynosimy wszystkie pstrokate bochenki, a potem będziemy głosować, czy da się je zjeść... – Podnosząc głos, dodała: – Więc bądźcie w pogotowiu, czekajcie odzewu, albo poznacie siłę mego gniewu! W porządku! Gerhard, siostrzo Mary Shirelle, pani Lo Finto, bliźniaki, ruszamy ku światłu, chłopaki! – I ruszyli w rytm nadawanej z radia muzyki, którą był akurat temat z *Ghostbusters* (1984). Ale nie minęła chwila, gdy wybuchł spór o moralne przesłanki zakłócania mikrośrodowiska chłodni.

– Bioluminescencja to życie! – oznajmiły bliźniaki, przekrzykując się pospiesznie. – A każde życie jest święte!

– Nigdy nie jedzcie niczego, co świeci – przestrzegła pani Lo Finto, włoska matrona, która nie tylko nie potrafiła gotować, ale cierpiała na kliniczną kuczynofobię, czyli lęk przed kuchniami, a jej przydział tutaj był elementem terapii. Stali w mroźnej chłodni pod marginalnie świecącą żarówką, której poświatę uzupełniały pstrokate bochenki rzucające turkusowe, mieniące się naprzemiennie zorze. W końcu wynieśli próbki do kuchni.

– W świetle dnia wcale nie wyglądają źle – orzekł Gerhard, kiedy podczas przerwy w pracy wszyscy zebrali się nad zagadkowym wiktuałem.

– Bo nie widzisz, że świecą, matole.

– Wśród plemion Azji Środkowej istnieje cała tradycja spożywania świecącej pleśni, co ma wymiar praktyki duchowej...

– Ale pleśń też ma swoje prawa!

Prairie już po kilku sekundach zorientowała się, że debata może trwać w nieskończoność, a i tak nie przyniesie żadnych efektów i okaże się zupełnie nieuduchowioną stratą czasu, i właśnie wtedy poczuła znajomy dotyk. Odwróciła się i ujrzała przed sobą DL w pełnym rynsztunku, z torbą; ewidentnie

dokądś się spieszyła. Wyglądała tak, jakby zaczął bić dzwon na alarm.

– Zabierz plecak. *Me gotta go*, jak śpiewali Kingsmeni. I ty też.

– Ale... – Prairie wskazała kuchnię, twarze, które już dobrze знаła, jeszcze niezaplanowane posiłki.

Lecz wszystko to było jak stara taśma wideo w porównaniu z jasnym przekazem DL. Kiedy ruszyły na zewnątrz pod porośniętą pachnącymi pnączami kolumnadą, usłyszała łomot helikopterowych wirników, więcej niż jednego; wisiały gdzieś nisko w jednym miejscu, czekały. Co to, kurwa, znaczy?

Wpadły biegiem do głównego budynku, ruszyły w głąb korytarzami i w dół po dudniących metalowych schodach. Takeszi dołączył do nich przed piwniczką z winem – z przynajmniej czterech kieszeni garnituru sterczały mu butelki.

– Szabrujesz? – DL przystanęła, żeby zadać to pytanie.

– Parę rzadkich roczników. Czas... nagli!

– Niezdatne do picia, oczywiście, a złodziejstwo to twój podstawowy problem, prawda, Takeszi?

– Ale sama zobacz, Piegusku! Spójrz: Louis Martini, rocznik siedemdziesiąty pierwszy, *ne?* Legenda! A ta... to jakieś francuskie wino!

– Hej, chłopaki...

– Bramy zaryglowane – zameldowała DL. – Wytrzymają z półtorej minuty, zanim przetną rygle. W powietrzu mamy trzy huey cobry, wyrzutnie rakiet, wyrzutnie granatów, kartaczownice Gatlinga i całą resztę.

Stanęli przed wielką kluzą windy towarowej, weszli do środka i pomknęli w dół do piekła z zatykającą uszy chyżością; stare jarzeniówki buczały i mrugały, a winda w ostatniej, zda się, chwili zahamowała i zatrzymała się z grzmotem. Znaleźli się w tunelu, głęboko pod ziemią. Szli jakieś osiemset metrów pod dnem strumienia, a potem lekko w górę. Wyszli w jaskrawe światło dnia, słysząc w oddali odgłosy najeżdżającej Samotnie zmotoryzowanej brygady, wirniki helikopterów, a wszystko to

mieszało się z przemysłowym rykiem, który równie dobrze mógł pochodzić z placu budowy kolejnych, wznoszonych przez deweloperów apartamentowców.

Odnaleźli trans-ama pod siatką kamuflażu wśród olch i wyjechali starymi szlakami drwali, zygzakiem ku I-5. Takeshi sprawdzał mapy, a DL prowadziła, śpiewając:

*Och, wal łbem w ścianę, ty zbóju,
I nie męcz dłużej pipy!
Myślisz, że jestem po chuju,
O, tak! Nie masz już pyty!*

a Prairie skuliła się z tyłu, ale trzymała się mocno, żałując, że nie mogą się obudzić w jakimś lepszym miejscu i być trojgiem zupełnie innych ludzi, na przykład jakąś rodziną w rodzinnym samochodzie, z problemami, które da się rozwiązać w pół godziny sypania dowcipami w przerwie na reklamy, jadącą na fajny weekend na jakiejś odległej plaży.

Popędzili z rykiem do LA; wrócili do stodoły na poły niewidzialni i – o ile dało się wyczuć – niedostrzeżeni. Manuel i jego drużyna autoalchemików z Lakierni & Blacharni Profil Zero w Santa Rosa wymyślili chroniony patentem lakier o krystalicznej mikrostrukturze i zmiennym współczynniku załamania światła, więc nawet gdyby ich śledzono, trans-am z łatwością mógłby uchodzić, wyjąwszy opalizujące krawędzie, za pustą drogę.

Jeśli Prairie spodziewała się, że trafi do malowniczo zapuszczonego biura prywatnego detektywa ze starych filmów, musiała przeżyć rozczarowanie. Kantorek Fumimoty mieścił się w typowym dla LA kompleksie biurowo-handlowym, obejmującym wieżowce wzniesione na kawałku terenów dawnego studia filmowego. Przestrzeń oddana niegdyś we władanie fabrykantom snów została, jak uważano, odzyskana przez Macherów Rzeczywistości. Kręcono tu mnóstwo starych westernów – niektóre z nich oglądała w sobotnie poranki w Pudle – lecz tam, gdzie ongiś toczyły się dyliżansy i dudniły kopyta pościgów, obecnie słychać było romantyczne szepty maklerów sączących do mikrotelefonów wielkości drażetek M&M dobrą nowinę o emisjach i transakcjach terminowych, widać było ubrane szpanersko tłumy kupujące i siadające do lunchu na wyłożonych płytkami patio, czuło się swąd interesów dobijanych wysoko w kancelariach prawnych i bezprawnych, dzielących siedziby z miejskimi jastrzębiami polującymi na gołębie w rozkwitających pryzmatach słońca i cienia poniżej.

Prairie wciąż nie miała pojęcia, co może oznaczać „karmiczne wyrównywanie”, ale po raz pierwszy wydało się jej,

że Takeszi, nawet jeśli nie był tym, kim mówił, że jest, nie był przynajmniej łamaczem nosów i wydlubycaczem oczu, na jakiego wyglądał. W jego biurze stało mnóstwo terminali komputerowych, faksów, nadających na wszystkich długościach fal radiostacji i radioodbiorników, nie wspominając już o porzucanych wszędzie komponentach, obwodach scalonych, soczewkach laserowych, napędach, dyskach, bateriach i narzędziach testujących...

– Haj-tekowe niebo – powiedziała z otwartymi szeroko oczami.

– To twój pierwszy błąd – mruknęła DL. – Większość z tych gadżetów to rekwizyty poprawiające wizerunek tego moralnie umoczonego osobnika.

– Błagam... – odezwał się Takeszi, wymachując pilotem wielkości dłoni. – Czym możemy cię poczęstować? – Do gabinetu wjechała niewielka zrobotyzowana lodówka z dwoma okrągłymi ekranikami, na których widać było tekturowe, poruszające się i mrugające oczy; poniżej nich znajdował się szeroko uśmiechnięty głośnik, z którego płynęła syntezytorowa składanka lodówkowych melodii, w tym *Winter Wonderland*, *Let It Snow* i *Cold, Cold Heart*. Chłodziarka stanęła przed Prairie, mrucząc i prężąc elektryczne silniczki, i wyrecytowała całą swoją zawartość.

– Powiedziałaś „designerski tonic”? Co to jest?

– Kolejny etap filozofii marketingu z połowy lat osiemdziesiątych – odpowiedziała lodówka na kółkach. – W tej chwili mam Billa Blassa, Azzedine’a, Alaïę, Yves’a St. Laurenta...

– Wystarczy! – zawołała nieco przerażona Prairie. – Poproszę o... eee... – I oto „puuff” ukazał się stylowy tonic, zimny jak kamień, w butelce z logo YSL w modnych w erze Reagana kolorach złotym i srebrnym. Jeden z ekraników puścił do niej tekturowe oko, a z głośnika wysunął się lśniący różowy jęzor z jakiegoś miękkiego galaretowatego plastiku.

– Coś jeszcze? – zapytała lodówka głosem, któremu Prairie nie ufała, nawet zanim zdążyła go usłyszeć.

– Dzięki, Raoul – rzuciła DL. – Damy ci znać, jeśli czegoś nam zabraknie.

Zamknęły się kartonowe oczy, a Raoul wrócił do kącika, w którym się ładował, grając po drodze *I'll See You Again* i *Drink, Drink, Drink*.

– Wehikuł czasu jest w naprawie! – zawołał radośnie Takeszi. – Gdyby nie to... wybralibyśmy się w podróż.

– Musiałam zezłomować komorę tachionową – wyjaśniła DL.
– Trafił ją szlag dokładnie dziesięć sekund po wygaśnięciu gwarancji i właśnie dlatego urządzenie to nosi nazwę „wehikułu czasu”.

Ale Prairie już siedziała ze szklanym wzrokiem przed jednym z ekranów.

– Gdybym chciała się dowiedzieć, gdzie jest teraz... powiedzmy, w tej sekundzie...

DL pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Nie rozumiem... Ta kobieta...

– DL-san... – Takeszi uniósł brwi.

– Okay, dokończ. – Prairie wstała. – Ta kobieta uciekła ode mnie. Prawdopodobnie do Brocka Vonda. Wszystko na to wskazuje. Jestem ostatnią osobą, z którą chce się spotkać. Czy coś pominęłam?

– Mnóstwo. Na przykład twoich kumpli w bojowych cobrach, którzy niedawno weszli do gry. Spotkasz ją, spotkasz i ich.

– No właśnie! – krzyknął Takeszi, podbiegł do okna i zerknął nerwowo na niebo. – Po co w ogóle... zwracamy sobie głowę tym bachorrrem. On jest niebezpieczny!

DL wyciągnęła rękę i zaczesła kosmyk włosów za ucho Prairie.

– Czy wystarczy ci... obraz, póki jej nie spotkasz? W tej chwili nie mogę zrobić nic więcej.

– Nie mam innego wyboru. Biorę to, co dają – szepnęła Prairie, nie podnosząc głowy, bo DL wpatrywała się w nią, więc gdyby spojrzała jej w oczy, wszystko wyszłoby na jaw.

Ditzah Pisk Feldman mieszkała w piętrowym domu w hiszpańskim stylu, w ładnym ślepym zaułku po lepszej

stronie Ventura Boulevard, w otoczeniu sumaków i jakarand, oraz stojącego w garażu T-Birda. Była rozwiedziona i niezależna finansowo, a do pracy miała zaledwie pół godziny. Córki spędzały lato z ojcem. Kiedy DL poznała ją w Berkeley, Ditzah i jej siostra Zipi chodziły w wojskowych kurtkach, ufryzowane w pasujące do nich, przesadnie duże żydowskie afro, malowały sprayem ZMIAŹDŹYĆ PAŃSTWO na ścianach budynków publicznych i przechowywały wybuchowy plastik w pojemnikach Tupperware trzymany w zamrażalniku.

Udawały montażystki filmowe – dowiedziała się Prairie od DL – ale w rzeczywistości były anarchistycznymi bombiarzkami.

Tego wieczoru Ditzah wyglądała jak przeciętna mama z przedmieść, choć równie dobrze mogła przecież udawać. Piła sangrię i miała okulary w modnych oprawkach, a do tego luźną sukienkę w papugi.

Właśnie rozpoczynała się pora największej oglądalności, lecz na dworze było jeszcze widno, w koronach drzew śpiewały głośno ptaki na tle odległego szumu betonowych fal autostrady. Ditzah poprowadziła je przez patio do warsztatu na tyłach, gdzie stał stół montażowy Movieola i wszędzie wałała się szesnastomilimetrowa taśma filmowa, z której część była nawinięta na szpulę i szpulki, część leżała w pociętych skrawkach, a reszta spoczywała w blaszanych skrzynkach w stalowych szafkach. Ta właśnie reszta okazała się archiwum 24k/s – partyzanckiej spółdzielni filmowej.

W tamtych czasach jeździli razem po kraju w nierzucającym się w oczy, niezbyt zwartym konwoju starych sedanów średniej wielkości, pick-upów bez kempingowych nadbudówek, furgonetki Econoline na sprzęt oraz czarnego, pozbawionego chromu, ale i tak kopiącego po jajach sting raya, który służył za szybki wóz patrolowy. Łączność między pojazdami utrzymywano dzięki CB Radio, które wciąż było nowością. Jeździli, szukając kłopotów, i znajdowali je, filmując, a potem szybko ukrywając w bezpiecznym miejscu dowody na to, czego byli świadkami. Wierzyli w odkrywczy i niszczący potencjał zbliżeń. Kiedy władza korumpuje, świadectwa zepsucia

pojawiają się na najczulszym instrumencie pamięci – ludzkiej twarzy. Kto będzie w stanie znieść światło? Który z widzów uwierzy w wojnę, system, niezliczone kłamstwa o amerykańskiej wolności, widząc policyjne zdjęcia sprzedajnych gąb? Słyszac zsynchronizowane głosy powtarzające te same formuły, wymijająco, bez serca, w oderwaniu od tego, czym kiedyś były za sprawą obietnic, które nigdy się nie spełnią?

– Nigdy? – zapytał raz dziennikarz lokalnej stacji telewizyjnej gdzieś w San Joaquin.

I oto pojawia się filmowana w kontrujęciu twarz Frenesi Gates. Prairie poczuła, że obie starsze kobiety poruszyły się na krzesłach. Oczy Frenesi, nawet na starej taśmie ECO, koloryzowały kadr uparcie niezniszczalnym błękitem.

– Nigdy – padła odpowiedź – bo zbyt wielu z nas już wie, jak trzymać za słowo.

Prairie wpatrywała się z napięciem w ekran.

– No cóż, brzmisz jak korespondent wojenny.

– Nie mamy nic do stracenia, więc możemy filmować bitwy.

– Ale... czy to nie jest zbyt niebezpieczne?

– Hm, na krótką metę... – odpowiedziała z namysłem Frenesi. – Ale kiedy patrzy się na dziejącą się niesprawiedliwość i ignoruje się ją, jak twoja ekipa, która zignorowała represje wymierzone w robotników rolnych próbujących zakładać związki w tym okręgu, to tego rodzaju bezczynność staje się na dłuższą metę bardziej „niebezpieczna”, nie sądzisz? – mówi świadoma obiektywu utrwalającego jej twarz.

Z kolei DL – która podchodziła do życia w 24k/s z chłodnym zmysłem praktycznym – trzymała się jak najdalej od kamer. Kiedy się odzywała, mówiła wyłącznie o taktyce i planach, niemal nigdy o polityce, a jeśli w ogóle, to tyle, ile było trzeba. Dbała o to, żeby taśma zawsze mogła się kręcić, przeprowadzała zwiad w nowych plenerach, wyznaczała w nich miejsca spotkań i drogi ewakuacji, a choć wołała unikać glin i ich sympatyków, nie była od tego, by wozic łom pod fotelem kierowcy. Kiedy chciano ich aresztować, DL

z konieczności, jako szef ochrony ekipy, zostawała z tyłu i opóźniała pościg.

– Tamtego dnia Sledge wwiózł nas prosto w antynarkotykowy kocioł. – Ditzah zachichotała. – Palłam z Zipi jakieś gówno, które ktoś zamarynował w DMT, nie potrafiłam skupić myśli, bez przerwy gdzieś odchodziłyśmy i musieliście nas szukać...

– Myślałam, że to był hasz w gorącym karmelowym deserze lodowym.

– Nie, to było w Gallup, ten gorący lodowy deser...

– Hm... – Prairie wskazała ekran. – A kim są ci ludzie?

Kamera powoli przesuwiała się po twarzach ludzi w składzie z tak dawnych czasów, że ani DL, ani Ditzah go nie pamiętały. Kiedy się na nich patrzyło, przypominali zupełnie przypadkową zbieraninę, co po części było prawdą, bo zawsze ktoś przychodził albo odchodził: niecierpliwi szwenkrzy, miłośnicy starego kina, dywersanci i prowokatorzy różnej politycznej maści. Ale jądro generalnie nie ulegało zmianie i obejmowało między innymi dwie genialne montażystki: Ditzah i Zipi Piskówny, które wychowały się w Nowym Jorku i w zasadzie, mimo geograficznych relokacji, nigdy mentalnie nie opuściły Manhattanu. W ich oczach jedyne sens Kalifornii sprowadzał się do milionów rozczarowań, że ten stan nie był Nowym Jorkiem.

– Magnin's – Zipi uśmiechnęła się ponuro – ujdzie jako centrum handlowe gdzieś, powiedzmy, na Long Island, bo jest tam niezła toaleta dla pań, ale, błagam, nie nazywajcie tego reprezentacyjną galerią!

Ditzah narzekała na jedzenie:

– Spróbuj znaleźć tu coś duńskiego, gdziekolwiek!

Ludzie z Zachodniego Wybrzeża byli według nich nieodmiennie „chłodni i zdystansowani”, tak jak ich mieszkanie na Manhattanie było nieodmiennie „przyjazne i ciepłe”.

To zawsze bawiło pozostałych.

– Jaja sobie robicie? – parsknął kiedyś Howie, który zajmował się papierkową robotą. – Byłem raz u siostry na

Manhattanie. Zamiast w oczy, patrzą ci ciągle na dupę, maleńka.

– Nie należymy do tego gatunku ludzi, którzy zamykają się we wnętrzach aut – oświadczyła Zipi. – A nasze psy i koty nigdy nie chodziły do psychoanalityka, i z całą pewnością nie wychodzimy z wody, żeby pieprzyć się z kimś na plaży, a następnie pobiec truchtem dalej, nie zostawiając nawet numeru telefonu. – Co rzeczywiście przydarzyło się Zipi podczas pierwszego, czy, jak kto woli, zapoznawczego weekendu dziewcząt na Zachodnim Wybrzeżu, a wydarzenie to, pominąwszy jego nadprzyrodzony wymiar, wyrobiło u obu siostr pewien stosunek do społeczności surferów, której typowym przykładem – ze względu na swój ksantochroidalny wygląd – był według nich Howie.

Przyglądanie się im przy pracy było prawdziwą ucztą dla oczu radujących się pokazem wdzięku pozbawionego głębszej filozofii. Zipi montowała za pomocą paznokci i skocza, Ditzah preferowała zęby i spinacze do papieru, a kiedy obie zasiadały za movieolą, rzadko która z sióstr spóźniała się bardziej niż o klatkę. Przy pracy paliły jednego papierosa za drugim, włączały dwa, a nawet trzy odbiorniki telewizyjne, z których każdy nadawał inny kanał, słuchały co bardziej psychodelicznego rock and rolla w radiu i w tak, rzecz by można, zrytmizowanym środowisku cięły i kleiły. Kiedy Mirage – astrołożka spółdzielni – dowiedziała się, że obie są Bliźniętami, zaczęła stawiać im codzienne horoskopy. Dzięki czemu nauczyły się wstawać o bardzo dziwnych porach, a podczas nowiu w ogóle nie pracowały.

Frenesi i Piskówny przejęły to, co zostało z Filmowego Kolektywu „Śmierć Nihilistycznej Świni”, który działał w Berkeley i był z góry skazaną na porażkę próbą wprowadzenia w życie metafory „kamery jako oręza”. Majątek kolektywu obejmował korpusy kamer, obiektywy, światła i stelaże do świateł, movieolę, hydrauliczny statyw, całą lodówkę ECO oraz – przynajmniej początkowo – co bardziej uparte resztki ekipy kolektywu, które zadbały o to, by

w manifeście 24k/s znalazły się niektóre ze starych haseł: „Kamera to pistolet. Ujęcie jest jak wykonany wyrok śmierci. Zebrane razem ujęcia są fundamentem życia po śmierci i Sądu. Będziemy architektami sprawiedliwego Piekła dla faszystowskich świń. Śmierć wszystkiemu, co chrumka!”, które dla wielu – w tym dla Mirage upierającej się, że świnię są fajne, fajniejsze w gruncie rzeczy od ludzi nazywanych „świniami” – były zbyt radykalne.

– A „kiepy”? – zaproponował Sledge Poteet.

– Kiepy są wporzo – rzucił Howie z kiepem w ustach.

Kriszna, kobieta godna zaufania, zastrzegła, że każde życie, nawet życie trawy, jest święte.

– Chwila! – wrzasnął jeden z pierwotnych zwolenników śmierci świń. – Ta gadanina podważa podwaliny całej naszej koncepcji, która mówi o strzelaniu do ludzi, co nie?

– Naprawdę? Spod jakiego jesteś znaku, człowieka? – chciał wiedzieć Howie.

– Panny.

– To pasuje.

– Znakizm jest gorszy od rasizmu! – krzyknęła Mirage.

– Gorszy od seksizmu – dodały unisono Piskówny.

– Panienci, panienci – zagrzmiał Sledge, gestykułując grzebykiem do afro, a Howie, z płonąącym wzrokiem, wyciągnął na znak pokoju rękę z tłącą się złocistą kolumbią.

„Spoko, wszyscy”, poradziła Frenesi, która nie tyle przewodniczyła zgromadzeniu, ile jak zwykle starała się trzymać z dala od sporów. Ta ekipa nie miała anarchistycznej fantazji. Kiedy dołączyła do niej DL, stworzyli wraz ze Sledge’em – z którym DL dzieliła szacunek dla oświecenia poprzez kopy – skrzydło realistów w 24k/s, przeciwstawiające się często niebezpiecznie nieobecny metafizykom, takim jak Mirage i Howie. Frenesi i Piskówny zaludniały centrum, a zadanie „uszcześliwiania” wszystkich przypadło w udziale Krisznie. Kiedy, na przykład, Frenesi wracała z kilkoma taśmami przedstawiającymi cierpiące na dysrytmie młode kalifornijskie kobiety tańczące na jakimś zgromadzeniu, Zipi

i Ditzah wpadały we wściekłość, bo zdawały sobie sprawę z niemożliwości dopasowania tych hipisowskich dzid do jakiegokolwiek filmowego tempa („Niepotrzebne mi takie tsuris!”, „Cymesy też nie!”), natomiast Kriszna zawsze znajdowała odpowiedni podkład muzyczny, manipulując po mistrzowsku szybkością odtwarzania nagrań, co więcej, zawsze wiedziała, czego oczekują Piskówny, lepiej od nich samych, dzięki czemu zyskała w spółdzielni sławę największej specjalistki od telepatii. Kiedy tyły pozostawały odkryte, a obowiązki niewykonane, kiedy słowa były zbyt dwuznaczne, Kriszna prowadziła wszystkich do łazienki i służyła każdemu pomocą terapeutyczną tak długo, jak było trzeba. Bez niej, uznała Ditzah, patrząc porozumiewawczo na DL, co nie umknęło uwadze Prairie, wszystko rozpadłoby się znacznie wcześniej.

Wieczór i film toczyły się dalej szpula po szpuli, zabierając Prairie w podróż tam i z powrotem po starej dobrej Ameryce, której nie pamiętała, której nie widziała – jeśli nie liczyć urywkowych klipów w Pudle, oddających klimat epoki, czy też odległych nawiązań w powtórkach seriali *Ożeniłem się z czarownicą* albo *Banda Bradych*. Teraz miała przed sobą tysiące minispódniczek, drucianych okularów, paciorków miłości oraz hipisów wymachujących kutasami, psy po LSD i niezliczone zespoły rockandrollowe próbujące w kółko jeden i ten sam numer, co było dosyć nieznośne. Strajkujący walczyli z łamistrajkami i policją pod płotem na między jasnozielonego pierzastego pola karczochów, a poprzez kadr płynęły burzowe chmury.

Stanowa policja eksmitowała członków komuny w Teksasie, bijąc chłopaków policyjnymi packami, łapiąc skute dziewczyny za cipy, rozdając klapsy dzieciom i wybijając trzodę – Prairie zmuszała się, żeby to oglądać, oddychając miarowo. Słońca wschodziły nad polami i jasnymi koszulami zbieraczy, w oddali nieruchome zarysy autobusów i przenośnych toalet na przyczepach; świeciły bezlitośnie ponad masową kremacją wyhodowanej w Ameryce trawy, kiedy płomienie odkształcały

lekką na pomarańczowo światło dnia, i zachodziły nad szkolnymi i uniwersyteckimi kampusami zamienianymi na wojskowe parkingi rzucające oleiste cienie. Na obrazach tych było niewiele współczucia, a jeśli, to przypadkowo: podświetlony od tyłu pot na przedramieniu gwardzisty wymachującego strzelbą na demonstranta, zbliżenie twarzy robotnika rolnego mówiące wszystko o tym, czego nie mógł powiedzieć on sam, zabłąkane panoramy łąk i zachodów słońca – za mało, by nie widzieć i nie słyszeć tego, co, chcąc, nie chcąc, implikował film.

W pewnym momencie Prairie pojęła, że osobą trzymającą kamerę była w większości przypadków jej mama, więc jeśli zdoła opróżnić głowę z myśli, będzie mogła chłonąć, będzie mogła stać się warunkowo Frenesi, patrzeć jej wzrokiem, czuć to co ona, kiedy kadr drżał ze zmęczenia lub mdłości jak całe ciało operatorki, jak jej wybierający ujęcie umysł i wola – żeby znaleźć się tam, gdzie była, załadować taśmę i kręcić. Prairie unosiła się w powietrzu w upiornym świetle od przodu, jakby Frenesi umarła, ale nie do końca, jakby znalazła się w więzieniu o osłabionym rygorze, gdzie możliwe są odwiedziny za sprawą projektora i ekranu. Jakby dzięki następnej rolce, albo jeszcze jednej, mogła znaleźć sposób, jakikolwiek sposób, żeby do niej przemówić...

Nagle obie kobiety krzyknęły „O kurwa!” i roześmiały się, choć nie wydarzyło się nic śmiesznego. Kadr przedstawiał sądowy korytarz gdzieś na prowincji i małego człowieka o sprężystym kroku, w garniturze, przechodzącego przez ekran z lewej na prawą. Ditzah cofnęła film.

– Zgadnij, kto to, Prairie.

– Brock Vond? Możesz zrobić pauzę, zatrzymać kadr?

– Niestety. Kiedyś przeniosłyśmy to na taśmę wideo i mamy duplikaty, ale podzieliłyśmy archiwum, żeby było bezpieczniej, i ja dostałam same filmy. Poczekaj, cofnę ci jeszcze raz tego szabes goja... – Brock zwołał wędrowną ławę przysięgłych w Oregonie, żeby zajęła się propagandą wywrotową w małym wiejskim college’u, a ekipa spółdzielni pojechała tam, żeby

sfilmować postępowanie, przynajmniej tyle, ile się uda, bo Brock zawsze w ostatniej chwili zmieniał sale, wokandy i godziny. Ścigali go w deszczu z sądu do motelu, potem do targowej sali wystawienniczej, college'u i auli w szkole średniej, kina dla zmotoryzowanych i z powrotem do sądu, gdzie Frenesi, nie spodziewając się tam Brocka, chciała skrócić parę fresków namalowanych przez WPA, ukazujących Sprawiedliwość i Postęp, pod warunkiem że uda jej się uchwycić kolory, które pociemniały od czasów Nowego Ładu, i gdzie, obracając się powoli podczas kręcenia panoramicznego obrazu rotundy, ujrzała w wizjerze tego małego człowieczka w beżowym ubraniu, maszerującego ku schodom. Inny operator z jej ekipy zignorowałby go, jako małego zadufanego urzędasza i fiuta. Ale Frenesi zrobiła lekkie zbliżenie twarzy i poszła za nim. Nie wiedziała, kim jest. A może wiedziała.

Filmowała sprawdzonym szesnastomilimetrowym canonem scoopic, nowym, kupionym w Brooks Camera w centrum San Francisco, jako prezent od Sashy, z wbudowanym zoomem, uruchamianym kciukiem wyzwalaczem w końcówce uchwytu oraz wizjerem w kształcie telewizyjnego ekranu, co umożliwiało kadrowanie ujęć do wieczornych wiadomości, choć akurat to ujęcie Brocka wyświetlano na prześcieradle przypiętym pinezkami do motelowej ściany po zasłonięciu szczelnie okien przed subtropikalną poświatą i po zgromadzeniu w pokoju większości ekipy 24k/s, oglądającej w ścisku oregońską kopię roboczą filmu.

– Więc to jest prokurator, hm? – zapytała nieco sennie Zipi Pisk.

– To był prokurator – poprawiła ją spokojnie Kriszna.

– Taa, masz całkiem ładne ujęcie chuja – mruknęła złośliwie DL do przyjaciółki. – Coś jeszcze?

Brock był bardziej fotogeniczny niż przystojny z tym swoim wyniosłym czołem, modnymi ośmiokątnymi oprawkami okularów, fryzurą à la Bobby Kennedy i lekko osmaganą słońcem skórą. Nie widział przesłoniętej scoopikiem twarzy Frenesi, ale nie mógł nie zauważyć jej nóg, gołych, szczupłych

i umięśnionych, bladych w deszczowym świetle, w roznoszącym się po sądzie echu kroków. Czuł, że skupiła się na nim, tylko na nim – przedstawicielu władzy. Skończyła się taśma, cofnęła kciuk, odsłoniła twarz. – Masz mnie – powiedział Vond, obdarzając ją chłopięcym uśmiechem, który, jak mu wmawiano, działał, choć nie zwał z nóg. – Może któregoś dnia ja zdejmę ciebie.

– FBI już mnie zdjęło... idź i sprawdź.

– Och, oni dbają tylko o twarze. A ja chcę czegoś – starał się nie wpatrywać w te niemożliwe do przeoczenia nogi – bardziej rozrywkowego, że tak powiem.

– Może jakiś dramacik... sądowy.

– Bingo. Byłabyś gwiazdą. Wszyscy świetnie by się bawili.

– Brzmi jak kolejny kłamliwy rytuał państwowej degradacji, wielkie dzięki, ale dam sobie spokój.

– Och, nie pozostawiamy ci wyboru. Będziesz musiała przyjść. – Uśmiechał się.

Wysunęła lekko śliczną brodę.

– Nie przyjdę.

– Zmusi cię do tego mężczyzna w mundurze z dużym pistoletem.

Frenesi powinna była dać mu w twarz, zrobić cokolwiek: opuścić teren i trzymać się przez jakiś czas z daleka. Tak powinna wyglądać właściwa procedura. Ale zamiast tego, zastanawiała się, dlaczego włożyła dziś minispódniczkę, a nie bardziej odpowiednie do pogody spodnie.

Jej milczenie w półmroku motelowego pokoju pogłębiało się jak rumieniec.

– To tylko film – powiedziała w końcu. – Światło chyba okay?

– Skurwiel nie jest wart płomyczka z zippo podczas pochmurnej nocy – tak brzmiała opinia Sledge’a Poteeta.

Wszyscy z 24k/s mieli własne zdania na temat światła i dzielili się nimi niemal obsesyjnie. Zebrania w pilnych sprawach kończyły się najczęściej kłótniami poświęconymi światłu, które w gruncie rzeczy stanowiło istotę 24k/s. Howie ze względów oszczędnościowych opowiadał się za używaniem

dostępnych źródeł światła dziennego i elektrycznego, natomiast Frenesi była aktywną orędowniczką wykorzystywania całych zasobów energii i nasycania planów taką ilością światła, jaką tylko uda się wyzwolić z miejscowych elektrowni. W furgonetce ze sprzętem, wśród lamp kwarcowych i reflektorów PAR, spektrometrów, niebieskich filtrów, kabli różnych grubości, stelaży do lamp i drabin, znajdowały się także urządzenia pajęczarskie zaprojektowane i opisane przez Huba Gatesa i dostosowywane do okoliczności przez jego córkę, „młodszą mistrzynię oświetlenia”, jak ją nazywał, przewidziane do wysysania energetycznej krwi faszystowskiego potwora, samego Central Power, bezlitosnego jak tornado czy bomba atomowa, ale – jak odkrywała w snach z tamtego okresu i jak sobie uświadamiała – posiadającego życie i wolę. Często zdarzało się, że wskutek jakiegoś nagłego krótkiego spięcia nocy w nocy, już, już miała zobaczyć Jego twarz, ale zawsze włączała się jej wtedy jawa i posyłała ją, świeżo przebudzoną, ku światu, który powinien był sformatować się na nowo, bardziej niewinnie, lecz który i tak znajdował się pod rządami potwora, nawet jeśli ten był przez pewien czas mniej widzialny.

– Myślisz, że nie wiedzą, że się podpinamy, że nie widzą tego na miernikach, w przepięciach i innych gównach? Któregoś dnia będą na nas czekać – prognozował Sledge.

– Taka karma, Sledge – rzuciła DL.

– Aha, ale to ja będę musiał eksportować ekspresowo wszystkie wasze tyłki z miasta, kiedy to się wydarzy.

Inna wielka i tocząca się nieustannie batalia dotyczyła relacji sztuki filmowej i „prawdziwego życia”. Czy któreś z nich będzie kiedyś musiało umrzeć za kawałek taśmy filmowej? Nawet taki, który nigdy nie zostanie wykorzystany? Albo nawet nie umrzeć, ale odnieść rany czy zostać okaleczonym? Jaki powinien być poziom ponoszonego ryzyka? DL zbywała niektóre spekulacje uśmiechem, jakby zawstydzenia.

– Film to poświęcenie – deklarowała Ditzah Pisk.

– Nie umiera się za jebane cienie – mówił Sledge.

– Dopóki mamy światło – odezwała się bardzo pewna siebie Frenesi – dopóki pompujemy sok, nic nam się nie stanie.

– Doprawdy? Wyciągną ci wtyczkę z dupy.

– Odstrzelą ci światła, człowieku. – Howie zachichotał.

Frenesi wzruszyła ramionami.

– Będzie mniej do noszenia.

Co za dezynwoltura, zważywszy na niebezpieczeństwa, których doświadczali, z pewnością większe od tych, z jakimi mają do czynienia ludzie z Hollywood przez całe lata kariery. Czy naprawdę miała być tak zabobonna, czy jak to nazwać... naiwna?... żeby na tym etapie życia, które sama wybrała, myśleć tylko o sobie, o chronieniu siebie? Czy naprawdę wierzyła, że dopóki prowadzi to życie wewnątrz kadru w kształcie telewizora, wchłaniając wyzwolone promienie halogenowe, nic złego nie może ją spotkać?

Nieoficjalnym sloganem 24k/s było zawołanie Che Guevary: „W walce na śmierć i życie nie ma granic”. Walka nie musi być wielka i dramatyczna, jak bitwa uliczna, a śmierć może nadejść wszędzie tam, gdzie zabierają świadków – wśród cieni rzucających mocny snop światła na rzeczywistość, mocniejszy od tych z elektrowni. To może być tylko jeden gliniarz, jeden wieśniak albo jeden przypadkowy błąd – każdy z członków ekipy godził się z tym, choć na co dzień woleli w to nie wierzyć, nawet wtedy, kiedy ich ciała zaczęły się uczyć języka pałek, armatek wodnych i gazu CZ, a ich podręczna apteczka stała się skarbnicą środków przeciwbólowych, której zazdrościli im motocykliści i producenci płyt z całego Zachodniego Wybrzeża. Ciągłe byli młodzi, wyjątkowi albo, tak jak odpowiadająca za bezpieczeństwo DL, niekiedy irytująco lekkomyślni. Lecz kiedy DL doszła w końcu do wniosku, że najwyższy czas zacząć wyciągać wnioski i czegoś się nauczyć, wydarzyło się to, co się wydarzyło w College of the Surf w okręgu Trasero, i wszyscy znaleźli się po uszy w Potoku Gówna bez zapasowych dróg odwrotu z kampusu. Kiedy przez megafon padła ostatnia oferta poddania się, każda droga, każdy szlak wodny, kanał burzowy i ścieżka rowerowa były już obsadzone przez policję. Odcięto

wszystkie telefony, a posłuszne jak zawsze ekipy telewizyjne trzymały się na bezpieczną nieprzekraczalną odległość. Tego ostatniego wieczoru 24k/s miała wyłączność na relację wydarzeń, pod warunkiem że ktoś z ekipy przeżyje, żeby ją dostarczyć.

Linia krótkiego, acz już legendarnego wybrzeża okręgu Trasero – gdzie fale są tak wysokie, że leżąc na plaży, widzi się przez nie słońce – powtarzała w mniejszej skali wielki łuk między San Diego a Terminal Island, w tym obecność wojskowych rezerwatów, które – jak Camp Pendleton w szerokim świecie – ciągnęły się od oceanu w głąb pustynnego lądu. Na jednym krańcu tutejszej bazy migotały – wciśnięte między wojskową siatkę a morze – jasne łuki i kolumnady, madrony i powyginane od wiatru cyprysy stojącego na wysokim brzegu College of the Surf. Na tle ponurej wojskowej pustaci w tle był to tętniący życiem przyczółek narkotyków, seksu i rock and rolla, a unoszące się nad nim za dnia i w nocy melodie wywrotowej muzyki, której towarzyszyły tamburyny i harmonijki ustne, przedzierały się jak mgła przez ogrodzenie, wędrowały w górę suchych jarów, mijały posterunki anten, białe talerze i maszty, stalowe hangary i trafiały do wyposzczonych, lecz złowrogich uszu wartowników, niczym wrogie odgłosy puszczy na filmach o białych walczących z dzikimi plemionami.

Jak mogło do tego dojść, pozostawało tajemnicą na wszystkich szczeblach dowodzenia, osobliwie tutaj, na granicy dwóch ultrakonserwatywnych okręgów Orange i San Diego, między którymi niczym miasto graniczne wyrósł doprowadzony do ekstremum twór, przyciągając bogatych, gromadzących się wokół pól golfowych i przystani w domach pomalowanych na ten sam kolor co okoliczny grunt, dużych, najwyżej jednopiętrowych, lub ludzi zlatujących samolotami na prywatne lotniska, z których wkrótce mieli jechać nieco dalej,

by wpaść do Dicka Nixona tuż za granicą okręgu w San Clemente, nawet bez uprzedzenia, gdyż większość z nich reprezentowała solidne południowokalifornijskie pieniądze: ropa, budownictwo, film. Zakładano, że College of the Surf stanie się ich własną prywatną politechniką kształcąca tabuny przyszłych pracowników – uczelnią oferującą studia prawnicze, zarządzanie biznesem czy całkiem nowy kierunek informatyczny, i przyjmującą wyłącznie grzecznych i posłusznym studentów o fryzurach i sposobie noszenia się, które nawet Nixon uznawał za nieco drętwe. Było to ostatnie miejsce, w którym ktokolwiek mógłby się spodziewać niezgody na oficjalną rzeczywistość, lecz nagle, bez zapowiedzi, bez jakiegokolwiek preludium, i tu się zaczęło: ta sama straszliwa choroba, która toczyła uczelnie w całym kraju i która już w pierwszych dniach epidemii dotknęła tyłu, że wewnętrzna ochrona nie była w stanie się z nią uporać.

Kiedy w okolicy pojawili się wędrowni koordynatorzy Ruchu, kręcili głowami ze zdziwienia, mrugali z niedowierzaniem, jakby nie mogli zbudzić się ze snu. Żaden z tutejszych studentów nie pokusił się o jakąkolwiek analizę. Żaden z nich nie zastanawiał się nad rzeczywistą sytuacją, co gorsza, żaden na nią nie reagował – nawet bezrozumnie. Zamiast tego dzieciaki te kultywowały klasyczny wsteczniczy kult jednostki, skupiwszy się wokół pewnego profesora matematyki, który nie był ani charyzmatyczny, ani choćby ujmujący. Nazywał się Weed Atman i niechętny stał się kimś sławnym.

Pewnego pięknego dnia wszyscy studenci wylegli na plac Deweya Webera, żeby cieszyć się słońcem: chłopcy rozluźnili krawaty, a nawet zdjęli marynarki, a dziewczęta rozpuściły włosy i podciągnęły spódniczki aż do kolan. Tysiące młodych ludzi wyszło na przerwę na lunch i spożywało kanapki z białego pieczywa z mortadelą, słuchało nadawanych w radiu płyt Mike Curb Congregation i dyskutowało o sporcie, zajęciach i pracach wykończeniowych przy nowym pomniku Nixona, mierzącym ponad trzydzieści metrów posągu z czarnego

i białego marmuru, wzniesionym nad krawędzią klifu, ze spojrzeniem skierowanym nie ku morzu, ale w głąb lądu, górującym nad budynkami kampusu, nad koronami najwyższych drzew – czarno-białym kolosie o zagadkowym wyrazie twarzy. I w tej spokojnej południowej godzinie, która mogłaby wzruszyć nawet gigantyczną statwę, w powietrze wzbila się nagle woń marihuany. Niektórzy z późniejszych historyków opisujących to wydarzenie kwestionowali niewinność studenterii i jej brak doświadczenia w paleniu trawy, której aromat natychmiast rozpoznano. Tak czy inaczej, obecność młodzieży studenckiej na placu Deweya Webera wyraźnie naruszała postanowienia kalifornijskiej ustawy o włączeniach w podpunkcie mówiącym o „przebywaniu w miejscu”, w którym pali się groźne zioło. Zgubny skręt, który tego pięknego dnia pojawił się na kampusie, wziął się Bóg wie skąd, choć najprawdopodobniej z kieszeni jednego z niepożądanych elementów: surferów, którzy od niedawna wspinali się po klifie i kolonizowali zdrowy studencki organizm, przynosząc ze sobą „zapasy” obejmujące – do tamtej pory – głównie nasiona i łądygi, ze względu na osobliwą i tajemniczą anomalię w biochemii mózgu surferów doprowadzające ich do euforii, inaczej niż tych, których chcieli „nawracać”, ci nieszczęśnicy bowiem skarżyli się wyłącznie na bóle głowy, trudności z oddychaniem, wybuchowość, a w konsekwencji depresję – objaw traktowany przez grzecznych, niesprawiających nikomu kłopotów studentów jako jeden z aspektów euforii. Dlatego też owego pogodnego dnia na owiewanym ziołowym zefirkiem i pachnącym Skrętem placu pojawiły się najprawdopodobniej nieoczekiwane odmienne stany świadomości. Ręcznie skręcane dżointy cudownie się rozmnażały niczym bochny chleba i ryby, smużki dymu stały się doskonale widzialne, a wszystko to wzięło się z jednej i tej samej sakiewki – której zawartość określono później w policyjnych raportach, jako „niezwykle mocne wietnamskie pączki” – przyniesionej, jak podejrzewano, na teren uczelni

przez czyjegoś służącego w wojsku krewnego, bo z całą pewnością nie był to towar surferów.

Według późniejszej rekonstrukcji wydarzeń, właśnie wtedy rozległ się rozdzierający krzyk pewnej młodej niewiasty, która padłszy na kolana, przyzywała Jezusa, aby ocalił wszystkich przed szatańską substancją, na co zareagował pewien młody dżentelmen w rozchełstanej marynarce, o oczach jak mapa okręgu: nie mogąc po raz pierwszy w życiu opanować głupkowatego śmiechu, podszedł do błagającej o boże wstawiennictwo niewiasty i w duchu życzliwej terapii interpersonalnej podjął próbę wsadzenia jej do ust zapalonego dżointa, co wywołało niezbyt przychylną reakcję narzeczonego rozmodlonej. Zgromadzeni podzielili się na sympatyków i przeciwników obu zwaśnionych stron lub też stchórzyli; podniosły się krzyki, rozpoczęła się bieganina, a parę osób udało się do telefonu, żeby zadzwonić po policję, na co wkrótce zareagowały jednostki od Laguny do Escondido, którym co prawda brakowało koordynacji, ale z nawiązką nadrabiały ów brak zapalem w macaniu – tu i tam – młodych dziewczęcych ciał. Wszczął się tumult i rwetes, tłumy zafalowały, tu i ówdzie doszło do drobnych wybuchów przemocy, eksplodujących jak nasiona w skrętach surferów, i właśnie wtedy na scenę wkroczył bujający w obłokach i niczego nieświadomy Weed Atman, zajęty do tej pory czytaniem artykułu o dosyć ponurych implikacjach teorii grup.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Pan nam powie, sorze! Jest pan wysoki!

– Taa, wasza wysokość, pan nam powie, co się dzieje.

Weed przekonał się, że faktycznie jest najwyższą osobą w okolicy, jeśli przez „okolicę” rozumieć domenę wyznaczaną przez zbiór punktów dzielących go od następnej osoby o równym lub wyższym wzroście wynoszącym metr osiemdziesiąt pięć. Odległość oddzielająca go od kolejnego osobnika o takich wymiarach zmieniała się linearnie wraz z wysokością poszczególnych punktów domeny... Tok jego rozumowania przerwała nagle jakaś szamotanina w pobliżu.

Trzej policjanci rzucili się na nieuzbrojonego studenta i zaczęli go okładać pałkami. Nikt ich nie powstrzymywał. Wyraźnie słyhać było jakieś przerażające organiczne odgłosy.

– Co to jest, do cholery? – zapytał głośno Weed Atman, czując w zwieraczu pulsujący strach. Spłynęło nań światło, w którym ujrzał prawdziwą naturę policji. – Czy oni rozbijają ludziom czaszki?

– Niech pan spojrzysz tam!

– Kordon policji... hełmy, mundury... niosą jakąś broń... – Weed stał się nagle obserwatorem.

– Spadajmy stąd, człowieku!

– Niech nas stąd ktoś wyprowadzi!

– Idźcie za tym wysokim gościem!

– Jestem tylko wysoki i nic więcej – usiłował protestować Weed, ale wyglądało na to, że został już wybrany i wielu, zbyt wielu, chciało robić dokładnie to, co on. A jemu wciąż kręciło się w głowie od policyjnej epifanii. Wszelako, nie zastanawiając się wiele, stał się uosobieniem czynu – po raz pierwszy, odkąd o świcie podczas zeszłorocznych wakacji w Yosemite wspiał się na niemal pionową skałę – i powiodł tłumy bocznymi i tylnymi drogami ku bezpiecznej przystani za Laboratorium Grega Nolla i Aulą Olimpijską. Większość dryfowała dalej, ale kilku zostało z Weedem i ostatecznie trafiło do mieszkania Rexa Snuvvle’a w Las Nalgas Beach. Snuvvle był doktorantem na Wydziale Azji Południowo-Wschodniej. Poddawany indoktrynacji, szczerze wierzył w rządową wersję wojny w Wietnamie, lecz mimo wielkich starań nie był ostatecznie w stanie uniknąć zetknięcia się z prawdą, a poznawszy ją, nie zechcieć głośić jej wszem wobec, mimo, jak przyznawał, strachu przed represjami. Pogłębiając studia, zainteresował się dziejami Bolszewicko-Leninowskiej Partii Wietnamu, odłamu Czwartej Międzynarodówki, który do 1953 roku wyszkolił we Francji i wysłał do Indochin około pięciuset trockistowskich kadrowych towarzyszy, którzy – będąc bardziej na lewo od Ho Chi Minha – przepadli bez wieści. Z grupy pozostała garstka uchodźców w Paryżu, z którymi Rex w paranoicznej tajemnicy nawiązał

korespondencję, uważał bowiem, że BLPW była jak do tej pory jedyną autentyczną wietnamską siłą rewolucyjną, zdradzoną przez wszystkie inne partie, a nawet przez Czwartą Międzynarodówkę. Trudno orzec, jakie to miało znaczenie dla Rexa, ale owa grupa mężczyzn i kobiet, których prawdziwych nazwisk nigdy nie poznał, stała się dla niego jakimś romantycznym zaginionym plemieniem zdradzonej sprawy – plemieniem, którego nikt nigdy nie odkryje w ziemskiej postaci, lecz które, być może, stanie się osiągalne jak Jezus dla tych, którzy go „odnaleźli” – jako profetyczny Głos, misja ratunkowa z zaświatów goszcząca na krótko w prawdziwej historii, obiecująca ją zmienić, budząca konkretne nadzieje, które następnie się spisze, przerobi na doktryny i wygeneruje z nich ziemską sekwencję przyczynowo-skutkową. Jeśli taka abstrakcja mogła choćby na chwilę znaleźć schronienie na tym łożu padole, to wówczas – co miało dla Rexa ogromne znaczenie – za następnym podejściem...

Wyobrażał sobie, że będzie indoktrynował i kształcił Weeda Atmana, że będzie prowadził z nim dialog, podczas którego obaj dokonają krytycznej analizy amerykańskich realiów w świetle wiszącej nisko pod sufitem azjatyckiej lampy, lecz Weed – ku wielkiej konsternacji Rexa – okazał się milczkiem. Na zwołanym tamtego wieczoru posiedzeniu Komitetu Sterującego nowo sformowanej ADHOK, Antypolicyjnego Demokratycznego Hufca Ochrony Kampusu, Weed tylko łąził tam i z powrotem.

– Nie mówić nic i nic nie robić, to wielka cnota – zacytował Talleyranda Rex – ale nie powinno się jej nadużywać.

Weed uśmiechnął się z roztargnieniem, pochłonięty rytmem rock and rolla pompowanego megawatami przez granicę z cieszącą się złą sławą radiostacji XERB. Wszystkim dziewczynom, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyrosły gołe uda i czarne jak węgiel rzęsy, a chłopcy – schwytani w okowy *Geist*, który mógł być zarówno *Zeit*, jak i *Polter* – zbyt niecierpliwi, by zapuszczać brody, obcinali sobie włosy z głów i przyklejali je do policzków. Niewinne zabawy trwały do późnej nocy – może nie na taką skalę jak w Berkeley

czy na Columbi – ale Rex zdołał osadzić Weeda w czymś, co przypominało wyłaniającą się w bólach juntę.

Zgodnie ze wszystkimi prawami, które rządzą rewolucjami, rozruchy te powinny były zostać zduszone w zarodku po upływie kilku godzin przez niewidzialne siły zza ogrodzenia – z bazy wojskowej. Ale o dziwo przetrwała i żyła własnym życiem tydzień po tygodniu, niczym mały półksiężyc wesołej zabawy na mapie okręgu w tej coraz mroczniejszej erze – radosny, lecz nie z rozpaczy ani nawet z przekory, ale ze zwykłej ulgi po tym, co odeszło w przeszłość. Nikt jeszcze nie wierzył, że da się to powstrzymać. Być może podręcznikowa wręcz amerykańska podatność na zranienia ocaliła początkowo ten ruch, bo po cóż się przejmować czymś, co w każdej chwili można strzepnąć do morza jak okruszki ze stołu? Ale z drugiej strony, wszystko działo się niebezpiecznie blisko San Clemente i innych wrażliwych lokalizacji.

Tymczasem niepokojąco szerzyła się oświata, której wcześniej odmawiano młodzieży, jakby młodzi przejrzeni nagle na oczy i poznali głębię i pustkę własnej ignorancji. Kampus ogarnęło nagle łaknienie wiedzy, a badania – czyjekolwiek nad czymkolwiek – trwały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyszło na jaw, że College of the Surf w ogóle nie był instytucją edukacyjną, ale skomplikowanym deweloperskim szachrajstwem udającym dar dla narodu. Po upływie pięcioletniego okresu zwolnienia od podatków cały teren miał zostać podzielony na nadmorskie działki rekreacyjne. Dzieciaki postanowiły odebrać ziemię w imieniu ludu, a wiedząc, że stan, w tym sądy, partycypował w oszustwie na wszystkich poziomach i że nikt nigdy nie doczeka się sprawiedliwości, ogłosiły secesję z Kalifornii i powstanie nowego kraju, który po burzliwym, trwającym całą noc zebraniu uradzono nazwać – na cześć jedynej stałej, na którą mogły liczyć i która nigdy nie umrze – Ludową Republiką Rock and Rolla.

Konwój 24k/s wtoczył się do nowego państwa dzień po oficjalnej deklaracji niepodległości. W kawiarniach, piwiarniach i pizzeriach knuto i spiskowano. Młodzi ludzie

o wywrotowych fryzurach biegali po ulicach, przyklejając plakaty lub malując sprejem LR³, KUBA JEST ZACHODEM albo DYMAMY ICH W DUPE, O CZYM JESZCZE NIE WIEDZĄ! O każdej porze dnia i nocy nad kampusem latały helikoptery, a choć działo się to w czasach, w których inwigilacja z powietrza znajdowała się jeszcze w powijakach, na każdym z nich zamontowano na statywie Tyler Mini-Mount szesnastomilimetrową kamerę Arri „M”, a oba te urządzenia – z tego, co wiedziała Frenesi – były ostatnim krzykiem techniki filmowej. Na ziemi, jak się okazało, była tylko ona i scoopic. Nie powiedziałyby jeszcze, że pracowała dla Brocka. Niezupełnie. Odbierając kopie jej taśm, płacił tylko za laboratorium. Wmawiała sobie, że kręci filmy dla wszystkich i że mogą one być pokazywane wszędzie tam, gdzie da się je wyświetlić... Ale po pewnym czasie Brock zaczął nie tylko oglądać materiały, ale i podpowiadać jej, co warto filmować nade wszystko, a im częściej się na to zgadzała, tym mocniej dominował w jej życiu.

Tymczasem większość ekipy 24k/s uważała, że Frenesi „kręci”, jak się wówczas mówiło, z Weedem Atmanem. Prairie też ją o to początkowo posądzała, wnioskując po sposobie, w jaki mama filmowała przywódcę – najpierw na nocnej balandze, która oficjalnie nosiła nazwę posiedzenia komitetu politycznego zgromadzenia ogólnego. Z głośników waliła muzyka Led Zeppelin, krążyły butelki i skręty, kilka par – trudno je było po ciemku zliczyć – pieprzyło się po kątach. Na mównicy stało parę osób, które jednocześnie perorowały o polityce, co spotykało się z głośnymi reakcjami zgromadzonych. Niektórzy z nich żądali wypowiedzenia wojny reżimowi Nixona, inni – jak dobrzy rajcy miejscy – podnosili temat dzielenia się podatkami. Mimo wyblakłych ze starości kolorów filmu i zniekształconego dźwięku Prairie czuła dominującego tamtej nocy ducha wolności i wiary – że wszystko jest możliwe i że nic nie stanie na przeszkodzie takiej radosnej pewności siebie. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego. Nagle – na kadrze kręconym z oddalenia – dostrzegła

poruszający się krąg skupienia uwagi, w którym ktoś maszerował i z którego wyłoniła się wreszcie wysoka postać. „Weed!”, skandowali studenci jak kibice sportowi. Ledwo ucichło echo, a rozlegał się kolejny okrzyk „Weed!”. Na tym etapie swojej kariery Weed wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać profesor college’u, który, zdaniem zaniepokojonych rodziców, uwodzi ich córki, o synach nie wspominając. „Przystojny w niewyszukany sposób”, tak scharakteryzowano go w aktach COINTELPRO – dosyć już pokaznym stosie dokumentów, który w swoim czasie zmusi Biuro do powieszenia tablicy UWAGA, SZEROKI ŁADUNEK! na skrzyni przewożącej je ciężarówce. Włosy Weeda prawie sięgały ramion, tego wieczoru miał na sobie białą koszulę à la Nehru, naszyjnik z muszli kauri oraz spodnie dzwony z kolorowym nadrukiem Kaczora Daffy. Och, jak długo zatrzymywało się na nim pulsujące oko Frenesi, raz po raz najeżdżające zoomem i oddalające się w rytm muzyki od krocza Weeda.

– Bardzo subtelne – zauważyła DL.

– Zniuansowane – dodała Ditzah. – Owszem.

Weed miał niewiarygodnie nieuporządkowane życie osobiste – „niewiarygodnie”, jak na osobę poświęcającą mnóstwo czasu pojęciom tak abstrakcyjnym, że większość ludzi nigdy o nich nie słyszała. Technicznie rzecz ujmując, był w separacji z żoną Jinx, wraz z którą opiekował się dwiema córkami, Moe i Penny. W tym samym czasie orbitowała wokół niego nieokreślona liczba dawnych starych, ich krewnych i dzieci, a wszyscy oni pokazywali się od czasu do czasu *in corpore*, czy też za sprawą listów poleconych, woźnych sądowych, lub też *en masse* na niesławnych weekendowych zjazdach rodzinnych Weeda, podczas których obecni mieli zaznawać staromodnej domowej Troski i Ciepła, z wyjątkiem rzecz jasna ostatniej kochanki, która, zostawiona sama sobie, chciała zazwyczaj po pewnym czasie rzucić wszystko w cholerę. Dzieciaki bez przerwy tupały i bez przerwy jadły, dorośli pili, ćpali, przytulali się, płakali i chłonęli wieści podczas trwającego przez całą noc, aż do śniadania, rodzinnego maratonu, który

niczego nie rozwiązywał, choć stanowił doskonałą okazję do mnóstwa nieszczerých pojednań. Wszyscy naturalnie wychwalali Weeda pod niebiosa, albowiem to on organizował zjazdy i kierował obrządkiem, przewodniczył mu rozpromieniony, zerkając na dwie albo więcej warte grzechu, ubrane prowokacyjnie i ewidentnie fizycznie kokietujące Weeda kobiety, które w danej chwili zabiegały o jego względy. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że za każdym razem dawały się na to nabrać najróżniejsze panie, a wszystkie dzieciaki to uwielbiały. Jeśli dorośli mogą się zachowywać jak dzieci, to dziecięce wybryki nie są aż tak złe.

Po jednej z takich nocy Frenesi oderwała się od pełnego naczyn zlewu, by zdążyć na pierwszy samolot do Oklahoma City, gdzie spotykała się regularnie z Brockiem Vondem na potajemnych schadzkach w pokoju z łóżkiem wodnym w zajeździe dla zmotoryzowanych przy South Meridian nieopodal lotniska. Jinx i jej córki podrzuciły ją na LAX. Udawała przed nimi, że leci nad zatokę San Francisco.

– Bardzo się cieszę, dziewczyny, że nie rzuciłyście się na mnie wszystkie.

– Wszystkie byłyśmy na twoim miejscu – odpowiedziała z wyrozumiałym uśmiechem Jinx.

– Nie jest chyba... najlepszym materiałem na męża?

– Och, uważa, że jest! Myśli, że małżeństwo zakotwicza go w prawdziwym życiu i dzięki temu nie odlatuje do jakiegoś innego wymiaru.

– Rozumiesz coś z tej jego matematycznej gadaniny? – Po krótkiej chwili milczenia obie zachichotały. – Kiedyś próbował mi coś wytłumaczyć, jeden jedyny raz, ale zaraz zapomniał, z kim rozmawia, i dalej pisał te swoje równania.

„Z powyższego intuicyjnie wynika...” – Jinx naśladowała głos Weeda – więc szybko pojęłam, że już po wszystkim. Ale jak się pewnie zorientowałaś, kiedy przestaje gadać, ma całkiem sporo do zaoferowania. I wiesz pewnie, że właśnie dlatego kobiety do niego lgną.

– Wiele z tego, co ma do zaoferowania, dotyczy polityki, Jinx. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Tylko mi nie mów, że się zakochałaś, okay?

– Nie czekam nawet w kolejce, siostró.

Dzieciaki z tyłu zachichotały.

– Zabawne, nie?

Znowu chichot.

– Czekamy! – zawołała Moe.

– Na co?

– Aż jedna z was powie „kawał chuja” – dopowiedziała Penny.

Lot do Oklahomy był jak przelot promem kosmicznym na inną planetę. Po porze lunchu przeznaczonej na seks leżeli wśród plastikowych hotelowych śmieci przed Pudłem, w którym właśnie zakomunikowano, że wyścigi łodzi motorowych przy tamie nad jeziorze Overholser zostały odwołane. Komunikatowi towarzyszyły mapy pogody pokazujące chmury burzowe przesuwające się wokół miasta. Pojawił się upiorny przedcyfrowy obraz z radarów, ukazujący szarą Matkę Wszystkich Burz rodzącą od prawej strony małe haczykowate echa, które rosły, odłączały się i szybowały samoistnie, jako młode mordercze tornada. Prezenterzy pogody starali się ze wszystkich sił zachować tradycyjną głupkowatość, z jakiej słynie ich profesja, choć nie byli w stanie ukryć nuty rezygnacji, która wkradała się do sprawozdań, jakby po raz pierwszy stawali oko w oko z twardymi dowodami nadejścia Prokurenta Wniebowzięcia. Na dworze, na obrazie z wystawionej za okno kamery, niebo wyglądało jak podbrzusze bestii z niezliczonymi szaro-czarnymi wymionami ciągnącymi się przed frontem szkwału, za którym coś postękiwało i porykiwało w oddali, wyrzucając z siebie olbrzymie żądła pokryte żyłami błyskawic, prąc naprzód, niszcząc... Była naelektryzowana, a bardziej od kutasa Vonda potrzebowała przytulenia. Marne szanse. Oglądał to jak reklamy, jakby Bestia stojąca u wrót miasta była zapowiedzią czegoś, co już dobrze znał.

Zależało mu jednak na rozmowie o interesach. Sporządził, wysłał i czekał na autoryzację planu destabilizacji i obalenia LR³, finansowanego z jednego z tajnych funduszy Departamentu Sprawiedliwości.

– To laboratoryjny przypadek kliniczny – stwierdził. – Marksistowskie minipaństwo powstałe po rewolucji mas. Nie chcemy go tu, ale nie mamy także zamiaru go najeżdzać. Jak należy postąpić?

Jego pomysł polegał na zbombardowaniu republiki pieniędzmi, tak by jej przywódcy rzucili się sobie do gardeł o to, kto je dostanie. Byłby to, perorował, doskonały probierz, żeby przekonać się, ile może kosztować obalenie całego państwa.

Leżała z potarganymi włosami, rozmazaną szminką, rozrzuconymi swobodnie rękami i nogami, i – dla reagującego na podczerwień oka – nieustannie promieniowała. Na dworze gruchnął piorun na tyle blisko, by poczuła na całej skórze drobne bolesne dreszcze. Tak bardzo chciała przytulić Vonda. Wkroczyła w krótką przerwę w walce, podczas której – gdyby tylko chciała – ujrzałaby w całej rozciągłości, a nawet do samego końca, to, co mogła stracić. No tak, widziała teraz w całej rozciągłości Brocka, nawet z jajami – ale po co i za co? Za pieprzenie się z nim? Za coś jeszcze?

Prezenterzy pogody na ekranie dziwnie umilkli. Frenesi zastanawiała się przez chwilę, czy nie wysiadł dźwięk, ale potem któryś z nich zachichotał nerwowo, a po nim zrobili to inni. Coś takiego wydarzyło się raz jeszcze, a potem w telewizorze nagle i bez zapowiedzi pojawił się kaznodzieja z modnymi długimi bokobrodami, w garniturze z syntetycznej tkaniny i z mikrofonem w ręku, stojący przed wielkim rozświetlonym krzyżem.

– Wygląda na to, że znów jesteśmy w rękach Jezusa – oznajmił. – Pewnego dnia, gdy w Białym Domu zasiądzie właściwy człowiek, powstanie federalny Departament Jezusa z, owszem, sekretarzem Jezusa, i to on będzie przemawiał do was wszystkich w ogólnokrajowym programie, zamiast jakiegoś

starego ignoranta z sosnowych lasów. Nie, przyjaciele, nie jestem ekspertem, nie rozpoznałbym wiru ssącego, nawet gdyby ten podszedł do mnie i powiedział „na zdrowie, bracie”, Bóg zapłać... Ach, ale wiem przecież, powiadam wam, jak ludzie nauki mierzą tornada, i wiem, że robią to za pomocą, jak mówią, skali intensywności Fudzity. Ale, moi mili, może od dziś skala ta powinna nazywać się Fu-Dżizys...

– Mogę... – wyciągnęła rękę i wyłączyła odbiornik.

– Twój matematyk nie lubi takich rzeczy?

Frenesi położyła uszy po sobie, a w kącikach jej oczu pojawiły się białe trójkąty.

– A może lubi? Może jest jednym z tych sług bożych ze świętą misją sprzeciwiania się cesarowi?

– Chyba już o tym pisałam w którymś z raportów.

– Czytałem – rzucił niemal bez tchu, jak chłopiec. – Oglądałem też materiał filmowy, ale nigdzie nie znalazłem nic o jego duchowości. A chciałbym się o niej czegoś dowiedzieć. Chcę poznać jego ducha, hm? Ciało z radością pozostawiam tobie.

– Jesteś pewien, Brock, że nie jest w twoim typie?

Zdjął okulary i uśmiechnął się do niej w sposób, którego się bała.

– Mówiąc szczerze, jest. Przykro mi, że dowiadujesz się o tym tak brutalnie, ale... Pamiętasz, kiedy prosiłem cię ostatnim razem, żebyś się nie kąpała? Wiedziałem, że idziesz się z nim spotkać, wiedziałem, że cię przeleci. Chłepał ci cipkę, co? Oczywiście, że tak, wiem, bo sam mi powiedział. Tyle że jak mu tryskałaś prosto w twarz, to czułem w ustach mój smak.

Homofobiczne poczucie humoru Brocka? Próbowała sobie przypomnieć, czy tak było naprawdę, i nie mogła... A co to w ogóle znaczy, że on „chce poznać” ducha Weeda?

– Jesteś medium, przez które komunikujemy się z Weedem, nic więcej. Takim ładnie oprawionym skupiskiem dziurek, małą kobietką biegającą w tę i w tę z wonnymi wiadomościami ukrytymi we wszystkich zakamarkach.

Była zbyt młoda, żeby zrozumieć, czym chciał ją obdarować: tajemnicą władzy nad światem. Właśnie o to, według niego, chodziło. Choć sam był wtedy za młody. Frenesi potraktowała to jako swego rodzaju przypowieść o tym, co do niej czuje – przenośnię, której sensu nie pojmowała, co zamaskowała powłóczytym, pewnym siebie spojrzeniem praktykowanym przez większość dziewczyn z lat sześćdziesiątych, oznaczającym niemal wszystko, przydatnym w wielu sytuacjach, w tym w ukrywaniu własnej ignorancji.

Ktoś zostawił w pokoju – w wypełnionym lodem koszu na śmieci – wielką promocyjną butelkę Grand Cru de Muskogee demi-sec z winogron odmiany concord importowanych z Arkansas. Butelka miała niemal matową, ciemno-, a miejscami ultrafioletową barwę, a jej porównywalna kolorem zawartość była jak syrop klonowy, w którym musiały się unosić wolno i niestety niewidzialnie nieprzeliczone bąbelki. Mimo to Brock zachował się jak dżentelmen i przełknął parę szklanek, a nawet wzniósł kilka toastów za Weeda. Co spotkało się z kolejnym powłóczytym spojrzeniem dziewczęcych lamp żarowych o podwyższonym woltażu i cichym szeptem:

– Właśnie dlatego się zabijacie, prawda?

– Kto?

– Mężczyźni. Bo nie potraficie się kochać.

Pokręcił powoli głową.

– Znów pudło. Nigdy nie wyjdiesz poza te hipisowskie brednie, co?

– Nie spudłowałam, bo wolicie to robić, wpychając sobie nawzajem różne rzeczy w ciała – dokończyła swoją myśl.

– Mam nadzieję, że to spojrzenie jest tylko figlarne.

– Nikt tak na ciebie nie patrzy, prawda?

– To Atman funduje ci taką jazdę? Robisz się za stara, żeby sama z siebie być taką naiwniaczką.

Uśmiechnęła się i uniosła szklanke.

– Miałaś rację, jestem tylko „medium”. Wszystko wchodzi we mnie czterema dziurkami... nie zapominajmy o nozdrzach... i wychodzi jedną.

Szwendali się po pokoju, wchodzili na wodne łóżko i schodzili z niego, bardziej obwinogronieni niż pijani, a Brock nie mógł się odczepić od jej relacji z Weedem. Na dworze za grubymi gumowanymi zasłonami w oknach – czarnymi jak smoła prostokątami rozświetlonymi po brzegach resztkami dziennego światła – szalała burza: Wielkie Wydarzenie. Niedawno Frenesi wydawało się, że zdołali uwić sobie bezpieczne gniazdko w samym sercu Ameryki, lecz oto w powietrzu rozległy się wprost niewyobrażalne odgłosy: ryki tak donośne, że nie powstydziliby się ich żaden z odrzutowców sił powietrznych z bazy lotnictwa imienia generała Tinkera, a po nich chaotyczny rumor ponad dachem, wszczynany najpewniej przez jakieś owady siedmiu plag. Frenesi podeszła do okna i odchyliła zasłonę, żeby wyjrzeć. Wstrzymała oddech na widok czarnych falujących chmur – nigdy nie widziała na Ziemi takiego nieba, nawet po LSD. Nagle bez ostrzeżenia niebo zatrzęsało się majestatycznie od światła, a spody i brzegi wielkich chmur rozdarł elektryczny błękit spękany tu i ówdzie na czarno, szczytujący w straszliwej czerwieni. W ostatnim rozbłysku za oknem ukazał się całkiem blisko, tak blisko, że można go było niemal dotknąć, lej kondensacyjny, którego koniuszek jeszcze nie dotykał ziemi, lecz kołysał się powoli, z namysłem, jakby wybierając sobie cel. Rozsunęła zasłony, a miecz zapalanej właśnie na patio lampy padł na łóżko, na którym leżał Brock w skarpetkach, zasłaniając przedramieniem oczy.

– Nie możesz tego rozgryźć, hm?! – huknął, przekrzykując śmiercionośny poświst na dworze. – Jesteś cwana we wszystkim, więc dlaczego nie w tym? Twój chłoptaş stoi na drodze. Na naszej drodze. – Powiedział to na tyle cicho, że w jego głosie dał się słyszeć respekt i szczerść.

– W takim razie sprawa jest prosta: wystarczy, że mi ją odbierzesz. Są duże szanse, że nawet nie zauważy.

– Każdy głupi może mi przynieść jego ścierwo! – ryknął Brock w drugim końcu pokoju. – I gdybym tylko chciał, już dawno odebrałbym ci tę sprawę.

No tak, „znów to powiedział”, jak śpiewała jej matka.

– Pamiętasz, jak obiecywałeś mi w biurze złote góry? Miałam tylko zgodzić się na napisanie raportu... Mówiłeś, że nie będziesz chciał niczego więcej.

– Ale tak się złożyło, że chodzisz z nim całkiem dosłownie do łóżka! A to idealny punkt obserwacyjny. Weed jest kluczem do wszystkiego, kartą atutową. Zwornikiem. Wystarczy go wyciągnąć, a cały domek się rozsypie i zawali.

Pozostałe karty się rozejdą pojedynczo lub grupami i trafią do nowej talii, gdzie się je przetasuje podczas kolejnego rozdania gry o Amerykę. Weed jest pierwszym i jedynym niewinnym, nie knuje potajemnie żadnych spisków, nie ma żadnych ambicji poza pokonywaniem trudności, które przynosi każdy nowy dzień, a jako człowiek czynu przyjął z pokorą nowe wyzwanie i nową tożsamość, rzucając się na nie z zapalem pogrążonego wcześniej w abstrakcjach myśliciela, z lekkomyślnym entuzjazmem młodego ćpuna odkrywającego nową substancję psychoaktywną, i zyskał bezwarunkowe poparcie i zaufanie wszystkich, którzy znaleźli się na jego orbicie. Kiedy zniknie, pozostali zaczną się bić o sałatę z sejfu Brocka, a LR³ zwyczajnie się rozpadnie.

– Nie przypuszczałam, że będziesz mną handlował, Brock.

– Nie przypuszczałem, że zadasz się z Atmanem. – Jego głos był przez chwilę pozbawiony napięcia, bezbronny. – Plany mają to do siebie, że się zmieniają...

Pojęła tak dokładnie, jak tylko była w stanie, czego od niej oczekuje; w końcu z niesmakiem zrozumiała, że może na to przystać – lecz nie ze względu na niego, tego nieszczęsnego skurwysyna, ale dlatego, że utraciła już całkiem kontrolę, a czas pędził wokół niej, wpadała w bystrzyny, a wszędzie tam, dokąd sięgała wzrokiem, rzeka należała do Brocka; kolejna kaskada, seks, dzieci, chirurgia, coraz dalej w niebezpieczną i rzeczywistą dorosłość, w tajemnice niesione przez życie, obejmujące samą śmierć, oraz to, że ci, dla których warto się starać – ci, którzy jeszcze nie poznali i nigdy nie poznają

tajemnic – to w każdej epoce i w każdym czasie dzieci. Podeszła do łóżka i położyła się obok niego, tak by go nie dotykać. Burza trzymała miasto w śmiertelnym uścisku, jak zdobycz, wbijając w nie raz po raz paraliżujące żądła. Frenesi oparła się na łokciu, nie mogąc nie patrzeć na Brocka, udając przed samą sobą, że to, czy pieprzy się z Weedem, ma dla niego jakieś znaczenie... i udając, że nie wie, kim „naprawdę” jest Brock w oczach innych – a mianowicie, najgorszym narcystycznym niedorośłym kutasem, wzwiedzionym w dorosły kształt – że gdzieś tam ukrywa się zagubiony, przestraszony, potrzebujący jej pomocy „prawdziwy” Brock, czarujący chłopak, który pozwoli jej nie bez potknięć wyprowadzić się ku światłu, które wyobrażała sobie jako słońce plus niebo oraz filtr 85, i zwrócić siebie mężczyźnie, jakim powinien się stać... być może, tylko tyle znaczyło dla niej słowo „miłość”, którego nie potrafiłaby użyć w żadnym innym sensie, bo było ono wtedy już tak bardzo strywializowane, że jego czar zupełnie wyblakł, a wszystko przez rock and rolla, najprostszą deskę ratunku, która miała nas, jak przypuszczaliśmy, ocalić. Lecz jeśli zostało coś jeszcze, w co warto wierzyć, musi wierzyć, że w jej mocy – tej nieważkiej, oświetlonej dziennym światłem sile lat sześćdziesiątych – jest ocalenie nawet kogoś takiego jak Brock, ta układna i głupio brutalna faszystowska świnia.

W którymś momencie usnął, a ona nawet tego nie zauważyła. Czuwała przy nim, przez chwilę należał tylko do niej, pozwalała sobie drzeć, a nawet ulegać pragnieniu jego cielesnej obecności, jego urodzie, lękowi, który czuła w krzyżu, własnym lubieżnym dłoniom... by wreszcie, bezradna i zachwycona, pochylić się i wyszeptać mu to wszystko, co dyktowało jej serce, i przekonać się w półmroku, że jego przymknięte oczy były przez cały czas otwarte. Obserwował ją. Z jej gardła wydobył się zdławiony krzyk. A Brock zaczął się śmiać.

Jako mieszkaniec zwykłego świata Weed Atman miał wiele atutów, lecz jako Tanatoid znajdował się bardzo nisko na każdej skali, w tym na tych, którymi mierzy się poświęcenie i wspólnoty. Już podczas pierwszej rozmowy z Takeszim i DL – a rozmowy te toczyły się z przerwami przez lata – wyszło na jaw jego zdystansowanie, wyrósł przed nimi obronny mur, którego żadne z nich nie potrafiło sforsować. Jak zapewnia nas *Bardo Thos-grol*, czyli *Tybetańska Księga Umarłych*, dusza znajdująca się od niedawna w stanie przejściowym często nie chce przyznać, ba, gorąco zaprzecza, że naprawdę umarła, wślizgnęła się bowiem w nowy stan bez wysiłku, co uniemożliwia jej dostrzeżenie różnicy między dziwnością życia a dziwnością śmierci, i co obecnie, zdaniem Takesziego, ułatwia znakomicie telewizja, która w swych produkcjach o lekarzach, glinach, o wojnie i o morderstwach prześlizguje się po temacie, trywializując w istocie samą Wielką Ś. Jeśli pośrednie może być życie, dywagował Takeszi, dlaczego pośrednia nie może być śmierć?

Początkowo Weed gadał w kółko o tylko tym, że czuje się jak polityczny odstępcza. Często nawiedzali go ludzie udający amatorskich badaczy lat sześćdziesiątych, żeby go wysondować – i najczęściej irytować – pytaniami na poziomie egzaminów maturalnych. Często zmuszano go do udziału w imprezach okolicznościowych, które były mu bardzo nie w smak, do noszenia smokingów, których przeciętny Tanatoid nie mógł wypożyczyć ze względu na ogólną złożoność tańskiej wiarygodności kredytowej. Weed bardzo szybko się przekonał, że figuruje na czarnej liście każdej wypożyczalni smokingów od

Hollywood na południe, więc ruszył w przeciwną stronę, poprzez przełęcz i dalej długimi pustynnymi arteriami, obok magazynów z paszą i ziarnem, wiejskich barów z muzyką, meksykańskich knajp z happy hours, obejmującymi nalewane z węża margarity po dziewięćdziesiąt dziewięć centów, przez smog, mżawkę, toksyczne soczewki nieba, tam gdzie ludzie, jak się łądził, są bardziej ufni i mniej wybredni w strojach i gdzie w istocie rzeczy strój wieczorowy – z mocy jakiegoś podziemnego modowego prawa – okazał się znacznie bardziej niekonwencjonalny. Wkrótce zaczął się pojawiać na wieczorkach tańskich organizacji w jaskrawoseledynowych, cyraneczkowych albo fuksjowych garniturach, z ręcznie malowanymi w gołe baby, tropikalne owoce albo przynęty na okonie krawatami i pasami do smokingu. Na dzisiejszą, dziesiątą, jubileuszową doroczną galę – Tańską Pieczeń 1984 – Weed ubrał się w smoking ze streczu w przesadnie rzucającą się w oczy, akwamarynowo-złocistą pepitkę, a do tego sportowe obuwie koloru limonki. Każdego roku na gali wspólnota fetowała jednego z tańskich weteranów o karmie zachowującej przez pokolenia odpowiednio równomierny rytm zbrodni i kary, w którym fakty jedynie się komplikowały i zapominano lub błędnie zapamiętywano pierwotne jego grzechy i nie dało się w jego przypadku dostrzec żadnego rozwiązania nawet najbardziej trywialnych problemów. Tanatoidzi nie tyle „fetowali” długie, pełne rozżalenia opowieści o modulowanej niczym jarmarczne organy niesprawiedliwości prowadzącej od rzemyczka do koniczka, ile je honorowali. Pieczeniarze byli jak zdobywcy nagród Emmy, jak przyjęci do Galerii Sław – byli tańskimi wzorami do naśladowania.

Co za wieczór! Opowiadali zapomniane, lecz przezabawne tańskie kawały. Wytykali sobie marnowanie niesłychanie długich miar ziemskiego czasu na uporządkowanie stosunkowo banalnych karmicznych spraw. Żony Tanatoidów brały odważnie na siebie dalsze komplikowanie powikłanych historii małżeńskich, flirtując z kelnerami, garsonami, a nawet z innymi Tanatoidami. Wszyscy wściekle pili i palili, a w menu

tradycyjnie królowało żarcie z dyskontów, bogate w cukier, mąkę ziemniaczaną i sól, z mięsami niepewnego pochodzenia – co obejmowało również tożsamość zwierzęcia – które podawano z tonami frytek i beczkami koktajli mlecznych. Deser miał postać chorobliwie bladego i grudowatego puddingu. Było też, co oczywiste, wino musujące, ale wszystkie dane co do rocznika i miejsca pochodzenia zaczerpnięto grubym markerem na jakimś nieznanym etapie jego prawdopodobnie niezbyt legalnej podróży. Wraz z kolejnymi wypijanymi kieliszkami Tanatoidzi coraz śmieiej skradali się do mikrofonu i dawali pełne obelg świadectwa o Pieczeniарzu lub wykpiwali się głupimi dowcipami.

– Jak się nazywa Tanatoid z „sir” przed nazwiskiem? Bryndza!

– Co to jest: chodzi do tyłu i daje mleko? Rak piersi!

– Dzwonek do drzwi. Otwiera żona, widzi męża Tanatoida i dwie trumny. „Przywiozłem dzieci z kolonii...”.

Tańską Pieczeń 1984 zorganizowano na północy w hotelu Blackstream, ulubionym miejscu spotkań Tanatoidów, wzniesionym w czasach pierwszych tartacznych baronów z dala od bitych dróg na długim, porośniętym sekwojami stoku, gdzie wcześniej za dnia zapadały cienie, w tym cień podejrzenia, że okolica ta należy do innego porządku rzeczy... który, jak uważano, z mocy niewidzialnej, lecz potężnej geometrii, o zachodzie słońca ulega, niczym jonosfera, rekombinacji i przybliża do siebie dwa światy, nakładając je niemal na zakładkę, nieskalibrowane, zacieniające się i rozmazujące nawzajem jak kolory w druku. Przez sto lat od wybudowania dworu mnożyły się opowieści o wydarzeniach o zmroku, a pokoje, korytarze i skrzydła cieszyły się coraz gorszą sławą z powodu zjaw, egzorcyzmów i powrotów z za grobu. W okolicy pojawiali się pielgrzymi o stosunkowo szerokiej gamie oczekiwań, podobnie jak ekipa *In Search Of...* z Leonardem Nimoyem i *Believe It or Not* z Jackiem Palance'em, a tu i ówdzie robiono interesy, o jakich najczęściej się nie słyszy.

– Któregoś dnia – mówił jeden z dowcipnisiów przy mikrofonie – może nadadzą Tańską Pieczeń w telewizji... w porze transmisji kabaretonów, taa, same znane nazwiska, emisja na cały kraj... tyle że my tego nie dożyjemy...

Perkusista podkreślił to dwoma tupnięciami w bęben basowy i wolnym narastającym szcrotkowaniem talerza. Oprawę muzyczną zapewniała tego wieczoru grupa wybornych miejscowych muzyków z Van Meterem na basie, który usłyszał o Pieczeni w Lost Nugget i chciał namówić na chałturę najlepszego kumpla, grającego na klawiszach Zoyda, tyle tylko, że nikt nie widział Zoyda na oczy od niemal tygodnia, a Van Meter nie wiedział, czy ma się już tym martwić, czy też jeszcze nie. Tymczasem Zoyd zatrzymał się u pewnych znajomych plantatorów w okolicy Holytail za nadmorskimi górami i snującymi się przez cały rok mgłami, w dolinie, w której panowały idealne warunki do uprawy i która najprawdopodobniej była ostatnim azylem ludzi uprawiających ziele w północnej Kalifornii. Dojazd, przynajmniej drogą, nie był łatwy – ze względu na Wielką Lawinę Błotną z 1964 roku jechało się zygzakiem po obu stronach rzeki, przez którą trzeba było się przeprawiać nie zawsze czynnymi promami oraz nawiedzonymi, jak mówiono, mostami. Zoyd odnalazł gminę, która była na wykończeniu: sezon po sezonie wszyscy przyglądali się bezradnie nasilającym się bez żadnych ograniczeń niszczycielskim wysiłkom KAMP-u; sezon po sezonie do gry wchodziło coraz więcej agencji stanowych i federalnych, ława przysięgłych w Eurece wzywała przed swe oblicze coraz większą liczbę obywateli, neutralizowano jednego po drugim przyjaznych zastępców szeryfów i kolejne bezpieczne miasteczka, które znów trafiały pod kontrolę rządu, przez co wszyscy zastanawiali się, kiedy nadejdzie koniec Holytail.

Szeryf okręgu Vineland, Willis Chunko – mrużący śleпка, wybuchowy gwiazdor mediów, pokazujący się w nich (niczym zwiastun sezonu) każdej jesieni z regularnością Telethonów Jerry’ego Lewisa, pozujący w wieczornych wiadomościach na

tle wielkich zbelowanych stogów ziela i strzelający do nich na polach z biodra miotaczami płomieni – miał od lat Holytail na jakiejś zasranej czarnej liście, ale okolica ta okazała się niezwykle trudna do spenetrowania. „Tam jest jak w lesie Sherwood – skarżył się przed kamerami – chowają się w koronach drzew i w ogóle ich nie widać”. Bez względu na to, jaką drogę natarcia wybierał Willis, holytailerczycy zawsze byli wcześniej uprzedzeni. Siatka obserwatorów rozciągała się do samego Vinelandu, a niektórzy ze szpiegów stali na czatach przed samym biurem szeryfa, mając w pogotowiu rulony ćwierćdolarówek do automatów telefonicznych, inni nasłuchiwali na CB policyjnej wymiany radiowej, przemieszczając się w patrolach po drogach gruntowych, a jeszcze inni ze wzgórz i górskich szczytów za pomocą lornetek i przerobionych rybackich radarów prowadzili obserwację nieboskłonu.

Zbiory dojrzewały w słońcu, kwitły, wydzielały mocny aromat, a pachnące żywicą zefirki dniami i nocami spływały z jarów i perfumowały miasto. Dające życie niebo nad okręgiem Vineland ukazywało coraz częściej swój niszczycielski potencjał. Pojawiały się na nim bladoniebieskie nieoznakowane samolociki, niemal niewidoczne w dniach wykonywania lotów według przepisów widoczności z ziemi (VFR), pilotowane przez prywatne szwadrony bojowe antynarkotykowych urzędników, emerytowanych wojskowych pilotów, rządowych doradców po cywilnemu, zastępców szeryfa po służbie i policjantów stanowych. Wszyscy oni pracowali na umowy zlecenia dla KAMP-u, a dowodził nimi niesławny Karl Bopp, były nazista, pilot Luftwaffe, a później przydatny obywatel amerykański. Podczas tygodni inwigilacji z powietrza załogi helikopterów i samolotów gromadziły się co rano w wyłożonej gipsowymi płytami sali odpraw na nizinie pod Vinelandem, obok lotniska, czekając na przybycie komendanta Boppa w dawnym stroju galowym i ogłoszenie *Der Tag*.

W Holytail plantatorzy zbierali się w Piggy's Tavern and Restaurant, omawiając w atmosferze narastającego niepokoju

powszechny dylemat, kiedy rozpocząć zbiory. Im dłużej rośliny dojrzewały, tym zbiory były lepsze, co, niestety, zwiększało szansę na ich wypatrzenie przez najeźdźców z KAMP-u. Holytail prędzej czy później musiało liczyć się z kotłem, po którym stanie się – jak stary Szmaragdowy Trójkąt – podbitym terytorium, odzyskanym przez wroga na nieskończenie długą przyszłość, opisywaną w chorej wyobraźni wolnych od narkotyków amerykańskich zwolenników zera tolerancji, biorących się w garść i przysysających się do oficjalnej ekonomii, jako kraina subtelnej muzyki, nigdy niekończących się rodzinnych poranków w Puddle, kościelnych nabożeństw przez cały tydzień, a w niedzielę i święta, w nagrodę za wyróżniające się zachowanie, może paru ciasteczek?

Inwigilacja wzmagala się za działem wód i górkimi graniami, podobnie rzecz się miała z obywatelską atmosferą w Vinelandzie, która nagle zrobiła się nerwowa: uliczny ruch i parkingi przed centrami handlowymi stały się zgryźliwe i wybuchowe od klaksonów i celowych wystrzałów z gaźnika, właściciele łodzi wpadali do sklepów z częściami zamiennymi kilka razy dziennie, nadchodziły doniesienia o wzmożonej żegludze, a u wybrzeży Patrick's Point dostrzeżono przynajmniej jeden lotniskowiec, nie mówiąc już o samolotach AWACS, patrolujących niebo przez całą dobę, i kontynentalnych urokach komendanta Boppa roztaczanych we wszystkich programach informacyjnych, w których Bopp – najczęściej w nazistowskim mundurze – deklarował stan najwyższej gotowości „ochotniczych” sił powietrznych. Coś wisiało w powietrzu za horyzontem zdarzeń, którego nie potrafiliby opisać nawet przyszli ich uczestnicy. Beztroscy niegdyś ćpuni zrywali się z łóżek w środku nocy z łomoczącym sercem i spuszczaali zapasy nielegalnych substancji w klozecie. Wieloletnie małżeństwa zapominały nagle swoich imion. Zakłady psychiatryczne w całym okręgu przyjmowały już tylko na zapisy. Nasilały się sezonowe spekulacje, kto potajemnie bierze w tym roku kasę od KAMP-u, jakby ten monstrualny program stał się kolejnym uzależnieniem czy zgoła chorobą, jak

zła pogoda czy pleśń. Żarcie w knajpach smakowało coraz gorzej, a drogówka zatrzymywała każdego, kto im się nawinął, co doprowadziło do potężnych zatorów odczuwalnych nawet na drodze 101 czy I-5. Szmugler papug w chromowanym ciągniku z naczepą Kenworth/Fruehauf, znanym jako Niewidzialna Fura i faktycznie niemal niewykrywalnym na policyjnych radarach, przemknął obok drogowych posterunków z wdziękiem nieuchwytnego UFO i pokazał się w późne sobotnie popołudnie na parkingu przy drodze 101 tuż za mostem i rogatkami miasta, po czym sprzedał cały ładunek na pniu, zanim szeryf zorientował się, o co chodzi, jakby miasto – wystarczająco już nerwowe – zupełnie oszalało na punkcie papug w tej samej chwili, w której ujrzało spite od wielu dni tequila – żeby siedziało cicho – ptactwo wystawione przed wielkim upiornym osiemnastokołowcem w pakietach skacowanych barw podstawowych, odbijających się niczym kwiecie wzdłuż boku naczepy. Wkrótce w Vinelandzie nie było ani jednego domostwa, w którym nie mieszkałaby jakaś papuga, a wszystkie one mówiły po angielsku z bardzo dziwnym, trudnym do ustalenia akcentem, jakby jakiś nieznany treser w jakimś nieznanym miejscu wytresował je jak spod sztancy: „Okay, papugi, a teraz słuchajcie, jak się mówi *kholeha*”. Ale papugi potrafiły znacznie więcej i oprócz tradycyjnego repertuaru krótkich niepowiązanych ze sobą przekleństw umiały opowiadać bajki: o pozbawionych poczucia humoru jaguarach i psotnych małpkach, o godach i prezentacji barw, o nadejściu człowieka i umieraniu drzew. Stały się niezastąpionymi członkami rodzin, a ich bajki na dobranoc usypiały pokolenia dzieci, posyłając je do odmiennych światów w wyluzowanym lub spiętym stanie umysłu. Ale po pewnym czasie dzieciom zaczęły śnić się przestrzenie, które zadziwiłyby nawet papugi. W maleńkim bungalowu Van Metera za Cucumber Lounge dzieciaki – zapewne pod wpływem domowej papugi, Luisa – wykombinowały wspólnie, jak można się spotykać we śnie w wyznaczonym wcześniej miejscu wielkich południowych lasów. Tak przynajmniej mówiły Vanowi.

Próbowaly go nauczyć, jak to się robi, ale Van Meter nigdy nie dotarł dalej niż na skraj dżungli, jeśli akurat to była dżungla. Jakże cynicznym trzeba być człowiekiem, żeby nie ufać niewinnym duszyczkom latającym przez całą noc wśród koron drzew z otwartymi skrzącymi się oczyma, gotowym podzielić się tajemnicą? Van Meter poszukiwał transcendencji przez całe życie – dokładnie takiej, jaka udzieliła się dzieciakom – a kiedy teraz zaczął się do niej zbliżać, wszystko stało się jak w „nie mogę się wysrać, nie może mi stanąć”, co oznacza, że im bardziej się tym przejmował, tym mniejsze miał szanse powodzenia... Co doprowadzało go do szaleństwa, choć przeważnie starał się nie wyładowywać na innych, a to, co mamrotał pod nosem, gubiło się w zwykłym ambientowym rozgardiaszu dnia, często tak nieznośnym, że musiał uciekać z domu, choćby na takie chałtury jak ta w hotelu Blackstream, co wymagało koszmarnie długiej jazdy w góry przez gęstwiny wysokich drzew, pokonywania niebezpiecznych serpentyn oraz jednopasmowych przytulonych do stoków odcinków szosy, nie zawsze asfaltowej, by wreszcie dał się ujrzeć niespodziewany zachód słońca, tak wczesny, że w pierwszej chwili można było pomyśleć, że stało się coś strasznego – zaćmienie albo Bóg wie co. Van Meter o mało nie zgubił się po ciemku, ale w końcu bladofioletowa poświata przywiodła go do hotelu górującego nad okolicą rzędem słabych okrągłych świateł, przesłaniających, zda się, całe niebo. Mówiono mu o tym hotelu, ale nie miał pojęcia, że jest tak okazały.

Zabrał ze sobą tylko starego fendera precision, z którego około roku 1976 roku usunął wszystkie progi, idąc śladem Jaco Pastoriusa, który jako pierwszy zrobił to z jazz bass. Van Meter ujrzał w tym akcie ponadprogowe wymiary: zniesienie zadanych skali, przywrócenie przedmodalnej niewinności, w której objawiają się wszystkie nuty wszechświata. Wypełnił rowki żeglarskim epoksydem i narysował kreski tam, gdzie były progi, żeby zwyczajnie pomóc sobie podczas przejścia w nowy wymiar. Teraz, wiele lat później, po epifanii zostały tylko podprogowe wyżłobienia, ale doszedł do wniosku, że

pozbawiony progów gryf jest słusznym wyborem dla tej gromady, która, choć mało spontaniczna, wyraźnie strzygła uszami za każdym razem, kiedy wykonywał długie falujące łu-łu-łu na instrumencie – coś, z czym mogli się utożsamiać, jak sobie wyobrażał, choć oczywiście nie znał się za bardzo na Tanatoidach.

*Będą wszędzie,
W każdym kątku,
Gdzie ty będziesz,
Równy w rzędku
Z nimi siedzisz – istny raj,
Tanatoidów Kraj!*

*Na reklamie
Wyprzedzą;
W nocnym pubie
Są na straży;
Przy zabawie
Co się marzy – oto raj:
Tanatoidów Kraj!*

*Mają własne
Tańskie wzorki;
Mają ciasne
Tańskie koki
Jasne mają... – kto to wie?
Tanatoidy, gdzie?
(Wszę)dzie!*

*Więc jak cię złapią
Moce ponure,
Może na światło
Wyleźć spróbujesz?
Wejść będzie łatwo
Skoro zrozumiesz, że jest naj-
Tanatoidów Kraj!*

Był to w zasadzie promocyjny dżingiel, a nie piosenka, w dodatku najszybszy z kawałków, które będą tu dzisiaj odgrywane, bo Tanatoidzi woleli raczej minorowe akordy

i przeciągany recesywnie rytm. Rockandrollowe zapędy nie były mile widziane, ale bluesowe szarpnięcia jakoś uchodziły. Zespół był typową zbieraniną z ery twista: dwa saksofony, dwie gitary, pianino i sekcja rytmiczna. Obsługa hotelowa wygrzebała w jakimś zapleśniałym nieodwiedzanym od dawna kącie sterty aranżacji popowych standardów na combo, w tym takie tańskie hiciory, jak *Who's Sorry Now?*, *I Gotta Right to Sing the Blues*, *Don't Get Around Much Anymore* czy wiecznie żądany na bis *As Time Goes By*. Van Meter zmuszał się, żeby zwalniać, nie wspominając już o perkusiście, którego jasne oko, wilgotna warga oraz częste wizyty w męskiej toalecie wskazywały na – w najlepszym razie – stosunkowo nadpobudliwą osobowość i który raz po raz eksplodował rozdzierającymi bębenki, ekspresyjnymi dla samej ekspresji solówkami, drąc się przy tym „Tak jest!” albo „Więcej czadu!”. Mimo takiego entuzjazmu wraz z upływem wieczoru rytm zwalniał. Zapowiadało się całonocne rallentando. Van Meter grywał już na imprezach do samego rana, na przykład na takich, na których pojawiali się motocykliści i ich kobiety, żeby zażywać barbituraty i kimać, do czego w gruncie rzeczy ograniczała się cała impreza – w porównaniu z czymś takim ta fucha była wieczorkiem pełnym werwy i euforii. Ale po pewnym czasie wystarczyły trzydzieści dwa takty, żeby ogłosić przerwę. Bardzo nieskomplikowane od samego początku tańce zamierały w bezruchu, a rozmowy stawały się coraz mniej zrozumiałe dla paru niewtajemniczonych, którzy akurat pojawili się w hotelu: unikających dróg turystów, niemających najbledszego pojęcia o tym, jak daleko zblądzili.

– Czikita, o co chodzi tym ludziom?

– Niech pan spojrzy, doktorze Elasmu, jak wolno się poruszają!

– Mam na imię Larry, pamiętaj, proszę.

– Ups, sorka...

– Oo, nadchodzi jeden z nich, pamiętaj, że nie jesteśmy w przychodni, okay?

– Dobry... państwu... Państwo... zdaje... się... nie... stąd... – Wypowiedzenie tych dwóch zdań zajęło mnóstwo czasu, w zasadzie trwało tak długo, że doktor stomatologii Larry Elasmó i pomoc dentystyczna, Czíkita, raz po raz otwierali usta, żeby powiedzieć coś w przerwach między słowami. Ponieważ Tanatoidzi mają odmienny stosunek do upływającego czasu, nikomu się nie pali, żeby dokończyć zdanie, a doprowadzenie jakiegokolwiek wypowiedzi do kropki bywa prawdziwą niespodzianką. – Chwileczkę... chyba... pana znam... – ciągnął mówiący wolno Tanatoid, którym okazał się Weed Atman w przykuwającym uwagę smokingu ze streczu – ...umawialiśmy się na wizyty... nieustannie przekładane... przed laty? Na południu?

– Może widziałeś którąś z reklam doktora Elasmó? – podpowiedziała Czíkita, a skonfundowany stomatolog rzucił kącikiem ust: – Larry! Larry!

W tych czasach prowadził franszyzę dentystycznych dyskontów pod nazwą Doc Holliday, słynącą ze „Zniżki dla rodzin OK Corral” za jedyne 49,95 dolara, reklamowanej pośród wszystkich większych targetów marketingowych Dzikiego Zachodu, choć dawniej, kiedy Weed miał zamiar skorzystać z jego usług, doktor Elasmó był tylko cyrulikiem z San Diego, wrywającym zęby na kredyt, znanym z uporczywie hipnotycznych, często niezrozumiałych spotów w radiu i telewizji. Gdzieś z głębin zaburzonej śmiercią pamięci Weeda wypłynął telewizyjny obraz dentysty i spikselował się tanecznie, by ukryć miłosiernie coś innego, coś ważnego, co przydarzyło mu się w dniach przedostatnich w College of the Surf... jakieś twarze, jakieś krzywdy, które mu wyrządzono, lecz których nie potrafił... zupełnie...

Działo się to na najbardziej niebezpiecznym wirażu jego lotu ku nieodpowiedzialności, czy raczej – jak wolał to nazywać w tamtym czasie – miłości do Frenesi Gates. Spędzał wiele godzin na autostradzie, usiłując bez powodzenia wykołować Jinx, która raz po raz dostawała hysterii i wynajmowała prywatnych detektywów, żeby mieć wszystkich na oku.

Pewnego dnia, kiedy pędził do motelowego centrum w Anaheim z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, ściskając kierownicę obolałymi przesuszonymi dłońmi, czując w gardle łomoczący puls, ogarnięty myślami o niewiarygodnym kolejnym spotkaniu z Frenesi, ujrzał najpierw w lusterku, a potem coraz bliżej na lewym pasie, znanego z telewizji wyrwizęba w długim czekoladowym fleetwoodzie, gnającego niewątpliwie na własne cudzołożne rendez-vous, posyłającego mu kątem oka znaczące rozjarzone spojrzenie, sprawdzającego szybko drogę przed sobą, a potem dalej wpatrującego się w Weeda, kiedy pruli we dwóch w górę i w dół po wzgórzach z bardzo niebezpieczną prędkością, wchodzili w zakręty, wyprzedzali odkryte ciężarówki i motocyklistów. Weed początkowo udawał, że go nie zauważa, potem kiwnął powściągliwie głową. W odpowiedzi tylko kolejne mrozące krew w żyłach spojrzenie, mówiące „Wiem, kim jesteś”. Wkrótce w nadmorskich barach i wiejskich knajpach, w rockandrollowych melinach w kanionach pełnych węży i w laboratoriach LSD – słowem, wszędzie tam, gdzie w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od miasta Weed i Frenesi szukali dla siebie schronienia – pojawiał się, najczęściej przy sąsiednim stole, milczący, wpatrzony w nich doktor Larry Elasmó albo osoba nosząca na twarzy, niczym zasłonę czy woal, jego wszechobecny telewizyjny wizerunek, zaśniewony, migoczący po bokach... zazwyczaj w towarzystwie opalanej, ślicznej młodej blondynki, tej samej lub innej niż ta, z którą występował poprzednim razem.

Z czasem wyszło na jaw, że lubieżny dentysta ma własną franszyzę pozwalającą mu mieszać się w życie innych i marnować cenny czas ludzi, których nawet nie znał – franszyzę, której Weed, spoczywający przez lata na mieliźnie Oceanu Śmierci, ciągle nie pojmował. Ktoś upoważnił dentystę do rozsyłania ludziom, w tym Weedowi, wezwań do stawienia się w przychodni w wyznaczonym terminie. Kary za niestawienie się nie były dokładnie określone, wspomniano o nich jedynie mimochodem. Przychodnia mieściła się

w samym centrum wśród starych hoteli z cegły, tawern i wiekowych palm górujących nad latarniami, wyglądała jak posepny nieprzebyty labirynt tandetnych przepierzeń w wybebeszonym budynku publicznym, może federalnym, obecnie brudnym i popadającym w ruinę, z klasyczną kolumnadą pryśniętą na czarno sadzą w części od ulicy – z wyjątkiem kanelowania – z wydłutowanymi literami na wysokim fryzie, niedającymi się już odczytać, z szerokimi zaśmieconymi wejściowymi schodami, na których kłębili się wezwani pacjenci, mający ważne lub mniej ważne sprawy do załatwienia na wszystkich piętrach oraz w wielkim betonowym, dudniącym echem kroków lobby ozdobionym geometrycznymi posągami wznoszącymi się wysoko i spoglądającymi w dół niczym święci tej religii, której służyła budowla.

Weed mógł zignorować nadesłane pocztą wezwanie, ale prześladowało go tamto rozjarzone spojrzenie z autostrady, więc stawiał się w wyznaczonym terminie w marynarce i krawacie, ale musiał czekać – cały dzień, jak się okazało – w poczekalni tuż obok lobby, siedząc na chybotliwym składanym krzeselku, nie mając nic do czytania, oprócz propagandowych broszur i zaczytanych czasopism sprzed wielu miesięcy. Bał się wyjść choćby na lunch. I tak działo się dzień po dniu. Doktor Elasma zawsze się spóźniał, czasem nawet o tydzień, ale wymagał od pacjentów wypełnienia formularza odwołania wizyty, zawierającego punkt „Powód (opisać dokładnie)”, jakby wizytę przekładano z winy Weeda. Weed stał się regularnym bywalcem poczekalni i czuł się coraz bardziej winny, wysiadując w tłumie skarżącym się, jak można było domniemywać, na ból zębów, choć naprawdę na coś zupełnie innego; wysiadując wśród ponurych ludzi, widząc, jak przechodzą nerwowo w jedną i w drugą stronę przez furtkę w drewnianej barierze, zupełnie jak w sądzie albo jak przed ołtarzem w kościele – przez przejście między stroną publiczną a tajemniczymi penetraliami przychodni. Czasem widywano doktora Elasma toczącego przed sobą wózek z tacką pełną lśniących narzędzi dentystycznych – tylko dlatego Weed ich

nie widział, czyżby przez słabe oświetlenie? „Witam w Świecie Wielkiej Niewygody Doktora Larry’ego”, poszeptywał Elasmu, przeglądając lekarską dokumentację. Brzmiało to jak powracający motyw – zbyt głęboki, by Weed mógł go pojąć – zawsze odnoszący się do formularzy. „Tego nie mogę przyjąć. To należy wypełnić raz jeszcze. Przepisać. Sam pan się zorientuje, o co chodzi”. Wyglądało to na jakąś przeciągającą się, trwającą w nieskończoność transakcję, w której monetą był, jak w stomatologii, zadawany ból, uśmierzany ból, znieczulany ból, ból będący jakże często amnezją... Czasem w drzwiach prowadzących na korytarz i dalej ku jasnej wysokiej sali z małym okienkiem na górze, niemożliwie odległym niczym ostrze nieba, stała wyczekująco higienistka Ilse... trzymając coś przed sobą... coś białego i... nie pamiętał.

Pod koniec dnia Weed schodził wyszczerbionymi, niszczącymi schodami, przekraczając na powrót granicę – niewidzialną, acz wyczuwalną podczas przekraczania – między światami. Tylko tak można to nazwać. Bo w środku tej budowli mieszczącej się pod adresem, którego już nie pamiętał, panował zupełnie inny porządek rzeczy. Poznawał go stopniowo podczas wymaganych powtarzających się wizyt. Po każdej z nich wracał do LR³ mniej pewny własnych racji, pełen mieszanych uczuć wobec Frenesi, którą kochał, ale której nie ufał z powodu luk w jej opowieści i jej nieobecności, których ani ona, ani nikt inny z 24k/s nie potrafił wyjaśnić. Coraz częściej doprowadzała go do szaleństwa chmara otaczających go studentów, którzy skupiali się przy nim coraz ciaśniej i coraz bardziej gorączkowo wraz z upływem dni i narastania atmosfery kryzysu – studentów popełniających co do jednego podstawowy rewolucyjny błąd, strzelających radośnie niewybaczalnego rewolucyjnego byka, oddanych mu coraz bardziej ślepo, im głośniej krzyczał i dosadniej ich obrażał. „Tak, mój guru! Co tylko chcesz! Dupy, towaru, żebym rzucił się w przepaść? Tylko powiedz!” Kuszące, szczególnie w części o rzucaniu się w przepaść, ale jeszcze bardziej kuszące było udzielanie bezpłatnych porad. „Weed, co

powiesz na to, żebyśmy chwycili za broń? Wiemy, że to źle, ale nie wiemy dlaczego”.

Kiedyś wygłosiłby posłanie: „Bo w tym kraju każda osoba u władzy ma głęboko w dupie ludzkie życie z wyjątkiem swojego. I właśnie to zmusza nas do humanitaryzmu i atakowania tego, co dla reżimu i tych, którzy mu służą, jest ważniejsze od życia: ich pieniędzy, ich własności”. Teraz mówił tylko: „To źle, bo kiedy chwycisz za pistolet, Człowiek chwyci za karabin maszynowy, a zanim ty znajdziesz jakiś karabin, Człowiek będzie strzelał raketami, dostrzeżasz schemat?”. Między tymi dwoma punktami widzenia coś się z nim stało. Nadal głosił pochwałę humanitarnej rewolucji, ale ulegał jakiemuś mrocznemu wyczerpaniu, tracił nadzieję, czekał na wszystkich, a potem przeproszał. Jeśli ktoś zauważył tę zmianę, było już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić. Bez przerwy przybiegali tłumami do zaułka i mieszkania Rexa w Las Nalgas jak pisklęta do kwoki. Spieniony Surf, ukryty gdzieś we mgle, nie tyle walił się, ile załamywał pod własnym ciężarem. Rex, choć mieszkał w pobliżu, nie pojawiał się już na zgromadzeniach, domknawszy własny plan podróży do Paryża i przystąpienia do tego, co zostało z wietnamskiej sekcji Czwartej Międzynarodówki.

– To nigdy się nie powiedzie – tłumaczył mu Weed. – Jesteś Amerykaninem, kto ci zaufa?

– Każdy, kto jest w stanie się wznieść ponad takie rasistowskie uprzedzenia, jak mniemam. – Rex, niegdyś pełen szacunku dla protegowanego, obecnie wyrażał rozczarowanie Weedem, który nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Choć nie nazwałby tego rewolucyjną czystością, nadal oczekiwał od Weeda większego namysłu i mniejszego angażowania się w sprawy codzienne. Rex widział w rewolucji coś w rodzaju postępującej abstynencji, którą się zaczyna od wyrzeczenia się kwasu i trawy, potem tytoniu, alkoholu, słodyczy – ogranicza się sobie godziny snu, zadowala się niczym, zrywa z kochankami, unika seksu, a po pewnym czasie zaniechuje się nawet masturbacji – a gdy wróg zwraca na to uwagę, wyrzeka się

prywatności, swobody ruchów, dostępu do pieniędzy, i wszystko to w oczekiwaniu na więzienie i ostateczną formę abstynencji, jaką jest poświęcenie wolnego od bólu życia.

– Trochę to pesymistyczne – orzekł Weed.

– Nie zauważyłem, żebyś wyrzekł się czegokolwiek – odpowiedział Rex, co stało się sygnałem dla nich obu, że ich drogi rozchodzą się na dobre. Rex miał kiedyś porsche 911, czerwoniutki jak wisienka w koktajlu, ulubioną zabaweczkę, najlepszy kamuflaż, własnego totumfackiego i coś jeszcze, a w zasadzie wszystko, czym może być samochód dla mężczyzny. Nie da się zaprzeczyć, że Rex, kupując porsche, dokonał zgrabnej emocjonalnej i finansowej inwestycji, a w gruncie rzeczy nie obraziłby się, gdyby inwestycję tę nazywano „związkiem”. Dał autu na imię „Bruno”. Znał położenie każdej czynnej całą dobę myjni we wszystkich czterech okolicznych okręgach, zasypiał na wznak owiewany chłodem wnętrza samochodu, z plastikową skrzynką na narzędzia pod głową zamiast poduszki, i przesypiał tak całe noce, ba, mało tego, zdarzyło mu się więcej niż raz w odurzających benzyną ciemnościach zbliżyć swą obrzmiałą męskość do szerokiego chromowanego wlotu powietrza do gaźnika i przy pracującym na jałowym biegu silniku tak pieśczośliwie regulować obroty, że pulsująca w coraz szybszym rytmie próżnia wychodziła mu naprzeciw w jedności człowieka i maszyny, wznoszącej się ku szczytom niewyobrażalnej dotąd ekstazy...

Ta samochodowa idylla trwałaby bardzo długo, gdyby poszukujące sprzymierzeńców w szerokim świecie Biuro Spraw Zewnętrznych nie zainicjowało rozmów z BAAD, Bojową Afroamerykańską Dywizją, której przedstawiciele chodzili w lśniących, czarnych bojowych butach z Wietnamu, nosili polowe mundury maskujące z czarnym kamuflażem na czarnym tle, a oprócz tego czarne aksamitne berety z nieco mniej czarnymi gwiazdami o szeroko rozstawionych na chińską komunistyczną modłę ramionach – a wszystko to na co dzień. BAAD-owcy przyjechali na specjalne zaproszenie do położonej na szczycie klifu republiki i rozpoczęli całodniowe spory

z tubylcami, nazywanymi przez nich „dziećmi klasy surfującej”. Byli to prawdopodobnie pierwsi czarni, którzy znaleźli się w okręgu Trasero, a z pewnością pierwsi czarni, których widziała z bliska duża część mieszkańców LR³, należało więc – przed przejściem do kwestii bieżących – poświęcić mnóstwo czasu na wyjaśnienie sobie podstawowych prawd historycznych. Kiedy je mielono, Rex zaczął się niecierpliwić – chciał rozmawiać o Rewolucji. Ale bracia z BAAD wydawali się chwilowo usatysfakcjonowani zabawą w Kopanie Ksantochroida, który – z uwagi na skład osobowy zgromadzenia – był w tym wypadku dosyć łatwym celem.

– Walczymy ze wspólnym wrogiem, który wykończy nas równie szybko jak was – protestował Rex.

Przedstawicielom BAAD bardzo się to spodobało, więc roześmiali się radośnie.

– Armaty Człowieka nie strzelają w blondynów, tylko w żółtych, czerwonych i czarnych – odrzekł szef sztabu BAAD Elliot X.

– Nieprawda! Kiedy na ulicach wyrosną barykady, będziemy po tej samej stronie co wy!

– Z tym że my nie mamy, kurwa, wyboru. Musimy stać tam, gdzie stoimy.

– I o to chodzi, o to właśnie chodzi! My wybieramy waszą stronę!

– Aha.

– Co mam zrobić, żeby was przekonać, chłopaki? – Rex zalał się łzami – że pójdę z wami pod ścianę, że, kurwa, umrę za waszą wolność!

Zapadła cisza. Nagle Elliot X zapytał:

– Czym jeździsz?

– Porsche – o mało nie powiedział: „Bruno” – dziewięćset jedenaście. Bo co?

– Oddaj go nam.

– Mówisz, zeee...

– Taa, no dalej, rewolucyjny bracie!

– Pokaż, że masz to porsche tam, gdzie usta.

Zaiste trudno jest wyobrazić sobie w tej epoce chciwości i jej nobilitacji naturalny wdzięk, z jakim w tamtych czasach Rex sięgnął z uśmiechem na ustach po torbę z frędzlami, wyjął z jej głębin różowe etui z kluczykami do 911 i podał je siedzącemu na scenie Elliotowi X, a ten, widząc to, przyklęknął z mikrofonem w dłoni na kolano, niczym światowej klasy artysta przed fanem, i odebrał je. Obywatele LR³ wznieśli radosny okrzyk, a po nim pieśń i przegłosowali przez aklamację uznanie porsche za dar od Republiki. W tym czasie bracia rozpoczęli frakcyjne spory na temat tego, kto wyjedzie samochodem z kampusu. O zachodzie słońca obie delegacje, czarna i biała, udały się na parking, żeby dokonać oficjalnego przekazania. Rex, bardzo już żałując swej wspaniałomyślności, starał się powstrzymać łzy i pożegnał się w milczeniu ze starym towarzyszem, z pustynnymi obszarami zalewowymi i dnami wyschniętych strumieni, z górskimi drogami i galeriami handlowymi, z zielonymi podmiejskimi arteriami, które razem zwiedzali. Bruno, w ostatnim świetle dnia znad Pacyfiku, łypnął z wyrzutem lampami na Rexa, gdyż nie nazywał się już nawet Bruno, tylko UHURU: Ultra-Hipsterskie Urządzenie Rozpoznania Ulicznego.

– Wszystko w porządku – pocieszała Rexa Frenesi. – Zrobiłeś to, co należało.

– Czuję się jak kupa gówna.

A w ogóle, to dlaczego ona się w to wtrąca? Nie miał złudzeń co do dywersantów, niedzielnych rewolucjonistów i, jeśli już o tym mowa, dalszych losów LR³. Ale widząc, jak się sprawy mają między Weedem a Frenesi, wiedział, że kolejne przestrogi nie mają sensu. Kiedyś powiedział Weedowi:

– Występujesz przeciwko Prawdziwej Wierze i jej twardym obrońcom, którzy mówią o krucjacie i srogich karach, walczysz z zamkniętą zideologizowaną umysłowością przekazującą przez pokolenia w nienaruszonej postaci Chrześcijańską Wiarę Kapitalistyczną, z nauczyciela na ucznia, z rocznika na rocznik,

żyjącą dla władzy i we władzy, przekonaną, że jest uodporniona na proces historyczny, któremu podlega tylko cała reszta. Oni są źli, zepsuci do szpiku kości, Weed, ale to nie czyni nas stuprocentowo dobrymi, pamiętaj o tym.

– O czym ty w ogóle mówisz? – Weed wyprostował się.

Rex był już w drodze do krainy Wydarzeń Majowych, więc nie widział powodu, żeby nie zaproponować:

– Weed, wypisz się.

– Taa, a potem co?

– Wrócisz do matematyki. Odkryjesz twierdzenie.

Weed zmarszczył brwi.

– Bzdura. Twierdzeń się nie odkrywa.

– No, cóż, myślałem, że właśnie tak... że wirują wokół nas jak planety... i że co pewien czas da się... jakieś odkryć.

– Nie sędzę.

Patrzyli na siebie, patrzyli sobie prosto w oczy i trwali tak już po raz ostatni. Żaden z nich nie wiedział, jak niewielu będzie na tyle szczęśliwych, by spotkać się po latach w innych okolicznościach niż te i uśmiechnąć do siebie, i spocząć w słońcu wśród rozgwarów dzieci pod jakimś samotnym rozłożystym dębem na jakimś nieprawdopodobnym wzgórzu. „A wydawało się nam, że spieramy się o doktrynę”, powiedziałby któryś z nich, patrząc na śliczną nastolatkę pojawiającą się znikąd z piknikowym kocem, na którym by zasiedli przy rozłupanym krabie, razowym chlebie i schłodzonym złocistozielonym kalifornijskim chenin blanc, i roześmialiby się i nalali sobie jeszcze trochę wina. „O jakieś zupełnie nieważne sprawy przy łomoczących przez całą noc w kampusie maszynach do pisania, brzęczących telefonach, poświęcając temu niesłychane ilości młodzieńczej energii... i pytam się po co?”

Zerknęłyby na nich ta śliczna gospodyni. „Też się nad tym zastanawiałam”.

„Okazało się, że przez cały czas manipulowano nami. FBI siedziało w tym jak taki mały facecik przy barze, który mówi «ty i on – bijcie się». Przychodziły anonimy, dzwoniły

beziemienne osoby, po nocach kręcili się nieznani sprawcy od spuszczenia powietrza z kół, od kłopotów w pracy i z właścicielem mieszkania, a wszystko miało wyglądać tak, jakby krył się za tym ten... jak on się tutaj nazywa i BLPW/US”.

Ona wie, jak bardzo jest dla nich ważna – niezawodna, ocalona, w cieniu – jest kimś, komu na niby mogą wyjaśniać wszystko po kolei, wypracowując przy tym wspólną wersję historii.

„Tak, stary Rex o mało nie wysadził mnie w powietrze”.

„Rex!”

„Obawiam się, że tak, dziewczynko”.

„Powtarzał ciągle: «Już ci się dostało, co? Już ci się dostało?»». Pytałem: «Co miało mi się dostać?», a on na to: «No, może dostanie ci się teraz, co? Czy nie nadszedł, twoim zdaniem, czas, żeby ci się dostało?» Wiedziałem, że coś nosi w torbie... takiej z płótna na ramię z frędzlami, jakie wtedy nosili faceci. Coś zwartego, ciężkiego, nie wiadomo co... Może jakąś część od samochodu”.

„Skalne próbki”. Obaj chichoczą na tamto odległe wspomnienie. „Para naiwnych hipisów, tyle że jeden miał służbową trzydziestkęósemkę. Trudno orzec, który z nich był większym głupcem”.

Weed znalazł się w klasycznym ślepych zaułku – bez wyjścia, jeśli nie liczyć tego, w którym stał Rex – bez broni, z wyjątkiem starej finki w pudełku gdzieś z tyłu drogi odwrotu, i wpatrywał się w przedmiot w torbie Rexa, niczym mężczyzna wpatrujący się w całkiem innym kontekście w to, co drugi ma w spodniach, odnotowujący subtelne marszczenie się zaszewek, gdy tamten się porusza, próbujący odgadnąć długość, średnicę i tak dalej...

– Na co się tak gapisz? – zapytał poruszony Rex, gotów się oburzyć.

– Na nic.

– Gapieś się na moją torbę. Moja torba to nic?

– Jesteś dziś jakiś nieswój, Rex, o co chodzi?

Obaj wiedzieli, że chodziło o Frenesi. Spędzała coraz więcej czasu w okolicach mieszkania Rexa, zapominając niemal

zupełnie o 24k/s. Po serii konsultacji z pozostałymi członkami spółdzielni DL zaproponowała Howiemu – który wyznał wcześniej, że z chęcią zrobiłby sobie przerwę od wzmożonej w Trasero surfofobii Piskówien – żeby znalazł sposób na trzymanie Frenesi na oku. Howie pożyczył starą deskę i wkrótce wpadał do Rexa przynajmniej raz w ciągu dnia. Jeśli Frenesi to odnotowała, nie dała niczego po sobie poznać. Pewnego wieczoru Howie, przysnąwszy w jednej z sypialni przy powtórce *The Invaders*, zdał sobie nagle sprawę z przedziwnych wibracji, jakiegoś wibracyjnego epizodu rozgrywającego się w salonie przy ściszonej muzyce ze stacji XERB, która nie zagłuszała rozmowy. Wszedł do salonu, mrugając, i ujrzał Rexa siedzącego blisko Frenesi na kanapie. Oboje mieli mrocznie wilgotne oczy i zaczerwienione policzki. Śmiali się na całe gardło i właśnie to wyrwało Howiego z zadragowanego snu.

– Siema, ludzie!

Widział już kiedyś taki wyraz na jej twarzy, ale nie wiedział, co on oznacza.

– Słyszałeś o Weedzie?

Howie wszedł do kuchni, otworzył lodówkę i stał, gapiąc się do środka.

– Nie, a co się stało?

Znów roześmiali się udawanym po amatorsku śmiechem, jakby emocje, które w ten sposób wentylowali, były dla nich całkiem nowe i jakby nie byli ich w stanie okiełznać.

– Hej! – zawołał Rex. – Jak myślisz, co się z nim teraz dzieje?

– Śpi w domu we własnym łóżku – odpowiedziała piskliwie i bełkotliwie Frenesi.

– No właśnie! Możemy to teraz zrobić, nie?

– Możemy sporządzić plan i go zrealizować, bez kierowania się impulsami.

Zrealizować? – zastanawiał się Howie. W odległym kącie lodówki znalazł banana w czekoladzie z Hermosa Beach, pokrytego kryształkami lodu, i wrócił do salonu.

– Jesteście wkurwieni na Weeda?

Para na kanapie spojrzała po sobie i głos zabrała Frenesi:

– Myślisz, że powinniśmy mu powiedzieć?

– Jasne – odrzekł Rex z gniewnym chichotem. – Komu stary Howie może naskarżyć?

– Po namyśle... – zaczął Howie.

Za późno.

– Weed jest wtyką FBI – oznajmiła Frenesi. – Ma za zadanie poprowadzić nas kiedyś zupełnie nie tam, dokąd powinniśmy pójść, i zgadnij, kto będzie tam na nas czekał.

– Bez jaj. Kto tak mówi?

– On sam.

– Auu. – Howiemu aż zaschło w ustach, a mrożony banan zamienił się w trociny. Lśniące oczy Rexa i Frenesi i panujący w salonie brak poczucia humoru wciągnęły go w próżnię i przepełniły jego zbolałą duszę pewnością, że to nie żarty.

– Ale słuchajcie, ludzie, jeśli Weed naprawdę powiedział wam, że jest z FBI, musicie zwołać zgromadzenie i powiedzieć to wszystkim.

– O kurwa, Howie. – Frenesi wpadła nagle we wściekłość. – To dziecinada.

– Zabijają nas, człowieku. – Rex żarliwie patrzył mu prosto w oczy. – Zamykają nas w tych federalnych pierdlach, zwykłych i psychiatrycznych, wyłapują nas, a on dla nich pracuje. Udaje. Kabluje na nas.

– Ale... – zaczął Howie bez przekonania – ...jeśli są na tyle sprytni, żeby zainstalować wśród nas szpicla, to co im szkodzi rozpuszczać fałszywe pogłoski o Weedzie, co nie?

– Jakiego dowodu jeszcze ci trzeba, Howie? – spytała Frenesi, kołyszając się w tył i przód jak rockman nad mikrofonem, jakby przekierowywała energię, która mogłaby ściągnąć na nią kłopoty. – Powiedział mi to głośno i wyraźnie. Własnymi ustami.

– Ale dlaczego tobie?

Och, cóż to było za spojrzenie! Najłagodniejszą rzeczą, którą wyrażało, było: „No, zastanów się!”.

Howie, czując, że jeśli to jeszcze chwilę potrwa, to się rozpłacze, powiedział:

– Wielkie mi co, okay, spalił sobie legendę, zabawa skończona.

– Ee – Rex zerknął na niego z ukosa – odliczamy nadliczbowe godziny do nagłej i niespodziewanej śmierci.

Frenesi podeszła do Howiego i ujęła jego głowę, delikatnie, sugerując przy tym palcami bardziej energiczne opcje.

– Żyjesz na tej samej planecie, co my wszyscy. Wyłapują nas każdego dnia, biją, pierdolą, czasem na śmierć. Czy wy nic z tego nie rozumiecie, dzieciaki? Albo zapanuje między nami stuprocentowa bezwzględna solidarność, albo wszystko pójdzie się jebać. Weed nas zdradził z tchórzostwa i dlatego, że tak jest łatwiej, bo wie, że nie możemy nikomu zamknąć ust, ale u końca tej drogi jest pierdolony faszyzm. Bierzemy wszystkich jak leci: hipokrytów i podwójnych agentów, sezonowych buntowników i cały margines, którego nikt nie tyka. To legło u podstaw LR³, naszej spółdzielni też, jeśli już o tym mowa, pamiętasz? Całodobowe Schronisko. Oświetlona brama w amerykańskich ciemnościach, przez którą każdy może przejść i nikomu się nie odmawia. Weed o tym wie.

Wiedziała, jak otwiera się tak nieskomplikowany zamek jak Howie. Zawstydzony, wyciągnął rękę do Pudła, włączył je i wbił wzrok w ekran.

– A nie mówiłem ci! – zawołał Rex. – Howie jest w porządku.

– Jak myślisz, Howie, damy radę wstawić tu PAR-y?

– Reflektory? Wystarczy rozłączyć sprzęt stereo. Co ci chodzi po głowie?

– Przygwożdżę go scoopikiem, podstawię mu mikrofon pod nos, bez litości.

– Odbierzesz mu duszę, człowieku – przypomniał jej Howie.

– Już ją stracił – mruknął Rex.

Frenesi działała na własną rękę, improwizowała. Wiedziała, że miesza w głowie Rexowi i wykorzystuje go przeciwko Weedowi, nie wiedziała, czy tego chce, choć z pewnością chciał tego Brock – to było jasne od dnia tornada, ale jak miała usiąść, a nawet się położyć i porozmawiać o tym z kimkolwiek? Z kim?

Musiałyby przyznać się po cichu do wszystkiego przed DL, która wspaniałomyślnie by jej wybaczyła, przed Sashą, której przed laty mogła mówić wszystko. Mogła też wyznać grzechy lalkom w domku lalek, wymyślonym spowiedniczkom. Przez pewien czas miała wrażenie, że jej potrzeba mówienia wyrwie się spod kontroli, że nie będzie w stanie nad nią zapanować i skończy jako wariatka na ławce na przystanku autobusowym przy nieskończonej długim i płaskim bulwarze, gadając na głos bez opamiętania, niczym astronom poszukujący w kosmosie obcych form życia, żywiący nikłą nadzieję, że ktoś go w końcu usłyszy. Ale w praktyce wstawiała co rano bez słowa, dzień po dniu, aż w którymś momencie stwierdziła, że przywykła do tej osoby, którą się stawiała. Domek w Culito Canyon, w którym sypiała, miał sekwojową werandę ze stołem i krzesłami, na których siadała o świcie, piła ziołową herbatę i udawała – co było jej niebezpieczną przywarą – że wszystko jest w porządku, że nigdy nie była notowana, że nie interesuje się polityką i jest zwykłą, przeciętną, kalifornijską dziewczyną – niewidzialną, stojącą na życiowym rozdrożu, dla której wszystko wciąż jest możliwe. Miała niespełna dwadzieścia pięć lat, ale czuła się jak stara śpiewaczka bluesowa, mająca za sobą sprzątanie kibli, oddawanie długów, znoszenie przemocy, życie, które szczęśliwie zostało już za nią. Więc te pierwsze chłodne minuty dnia na werandzie – wypełnione delirycznym świergotem niewidzialnego ptactwa, słońcem migoczącym za koronami drzew, radiową muzyką, dymem z dopalających się ognisk i piskiem dzieci po drugiej stronie kanionu – jeśli się w ogóle zdarzały, były tym, co najcenniejsze i po co warto żyć. Tylko wtedy odczuwała spokój, bo w ciągu dnia pojawiały się coraz bardziej odjechane dyrektywy Brocka, dodatkowo wydzwanającego do niej nocami – ku niezadowoleniu tych, z którymi mieszkała – i żądającego kolejnego rendez-vous w Oklahomie, przedtem jednak rendez-vous z Weedem, a ten, kiedy się spotykali, bzykał ją coraz bardziej bez opamiętania, tracąc nad sobą kontrolę, wskutek czego, przy odrobinie szczęścia, któregoś dnia trafi do Księgi rekordów Guinnessa,

choć nie dostanie punktów za emocjonalną dojrzałość, bo molestował ją na okrągło i darł się na wszystkich innych. Zachowywał się coraz bardziej histerycznie, a Jinx, codziennie wchodząca Weedowi i Frenesi w drogę, stawała się coraz bardziej ponuro skoncentrowana. Potrafiła odczytywać znaki, których nie dostrzegali inni, i domyślała się – czego dowodziły jej wyzywające spojrzenia, kiedy się mijały – że Frenesi zbliżyła się do jej męża z innych niż seksualne motywów, a tych było zaledwie kilka. Podzieliła się swoimi obawami z DL, z którą parę razy w tygodniu jeździły do dodżo w Redondo Beach. Mimo kolosalnej różnicy poziomu trenowały razem całymi godzinami, a czas mijał im niepostrzeżenie. Komunikowały się przeważnie za pomocą ciał, a kiedy ze sobą rozmawiały, robiły to w dziwnie powściągliwy i oględny sposób. Ale obie ujrzały upiorną, wypieraną, zupełnie inną Frenesi, do której nie miały przystępu. To bardzo bolało, co oczywiste, DL, bo choć mogła spodziewać się czegoś takiego od kochanki, były też przecież, do cholery, partnerkami!

Frenesi wiedziała, że tamtego wieczoru, kiedy wraz z Rexem publicznie oskarżyła Weeda, że jest kapusiem, zboczyła nieodwołalnie z życiowego kursu i że teraz, niczym po jakimś nieznanym narkotyku, wędruje obok siebie, prześladuje siebie, ogląda film z sobą w roli głównej. Jeśli to, co zrobiła, było nieodwracalne, nic jej już nie powinno uwierać, mogłaby czuć się bezpiecznie w tym innym sąsiadującym z normalnym światem świecie, do którego niewielu może się dostać – tam gdzie weźmie odwet i będzie się przyglądała rozgrywającemu się na jej oczach dramatowi. Nie miała już problemów ze „zdjęciem” Weeda Atmana, który stał się postacią z filmu posiadającą – jako bonus – umiejętność pierdolenia się jak gwiazdor porno... lecz nawet seks był dla niej teraz czymś niebezpośrednim i w ogóle się w to nie angażowała.

Kiedyś, podczas jednej z nieczęstych nocy spędzanych z Weedem w motelu w Anaheim, obudziły ją przed świtem cichutkie głosiki, które, jak jej się wydawało, wydobywały się z ust śpiącego mężczyzny – bardzo piskliwe, z niezbyt

wyrafinowanym akcentem ze Wschodniego Wybrzeża. „Te, to było bez meldunku, nie masz żadnych punktów!”. „Tego nie możesz zameldować, Wilbur, zgrałeś już tego waleta”. I „Zameldował dwa razy! Pokażcie karty”. Tak to przynajmniej brzmiało. Nie mówił tego Weed – kiedy gadały te głosy, słyszała jego spokojny regularny oddech. „Hej, Wanda, kopnij się po jeszcze jeden sześciopak, co?” „Nie wygłupiaj się, Wesley, nakarm kotka!”. Co się działo? W tej klimatyzowanej godzinie bez nazwy pochyliła się nad jego twarzą, usiłując dojrzeć poruszające się wargi, kąciki ust brzuchomówcy... Powąchała go. Nikły cuch papierosów i zwietrzałego piwa. Nagle głosy ustały, by wybuchnąć spanikowane niezrozumiałym trajkotem – zobaczyły ją górującą nad sobą, a potem ona ujrzała je, wyrrywające się z otępienia do ucieczki; wcześniej siedziały na nosie Weeda, wiły się przy nozdrzach, cieszyły się wdychanym i wydychanym powiewem, teraz przerażone sunęły w dół po policzkach, niemal niewidzialne na tle pościeli... Fuuuuj! Dotknęła kogoś z nich? Przekręciła się i spadła z łóżka na podłogę, klnąc pod nosem, zapaliła światło, wróciła i przejrzała każdy centymetr łóżka, trzymając w ręku młotek z kulistą główką, który miała akurat w torebce. Weed spał dalej jak niemowlę. Niczego nie znalazła, oprócz kolorowej smugi na poduszce, która w zbliżeniu przypominała wzorek z maleńkich cętkowanych prostokątów, z których każdy miał nie więcej niż trzy milimetry i był tak nietrwały, że jej ostrożny oddech płoszył go w niewidzialność. Rano nic z nich nie zostało. Dopiero wiele lat później, gdzieś w porze lunchu wśród rustykalnej megalomanii budynku sądów w Indianie – w zasadzie niedaleko od miejsca, w którym urodził się Brock Vond – gdzie Frenesi, jak zwykle, usiłowała się dowiedzieć czegokolwiek o spóźnionym stypendialnym czeku, usłyszała na ludzkiej częstotliwości te same frazy i zdania, które dotarły do jej uszu tamtej nocy. Poszła w stronę głosów do zalanych słońcem, wybitych drewnem, nieodkurzonych sędziowskich sal, gdzie nikt nie zauważył, kiedy zajrzała przez szparę w otwartych drzwiach. Grano w bezika, a ona pojęła, że

wówczas przed wielu laty w Anaheim ujrzała słynne robale z piosenki, rozgrywające kilka wstępnych rozdań na nosie Weeda Atmana¹⁴.



Wcześniej tamtego dnia, przedostatniego dnia, Frenesi i Brock spotkali się w apartamencie na szczycie klifu w parnym subtropikalnym świetle wpadającym przez wysokie okna – świetle niekalifornijskim, pochodzącym z jakiegoś innego miejsca, gdzie lustro wody jest ponad ziemią, a wieczorami do basenów wślizgują się gady. Zajęli jeden z pokoi chaotycznego kompleksu popadających w ruinę gościnnych budowli w obsesyjnym stylu art déco, z łukowatymi, korodującymi i obłazącymi od strony morza murami, z półksiężycami okien przeciętych cienkimi prętami pokrytymi podziurkowanym chromem i przedziwnymi nienadającymi się do użytku pryzmatami przestrzeni, do których nie było dostępu. Barwą dominującą był błękit: surowa ultramaryna nadgryziona przez pogodę, okaleczona bladymi freskami, niczym podczas zbiorowego gwałtu. Tuż za drzewami ciągnęła się piaszczysta plaża, a za nią morze.

Brock miał na sobie jasny garnitur, a Frenesi luźne jaskrawe spodnie i bluzkę oraz okrągłe druciane okulary z filtrami ND-1 zamiast szkieł. Apartament wynajęto nieoficjalnie. Żadne z nich nie poczęstowało drugiego jakimś płynem – była to ostatnia z uprzejmości, jakich wyrzekł się Brock wskutek uprawianego zawodu, a zrobił to w czasach, w których Nixonowska Reakcja przenikała coraz głębiej i psuła coraz bardziej to, co w ludzkiej pamięci było cudem bycia ze sobą pośród tłumów kochających się przyjaciół; w czasach, w których zdrada stała się rutyną, a zmuszające do niej administracyjne procedury były tak proste i dobrze nasmarowane, że nikt, jak przekonywała się Frenesi, bez względu na to, jak szacowny wiódł wcześniej żywot, nie był przed nimi bezpieczny, nie był ponad nie – czymkolwiek

mogłoby być owo „ponad” – gdyż pieniądze z CIA, FBI i innych agend krążyły wszędzie, zostawiając po sobie bezlitosny sporysz paranoi, zapleśniałe ślady przepływu. Ci ludzie znali doskonale własne dzieci.

– Udało się – zameldowała. – Gratulacje. Przewodnik odłączył się od stada i odpłynął. Przestał być wiarygodny, zostali przy nim jedynie ludzie z marginesu.

Brock tylko obrzucił ją wzrokiem z pewnym siebie błyskiem w oku, z miną, która wskazywała, że ma zamiar podnieść stawkę.

– Nie. To za mało.

Światło uderzało w morze, w ląd i wpadało przez wysokie zakratowane okna.

– Powiesz mi... hm? Jaki nastrój panuje na kampusie?

– Wszystko się rozłazi. Naraz wszyscy mówią tylko o łapówkach, totalna paranoja. Dzisiaj u Rexa ma się odbyć posiedzenie Komitetu Sterującego. Będziemy to filmować. Nieważne, co powie, czy skłamie, czy się przyzna. Kiedy go nakręcimy, już po nim.

– Tylko dlatego, że go sfilmujecie? – niemal z czułością.

– Przekonasz się.

– Nie. – I opowiedział jej dokładnie, ze szczegółami tak brutalnymi, że zaczęła się bać, o wizytach Weeda na, jak je nazwał, „sesjach terapeutycznych” w centrum San Diego.

– Za dużo matematyki, za dużo abstrakcyjnych idei, więc skonfrontowaliśmy go z rzeczywistością, by temu przeciwdziałać, ostrożnie jak u dentysty. Żeby po jakimś czasie dostrzegł nasz punkt widzenia.

– Więc to prawda... że dla was pracuje.

– Przeciwno wam, hm? Twoje kłamstwa o nim okazały się prawdą?

Nie była tak wstrząśnięta, jak na to liczył, zrozumiała jednak, że jeśli Weed ją oszukiwał, oszukiwał ją również Brock, nie mówiąc jej o tym. Chłopaki! Pochłonięta takimi myślami, nawet nie zauważyła, kiedy Brock go wyjął... ale oto miała przed sobą – idealnie wyostrzony, oświetlony ze wszystkich

stron, mityczny, utajony, a zarazem jawny, śmiertelnie matowy, pochodzący z rekwizytorni Smitha „Wybór Szeryfa” – ocalony przed przetopieniem i kolekcjonerami na takie misje jak ta.

– Brock...

– To tylko rekwizyt.

Przyjrzała mu się od przodu.

– Jest załadowany.

– Kiedy te lewicowe dzieciaczki rzucają w siebie zabawkami, robi się niebezpiecznie.

– A ty obawiasz się, że coś mi grozi, jesteś cudowny, Brock, ale przestań się wygłupiać, to tylko rock and roll.

Do oczu napłynęły mu galaretowate łzy, mówił coraz bardziej piskliwie:

– Prędzej czy później pojawia się pistolet.

– Nie wierzę w to.

– Bo nigdy nie miałaś pistoletu... a ja od zawsze.

– Nie umiem się nim posługiwać.

Roześmiał się, zarżał ohydnie jak uczeń.

– Nic nie szkodzi. Chcę tylko, żebyś zaniósła go Rexowi.

– Rexowi?

– Nie wie, że to ode mnie, nie martw się, Rex jest ciągle czysty, wiem, że to dla ciebie ważne. Chcę tylko, żeby broń znalazła się na miejscu, w domu.

– Nie mogę wnieść pistoletu do domu.

– Ale możesz wnieść kamerę. Nie pojmujesz, są dwa oddzielne światy, w pierwszym jest zawsze kamera, a w drugim zawsze znajdzie się jakiś pistolet: pierwszy jest udawany, a drugi prawdziwy. Znalazłaś się na rozdrożu i musisz między nimi wybrać.

– Więc albo okażę się tchórzem, albo posłańcem śmierci, uau, masz dla mnie wspaniały wybór. – Kim jest ten kutas?

– Nie chcesz go dotknąć? Potrzytać w rękę?

– Sądząc z wyglądu, jest twardy i tłusty.

– Ale nie wiesz do końca, hm? I boisz się, i jednocześnie... fascynuje cię. Trochę. Jaką ma wagę? I co się stanie, jeśli dotkniesz go tutaj... albo tutaj...

– Puść mnie, Brock! – Zapierała się gołymi nogami, błyszczącymi w mętym słońcu, kiedy wkładał jej broń do ręki. Odczekał, aż poczuł niemą zgodę, i cofnął dłoń. Jej pozostała. I...
– dodała z opuszczonymi oczami – mam podejść do Rexa i zwyczajnie... masz dla niego jakąś wiadomość czy coś?

– Jeśli dostanie Smitha.

Mężczyźni są tacy nieskomplikowani. Kiedy nie mówią o Wsadzaniu, gadają o Posiadaniu Broni, co jest wariacją na ten sam temat, bo pozwala Wsadzać z daleka. Szczegóły „kiedy i jak” składają się na ich rzeczywistość. Ponurą, mówiąc szczerze, ale znacznie prostszą, a prostota każdemu może się przydać: prowadzi odkrywców na pustynie, rybaków na łowiska, żołnierzy na wojnę – obiecuje i uwodzi. Z przykrością musiała przyznać, że wiele z tego wszystkiego sprowadza się do penisa Brocka, sztywnego i wzwidzionego – by posłużyć się pierwszym lepszym przykładem.

W początkowym odruchu chciała sprzeciwić się takiemu prostemu rozwiązaniu, ale wyobrażała sobie, że dzięki pistoletowi w domu prawda 24 k/s, w którą wciąż wierzyła, wkroczy na nowy, wyższy i intensywniejszy poziom wiarygodności – tak sobie wmawiała. Oświetli tego małego skurwiela jakieś osiem do jednego, zmiękczy obraz z wziernika, zaczynając od maksymalnego zbliżenia... cofnie się, włączając tę cudowną śmiercionośną pukawkę w plan ogólny dzisiejszego zgromadzenia, przeobrażając ujęcie, i wróci w końcu do niewidzialnie obecnych i ich nieuniknionych warunków, z których do tej pory rozświetliła i uczyniła widzialnymi tylko upiory...

Przeobrażone, przeobrażające się: światło od morza, racje i krzywdy odziedziczone po Hubie i Sashy, więzy pożądania, które Brock, jej niestały księżyc, splótł i rozplótł... Dostanie wszystko, skurwysyn, robi, jak chce, bo od tej chwili, choć będą czasem jeszcze udawać, straciła, o czym oboje wiedzieli, kartę przetargową. Nie oszczędzi jej nawet tego, czego, jak przysięgała na samym początku, nigdy nie robi – w którymś momencie będzie musiała stanąć przed jego wielką ławą

przysięgłych, w jeszcze odległych czasach, w dalekim mieście, gdzie pod czarną jak sadza, rozciągającą się we wszystkich kierunkach siecią jeżdżą tramwaje, gdzie wszystko zbiega się na żółtym jak pustynia placu w centrum, również pomalowane na żółto wagony, o odcień jaśniejsze od nawierzchni i obramowane jakąś letnią zielenią; a oprócz nich kable telefoniczne, haki, druty tramwajowe rozwieszane na wspornikach i drewnianych słupach, drżące, podzwaniające, rzucające węzłaste cienie, kiedy sypią iskrami niemal niewidocznymi w blasku dnia. Wprowadzą ją do środka i dalej niskimi, wyłożonymi płytami gipsowymi korytarzami – nie będzie sposobu, żeby się zorientować, kto jeszcze urzęduje w podzielonym budynku. Wielka ława przysięgłych pozna jej historię. Zeznania będą ciągnęły się całymi dniami, ale wszystko tylko pro forma. Usiłowała wpatrywać się w białe męskie twarze, choć nie wyzywająco – wyobrażała je sobie jak na filmie: poważne oblicza porządnych obywateli. Każdego ranka stanie przed nimi wykończona po śniadaniu złożonym z dwóch albo trzech tabletek uspokajających z opóźnionym działaniem i rozpuszczalnej kawy, dodanych do narkotykowego combo z poprzedniego wieczoru, które nie przestawało grać w porze pobudki. Będzie się budzić na prześcieradłach cuchnących octem, w motelowej pościeli w pierwszym świetle dnia, chłód będzie się sączył przez kilkunastocentymetrową szparę pod metalowymi drzwiami, inny kształt w ciemności obok drugiego łóżka, smród papierosów, długie minuty, podczas których uświadamiamy sobie, że jest tu, gdzie jest, choć nie będzie wiedziała, kim jest.

PAN VOND: Jak scharakteryzowałaby pani zachowanie obiektu w tym ostatnim okresie?

PANNA GATES: Ostatnim...

PAN VOND: Przez kilka ostatnich dni jego życia.

PANNA GATES: Był... coraz bardziej i bardziej... niespójny. Zależało mu tylko na tym, żeby się z tego wydostać... ale zdawał sobie sprawę, że wpadł w potrzask.

PAN VOND: Czy, według pani... ktoś go kontrolował? Wykonywał czyjeś rozkazy czy coś w tym rodzaju?

PANNA GATES: Uważał, że działa pod przymusem. Powtarzał, że go „zmuszają”.

PAN VOND: A kim, według pani, byli ci, którzy go do tego zmuszali?

PANNA GATES: Wydawało mi się, że miał na myśli... nie wiem... ludzi.

To nie była odpowiedź, na jaką liczyła ława przysięgłych, ale ze względu na Brocka przysięgli przyjęli ją do wiadomości. To nie było pytanie, które mogłoby mieć jakieś znaczenie dla Frenesi. Nie rozumiała, czego od niej chcą. Może chcieli ją tylko zobaczyć i nic więcej. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby wyznaczyć trajektorię pocisku. Uznano całą tę historię za zdarzenie nadprzyrodzone: ktoś się pojawił, żeby dokonać czynu, i zniknął. Bez wypisywania się, bez przepustki. Nie było zatem testów balistycznych, sprawdzania numerów seryjnych. Ale w porze kolacji tamtego przedostatniego dnia to coś spoczęło w skórzanej torbie na ramię należącej do Rexa – tej z frędzlami. Rex musiał gdzieś wyjść i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie zabrał ze sobą torby. Leżała, wybrzuszając się sugestywnie, na kanapie z hinduskim wzorkiem, niczym gość, który ma zostać na noc.

Weed włożył sandały na skarpety w romby – co było odejściem od hipisowskiego wizerunku i zaczynało podobać się Frenesi – i pił szprycery, jeden za drugim, ze wzmocnionego dla dobra demografii wina, podobnego do night train albo anne green springs, ale pochodzącego z zamieszkiwanej przez Latynosów okolicy znanej jako pancho bandido. Siedział na podłodze w niepełnej pozycji lotosu, której nigdy nie zdołał opanować, z łokciami na kolanach, z głową w rękach.

– Jeszcze tylko trochę się pogorszy – powitał Frenesi. – I wiesz co?

– Odpręż się może – tak brzmiała jej odpowiedź na taśmie z podsłuchu. – Twoje zmartwienia dobiegły końca, wypadłeś z gry.

Uniósł powoli głowę, żeby na nią spojrzeć. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego w jego oczach.

– Przysłali cię, żebyś mi coś powiedziała? Co? – I znów, kim według niej byli „ci”, którzy ją przysłali?

Nie wszyscy członkowie 24k/s stawili się tamtego wieczoru. Coś działo się w kampusie, jakaś manifestacja czy zgromadzenie, i DL trwała z kamerami – arri, zipi i nakręcanym bolexem – na posterunku, żeby sprawdzić, co z tego wyniknie. Nie rozlepiano już plakatów, niczego nie ogłaszano, nie było już żadnego kierownictwa, tylko zgromadzenie w zapadających ciemnościach i straszliwe zamieszanie wokół fontanny na placu, w której obywatele LR³ dokazywali za młodu goli i nawaleni. Na tle zachodzącego słońca wznosiła się czarna, odwrócona tyłem sylwetka posągu Nixona, kwakały niewidzialne megafony, którym wysiadało zasilanie, i nagle nikt nie rozpoznawał już niczyjej twarzy i każdy czuł się samotny pośród morza obcych. Panowało powszechne przeświadczenie – o czym donoszono w późniejszych wywiadach – że tuż za rogiem czai się ucieczka od wszystkiego, co znali. Niektórzy mówili na to „koniec”, inni „transformacja”, ale wszyscy czuli, że się zbliża, wyczuwali to w smogu cisnącym od góry z nieba, tak oczywistym jak oczekiwanie na zaćmienie Słońca podczas trzęsienia ziemi.

W domku na plaży Sledge Poteet – w ciemnych okularach i z włosami sterczącymi w czarnym sferycznym afro – trzymał wysięgniki i kable dla Kriszny, a Howie z powiekami pomalowanymi, wskutek tego, co wdychał, u góry i u dołu jaskrawym różowym tuszem, montował światła i przeładowywał kamery dla Frenesi. Ditzah biegała w kółko, robiąc wszystko inne. Frenesi przykucnęła przy Weedzie.

– To twoja jedyna i ostatnia szansa przed najbardziej sprzyjającą ci publicznością, wystarczy, że powiesz, jak do tego doszło, jak, twoim zdaniem, mogło do tego dojść; nikt cię nie osądza, Weed, kamera to tylko maszyna... – I tak dalej z filmową szczerością.

Howie włączał światła, Frenesi zaczynała filmować, Weed zmieniał zdanie, Howie gasił lampy. Parokrotnie. W pewnym

momencie pojawiła się Jinx z Moe i Penny; obrzuciły Frenesi rytualnym Pytającym Spojrzeniem. Moe usiadła przed telewizorem, a Penny ruszyła do kuchni, ale zatrzymała się przed hinduską kanapą.

– Rex zapomniał torby? – spytała z troską w głosie, jak dzieciak, który naprawdę martwi się o innych. Jej pulchna maleńka rączka spoczęła niepewnie na twardym przedmiocie, od którego oddzielała ją tylko cieleca skóra.

– Och, nie martw się. – Frenesi precyzyjnie przejęła torbę, ujmując ją za pasek dokładnie w środku ciężkości. – Oddam mu ją, Penny, dzięki. – Zarzuciła torbę na ramię jednym wprawnym ruchem, poprawiając jednocześnie grzywkę dziewczynki, ale niezbyt czule, więc Penny zachnęła się po sekundzie uprzejmości, szesała grzywkę z powrotem na oczy i pobięła do Moe.

Weed, który mógł wiedzieć, co jest w torbie, przyglądał się Frenesi, która, odebrawszy torbę Penny, przyznawała tym samym, że też wie. I co z tego? Ale kręciło się jej w głowie. Jinx, wróciwszy z kuchni z butelką pancho bandido, wyglądała na zdenerwowaną.

– Hm... to wszystko, co mamy, jeśli chodzi o wino, ludzie. Tam gdzie robię zakupy, nie sprzedają czegoś takiego, chyba że w dziale akcesoriów samochodowych razem z borygo...

Jinx zeznała później, że spojrzeli na nią poszerzonymi od narkotyków źrenicami, Frenesi kołysała się w sposób kontrolowany, a Weed siedział w niezdnym lotosie, a wszystko to trwało przez kilka sekund, po których Frenesi rzuciła:

– Co ty powiesz, Jinx.

Zadzwoił telefon. DL do Frenesi z meldunkiem z kampusu. Nabrzeżna autostrada została zamknięta, jednostki piechoty morskiej z Pendleton zajmują pozycje od strony klifu, a z góry, znad kampusu, toczą się wozy bojowe i parę czołgów. Kalifornijska drogówka i szeryf okręgu Trasero są w pogotowiu.

– Myślę, że uda mi się załatwić jakiś agregat prądotwórczy, ale nie wydostaniemy się stąd szybko. Możecie tu przyjść?

– Kiedy tylko się da... DL, nic ci nie jest?

– Wszyscy wycierają sobie gębę twoim chłopakiem, Weedem. Jeśli jest jeszcze w mieście, powinien się zastanowić, jak zniknąć.

– Taa, jest... – Frenesi usłyszała krzyki w sąsiednim pokoju.

Wrócił Rex. Kłócili się, Rex i Weed, Jinx wtrącała swoje trzy grosze.

– O kurwa. – Tak brzmiały ostatnie słowa, które DL usłyszała od przyjaciółki.

Frenesi odłożyła słuchawkę i pobiegła, Jinx wyprowadzała szybko córki z domu, Weed stał pomiędzy nimi, a Rex – roztrzęsiony i blady – miał już torbę na ramieniu z dłonią ukrytą w środku. Paliły się światła, pracowały obie kamery, Ditzah filmowała starym zniszczonym auriconem, a Howie scoopikiem.

Zwrócili się do niej obaj.

– Powiedz mu! – Rex niemal płakał. – Powiedz temu chujowi, że wszystko wiemy.

Przez całe późniejsze życie nosiła ze sobą nie tylko obraz twarzy Rexa – wypierany, w najlepszym razie maskowany przez wszystkie bezsenne noce, sfilmowany w zbliżeniu przez Ditzah i z daleka przez cofniętego, filmującego ich troje Howiego – ale i to, co stało się z jego ciałem, kiedy powoli wszystko sobie uświadamiał: jak ciało to zapadło się w sobie na długo w zupełnym zamroczeniu, w utracie ducha niemal widocznej na filmie, mimo upływu lat od tamtej chwili do momentu projekcji w domu Ditzah w Valley... jakiś srebrzysty powidok opuścił kadr w rzeczywistym momencie utraty. Zdążył wypowiedzieć tylko imię Frenesi, po czym kadr zachybotał, uciekła z niego jego twarz.

– Mnóstwo przepychania – wspominała Ditzah. – Howie zmieniał akurat rolę, ale Kriszna nagrała dźwięk... słuchajcie...

Rex krzyczy: „Nie zostawiaj mnie!”, trzask siatkowych drzwi, łomot stóp i mebli, znów drzwi, wycie zapłonu, warkot silnika. Sledge wybiegł wtedy za nimi na dwór, a Frenesi odwijala kabel, żeby skierować na nich reflektory. Howie miał już nową

rolkę i wychodząc, zaproponował, że zamieni się miejscami z Frenesi, która się zawahała – na co wskazuje drganie kamery, kadru – ale machnęła na niego ręką, bo Howie wyłonił się przed nią, niewinny i powolny, w ciemnościach, obracając pierścieniem przesłony, przez co stracił ten moment, choć w kadrze poruszały się jakieś kształty, bardziej czarne od reszty, niczym duchy usiłujące przybrać na powrót ziemską postać, ale Sledge był tuż za nimi, a odgłos wystrzału znalazł się na taśmie Kriszny. Do uszu wsłuchanej w to Prairie dobiegł szum fal w ciszy, jaka zapadła po wystrzale. Kiedy Howie dotarł w końcu na miejsce, a Frenesi skierowała tam światła, Weed leżał na brzuchu, krew płynęła po cemencie. Materiał koszuli jeszcze dymił wokół osmalonego wylotu kuli, tlił się bladymi płomykami, a Rex wpatrywał się w kamerę, pozował, udawał, że dmucha w lufę '38. Nie zdoła jednak usiąść razem z cudownie ocalonym Weedem pod tym wyśnionym dębem na wyśnionym stoku w odległych latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. W przyszłym świecie. Kamera najechała na jego twarz.

– Howie odnalazł zoom – stwierdziła Ditzah – a my zdaliśmy sobie sprawę, że stoimy twarzą w twarz z wariatem z załadowaną bronią.

Rex wrzeszczał na ekranie: „To ty powinnaś tu zdychać, Frenesi, jebana kurwo, gdzie jesteś?”. Stała tuż za zalewającymi Rexa światłami, nie przestawała razić go w oczy, milczała. Prairie wyobrażała sobie, że między nią a nienawiścią Rexa jest tylko światło i nic więcej. A Rex tężał z bólu, trzymając rewolwer, ale nie będąc już w jego posiadaniu. Podszedł do ciała Weeda, przyklęknął na jedno kolano, położył broń obok niego. I wtedy Frenesi zgasła reflektory, właśnie na tym skończyło się ujęcie – na zbliżeniu lśniących gałek ocznych Rexa, w których wokół źrenic odbijało się trzymane przez nią światło, a gdzieś głębiej – co starała się dostrzec Prairie – sama Frenesi, czerń na czerni, jej twarz w szerokokątnym zniekształceniu z takim wyrazem, który mógłby, przyznawała w duchu Prairie, okazać się nie do zniesienia.

Kolejne zdjęcia pokazywały kampus: ostatnie godziny Ludowej Republiki Rock and Rolla. Nie było zmasowanego uderzenia, jak w Attice, ale trwająca całą noc propagacja ludzkiego chaosu, przypadkowe strzały, gaz łzawiący z wysoka, podpalane budynki i auta, każdy stawał się potencjalnym wrogiem, za dużo tego wszystkiego w ciemnościach, szczególnie po odcięciu wody i elektryczności. Nad wszystkim wisiał smog, nie było księżycy czy gwiazd. Ale przy przyczepach za budynkiem Sztuki Filmowej stał agregat prądotwórczy Mole-Richardson 700, nadający się mniej więcej do użytku, choć Sledge, kiedy zrobiło się jaśniej, nie mógł sobie podarować, żeby nie pomajstrować przy jego biegu jałowym, zapłonie i takich tam gównach. Z ciemności wyłaniali się ostrożnie jacyś nieznajomi. Wiele kilometrów dalej, na stadionie w Anaheim Blue Cheer, grali koncert. Dla ekipy 24k/s wszystko to było jak dzień po końcu świata, wzięwszy pod uwagę, co można było ocalić z hojnie dotowanego Wydziału Sztuki Filmowej: legendarne kamery Eclair, których wypożyczenie na godzinę oznaczało tygodnie wyrzeczeń, głowice Millera, fastaxy do filmowania w zwolnionym tempie czy światłomierze Norwood Binary – sprzęt do produkcji z ich marzeń uwięziony w czasie i miejscu bez przyszłości.

Oświetlili i czas, i miejsce lampami i reflektorami, filmowali najszybszym filmem, jaki wpadł im w ręce – 7242 z chłodni Sztuki Filmowej – przy szeroko otwartych przesłonach, co sprawiało, że w kadrze nie było cenionej przez Ditzah głębi, ale teraz zarówno ona, jak i DL, i Prairie siedziały jak prehipnotyzowane przed ujęciami lądujących helikopterów, dzieciaków tańczących w rytm jedynej melodii nadawanej w radiu, szurzych hord nadciągających żołnierzy – oddziałów w polowych mundurach z poczernionymi twarzami, schwytych nagle snopami lamp łukowych, do których, jak przewidywał Howie, zaczęli strzelać; kamery się nie cofnęły, trwały i filmowały wszystko jak leci, rzucając się niekiedy w sam wir walki.

– Mogli ją zabić! – krzyknęła Prairie.

– Aha – odpowiedziały unisono Ditzah i DL.

Rano dziesiątki rannych, setki aresztowanych, a choć nikt, jak utrzymywano, nie zginął, wielu zaginęło. W tamtych czasach wydawało się nie do pomyślenia, by jakakolwiek północnoamerykańska agenda rządowa mogła zabijać Amerykanów i na dodatek nie przyznawać się do niczego. Dochowano zamrożonej w czasie tajemnicy, a zaginieni młodzi z pewnością kiedyś się odnajdą, bo przecież nikt nie planował zbrodni. Każdą sprawę trzeba rozpatrywać osobno, biorąc pod uwagę dokumenty świadczące o przedwczesnym porzuceniu studiów oraz ówczesne preferencje migracyjne; każdą sprawę da się wyjaśnić bez uciekania się do czyichkolwiek złowrogich motywacji: młodzi najwyraźniej chcieli się ukryć. Na konferencji prasowej Brock Vond nazywał to żartobliwie „wniebowzięciem”. Przymilne medialne ropuchy, zapatrzone w rozporek Vonda, zastanawiały się głośno, gdzie, jeśli wolno spytać, znajduje się, zdaniem pana Vonda, to niebo, do którego trafili zaginieni studenci. Brock odparł:

– No cóż, oczywiście pod ziemią. Tak przynajmniej zakładamy na podstawie posiadanych przez nas informacji: zeszli pod ziemię.

Na salę musiał przedostać się jakiś radykał, bo padło pytanie:

– Chce pan powiedzieć, że są ścigani? Wysłano za nimi listy gończe? Dlaczego zatem nie ma ich na federalnej liście osób poszukiwanych?

Reportera wyprowadziła sfera agentów po cywilnemu, a Brock Vond powtórzył beztrąsko, strzelając odbitymi w okularach telewizyjnymi reflektorami:

– Pod ziemię, tak? Zostali wniebowzięci pod ziemię. A teraz proszę o pytanie od tego pana w garniturze i krawacie.

Wcześniej, kiedy przez główną bramę wlały się do kampusu tabuny reporterów uganiających się za zdjęciami ślicznych studentek w mini, obezwładnianych przez siły specjalne w pełnym rynsztunku bojowym z czarnej w przeważającej mierze skóry, nikt nie zauważył małego konwoju szarych,

zamkniętych na głucho, nieoznakowanych furgonetek, który wyjechał od tyłu, nie zatrzymując się nawet przy punkcie kontrolnym.

Przecisnąwszy się przez skomplikowany system ramp, dróg wewnętrznych i podejrzanie schludnych wiejskich gościńców, furgonetki wjechały wreszcie na mało znaną, bo dostępną tylko dla wtajemniczonych FADO, Federalną Awaryjną Drogę Odwrotu, wijącą się na północ grzbietem Coast Range w ponurym chłodnym świetle pod siatką maskującą i pogodoodpornymi płachtami plastiku. Był to ciemny tunel biegnący przez setki kilometrów, wzniesiony na początku lat sześćdziesiątych jako wdrożeniowa autostrada, która miała zostać użyta z pełnym obciążeniem tylko jeden raz.

Cel podróży konwoju znajdował się daleko na północy, w wilgotnej ustronnej dolinie, gdzie mieściła się niegdyś eksperymentalna jednostka lotnictwa powołana do rozpraszania mgieł, którą później, kiedy apokaliptyczny majestat strategicznego „myślenia” ery Kennedy’ego utkwiał bez broni jądrowej w codziennej grozie Wietnamu, zamieniono na obóz przejściowy dla pół miliona mieszkańców ewakuowanych z miast na wypadek, powiedzmy, jakiejś ewakuacji. Wzniesiono tam parędziesiąt modułów mieszkalnych, niczym wzorcowe domki na krawędzi świeżo podzielonego na działki pola, żeby odwiedzający mogli poczuć, o co chodzi w tych wystandaryzowanych saperskich barakach przeznaczonych na siedziby dla rodzin – zgodnie z tym, jak rozumiano wówczas pojęcie „rodziny” – oraz internaty dla samotnych mężczyzn, kobiet, chłopców i dziewcząt z tych podstawowych komórek społecznych, których los pozostawał „tymczasowo nieznany”. W obozie znajdowały się toalety i prysznice, stołówka, basen, stoły do ping-ponga, projektor filmowy, boisko do softballu oraz koszykówki. Woda kapiała wszędzie, poszarpane sekwoje i świerki sitkajskie porastały stoki, górskie szczyty i to, co było dalej, a za nimi przez większą część roku maszerowały od morza szare regimenty chmur.

Tymczasem DL wróciła z ociąganiem do Berkeley, do filmowego laboratorium pod San Pablo; wróciła tam z wiernymi do samego końca – albo tylko chodzącymi za nią w szoku jak na linie – Howiem i Sledge'em i przekonała się, że z całej spółdzielni 24k/s nikt poza nimi nie ocalał. Była już tak pomyłona, że najczęściej myliło się jej, kto jest z nią, a kto przeciw niej. Do tego dzwoniło jej w uszach, a krawędzie wszystkich przedmiotów okalała jakaś poświata, co oznaczało bez wątpienia, że ma trwać w pogotowiu, gdyż zaraz pojawią się komunikaty.

Potrzebowali sporo czasu, żeby dowiedzieć się, dokąd trafiła Frenesi. Jacyś ludzie donieśli, że widzieli, jak zabierano ją do konwoju, część z nich chciała pojechać za nim i trafiła na nieznaną sieć dróg wewnętrznych, w którą nie dało się wjechać z żadnej strony. Ale słyszeli i widzieli z daleka – wysoko przez dziury w poprzecieranym kamuflażu – starą autostradę FADO, szare kolumny i barierki, ruiny epoki Camelotu. Tu i tam można było kupić jakieś mapy, ale nawet po ich przestudiowaniu nie dało się konkretnie ustalić, co znajduje się we wnętrzu poszarpanego wielokąta u kresu tajnej autostrady, oznaczonego na mapach jako „Enklawa Bezpieczeństwa Narodowego”.

DL i chłopaki wsiedli do flagowego auta z flotyli 24k/s – chevy nomada z 1957 roku, z dodatkowym napędem na cztery koła, uniesionym o kilkadziesiąt centymetrów zawieszeniem, wielkimi oponami, odbojnikami oraz kołowrotami z przodu i z tyłu. Kiedy dojechali do mostu Richmond–San Rafael, rozpadało się, więc trafili do San Rafael o przedwczesnym zmroku, w parnych godzinach szczytu, podczas których wszystkie osiem czy dziesięć pasów wypełniały spaliny, snujące się i opadające niczym ogony jakiejś apatycznej trzódki. DL siedziała za kierownicą i ukrywszy jasne włosy pod luźno dzierganą oliwkową siatką, przedzierała się wyprostowana, z chłodną jednostajną furią, przez deszczowy zmrok fajrantu, trzymając się środka drogi i koncentrując się na obrazie wroga, Brocka Vonda, i kobiety, którą uprowadził, bo Frenesi nie mogła przecież pojechać z nim z własnej woli, nie, ten policyjny kutas

chciał ją mieć, więc postanowił ją sobie wziąć, zakładając, że nikt mu nie przeszkodzi. No cóż, Brock, pan wybacz, kapitanie, ale sam pan wie...

W Berkeley mówiono, że w obozie w górach mieszka od dziesięciu do stu osób – w zależności od tego, jak kształtowały się koszmary senne informatorów o determinacji Nixonowskiego reżimu. Howie i Sledge nie byli skłonni w to wierzyć, kierować się cudzymi domysłami. Zerkali na mapy, z których każda miała zagadkową białą plamę pośrodku, niczym zarys któregoś ze stanów na testach z geografii, należącego do czegoś o nazwie „U.S.”, choć nie takiego „U.S.”, które znali.

– To ma jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów obwodu, DL. Jak nas zobaczą, będą mieli dość czasu, żeby ją gdzieś wywieźć i ukryć.

– Mnie nie zobaczą.

Jeśli domeną Frenesi było światło, DL odnajdowała się w ciemnościach. Większość członków 24k/s widziała, czy raczej nie widziała, jak przenika bez trudu przez obszary zainfekowane glinami z bronią, ratując po drodze braci i siostry oraz pojazdy, w których się poruszali, i wychodziła po drugiej stronie z pytaniem, co na lunch, z płomienną grzywą włosów potarganych nie bardziej niż wcześniej, których Człowiek nigdy nie widział. Sledge i Howie wierzyli, że umie być niewidzialna, co w tamtych czasach – kiedy ludzie wierzyli w kwas, nieuchronność Rewolucji czy bierne i czynne nauki Wschodu – nie było niczym niezwykłym.

Mocno podrasowany nomad, który właśnie zjeżdżał z jakiejś pochyłości, pędził przez deszcz, a chłopaki nawigowali, włączając raz po raz kieszonkowe latareczki, szukając drogi dojazdu do Trzeciej Autostrady Mezopotamskiej, której istnienie sugerowały dwie inne, biegnące nizinami od wschodu i zachodu. Pędzili przez przedmieścia, pastwiska i lasy, po betonie, asfalcie i makadamie, aż w końcu trafili na otoczony parowem i wzmocnionymi głazami, ufortyfikowany stok ukryty za siatką, którą dźwignęli kołowrotem na tyle wysoko, żeby

przejechać. DL zaciągnęła hamulec i włączyła napęd na cztery koła. Trzymajcie się, poradziła, po czym nomad ryknął i kopnąc jak fabryka, zaczął się wspinać i podskakiwać na nierównościach terenu. Uderzali głowami o sufit, a świat za szybą kołysał się gwałtownie. Raz czy dwa o mało nie przekoziółkowali, ale w końcu nomad trafił na wyłom w barierach i wjechał na opuszczoną starą autostradę.

Na poboczu, mniej więcej co trzysta metrów, stały wysokie słupy podtrzymujące medaliony wielkości megapizzy. Na każdym z nich była twarz, lecz nie była jaka twarz przedstawiająca, powiedzmy, Przeciętnego Amerykanina, ale konkretna ludzka twarz, spoglądająca prosto na patrzącego, z dziwnie zindywidualizowanym wyrazem, jakby chciała właśnie przemówić. U podstawy każdego słupa widniał napis wyryty w zaśnieżonym jak wdowi grosz metalu i odnoszący się do twarzy.

Virgil („Sparky”) Ploce, 1923–1959, amerykański męczennik w Krucjacie przeciwko komunizmowi. Major Ploce był pierwszym z wielu Amerykanów, którzy zapragnęli oczyścić naszą półkulę z dokuczliwego pryszczaka znanego jako Fidel Castro. Udając ultraortodoksyjnego kubańskiego komunistę, Sparky przedostał się na wyspę i wkradł w łaski brodatego dyktatora. Miał zamiar poczęstować Castro olbrzymim kubańskim cygarem i podać mu ogień. Cygaro zawierało przemyślną, skonstruowaną przez Sparky’ego bombę, wykonaną z plastiku, detonatora i lontu. Na nieszczęście wszystkich miłujących wolność na świecie, wskutek nagromadzenia błędów produkcyjnych obie końcówki cygara wyglądały praktycznie tak samo, więc kiedy owłosiony latynoski tyran odgryzł cygaro ze złej strony, wyciągnął zębami lont, co natychmiast zaalarmowało ochronę. Nadzorcy modelowego Czerwonego Państwa Niewolników pojмали i zamordowali na miejscu majora Ploce’a. Twarz na medalionie była młoda, ogolona, z krótko przystrzyżonymi włosami, i uśmiechała się ironicznie.

Mijając kolejne medaliony barwy kamienia i wpatrując się w nie w świetle reflektorów i w deszczu, przekonali się, że

każda twarz miała źrenice poruszające się za przejeżdżającymi, obserwujące jadącego nomada, oceniające go, może stawiające go wyżej – w oczach tych niemych, ciągnących się przez wiele kilometrów, przerośniętych twarzy – od przeciętnego samochodu osobowego. Czy medaliony z twarzami miały dodawać otuchy uciekinierom przez długie, męczące, wypełnione staniem w zatorach godziny odwrotu z Miasta, miały być inspiracją, zapewniać w niezbyt zrozumiały na pierwszy rzut oka sposób, że nie wszystko stracone, że to jeszcze nie koniec, że wciąż jest nadzieja? A może były tylko rozrywką dla dzieciarni, żeby czymś ją zająć, zabić czas do nagłego rozbłysku za plecami, nieznośnego obrazu w tylnym lusterku?

Dojechali do ogrodzenia – które znajdowało się mniej więcej tam, gdzie wskazywały mapy – jeszcze przed świtem, w godzinie szczura, kiedy ciało śpi najgłębiej, nawet jeśli nie śpi, bo i tak przechodzi jeden i ten sam cykl i jest najbardziej bezbronny. DL wciągnęła czarny dres i kominiarkę. Chłodny wiatr wiał w dół stoku, niosąc zapach drzew. Howie i Sledge pożegnali ją starym zawołaniem 24k/s: „Jesteś dziabnięta jak bilet na poranek”. Widzieli światła auta odbijające się w jej jasnych źrenicach, a potem już jej nie było.

Później, kiedy DL bilansowała ten wyczyn, kiedy post factum zapisywała wydarzenia w dzienniczku, zdała sobie sprawę, jak bardzo naruszyła nauki sensei. Nie stała się pozbawionym ego wykonawcą czyjejś woli, ale kierowała się własną samolubną namiętnością. Jeśli motywy są niskie, to czyny, choćby najbardziej udane i doskonale wykonane, noszą piętno fałszu, przeczą powołaniu, jej samej, a pewnego dnia przyjdzie za nie zapłacić, a znacznie wcześniej pojąć, że o wiele lepiej byłoby zostawić Frenesi tam, gdzie była.

Szła wzdłuż ogrodzenia, aż ujrzała światła: rozmazany, całonocny, zalewający wszystko cyjanoblękit, ukazujący szeroko otwarte, długie na jakieś pięćdziesiąt metrów pole ostrzału między bramą a najbliższym barakiem. Podbiegła szybko do wartownika, patrząc mu prosto w oczy – spuszczone

ku książce, którą czytał na nocnej zmianie – i znalazła się tak blisko, że nic więcej nie mogło już mieć znaczenia. Była to jedna z technik wymyślonych przez sensei Inosziro, oparta na dobrze znanej praktyce stawania się niewidzialnym, nazywanej przez nindza *Kasumi*, czyli „mgła”. Wbijając mu palce w twarz, oślepiła go selektywnie – przestał ją widzieć, a choć zachował życie, nie było w nim DL. Była już daleko, odeszła od ogrodzenia, stając się jego mocno splecionym cieniem, wypatrywała patroli, obserwowała odległe baraki, sprężając się w sobie i napinając jak łuk i łucznik. Przemknęła przez turkusową poświatę nie wiadomo kiedy i jak. W półcieniu baraków, nawet niezdyszana, nie tyle sforsowała, ile w najbardziej elegancki sposób zmonetyzowała zamek w bocznych drzwiach za pomocą antycznej igły z kości słoniowej, którą dawno temu sprezentował jej sensei, po czym wsunęła się do środka ku ostatniej odsłonie tej nocy – tam gdzie na cienkich rządowych materacach rozłożonych na drewnianej podłodze spały, indywidualnie i parami, dziesiątki ludzi, pochrapując, krzycząc, młóćąc rękoma, i – tylko tego było jej trzeba! – leżąc z otwartymi oczami. Znała skądś tę twarz oświetloną reflekssem z podłogi, pamiętała ją z Berkeley, z dawnego Filmowego Kolektywu Śmierć Nihilistycznej Świni.

– Tak tylko wpadłam. Szukam Frenesi i nic więcej.

Wahał się, niezbyt długo.

– Przyszłaś, żeby ją stąd zabrać?

– Chcesz się przyłączyć? Bardzo proszę.

– Wielkie dzięki. Tu wcale nie jest gorzej niż tam, gdzie byłem.

– Ale jesteś więźniem politycznym.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Podłożyłem bombę zapalającą pod samochód z bandą agentów FBI. Wyszli z auta, okay, pomyślałem, cudownie, skasowałem samochód, a oni żyją, żegnajcie, koledzy, żyjcie dalej bez przemocy... tylko że oni widzieli to inaczej.

– Okazałeś brak szacunku.

– Jakbym z tobą uciekł, wrzuciliby mnie na listę dziesięciu najbardziej poszukiwanych i wróciłbym tu po jednym dniu... Nie warto.

– Fajnie było cię spotkać, bracie, ale teraz muszę ci włączyć przewijanie i kasowanie... to nic osobistego... – W zielonobłękitnym półmroku powtórzyła procedurę, którą zastosowała wcześniej wobec wartownika przy bramie. Kierowana cichym poszeptem, który sam w sobie nie był odgłosem budzących się ze snu, wędrowała od posłania do posłania, aż trafiła wreszcie na niewyraźną, leżącą sztywno postać z dłońmi wsuniętymi między nogi – gmerającymi tam przy czymś, głaszczącymi tam coś, co wywoływało westchnienia. Dziewczyna była ubrana w błękitną batystową koszulę roboczą, przy której brakowało połowy guzików i którą splamił jej pot. DL wiedziała, że to nie Frenesi, i przyklękła obok, a dziewczyna pisnęła i cofnęła się przed czarną zjawą, zasłaniając dłońmi piersi.

– Z przyjemnością bym ci pomogła – DL uśmiechnęła się pod kominiarką – ale trochę się spieszę, więc lepiej od razu mi powiedz, gdzie ona jest?

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, rozchyliła wargi, dotknęła wilgotnymi palcami szyi.

– Zabrali ją do Biura.

Administracja obozu była niedaleko. Trudno się tam dostać? Jasne. Dziewczyna, zachęcona przez DL, wyśpiewała wszystko i uspokoiwszy się, opuściła ręce ku łonu.

DL znów naruszyła procedurę. Ujęła małą główkę w dłoń.

– A ty pieprzysz się paluszkami przed snem, bo ją kochasz, mam rację?

Nadgarstki i ramiona dziewczyny stężały, odwróciła nabiegłą krwią twarz.

– Nie daję bez niej rady... chyba umrę. – W ultramarynowych ciemnościach odszukała wzrokiem oczy DL.

DL zrobiła to, co chciała zrobić, zanim tamta zareagowała – pochyliła się, uniosła kominiarkę i pocałowała dziewczynę w rozchylone usta; czuła, jak wybiega jej na spotkanie

nieszczęsny trzepoczący języczek. Dała jej posmakować, czym jest Pocałunek Śmierci Kunoichi – nieprowadzący tym razem do zgonu, bo przecież nie ukrywała pod językiem igły wbijanej zazwyczaj w rdzeń całowanego, chciała tylko złośliwie się zabawić, zaskoczyć ofiarę i dać jej do myślenia... Słyszając w uszach dźwięki hiszpańskich gitar, zsunęła z ramion dziewczyny koszulę i wypisała palcem w czarnej rękawiczce wielką literę „Z” ponad, pomiędzy i pod piersiami nieszczęsnicy.

– *Hasta la próxima, querida mia* – szepnęła i przeskoczyła przez poręcz balkonu señority, wyłaniając się, tak się akurat złożyło, między dwoma wartownikami na obchodzie: niewidzialna, bezgłośna, choć – tego nigdy nie można być pewnym – niepozbowiona zapachu.

Budynek administracji, w surowym saperskim stylu, wzniesiono z betonu i tutejszego rzeczno kamienia. Prowadziły do niego długie schody wysokości mniej więcej samej budowli, a rzędy białych kolumn wskazywały rdzennie amerykański rodowód architektury – świątynię, której śmierć nie zmorze, co prawdopodobnie miało na celu dodawanie otuchy, zniechęcanie do zadawania zbyt wielu pytań i zaprzęgnięcie do pożytecznych uczynków wynikających z obywatelskiego umiłowania ojczyzny, a przynajmniej tej jego resztki, jaka pozostanie straumatyzowanym uchodźcom z nuklearnej zagłady, którzy mieli tutaj zamieszkać. DL podkraśla się do budynku i spotkała szeryfa na warcie. Odebrała mu broń, zanim kogokolwiek zobaczył, a następnie wystukała w jego punktach spustowych podprogram *Yukai na*, czyli Uciecha – limbiczny cykl przyjemnościowy niższego rzędu, który będzie się powtarzał, dopóki policjant zechce zachowywać się przyzwoicie. Weszli ręka w rękę do budynku, zupełnie jak Daffy i Bugs, i zjechali windą do podziemnego kompleksu nazywanego Biurem. Wyglądało to tak, jakby z nadświetlną chyżością opuszczali się w czeluść samej godziny szczurów. DL przęłykała ślinę, żeby odetkać uszy, i poszturchiwała szeryfa, żeby zrobił to samo, bo cała policyjna powłoka zamieniła się obecnie w uśmiech wniebowzięcia.

Znaleźli się w zimnowojennym koszmarze, w którym w radiu słycać same trzaski, na niebie dzieją się rzeczy nie do opisanania, w którym trzeba uciekać i po długiej jeździe w dół chronić się w podziemnym bunkrze, zatrząskiwać za sobą kolejne żeliwne coraz mniejsze włazy. Kwatery sypialne, woda, prowiant, elektryczność, ograniczone możliwości, połączenie z życiem za pomocą nieustannego buczenia lamp jarzeniowych i oczyszczanego powietrza. Chociaż teraz, jeszcze po tej stronie Niewyobrażalnego, miejsce to zapewniało najgłębszą dyskrecję tym, którzy dowodzili, oraz temu, co wyrządzali tym, których tu sprowadzano. Czy kaliber strachu mający swoje odzwierciedlenie w tej zabudowanej przestrzeni pozwala im korzystać z koszmaru w niepodlegający żadnej kontroli, zupełnie obłąkany sposób...? Daje im do tego upoważnienie?

Wszędzie cuchnęło biurowymi rozpuszczalnikami, papierem, plastikowymi meblami i dymem papierosowym, który wżarł się w wykładziny i zasłony. Przewodnik DL prowadził ją bez namysłu labiryntem o prostych kątach do jakichś drzwi, przez które wślizgnęła się do środka jak nindźa; zapaliwszy światło z zewnątrz i zostawiwszy szeryfa, mrużącę błogo i niemogące się poruszyć, samemu sobie.

Frenesi powiedziała jej później, że sen, z którego się obudziła, był tym samym snem, który opowiadała jej wcześniej – tym nawiedzającym ją z niemal księżycową precyzją i nazwanym przez nią Snem o Łaskawym Potopie. Nadmorskie miasto w Kalifornii, ciasna zabudowa, prawie wszystkie domy ze szkła, olbrzymie okna, w zasadzie szklane ściany drżące wraz z całą resztą pod naporem wichury od morza. To wszystko zalewa tsunami, o którym wiadano od dawna: wielka fala podświetlona przezroczystym zielonkawym światłem, wdzierająca się bez trudu w głąb lądu. Ludzie mają mnóstwo czasu, żeby uciec wyżej, a morze podpływa pod dom na wzgórzu, z którego Frenesi obserwuje kataklizm. W mieście nikt nie został, zniknęły plaże, wieżyczki ratowników, boiska do siatkówki, wszystkie kosztowne domy i działki rekreacyjne nad brzegiem oraz molo zalane chłodnym zielonkawym Potopem,

który niemal obezwładnia ją swym wdziękiem, przejrzyścieścią... Przygląda się temu przez całe „dnie”, a wokół niej zaczyna toczyć się życie, miasto rośnie na nowo nad nową linią brzegową. Pewnej „nocy” wychodzi na werandę i stoi tuż nad morzem, wpatrując się w niewidoczny horyzont; jest on niczym wiatr, który jest przemijaniem, przejściem na nieznaną stronę. Do jej uszu dobiega głos śpiewający ponad Wodami jakąś cudowną pieśń – taką, którą słyszy się tylko raz w życiu na haju w cudzym domu i której nie można sobie przypomnieć. Pieśń mówi o nurkach; przyjdą – nie teraz, ale niedługo – opuszczą się w fale Potopu i odzyskają dla ludzi „to, co zostało zabrane – obiecuje głos – to, co stracone...”.

Oczy Frenesi rozwarły się szeroko bez fazy przejściowej i ujrzały DL zdejmującą kominiarkę i roztrzepującą włosy – twarz DL na tle wewnętrznego nieba, łącząca się z wolną z jej imieniem i wspomnieniami o niej, zagubioną pośród rozświetlonej flarami nocy po śmierci Weeda.

– Siema! – rzuca DL z uśmiechem. – Nie śpisz? Bo mamy mały problem z czasem. Masz tu gdzieś kapcie, jakieś spodnie?

Frenesi pomacała wokół siebie.

– Jego tu nie ma – wymamrotała. – Wyjechał kilka godzin temu.

– Szkoda, miałam nadzieję na nagrodę. W końcu! Ale może innym razem. Gotowa?

– Jesteś pewna, że to...

– Zabiorę cię stąd, nie martw się.

– Nie, to znaczy...

– DL chwyciła ją mocno za ramię i wyprowadziła z pomieszczenia, a po reaktywacji szeryfa pojechali we troje na górę i znaleźli się na parkingu, gdzie DL wybrała mocnego jeepa z radiostacją i wyjechała nim na świeże powietrze. Kiedy światła obozu stały się tylko poświatą nad pasmem gór, zatrzymała samochód i wyprowadziła szeryfa z limbicznego podprogramu. Usiadł na trawie w ciemności i wiercił się niespokojnie, błyskając białkami oczu, próbując dojść do siebie, zastanawiając się, co go trafiło...

– Halo, panie władzo! – DL klasnęła w dłonie przed nosem szeryfa. – Powiedz coś! Kurwa, myślałam, że nastawiłam go na niskie obroty.

Odchrząknął i przełknął parokrotnie ślinę.

– Słuchaj, nie chciałabyś... wybrać się kiedyś na drinka? To znaczy, wiesz, ja piję tylko białe wino, ale ty... zamówisz, co zechcesz.

– Wrrr... – DL zgrzytnęła zębami, otworzyła strzepnięciem mapę i zapaliła długopisową latarkę. – Ta droga tutaj... wychodzi na północ od enklawy przy strumieniu?

Spłoszony, skierował wzrok ku zjazdowi prowadzącemu do drogi wylotowej. Wymiana radiowa utrzymywała się w normie i wkrótce wyjechali przez niestrzeżoną bramę na szeroką publiczną, naniesioną na mapę przestrzeń. DL zahamowała gwałtownie i wskazała brodą drzwi.

– Przykro mi, szeryfie, ale musisz pójść piechotą do Dodge City.

– A czy nie mogłabyś mi pokazać, jak to, no wiesz... się robi?
DL z sympatią wzruszyła ramionami.

– Nauka trwa lata, a jak już się tego nauczysz, to żadna frajda.

Zostawiły go przy drodze, wpatzonego w odjeżdżającego jeepa.

– Szkoda, że wcześniej nie przyszło mi to do głowy – mruknęła DL. – Mogliśmy zamienić Pentagon w gołębnik.

Cisza. Frenesi płakała, obróciła się i spojrzała za siebie, choć nie na szeryfa, ale na obóz, z którego uciekały. DL spodziewała się jakichś podziękowań, ale doszła do wniosku, że i na nie przyjdzie pora. Zresztą wszystko jedno.

Po spotkaniu z Howiem i Sledge'em pomknęła z podniesionym ogonem na I-5, prując na południe ku I-80. Wyrzuciła chłopaków przy wyjeździe na University Avenue i wylądowała w końcu z porozumiewającą się monosylabami, nieobecną Frenesi w Quilbasazos, niezbyt jeszcze modnej meksykańskiej wiosce rybackiej nad brzegiem Pacyfiku, oddalonej o kilka trudnych do przebycia kilometrów drogą

gruntową od nabrzeżnej autostrady. Wcześniej przesiadły się do camaro o niepewnym wieku i kolorze, zmieniły dokumenty, założyły na głowy chustki i poruszając się z dozwoloną prędkością, wpadły na wakacje do starego Meksyku. Obudziły się o zachodzie słońca w zrujnowanym hoteliku na obrzeżach wioski, słysząc marimby i towarzyszącą im muzykę dobiegającą z *cantiny* po przeciwnej stronie ulicy, czując smażony czosnek, pieczone mięso, prażone płatki kukurydziane, jednym słowem, czując – Frenesi uśmiechnęła się lekko po raz pierwszy – głód. W porze zapalania świec i wyłączenia duchów, ukrytych wcześniej po kątach, wyłoniły się z podwórka pełnego wiszącego kwiecica i ptaków w klatkach. Cienie hoteliku ustępowały miejsca wioskowemu, nasączonemu zachodzącym słońcem płaszczyznom, a barwy szaławii, moreli, suszonych na słońcu cegieł i wina przenikała zapadająca noc. Szły wijącymi się uliczkami tam, dokąd prowadziły je nosy, i w końcu stanęły nad brzegiem morza, gdzie na pomalowanych na zielono żeliwnych latarniach tliły się żarówki i gdzie ze wszystkich stron dobiegała muzyka – z radioodbiorników, akordeonów, gardeł śpiewaków, szaf grających i gitar. Z barów i kafejek wybiegli gazeciarze z wieczornymi wydaniem stołecznymi dziennikami, wykrzykując „*Noticias*” z regularnością nawołujących się ptaków, a ocean rozchlapał się o brzeg w odmiennym rytmie. Znalazły wolne drewniane krzeselka i stół przed restauracją, w której specjalnością dnia była mocno pachnąca czosnkiem, kminkiem, oregano i chili potrawka z owoców morza i pływającej w niej oceanicznej antologii resztek połowów dnia – radość dla oka, nie mówiąc o podniebieniu, które syciły za pomocą palców trzymających tortille. Obzerały się obie, a tymczasem na stole pojawiły się butelki piwa, ryż i fasola, mango i plastry ananasa posypane cynamonem, aż wreszcie, kiedy Frenesi powiedziała „Ojej!” i sięgnęła do torebki po paczkę koalsów, pojawił się sam właściciel, który zaczął zdejmować ceraty z sąsiednich stołów. „*Allover*”, rzucił, wskazując niebo. Weszły do środka i zaraz zaczęła się ulewa, usiadły w rogu i piły kawę, odpoczywając po

raz pierwszy od niepamiętnych czasów, mogąc rozmawiać bez potrzeby spoglądania na zegarek, bez oglądania się na Czerwone Brygady, uciekinierów w progę, zdjęcia i plany filmowe – wszystkie te pokadrowane kawałki czasu, wymagające po zaksięgowaniu niewyobrażalnego skupienia.

Wymieniały się powściągliwie nowinami na temat zlikwidowanej spółdzielni: Kriszna wysiadła z oświetlonego słabą pomarańczową żaróweczką, unieruchomionego volkswagena z siadającym akumulatorem i ruszyła w niezbadaną ciemność, podążając za głosem, który, jak przypuszczała, przywoływał ją po imieniu... Z kolei Mirage, wstrząśnięta, pogrążyła się w milczeniu, wróciła do Arkansas, rozdawszy wszystkie efemerydy, tabele, wykresy, a nawet świecące w czarnym świetle plakaty ze znakami zodiaku... Zipi i Ditzah pomaszerowały z pieśnią na ustach do majstrującej bomby komuny w środkowym Oregonie, skandując po drodze „Koniec ze światem ze snów!”, drąc się „Czas na rzeczywistość!” i „Prochletariusze wszystkich krajów łączcie się!”.

Frenesi, nadal ostrożna, zerknęła na przyjaciółkę.

– Wygląda na to, że te Piskówny miały rację – powiedziała głosem tak smutnym, że DL nie zdołała jej odpowiedzieć. – Wygląda na to, że biegałyśmy w kółko jak mali chłopcy z karabinami z plastiku, jakby kamera mogła być karabinem, jakby dawała nam jakąś władzę. Kurwa. Jak mogłyśmy tak zbłądzić, stracić z oczu rzeczywistość?! W dodatku całkiem na trzeźwo. Trzeba było ćpać Fioletowego Owsleya i mieć wszystko w dupie. – Kręciła głową, wbijając wzrok we własne kolana. – Nie tylko Weed zoczył z kursu, w obozie mówili, że byli inni, a FBI wszystko tuszowało. Więc do czego byliśmy im potrzebni? Kogo zbawiliśmy? Kiedy tylko wytoczyli armaty, sztuka filmowa odeszła w niebyt.

– W Berkeley mówi się, że Rex dał nogę z kraju.

Frenesi wyczuła coś jeszcze w głosie DL.

– A poza tym? – spytała.

– Nie spodoba ci się to. – Pacyficzna ulewa niosła ze sobą poszept, odległy głos z Japonii, który wrzeszczał na nią głosem

sensei Inosziro: „Nie, nie, idiotko! Przestań! Czy nigdy niczego się nie nauczysz?”.

Ale DL ciągnęła:

– Krążą plotki, że go wrobiłaś. Mówiąc szczerze, miałam z tego powodu kilka starć.

– Tak. Mają rację. Mogłam temu zapobiec – odparła Frenesi z poczuciem winy, to prawda, ale zbyt wystudiowanym.

Wyczulone na fałsz czujniki DL rozjarzyły się na czerwono. Szkoda, że nie zaalarmowały jej ust. Bo powiedziała:

– W tym kontekście pojawia się też nazwisko prokuratora.

Frenesi odstawiła kawę.

– Co, założę się, oznacza jakiś spisek.

– Ty mi powiedz, Frenesi.

– A co cię to obchodzi?

Zaczęły rozmawiać głośniej, a kiedy podnosiły głos, wymachiwały rękoma ponad stołem, niemal się dotykając i cofając szybko dłonie. Frenesi paliła jednego papierosa po drugim, a DL starała się nie czuć zbyt urażona, zbyt zadyszana, kiedy każdy nowy szczegół, każdy cios, na który nie mogła odpowiedzieć, przybliżał je do podjęcia decyzji, która była już nieodwołalna. Wkrótce przekrzykiwały się tak głośno, że zapomniały, gdzie są, więc postanowiły wyjść na dwór, gdzie jeszcze trochę mżyło w pozbawionych latarni, wijących się zaułkach, które przemierzały, kierując się ku neonowej poświacie hoteliku. Nie spały przez resztę nocy; płakały razem i oddzielnie, żądały, prosiły, obrzucały się wyzwiskami, powtarzały zaklęcia, celowo wszystko psując i psując jeszcze bardziej, bo wszystko się rozpadło.

„Nie jestem jakąś przeczystą istotą – chciała powiedzieć Frenesi – Królową Filmu, pozbawioną uczuć maszyną, gotową oddać wszystko za jedno ujęcie, zrozum, DL... błagam... wiesz, co się dzieje, kiedy moja cipka przejmuje stery, widziałaś, jak robiłam rzeczy, których on nigdy nie zobaczy”, na co DL, już trochę mniej zła, mogłaby odpowiedzieć: „To dzięki mnie, suko, robiłaś to wszystko”, a Frenesi poczułaby wówczas na całym ciele ukłucia najprawdziwszego pożądania dla swojej byłej już

partnerki, przedpremierowy pokaz rozkosznych kłopotów... bo ciało DL, którego strzelistą słodycz tak kochała, mogłoby teraz ją zranić, nawet okaleczyć i zrobić jej Bóg wie co jeszcze – wszystko, na co zasługiwała... Lecz znacznie gorsza byłaby świadomość, że sama ją do tego zmusiła, że odebrała jej rozum i tę nieziemską samokontrolę, którą wszyscy brali za pewnik, bo DL była bijącym miarowo sercem kolektywu, które nigdy nie poszłoby, jak Frenesi, na lep Brocka Vonda... A przecież czułaby satysfakcję, pozbawiając ją tego świętego opanowania i świętej cierpliwości; tak, wystarczy, że jeszcze trochę jej dołoży... Tyle że w końcu będzie musiała błagać o litość, udawać uległość, zwać winę na narkotyki za każdy swój upadek, porażkę, współudział, za posłuszeństwo, w czym nie byłoby niczego nadzwyczajnego, bo w tamtym czasie rządy wielu krajów rzeczywiście zaczynały podawać dragi – z niebywale niszczącym skutkiem – tym obywatelom, którzy stawali im na drodze. „Spuścił na mnie zasłonę torazyny”. Powiedziałyby Frenesi z piskliwym przerażeniem dziewczynki recytującej litanie z prowizorycznym woalem narkotyku znanego z wywoływania zaburzeń pamięci. Wstrzyknęli jej pięć miligramów stelazyny plus pięćdziesiąt torazyny, wstrzykiwali jej coraz większe dawki, aż doszli do wniosku, że jest już na tyle spokojna, żeby przyjmować specyfiki doustnie. Nauczyła się je wypluwać, sprytny manewr. „Ukrywali mi je w jedzeniu, więc zmuszałam się do wymiotowania, więc wrócili do zastrzyków i czopków. Uznali mnie za przypadek Uporczywej Odmowy Przyjmowania Leków, ale ich nabierałam. Bo tak naprawdę... spodobało mi się to. Uzależniłam się w ciągu paru dni. Nie mogłam się już doczekać... chciałam, żeby przyszli, unieruchomili mnie, wbijali we mnie igły, wtykali mi coś w odbyt. Pragnęłam tego rytuału... chowali przede mną narkotyki do ostatniej chwili, potem je mieszały, bardzo szybko, i podawali mi. Konowały nigdy na to nie wpadły, ale pielęgniarki owszem, te sztywniaki, które mi to robiły, przytrzymywały mnie, rozsuwały mi pośladki, tak, wszystko wiedzieli, spodobało się im to tak samo jak mnie...”. Czekala,

drząc z uległym sprzeciwem, stojąc pod oknem i trzęsąc się, a księżyc na wysokości rozświetlał jej gołe plecy, rzucając na nie cień łopatek, które wyglądały jak zagojone kikuty skrzydeł amputowanych rytualnie dawno temu za jakąś przewinę i naruszenie Kodeksu Aniołów.

– To trwało jeszcze jeden dzień i noc – wspominała DL – ale wszystko pozostało jedynie przeraźliwie smutnym dowodem zwykłej ludzkiej podłości. Wróciliśmy przez granicę w Nogales i wysadziłam ją przy wyjeździe z Las Suegras, i nie widziałam jej nigdy więcej.

– Tata mówił mi, że tam się spotkali, w Las Suegras – powiedziała Prairie – że Corvairsi grali przez dwa tygodnie w Phil's Cottonwood Oasis. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

– Przeważnie tak jest – rzuciła DL, bardziej tęsknie, niż uszczypliwie.

Siedziały w kuchni Ditzah, jedząc rozmrożone w mikrofalówce drożdżówki i pijąc kawę, kiedy zadzwonił telefon i Ditzah poszła odebrać. Prairie, znalazłszy się na powrót w przestrzeni niefilmowej, czuła się jak piłka do koszykówki po meczu Lakersów – żywa, elastyczna, wciąż napompowana duchem, ale dobrze pamiętająca, że przez kilka godzin umiejętnie nią kozłowano. Jej mama stała, na jej własnych oczach, z tysiadcwatowym punktowcem Mickey Mole'a nad trupem mężczyzny, który ją kochał, nad mężczyzną, który go zabił, i nad rewolwerem, który mu sama przyniosła. Stała nad nimi niczym Statua Wolności, niosąca światło, jakby częścią kontraktu było rozjaśnienie, zamiast ukrycia tego uczynku. Widziała mnóstwo materiałów filmowych Frenesi, niemal wszystkie ujęcia widziane jej okiem, filmowane jej ręką, ale to ostre przerażające światło, ten biały wylew, pokazał jej najdokładniej bezlitośnie prawdziwą twarz matki.

DL czekała, aż na nią spojrzy, ale nie doczekała się tego do czasu powrotu spochmurniałej nagle Ditzah.

– Eee, muszę wyjść do łazienki. – Prairie wstała od stołu.

– Nie, lepiej zostać. Dzwoniła Zipi, moja siostra, z Long Island.

Gdzie, jak policzyła Prairie, było już dobrze po północy. W poprzednim tygodniu, kiedy siostry rozmawiały po raz ostatni, Zipi wspomniała o Mirage, dzwoniącej do niej często z Fort Smith, którego nigdy nie opuszczała, odkąd tam wróciła. Stojąc twardo na stanowisku, że powinna się wyprzeć wszystkiego, czego nauczyły ją gwiazdy, wrócić na ziemię i zanurzyć się ponownie w zwyczajnej mięsistej duchocie życia własnej rodziny, której siłą napędową od zawsze było rozżalenie, a nie miłość – Mirage słyszała kiedyś na własne uszy, jak matka przeklina niebiosa za to, że nie zdołały dopasować barwy do koloru jej sukni – przekonała się, że to gwiazdy wybrały ją, a nie na odwrót, i że mimo wszystko jej przeznaczeniem jest czytanie z nich dla dobra ludzkości. Tego lata pod widzialną powierzchnią codzienności rozgrywało się coś tajemniczego i doniosłego... Retrogradujący Pluton przystanął na stacji przed wyruszeniem w dalszą drogę ruchem prostym. Dla większości planet oznacza to zmianę na lepsze, lecz dla władcy Krainy Śmierci retrogradacja jest czymś najlepszym, co może się mu przytrafić, bo kiedy trwa, ludzie sprawujący władzę, zamiast używać jej w doraźnych i prędzej czy później szkodliwych celach, mają szansę – gdy planeta mknie do tyłu na tle gwiazd – nauczyć się miłosierdzia oraz mądrości w czynieniu z niej pożytku. Właśnie wtedy megalomani interesują się innymi ludźmi, pytając, czy wszystko u nich w porządku, bezpańskie psy tarzają się w piachu brzuchami do góry i uśmiechają do listonoszy, deweloperzy rezygnują z gwałcenia matki ziemi, a dzieciaki, które wcześniej na przyporach wiaduktów malowały sprejem WYBIERAM ŚMIERĆ, zaczynają służyć do mszy w świeżo wypranych komeżkach. Ale tego lata wszystko to dobiegało końca, według Mirage. Pluton miał wrócić do swych usankcjonowanych z dawien dawna, podziemnych, nihilistycznych przyzwyczajień, znanych jako „normalny tok spraw”.

– Co oznacza, że Reagan zostanie wybrany na drugą kadencję – palnęła Zipi.

– Co oznacza, że wszyscy powinniśmy naprężyć paranoiczny mięsień – słaby piskliwy głosik, którym Mirage posługiwała się przez lata – bo każdego to dotknie na rozmaite sposoby. – Odkąd Mirage się skomputeryzowała i stworzyła własną bazę danych, nie było dla niej problemem stawianie od czasu do czasu, z nostalgii, horoskopów wszystkim członkom dawnej spółdzielni 24k/s, żeby przekonać się, jak im się wiedzie, i kontaktować się z nimi, jeśli horoskopy wskazywały, że naprawdę źle. Po raz pierwszy zadzwoniła do Zipi przed trzema laty podczas najgorszej fazy jej rozvodu, którego ścieżka dźwiękowa pochodziła z horroru dla nastolatków oglądanego w przydrożnym kinie, ale bez przytulania. Mirage natychmiast postawiła horoskop Sheldona i dowiedziała się, że widuje Pannę, powiązaną w jakiś sposób z jego pracą – i co powiecie, tak właśnie było! „To cud!”, krzyknęła z wrażenia Zipi. „To nie cud, ale wenusjański aspekt jego *Medium coeli*”, odrzekła Mirage. Od tamtej pory stała się dla Zipi wyrocznią; podpowiadała jej nawet typy w wyścigach konnych na torze Aqueduct, dzięki którym Zipi mogła trochę zarobić. Teraz zadzwoniła do niej z niepokojącymi wieściami o Plutonie. Po blisko dwustu pięćdziesięciu latach wędrówki – choć nie wygnania – poprzez zodiak ponury władca podziemi wracał do Skorpiona, swojego macierzystego terytorium – znaku zodiaku, którym współrządził wraz z Marsem i który, jak wskazała natychmiast DL, był znakiem Brocka Vonda. Od początku lat osiemdziesiątych Pluton przechodził zmiany, jakby celowo wdając się w bijatyki na granicach, jakby zupełnie nie chciał negocjować z tymczasowymi rządami, które prawie go nie znały. Przechodził z ruchu prostego w retrogradację i na odwrót, trzymając się o kilka zaledwie stopni od krawędzi domu, usiłując wydostać się z Wagi, wzmagając oddziaływanie, które, według Mirage, nie było wcale dobrotliwe.

Ale Zipi nie dzwoniła o tej porze, żeby przekazać wieści dostępne w każdym kiosku. Mirage powiadomiła ją, że Howie,

cierpiący w Piątym Domu Uciech, właśnie wpadł za kokainę, której nigdy nie używał. Usiłując dodzwonić się do pozostałych członków 24k/s, przekonała się, że dwoje, a może nawet troje spośród nich zniknęło nagle bez śladu i bez najmniejszego powodu. Zaczęła się bać, podobnie jak teraz Zipi, a żadna z nich nie wiedziała, co robić dalej.

– Co jej powiedziałaś, Ditzah?

– Że z tobą porozmawiam. Powiedziałam jej to, zwróć uwagę, w naszym prywatnym żargonie, takiej idiolalii, którą posługują się bliźnięta, więc przypuszczam, że ci, którzy nas podsłuchują, niczego nie zrozumieli.

– Pierwsze, co musimy zrobić, to przeczesać dom – objawiło się DL. – Masz gdzieś takie małe tranzystorowe radyjko?

– Masz ci los! Rozkręciłam telefon, nic nie znalazłam, ale zakładam, że założyli podsłuch Title Trzy.

DL włączyła tranzystorowe radyjko i wykonała wolno cały ciąg tai-chi we wszystkich pokojach, trzymając radyjko w ręku i obracając tam i z powrotem pokręteł. Procedura ta mogła wyeliminować jedynie co bardziej tandetne, mnie profesjonalne pluskwy, nadające na ogólnodostępnych częstotliwościach. Ale gdy tylko weszła do warsztatu na tyłach, rozległ się przeraźliwy pisk, zakłócający nowy singiel Madonny, który zaczynał podobać się Prairie. Znalazły pluskwę, lichutką nawet według standardów z 1984 roku, zdecydowanie nieprofesjonalną, z wyłazającymi drutami i tak dalej.

– To niemal jak obelga! Co nie? – zauważyła Ditzah.

– Typowe dla Brocka Vonda... wzgarda w najczystszej postaci. Ale za łatwo ją znalazłyśmy. Używają coraz więcej urządzeń na częstotliwościach czterysta pięćdziesiąt sześć – czterysta sześćdziesiąt siedem megaherców. Więc albo miałyśmy ją znaleźć, albo... nie chce mi się w to wierzyć... założyli nagle tyle pluskw, że zabrakło im urządzeń i musieli posłużyć się tym śmieciem.

– To prawdopodobnie tylko nasza paranoja – rzuciła Ditzah nieco zbyt niefrasobliwym tonem. – Nie mamy podstaw przypuszczać, że dzieje się tak w całym kraju, prawda? Powiedz

mi, że naoglądałam się dziś za dużo starych filmów. Powiedz mi, że to nie jest to, na co wygląda.

Prairie zwróciła uwagę na sposób oddychania obu kobiet, taki, który ponoć zapobiegał atakom paniki.

– W dawnych czasach nazywałyśmy to „ostatnią łapanką” – wyjaśniła DL. – Uwielbiałyśmy się tym straszyć, choć zagrożenie było całkiem realne. „Ostatnia łapanka” to dzień, w którym przyjdą, włamią się nam do domu i wsadzą wszystkich do obozów internowania. Ale nie takich ładnych jak w telewizji, tylko takich, które przypominają pastwiska, na których wszyscy staniemy się oficjalnie odczłowieczonym bydłem.

– Widziałaś takie obozy? – zapytała Prairie.

W dosyć beztroskiej dotąd rozmowie pojawiła się cisza jak plama na Słońcu. Ditzah, drżąca przy stole montażowym, skurczyła się w sobie w sposób, który, jak powiedziała DL, zmniejszał skuteczność trafienia. Ale odpowiedź DL zabrzmiała bagatelizująco:

– Owszem, widziałam. Twoja mama, jeśli pamiętasz, siedziała w takim obozie, ale nie będziemy już nudzić cię wspomnieniami, lepiej idź do jakiejś biblioteki i poczytaj o tym. Nixon zadbał o infrastrukturę masowych internowań. Reagan ma ją przygotowaną na wypadek najazdu Nikaragui. Sprawdź sobie, sprawdź.

Prairie otworzyła usta.

– Nie chodziło mi o to, no, wiesz...

– DL – przerwała jej Ditzah, zbierając szybko to, co potrzebne. – Co robimy?

– Schodzimy z linii strzału, póki się nie dowiemy, co się dzieje. Masz jakąś bezpieczną melinę na dziś?

– Zjedziesz po drodze do budki telefonicznej, to zadzwonię. A co z tym filmem, że o moich dziełach nie wspomnę?

– Takeszi przyjedzie po nie jutro furgonetką.

Ditzah zabrała plecak i wyszły w Trans-Amerykańską Ciemność.

– Myślałam, że skończyłyśmy już z tym gównem – powiedziała płacząco.

– Wygląda na to, że jest inaczej.

– Ale do czego mu jesteśmy potrzebne? Chce cofnąć czas? Z czym on nie daje sobie rady?

– Chce zawrócić przeszłość. Ot tak. Nie wiem zresztą, Ditzah. To wszystko jest zbyt porąbane, nawet jak na Brocka.

– Tak samo jak cały program Reagana, nie? Zdemontować Nowy Ład, odwrócić skutki drugiej wojny światowej, przywrócić faszyzm w kraju i na świecie, uciec do przeszłości. Nie widzisz tego? Cała ta infantylna głupota: „Nie podoba mi się, jak wyszło, chcę, żeby było po mojemu”. Jeśli prezydent może tak mówić, to co dopiero Brock!

– Patrzysz na wszystko z historycznej perspektywy, ale dla mnie on jest Zwykłym Złośliwym Skurwysynem, w rozumieniu technicznym, a wielu z tych ZZS-ów to zwyczajne chuje, co oznacza, że jeśli nie mogą czegoś mieć, bo dawno to stracili albo przegrali, rozpieprzają wszystko w drobny mak, póki nie padną.

– Ale co się stanie, jeśli nie padną? – zapytała Prairie. – Co się stanie, jeśli on nie przegrał?

– Och, Prairie, chyba nie sądzisz, że mówiłam o nim i twojej mamie... To prawda, że Brock usycha z miłości, okay, to najgorszy przeciwnik, bo uważa, że nie obowiązują go żadne zasady, żaden kodeks postępowania, że wszystko jest dozwolone. Wykorzystuje władzę i wierzy, że robi to w imię miłości, mając przed sobą zastępcę szeryfa ze strzelbą, zalewającego się łzami przy piosenkach Williego Nelsona. Rozumiem to, ale między mężczyznami chodzi o coś zupełnie innego: chodzi o to, kto naprawdę kieruje myśleniem Brocka, kto się zastanawia: „Do czego mogę go zmusić?” i „Gdzie są jego granice?”. A Brock myśli: „Zrobiłem mu to i tamto, nie było tak źle, ciekawe, czego teraz zażąda?”. Być może twoja mama jest tylko pretekstem, żeby to wszystko wyglądało normalnie i po ludzku i żeby chłopaki mogły dalej ruchać się dyskretnie.

– DL, jesteś pełna uprzedzeń – rzuciła Ditzah.

– Taa, mnie samej wydawało się to bardziej romantyczne – dorzuciła Prairie.

– Nie musicie mi wierzyć, ale zapytajcie Takeszkiego. Bo, według niego, jeśli nie ma się wojska w sile regimentu, a do tego odpowiedniego uzbrojenia, lepiej nie zaczynać z Brockiem. Nie chodzi tylko o to, że cierpi na monomanię i jest zabójcą, ale o to, że nic go nie powstrzyma! Posunął się do wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić, i więcej! To mi nie wygląda na miłość Freda i Ginger. Chce dopaść Frenesi, bo do czegoś jej potrzebuje. Chce ją wykorzystać jak do wystawienia Weeda przed laty. A ona jest jak... najniższa z pięciu klas kunoichi: Yu Jen, Wariatka. Nigdy nie wie, dla kogo pracuje.

– Myślisz, że aż tak bardzo nie wie? – spytała niepokieszona Prairie.

– Nigdy nie uważałam, że twoja mama kiedykolwiek usiadła, zastanowiła się i celowo wybrała którąś ze stron. Zawsze wierzyłam w jej sumienie. Zdarzało się, że od tego sumienia zależał mój własny tyłek. A sumienia nie da się wyłączyć i odejść, bo prędzej czy później, kiedy najmniej się tego spodziewasz, dopada cię i pruje na ciebie mordę, trąbi!

– Nie twierdzę, że w tamtych czasach w czyichś oczach nie mógł uchodzić za przystojniaka – powiedziała Prairie. – Ale skoro wiedziała, czym wszyscy ryzykujecie, to jak mogła?

Ditzah zachichotała.

– Uchodzić za przystojniaka!

– Dosyć długo nie potrafiłam pogodzić się z tym, co zrobiła, więc nie zastanawiałam się specjalnie, dlaczego to zrobiła. Wszystko jedno, i tak mogła zmarnować mi życie. Może zmarnowała.

Więc zły nindzamobil pędził szeroką Venturą pośród olimpijskich gości z każdej strony świata, rojących się po systemie autostrad w południowym, ciągnącym się do późnych godzin nocnych zagęszczeniu, pośród odpicowanych kawalkad czarnych aut na sygnale, wiozących dowolnego z kilku kandydatów na urzędy, krążowników zmierzających ku zadrzewionym i mniej rozryczanym bulwarom, pośród olbrzymich piętrowych i dwupiętrowych kamperów wypatrujących jakiegoś zadyszanego volkswagena

wspinającego się na wzniesienie i zajeżdżających mu drogę o piczy włos, a oprócz tego pośród ciot, dezerterów, pędzących jak pociski i rechoczących jak szympany cieniasów i alfonsów, ponad głowami telewidzów, kochanków pod wiaduktami, kończących się kinowych seansów, jaskrawych stacji benzynowych, zalanych jarzeniowym brudem, ukrytych pod liśćmi palm, które wkrótce otuli w korytarzach powierzchniowych ulic nocny smog, ceglane powietrze, woń dalekich fajerwerków – rozlewający się, porozrywany świat.

Czy Brock kiedyś w ogóle ją posiadał? Była taka minuta, może półtorej, tuż po wydarzeniach w College of the Surf, po śmierci Weeda Atmana i upadku LR³, chociaż teraz nie był już tego taki pewny. Pamiętał poranną mżawkę w pierwszym świetle dnia w obozie na północy, zajechał służbowym mercedesem z Roscoe, współpracownikiem, za kierownicą, okrążył rzędy przygniecionych chmurami baraków, stanął na asfalcie i czekał w cyjanowej poświacie wartowniczych lamp. Oficjalnie miał zbadać stan fizyczny zakładu i dokonać inspekcji populacji Programu Re-Edukacji Politycznej, PREP, swojego dziecka, konia, na którego postawił dla kariery, kruchej tafli lodu, po której stąpał z wyboru, żeby dostać posadę dżokeja przy Ustawie o przeciwdziałaniu przestępczości z 1970 roku, którą obiecał mu nie tak znów neofaszystowski kongresmen z okręgu Trasero, znajomy znajomych; ów solon był im winien parę przysług, za które nie raz i nie dwa mógł się znaleźć o włos od luksusowej siatki okalającej więzienie Allenwood w Pensylwanii. Ale dajmy na to – Brocka ekscytowała już sama myśl o tym wszystkim – że ryzyko się opłaci. Wówczas prawo, jego prawo, będzie gwarantowało, że zatrzymani podczas obywatelskich zamieszek będą wysyłani do takich jak ten rezerwatów Departamentu Sprawiedliwości, gdzie zbada się, na ile nadają się na kabli. Ci, którzy będą się nadawali, dostaną do wyboru federalne oskarżenie albo zatrudnienie przez federalną instytucję w charakterze niezależnych dostawców pracujących potajemnie dla, choć nie w, Biura Wywiadu Politycznego Departamentu Sprawiedliwości. Po zaliczeniu pełnego przeszkolenia zawodowego, obejmującego posługiwanie się

różnorodnymi rodzajami broni, będą mogli zostać przeniesieni – kontrakty już opłacono – do FBI, pod którego nadzorem będą infiltrować, często raz za razem, kampusy, radykalne organizacje i inne ogniska niepokojów wewnętrznych. Zatem oprócz immunitetu chroniącego przed odpowiedzialnością karną, będą mogli spełnić – przyznawane im sezonowo z woli prawodawcy i dobrze rokujące, jeśli chodzi o nabór – klasyczne absolutoryjne Marzenie o Jesiennym Powrocie na jeszcze jeden semestr, jeszcze jedno zaliczenie przedmiotu, słowem, o kolejnej szansie znalezienia się na uczelni – tak jest, pod warunkiem że się za to odpłacą pożytecznymi usługami, FBI wsadzi ich nawet do maszyny czasu, jeśli będzie trzeba i będzie im na tym zależało, bo w taki właśnie pełen determinacji sposób działają gliny w tych czasach.

Geniusz Brocka Vonda polegał na tym, że w aktywności społecznej z lat sześćdziesiątych ujrzał nie tyle zagrożenie dla porządku, ile niezwerbalizowane marzenie o nim. Gdy w Pudle dzień za dniem ogłaszano młodzieżową rewolucję przeciwko rodzicom wszelkiej maści, a większość widzów przyjmowała ślepo tę wiadomość, Brock widział w tym tylko głęboką – niekiedy wręcz ujmującą, jeśli miałby pozwolić sobie na wyrażenie własnych uczuć – potrzebę zachowania dzieciństwa na zawsze, ukrycia się po wsze czasy w łonie jakiegoś wielopokoleniowej ogólnonarodowej Rodziny. Przeczucie, na które stawiał, podpowiadało mu, że te zbuntowane dzieciaki – od samego początku niemal nawrócone – łatwo da się nawrócić w całej pełni, a potem przepoczwarzyć niezwykle tanim kosztem. Gdyż w gruncie rzeczy słuchały tylko złej muzyki, wdychały złe opary i podziwiałały nie te autorytety, co trzeba. Wystarczy je tylko trochę uwarunkować.

Tego ranka w PREP nie będzie śniadania – kuchnia nie działa jeszcze pełną parą, więc tylko obsługa jadła regularnie, a nieustannie debatujący „goście” jedli, kiedy mogli... kiedy jedli. Brock nie przyjechał tu, żeby to oglądać. Przyjechał na Poranny Apel, Poranne Składanie Raportów. Nieważne, czy obudzą się głodni, nieważne, czy w ogóle spali, nieważne, czy

było im ciepło przy tych przetaczających się północnopacyficznych frontach, nadawana przez głośniki pobudka wyrzuci ich na dwór... a wtedy zobaczy... Bo przecież nawet on wiedział, że przyjechał tu tylko po to, żeby ujrzeć Frenesi pośród nich: długowłosych mężczyzn, którzy stali się kobietami, kobiet, które stały się małymi dziećmi, roju gołych kończyn, małych gołych dziewczynek ubranych tylko w kurtki z frędzlami swoich chłopaków, opuszczających wzrok, odwracających głowy, nigdy niepatrzających na zadających pytania, i pośród chłopaków z włosami do ramion, włączającymi im w oczy... słowem, pośród całej tej łagodnej trzódki, która, bądźmy szczerzy, czuła się znacznie lepiej za kratami. Dzieciarnia marząca o dyscyplinie. Frenesi nigdy nie uwierzy – jeśli, rzecz jasna, nie zmusi jej do tego torturami – że jest w stanie ją więzić. Wiedział, że będzie pilnie strzegła tego, co uznawała za swoją wewnętrzną niezależność, że będzie dalej wyobrażała sobie, że jest bezpieczna, ciągle spójna... ale oto pojawi się Brock, nieunikniony świadek, i przyjrzy się jej w kontekście, którego nie będzie mogła się wyprzeć – całej reszty, wszystkiego, co miała z towarzystwa tych tak zwanych ludzi. Słaba pociecha dla Brocka Vonda, choć siedząc na skórzanej tapicerce, zerkając jednym okiem na „Today Show”, słuchając jednym uchem taktycznych częstotliwości przyspawanych do przednich i tylnych głośników, wdychając opary bezkofeinowej kawy, nie zdziwił się wcale, że ma wzwód.

Roscoe wiedział, że ta poranna wizyta jest ściśle tajna. To miejsce oficjalnie jeszcze nie istniało, Kongres bowiem wciąż nie przyjął ustaw i nie przyznał funduszy. Widział podenerwowanie Brocka – w lusterku wstecznym nie dało się ukryć mnóstwa ukradkowych gestów. No, ale siedzieli razem, on i Waźniak, w służbowym pojeździe Departamentu Sprawiedliwości, za ministerialne pieniądze, odgrywając kolejną niezrozumiałą sztukę młodego Vonda o seksie i władzy, czemu, rzecz jasna, młody Vond by zaprzeczył, gdyby Roscoe był na tyle głupi, żeby go o to zagaić. Roscoego za cholere by tutaj nie było, gdyby cokolwiek zależało od niego, ale nie

zależało od tej pamiętnej czwartej rano, kiedy stanął oko w oko z tymi od spraw wewnętrznych, odzianymi w pleksyglas i kevlar, trzymającymi w pogotowiu czarną jak smoła broń. „Chłopaki!”, usiłował gorąco zaprotestować z ustami pełnymi resztek ostatniego darmowego cheeseburgera LA Deluxe, z którym przyszło mu się na pewien czas pożegnać. „Jeeezu, ale mam przerąbane” – chciał zacytować Shangri-Las i dokończyć: – „ale nigdy nie wpadłam”, tylko że zakrztusił się kawałkiem gąbczastej bułki i rozkasłał.

Odkąd Roscoe zaczął pracować z Brockiem, nie myślał o sobie jako o przydupasie, ale widział się w roli starego wiarusa, dzielącego się, jeśli tylko młody chciał słuchać, pożytecznymi radami i mądrościami na każdy temat. Na przykład o tych ptaszkach w tym tu zakładzie.

– Nie wiem – mamrotał – czy byłeś kiedyś na pierwszej linii i widziałeś te dzieciaki z bliska... ale niektóre z nich wcale nie udają, naprawdę wierzą w to wszystko, tak jest, i to, powiadam ci, twardy orzech do zgryzienia... z tymi długimi włosami i resztą. Nie nawrócisz ich... i nigdy im nie ufaj, chociaż już im zaufałeś.

– Przeniesie się ich gdzieś indziej. Od początku wiedzieliśmy, co z nimi zrobić. Liczę na to pozostałe dziewięćdziesiąt procent: amatorów, konsumentów, tych, co mają owsiki w tyłku, i tych, co chcieli się tylko podjarać, poderwać dziewczyny, przypalić skręta, nic politycznego. Łowimy, Roscoe, w głównym nurcie.

Nie było sensu się sprzeczać, bo Brock zawsze mógł zamknąć mu usta, choćby przypominając, ile mu zawdzięcza, ale nie sprzeczał się z nim i dlatego, że wierzył, że młody Vond nie jest na tyle głupi, by nie wiedzieć, co kryje się za jego milczeniem, które niekiedy było bardziej wymowne od wykładu. Brock ze swej strony cenił milczenie Roscoego, tak jest, a im dłużej ten milczał, tym bardziej Brock to doceniał. Milczenie stanowiło ważny element jego koncepcji idealnego podwładnego, którego wyobrażał sobie jako kogoś w rodzaju nieco mniej elokwentnego Tonto. Niewykluczone, że Roscoe podobnie wyobrażał sobie własną rolę i głównie z tej przyczyny starał się

nie zanudzać Prokuratora szczegółami często na polu cudownego rozwiązania takiej czy innej sprawy. Bo kto, jeśli nie Tonto, uczył Lone Rangera tych wszystkich pożytecznych indiańskich sztuczek, żeby wreszcie na końcu ocalić mu tyłek?

Lecz nawet ta ostateczna przysługa nie wymazałaby długu, jaki Roscoe miał wobec Vonda, który jeden jedyny raz – wtedy kiedy miało to największe znaczenie – wstawił się za nim. Odpłatę mierzył w jednostkach bezwarunkowej lojalności, obejmujących – choć niewyłącznie – ocalenie tyłka, zmiana po zmianie, aż do emerytury, której wysokość wciąż pozostawała nierozstrzygnięta, czym zajmowali się prawnicy obu zainteresowanych stron. Roscoe nie tylko całkiem dosłownie ocalił raz czy dwa dupę Brocka, ale i swoją posiadłość tyle samo razy – posiadłość, którą bardzo cenił, przez co chronienie tyłka Vonda nie stało się najniższym punktem jego zawodowej kariery. Podczas tej pamiętnej strzelaniny na polu marychy przerażony i ciemny jak tabaka w rogu Brock szedł za nim jak rekrut za sierżantem, szedł za nim w odurzającym zapachu żywicy, gdy wielki naród wypowiedział wojnę roślinie, a kule świszczały między cienistymi liśćmi, rozrywały łodygi i wbijały nasiona z *colas*. Brock papugował każdy ruch Roscoego niczym cień, aż dobiegli do helikoptera i unieśli się chyżo w powietrze, niczym modlitwa do Boga, niczym dwa gołąbki pokoju.

– Roscoe – mamrotał Brock Vond – och, chłopie, zawdzięczam ci, och, zawdzięczam ci Największe Żet ze wszystkich, i, być może, nie zawsze wiedziałem, ile ci zawdzięczam, ale tym razem, przysięgam, wiem...

Roscoe był za bardzo zdyszany, żeby go prosić, żeby mu dał to na piśmie. Kiedy w końcu otworzył usta, rozdarł się, chrypiąc i przekrzykując łomot łopat wirnika:

– Czuję się, jakbyśmy zagrali w *Filmie tygodnia!*

Podczas tego kryzysowego objawienia Prokurator wreszcie trafił w sedno. Bo nigdy nie wiedział do końca ile, a nawet, kiedy komuś coś zawdzięcza. Na początku ich współpracy Roscoe, wielce tym poirytowany, brał to za tak jawnie szczeniacką niewdzięczność, że o mało nie rzucił wszystkiego

w cholere, o mało nie złożył dymisji i o mało nie zaczął szukać jakiejś fuchy konsultanta do spraw bezpieczeństwa z dala od stolicy państwa – bo komu to potrzebne? Jednak po bliższym przyjrzeniu się sytuacji przekonał się, że jego nowy szef nie ma bladego pojęcia o życiu na ulicy, a nawet – co wyszło na jaw przy wielu kolejnych okazjach – o zwykłym świecie, w którym ktoś musiał podejmować decyzje w jego imieniu. Nie chodziło o to, że Vond kierował się jakimś własnym kodeksem moralnym, choć pewnie chciał, żeby tak to wyglądało, ale Roscoe skapował niemal od razu, że ma do czynienia ze zwykłą grubą tarczą ochronną. Tego klienta zwyczajnie nie dotykały niektóre życiowe sprawy, przez co nie musiał zaprzętać sobie nimi głowy, co z pewnością dodawało chłopakowi brawury, ale w ogóle nie tłumaczyło jego nadprzyrodzonego szczęścia, tej aury, którą rozpoznawali wszyscy, zarówno zwycięzcy, jak i przegrani, i którą widział sam Roscoe – o czym zeznał pod przysięgą – podczas tej strzelaniny na polu marychy jako przejryste białe światło okalające całą postać Brocka, które, jak uważał Roscoe wtedy i później, chroniło go przed kulami. Więc kto kogo osłaniał i kto komu uratował tyłek podczas tamtego wonnego poranka przed laty, he?

Z żelaznych głośników zawieszonych na ociosanych jodłowych pniach ryknął hymn narodowy. Brock wysiadł z auta i stanął, lecz nie na baczność, ale oparty łokciem o dach samochodu, by przyrzeć się zatrzymanym wychodzącym jeden po drugim na plac apelowy. Zbliżali się tylko na taką odległość, z której mogli się przekonać, że Vond nie przyniósł im nic do jedzenia, a potem cofali się i zbijali w małe grupki na obrzeżach asfaltu i wymieniali się uwagami – niesłyszalnymi z tej odległości.

Brock przyglądał się każdej kolejnej twarzy, odnotowując stygmaty, parady cofniętych czoł, teriomorficznych uszu i niepokojąco pochyłe frankfurckie płaszczyzny horyzontalne. Był entuzjastą pionierskiej myśli kryminologicznej Cesarego Lombrosa (1836–1909), który uważał, że mózgom przestępców brakuje płatów odpowiedzialnych za cywilizowane wartości,

takie jak moralność i poszanowanie prawa, że mózgi te przypominają w istocie struktury zwierzęce, a nie ludzkie, wskutek czego mieszczące je czaszki rozwijają się zupełnie inaczej, co z kolei decyduje o wyglądzie twarzy. Wyjątkowo duże oczodoły, prognatyzm, nadoczodołowa submikrocefalia, sterczące guzki Darwina, do wyboru, do koloru – Lombroso sporządził bardzo długą listę defektów czaszki na potwierdzenie teorii. W czasach Brocka teorię tę traktowano jako osobliwy, niewątpliwie rasistowski odprysk dziewiętnastowiecznej frenologii, prymitywnej pod względem metodologicznym i dawno przebrzmiałej, co nie zmienia faktu, że jej tezy wydawały się Brockowi logiczne. Jego uwagę zwróciło szczególnie Lombrozjańskie pojęcie „mizoneizmu”. Radykałowie, bojownicy, rewolucjoniści wszelkiej maści grzeszyli przeciwko tej głęboko organicznej, ludzkiej wartości, którą Lombroso zdefiniował za Grekami jako „nienawiść do rzeczy nowych”. Zasada ta służyła od wieków jako instrument poznawczy, zapewniający społeczeństwu poczucie bezpieczeństwa i spójności. Każda nagła próba zmiany biegu rzeczy spotykała się z natychmiastowym mizoneistycznym sprzeciwem, nie tylko Państwa, ale i ludu – wybór Nixona w roku 1968 był, według Brocka, doskonałą ilustracją tego fenomenu.

Lombroso podzielił wszystkich rewolucjonistów na pięć kategorii: geniuszy, entuzjastów, głupców, szubrawców oraz wyznawców – co, jak wynikało z doświadczenia Brocka, mniej więcej wyczerpywało temat, z wyjątkiem dodatkowej, nieprzewidzianej przez Lombrosa, szóstej kategorii, jeszcze bez nazwy, tej, na którą czekał teraz Vond i która wreszcie się pojawiła, maszerując ku niemu w mżawce: szczuplejsza o kilka kilogramów, z potarganymi włosami, bosa, bez kamer, jedynej broni świadka, jeśli nie liczyć oczu. Przystanąła dwa, trzy metry przed nim; wpatrywał się w jej lśniące uda, a kiedy się zbliżył, zadrżała i skrzyżowała ręce na piersi, próbując się otulić niewidzialnym szalem lub wspomnieniem tego, który kiedyś nosiła... Ale znalazł się zbyt blisko. Wyciągnął palec i uniósł jej

podbródek, zmuszając ją, żeby na niego spojrzała. Stali naprzeciw siebie w świetle, w którym nie było ani jednego fotonu czerwieni. Spojrzała mu w oczy, potem na jego członek – tak, w erekcji, zgadza się, wybrzuszający fałdy jasnych federalnych spodni.

– Też o tobie myślałam. – Głos miała schrypnięty od półtorej paczki więziennych fajek dziennie.

Pyskata. Któregoś dnia zmusi ją, żeby uklękła przed nim przy wszystkich tych gapiących się pytająco potworach, przyłoży jej pistolet do głowy i wsadzi coś do ust, żeby je zamknąć. Zawsze kiedy wyobrażał to sobie na jawie, pojawiał się pistolet – termin kluczowy. Teraz, czując przyspieszające nieco bicie serca, odezwał się tonem prodziekana do spraw studenckich:

– Jak ci się podoba nasz kampus? – Wykonał zamaszysty gest, mówiący „to moje, wszystko moje!”. – Zajęcia sportowe w pełnym wymiarze, biuro kapelana z kapelanem, pastorem, księdzem i rabinem! Może zorganizuje się nawet parę koncertów rockowych...

Chciała się roześmiać, ale się rozkasłała.

– Lubisz taką muzykę? Zakazuje jej konwencja genewska. Nic za to nie kupisz, kapitanie.

– Uważasz, że prowadzimy negocjacje?

– Myślałam, że flirtujemy, Brock. Kolejne rozczarowanie, z którym muszę nauczyć się żyć. – Przyłapała się na tym, że znów gapi się na jego kutasa, a potem ujrzała jego uśmiech, zalotny, jak mu się zapewne wydawało.

– Tutejszy komendant zna mój numer. Nie zwlekaj. Kamerzyści czekają. – Odsunął palec i strzelił nim, co uniosło jej brodę o kolejny centymetr.

Oddychała przez nos, piorunując go wzrokiem. Politycznie poprawna odpowiedź powinna brzmieć:

– Kiedy twoja matka przestanie robić laskę zabłąkanym kundlom. – Później przyszły jej do głowy inne, z których mogła skorzystać. Ale wtedy, kiedy to miało znaczenie, milczała, stojąc z zadartą głową, wpatrując się w tyłek amanta, sadowiący się

na powrót w aryjskim sedanie. Przeżyła barwną, trwającą pół sekundy halucynację, podczas której zobaczyła Brocka w błysku pioruna z Oklahomy, mocne niebieskawe ciało, nieustępliwa skała, z rozbijającymi się na niej falami, na których płynęła, płynęła i płynęła, czując ich potęgę, lecz jej nie pojmując...

Roscoe przekręcił kluczyk w stacyjce. Przyglądając się przemokniętej dziewczynie w ubłoconej mini, wcisnął gaz, a silnik zawył sugestywnie.

– Nie psuj mi roboty. – Brock Vond pochylił się do przodu, bardziej niż poirytowany. – Okay? Tylko tego mi teraz trzeba! Twoich wygłupów! Żeby spieprzyć wszystko, co tu osiągnąłem! Próbując zdestabilizować figurantkę, a nie śpiewać jej serenady!

– Chciałem im tylko pokazać, kto tu rządzi, nic więcej – wymamrotał Roscoe, robiąc ostry zakręt o sto osiemdziesiąt stopni; w połowie drogi do bramy wpadł w poślizg i zostawił za sobą dwa wielkie „S”, które jeszcze długo widniały na mokrym asfalcie.



Brock, prowincjusz i dziecko szczęścia, powołany wcześniej – chóry anielskie na ścieżce dźwiękowej – do władzy w białym mieście swojej matki, gdzie stał się, tak jak sobie wymarzył, starannym wyrobem starszych mężczyzn, był średniego wzrostu, szczupły i jasnowłosy i włókł za sobą czujną i niezbyt godną zaufania towarzyszkę: niedorozwiniętą kobietą osobowość, wobec której jej męski, sprawujący, jak można domniemywać, funkcje dominujące odpowiednik musiał, niestety, mieć się na baczności. W snach, na które nie miał wpływu i których nie dało się kontrolować rozumem, w snach, których nie dało się skazić alkoholem ani narkotykami, nawiedzała go pod wieloma postaciami jego własna niespokojna anima pojawiająca się najczęściej jako Wariatka ze

Strychu. Brock przechadzał się po pokojach dużego wspaniałego domu, należącego do ludzi tak zamożnych i potężnych, że nigdy ich nie widywał. Ludzie ci pozwalali mu tam mieszkać, ale pod warunkiem, że będzie sprawdzał, czy wszystkie drzwi i okna – dziesiątki okien i drzwi – są zamknięte i nikt ani nic nie zakradnie się do okazałego dworu. Inspekcji okien i drzwi należało dokonywać codziennie i kończyć ją przed zmrokiem. Musiał zajrzeć do każdej garderoby i w każdy kąt, na każdą tylną klatkę schodową i do każdej odległej komórki, a na samym końcu na strych. Do tego czasu robiło się już późno, zapadał zmierzch. O tej niespokojnej porze schyłku dnia, o zmroku, na tym i na innych światach nie można liczyć na miłosierdzie. Wyzwalają się wówczas energie, materializują masy. Wspinał się po schodach na strych w półmroku, by stanąć przed drzwiami. Słyszał jej oddech – już na niego czekała. Otwierał bezradnie drzwi, wchodził do środka, a ona ruszała ku niemu, niewyraźna, niedoświetlona, z wyjątkiem błyszczących oczu. Nieugięty zwierzęcy uśmiech, tupot stóp – rzucała się na niego, przewracała go. Umierał pod nią i budził się we własnej sypialni pod białą narzutą złożoną schludnie jak rzeźnicki papier owijający sztukę mięsa – na wznak, sztywny, spocony, wstrząsany uderzeniami serca.

Na jawie był, rzecz jasna, zupełnie innym facetem, tak bardzo dającym się lubić, że jakiegokolwiek anse wobec Prokuratora stawały się wręcz niewyobrażalne, nawet dla przestępczych degeneratów, których zamykał w więzieniach. Emanował urokiem, który przekraczał granice polityczne, a on sam był znany zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie stołecznej obwodnicy, jako ceniony gawędziarz i bon vivant potrafiący docenić subtelne różnice w daniach, winach i muzyce. Kobiety wprost za nim przepadały z przyczyn, których nie potrafiłyby lub nie chciałyby wymieniać. Małe kolorowe staruszki z Trzeciego Świata, sprzedające kwiaty na straganach w podejrzanych miejskich zaułkach, rzucały się na niego, aby go uściskać i obdarować, dygając, bukietami fiołków, które zaraz oddawał swym nieodmiennie

oczarowanym towarzyszkom, prawdziwym pięknościami w supermodnym zazwyczaj opakowaniu, na których wspomnienie, odnotowane nawet kątem oka na ulicy, większość mężczyzn szukała szybko jakiegoś intymnego zakątka, żeby się wymasturbować najszybciej jak się da bez zadawania zbędnych pytań.

No cóż, życie jak w Madrycie, można by powiedzieć. Ale Brock pragnął więcej.

Rozsmakował się niebezpiecznie w dryfowaniu po tych poziomach, na których wszyscy się znajdują, gdzie bez względu na losy politycznych fortun maluczkich rok po roku spotykają się ci sami ludzie, Prawdziwi Ludzie, pilnujący, żeby to, co im się należy, nie przestawało spływać w ich stronę. Prokurator Vond chciał tam zostać na stałe, lecz z wolna pojmował, że dla kogoś o jego pochodzeniu nie ma innej drogi na szczyt jak poprzez samoponiżenie, płaszczenie się, bycie popychadłem, zabieganie o napiwki i okazywanie innym takich dowodów gorliwości, by można go było awansować na życiowym polu chwały do rangi wyższej niżli ta, która mu przypadła z urodzenia. Choć miał wiele wad charakteru, żadna nie była tak irytująca jak owa wielka chrapka na bycie dżentelmenem, podsycana uporczywym wypieraniem ze świadomości powszechnie znanego faktu, który sprowadzał się z grubsza do tego, że bez względu na to, ile zarobi pieniędzy, ile zdobędzie politycznych urzędów i punktów za dobre maniery, nikt z tych, wśród których pragnął się znaleźć, nigdy nie potraktuje go jako kogoś innego niż zbira do wynajęcia.

Ale Brock nie czuł się jak zbira i, co więcej, nie wyglądał na zbira. Zawsze kiedy się golił, dzierżąc mocno w dłoni warczące cichutko życie, widział przed sobą Lombrozjański dowód na karierę na tyle uczciwą, by zdołał sprzedać swe pomysły i przekonania każdemu na każdym z dostępnych poziomów. To samo odnosiło się do jego ciała, a Brock w tamtych czasach znany był jako ktoś w rodzaju uzdrowiskowego Don Juana, dla którego rekreacja i seks są jednym i tym samym. Z biegiem czasu nauczył się transponować analizę Lombrozjańską

z fizjonomii na cielesność i odkrył, że istnieje coś takiego jak przestępcza anatomia. Widywał ją często w pracy, a czasem, mniej świadomie, szukał oznak transgresji u kobiet, z którymi się spotykał, a nawet tych, których pragnął: spuszczonej z poczuciem winy głowy, bestialsko zadartego pośladka, napinającego się ukradkowo kręgosłupa. Niektóre z tych kobiet rzeczywiście pieprzyły się jak króliki, jak później opisywał swoje doświadczenia – głównie ze względu na własną reputację, bo w rzeczywistości uwielbiał seks, a nawet miał na jego punkcie obsesję. A przy tym – wyobraźcie sobie – śmiertelnie się go bał. W koszmarach sennych zmuszany był do uprawiania prokreacji z kobietami, które zbliżały się do niego nie z niższego czy równego poziomu, ale z wysoka, pod ostrym kątem, jakby skądś spoza powierzchni ziemi, a Brock nie czuł wówczas erotycznego podniecenia, ale za każdym razem dojmujący smutek, pogwałcenie... jakby coś mu odbierano. Pojmował w przedziwny, trudny do zaakceptowania sposób, że każde poczęte w ten sposób dziecko, każde narodziny, będą dla niego kolejną śmiercią.

Kiedy w wielkim marmurowym kompleksie dotarła do niego wiadomość o ucieczce Frenesi z PREP, Brock oszalał – poleciał prosto do LA, wpadł szturmem do twierdzy w Westwood, z niekontrolowanym umysłowym wzwozem, i przez pewien czas zachowywał się jak terrorysta trzymający na muszce całe biuro. Nikt nic nie wiedział. W tamtym czasie wszyscy byli zajęci ponadstandardowym tłumaczeniem opinii publicznej, na czym polegał „sukces” Vonda w College of the Surf. Wszystkie akta spółdzielni filmowej 24k/s, w tym akta Frenesi, znajdowały się tymczasowo poza budynkiem. Sprawa nie należała już do Brocka, a on nie zdołał dowiedzieć się, komu ją przydzielono. Kiedy mógłby już to zrobić, doprowadził się do skrajnego wyczerpania po serii ciągnących się w nieskończoność iteracji w jakimś hotelu przy lotnisku, w którym po korytarzach snuli się bez celu zmęczeni zmianą stref czasowych mężczyźni w pogniecionych garniturach, a ryk dobiegający z nieba nigdy nie ustawał. Vond płakał, okładał się pięściami po głowie i ciele

i robił wszystkie głupie rzeczy, jakie można w takiej sytuacji zrobić, czując się jak narciarz na nieznanym, oznakowanym na czarno stoku, wiedziony siłą ciężenia, przejmujący kontrolę, tracący ją... Ten zjazd trwał przez całą noc i odebrał mu w końcu rozum. W samolocie, którym miał lecieć z powrotem do Waszyngtonu, usiadł obok dziewczynki, która zerknąwszy na jego twarz, wybuchła głośnym płaczem.

– Ten pan będzie mnie dotykał, mamusiu! Zginiemy!

Brock, mamrocząc coś pod nosem o sprawowanym przez siebie urzędzie prokuratora federalnego, sięgnął rozdygotanymi dłońmi po dokumenty, lecz patrzącym wydało się, że sięga po broń, wskutek czego zawyli i przeżegnali się znakiem krzyża. Samolot nie rozpoczął jeszcze kołowania. Brock, zbyt przygnębiony, by przyznać przed samym sobą, że ma coś do stracenia, wymusił na obsłudze i załodze usunięcie dziewczynki i jej matki z samolotu.

– Głupia smarkula – syknął, gdy rozdygotane dziecko wstało i otarło się tylną częścią ud o jego kolana, żeby przejść.

Po powrocie do Waszyngtonu, usiłując się wytłumaczyć ze swojego zachowania i chronić własny tyłek, Brock naprawdę nie miał czasu, żeby wysledzić Frenesi, ale, jak przyznawał później, nie przestał o niej fantazjować. Wkrótce onanizował się każdej nocy, przywołując w wyobraźni zapamiętane obrazy Frenesi: w łóżku, siedzącej na muszli klozetowej, przechadzającej się ulicą, na górze i na dole, ubranej i gołej. Leżał samotnie na wypożyczonej kanapie z psychodelicznym nadrukiem, stojącej w nowym klimatyzowanym mieszkaniu przy Wisconsin, w posępnym migotaniu Pudła, wracając myślami do przeszłości, czując ciśnienie łez, które bez wątpienia nigdy nie popłyną. W pracy trochę się uspokoiło, przegródki w jego mózgu odpowiadające za pracę były frenesiszczelne, choć od czasu do czasu, zazwyczaj w okolicach pełni, chutliwi strażnicy zapominali domknąć właz, a wtedy Brock podążał mimowiednie ku Dupont Circle czy innym miejscom spotkań młodzieży, gdzie bezkrytycznie zadawał się z hipisami, czarnymi i narkomanami, gdzie znosił męźnie ich

muzykę i bliskość, rozglądając się za mocnymi szczupłymi nogami, gęstą grzywą włosów, czy – przy odrobinie szczęścia – za tymi fatalnie błękitnymi jak Pacyfik oczami, mając nadzieję, że przy współpracy światła znajdzie jakąś dziewczynę, na którą będzie mógł projektować ducha Frenesi, kogoś, kto poda mu kwiat, poczęstuje džointem (cudownie!) i zgodzi się pójść za nim na poplamioną spermą kanapę, i da się posiąść, i... Brock, Brock, opanuj się! W starożytnym cieniu leżał zwinięty spiralnie inny doradca, który syczał: „Uwolnij się”. Brock bardzo tego chciał, obawiał się, co może się wydarzyć, jeśli nie opanuje impulsów. Kiedyś, nie tak dawno temu, trzeźwy i całkiem przytomny, roześmiał się na widok czegoś w Pudle. Śmiech ten, zamiast wspiąć się na szczyt, skulminować się i ucichnąć, nasilał się z każdym oddechem, zmierzając ku jakiemuś niewyobrażalnemu schorzeniu umysłu, wypełniając go i zalewając, odbierając mu rozum i popychając ku nadprzyrodzonemu zgoła oszołomieniu zupełnie nieznaną w zwykłych trzech wymiarach drogą. Był przerażony. Miał wrażenie, że mózg wycinuje mu się jak ściągana skarpetka, i nie miał pojęcia, co będzie dalej. W pewnej chwili zwymiotował, przerwał jakiś cykl, i to – jego zdaniem – zdołało go „ocalić”: jakaś część jego fizjologii kontrolująca mdłości. Uznał to za wielkie odkrycie na swój temat: nieznaną dotąd guziczek, który może wcisnąć, by zapobiec temu, do czego zmierzał za sprawą niepohamowanego śmiechu. Od tamtej pory pilnował się, żeby nie ryczeć bez powodu z wesołości. W tamtym czasie widział wokół siebie pełno ludzi w swoim wieku, cierpiących na niekontrolowane napady rozbawienia, po których postanawiali niekiedy nie wracać do pracy i dawnego życia. Jego koledzy zapuszczali włosy i uciekali z nastolatkami tej samej płci, by uprawiać psychodeliczne grzybki na farmach na odległym wybrzeżu. Kabiny w szklano-trawertynowych toaletach Departamentu Sprawiedliwości huczały i grzmiały od Pink Floydów i Jimiego Hendrixa. Na każdym kroku napotykał defekty samokontroli, a inni ze swej strony dostrzegali je u Brocka.

Wydział wewnętrzny Departamentu Sprawiedliwości miał go na oku, przynajmniej od czasów cygańskiej ławy przysięgłych, kiedy roztaczał wokół siebie aurę spryciarza w lokalnych stacjach telewizyjnych, audycjach radiowych z udziałem słuchaczy czy podczas odczytów wygłaszanych w „prywatnych” kręgach w salach bankietowych podmiejskich restauracji słynących z wielorakich form krwistego mięsa. Zainteresowanie wzmagало się, kiedy w kadrze pojawiała się Frenesi. To ci dopiero rozrywka! Federalny prokurator niosący pochodnię lewaczki w trzecim pokoleniu, która, gdyby tylko mogła, wysadziłaby w powietrze Statuę Wolności. Zakładano się o tygodniowe pobory i przegrywano je, obstawiając termin utraty posady przez Brocka, a ludzie małej wiary liczyli jego karierę w Departamencie Sprawiedliwości w dniach. Zapraszany raz po raz na Pogawędki o Pryncypiach, był na tyle otwarty, na ile trzeba, żeby uciszyć Radę, i ani słowa więcej. W pewnej odległości od Brocka wszystko było zakamuflowane i głęboko ufortyfikowane, mimo to wypierał się jej, pozwalał sobie na żarty o niej z tymi, którzy go przesłuchiwali: o jej cymbałach, cipie – nie reagował, nie chciał jej bronić. „Następnym razem, Brock, tylko nam powiedz, załatwimy ci wszystko, co chcesz: potrzebujesz radykalnej szpary, hej, brachu, żaden problem!”. Co pewien czas odbierało mu rozum i brał to za dobrą monetę. Oferowali mu szeroki asortyment rozmiarów, kolorów i wieku, nie wspominając już o neo-Lombrozjańskich obliczach i anatomiach. Ale wybierał kobiety, które, jak wynikało z akt, mogły zetknąć się z Frenesi, i żył marną nadzieją, że jej imię pojawi się gdzieś w trakcie wymiany towarzyskich plotek przy drinkach. Cierpliwie i łagodnie – co sporo go kosztowało – zawsze kierował rozmowę ku tej ciemnej gwiazdzie.

Ciągle patrzono mu na ręce i gdyby zainicjował aktywne poszukiwania tej kobiety – najpewniej poprzez inwigilację jej matki w LA, która sama była od dawna Podejrzaną – przełożeni Brocka dowiedzieliby się o tym natychmiast i wydarzyłoby się to, co w notatkach służbowych nazywa się „kolizją fekalno-

wentylatorową”. Brock wciąż upierał się, że to stara, przebrzmiała i nieszczęśliwa opowieść o miłości, której na przeszkodzie stanęła kariera. Nie chciał wybierać, więc improwizował, realizując podstawowy plan PREP, oczyszczając zagony z chwastów i niwelując poletka. Kiedy wreszcie wszystko wróciło na swoje miejsce i mógł polecieć do Kalifornii na przedłużony sezon polowań, ból nie był większy niż zatoki na stołecznej obwodnicy, wypadki do hipisów w pełni księżyca niemal ustały, a czasem mijał tydzień, a on chwycił penisa tylko podczas sikania.

Przez rok, który upłynął, Frenesi poznała i poślubiła Zoyda, po czym urodziła Prairie, a Brock o niczym nie wiedział, bo powiedziała mu o tym dopiero, kiedy znów się spotkali twarzą w twarz. Rok wcześniej w Las Suegras, stojąc na podjeździe przy stacji benzynowej, przyglądając się DL wyjeżdżającej w camaro na autostradę i pędzącej na oślep ku własnej przyszłości, Frenesi zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Brocka i nie wrócić do PREP. Nie mogła wrócić do 24k/s ani do tego, kim była – już nigdy nie zdołała się oczyścić z tego, że wystawiła Weeda na kulę, że ma i zawsze będzie miała kartotekę w FBI i podobnie jak każda amatorska cizia gliniarza będzie w niej figurować jako ktoś, kim pogardzali jej rodzice: TW.

„Ale właśnie na tym ci zależy, co nie? – pytała ją mroczna zjawa Brocka Vonda z drugiego końca kontynentu. – «Na zawsze!» Czy można wyobrazić sobie coś bardziej romantycznego? No cóż, zapewnimy ci to «na zawsze!», nie panikuj. Słowo Departamentu Sprawiedliwości cenniejsze od pieniędzy”. Naprawdę wiedział, na czym jej zależy? I dlaczego ma prawo tak mówić? Tylko dlatego, że sama nigdy o tym nie wspominała? Zmierzchało, kiedy doszła do Phil’s Cottonwood Oasis – knajpy z motelem na tyłach, stojącej przy ciemniejącym o tej porze pasie zieleni, gęstych topolach Fremonta, nad brzegiem strumienia, na którym zbudowano podest do tańców. Siedziała nad butelką piwa i szklanką, nie potrafiła się na niczym skupić, a wokół pojawiali się wieczorni pijacy,

zmierzający teoretycznie do domu, mieszkańcy hotelu chcący zjeść kolację – naprawdę wygłodniali, kłócący się ze sobą – i wreszcie Corvairsi, którzy tym razem występowali pod nazwą Surfadelics.

Zgodnie z obowiązującymi standardami zespół zaczął występ – żeby jakoś w ogóle zacząć – od *Louie Louie* i *Wooly Bully*, bez względu na to, czy którykolwiek z obecnych marzył o wysłuchaniu tych tradycyjnych przebojów. Potem Zoyd – w tamtych czasach pospolity długowłosa z wąsami à la Zappa, w żółtych strzeleckich okularach w drucianej oprawie – omiatając wzrokiem publiczność, dostrzegł Frenesi i przypomniawszy sobie jeden ze skomponowanych przez siebie utworów, chwycił za mikrofon i przejął wokół:

*Uuu! Tu pachnie
Me-za-liansem?
Pochowaj swe
Finanse
I zajmij się
Roman-sem.*

(W tym miejscu Scott Oof, jak tysiące razy wcześniej, dorzucił frazę ukradzioną Mickeyowi Bakerowi z piosenki *Love Is Strange* [1956])

*Gorąca jak pomidor-
o-o-owa,
mnie zwalić z nóg got-
o-o-owa,
bo pachnie mi
Romanssem.*

*Gdy pachnie mi
Romanssem
To budzę się
Fa-jan-sem
W majtkach bez lansu
Z romansu.*

*Romans króluje mi
La-ta-mi
Więc jak masz do mnie
A-anse
To zajmij się
Roman-sem.*

– I z tego powodu zakochała się w tobie od pierwszego wejrzenia? – pytała wiele lat później Prairie, kiedy Zoyd jej o wszystkim opowiedział.

– No, z tego oraz dzięki mej powalającej urodzie – odpowiedział. Ale kiedy wszystko się rozpadało, wrzeszczał do Frenesi: „To mógł być ktokolwiek! Pierwszy lepszy! Scott albo któryś z zaćpanych saksofonistów! Szukałaś tylko szybkiej przykrywki!”.

Dziecko spało cichutko w sąsiednim pokoju. Frenesi od tygodni przyglądała się Zoydowi, składającemu nieporadnie fragmenty układanki. Mogłaby mu pomóc, ale łudziła się – dosyć naiwnie zresztą – że postawi fałszywy krok i wykombinuje taką wersję wydarzeń, w której ona okaże się lepsza. Z czasem przestała jednak przejmować się jego zdaniem, bo bardziej zależało jej na opinii matki. Zoyd tak czy inaczej nie miał zamiaru jej słuchać; potykając się i awanturując, parł do przodu, gubił detale, ale składał bezlitośnie prawdziwy obraz – Brocka, Weeda, powrotu Brocka, wszystkiego – nie pozwalając jej na chwilę wytchnienia.

W oczach obserwatora o romantycznych inklinacjach mogłoby to wyglądać tak, że Brock szukał Frenesi, a przynajmniej umieścił ją na liście spraw do załatwienia podczas pobytu na Zachodnim Wybrzeżu. Lecz w gruncie rzeczy to Frenesi chciała, żeby ją odnalazł, i spędzała coraz więcej czasu u Sashy, zakładała bowiem, że w jej domu działa ta sama machina inwigilacyjna, którą znała z dzieciństwa – pracują ukradkowo kamery, nocami słysząc groźne skrzypnięcia i widząc skradające się postaci – że zostanie wyśledzona i że to on ją wyśledzi, by prędzej czy później po nią przyjść.

Wprowadziła się do domku w Gordita Beach najpierw jako „dziewczyna Zoyda”, a potem jako jego „stara”. Będąc w ciąży, siadywała wraz z innymi młodymi kobietami z orbity towarzyskiej zespołu na osłoniętej siatką, wychodzącej na morze werandzie i spędzała z nimi niekiedy całe dni, pijąc z glinianych kubków ziołowe napary wpływające korzystnie, jak uważano, na ciało i umysł, słuchając rozgłośni KHJ i KFWB, wpatrując się w kwitnący, opadający ku białej plaży przypołudnik, a w siatkowej osłonie świszczwał nadmorski wiatr. Dziewczyny nieodmiennie wbijały wzrok w horyzont... w drugim trymestrze zaczęła halucynować o UFO, widziała UFO wyraźnie i wielokrotnie, choć się z niej wyśmiewano: UFO pojawiające się i znikające przy błękitnym jak niebo rozpraszaniu Rayleigha, materializujące się przez idealnie elastyczną siatkę; zwiad jakiejś nieznannej siły, zwiastujący jej bezlitosne nadejście. Tymczasem w głębi lądu, wysoko na od dawna zabudowanych wydmach, po drugiej stronie przybrzeżnej autostrady, w wielkiej niecce – odurzonej, rozjeżdżanej samochodami, oszalałej od cieni, ekstrawagancko nawadnianej i napromieniowanej – Zoyd oddalał się od plaży, którą miał muzycznie reprezentować, podczas długich jak dzień pracy dojazdów poprzez najgęstsze kłębowiska zupy smogu, zajmując się dorywczo dachami i rynnami i występując wieczorami z Corvairsami w małych klubach i barach od Laguna do La Puente. Był to dojrzały, czy jak kto woli, barokowy okres związku LA z rock and rollem, ulegający przeobrażeniom jak inne związki miasta ze sztuką – uznał Zoyd obserwujący rzeczywistość wzrokiem surfera – co dwadzieścia lat, zupełnie tak jak w przypadku filmów w latach dwudziestych, radia w latach czterdziestych, a obecnie, w latach sześćdziesiątych, płyt gramofonowych. Na jeden szalony sezon miasto straciło słuch, a wytwórnice podpisywały kontrakty z talentami, które w innych czasach włóczyłyby się bez celu po pustyni, a trafiwszy na oazę, występowałyby w kiblach. Wychodząc z założenia, że tylko Młódzież rozumie młodzieżowy rynek, wytwórnice brały Młodych – którzy kiedyś

rozwoziliby co najwyżej pocztę – z łapanki i zatrudniały ich na posadach kierowniczych, oddając im olbrzymie budżety i pozwalając, jak się okazało, werbować każdego, kto umiał jako tako brzdąkać na gitarze i był w stanie przejść przez drzwi. Krytycy, oszołomieni zalewem milusińskich, opadli z sił. Nikt nie znał już wartości żadnego muzycznego produktu, bo nikt nie mógł sobie pozwolić na przeoczenie kolejnej supergwiazdy. Oszałały lekkomyślny przemysł działał zupełnie po omacku, podpisując warte miliony dolarów kontrakty, opierając się na marzeniach, wibracjach albo – jak w przypadku Corvairsów – pomniejszych halucynacjach. Scott Oof jakimś cudem skołował dla zespołu coś w rodzaju kontraktu nagraniowego z Indolent Records, dobrze się zapowiadającą, choć zdumiewająco eklektyczną wytwórnią z Hollywood. W dniu, w którym przyszli podpisać papiery, szef działu Artystów & Repertuaru – młodzieniec, który nie skończył jeszcze szkoły średniej – zapoznawał się właśnie mentalnie z działaniem fioletowego kwasu z wytłoczonym na opłatku nietoperzem i powitał przybyłych nadzwyczaj ciepło, biorąc ich, jak się okazało, za gości z innego wymiaru, którzy – obserwując go od lat – postanowili wreszcie się zmaterializować jako zespół rockandrollowy, i uczynić go sławnym i bogatym. Corvairsi zanim wyszli, też w to uwierzyli, choć musieli podpisać standardowy w tamtych czasach kontrakt, nie mogąc się doprosić o dodatkowe paragrafy spisane z konieczności jakimś ludzkim językiem, który w tamtym momencie był nieosiągalny dla głośno rozwibrowanej głowy działu („Głośnej głowy działu!”, wrzeszczał. „Każdy ma tutaj głośną... głowę! Ha! Ha! Ha!”).

Tygodnie toczyły się jeden za drugim jak niezbyt wybujałe fale, tygodniowe opcje wypowiedzenia kontraktu mijały po kolei bez obietnicy nagrania płyty dla Indolent, a atmosfera stała się nie tyle posepna, ile śmiertelnie spokojna. Corvairsi grali jak wcześniej, ciesząc się pewną sławą barowego zespołu – co z tego, że nie do końca „surfadelicznego”! Rezerwowali sobie obowiązkowo czas na wspólne łykanie kwasu w inspirujących

za dnia i w nocy lokalizacjach w okolicach Southland, ale poza tym niewiele się działo, w każdym razie nic skoordynowanego: Van Meter przeżywał swoje wcześniejsze wcielenie, w którym był bizonem galopującym po równinach w stadzie wielkości któregoś z zachodnich stanów, co miało niewiele wspólnego z zamiłowaniem Scotta do wycinania z kolorowego papieru postaci z komiksów. Lefty, perkusista, zaliczał nocne sesje wypełnione koszmarami o węzach, rozkładających się ciałach i muzaku; saksofoniści – obaj uwielbiający heroinę – często gdzieś znikali, być może po to, by wstrzykiwać sobie ulubiony narkotyk, choć raczej nie, natomiast Zoyd odgrywał kolejne nieskończone splecione scenariusze z świetliście daleką Frenesi – Frenesi, jego dożywociem, kobietą, która pozwalała mu zapomnieć o najbardziej nawet spektakularnych zaletach produkcyjnych LSD.

I która tymczasem, wpatrując się w stalowy horyzont, wyczekiwała obcych lub pożyczła cudze samochody, żeby pojechać w odwiedzinach do Sashy, z którą siadywała na małym patio na tyłach domu, piła dietetyczną colę i przyrządzała sałatki. Frenesi od samego początku zmuszała matkę do zadawania najboleśniejszych pytań. Od razu pojawiła się w nich DL. Frenesi odpowiadała:

– Zniknęła. Nie wiem...

Sasha spojrzała na nią.

– Byłyście tak sobie bliskie... – Ale zaraz wracały do niedającego się uniknąć tematu nienarodzonego jeszcze dziecka.

– Zawsze możesz tu wrócić, wiesz, jest pełno miejsca. – Za pierwszym razem, kiedy to usłyszała, Frenesi zaprotestowała bez przekonania.

– Och, Zoyd się na to nie zgodzi. – Na co Sasha kiwnęła głową.

– Świetnie. Nie proponowałam mu tego. – I dodała: – Czas upływa i mam nadzieję, że nie chcesz urodzić dziecka na plaży.

– Chcę, żeby słyszała morze.

– Jeśli zależy ci na pozytywnych wibracjach, może wprowadzisz się do swojej starej sypialni. Odrobina ciągłości. Nie mówiąc już o wygodzie.

Frenesi nie mogła przyznać, że mama ma rację. Kiedy wspomniała o tym Zoydowi, ten skinął posępnie głową:

– Twoja matka mnie nienawidzi.

– Nie, nie wygłupiaj się Zoyd, wcale cię nie nienawidzi...

– Nazwała mnie „hipisowskim psychopatą”, nie?

– No, tak, ale to było wtedy, kiedy chciałeś nas przejechać, bo...

– Przełożyłem jebaną dźwignię na „parkowanie”, najdroższa, nie moja wina, że sama wskoczyła na „jazdę”, dlatego wycofali ten jebany model ze sprzedaży, pamiętasz, pokazywałem ci w gazetach...

– Ale darłeś mordę jak oszalały, więc myślała, że chciałeś ją zabić. I naprawdę mogła nazwać cię gorzej.

Zoyd nadąsał się.

– Naprawdę? Ale nie odprowadza nas już do samochodu. – Na zegarze zostało jeszcze kilka sekund do końca, ale wiedział, że przegrał to starcie; kobiety wygrały, a jedyną kwestią, jaka pozostawała do rozstrzygnięcia, było to, czy wpuszczą go do domu Sashy, żeby widział narodziny dziecka.

Oczywiście wpuścili i stało się tak, że pewnego cudnego majowego wieczoru, przy śpiewie drozdów drących się wzdłuż całej ulicy, śliska główka Prairie precyzyjnie przycisnęła się na ten świat. Sasha trzymała córkę mocno za rękę, Leonard, akuszer, pomagał wydobyć się reszcie kruchego ciała, a Zoyd – który w ostatniej chwili łyknął ćwierć opłatka kwasu z nadzieją, że ujrzy coś kosmicznego, co przekona go wreszcie, że nie całkiem umrze – gapił się odurzony na nowo narodzoną Prairie, która miała zlepione jedno oko, a drugim łypała na wszystkie strony, co wziął za celowe puszczenie do niego oka. Promienne twarze kobiet, wzory na hinduskiej koszuli Leonarda, kolory popłodu, noworodek z szeroko otwartymi już oboma oczyma, patrzący prosto na niego, rozpoznający go niezaprzeczalnie. Później powiedziano mu, że to nic nadzwyczajnego, bo noworodki

niewiele widzą, ale w tamtej chwili, o Boże, o Boże, rozpoznała go! Znała go z jakiegoś innego miejsca. Takie przygody na kwasie zdarzały się w tamtych czasach i odchodziły w przeszłość, niektóre rozdaliśmy i zapomnieliśmy o nich, inne, co smutne, okazywały się przelotne lub złudne, ale przy odrobinie szczęścia jedną czy dwie dało się ocalić, żeby wracać do nich przez całe życie. To spojrzenie całkiem nowej Prairie – ach, to TY, hm... – miało towarzyszyć Zoydowi niemal nieustannie w nadchodzących latach, pomagać mu, kiedy ze wszystkich stron otaczali go Klingoni, mostek nie odpowiadał, a napęd warp przestał działać.

Tym, czego nikt nie brał pod uwagę – z pewnością nie oszołomiony swym radosnym ojcostwem Zoyd i w mniejszym stopniu Sasha – było trwające przez nieznośny dzień, a potem weekend głębokie przygnębienie Frenesi. Żadna amnezja, żadna kąpiel w pijawkach czasu nie wymaże z jej pamięci upadku w lodowate otchłanie nienawiści do maleńkiego życia – prymitywnego, pasożytniczego, wykorzystującego jej ciało przez długie nużące miesiące i nadal chcącego ją kontrolować... W tamtych czasach nie było jeszcze talk-show, grup samopomocowych ani telefonów zaufania, żeby się czegoś dowiedzieć albo prosić o pomoc. Spadając coraz niżej w czarną czeluść, nie wiedziała nawet, że potrzebuje pomocy. Dziecko działało według własnego programu, ograbiając ją z mleka i snu, traktując ją jak pasożyt gospodynię. Gdzie się podziała przeczysta nowa duszyczka, najprawdziwsza miłość, domniemane przejście do świata dorosłych. Czuła się zdradzona, opróżniona, przyglądała się sobie – temu zmaltretowanemu zwierzęciu goniącemu resztką sił – i czekała na koniec. Kiedyś o trzeciej rano, przed nadającym powtórki telewizorem, skąpana w świetle Pudła Frenesi, wijąc się z rwącego bólu piersi, szepnęła do kołyszącej niemowlę Sashy:

- Lepiej trzymaj ją ode mnie z daleka, mammo...
- Frenesi?
- Mówię poważnie. – O kurwa, po co się przejmować?

Rzuciła się do łazienki, a z jej gardła wydobył się schrypnięty jęk, który zamienił się w tak potwornie spazmatyczny płacz, że Sasha aż oniemiała i nie była w stanie się ruszyć; siedziała, tuląc śpiącą Prairie, a jej córka wyrzucała z siebie bolesne, odbijające się echem od kafelków szlochy, jeden po drugim, ku światu. Czy dziecko odbierało pozazmysłowo ten nieszczęsny komunikat? I, jak zastanawiała się Sasha, osłonić je przed tym, co najgorsze, wziąć na siebie ten atak?

– Och, kwiatuszku, błagam... Przestań, będzie lepiej, zobaczysz! – zawołała i czekała, aż Frenesi odpowie, powie cokolwiek. Zastanawiała się przy tym, co i gdzie leży w łazience i jak można zrobić sobie tym krzywdę. Kiedy położyła dziecko i popędziła do łazienki, Frenesi właśnie z niej wyszła, chwyciła matkę za nadgarstek i poleciała jej głosem, jakiego Sasha nigdy u niej nie słyszała:

– Wypierdol ją stąd! – Jej błękitne oczy, przy profesjonalnym rozstawieniu źródeł światła w domu, pochłaniały jasność. Oczy te, tak bardzo zawsze kochane, żarzyły się teraz oszalałe od przecucia nieuchronności losu, pozbawionego jakiegokolwiek odcienia, ostatecznego.

W tych godzinach halucynacji i klęski Frenesi czuła jak nigdy bliskość Brocka, który stał się jej teraz potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Targany własnymi koszmarami przeradzającymi się w ideologię śmiertelnego doczesnego „ja”, nawiedzał ją w półmroku korytarzy nocy i, co dziwne, pocieszał, pochylając się nad nią posepnie, niczym drapieźny ptak dekorujący faszystowską architekturę. Szeptał: „Taką właśnie cię chcą: zezwierzęconą, leżącą na ziemi jak suka z obrzmiałymi cyckami, oniemiałą, pokonaną, sprowadzoną do mięsa... ten smród!”. Zwidy te brały się, o czym wiedziała, ze srebra i światła, które znała i którymi była, sprowadzano je na świat jak srebro przywoływane ziarno po ziarnie z Niewidzialności, by tworzyły obrazy, które z czasem starzały się, brudziły, niszczały i odchodziły. Obdarowano ją przywilejem życia poza Czasem, wkraczania w życie i opuszczania go według własnego widzimisie, rabowania

i manipulowania – nieważkiej, niewidzialnej. Teraz Czas upomniał się o nią, obłożył ją domowym aresztem, odebrał jej paszport. Była tylko zwierzęciem z pełnym zestawem receptorów bólu.

Nie była to najlepsza pora na odwiedziny kolejnego mężczyzny, ale tuż przed śniadaniem taksówką rozświetloną jak choinka nadszedł Hubbell Gates we własnej osobie, który bawiąc przejazdem pod Sacramento na otwarciu nowego dyskontu meblowego i kierując ku wieczornemu niebu pierwsze białe płomienie czystego, węglowego, łukowego światła, dowiedział się przez telefon od Zoyda o narodzinach wnuczki. Wynajęta na tę okazję orkiestra grała właśnie *Of Thee I Sing (Baby)* Gershwinów i w takich okolicznościach dotarła do Huba wiadomość, że został dziadkiem: pośród migoczących odblasków i narodowych sztandarów, przy radosnej muzyce, między straganami z lodami i hot dogami, niedaleko dzieciaków skaczących po wodnych łózkach wystawionych na tę okazję przed sklep, kiedy nadzorował własne projektory fotonów wycelowane w fioletowe niebo, przywołujące przez dziesiątki kilometrów wielkiej doliny zarówno zarabiające na etatach rodziny, które właśnie zasiadały do stołów, jak i niespokojne duchy na starej drodze 99, krzyczące do nich: „Tu jesteśmy, zapomnijcie, że robi się ciemno, i przyjeżdżajcie, popatrzcie! Telewizory, wieże stereo, sprzęt kuchenny też, bez żyrantów, bez sprawdzania wiarygodności kredytowej, wystarczą nam wasze uczciwe buzie!”.

Był to, słowem, wieczór, kiedy wszystko układało się harmonijnie, spokojnie, po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy. Więc Hub postanowił: „Cholera z tym, przecież Historia może się na chwilę zatrzymać” i zostawiwszy reflektory i furgonetki w rękach załogi – Dimitrija i Ace’a – skorzystał ze skomplikowanego systemu połączeń autobusowych, lokalnych i międzymiastowych i wylądował dobrze po północy w budce telefonicznej w okolicach Hacienda Heights, gdzie poddano go długiej weryfikacji pod kątem notowania przez policję, zanim

zgodzono się przysłać mu taksówkę, która z powodu późnej, czy jak kto woli, wczesnej pory, miała go kosztować majątek.

Zamiast powitać go „Tylko ciebie tu trzeba” czy „Ach, to ty...”, Sasha, co niezwykle, uściskała go, wzdychając przy tym niespokojnie.

– Cześć, Hubbell, mamy problem.

– Hę? Chyba nie z dzieckiem...

– Z Frenesi. – Sasha opowiedziała mu, co widziała. – Dotrzymywałam jej towarzystwa, ale muszę się przespać.

– A gdzie ten Zoyd?

– Wyautował się zaraz po narodzinach dziecka i prawdopodobnie przebywa na którejś z mniej znanych planet.

– Nie wiem, czy umiem być doktorem Spockiem... – Puścił do niej oko jak dżentelmen, a idąc tuż za nią, poklepał ją po tyłku, gdy szła na obolałych nogach, żeby zabrać niemowlę jak najdalej od Frenesi. – Mogę zerknąć na to dziecko? – Kiedy w zasięgu wzroku noworodka ukazała się twarz Huba, dziecko wykrzywiło usta w półuśmiechu. – Hej, nie wygłupiaj się... – szepnął. – To mi nie wystarczy. To nie jest uśmiech. O, nie. Nie jest.

Frenesi leżała skulona na swoim starym łóżku, zaciągnięte kotary chroniły ją przed półmrokiem ulicy.

– Cześć, tato.

O Chryste, wyglądała okropnie... jak nie ona... Jego jedynym, wypróbowanym na innych pomysłem terapeutycznym było siedzenie i narzekanie na własne życie. Nigdy nie widział córki w takim stanie – tak bezbronnej, okaleczonej, posępnej – ale zaczął zwykłą opowieść o niedoli, nie spodziewając się wiele, choć z każdym jego słowem Frenesi trochę się uspokajała. Tak mu się przynajmniej wydawało. Cedził miarowo słowa, starając się nie wywoływać żadnych negatywnych czy pozytywnych reakcji. Był to monolog, który wygłaszał więcej niż raz od czasu pierwszego rozstania z żoną – przed współpasażerami w autobusie, psami na podwórku, wreszcie przed sobą czy raczej przed Pudłem do późna w nocy.

– Chodzi o to, że twoja matka straciła dla mnie szacunek. Jest zbyt wspaniałomyślna, żeby to przyznać, ale właśnie o to chodzi. Przemyślała sobie to wszystko politycznie, a mnie nie zależy na niczym więcej, tylko żeby przeżyć dzień w jednym kawałku. Nigdy nie byłem bohaterskim związkowcem jak jej ojciec. Jess postawił się i dostał w łeb, i do tego sprowadza się dla niej cała amerykańska historia, właśnie do tego. Jak, do cholery, miałem spełnić takie oczekiwania? Myślałem, że robię wszystko co trzeba dla żony i córki, a wolność nie miała z tym wiele wspólnego, ale dla Sashy miała, chociaż twój dziadek rozumiał, że mieszanie wolności do wszystkiego kończy się na cmentarzu, ale to prawda, że nigdy się tego nie bał, a ja się bałem, bo wiedziałem, jak łatwo mogą spuścić mi na łeb brute'a czterysta pięćdziesiąt, taki stelaż z reflektorami... tak samo łatwo jak drzewo...

Też dostał po łbie, nie raz i nie dwa: już pierwszego dnia w pracy przekonał się, że w wytwórni Warnera jest strajk, a agencja IATSE najęła go wraz z tysiącem innych osiłków jako łamistrajka. Później okazało się, że szukali większych, bardziej bezwzględnych typów, ale Hub został na chwilę w wytwórni i kręcił ze zdumieniem głową. Sądził, że walczył na wojnie po to, żeby na świecie nie działy się takie rzeczy. Pierdolić to, pomyślał, i poszedł za róg, żeby zapytać, czy może przyłączyć się do pikiety, nawet jeśli nie pracuje u Warnera. Nie minęło wiele czasu, a dostał w łeb śrubą, która spadła z nieba: śrubą do drewna długości i grubości walca, którym się gra na gitarze hawajskiej – wiedział, jak wygląda taki walec, bo kiedyś też rzucano w niego czymś takim. Śruby rzucali agenci IATSE rozlokowani na dachach studia. Mocno wtedy zarobił, ale miał przynajmniej pewność, że dokonał właściwego wyboru, tyle tylko, że to Sasha zaangażowała się w skomplikowane życie polityczne toczące się wówczas w mieście. Walka między IATSE – tworem powołanym przez zorganizowaną przestępczość przy współpracy wytwórni – a Conference of Studio Unions Herba Sorrella, bezkompromisowo liberalnym, postępowym, nowoładowym, socjalistycznym – a co za tym idzie

„komunistycznym” (w tej toksycznej sytuacji politycznej) – związkiem zawodowym, toczyła się przez całą wojnę, a po niej przyjęła formę otwartego konfliktu w serii gwałtownych strajków w wytwórniach. Wszystkie gazety udawały, że to spór między dwiema organizacjami związkowymi. Choć w gruncie rzeczy był to ciężki nawrót twardej antyzwiązkowej tradycji, której Kalifornia, wożąca się do niedawna za darmo na plecach taniej siły roboczej, zawdzięczała przecież przemysł filmowy. Kiedy tylko tradycja ta zaczęła się chwiać, pojawili się szubrawcy z powołanego przez wytwórnie IATSE, a za nimi ich zbiry często w sile batalionu. Wynik znany był z góry ze względu na czarne listy. W wartej szczególnej uwagi godzinie amerykańskiego mizoneizmu skomplikowany system oskarżeń, wyroków i dyspozycji, administrowany przez postaci w rodzaju Roya Brewera z IATSE i Ronalda Reagana ze Screen Actors Guild, kontrolował życie zawodowe każdego zatrudnionego w przemyśle, a szczególnie tych, którzy odważyli się skrócić w lewo i zarejestrować do wyborów jako demokraci. Dla pracowników technicznych istniał tylko jeden wybór i jedna droga rehabilitacji: wstąpienie do IATSE i zerwanie z CSU. Ale Hub – uparty, niepozbawiony złudzeń i wojennego patriotyzmu – trzymał z przegranymi do końca. Bez specjalnych analiz – co niewybaczalne – naiwnie przyjął, że wszyscy patrzą na świat tak uczciwie jak on, więc nie potrafił powstrzymać się przez wygłaszaniem głośnych uwag, z których inni albo robili sprawę, albo je przemilczali, udając, że ich to nie obchodzi, choć donosili o wszystkim, komu trzeba. Zawsze kiedy ktoś przestawał odbierać od niego telefony albo kiedy dowiadywał się, że jego nazwisko padło przed taką czy inną kangurzą komisją, na jego twarzy pojawiał się zboląły wyraz i znów był jak dziecko, które myśli: „Nie, to niemożliwe, nie powinno tak być...”

A jadąc do Hollywood, byli przecież tak beztroskimi i niefrasobliwymi dzieciakami, Sasha za kółkiem, Hub z ukulele. Śpiewał wtedy *Down Among the Sheltering Palms* małej Frenesi, która siedziała między nimi, ubrana w jedną

z wielu hawajskich koszul, które przywiózł z Pearl, z rękawami w sam raz dla dziecka, a poza tym łatwymi do prania i suszenia. Hollywood Freeway była wtedy całkiem nowa; gdy wieczorami wychodzili do miasta, żeby się zabawić, od chromowanych listew i wywoskowanej karoserii odbijały się płynnie lampy, podawali sobie z nosa do nosa inhalator z benzedryną i śpiewali melodie takie jak *Crazeology* i *Klactoveedsedstene*, wyłączając partie saksofonu i trąbek. Mieszkali w garażu Wade'a i Dotty – kryzys mieszkaniowy w LA sprawiał, że ludzie gnieździli się w przyczepach i namiotach, na plażach też – nocę spędzali w Finale Club przy South San Pedro, w dzielnicy, która kiedyś nazywała się „Małe Tokio”, zanim jej mieszkańcy trafili do obozów internowania; słuchali Birda, Milesa i Dizzy'ego, i wszystkich innych, którzy zjeżdżali wówczas na Wybrzeże i pojawiali się pod metalowymi dachami wśród małolatów, skrętów, kozich bródek i kapelusików z wąskim rondem. Świat rodził się na nowo. Wojna o tym zadecydowała, nie? Nawet Sasha spoglądała na Huba z podziwem za to, co robił, stając dzień po dniu przeciwko armatom wodnym, gazom łzawiącym, pałkom, łańcuchom, kawałkom kabla, i za to, że go bito i aresztowano, a ona biegała wyciągać go za kaucją po nocach. Pracował, kiedy mógł, wciąż uczył się na elektryka, naprawiał na boku lampy stołowe i tostery, szukał też zatrudnienia poza oficjalnym zasięgiem antykomunistycznej maszyny, wyświadczał i pozwalał wyświadczać sobie przysługi, nieoficjalnie, studiował pod pilnym okiem przedpotopowych elektryków, mistrzów, których dłonie, po latach testowania nimi prądu przewodowego i ignorowania tabliczek znamionowych, były poparzone szczególnie w okolicach kciuków i pokryte bliznami, którzy wiele razy ocalili mu życie, ucząc go, jak pracować z ręką w kieszeni, żeby się nie uziemiać.

– Ale to, według twojej matki, był tylko mój problem, bo zawsze trzymałem w jakiś niezgłębiony dla mnie pod względem politycznym sposób jedną rękę w kieszeni, zamiast grzebać nią w sprawach doczesnych, co oczywiście oznacza, że nie przeliczałem nią chciwie drobnych, ba, grywałem nią

samolubnie w kieszonkowy bilard, zapytaj swojego męża, co to oznacza, to taki techniczny żargon... To nie jej wina, że chciała mnie czystsze, niż jestem. A potem było to drugie życie, sama praca... pojawiały się pierwsze brute'y. Jezu, te ampery! Tyle światła! Nikt mi nie mówił o skali. Po jakimś czasie nie widziałem już nic innego. Musiałem pracować ze światłem. Może to jakaś forma szaleństwa, ale za łatwo mnie puszcza. No i był Wade, mój stary kumpel od kanasty i pikietowania, walczyliśmy ramię w ramię przez te wszystkie lata, ale pewnego dnia Wade przeszedł na drugą stronę; mimo to pozostaliśmy kumplami, bo człowiek, koniec końców, przekonał się, ile to wszystko znaczy, kto potrąca sobie składki z wypłaty, ludzie Ala Speeda czy IATSE, czy ktokolwiek. Wszystko skończyło się dawno temu tak czy inaczej, choć udawaliśmy, że nie, i po co? Oświetlaliśmy plany, egzotyczne nocne kluby, pokoje hotelowe z neonami na zewnątrz, pociągi pasażerskie z deszczem padającym za oknami, a wszystko zostało cieniem, nawet jeśli leży teraz w jakimś klimatyzowanym skarbcu... Rozpuściłem wici, zawarłem wstydlivy pokój, przystąpiłem do IA, przeszedłem na emeryturę tak szybko, jak się dało, sprzedałem jedyny majątek – własny bezcenny gniew – za mnóstwo cholernych cieni.

Spojrzał na młodą kobietę leżącą teraz na wznak z zamkniętymi oczami. Na pierwszy rzut oka zwykła drobnokoścista piękność o długich włosach, choć przy uważniejszym spojrzeniu ukazywał się jakiś mroczny rys, nie tyle oczu, ile ust i dolnej szczęki, sekret, którego Hub, wiedział o tym doskonale, nigdy nie pozna.

– Hej, moja mała elektryczko? – szepnął, żeby sprawdzić, czy nie usnęła. Cisza. – Powinienem do ciebie mówić „moja najlepsza dziewczynko” – ciągnął – ale tak mówiłem zawsze do twojej matki.

Łzy Frenesi obeschły i przestały płynąć, jej poporodowe życzenie śmierci osłabło, pewnego niezbyt odległego dnia polubiła w zasadzie niemowlę z niekonwencjonalnym poczuciem humoru, i zaczęła się dogadywać z Sashą, co prawda

nie tak jak kiedyś, ale w każdym razie nie gorzej. Tyle że zachowała sekrety z okręgu Trasero i Oklahomy. Bardziej niż jakiegokolwiek mężczyzny, który się jej podobał, bardziej niż pełnego ułaskawienia za to, co zrobiła, od jakiejś nieznanej instytucji, bardziej niż DL w ramionach, niż państwa w gruzach, niż milczących dział, przetopionych czołgów i bomb, bardziej niż czegokolwiek, o co się modliła przez całe życie do przeróżnych świętych, pragnęła i oddałaby wszystko, żeby móc wrócić do tych czasów, kiedy potrafiła gadać z Sashą godzinami, przez całe noce, bez zahamowań, o wszystkim, od penisowego folkloru do „Mamo, dokąd idziemy po śmierci?”. Ze wszystkich wykonanych przez nią zwrotów ten przeciw Sashy, tak kiedyś z nią związanej, pozostał zagadką, której nigdy nie zdołała rozwikłać, tajemnicą niepoddającą się jakiegokolwiek analizie. Jeśli dopisze jej szczęście, Sasha nigdy się nie dowie. Dziecko stanowiło idealną zasłonę dymną, czyniło ją ważniejszą – matką, niczym więcej, kolejną matką w narodzie matek – więc żeby mogła czuć się bezpiecznie, wystarczy odgrywać tę rolę, wychowywać dziecko, stać się kimś w rodzaju Sashy, dogadać się z Zoydem i jego popieprzonym zespołem, pogodzić się ze wszystkimi związanymi z tym niedogodnościami, zapomnieć o Brocku, obłączeniu, krwi Weeda Atmana, 24k/s i starej cudnej komunie, zapomnieć, kim była, kręcić od czasu do czasu niewinne rodzinne filmiki, wypowiadać właściwe słowa, nie przekraczać budżetu, odfajkowywać każdy kolejny dzień, zanim nadejdzie ciemność. Prairie może się stać jej gwarantowanym zbawieniem, a udawanie jej matki – najgorszym kłamstwem, najpodlejszą zdradą. Lecz zanim zdążyła przekonać samą siebie, że to w istocie możliwe, w kadr znów wszedł Brock Vond, a raczej wjechał małą kawalkadą nieoznakowanych buicków, zmuszając ją do zjazdu na pobocze przy Pico i Fairfax, każąc jej oprzeć się rękoma o samochód, rozstawić szeroko stopy, żeby mógł zrewidować ją osobiście. I zanim zdążyła się zorientować, byli już w kolejnym motelowym pokoju, a po jakimś czasie wpadała do Sashy coraz rzadziej, a kiedy wpadała, cuchnęła potem Vonda, spermą

Vonda – czy Sasha tego nie czuła? – a jego wzwidziony penis stał się dla niej joystickiem, za pomocą którego pędziła w przyszłość, pokonując niebezpieczeństwa i przeszkody, omijając potwory i rakiety obcych w każdej grze, w którą grała rok po roku, by znaleźć się w połowie nocy, zapomniawszy zadzwonić do domu, z malejącą garścią drobnych, nad jaskrawym ekranem na tyłach zakazanego salonu gier, wśród rzędów milczących graczy, niezauważona, bo nikt nie zamykał przybytku, by grać dalej już tylko o wynik, o rzędy cyfr, o szansę na wpisanie na krótką chwilę własnych inicjałów między inicjałami innych, już nie w czasie liczonym przez świat, ale w czasie gry, podziemnym czasie, czasie, który nie prowadzi nigdzie poza własny, ciasny i oszukańczo nieśmiertelny uścisk.

Ale kiedy dowiedział się o Prairie, której nigdy nie nazwał po imieniu, tylko wykrzywił się złośliwie – „a więc się zreprodukowałeś” – do Frenesi, o władnęło nim coś innego, coś z jego koszmarów o przymusowej prokreacji, bo później, kierując się czymś, co można uznać jedynie za kaleki osąd, zwrócił się przeciw dziewczynce, a zauważywszy na swej drodze Zoyda, postanowił go zniszczyć. Pewnej ciepłej pochmurnej soboty, rok po wyprowadzce Frenesi, Zoyd i Prairie wracali ze spaceru z zaułka na Molo Gordita i z powrotem, a kiedy weszli do domu, zastali w nim Hectora we własnej osobie, udrapowanego dramatycznie przy największym bloku sprasowanej marihuany, jaki Zoyd kiedykolwiek widział na oczy – zbyt dużym, by można go było wnieść przez którekolwiek drzwi, a jednak górującym tajemniczo w pokoju nad skromnym umeblowaniem, niczym kudłaty monolit sięgający niemal sufitu.

– Jedna sekunda. – Zoyd przyłożył palec do ust i wyszedł, żeby położyć córeczkę, która usnęła w słonej bryzie, do łóżeczka w sąsiednim pokoju i ułożyć przy niej butelkę i kaczuszkę. Wrócił po chwili i spojrzał z niepokojem na przerośniętą cegłę.

– Niech zgadnę: *Odyseja kosmiczna 2001* (1968).

– Raczej *Dwadzieścia tysięcy lat w Sing Sing* (1933).

Zoyd oparł się o wielką płytę, żeby nie upaść.

– To nawet nie jest twój pomysł, nie?

– Ktoś z Westwood chce ci się dobrać do dupy, współniku.

Zoyd powoli wskazał wzrokiem pokój, w którym spała Prairie, odczekał chwilę, a potem znów spojrzał na Hectora.

– Znasz tego kolesia z Departamentu Sprawiedliwości, co się przedstawia jako Brock Vond?

Wzruszenie ramion.

– Może gdzieś widziałem to nazwisko na formularzu numer sześć DEA.

– Wiem o nim i o mojej byłej starej, Hector, więc nie musisz czuć się zażenowany.

– Nie moja sprawa. Mam taką politykę, że nigdy nie omawiam z podejrzanymi tego typu kwestii, Zoyd, nigdy.

– Wielki szacun, jasne, zawsze go masz ode mnie, ale gdzie się podział ten nieduży dżentelmen i dlaczego wysłała ciebie do brudnej roboty, hej? Podrzucić dowody, przymknąć podejrzanego, skonfiskować dziecko, może pracujesz teraz dla nich dwojga, co?

– Hej, *trucha, ése*, nie porywam żadnych dzieciaków! Co ci odbiło?

– Jak to? To nie kazali ci zabrać mojej córki pod byle pretekstem?

– Hej, człowieku, to nie moja broszka, wyświadczam tylko przysługę przyjacielowi. – Hector nadał tej urażonej kadencji pewien teatralny wyraz, zostawiając przy tym otwarte znaczenie słowa „przyjaciel”.

– Ee, wypełniasz rozkazy z góry.

– Nie wiem, czy jesteś na bieżąco, ale po Nixonie i całym tym głównie zaszły pewne reorganizacyjne zmiany tam, gdzie pracuję, i wielu kopiących w drzwi koleśi z dawnego FBN poszło pod topór, moich kumpli, więc mam szczęście, że zachowałem jeszcze tę robotę, jasne? Nawet jeśli każą mi grać w mucho gupidas brazylijskich serialach.

– Masz... ślinę na wardze, Hector... nie... to drobiazg... Wiem, przez co przechodzisz, Keemosobby.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. – Wyjął z kieszeni chromowany sędziowski gwizdek i zagwizdał. – Okay, chłopaki.

– Hej! Dziecko!

Do pokoju wpadło kilku osobników w czarnych czapkach z daszkiem i czarnych kurtkach z napisem BNDD,

z magnetofonami, przenośnymi laboratoriami chemicznymi w aktówkach, radiotelefonami, różną bronią krótką robioną na zamówienie lub dostępną od ręki, nie mówiąc już o kamerach filmowych i aparatach fotograficznych, którymi zdejmowali się nawzajem pod ziołowym wielościanem, zanim zaczęli opakowywać go na powrót ciemną plastikową folią.

– Och, kapitanie, czy mogę przynajmniej zadzwonić do teściowej, żeby pomogła mi z dzieckiem? Proszę...

– To się nazywa przysługa – rzucił Hector groteskowo figlarnie – a przysługi trzeba odwzajemniać.

– Mam donieść na kumpli? Ciężka sprawa.

– Dobro dziecka przeciwko utracie cnoty, fakt, trudny wybór, można by powiedzieć... – I właśnie wtedy do pokoju wpadła Sasha, a na jej widok w oczach Hectora rozbłysły iskierki czegoś, co obcy w tym mieście nazywają „niewinnym figlem”.

– Och, ty cwaniaku... zadzwoniłeś do niej, co nie?

– Zoyd, w co ty się znów wpakowałeś? O rety... – Zauważyła górujący nad wszystkim blok *cannabis* – Chryste! Przy dziecku! Jesteś obłąkany!

Prairie obudziła się jak na komendę i zaczęła wrzeszczeć w tym zamieszaniu, bardziej z ciekawości niż z przerażenia, a Zoyd i Sasha rzucili się jednocześnie ku drzwiom, zderzyli się przed nimi w sposób klasyczny i cofnęli chwiejnym krokiem, wykrzykując do siebie odpowiednio: „Głupi ćpun!” i „Wścibska zołza!”. Potem spiorunowali się wzrokiem, aż w końcu Zoyd powiedział:

– Słuchaj, jesteś starą hollywoodzką laską, przeszłaś się parę razy po bulwarze – wyciągnął tetrową pieluszkę z szafki w łazience, do której zostali oboje wepchnięci, w większej bliskości, niż była im w smak, przez tajemnicze czynności wykonywane w celu usunięcia kolosalnej działki marychy z pokoju i domu – i nie kapujesz, że mnie wrobiono? – W drodze do sypialni z czujną Sashą za plecami zawołał: – Chcą mi ją zabrać! Cześć, śliczniutka, pamiętasz babcię?

Sasha mówiła i bawiła się z dzieckiem, a Zoyd zabrał brudną pieluchę, pozbył się gówienka i przepłukał tetkę w toalecie, po

czym wrzucił ją, posypując boraksem, do plastikowego kosza na śmieci, który był już tak ciężki, że wymagał wyniesienia wraz z górą pieluch do pralni publicznej. Wrócił z ciepłą wilgotną szmatką i tubką desitinu, sprawdził, czy była teściowa zauważyła, że przemywa pupę we właściwym kierunku, lecz dopiero spinając czystą pieluchę, przypomniał sobie, że powinien zwracać większą uwagę i dbać bardziej o te drobne, dewocyjne niemal zabiegi, które brał za dane raz na zawsze, a które teraz, w obliczu panoszącego się w salonie pościgu, nazbyt późno, wydały mu się wprost bezcenne...

Sasha stała z Prairie na rękach przy oknie, przez które wpadało słońce, a dziewczynka za pomocą idealnej dziecięcej artykulacji nadgarstka, dłoni i paluszków pokazywała łomot i rumor dobiegające z sąsiedniego pokoju, robiąc przy tym zdziwioną minę.

– Nie chciałam ci dopiec – mruknęła Sasha.

– Z wzajemnością. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

– Zaopiekuję się nią, dawno nie byliśmy razem, wszystko będzie dobrze.

– Z wyjątkiem tego, że idę do pierdła, rzecz jasna. – Zoyd zaskoczył sam siebie nagłym atakiem chichotu, co spodobało się Prairie tak, że zaczęła się kołysać w ramionach babci, rozciągając buzię w uśmiechu, którego granic jeszcze nie знаła, oraz wydając od czasu do czasu przenikliwe piski. – O, podoba ci się, nie? Tatuś idzie siedzieć! – Wsadził palec do ust, wypychając policzek, wciągnął powietrze i wystrzelił jak korkiem z butelki. Prairie wpatrywała się w niego, roześmiana od ucha do ucha, i pokazała mu język. – No, tak, teraz zostaniesz z tą starszą panią, która cię trzyma na rękach i którą znasz jako babcię...

– Bab ha!

– Mnie będzie jakby mniej. – Kierując się wskazaniem ducha czasów, Zoyd, dryfujący wśród resztek zatopionego małżeństwa, poddawał się impulsowi, żeby się rozplakać za każdym razem, kiedy przyszła mu na to ochota, prywatnie czy publicznie, Nie Wypierając się Uczuć na maksa bez względu na

to, jakie wrażenie robiło to na postronnych, jak wpływało na ich własne problemy, życiowe postawy, na ich lunch. Nasłuchawszy się porad w rodzaju: „Nic dziwnego, że cię zostawiła”, „Wytrzymaj nos i zachowuj się jak mężczyzna” albo „Idź do fryzjera, skoro już o tym mowa”, zaczął traktować płacz jako inną formę oddawania moczu, które uskuteczniane w nieodpowiednim czasie i miejscu równie szybko przysparzało mu kłopotów, i nauczył się po wielu próbach powstrzymywać łzy do stosowniejszej chwili, w której będzie mógł bezpiecznie popłynąć na słonej fali, często nie czekając, aż zamkną się za kimś drzwi, i spuszczać zaciągnięty do samej góry ręczny hamulec. Tym razem jednak musiał czekać aż do końca dnia, pośepny i pozapinany po samą szyję, bo wcześniej skuto go kajdankami, wyprowadzono na dwór na oczach zdumionych – lub doznających innych stanów emocjonalnych, takich jak strach – sąsiadów, gapiących się przy okazji na wielki pryzmat, który jakimś cudem znów znalazł się na dworze i stał zabezpieczony na przyczepie, która miała go odwieźć do takiego czy innego przestronnego Muzeum Nadużywania Narkotyków, z którego go wypożyczono. Zoyda wepchnięto na tylną kanapę szaroburego caprice’a z rządowymi tablicami rejestracyjnymi i wywieziono przez wzgórze z Gordita Beach, kierując się utwardzonymi ulicami na południe i wschód, ku mniej zamieszkanym okolicom pełnym szybów naftowych i przysypiających pomp, zielonych pól, koni, słupów wysokiego napięcia i wiaduktów kolejowych, by przystanąć wreszcie przy niskim kompleksie piaskowych budowli, które przypominały przeciętną szkołę średnią, choć w środku w wyłożonych żółtymi kafelkami pomieszczeniach szwendało się mnóstwo funkcjonariuszy U.S. Marshals, zajętych rewizjami, pobieraniem odcisków palców, robieniem fotografii, wypisywaniem formularzy i ustawianiem się w kolejce do kantyny na wczesną kolację: wieprzowe rozmaitości, błyskawiczne ziemniaczane purée, czerwona galaretka. Zoyd znalazł się w obszarze dla zatrzymanych i we własnej celi, w której czekał w zgiełku, w zimnym świetle jarzeniowym, bez

telewizora, do capstrzyku, kiedy wreszcie mógł sobie pofolgować i zalać się łzami, oplakując komiczną małą buzię, wykrzywającą się boleśnie, kiedy go wyprowadzano... Czy będzie za nim tęskniła, biegnąc jutro niepewnie na chwiejnych nóżkach po domu Sashy i zaglądając do każdego zakamarka, marszcząc brwi i wołając „Ta tuh?”. Zoyd, ty popierdolony głupku, zwrócił się do siebie między spazmami, co ty robisz, lulasz się płaczem do snu? Pewnie tak. Ale zaraz znów zapaliło się światło jarzeniowe i na składanym metalowym krzeselku w celi usiadł jakiś nieduży szykowny gość w niebiesciutkim jak niebo garniturze safari, i zaczął szczekać „Wheeler” raz za razem, jak doberman w nocy gdzieś za rzeką. Zanim wzrok Zoyda przywykł do jarzeniowego blasku, a jego puls wyrównał się po przebudzeniu w środku nocy, domyślił się, że ma do czynienia z Brockiem Vondem.

– A zatem... – Brock kiwał głową z udawaną uprzejmością, wpatrując się w twarz Zoyda z, jak mu się wydawało, przedłużającym się skupieniem i nie przestając przy tym kiwać.
– A zatem... Mógłbyś z łaski swojej obrócić nieco głowę... nie, w drugą stronę... Pokaż mi profil. Aha. Ha! Tak, a teraz spójrz tam, do góry, na sufit. Dziękuję. I jeszcze unieś górną wargę.

– O co chodzi?

– Chcę wyrobić sobie pogląd na temat twojego wskaźnika nosowo-szczękowego, a te wąsy trochę mi przeszkadzają.

– Hm, mogłeś tak mówić od razu. – Zoyd uniósł wargę przed Brockiem. – Mam jeszcze zrobić zeza, zacząć się ślinić czy coś?

– Masz świetny nastrój jak na kogoś, kogo czeka dożywocie. Miałem nadzieję na poważną rozmowę dwóch dorosłych mężczyzn na poziomie, ale pewnie się przeliczyłem, być może spędziłeś zbyt dużo czasu w żłobku, hm? Zrobiłeś się za wygodny, może trzeba ci to uprościć?

– Jeśli chodzi o moją byłą żonę, kapitanie, niczego uprościć się nie da.

Brock Vond rozdał chrapy, przy oku pulsowała mu żyłka.

– Już się nie musisz nią zajmować. Umieję zająć się Frenesi, pajacu. Rozumiesz?

Zoyd opuścił wzrok. Opuchnięte oczy, zaciśnięte usta, pot, włosy – a także mózg – zmierzwiłone. Jak każdy przeciętny ćpun z lat sześćdziesiątych, naturalna ofiara antynarkotykowych agentów, spodziewał się u każdego gliniarza instynktu drapieżcy, ale to było coś gorszego – osobista niechęć, zła wola, a wszystko nazbyt prawe. Ale dlaczego? Zoyd po raz pierwszy widział Kochasia na oczy – tę wielką niewiadomą, od której do niego uciekła, przynajmniej na jakiś czas, i do której postanowiła, jak przypuszczał, wrócić na dobre. Starając się nie drażnić Prokuratora, siedział na krawędzi pryczy, podpierając głowę, a Brock wstał ze zgrzytem metalu i zaczął przemierzać celę, jakby zatopiony w myślach. Jak mówiła Frenesi, Brock urodził się pod znakiem Skorpiona, jedyne stworzenie pod słońcem potrafiącego użądlić się na śmierć własnym ogonem. Zoydowi przypomnieli się autodestrukcyjni maniacy, z którymi ścigał się w młodości samochodami, piwni banici zawsze przekraczający dozwoloną prędkość, rojący romantyczne fantazje o śmierci, od czego zazwyczaj im stawało, co było tematem do żartów przez całą noc – jasnoocy, szczerzy do bólu wieśniacy z tatuażami JA I ŚMIERĆ w skrwawionym sercu, którzy nie bali się niczego, oprócz rozbierania skrzyni biegów, którzy kończyli jako gliniarze albo trenerzy, albo sprzedawcy polis, łagodni jak baranki, Panowie Profesjonaliści dzierżący ster życia w rękach, choć gdzieś pod spodem wciąż pędzący nocą po drogach: żółte linie ciągłe i przerywane, straszliwa, mająca się zaraz objawić tajemnica gdzieś z przodu, wzwód... Ten Brock wyglądał na wielkomiejskie wydanie tej samej marzycielskiej desperacji.

Brock wyciągnął nagle paczkę fajek białego chłopaka, zapalił, przypomniał sobie nagle o jakimś podpunkcie Kodeksu Dżentelmena i podsunął paczkę Zoydowi, choć jak na prawdziwie dżentelmeński gest udawanej wspaniałomyślności, nazbyt gwałtownie. Ale Zoyd i tak poczęstował się papierosem i ogniem.

– Dziecko w porządku, hm?

W tym momencie pojawił się wreszcie odbytniczy spazm, miażdżący wnętrzności Zoyda na raty. Tak, temu pojebanemu skurwysynowi zależy na dziecku, bo co innego?

– Pójście do więzienia może oznaczać wiele rzeczy – stwierdził Brock. – Utratę praw do opieki. Może raz na jakiś czas, bardzo długi czas, i tylko dlatego, że Biuro Więziennictwa nie jest całkowicie wyzute z ludzkich uczuć, będzie cię mogła odwiedzić. Może, jeśli będziesz grzeczny, wypuścimy cię pod strażą na jej ślub, hm? Pozwolimy wypić łyka szampana na weselu, choć technicznie rzecz ujmując, będzie to naruszenie regulaminu. – Pozwolił Zoydowi zadrzeć raz czy dwa i westchnął dramatycznie. – Ale będę gotów zaryzykować i postawić na ciebie.

– Jeśli chcesz zaadoptować Prairie – zaryzykował Zoyd – to nie musicie mi tego robić, wystarczy znaleźć sędziego.

Brock ze zniecierpliwieniem wydmuchnął dym.

– Ludzie, z wami się nie da rozmawiać! A jakbyś żył, dajmy na to, na innej planecie? Hm? Gdzie się nie rodzi i nie wychowuje dzieci. Ale niektórzy się buntują i uciekają od tego. Chcą się zamknąć w domowych układach najszybciej jak mogą. Jakiejś kobiecie strzeli, dajmy na to, do głowy, żeby zostać przeciętną, niewidzialną, podmiejską mamą, zakotwiczyć na planecie z jakimś niewinnym mężusiem, urodzić dziecko, żeby nie odlecieć, nie stać się kimś, kim naprawdę jest, żeby uciec przed odpowiedzialnością... Taka kobieta zмага się z przeznaczeniem.

– Musi sobie znaleźć statek kosmiczny – pociągnął Zoyd – i uciec na naszą planetę, na Ziemię, gdzie ludzie mogą robić, co chcą, nawet robić sobie dzieci z włóczęgą, którego nie stać na kupienie domu. Bo mają taki kaprys i glinom nic do tego.

Takiej Ziemi Brock nie znał.

– Ale policja z tamtej planety – rzucił bez mrugnięcia powieką – która poprzysięgła chronić wszystkich mieszkańców, nie może jej pozwolić uciec od tego, co nieuniknione. Więc ściga ją i łapie na Ziemi. I sprowadza na macierzystą planetę. Gdzie już nigdy nie ujrzy dziecka.

- Ta, ani jego ojca.
- Który sam o to zadba.

Palili jak smoki i prawie się nie widzieli w nikotynowym sztormie, mimo światła jarzeniówek. Gdzieś niezbyt daleko od tego federalnego ustrojstwa znajdował się motocyklowy bar, Knucklehead Jack's, a wiejący od niego nocny wiatr niósł głośne spienione fale nut rock and rolla, wyjącej piskliwie gitary, której solówka łamała wszelkie znane zasady, podwyższając ciśnienie i dodając otuchy zamkniętemu Zoydowi, który szacował obecnie naturę zagrożenia i wciąż nie mógł uwierzyć, że Brock sformułował właśnie warunki umowy. Naprawdę chciał iść na ugodę? Naprawdę nie chciał Prairie?

- Nie martwię się o Sashę, bo nigdy nie pozwoli Frenesi zbliżyć się do dziecka, teraz już nie... ale, jeśli pozwolisz, powiem ci, co niepokoi mnie w tobie. Powiedzmy, że pozwolę ci podjąć na nowo wątpliwą opiekę nad tym dzieckiem: w nędzy, wśród narkotyków, bez stałych godzin pracy, w podejrzanym towarzystwie. Wszystko to, rzecz jasna, przy założeniu, że się dobrze rozumiemy. No i co dalej? Przypuśćmy, kto wie... że zadzwoni do ciebie pewnej nocy, bo przypada akurat pełnia księżyca, rozmawiacie coraz milej i milej, nucąc sobie te stare przeboje... I w następnej chwili siedzicie we trójkę w całonocnym Burger Kingu, pałaszujecie frytki, wygłupiacie się, jak to w podstawowym trójkacie, uświęconej rodzinie, wszyscy razem... Chwyta za serce, co? Kręcą was w telewizji, jak do reklamy, wszyscy w niej występujecie, jesteście sławni, a ja w końcu się o tym dowiaduję, pojmujesz? Chodzi o to, że nic nie umknie mojej uwadze.

- Ale gdybym zabrał córkę i...

Brock wzruszył ramionami.

- Zniknął. Pewnie nie dałoby się was odnaleźć przez jakiś czas. Długi czas. Mógłbyś się nawet ożenić, założyć dom?

- Frenesi tego chce?

- Ja ci to mówię. Mam jej plenipotencje, dała mi je, zanim mi się oddała, więc nie marnuj mi czasu. Pytanie brzmi: czy chcesz iść za kraty na zawsze, bo w bloku D jest wolna górna prycza,

czeka na ciebie, twoim kumplem spod celi będzie niejaki Leroy, skazany za morderstwo. Ma dwie rozrywki: jedzenie arbuzów i wsadzanie przerośniętego członka do odbytu białych, którzy są akurat pod ręką, a ty będziesz. Potrzebujesz dalszej zachęty?

Zoyd nie mógł spojrzeć mu w oczy. Sukinsyn czekał na odpowiedź.

– Okay.

– Uwierz mi – Brock z instynktem sprzedawcy gratulował klientowi zakupu – zrobiłaby to samo dla ciebie.

– To bardzo pomaga, dzięki.

– A zatem... każę przygotować papiery. Ale musimy coś zrobić z tym twoim niezdolnym tonem. – Brock podszedł do drzwi i krzyknął: – Ron? – Odgłos zbliżających się kroków. Ron, wielki, atletyczny gość z U.S. Marshals, otworzył celę. – Ron, masz pozwolenie na postępowanie pozaproceduralne?

– Oczywiście, panie Vond.

– Przypierdol mu – polecił Brock, wychodząc z celi.

– Tak jest. Ile razy?

– Och, jeden raz wystarczy – rozbrzmiewało zamierające stalowe echo.

Ron nie marnował czasu. Dogonił Zoyda w rogu celi i zadał mu oślepiający cios w splot słoneczny, który sparaliżował, pozbawił oddechu i znokautował ofiarę. Ron na rozstawionych szeroko nogach oceniał robotę, a Zoyd widział niewyraźnie jego nieruchome buciory, i nie mogąc nawet krzyknąć, czekał na kopniaka. Ale Ron odwrócił się, wyszedł i zamknął celę. Wkrótce zgasło światło. Zoyd skulił się i walczył o oddech, a oczy zdołał zmrużyć dopiero przed odliczaniem o piątej trzydzieści.

Hector pojawił się zaraz po śniadaniu, rozpromieniony pod wąsem, którego pielęgnacja, z mikrostrukturą włócznie, zabierała mu codziennie dwadzieścia minut cennego czasu.

– Władze zdecydowały, że nie jesteś im jednak potrzebny. Lecz nawet jeśli uznamy cię za muła, możesz zaliczyć od sześciu do dożywocia za to pół tony w chacie. Ktoś wykombinował, że

mógłbym ci pomóc... A tak nawiasem, wyglądasz jak kupa gówna.

– Powiedz temu Wyattowi Earpowi, żeby ci przypierdolił. Zobaczymy, jak będziesz wyglądał. – Zoyd, z zaczerwienionymi oczami, wypuścił głośno powietrze przez nos, oskarżycielsko. – Naprawdę się spóźniłeś, człowieku... Myślałem, że po tych wszystkich latach szanujesz mnie na tyle, żeby nie zmuszać mnie do kapowania. Więc, co się, kurwa, stało, że do tego wracasz?

Dziwne złudzenie optyczne, bez wątpienia, albo Zoyd zaczął halucynować nie w porę, ale z gałek ocznych Hectora zniknęły źrenice, a białka stały się matowe, pochłaniając całe padające na nie światło.

– Wiesz, co? Zaczynam być głodny. Czy musimy grać ze sobą w kulki? *Órale*, dostaniesz dobrego sędziego, kapujesz? Niebrzydka wolnościowa ciupę, farmę, gdzie będziesz uprawiał warzywa. Kwiatki. Lubicie kwiatki, co nie? Chcę tylko, mówię poważnie, Zoyd, poznać historię tego dżentelmena, wspólnego znajomego, na którego wołają... Shorty?

– Chryste, Hector – rzucił Zoyd schrypniętym głosem, kręcąc głową. – Jedyne Shorty, jakiego znam, mieszka teraz w Hemet, a od powrotu z Wietnamu stał się bardzo ostrożny, nie lata nawet samolotem, co nie wygląda obiecująco, a oprócz darvonu, który wysepia od starej, jest czysty, i z tego, co wiem, nie nadaje się nawet na karmę dla psów.

– To on! – zawołał Hector. – To ten skurwieli! W EPT wołają na niego Złe Shorty! Masz potencjał na superszpicla, Zoyd, bo dzięki tobie sprawa nabiera rumieńców! *Muy de aquellos*, zaczekaj, aż powiem o tym szefowi! Czeka cię wielka przyszłość w tym interesie, *ése!*

Zoydowi przyszło do głowy, później niż zazwyczaj, że Hector zwyczajnie robi sobie jaja. Zaryzykował:

– Nie stracę dla ciebie dziewictwa, Hector, mam już dziecko, kapujesz, którym muszę się zająć, nie mam wyboru, zostanę porządnym obywatelem i przejdę na naturalne używki, nie będę miał czasu dla tych dealujących narkotykowych

twardzieli, z którymi się zadawałem, jestem stuprocentowo zresocjalizowany, człowieku.

– Ta, naturalne używki! Dżointy w dni powszednie i kwas w weekendy. Kiedy zetniesz włosy? Rzuć ten gówniany zespół i naucz się paru kawałków Agustína Lary. Załóż jakieś małe *conjunto*. I pomyśl nad powtórnyim ożenkiem, Zoyd. Debbi jest moją drugą żoną, a ja jej drugim mężem. Jesteśmy najszczęśliwsi, *palabra*.

– Dobra, opowiedz mi o tej swojej szwagierce, tej, co ją ze wszystkimi umawiasz, nawet z zatrzymanymi.

– Nieee... wyprowadziła się do Oxnard, wyszła za jednego *los vatos de Chiques*. Debbi mówi, że mają to obie we krwi, że żadna kobieta w ich rodzinie nie mogła się oprzeć układowym romantycznym Latynosom.

– Musisz ją trzymać z daleka od ziomali.

– *Ay muere*, daj spokój. – Hector pokręcił głową, otwierając szeroko drzwi celi Zoyda. – Wyłaż, spadaj stąd.

Więc tego samego wieczoru przed zachodem słońca był już u Sashy na pachnącej ulicy obsadzonej starymi palmami. Wiał lekki pustynny wietrzyk, znad oddalonych o kilometry wąskich gardeł Wilshire niosły się odgłosy cichnącego ruchu, a w bocznych oknach długich przecznic rozkwitały światła siadających do kolacji ludzi. Prairie wystrojono w jakieś nowiutkie, kupione przez babkę najpewniej w Beverly Hills, śpioszki, a do tego w buciki i czapeczkę. Kiedy ujrzała Zoyda, wykrzyknęła:

– Tah-tu nie!

– Moja ślicznotka! – Przyklęknął z szeroko otwartymi ramionami.

Prairie ukryła się za plecami Sashy i spojrzała na niego lśniącoymi oczami, wysuwając brodę.

– Nie!

– Och, Prairie.

– Stali ipis!

– To ty ją tego nauczyłaś! Wiedziałem! Wystarczył jeden dzień, żebyś wbiła w nią szpony... – Ale po Brocku Vondzie

i jego kolegach upokorzenie nie było tak bolesne jak w czasach pokoju.

– Zoyd, co się stało? Wyglądasz strasznie.

– Och... – ślaniał się na nogach – to ten jebany Brock Vond, człowieku. Twoja córka ma gust, nie ma co!

Chyba nie zdoła opowiedzieć jej tego, co zafundował mu Brock na samym końcu. Zanim go wypuszczono, postawiono go na parkingu, na uboczu, w cieniu, między dwoma funkcjonariuszami U.S. Marshals – jednym z nich był oprawca Ron – a Brock wyprowadził z budynku uśmiechającą się zacięcie Frenesi, która była gdzieś niedaleko przez cały czas... słońce we włosach i na twarzy... gołe nogi tak piękne i gładkie... Musiał się w nią wpatrywać, nie miał wyboru, w ten uśmiech, który nie zniknął z jej twarzy, i w wytwornie pastelowego Brocka w robionych na zamówienie ciemnych okularach, który otworzył przed nią tylne drzwi auta; musiał się przyglądać, jak chwyta ją za włosy – Boże, jakże on je kochał – żeby skierować jej głowę pod dach w wyściełane cienie, choć nikt mu nie kazał zauważyć, jak wygięła szyję, wyczekująco, jak obnażyła erotycznie długi kark, niemal dobrowolnie, jakby czekała na supermodną skórzaną obrożę...

– Właśnie rozmroziłam pizzę, chodź.

Prairie wyszła w końcu z za babki i pocałowała go na powitanie, a potem na dobranoc. Kiedy usnęła w wolnym pokoju, Zoyd opowiedział Sashy o ugodzie, jaką zawarł.

– Ale nie możesz zupełnie zniknąć – zaprotestowała.

Fakt, dlatego zaproponowano mu rentę psychiatryczną.

– Żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteś – wyjaśnił Hector. – Bo dopóki będziesz odbierał czeki, włos ci z głowy nie spadnie. Wystarczy, że nie odbierzesz jednego, włączy się alarm i dowiemy się, że chcesz nawiać.

Zoyd wyglądał tak żałośnie, że Sasha pochyliła się i klepnęła go przyjaźnie w ramię, mówiąc:

– Ten faszystowski kutas chce, żeby Frenesi nigdy nie zobaczyła córki. To takie banalne! Mężczyźni umawiają się

z mężczyznami i decydują o losie kobiet! Naprawdę pomożesz mu je rozdzielić?

– Nie wiem, czy zdołam. A ty? Brock mówi, że z tobą nie będzie problemu, bo nie pozwolisz jej zbliżyć się do Prairie.

– Bo jestem starym lewackim popychadłem, ideologia przed rodziną, okay, niech tak myśli, będziemy mieli chwilę na oddech. Posłuchaj, znam takie miejsce...

I opowiedziała mu o Vinelandzie, dokąd jeździli latem z małą Frenesi, która znała tam każdy kąt, przeszła pieszo wzdłuż każdego wpadającego do morza strumienia, wyprawiała się pieszo do samego miasta, znikając na całe dni z manierką oranżady i plecakiem pełnym kanapek z masłem orzechowym i piankami.

– Zdaje się, że mnóstwo ludzi zmierza ostatnio w tamte strony. – Zoyd kiwał głową.

– No, raz do roku robimy tam taki zlot, gotujemy na dworze, gramy w pokera, gadamy, wszyscy Traverse'owie i Beckerowie, moi rodzice i ich krewni. Frenesi bardzo to lubiła, czekała na to przez cały rok, ale po szkole średniej przestała przyjeżdżać. Wiesz, są na świecie gorsze miejsca, w których mógłbyś wylądować z tym berbeciem. Znajdziesz sobie dom, okolica jest piękna, a stojedynką wszędzie blisko: do barów przy Two Street, knajp w Arcacie, morza w Shelter Cove. I będziesz miał towarzystwo, bo jak słusznie zauważyłeś, ta twoja banda pojebów, nie bierz tego do siebie, wynosi się z LA na północ i rozlewa po całym Vinelandzie. Będziesz miał darmowe opiekunki do dziecka, będziesz miał z kim przypalić i pograć na gitarze.

– Brzmi nieźle, fakt, ale tam nie ma pracy, a jeśli, to dla rybaków czy drwali, a ja jestem pianistą.

– Więc będziesz musiał utrzymać się z własnego dowcipu.

– Można się tam ukryć?

– Połowa okręgu jeszcze czeka na geodetę, dziewicza sekwojowa puszcza, w której można się zaszyć, stare wymarłe miasteczka, a nowe za starymi osuwiskami, których nigdy nie oczyszczą żadni saperzy, pełno leśnych duktów, wyrębów

przeciwpożarowych, indiańskich szlaków, które powinieneś poznać. Możesz się ukrywać, gdzie tylko chcesz. Ona też będzie mogła, teraz i później. Na pewno się kiedyś pokaże, może na zjeździe Traverse'ów-Beckerów, kto wie. Czar kochasia kiedyś pryśnie, wspomnisz moje słowa.

– Nie byłbym taki pewny.

– Jedyne, co trzyma te faszystowskie świnie przy życiu, to ich urok. Kamery to uwielbiają.

– I myślisz, że ona przyjedzie do Vinelandu? A my będziemy tam na nią czekać z Prairie?

No cóż, czy kiedykolwiek żył bez fantazji, które pozwalają przetrwać najgorsze chwile? Jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił od Sashy do Van Metera, który – zniechęcony po aresztowaniu Zoyda – przyłączał się do marszu na północ i był uszczęśliwiony, że będzie mógł tam zabrać samochód Zoyda, wieżę stereo, albumy i całą resztę. Umówili się na telefon na numer, który podał Van Meter.

Zoyd, z Prairie wiszącą na nim jak małpka na drzewie, pożegnał się z Sashą przy najbliższym wyjeździe na Santa Monica Freeway i natychmiast został zabrany przez pomalowanego w kwiatki – a także planety z pierścieniami, twarze i stopy w stylu rysunków R. Crumba, oraz mniej rozpoznawalne ornamenty – volkswagena busa jadącego w okolice Delt Sacramento, gdzie w głębokim ukryciu za płyciznami z mieszkalnymi tratwami kwitła komuna, schronienie tych, którzy uciekali przed nakazami sądowymi, strażnikami sądowymi i łowcami głów, nie wspominając już o wyższych rangą i bardziej niebezpiecznych przedstawicielach prawa. Ten azyl mieścił się w sercu regionalnej sieci instalacji wojskowych, obejmujących składnice głowic i odpadów jądrowych, rezerwy floty, bazy okrętów podwodnych, fabryki uzbrojenia oraz lotniska wszelkich rodzajów wojsk, od lotnictwa strategicznego do piechoty morskiej, której sprzęt latający, dla zasady niewyposażony w tłumiki, ryczał bez wytchnienia na niebie za dnia i w nocy.

Postanowili zatrzymać się tam na dzień albo dwa, choć Prairie nie była zachwycona grzącym niebem. Początkowo sama odpowiadała niebu rykiem, ale w końcu dała za wygraną i znalazła schronienie blisko Zoyda, którego w tamtych czasach nie było za dużo. O każdej porze dnia i nocy pukali do nich jacyś ludzie i pytali o imprezy, które prawdopodobnie były zwidami ich chorej zaćpanej wyobraźni. Sfory psów i stada kotów zajmowały się sobą w pewnym oddaleniu od domowych dramatów, również bez poszanowania dla wskazań zegara. Siarkowe mgły unosiły się nad wodami niekiedy przez całe dnie, wszystko śmierdziało ropą i chemikaliami, a Zoyd zdejmował od czasu do czasu koszulę, wykręcał ją i zakładał ponownie. Czasem, między lotami maszyn, wznosiły się w powietrze kaczki, Prairie rozchmurzała się, słysząc ich kwakanie, ale potem znów ponad łataniną dachów przetaczał się głośny i niespodziewany grom narodowego bezpieczeństwa i dziewczynka zaczynała płakać, co dawało do myślenia Zoydowi, nawet bardziej niż ogłuszające ryki, o rozpaczliwym położeniu, w jakim się znalazł. Bzyczały moskity, lał się pot, Prairie budziła się co parę godzin, zachowując się zupełnie jak niemowlę, imprezowicze wyli i piszczeli, noc rozrywały stłumione odgłosy dalekich eksplozji, najgorsze stacje radiowe zapewniały muzykę w tle, a psy gryzły się w ubitym błocie o rozjechane po trzykroć resztki zwierząt. Rankiem Zoyd, z głową pulsującą od wypitego na bezsenność piwa i wypalanej z tych samych powodów nikotyny, stanął przed rezydencją starszego komuny i zaanonsował się.

– Jak to...? – spytał, zatykając uszy przed wyciem F-4 Phantom, niewidzialnego w mgle znad bagien. – Powiedziano, że będziemy... – Resztę zagłuszyła fuga B-52.

– F-cztery Phantom, jak sądzę! – krzyknął starszy przez złożone w megafon dłonie.

– Dobra, dzięki, muszę spadać – wyszeptał Zoyd bezgłośnie, uśmiechnął się, pomachał, pstryknął w rondo kapelusza i po upływie kwadransa wyruszył w drogę z dzieckiem i ruchomościami.

Prairie, zadowolona, że zmierzają dokądkolwiek, usnęła, kiedy tylko zatrzymali samochód. Pojechali do San Francisco, gdzie znaleźli nocleg w eleganckiej willi miejskiej na Telegraph Hill, należącej do Wendella („Mucho”) Maasa, koryfeusza przemysłu muzycznego, którego Zoyd poznał w Indolent Records. Przeszli przez czarną żeliwną bramę i stanęli na hiszpańskim dziedzińcu wyłożonym kwiecistymi kafelkami, pełnym roślin o gigantycznych liściach, z działającymi fontannami, których plusk obudził Prairie. Miała zdziwioną minę. W ciemności kwitły egzotyczne drzewa pachnące Orientem. Rozglądali się oboje. Prairie roziskrzyły się oczy.

– Och, ślicznotko, nasz gospodarz wciąż płaci czynsz.

Dziedziniec prowadził do wejścia ze świetlikiem i donicami, a w drzwiach pojawił się w podskokach rasowy okaz młodej kalifornijskiej kobiecości, z wyprasowanymi i sięgającymi krzyża włosami, idealną opalenizną w bikini – wiecznie osiemnastoletni, słodko nawalony i roztaczający woń paczuli, przez którą, po minucie czy dwóch, przebił się cichy głosik:

– Cześć, jestem Trillium – przekrzywiła główkę – przyjaciółka Mucho. O, jakie śliczne maleństwo. Mały Byczek, tak? Prawda?

– Mhm. – Zoyd był zbyt zaskoczony, by przypomnieć sobie datę urodzin córki. – Skąd wiesz?

– Z wizytownika Mucho. Sprawdzam dane wszystkich gości. – Wzięła Prairie na rękę, a dziewczynka z zachwytem chwyciła długie włosy. – Mucho wyjechał na weekend do samotni w Marin. Dom jest wasz na całą noc, bo ja jadę na koncert Paranoids w Fillmore. – Wprowadziła ich do wnętrza, jednego z tych, które widywało się u kresu lat sześćdziesiątych tylko w przemyśle muzycznym i na które Prairie zareagowała przeciągłym aprobowującym „Gaaahhh...”. W następnym tygodniu albo za rok nic już z tego pewnie nie zostanie, a po wnętrzach będzie hulał wiatr i słone mgły, po gołych posadzkach będą się przechadzali włóczędzy, telefony zamilkną, pozostanie tylko echo. W tamtych czasach kariery nie trwały długo, a rewolucja stapała się z komercją. Tymczasem jednak znaleźli się w salach

z epoki rock and rolla, który dobiegał ze sprzętu będącego wyrazem – w tamtym odległym roku – najbardziej zaawansowanej analogowej myśli technicznej, wypartej zbyt szybko przez technologię cyfrową: Trilium tańczyła do muzyki, a dziecko w jej ramionach podskakiwało w rytmie jive'a. Zoyd założył ciemne okulary, odgarnął włosy, pstryknął palcami i wykonał parę ładnych tanecznych kroków, rozglądając się po wnętrzu. Wszystko migotało, obracało się, przekształcało, pojawiało i znikało. Wszędzie. Szaleństwo. Elektryczne bilardy, odbiorniki telewizyjne każdej marki i w każdym rozmiarze, których nigdy nie włączono, choć mogłyby pokazywać wszystkie dostępne wówczas kanały, wieże stereo w każdym pokoju i kącie, płonące kadzidełka, lampy stroboskopowe rzucające ciemnofioletowe plamy, a w salonie gigantyczny namiot z czubkiem na wysokości sześciu metrów, prawdziwy pawilon z płótna w jaskrawych barwach, w tym niewidzialnych, jeśli się nie poruszały i nie lśniły. Z willi roztaczały się widoki na Miasto i zatokę San Francisco – psychodeliczne, szczególnie nocą, nawet przy naturalnych używkach, o czym wspomniała Trilium, wychodząca w tej chwili z domu w towarzystwie tylu młodych ludzi w kolorowych szmatach, że zajęliby cały autobus; bardzo spodobała się im Prairie. „Jazzowe maleństwo!” „Chiba!”

Prairie przysypiała w ramionach ojca, podśpiewując sobie cichutko z ukontentowaniem do snu. Znaleźli kuchnię, Zoyd posadził ją na stole i najechał lodówkę wielkości Empire State Building, nakarmił córkę jogurtem z malinojeżyn – sporo wylądowało mu na koszuli – napełnił butelki sokiem i mlekiem, po czym przeszedł do pokoju gościnnego po drugiej stronie patio. Przerył całe pomieszczenie w poszukiwaniu zapasu dla gości, a w końcu musiał zadowolić się skręceniem i zapaleniem własnego towaru. Ululał Prairie do snu oryginalną i niezawodną kołysanką pod tytułem

LAWRENCE Z ARABII

*Och – z Arabii
Lawrence wabi
Włosami, głosami mami!
Za – pewne
Z Arabii
Też ciebie nie zbawi...
Nie! Bo on się, nocą i w dzień,
Włóczy na wielbłądzie
Po pustyni, po bezdrożach, gdzie
Na walkę wystawia się – z obojętności kęsem
Bo przecież jest Lawrence'em,
Z Arabii
I mami włosami, głosami...*

Ściszywszy głośność, usiadł przed Pudłem, Woody Allen w *Młodym Kissingerze*, i z wolna się odprężył, choć brak marihuany w tym domu był zastanawiający. Przedwcześnie spychodelizowany Mucho Maas był kiedyś prezenterem radiowym i około roku 1967, po rozwodzie zapamiętanym nawet w tamtych niewinnych czasach ze względu na swą bezproblemowość, postanowił zająć się produkcją płyt. Przemysł stawał się nieprzewidywalny, a sukces Mucho był nagły: wkrótce, przedstawiając się jako hrabia Drakula, pojawił się w Indolent w bocznej uliczce na równinach Hollywood, na południe od Sunset i na wschód od Vine, gdzie podjechał bentleyem z szoferem, w czarnej pelerynie z Z & Z i plastikowymi kłami, rozrzucając działki wysokooktanowego kwasu pośród fanów starych i młodych, którzy codziennie oczekiwali jego przybycia. „Hrabio, hrabio, oblej nas kwasem!”, wołali. Wytwórnia Indolent Records szybko zyskała sławę z powodu niezwykłego doboru artystów i repertuaru. Mucho jako jeden z pierwszych przesłuchiwał, ale – jak dodawał prędko – bez powodzenia, pewnego nieopierzonego muzyka nazwiskiem Charles Manson. O mało nie podpisał kontraktu z Wild Manem Fischerem i Tiny Timem, ale inni okazali się szybsi.

Według wyśrubowanych standardów tamtych nahajowanych dni wiecznej młodości, hrabia Drakula, czy jak

kto woli Mucho Miłosierny, był uznawany za odpowiedzialnego, a nawet trzeźwo myślącego użytkownika psychodelików, choć z kokainą było zupełnie inaczej. Atakowała go znikąd, ta nieprzewidywalna namiętność, którą w późniejszym nieszczęściu porównywał do potajemnego romansu: ukradkowe spotkania jego nosa z nielegalnymi kryształkami, nagłe ekstazy, zaskakujący brak gotówki, zdumiewające zjawiska erotyczne. Kiedy doszedł do zdradliwego punktu między szalonym zakochaniem a długoterminowym zaangażowaniem, nos odmówił mu posłuszeństwa – krew, smarki, coś niewątpliwie zielonkawego... nosowy kryzys. Nie poszedł na odwyk, w tamtych czasach detoksy nie były tak wszechobecne jak w późniejszych latach ogólnonarodowej antynarkotykowej hysterii, a zamiast tego zasięgnął porady niejakiego doktora Hugo Splanchnicka, oddanego i moralizatorskiego nosologa, przyjmującego w gabinecie w wolnych od pyłu górnych połaciach Sherman Oaks.

– Wyświadczy mi pan drobną przysługę? Utoczę panu trochę krwi...

– Hę?

– ...odrobinę, tylko tyle, żeby zamoczyć stalówkę i podpisać pańskim nazwiskiem ten oto cyrograf...

– Tu jest napisane „Żadnej kokainy do końca życia”. A jeśli...

– Dalej są paragrafy o karach, w zasadzie mówimy o typowym zakresie sankcji: grzywny, więzienie, śmierć.

– Śmierć? Za co? Za wciąganie koki?

– Przecież i tak usiłuje się pan zabić, więc co za różnica?

W nosie Mucho ozwało się bolesne rwanie.

– Mogę dostać przynajmniej trochę nowokainy? – Co wymówił jako „dowokainy”.

– Jak tylko pan podpisze.

– Doktorze! To gorsze od umowy na wypożyczenie producenta!

Pełne irytacji westchnienie.

– Wielka szkoda, gdyż w takim razie... – doktor otworzył szeroko drzwi do kolejnego pomieszczenia – musimy przejść do

następnej fazy w „Sali Zabutelkowanych Okazów”.

Upiorne różowe światło z lad mięsnych kupionych tanio od byłych właścicieli upadłych supermarketów.

Nie wyglądało to obiecująco.

– Eee, powiedzmy, że może jednak podpiszę, pod warunkiem że da mi pan te dowokainę, dobra?

– Och, za późno, o wiele za późno, obawiam się, gdyż mniemam, że zdołał pan zerknąć na zawartość Słoja Numer Jeden. – Doktor udawał, że czyta naklejkę: – „Przekrój czaszki muzyka jazzowego”? Hm? Ukazuje ona strukturę tego wielce interesującego wrzodu, proszę podejść i spojrzeć, obiecuję... – zachichotał – ...że nie będzie pan musiał tego jeść.

Zmierzwionej od narkotyków mózgowej fryzurze Mucho wcale nie wydało się nieprawdopodobne, że jakaś forma życia, skądś tam, mogłaby uznać Zabutelkowany Okaz nie tylko za jadalny, ale również za smaczny, więc nie podzielał wesołości konowała od smarków.

– Świetnie, świetnie, a co do Zamartwicy Zatok... – I tak to trwało, Mucho chwiał się na nogach, robiąc zeza nad rwącym nosem, i przemierzał Muzeum Figur Woskowych, oglądał filmy z OIOM-ów, studiował Przypadki z Zamrażarki, aż wreszcie ból, wyczerpanie i pierwsze oznaki odmrożeń kazały mu podpisać własną krwią wątpliwy dokument specjalisty od nosa. W końcu przyjrzał się temu świstkowi znad podskórnie znieczulonego nosa. Bardzo interesująca lektura. Ha, ha, ha! Tylko idiota mógłby podpisać coś takiego!

Ale, jak twierdził później – często w towarzystwie ludzi, którzy go w ogóle nie znali, i bez ogródek – był to jego życiowy punkt zwrotny. Wytoczywszy się na Ventura Boulevard, o mało nie wpadł pod pomalowanego kolorowo volkswagena „zatrzymaj mnie i zrewiduj”, pełnego młodych długowłosych desperados na przejażdżce, którzy natychmiast go poznali i zaczęli domagać się kwasu. Lecz Mucho z natchnionym i nawiedzonym wyrazem twarzy wyrecytował jak robot:

– Bracia i siostry, nowy odlot, jedyny prawdziwy odlot, to Natura, i życie na jej łonie.

– Oj! – zawołali ćpuni, a kiedy odjeżdżali, z ich rury wydechowej wyłonił się balonik jak w komiksie.

Choć Mucho przeniósł się później do Stolicy Acid Rocka, jego oddanie Naturze tylko się pogłębiło i w niektórych rejonach miasta znano go jako źródło dyskomfortu zwieraczy w tym temacie, trudno się więc dziwić, że nie oszczędził staremu rockandrollowemu kumpłowi Zoydowi własnych przemyśleń o zagrożeniach płynących z nadużywania narkotyków. Jadaj w Misji, czekaj cierpliwie na kazanie. Ale Zoyd miał gotową dla niego odpowiedź.

– Mucho, co się stało? Nie tak dawno byłeś capo di tutti capi! Chyba nie wiesz, co mówisz, chyba jebany rząd przez ciebie przemawia, bo to ich odłot tak czy siak, bo muszą wsadzać ludzi do pierdła, bo jakby nie mogli, to kim by się stali? Jeszcze jednym programem w Pudle, bez kitu. Wzięli się za narkotyki dopiero wtedy, jak skończyli z prohibicją, bo nagle tysiące federalnych gliniarzy poszłoby na bezrobocie, musieli coś szybko wykombinować, więc Harry J. Anslinger wymyślił Zagrożenie Marihuaną, w pojedynkę. Nie musisz mi wierzyć, zapytaj się starego Hectora, pamiętasz go? Powie ci, kurwa, co i jak.

Mucho zadrzał.

– Oo, ten koleś... Wydawało mi się, że już nie prowadzi twojej sprawy.

Na południu w studiu Indolent Hector zrobił stosowne wrażenie. Kiedy wszystkim się wydawało, że los w końcu uśmiechnął się do Corvairsów, kiedy w końcu nagrali jedną czy dwie taśmy matki, mając za producenta samego Mucho, nagle pojawił się w okolicy wierny jak groupie agent, który najpierw trzymał się cicho z daleka, ale potem zaczął się wtrącać i wsadzać nos w nie swoje sprawy, wyklócając się nie tylko o teksty, które były wystarczająco złe, ale o każdą nutę. Istne szaleństwo!

– Hej, to są soulowe akordy! Surferzy tak nie grają, mają grać jak Anglicy, jak do-re-mi, człowieku. Jak Julie Andrews. W tych

Alpach! Z tymi białymi dzieciakami! – I tak dalej, od czego Scott Oof dostawał szajby.

– Znowu tu przylazł, ten twój kumpel krytyk rockowy, i znów kręci nosem. Nie podoba mu się rytm? Sekcja smyczków nie stroi?

– Smyczki... – złowieszco przybity Hector zmrużył oczy – ... nie słyszę żadnych smyczków.

– Dobra, chłopaki, zachowajmy spokój – interweniował Mucho w kostiumie hrabiego Drakuli. – Cieszy mnie, że lubisz zaglądać za kulisy rock and rolla, mój dobry człowieku w obuwiu modnym inaczej, ale, według najświeższych doniesień z plaży, nawet Surfairsi nie grają już jak biali.

– Okay, co do butów – zachnął się Hector – to stare stacey adamsy, *me entiendes como te digo?*

– Ups... – Mucho znał mistyczną wartość marki i szybko przeprosił.

– Dobra, nic nie szkodzi. – Hector zrobił głupkowatą i niebezpieczną minę, niczym stary *pachuco* przypalający skręta, co było sprawdzoną techniką zastraszenia przeciwnika, która obejmowała też jego skrojony na modłę z lat czterdziestych garnitur – ale pozwól, że ci coś powiem, bo czasem słucham płyt z waszej wytwórni, kiedy jestem na mieście, kapujesz, jeżdżąc sobie w tę i nazad, więc powiem ci, człowieku, o radiu w moim samochodzie. – Podszedł bliżej do Mucho, który znał już i zapamiętał historię Hectora, więc cofnął się odruchowo. – Dosyć oryginalnym radyjku, które odbiera tylko jedną stację. KQAS! Kopie w dupę na czterysta sześćdziesiąt kiloherców! Mam ich nalepkę na szybie, więc sprawdzisz se później częstotliwości, jak chcesz. Mam też od nich koszulkę, ale dzisiaj jej nie włożyłem. Szkoda, bo ma fajne zdjęcie. Takie zbliżenie nogi i dupy, kapujesz? Jak stop-klatka nogi, która... właaaaśnie kopie czyjąś dupę, rozumiesz?

– Jestem już spóźniony – odpowiedział Mucho. – Zoyd, chłopaki, zostawiam was w kompetentnych rękach, miło było poznać, panie... nie znam numeru odznaki.

– Powiedz temu staremu wampirowi, że bardzo mi się tu spodobało – mruknął wrażliwy *federale*.

– Tak, najpierw sprawdź krój garnituru – poradził producentowi Zoyd – a potem zachowaj ostrożność.

– Ci federalni – mówił Mucho znacznie później – przypominają laryngologów. Wystarczy, że raz do nich pójdziesz, i masz przejebane na całe życie. Wydawało im się, że już nie dealujesz.

– Też tak myślałem. Ale wiesz, co się stało w zeszłym tygodniu? W końcu mnie wrobił! – I opowiedział Mucho o swym krótkim, lecz jakże pouczającym pobycie w zakładzie federalnym.

Mucho mrugnął współczująco, ze smutkiem.

– To już chyba koniec. Jesteśmy w nowym świecie. Epoka Nixona, a po niej epoka Reagana...

– OP Raygun? Nigdy nie wygra wyborów prezydenckich.

– Bądź ostrożny, Zoyd. Bo wkrótce zaczną się czepiać wszystkiego, nie tylko narkotyków, ale i papierosów, cukru, soli i tłuszczu, czego tylko chcesz, wszystkiego, co choćby przelotnie cieszy zmysły. Muszą to kontrolować. I będą.

– Policja od sadła?

– Policja od perfum. Od Pudła, od muzyki. Policja od zdrowego srania. Najlepiej wszystkiego się wyrzec, zanim będzie za późno.

– No, tak, ale wołałem cię takiego jak kiedyś, jak wtedy, kiedy byłeś hrabią. Pamiętasz, jak smakował kwas? Pamiętasz kolorową szybę w Laguna w tamtych czasach? Chryste, wiedziałem już wtedy, wiedziałem...

Popatrzyli po sobie.

– Aha, ja też. Że nigdy nie umrzesz. Ha! Nic dziwnego, że państwo spanikowało. Nie da się kontrolować społeczeństwa, które wie, że nikt nigdy nie umrze. To zawsze była ich atutowa karta: kontrola nad życiem i śmiercią. Ale kwas dał nam rentgenowski wzrok, przejrzelśmy ich, więc musieli go nam odebrać.

– Ta, ale nie odbiorą nam tego, co się stało, czego się dowiedzieliśmy.

– Spokojnie. Pozwolą nam zapomnieć. Zaleją nas informacjami, wypełnią nam każdą minutę, rozproszą nam uwagę, do tego służy Pudło. Oraz, mówię to z bólem, rock and roll coraz częściej. Kolejny sposób na odwracanie uwagi. Żeby ta precudna pewność, którą mieliśmy, zaczęła znikać. Zobaczysz, niedługo przekonają nas na nowo, że jesteśmy śmiertelni. I znów nas dopadną. – Tak wtedy rozmawiali ze sobą ludzie.

– Ja nie zapomnę – poprzysiągł Zoyd. – Pierdolić ich. Grunt, że było nam fajnie, kiedy to trwało.

– Nigdy nam tego nie wybaczą. – Mucho podszedł do wieży i włączył *The Best of Sam Cooke, volumes 1 and 2*, i siedzieli razem zasłuchani w modlitwę, tę, którą znali i która niosła im pocieszenie, choć na zewnątrz rozciągały się coraz mroczniejsze ugory, niewidzialne połącze odpłaty, wyzbyte serca pięćdzi zastrupiałego garnizonowego państwa zielonej niegdyś i wolnej Ameryki, którą pamiętali z dzieciństwa.

W centrum na dworcu Greyhounda Zoyd posadził Prairie na elektrycznym bilardzie Hip Trip z psychodelicznym motywem i bił rekordy w darmowych grach do czasu przyjazdu autobusu z LA do Vinelandu. Dziecko zakochało się w elektrycznym bilardzie, leżało na brzuchu na szkle, kopało stópkami i piszczało, chłonąc pełnię wrażeń, szczególnie wtedy, kiedy zderzaki obracały się samoistnie albo gdy ojciec szalał przy flipperach, uruchamiając gongi i kolorowe światełka.

– Ciesz się, póki możesz – mruknął do niewinnego dziecięcia.
– Póki nie jesteś za ciężka do leżenia na szybie.

Przejazd przez Golden Gate stanowi, zgodnie z metafizyką regionu, przemianę, której powinni doświadczać wszyscy bez wyjątku wędrowcy, nawet tak nieświadomi jak Zoyd. Kiedy autobus pełen zmierzających na północ hipisów dojeżdżał do mostu, tuż przed zachodem słońca, gdy podnosiły się mgły, a wieże i kable unosiły się ku nieziemskim bladozłotym tumanom, wokół dało się słyszeć mnóstwo „Uau” i „Jakie to

piękne”, choć w oczach Zoyda most był równie piękny jak pistolet, a to ze względu na uwięziony w nim zły sen, w przypadku mostu – brutalną prostotę wielkości oraz nieuchronność tego, co spływało pod przęsłem do morza. Wznieśli się ku dziwnej złocistej duchocie, widzialność spadła do jednego auta przed maską, a Prairie stanęła na fotelu i wyglądała przez okno.

– Przed nami tylko drzewa, ryby i mgła, ślicznotko, od tego miejsca do samego końca – odezwał się, pociągając nosem. „Póki mama nie wróci do domu”, chciał dodać, ale tego nie zrobił. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko.

– Gmła!

– Ta... mgła!

Drzewa. Zoyd musiał przysnąć. Obudził się w strugach deszczu, w zapachu mokrych sekwoi wpadającym przez otwarte okna autobusu, w tunelu niewiarygodnie wysokich i prostych czerwonych drzew, których koron po obu stronach nie dało się dojrzeć. Prairie wpatrywała się w drzewa przez cały czas i mówiła do nich cichutko, kiedy je jedno po drugim mijali. Wyglądało to tak, jakby odpowiadała na głosy, które tylko ona słyszała, w dodatku całkiem rzeczowo jak na dziecko, jakby wracała do dobrze sobie znanego świata poza światem. Burza siekła noc, martwe kłody drzew poukładane wysoko na powolnych tartacznych ciężarówkach lśniły pokracznie, drogę rozplątywały wylewające się strumienie i drobne osuwiska, a autobus sunął raz po raz nad samą krawędzią Otchłani. Towarzysze podróży zagajali rozmowy, pojawiały się i zapalały skрэty, z półek nad fotelami zdejmowano gitary, z toreb z frędzlami wyjmowano harmonijki ustne i wkrótce rozpoczął się koncert trwający przez całą noc, retrospektywa epoki, którą przeżyli przez mniej więcej jedno pokolenie. Śpiewano rock and rolla, Motown, stare przeboje z lat pięćdziesiątych, aż wreszcie przez jakąś godzinę przed wodnistym zielonym wschodem słońca grała tylko jedna gitara i jedna harmonijka. Bluesa.



Zoyd odnalazł Van Metera w Eurece na rogu Czwartej i H. Zdezorientowany zatrzymał nagle wzrok: dogde dart z 1964, niewątpliwie jego własny, dwudrzwiowy, pomalowany po LSD, z odblaskowymi kołpakami z oczami i aktem z opływowymi cystickami na masce. Za kierownicą typowy hipisowski pojeb wyglądający tak samo jak on. Uu-uu! Odrobina nierzeczywistości dla obu, bo kierowca był nie mniej zdezorientowany od Zoyda! Van Meter zastanawiał się, dlaczego Zoyd nie macha na powitanie, a wzięwszy jego umysłowy zamęt za złość, postanowił jechać dalej. Kiedy Zoyd doszedł do siebie i wymachując rękoma i wrzeszcząc, zaczął gonić Van Metera w gęstym w porze lunchu ruchu, basista zaniepokoił się jeszcze bardziej. Zoyd dogonił własny samochód na czerwonym świetle i wskoczył na miejsce dla pasażera.

– Nie wkurwiał się – zaczął Van Meter wysokim zdenerwowanym głosem. – Jeździ jak ta lala, właśnie zatankowałem...

– Wyszedłem z siebie na chwilę, tak mi się wydawało. Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś...

– Hej, luzik. Gdzie jest ta Prairie?

Zoyd zostawił ją u znajomych, przez tydzień szukał bez powodzenia domu, miał zamiar odebrać córkę i jechać do Vinelandu.

– Jak tylko znajdę kluczyki, odwiozę was, a potem przywieziesz mnie tu z powrotem.

– Kluczyki są chyba w stacyjce.

– Aha...

Odebrali Prairie ze spółdzielczego żłobka prowadzonego przez znajomych z południa. Miała na sobie dzinsowy kombinezon i powitała Van Metera, swojego ojca chrzestnego, radosnymi piskami, przybijając z nim górne piątki brudnymi rączkami. Zadomowiła się tutaj, wcale nie tęskniła za plażą i poznała już parę dzieciaków, z którymi się regularnie tłukła

i bawiła. Wkrótce znów znaleźli się na drodze 101, a siedząca z tyłu Prairie usnęła.

„Przystań Dająca Schronienie, jak napisano na mapie geodezyjnej z 1851 roku, Pływającym Jednostkom, które ucierpiały po drodze na Północ od silnych przeciwnych wiatrów wiejących wzdłuż wybrzeża od maja do października”. Zatoka Vineland u ujścia Seventh River. Chroniona od morza i jego wielu nierozwikłanych tajemnic przez dwie mierzeje, Thumb i Old Thumb, oraz wyspę w zatoce, nazywaną False Thumb. Mierzeje łączył most, a bardziej wewnętrzna z nich, Old Thumb, miała również połączenie mostowe z miastem Vineland przytulonym półkuliście do zatoki. Oba mosty stanowiły wdzięczny przykład betonowych konstrukcji w stylu art déco, budowanych w czasach wielkiego kryzysu na całym Północnym Zachodzie przez WPA. Zoyd, który prowadził, wjechał na długie, porośnięte po obu stronach lasem wzniesienie, a na jego szczycie ujrzał rozsuwające się drzewa, a niżej rozkładające się powitalnie ramiona Vinelandu. Geometrię zatoki neutralnie filtrowały przedburzowe chmury: krystaliczne otwarte przęsła jasnych mostów, wysoki komin elektrowni, nad którym unosił się dym wskazujący północ, co zapowiadało deszcz, odrzutowiec na niebie odlatujący z Vineland International na południe, przystań Korpusu Saperów z kutrami rybackimi, motorówkami i żaglówkami zacumowanymi razem, a wyżej parę wznoszących się od wybrzeża kilometrów kwadratowych wiktoriańskiej zabudowy, hangarów Quonset, powojenne ranczo z prefabrykatów i piętrowych modułów, nieduży parking przyczep kempingowych, barokowość tartacznych baronów i oszczędność Nowego Ładu. I budynek federalny z poszarpanym frontonem, czarny jak obsydian, stojący na uboczu na środku dużego parkingu ogrodzonego siatką zwieńczoną drutem kolczastym.

– Nie wiem, skąd to się wzięło – powiedział Van Meter. – Wylądowało któreś nocy i rozsiadło się na dobre rano, kiedy ludzie otworzyli oczy. Chyba już się przyzwyczaili...

Pewnego dnia to wszystko wejdzie w skład megalopolis Eureka-Crescent City-Vineland, ale na razie pierwotne wybrzeże, lasy, brzegi rzek i zatoka nie różniły się specjalnie od tego, co widzieli tu pierwsi przybysze na hiszpańskich i rosyjskich statkach. Autorzy dzienników pokładowych, którzy nie słyną, jak wiadomo, z daru jasnowidzenia, opisując wielkość i zajadłość łososi, zdradliwe spowite mgłami brzegi oraz rybackie wioski Yuroków i Tolowa, nie zapomnieli odnotować – i to niejednym razem – wrażenia, że oto zetknęli się z jakąś niewidzialną granicą, napotykaną podczas zbliżania się od morza, leżącą za pelerynami posępnych choin, stanowiskami sekwoi o idealnych pniach i podchmurnych koronach – zbyt wysokich, zbyt czerwonych, by uznać je dosłownie za drzewa, niosących przez to inny zamysł, który mogli znać Indianie, lecz którym się nie podzielili. Indianie ci znaleźli się na fotografiach wykonywanych od przełomu wieków jako mieszkańcy wiosek przyglądający się nieufnie fotografowi lub pozujący w tradycyjnych strojach przed srebrzysto zamglonymi widokami: czarnymi czubkami masztów wyłaniających się z szarego morza kończącego się brutalnie niewinnymi białymi bałwanami, bazaltowymi klifami przypominającymi ruiny zamków, zbitymi oddychającymi sekwojami, wiecznie żywymi, podczas gdy światło z tych fotografii jeszcze dziś jest światłem Vinelandu – deszczową obojętnością, z jaką pada na każdą powierzchnię, wezwaniem do wejścia w świat duchów... bo cóż innego mogły odkrywać staroświeckie emulsje?

Ani w Sacramento, ani w Waszyngtonie nigdy nie znaleziono dość pieniędzy, żeby na drodze 101 powstała obwodnica Vinelandu, więc gdy szosa wpada do miasta, zwięża się do dwóch pasów i zakręca ostro raz czy dwa przed South Spooner, biegnąc za niesynchronizowanymi światłami, które doprowadzały Van Metera do szaleństwa, a Zoydowi pozwoliły przyjrzeć się centrum miasta: Lost Nugget, Country Cantonese, Bodhi Dharma Pizza, Steam Donkey, a potem do North Spooner, pod górę, do dworca autobusowego, gdzie Zoyd i Prairie

trzymali w przechowalni dobytek. Van Meter zaproponował, że wepchnie ich do komuny, w której mieszkał, za Intemperate Hill. Zoyd doszedł do wniosku, że ponieważ do każdej szafki w przechowalni bagażu są kolejki na zapisy, najwyższy czas, żeby zrobić miejsce innym. Wielka migracja na północ zastała Vineland z ręką w nocniku. Dworzec, który zajmował całą przecznicę, służył za tymczasowe lokum dla tych, którzy nie mieli się gdzie zatrzymać. Wszędzie snuło się mnóstwo transplantów z południa. Zoyd zostawił Prairie u pewnych poznanych w autobusie ludzi, którzy wyrobili sobie nawyk opiekowania się cudzymi dziećmi, i z Van Meterem u boku poszedł zygzakiem do niebieskofioletowego wnętrza Fast Lane Lounge, knajpy słynącej z rutynowego wcierania w krawędzie barowych szklanek „nieszkodliwego płynu”, który sprawiał, że szklanki jaśniały w ultrafioletowym świetle, którego na sali nie brakowało. Część tego płynu zlizywali pijący. Mężczyźni wycierali po nim usta, a kobiety pozwalały mu zazwyczaj wchłaniać się przez szminkę, do której substancja ta dziwnie przylegała, od czego kobiece usta rozjaśniały się ultrafioletowo. Jeśli piły drinki przez słomkę, musiały zadowalać się podziwianiem odbłaskowych krawędzi, tak jak podziwia się aureolę bez anioła. Usiedli przed butelkami z zimnym piwem i Zoyd wtajemniczył Van Metera w lokalne stosunki.

– Rzec by można – Van Meter rozpromienił się bezmyślnie – że są gorsze miejsca, w których kryją się desperados. Bo, czujesz, tutaj wszyscy wyglądają tak jak my. Stajesz się prawie niewidzialny. Bo, hej, niby dokąd mielibyśmy pojechać? – Podniósł rękę, wskazując okolice głowy Zoyda.

– Okazuje się, że stara ślicznotka ma tutaj rodzinę, ale nie wiem, czy do nich zajrzeć, czy nie.

– Z jednej strony, lepiej się trzymać z dala od teściowej, a z drugiej jej krewni mogą znać jakieś miejsca, w których można się zadekować, a jeśli tak, to nie zapomnij o swoim starym kumplu. Garaż, szopa, psia buda, wszystko jedno, damy radę z Chloe.

– Z Chloe? Z twoją suką? Zabrałeś ją?

– Chyba jest w ciąży. Tylko nie wiem, czy zaszła tutaj, czy na południu.

Okazało się, że wszystkie szczenięta były podobne do matki, a każde z nich zapoczątkowało psią dynastię w Vinelandzie, z której pochodził między innymi wybrany dla błysku oka Desmond, pies Zoyda i Prairie. Do tego czasu Zoyd znalazł kawałek ziemi niedaleko Vegetable Road, z wykopaną studnią, i kupił przyczepę kempingową od pary wracającej do LA. Zaczął też krok po kroku pracować całymi dniami. W lejących nieustannie na wybrzeżu deszczach, z pożyczoną drabiną i rolkami folii aluminiowej objeżdżał zasobniejsze okolice, pytając o zapchane czy przeciekające rynny, i wykonywał od ręki drobne naprawy, a potem wracał między ulewami, żeby dokończyć porządnie robotę. Sprzedawał całe furgonetki plastikowych płaszców przeciwdeszczowych z Tajwanu, wosk do aut i spiratowane taśmy Osmondów na weekendowych pchlich targach w Bigfoot Drive-In, a każdego lutego wraz ze wszystkimi, których znał, wyruszał w rybackich kaloszach na pola żonkili w powiecie Humboldt; ciął kwiaty i zaliczał kolejne wysypki. Kiedy w okolicy pojawiły się firmy zakładające kablówkę, brał udział w potyczkach obejmujących wymianę ognia między rywalizującymi ze sobą gangami kablarzy, gromadzących duszyczki dla odległych pryncypałów, walczących o nie dom po domu, co w efekcie doprowadziło do tego, że Rada Okręgu musiała podzielić całe terytorium na strefy kablowe, które z czasem stały się samodzielnymi jednostkami politycznymi, gdyż przedsiębiorczy agenci Pudła rozbudowywali sieci nawet tam, gdzie nie było wystarczającej liczby mieszkańców na kilometr, żeby zapłacić za położenie kabla, co odbijali sobie w mieście, głęboko wierząc przy okazji w przyszłość kalifornijskiego obrotu nieruchomościami. Prześiąknięte ideałami dzieci kwiaty, marzące o życiu w harmonii z Ziemią, nie były jedynymi istotami ludzkimi interesującymi się Vinelandem. Deweloperzy ze stanu i spoza stanu poczuli wiatr wiejący od skrywającego wewnętrzny spokój i najeżonego pułapkami wybrzeża, które samo w sobie

stanowiło, w porównaniu z innymi, pułapkę. Niemniej jednak całość nadawała się doskonale, ich zdaniem, na osiedla mieszkaniowe, a im szybciej zacznie się deweloperkę, tym lepiej. To oznaczało miejsca pracy, ale głównie na czarno, w dodatku karygodnie nisko opłacanej. Stosunki Zoyda z Traverse'ami zaostrzyły się wskutek jego nielegalnej działalności, choć Zoyd nazywał ją pracą „niezależnego dostawcy”. Traverse'owie byli starymi, dumnymi, zagorzałymi związkowcami, którzy przetrwali w najmniej sprzyjającej związkom okolicach: pracowali jako nawijacze, zrywkarze, wozacy, pasterze i operatorzy maszyn, niektórzy walczyli pod Everett w tartacznych wojnach, inni, ze strony Beckerów, znali osobiście Joego Hilla, lecz nie płakali po nim, ale zakładali związki, więc jeśli wpuszczali od czasu do czasu przez próg niezrzeszonego i pracującego na czarno Zoyda, to robili to tylko z sympatii dla jego długich włosów i stylu życia, który przypisywali zaburzeniom umysłowym, oraz z miłości do dalekiej krewnej, Prairie, która jako prawdziwa Traverse'ówna świetnie dawała sobie radę, mimo ojcowskiej ułomności. Zoyd stracił sporo punktów również z powodu rozwodu, choć przyznanie mu opieki nad dzieckiem niewidzianej od lat Frenesi stawiało ją w niekorzystnym świetle. Kuzynka Sashy, Claire, której rodzina przypisywała nadprzyrodzone moce, szybko przejrzała Zoyda i dostrzegła świecąca mocno pochodnię, którą niósł, po czym zaczęła zapraszać go na obiady, pokazała mu rodzinne fotografie i opowiedziała to, co zapamiętała o młodej Frenesi, odkrywczyni okolicy, przynoszącej raporty o strumieniach, których nie powinno być tam, gdzie je znajdowała, o światłach na odległych brzegach, o głosach, setkach głosów, jak mówiła, niezbyt radosnych, ale też niezbyt groźnych. Głazy tak ciężkie, że mogła je unieść tylko Wielka Stopa, spadały wokół niej w środku nocy, ławice płynących na tarło tęczowych pstrągów wielkości psów, nie tyle lśniących, ile wręcz świecących, przepływały jej między nogami, kiedy zwiedzała porzucone osady drwali z kotłami, kominami i trybami pozarastanymi przez jeżyny... I to dziwne

„zaginione” miasteczko Shade Creek, ewakuowane podobno podczas powodzi sprzed lat, a teraz zamieszkane w niewytłumaczalny sposób na nowo przez te typy, które jakoby nigdy nie śpią.

– To Tanatoidzi, rzecz jasna – mówiła Claire. – Właśnie wtedy przenosili się do naszego okręgu, a Frenesi, jeśli w ogóle się ich bała, a mogła, stykając się z tyloma ludzkimi nieszczęściami, to nigdy nie dała tego po sobie poznać. – Od zakończenia wojny w Wietnamie liczba Tanatoidów rosła geometrycznie, więc zawsze było coś do zrobienia w Tańskiej Wiosce – kompleksie handlowo-mieszkalnym położonym na wzgórzach parę kilometrów nad Shade Creek. Zbiórki robotników sezonowych odbywały się przed świtem przy sądzie w Vinelandzie, podejrzane brunatne autobusy stały na jałowym biegu w ciemności, z wywieszonymi w oknach ofertami pracy i płac. Zdarzało się, że Zoyd przychodził tam rano, wsiadał do autobusu i jechał w nieznane z innymi nowo przybyłymi, niemającymi pojęcia o lokalnym rynku pracy: byłymi artystami czy duchowymi pielgrzymami ustawiającymi obecnie zapłony, kelnerami i kelnerkami, pakowaczami i kasjerami, robotnikami leśnymi, kierowcami ciężarówek i farmerami – wszyscy oni imali się dorywczych prac, wszyscy pracowali dla innych, tych, którzy budowali, sprzedawali, kupowali i spekulowali. Pierwszą rzeczą, jakiej dowiadywali się nowo zatrudnieni, było to, że długie włosy przeszkadzają w pracy. Niektórzy je ścinali, inni wiązali albo zaczesywali za uszy w coś w rodzaju znaku zapytania. Ich eteryczne niegdyś dziewczyny stały teraz przy zmywaku, podawały koktajle, albo masowały mięśnie strudzonych drwali w Shangri-La Sauna – najlepszej w Vinelandzie. Część odjeżdżała odchodzącym w południe autobusem do domu, inni zaczynali zdobywać wykształcenie na wieczorowych kursach albo w Vineland Community College czy w Humboldt State bądź też rozpoczynali pracę w którejś z federalnych, stanowych, okręgowych, kościelnych czy dobroczynnych instytucji, oferujących najwięcej miejsc pracy w okolicy, jeśli nie liczyć

tartaków. Wielu z nich wspólnie kiedyś ćpało albo było ze sobą, a po latach spotkało się po przeciwnych stronach biurka czy rozmawiało przez terminale komputerowe, jakby wybrano ich potajemnie do rywalizujących ze sobą drużyn...

Po jakimś czasie zaproszono Zoyda na doroczny zjazd rodzinny Traverse'ów-Beckerów, jednakże pod warunkiem, że zabierze Prairie, która pewnej zimy, mając jakieś trzy czy cztery lata, rozchorowała się i wpatrując się w niego zmętniałymi od gorączki oczami, ze smarkami zaschniętymi pod nosem i zmierzwionymi włosami, wycharczała:

– Tatusiu? Czy będzie mi kiedyś lepi? – Ostatnie słowo wymówiła jak Pan Spock.

Zoyd z dużym opóźnieniem spadł wówczas na planetę Ziemię, na której, jak przekonywał się z konsternacją, będzie musiał, naprawdę będzie musiał, zrobić wszystko, żeby ocalić to najdroższe maleńkie życie przed najgorszym, w tym niejaki Brockiem Vondem, co nie było zbyt fajną perspektywą. Ale kiedy rok po roku przyglądał się córce na tych rodzinnych zjazdach, wśród innych twarzy, do których się coraz bardziej upodobniała, mając przy tym – wcale nie na wyrost – przecucie nadciągającego zainteresowania rządu, który słał mu gdzieś zza horyzontu z księżycową wprost regularnością świadczenia psychiatryczne, odnalazł w końcu, mimo codziennej szamotaniny, krztynę spokoju i zrozumiał, że wybrał właściwe miejsce dla Prairie, no i dla siebie, przynajmniej na kilka lat, że dla odmiany dokonał dobrego wyboru, decydując się przybić przez sztormy i osuwiska do tej przystani: przystani w Vinelandzie, Dobrej Winlandii¹⁵.

Przed świtem na pastwisko wybiegły po rosie pierwsze niecierpliwe bosonogie dzieciaki, a za nimi bezpańskie psy myślące o zajęcach, domowe psy myślące bardziej o bieganiu oraz schodzące z nocnej szycy koty wyginające i spłaszczające grzbiety, żeby zmieścić się we własnych cieniach. Zwierzęta z lasu, drapieżniki i ofiary, nie przyglądały się w ogóle intruzom jak Bambi, lecz pozostawały jak zwykle czujne, z sekundy na sekundę, wiedząc, że w najbliższej okolicy pojawi się mnóstwo Traverse'ów i Beckerów.

Niektórzy postanowili spać we wnętrzach turystycznych pojazdów, inni leżeli na materacach na pakach pick-upów, a kilkoro zapuściło się głębiej w las, jednak większość rozbiła namioty na łąkach. Robiło się coraz jaśniej, świergotały ptaki, a radiobudziki włączały się jeden po drugim gęstniejącą fugą rock and rolla do świtu, egzegezami Pisma Świętego i głosami słuchaczy skarżących się na wczorajszy niekorzystny rozwój światowych wypadków. Za ciągnącymi się w głąb łądu górami rozjaśniało się wilcowoblękitne niebo. Wkrótce tostery i piecyki do tostów, zamontowane w kamperach mikrofalówki i patelnie wielkości gongów rozstawiane na propanowych płomieniach – a wszystko to służące do obróbki ciepłej bekonu, parówek, jajek, naleśników, gofrów, placków, tostów francuskich i racuchów – zaczęły rozsyłać rozgałęziające się niewidzialnie fraktale zapachów snujących się po całej okolicy: tłustego dymu, przypalających się przypraw, spieczonego chleba i świeżo parzonej kawy. Ci, którzy spali w lasach, wracali powoli do obozowiska. Pierwsze sójki wyruszały na kwatermistrzowskie patrole, drąc się, łobuzując, porywając

jedzenie niczym leśne mewy. Radiowe prognozy pogody zapowiadały prawdziwą spiekotę, nawet w Vinelandzie, kiedy tylko opadną mgły. Młodszy kuzyni zadzierali głowy ku niebu i zaglądali sobie nawzajem do plecaków. Wędkarze wybierali się w górę strumienia, żeby sprawdzić, co bierze, a golfiści zastanawiali się, jak wymknąć się ukradkiem na szybkie osiemnaście dołków w Las Sombras, na prawdziwe pole golfowe nad zamglonym wybrzeżem Vinelandu. W poobijanej, lecz lśniącej przyczepie kempingowej Airstream Beckerów trwał maraton szalonych ósemek, trwał już tak od pokoleń i wrzał od czasów Małej Gorączki Żłota, niczym kociołek pełen pięciocentówek, dziesięciocentówek, żetonów, zielonych banknotów i samorodków kruszcu. Gdzie indziej w obozowisku grano na pieniądze w pokera, bezika, domino, kości, ale to oktomaniacy, jak kazali się nazywać, tworzyli najbardziej spójną grupę, jakby nosili jednakowe podkoszulki, podczas gdy rozmaite na poły nieznane patałachy, ekscytujące się czymś tak trywialnym jak poker, oceniały siebie i swoje talenty na podstawie siły kart, co prowadziło do nieporozumień, opóźnień, przykrych rozczarowań, a nawet przypadków sangwinicznego rozchwiania.

Niektórzy budzili się wygłodniali jak wilki i pytali, dlaczego jeszcze nie nakryto do stołu, natomiast innych sama myśl o jajeczniczy przed południem napawała mdlącym wstrętem. Niektórzy chcieli chłonąć kolumny zadrukowanego papieru z porannych gazet, których tu nie było, a pozostali marzyli o kawie z czegoś, co nie przecieka, a przynajmniej niezbyt szybko. Ci, którzy po przebudzeniu sycili raczej oczy niż brzuch, zostawali w śpiworach najdłużej, jak się dało, wylegując się w kamperach przed przenośnymi telewizorami podłączonymi nielegalnie do kabla przy drodze przez pomysłowych, łączących po słupach nastolatków. Gdzieś na granicy słyszalności szumiał poranny ruch na autostradzie, którą przybyli, bo właśnie zbliżał się koniec kolejnego tygodnia pracy, a wszyscy obecni na łąkach mieli wolne, niekiedy na kilka tygodni. Niektóre z większych dzieciaków taszczyły przeróżnych rozmiarów lodówki

i podłączały je do najbliższych gniazdek, a te, które miały więcej szczęścia, zabierały się do Tańskiej Wioski, by pomagać przy pakowaniu kupowanych w ostatniej chwili zapasów i wypatrywać w pasażu handlowym czegoś, co mogłoby uchodzić za skandal, jakby w cierpiącej na wieczną bezsenność społeczności nigdy niepomszczonych krzywd mogło do czegoś takiego dochodzić.

W istocie rzeczy, poranek ten, wstający nad okolicą Shade Creek i Tańskiej Wioski, był najdziwniejszy ze wszystkich dziwnych poranków świata, odkąd sięgnąć pamięcią. Bo stało się tak, że wszyscy okoliczni mieszkańcy nie tylko przespali noc, ale budzili się jak na zawołanie na dzwonienie janczarów zsynchronizowanego melodyjnego pipania, dobiegające z zegarków, budzików i komputerów osobistych: tony wyryte, jakby w oczekiwaniu na tę chwilę, na kartach dźwiękowych wyrzuconych kiedyś na śmietnik podczas tajemniczej potyczki którejs z krzemowych wojen, koordynowanej, Bogiem a prawdą, przez Takesiego Fumimotę, jako część porozumienia z bardzo podejrzaną firmą handlową Tokkata & Fuji. Wszystkie te nieistniejące nominalnie karty dźwiękowe odgrywały teraz w czterogłosowym chorale początek *Wachet Auf* Jana Sebastiana Bacha. I nie były to wcale zwykłe elektroniczne piski – ta przebudzanka miała duszę, walor, który potrafili docenić jak nikt ci zgnębieni od niepamiętnych czasów ludzie. Mrugali, przewracali się na bok, szukali po raz pierwszy oczyma oczu innych Tanatoidów. To wydarzenie nie miało precedensu. Przypominało grupowy pozew rozstrzygnięty niespodziewanie przez sąd po trwającej całe pokolenia batalii. Czy ktoś pamiętał coś takiego? Owszem, wszyscy pamiętali, jak wnoszono sprawę, bo czymże w ostatecznym znękanym rozrachunku są Tanatoidzi, jak nie grupową pamięcią? Zatem budzili się przy dźwiękach jednej z najpiękniejszych melodii, jaka kiedykolwiek powstała w Europie – co z tego, że wzbogaconej o perkusyjny rytm ery disco – i sprawiła, że nawet najbardziej zasiniony z nich był w stanie uwierzyć, choćby na krótko, w zbawienie. Budzili się, Tanatoidzi się budzili.

To, co tym razem przetoczyło się przez mroczne doliny, gwizdząc, płosząc fronty atmosferyczne i uderzając w aparaty słuchu więcej niż jednej formy życia zamieszkującej położone niżej okolice, nie było zwykłym Okrzykiem Tanatoidów – było bowiem przeciągłym, rozpaczliwym wyciem powtarzanym raz za razem, a czegoś takiego Takeszi i DL nie mogli zignorować nawet w hightechowym orlim gnieździe na południu. Odnaleźli Radio Tanatoid na dziwnej częstotliwości między 6200 a 7000 kiloherców i dostroili je dla Prairie, która przez chwilę kręciła ze smutkiem głową.

– Co chcecie z tym zrobić?

– Musimy zareagować – powiedziała DL. – Pytanie brzmi: czy chcesz pojechać z nami?

No cóż, Prairie nie poszczęściło się specjalnie w LA, choć odnalazła tu starą przyjaciółkę, Ché, której dziadkowie, Doty i Wade, przeszli do annałów Hollywood wraz z jej dziadkami. Sashy nie było w mieście, nie odbierała telefonów, a wnosząc z tego, co nagrała na automatycznej sekretarce, jej linia znalazła się najprawdopodobniej na podsłuchu.

Prairie i Ché były nie tylko największymi fankami galerii handlowej Fox Hills, ale i Sherman Oaks Galleria. Potrafiły całymi dniami jeździć autostopem z jednego centrum handlowego do drugiego, choć niektóre z tych przybytków okazywały się tylko mitycznymi miastami ze złota. Ale to wcale im nie przeszkadzało, bo mogły być razem. Tamtego dnia umówiły się na spotkanie w dolnym Hollywood przy nowym Noir Center, którego wystrój opierał się z grubsza na scenografii kryminałów z czasów drugiej wojny światowej i późniejszych i miał przypominać słynne żeliwne wnętrza Bradbury Building w centrum LA, gdzie kręcono kilka z tych filmów. Lecz jappiszonifikacja Noir osiągnęła takie rozmiary, że Prairie pozostało mieć jedynie nadzieję, iż cały proces zmierza do końca cyklu. Tak się złożyło, że była wielką miłośniczką tych czarno-białych filmów z facetami w dziwnych krawatach, a jej dziadkowie pracowali przy kilku z nich, czuła więc osobistą niechęć do coraz durniejszych prób monetyzacji

pseudoromantycznej aury tajemniczości otaczającej nie tak znów dawną historię miasta, a znając tę historię od Huba i Sashy, oraz Dotty i Wade'a, wiedziała, jak wielkie panowało tu zepsucie, od góry do dołu, jakby miasto było toksycznym wysypiskiem tego wszystkiego, czego nie pokazywano na tych eleganckich obrazach. W Noir Center mieścił się butik z wodą mineralną z wyższych półek, nazwany Pomrocze Przejście, patio z meblowym outletem Kanapowa Dżungla, Flakon Maltański, gdzie sprzedawano perfumy i kosmetyki, oraz nowojorskie delikatesy Potrójne Zabezpieczenie. Ochrona chodziła w lśniących brązowych garniturach ze spiczastymi klapami i w miękkich filcowych kapeluszach. Obserwowała wszystko przez kamery i komputery, zupełnie inaczej niż w centrach handlowych, w których Prairie się wychowała, gdzie ochroniarze nie byli tak wypasieni i łazili w zwykłych poliestrowych mundurkach safari, gdzie były prawdziwe fontanny, a rośliny nie były z plastiku, i gdzie zawsze można było spotkać kogoś w swoim wieku, kto pracował akurat w fast foodzie i był gotów oddać cheeseburgera za parę święniętych kolczyków. Kiedyś w takich centrach były nawet lodowiska, ale wtedy ubezpieczenia nie były aż tak kosztowne. Razem z Ché potrafiły gapić się całymi godzinami na jeżdżące na łyżwach dzieciaki. Z głośników płynęła dziwna muzyka odbijająca się echem od lodu. Na łyżwy przychodziły głównie dziewczyny, a niektóre z nich miały niewiarygodnie drogie stroje i sprzęt. Ślizgały się, obracały i wyskakiwały w powietrze w rytm prefabrykowanych aranżacji motywów z seriali telewizyjnych, sączących się w chłodnym powietrzu ponad połyskującym lodem, pod lodowozielonymi i lodowoszarymi światłami, w białych kolumnach pary. Kiedyś Ché pokazała jej taką jedną.

– Obczaj tę... – Dziewczynka była w ich wieku, blada, szczupła i poważna, miała włosy przewiązane wstążką, a do tego krótką białą, atlasową sukieneczkę i białe dziecięce łyżwy.
– To Śnieżka – zastanawiała się Ché – czy śmieszka?

Wielkie oczy i cienkie nóżki jak u sarenki, flirtowała z nimi, podjeżdżała pod bandę do Prairie i Ché, a potem zawracała

gwałtownie, podrzucając kusą spódniczką nad chudym tyłeczkiem i sunąc dalej przed siebie z wysoko zadartym eleganckim noskiem.

– No... – mruknęła Prairie – pierwsza klasa, co nie?

– Aż się prosi, żeby ją szturchnąć, co nie?

– Ché, pogięło cię chiba.

Pewnym problemem było to, że Prairie w głębi duszy wyobrażała sobie siebie jako dokładnie taką pełną wdzięku szczęśliwą istotę, bez względu na to, jakie akurat przeżywała w realnym świecie problemy z włosami, pryszczami czy wagą. W Pudle wciąż pokazywali takie dziewczyny: gimnazjalne gimnastyczki w kostiumach, nastolatki z seriali komediowych, dziewczyny z reklam, uczące się gotowania od mamy, uczące się od mamy ubierania i radzenia sobie z ojcem – wszystkie te zdalne i zamożne cipy zachwycające się „Mmm! To chiba pizne!” i dziękujące „Mamusiom”. Patrząc na nie, Prairie czuła zazdrość i pokrewieństwo, gdyż wiedziała, niczym księżniczka na wygnaniu, że to ona powinna być na ich miejscu, a wówczas mogłaby nawet wykrzesać z siebie odrobinę nic niewartego uroku, który kiedyś musiała przecież mieć, lecz o którym zupełnie zapomniała skazana przez ciągnące się w nieskończoność lata na pobyt na tej odległej planecie. Kiedy wspomniała o tym Ché, bo mówiły sobie o wszystkim, przyjaciółka uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Lepiej o tym zapomnij, Prair. W Pudle wszystko wygląda lepiej niż naprawdę. Żadna z tych rozpuszczonych gówniar nie przetrwałaby jednej nocy w poprawczaku.

– Ale – zaprotestowała Prairie – nikt nie wysłałby żadnej z nich do poprawczaka! Żyją przez całe życie na wolności!

– Możesz se pomarzyć.

– Uuu-łiii. Bez li-toś-ciii!

To zawołanie pochodziło z czasów, kiedy były naprawdę małymi dziewczynkami i bawiły się w Wonder Woman, policjantki czy inne nadkobiety. Kiedyś pani nauczycielka poprosiła całą klasę Prairie o napisanie jednego akapitu o ulubionej postaci ze świata sportu, którą chcieliby zostać.

Większość dziewczyn chciała zostać kimś w rodzaju Chris Evert. A Prairie napisała, że chciałyby być Brentem Musbergerem. Bo podobnie jak on lubiła ujmować w ramy i komentować niebezpieczne wyczyny Ché, która zresztą nie raz i nie dwa odwoływała się do jej pomocy, jak choćby podczas pamiętnego Nalotu Na Cienie Do Powiek w Great South Coast Plaza, o którym wciąż opowiada się pełnym wstydlivej konsternacji tonem na seminariach ochroniarskich w całym kraju. Podczas nalotu do gigantycznego centrum wpadło tuż przed zamknięciem ponad dwadzieścia dziewczyn w czarnych podkoszulkach i dżinsach, z pustymi czarnymi plecakami. Pędziły na wrotkach, a znając doskonale teren, opuściły galerię po chwili z plecakami wypełnionymi cieniami do powiek, tuszem do rzęs, szminkami, kolczykami, klamerkami do włosów, bransoletkami, majtkami i modnymi ciemnymi okularami. Wszystko to zamieniły natychmiast na gotówkę u starszego dżentelmena, znanego jako Otis, który miał furgonetkę i odjechał nią na pchli targ w nieznanym kierunku. W celu dokonania kolejnej wymiany. Podczas tej wysokoenergetycznej akcji Prairie dostrzegła kątem oka, że jej przyjaciółka wpada w pułapkę zastawioną przez ochroniarza i dziewczynę w plastikowym fartuszk, niewiele od nich starszą, skaptowaną w młodości do handlu, prującą mordę, jakby okradano jej dom. Ochroniarz, widoczny jak na filmowym zbliżeniu, odpinał kaburę... oo-oo, uwaga! „Ché!” Przyspieszając, ile sił w nogach, ruszyła prosto na wroga, drąc się przy tym jak obłąkana, paraliżując krzykiem prześladowców, którym Ché zdołała się wyrwać. Podjechała do przyjaciółki, chwyciła ją za nadgarstek, obróciła i pokierowała we właściwą stronę, po czym obie wyjechały z galerii w jasną cholerę. Czuły się bionicznie nahajowane, jak Jamie Sommers przedzierająca się w zwolnionym tempie przez szeregi wrogów, a z tyłu grała handlowa galeryjna muzyka, zadziorna i szybka, będąca kiedyś rock and rollem, lecz przeformatowana w niegroźnie ciurkający strumyczek przekonujący gapiów, że to, co przed chwilą widzieli, wcale nie było napadem

rabunkowym dokonanym przez małoletnich przestępców, lecz jakąś akcją promocyjną przed zamknięciem galerii, co za ulga! Melodia wydobywająca się z głośników, kiedy dziewczęta rozpląwały się w mroku, okazała się stosunkowo skocznym aranżem na obój i smyczki *Maybellene* Chucka Berry'ego.

Każde spotkanie Prairie z Ché odbywało się zakosami, niemal potajemnie, jakby miały romans i musiały się kryć przed rodzicami czy kuratorami, wyprzedzać o krok czujną opiekę społeczną, nie mówiąc już o wszechobecnym w tamtych czasach FBI. Ché pojawiła się w Noir Center zadyszana, ubrana w skóry, drelich, metal i muślin, z torbą na bazookę przerzuconą precyzyjnie przez szerokie ramię i fryzurą sklejoną tenaxem w zdumiewająco pierzasty czub o kłującym w oczy jasnym odcieniu.

– Ale się wypindrzyłaś!

– Wszystko dla ciebie, mój kwiatuszku z prerii.

Prairie zadrzała, wchodząc do środka z przyjaciółką pod rękę, a wokół nich w jednolitej komercyjnej poświacie lał się plastik, kipiały zera i jedyńki, rodziły się i trwały legendy agoramani. Zatrzymały się w Lodowatym Pocałunku, gdzie przyjrzały się sobie uprzejmie, acz bezlitośnie, wypatrując zmian w rozkładzie tkanki tłuszczowej, liżąc przy tym z mniej lub bardziej metaforyczną uwagą lody w rożkach. Kiedy były małymi dziewczynkami, wystarczyło, że popatrzyły na siebie, żeby dostać głupawki ciągnącej się niekiedy przez cały dzień. Ale bezcenny uśmiech Ché był dzisiaj tylko bladą polaroidową odbitką samego siebie.

Znów chodziło o chłopaka jej matki.

– Masz przynajmniej pełen zestaw, nie jesteś półsierotą – pocieszała ją kiedyś Prairie.

– No, faktycznie! Mam matkę, która całymi dniami ogląda MTV, i jej faceta, który na widok kawałka nastoletniego ciała zamienia się w buhaja! Rodzina roku, nie ma co! Chcesz, umówię cię z Luckym, nie ma problemu, tylko załóż coś krótkiego.

Ta rozmowa miała miejsce wtedy, kiedy dopiero zaczął ją molestować, zanim zaczęli się pieprzyć. Matka Ché, gdy się o tym dowiedziała, nie pisnęła złego słowa Lucky'emu, ale zwróciła się przeciw córce, obwiniając ją o wszystko.

– Wyzywa mnie od kurew, mówi, że żałuje, że mnie w ogóle urodziła...

Wpatrywała się uważnie w Prairie, czekając na jej reakcję, ale Prairie bardzo jej współczuła i pogłaskała ją pocieszająco. Przez lata odbywały nieustające seminaria na temat mam – kategorii, której Dwayna, mama Ché, nie była najlepszym przykładem. Napięcie w domu groziło wybuchem, a Ché podwalała się do Lucky'ego, którego nie znosiła, na oczach matki po to, żeby ją wkurwić. Awantury ciągnęły się przez całe noce, a Ché uciekała z domu, przysięgając, że już nigdy do niego nie wróci, włóczyła się po mieście tygodniami, zwracała się o pieniądze do coraz bardziej podejrzanych kręgów, w tym do grupy dziwnych młodych, siakających nosami dżentelmenów z kieszeniami pełnymi forsy, z których część dopiero co skończyła szkołę, a część grała w jakimś zespole. Wpadała w tarapaty, które groziły jej zdrowiu i życiu, i często nie miała innego wyboru, jak tylko dać się zamknąć, żeby Dwayna znów przyjechała na komisariat i wyciągnęła ją, czego już nie musiała robić, ale zawsze robiła. Zapłakane, padały sobie w ramiona przed biurkiem sierżanta, krzycząc: „Moje dziecko!” i „Kocham cię, mamo!”. Ché wracała do domu, Lucky witał ją pożądlwym „O, la la...” i cały cykl zaczynał się od nowa, a kartoteka policyjna dziewczyny puchła za każdym obrotem.

– Jak to dobrze, że jesteś taka piękna. – Prairie westchnęła z uwielbieniem.

– Pamiętasz, jak siedziałyśmy kiedyś u mojej babci, Dotty, miałyśmy wtedy może po sześć lat... była taka deszczowa niedziela, po której nadchodził straszny poniedziałek... Pamiętam, że spojrzałam na ciebie w przerwie na reklamy i pomyślałam: znam ją od zawsze...

– Miałyśmy sześć lat? Potrzebowałaś dużo czasu, żeby to skapować.

Spacerowały ręka w rękę, a z głośników sączyły się umysłowe hafty New Age.

– Matki to dosyć podejrzane błogosławieństwo – wyznała Ché.

– Chiba. Ale jak bez nich żyć?

– Spodobałoby ci się w ciupie, Prair, bo dziewczyny właśnie tak tam żyją, zbierają się po trzy, jedna jest mamą, druga tatą, a trzecia dzieckiem: twarda, łagodna i bezradna. Nie ma, czaisz, żadnej różnicy między rodziną na wolności i w pierdłu. I dlatego uciekam przez cały czas, szczególnie teraz... Pamiętasz, mówiłam ci kiedyś o kolekcji karafek Lucky'ego w kształcie głowy Elvisa? Opowiadałam ci o tej jego ulubionej z bourbonem? Wyciągał ją tylko na Super Bowl i urodziny. A karafka miała taki metaliczny połysk...

– I co? Tylko mi nie mów, że...

– Powiem tak: jest taka stara piosenka Patsy Cline, *I Fall to Pieces*. Król też ją śpiewał...

– Mówiłaś, że chodził z tą karafką do łóżka jak z pluszowym misiem.

– Miał trudny wybór, nie wiedział, czy mnie gonić, czy ratować whiskey. Kiedy wybiegałam z domu, zlizywał burbon z podłogi i pluł odłamkami głowy Elvisa. Ale spojrzał na mnie tak, jakby chciał mnie zamordować... Znasz to spojrzenie?

Prairie zdała sobie sprawę, że nie zna, i zrobiło jej się przykro, że Ché musiała je poznać.

– Zastanawiam się – ciągnęła cicho Ché – co mam, kurwa, zrobić? Bez przerwy dostaję propozycje biznesowe od facetów jeżdżących takimi megadługimi limuzynami, i zaczęłam je poważnie rozważać.

Weszły razem do Macy's, gdzie Ché bez trudu i bez paniki przekładała bieliznę zwinnymi jak odnóża pająka palcami, a Prairie zasłaniała ją z przodu przed obiektywami kamer, które zlokalizowała, i wygłaszała jednocześnie monolog rąbniętej nastolatki o chłopakach, gwiazdach przemysłu muzycznego, przyjaciółkach, wrogach, chwytając przy tym wszystko, co wpadło jej w ręce, i podnosząc z pytaniem „Co

o tym sądzisz?” lub angażując sprzedawczynię w długie rozmowy o przebrzmiałej modzie, podczas gdy Ché nie przestawała plądrować i wpychać wszystko, co miało jej rozmiar i było czarne, czerwone lub czarno-czerwone, do torby, a robiła to tak niepostrzeżenie, że nawet Prairie, która towarzyszyła jej w tym procederze od lat, nie była w stanie dostrzec chwili popełniania zbrodni. Ché miała przy sobie specjalny przyrząd, gwizdnięty w innym sklepie, za pomocą którego usuwała zręcznie plastikowe zabezpieczenia antykradzieżowe z odzieży i chowała ją głęboko w torbie, a wszystko to z łatwością, którą Brent Musberger nazwałby „wycyzelowaną”, choć dla Ché była to zazwyczaj praktykowana codziennie rozgrzewka. Zazwyczaj, choć nie dzisiaj, bo obie popadały powoli w jakąś dziwną nostalgię i drżały jak jesienne liście na myśl o rozstaniu, i obdarowywały się pożegnalnymi przedstawieniami niczym dwie sprawdzone w bojach profesjonalistki: ostatnia sztuczka, ostatni zwód i w drogę...

Ché nauczyła się prowadzić, kiedy tylko zaczęła sięgać nogami do pedałów, a czoło wystawiać nad kierownicę, miała w dupie wiek, w którym można się ubiegać o prawo jazdy, nie wiedziała nawet, czy dożyje takiego wieku, co dodawało jej bez wątpienia powabu złej dziewczynki. Czasem lubiła poflirtować, a czasem komuś przypierdolić, wszystko zależało od okoliczności. Po autostradzie nie jeździła wolniej niż sto trzydzieści na godzinę, wymijając pojazdy lub siedząc im na ogonie dla zachowania prędkości. „Jesteśmy szosy córami”, śpiewała, trzymając kierownicę opuszkami palców i wciskając pedał gazu do dechy.

*Jesteśmy szosy córami,
przed nami droga we mgle
całymi kilometrami.
Jak nas zobaczysz w lusterku,
uciekaj, choć silnik drży,
jesteśmy szosy córami
i szybkość mamy we krwi.*

Żaden z prowadzonych przez nią samochodów nie należał do niej, mógł być własnością chłopaka, którego znała, lub też pochodzić z wypożyczalni, w której płaciło się łomem albo wyprostowanym wieszakiem. Kiedy żadne auto nie chciało wpaść jej w ręce, zatrzymywała kierowców i podczas jazdy usiłowała namówić ich na wyrzeczenie się kierownicy. Potrafiła dojechać wszędzie w południowej części Kalifornii w rekordowo krótkim czasie. Sasha mówiła na nią Trolejbus, bo takie pojazdy kursowały niegdyś między dzielnicami miasta.

Kiedy znalazły się w bezpiecznym miejscu, którym okazało się mieszkanie przyjaciółki Ché, Fleur, położone na równinach na wschód od La Brea, Ché wytrząsnęła z wielkiej torby oraz spod podkoszulka zdumiewającą liczbę zwiniętych części bielizny.

– Nic w écru? – zapytała Prairie.

– Écru dają swoim starym, maleńka – zachnęła się Ché. – Czerń i czerwień. – Obracała na palcu z krótko przyciętym paznokciem koronkowe bikini w tych właśnie barwach. – Tylko to chcą widzieć na tyłku niedobrej dziewczynki.

– Noc i krew – poparła ją Fleur, która pracowała od niedawna u siebie jako profesjonalistka i starała się namówić Ché do obsługiwania kolejki, która się ustawiała. – Jakby byli zaprogramowani... Och, hej, to jest ładne, mogę, Ché?

– Oczywiście, że nie. – Ché właśnie wbijała się w krótki przezroczysty peniuar.

Prairie przyglądała się tej zabawie w króliczki „Playboya” i pomyślała, co dziwne, o Zoydzie, własnym ojcu, i o tym, że na pewno by mu się to spodobało.

– To mi nie wygląda na kreację niewinnej nastolatki – mruknęła.

– Takie kreacje nie pasują do Ché – rzuciła Fleur. – Jakbyś kazała jej chodzić w różu czy bieli, to... – przesunęła palcem po gardle – ...jej uliczną wiarygodność trafiłby szlag.

– Z drugiej strony, ty, moja droga... – Ché rzuciła Prairie coś lekkiego jak piórko we wspomnianych przez Fleur kolorach – ...pasujesz do nich idealnie. Ukradłam to specjalnie dla ciebie.

Była to jakaś wyrafinowana kombinacja, połączenie nocnej koszulki z majtkami, ozdobiona mnóstwem koronek, wstążek, falbanek i kokardek. Prairie oblała się rumieńcem i gorąco protestowała, kiedy ją namawiały, żeby to przymierzyła. Zawsze tak było, w końcu Ché brała górę, najłagodniej, najczęściej za pomocą trzepotania rzęsami; Prairie wpadała wówczas w jakieś dziwne, trwające wiele minut, rozlewające się ciepłem po całym ciele oszołomienie. Tym razem oszołomienie trwało, dopóki nie ubrała się na powrót w uliczny mundurek: sportową bluzę, dzinsy i buty do biegania. Stała na dworze na schodach, zadzierając głowę ku sylwetce Ché w drzwiach, zmierzch był jak wielka rozmazana plama, a zza Ché biło ostre cytrynowe światło... Prairie czuła się tak, jakby stała przed trapem statku, jakby któraś z nich wypływała w niebezpieczny rejs po ciemnym morzu... minie zapewne wiele lat, zanim znów się zobaczą.

– Mam nadzieję, że odnajdziesz mamę – rzuciła Ché, udając, że pociąga nosem od koki. – I zrób coś z tymi włosami.



W biurze Takesziego, do którego wróciła Prairie, panowało wielkie poruszenie. Właśnie przyjechali z oględzin tego, co się wydarzyło w domu Ditzah. Jej niepokój o bezpieczeństwo archiwów 24k/s okazał się profetyczny. DL i Takeszi przekonali się wiele zjazdów z autostrady wcześniej, że coś jest nie tak, kiedy mijala ich luźna formacja niezbyt dużych, neutralnie polakierowanych, pozbawionych ozdób i świeżo umytych chevroletów; w każdym z nich siedziało dokładnie czterech białych anglosaskich protestantów, a na tablicach rejestracyjnych pojazdów widniało małe wpisane w ośmiokąt „Z”, oznaczające „Zastrzeżony”. Jadąc pod górę do kwartału Ditzah, usłyszeli na skanerze zakłócaną przez wzgórze radiową wymianę prowadzoną na częstotliwościach Departamentu Sprawiedliwości. Wkrótce trafili na policyjną blokadę, więc

Takeshi zaparkował nieco bliżej, a DL przeszła w tryb *Inpo* i wtopiła się w krajobraz. Za blokadą minął ją jadący w drugą stronę autobus z kratami w oknach, należący do Wydziału Przystępności Młodocianych – taki, jakim zazwyczaj wożą ekipy do cięcia krzaków i gaszenia pożarów: niespokojnych, spoconych pensjonariuszy poprawczaków, rozwrzeszczanych i podjaranych jak szkolna drużyna po zwycięstwie. Zbliżając się do domu Ditzah, poczuła zapach palonego plastiku, choć niezupełnie, bo smród był silniejszy, gorzkawy; ujrzała dym płonącej benzyny.

Można to było załatwić bez ściągania tylu ludzi, ale ktoś – DL domyślała się kto – postanowił zrobić przedstawienie dla sąsiadów. Przed garażem Ditzah, na cemencie, dymiły, żarzyły się i buchały płomieniami czarne stożkowate stosy. Wszędzie walały się metalowe szpule i plastikowe rdzenie, a oprócz płonących rozwiniętych filmów palono papier, głównie zapisane maszynowo kartki oraz notatki na skrawkach papieru, które wirując w gorących prądach nad ogniskami, chwilowo unikały zagłady, po czym trafiały na powrót w płomienie, zagarniane przez zamiataczy. Żaden z tych, którzy stali przy ogniskach, nie był prawdopodobnie cywilem, a wystraszeni sąsiedzi siedzieli za zamkniętymi drzwiami. Zauważyła, że w oknach Ditzah wybito wszystkie szyby, jej samochód wyglądał jak po wypadku, a drzewa w ogrodzie ścięto piłami łańcuchowymi, którymi operowali zapewne młodzi mięśniacy – młodociani przestępcy zwiezieni autobusami do cięższych robót.

– A co z Ditzah?

– Ukrywa się u przyjaciół. Nic jej nie jest, choć panikuje.

Podobnie jak Prairie. Która nie miała wyboru, musiała trzymać się z tymi dwojgiem. Marnym pocieszeniem było dla niej to, że sugerowana przez producenta cena detaliczna pojazdu, którym wyruszyli w drogę do Vinelandu, wynosiła sto trzydzieści pięć tysięcy amerykańskich dolarów, bo pojazdem tym okazało się ostatnie osiągnięcie myśli technicznej o napędzie na cztery koła: lamborghini LM002 z silnikiem V-12

o mocy czterystu pięćdziesięciu koni mechanicznych, z wykonanym na zamówienie opancerzeniem, okablowaniem i opanelowaniem po same kołpaki. Czuła się tak, jakby wsiadała do UFO. „Czasami – zwierzyła się kiedyś Ché – kiedy jest mi naprawdę niefajnie, myślę o takim alternatywnym wszechświecie i zastanawiam się, czy w nim, w tym świecie równoległym, nie kazała sobie zrobić aborcji, żeby się mnie pozbyć. To, co mi się tutaj przydarza, wygląda tak, jakbym była duchem, który ją prześladowa”. Uczucie to nasilało się z każdym kilometrem, który pokonywali w drodze do Shade Creek. Kiedy dojechali do mostu WPA i zaczęli lawirować na prowadzącym do miasteczka torze przeszkód, w głośnikach rozbrzmiewało całe spektrum – potężny ogłuszający akord – niezadowolonia i skarg.

Kwatera Takesziego i DL mieściła się od lat w odrestaurowanej wiktoriańskiej posiadłości z czasów Małej Gorączki Żłota, kiedy to dwór ten służył za gospodę i burdel. Gdy dojechali na miejsce, zastali na ganku tłum Tanatoidów oraz atmosferę niepokoju obywatelskich. Codziennie i rutynowo nadlatywały misje KAMP-u – „zlokalizować i zniszczyć”. Brock Vond i jego armia rozlokowana wokół lotniska w Vinelandzie wysyłała zwiadowcze patrole w górę Seventh River oraz w górę strumieni w dolinach, w tym w górę Shade Creek. Pojawiła się też pełnowymiarowa ekipa filmowa, kwatrująca w Vinelandzie, ale wyrastająca jak spod ziemi w dowolnym miejscu, a pośród niej wzbudzający szczególny niepokój Tanatoidów, obłąkany bez wątpienia meksykański agent DEA, który nie tylko rzucał na prawo i lewo nazwiskiem Frenesi Gates, ale i wycierał nim sobie usta i buty.

– Słyszysz? – DL szturchnęła Prairie, która stała z rozdziawioną buzią i burczącym ze strachu brzuchem. – Co ci mówiliśmy?

Rozminęli się z Hectorem o dwadzieścia minut. Pan Zuñiga, za kierownicą masywnego bonneville’a pożyczonego, okay, wymuszonego od szwagra Felipe’a z Pasadeny, udał się do Vinelandu, gdzie kwitło nocne życie i gdzie łatwo można było

zwerbować kolejnych naiwniaków do filmowego projektu. Na tylnym siedzeniu wozu miał włączone na cały regulator przenośne Pudło, które oglądał w lusterku wstecznym, bo nudziło mu się na autostradzie i potrzebował towarzystwa. Ukradł aparat podczas ostatniej ucieczki z telewizyjnego detoksu, tym razem, jak przysięgał, na dobre. Uczeni! Co oni wiedzą? Kiedy przyjmowano Hectora na detoks po raz pierwszy, Teoria zalecała homeopatię: siatkówkową dietę naukowo opracowanych krótkich klipów wideo, fragmentów tego, co w pełnej dawce odebrało mu, teoretycznie, rozum. Dieta miała go uodpornić i wzmocnić za pomocą naturalnych mechanizmów obronnych. Jednak ze względu na niebezpieczne zachowania Hectora, które – o czym lekarze przekonali się znacznie później – stanowiły zwykły przejaw jego osobowości, skierowano go pośpiesznie na intensywną terapię, przy której źle obliczono dawki. Kto mógł przewidzieć, że Hector ma tak nadzwyczajnie wrażliwą umysłowość, że ledwo godzina niskotoksycznych programów dziennie wystarczy, by wywołać u niego szaleńczy głód? Wykładał się z oddziału nocą i zaczął się wszędzie tam, gdzie lśniły ekrany Pudła, kąpał się w jego promieniach, chłeptał i wsysał ruch obrazów i zupełnie tracił kontrolę nad własnym życiem: umawiał się na potajemne schadzki w stojących na uboczu pawilonach albo za ochronnymi szybami z nieuczciwymi pielęgniarzami z detoksu, którzy wyciągali spod fartuchów maleńkie telewizorki LCD przeschmuglowane z zewnątrz i pobierali nieziemskie opłaty za ich wypożyczenie do świtu, kiedy je zabierali. Po zgaszeniu światła wszyscy pacjenci, których było na to stać, chowali się pod kołdrami z nadawanym napowietrznie prime-timem mieli więc wszystkie duże sieci oraz cztery niezależne stacje z LA. Zanim Hectorowi skończyły się pieniądze, homeopaci popadli w niełaskę, a na czele odwyku stanął młody doktor Deeply z falangą new agersów uzbrojonych w nieprzeparte przekonanie o własnej nieomyślności. Wprowadzono nową formę terapii, polegającą na pozwalaniu na oglądanie wszystkiego, czego dusza zapagnie, w dowolnych dawkach,

a celem była Transcendencja przez Nasylenie. Przez kilka tygodni detoks przypominał szturm Pałacu Zimowego. Zniesiono wszystkie regulaminy, kafeteria była otwarta przez całą dobę, pacjenci, którzy przedawkowali, snuli się po korytarzach jak zombie, mrużąc pod nosem motywy muzyczne z ulubionych programów, naśladując gesty i słowa największych gwiazd telewizji, z których część była dosyć niszowa, i prowadząc gwałtowne spory na temat kulisów telewizji. „Zdumiewające – Dennis Deely był zaskoczony tym, że myśli na głos – ale to miejsce przypomina dom wariatów”.

Spędziwszy niemal całe życie na rozdawaniu kopniaków innym, Hector znalazł się nagle w pozycji podległości, co gorsza, uznano go za chorego, upośledzonego, a zatem w pewnym sensie zbędnego. Kiedyś zdmuchiwał ludzi z tego łez padółu za mniejsze przewinienia. Co się z nim stało? Musiał wierzyć, że jest inny, choć mijały miesiące; wierzyć, że wkrótce znajdzie się na wolności, że nie spędzi w zamknięciu reszty życia, że nie będzie do końca swych dni przemierzał tych coraz dłuższych i rozwidlających się na nowo korytarzy, kierując się jedynie wskazaniem nieaktualnych po tygodniu map systemu, rozwieszanych pod lampami, w które wkręcano, jak wiedział – choć nikt nie chciał tego przyznać – coraz słabsze żarówki. Terapia ciągnęła się w nieskończoność, a jego głód telewizyjnych obrazów tylko się pogłębiał, aż pewnego dnia Hector zaczął się niepokoić, że patrząc w lustro, ujrzy w nim nieskończenie długi kryształowy odcinek serialu, w którym człowiek i jego obraz przestaną być Hectorem, a staną się strumieniem elektronów pędzącym kablem tylko w jedną albo mniej niż jedną stronę, za którą nie czeka już żaden ekran i nie ma żadnego wyjścia. Dokąd więc pędzącym? I do czego ma prowadzić ta terapia, jeśli nie czeka już na niego żaden „zewnątrzny świat”? „Spodoba ci się, Hector”, zapewniali go, choć o nic ich nie pytał. Każdego wieczoru przed kolacją pacjenci z tacami w rękach odśpiewywali hymn detoksu:

*U-u-u-o... Pudło
Sączy jad w twój mózg!
O-u-u-u
I głupi będziesz rósł!
Prześwietla cię na wylot,
Szpieguje każdy ruch,
Widzi, jak ścielisz wyro,
I w klopie widzi – u-u-u!
Hej ho! To
Pudło...
Zna każdą twoją myśl
Ej, Heniu, tak tylko się
Zdaje ci,
że siedzisz sam jak palec,
„Banda Bradych” na ekranie.
A potwór na obiadek
Połyka cię po zadek.
I tobą zgrubło
Pudło!*

Jego jedyną nadzieją był głaskany obsesyjnie niczym lampa Aladyna, spisany na maszynie i podpisany przez Hectora oraz Erniego Triggermana i jego wspólnika Sida Liftoffa kontrakt filmowy dotyczący, jak lubił mówić Ernie, filmowego projektu – dokument poplamiony kawą i tłuszczem z hamburgerów, wyświechtany od ciągłego głaskania. Hector, mimo groźnej natury, której na teledetoksie nie wzięto pod uwagę, o leczeniu nie wspominając, okazał się w oczach tuzów show-biznesu zupełnym niewiniątkiem, zwykłym facetem ze złej strony kasy, co udowodnił Erniemu, Sidowi i ich przyjaciołom miliony razy, bo miliony razy zblamował się, nawet o tym nie wiedząc, miliony razy użył nie tych słów, co trzeba, nie złapał kontekstu, nie mówiąc już o jego fryzurze i krawacie, które pogrążyły go nieodwołalnie w oczach widza, zapewniając mu status czuba. Ale czy po zażywaniu takich ilości Pudła mogło być inaczej? Czy siedząc w tych przewiewnych wyluzowanych gabinetach w Laurel Canyon, w których zwieszała się doniczkowa roślinność, a słońce sączyło się przez liście palm, gdzie wszyscy się uśmiechali, a długonogie *bizcochos* w skórzanych

minispódniczkach roznosiły kawę, piwo i skręty, które w dodatku same zapalały, a także kokę na srebrnych łyżeczkach i w ogóle... więc czy miał tam udawać byle agenta od narkotyków w butach od Florsheima i spisywać nazwiska w notesie? Przecież mógł się przyłączyć!

Chodziło o to, że pewnej nocy nie tak dawno temu Sid Liffoff został zatrzymany w zabytkowym t-birdzie na Sunset na zachód od Doheny, gdzie gliniarze czają się we wjazdach do kanionów, czekając na cele wybierane spośród obiecujących maszyn przekraczających dozwoloną prędkość. Podczas rewizji pod fotelem pasażera znaleziono – aha! – etui z jaszczurczej skóry wypchane towarem do nosa. Sid do dzisiejszego dnia przysięga, że ktoś mu je podrzucił, prawdopodobnie jakiś zbir wynajęty przez którąś z sześciu byłych żon. Prawnicy załatwili Sidowi wyrok skazujący na prace społeczne: miał wykorzystać swój wielki talent i wpływy do nakręcenia antynarkotykowego filmu, najlepiej pełnometrażowego i przeznaczonego do dystrybucji w kinach. Hector, pracujący wówczas w Regionalnej Jednostce Wywiadowczej DEA w Los Angeles, został wyznaczony na łącznika, a choć robota w RJW była traktowana jako kara dla śledczych o niezbyt chlubnej karcie, oddelegowanie go do Hollywood, jak dano mu do zrozumienia, było przysługą, za którą kiedyś będzie się musiał odwdzięczyć w Bóg wie jaki sposób.

Hectorowi wkrótce przewróciło się w głowie i uznał, że ma w Hollywood coś do załatwienia, coraz mniej chętnie pojawiał się wśród filmowców, jeśli w ogóle, z ramienia DEA, za to nieustannie grał na własną rękę, a ani Ernie, ani Sid nie wiedzieli do końca, o co mu chodzi. I bali się go zapytać.

– Skurwiel – szeptał Sid w zaufaniu Erniemu przy basenie – wyobraża sobie, że jest jakimś Popeye Doyle'em lat osiemdziesiątych. *Francuski łącznik II* to za mało, film ma się nazywać *Hector II*, a potem trzeba go będzie przerobić na serial.

– Żartujesz? Ten Hector? To zwykły cwaniaczek z salonu gier wideo.

Spierali się o niewinność Hectora, tak jak pojmowano ją w przemyśle filmowym, a potem zawarto zakład o kolację w Ma Maison. Ernie przegrał. Sid rozpoczął posiłek od pasztetu z kaczych wątróbek.

To, co Hector uznał za swój największy atut, pojawiło się dzięki staremu kumpłowi, z którym przed laty wspólnie otwierał kopniakami drzwi. Roy Ibble, obecnie z płacą GS-16 i widokami na stołek dyrektora regionalnego, zadzwonił z Las Vegas i dał Hectorowi cynk, że Frenesi i Flash pojawili się w mieście. Nie zastanawiając się nawet przez sekundę, Hector pozyskał skonfiskowanego tornado i popędził nocą przez Mojave do niebiańskiego miasta – policzka dla pustyni, królestwa braku umiaru. W kinie to byłoby ferrari, a Hector miałby na sobie starannie wygnieciony garnitur od Nina Cerrutiego, a do tego jakieś hiperwiśniowe, warte każdych pieniędzy *zapos* Stacey Adamsa. Liftoff i Triggerman zadbaliby o to. Ta, ci faceci załatwią mu teraz wszystko. Zarechotał głośno. Teraz to Hector nie odbiera żadnych telefonów, *ése*.

Bo według plotki siejącej postrach w środowisku filmowym, zbierała się federalna ława przysięgłych, która miała się zająć przypadkami nadużywania narkotyków w Hollywood. W całym mieście spuszczano niemal jednocześnie wodę w kiblach, co groziło zatknięciem komunalnych ścieków, a nad wzgórzami unosił się chłodny front atmosferyczny, bo wszyscy niemal równocześnie otwierali zamrażarki, tworząc mroźny тумan, przez który nie mógł się przebić ruch samochodowy i w którym przechodnie wpadali na ściany budynków. Hector przypuszczał, że w mieście wciąż żywa jest pamięć roku 1951, kiedy zjechała tu HUAC¹⁶ i zostawiła po sobie długie czarne listy oraz lata gry w duchowy Monopol. Gównu go to obchodziło. Kiedyś komuniści, teraz ćpuni, a w przyszłości, kto wie, pedały? Tu wszyscy są po jednych pieniądzach. Jeśli nic się nie dzieje, to każdy, kto wygląda jak normalny Amerykanin, ale prowadzi w sekrecie podwójne życie, nadaje się do tego, żeby go przymknąć; to łatwe i oszczędza koszty, wie o tym każdy

stróż prawa. Tylko dlaczego dzieje się to teraz? I jaki ma związek z Brockiem Vondem najeżdżającym Vineland? I tymi wszystkimi dziwnymi wibracjami, które niosą się ostatnio w powietrzu: z tymi nieodrodnymi na nowo w Chrystusie, przychodzącymi do pracy z krzyżkami w klapach – małymi czerwonymi krucyfiksami – albo z długimi kolejkami cywilów w sklepach z bronią, w lombardach też, i z kolumnami wojsk na autostradzie, częstszymi niż kiedykolwiek za jego pamięci, poruszającymi się z włączonymi światłami w dzień, pełnymi żołnierzy w rynsztunku bojowym, czy z tą przedziwną chwilą pewnej nie tak dawnej nocy, koło trzeciej czy czwartej nad ranem, kiedy w połowie *The G. Gordon Liddy Story* z Seanem Connerym w roli głównej, ekran telewizora zaśnieżył się nagle jaskrawo i kłująco, a w głośniku rozległy się męskie monotonne, zwielokrotnione echem głosy:

– Ale jeszcze nie mamy rozkazów – mówił pierwszy z nich.

– To szczegół – odpowiedział drugi z charakterystycznym znużeniem funkcjonariusza na służbie. – Taki jak nakaz rewizji.

Na ekranie pojawił się obraz jakiegoś białego mężczyzny, mniej więcej w wieku Hectora, w mundurze polowym. Siedział za biurkiem pod seledynową ścianą i jarzeniówką. Spoglądał w bok, nie w obiektyw kamery.

– Nazywam się... co mam powiedzieć? Nazwisko i stopień?

– Żadnych nazwisk – poradził ten drugi.

– Jako dowódca stanowych sił obrony w tym sektorze, zgodnie z prezydenckim dekretem NSDD numer pięćdziesiąt dwa z szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku i późniejszymi poprawkami, jestem upoważniony do... co?! – Zerwał się z krzesła, usiadł, poruszony sięgnął do szuflady biurka, ale się zacięła albo była zamknięta. Lecz wtedy znów na ekranie pojawił się film, który wyświetlono do końca bez żadnych wojskowych wtrętów.

Czuło się, że coś dziwnego wisi w powietrzu, jak przed dużą antynarkotkową obławą albo jak podczas tygodni poprzedzających inwazję w Zatoce Świń w roku 1961. Czy Reagan chce w końcu najechać Nikaraguę i robi najpierw

porządki na froncie wewnętrznym, gotów zamknąć, jeśli zajdzie taka potrzeba, dziesiątki tysięcy ludzi w obozach internowania, uzbroić lokalne „siły obrony”, wywalić wszystkich dowódców z wojska, a potem mianować ich zastępcami szeryfów, żeby obejść ustawę Posse Comitatus¹⁷? Zapasowe kopie planów mobilizacyjnych krążyły przez całe lato, więc sprawa nie była tajemnicą. Hector rozpoznał znajomy dreszcz, włączyły mu się i szumiały cicho rezerwowe receptory wychwytyjące sygnały: nagłe zamknięcie zwykłych kanałów komunikacyjnych, zakłócanie i blokowanie wymiany radiowej, problemy z telefonami, twarze na korytarzach ostrzegające wzrokiem „w ogóle się nie znamy”. Czy to możliwe, że rozpoczęły się w końcu jakieś głupkowate ogólnonarodowe manewry? Że w Pudle nagle przestaną wyświetlać filmy, a ekran oznajmi: „Od tej pory to ja ci się przyglądam”.

Celowo opóźniał spotkanie, ale w końcu zgodził się łaskawie na wyświadczenie Erniemu i Sidowi tej przysługi. W Holmby Hills panował nieco mniej entuzjastyczny nastrój niż poprzednim razem, zniknęły aktoreczki, w basenie zbierały się liście i wodorosty, w głośnikach rozbrzmiewał jesienny kwartet smyczkowy, zamiast disco z wytwórni K-Tel, a jedyną rekreacyjną używką w granicach posiadłości była znikająca szybko skrzynka bud light. Ernie i Sid nie czekali nawet, aż piwo się schłodzi w małej lodówce na patio. Obaj byli strzępkami nerwów, obu pokrywała niczym pot warstewka desperacji, by wkraść się w łaski przywództwa antynarkotykowej histerii, które nagle było rozchwytywane jak zdobywcy Oscarów. Sid Liftoff, którego koleśowska i dobrodusznna publiczna persona wiele zawdzięczała chemicznej interwencji aplikowanej często co godzinę, przechodził – z braku nielegalnych molekuł w krwiobiegu – przemianę niczym Larry Talbot i stawał się dziką bestią, którą w sobie skrywał: samotną, mizantropijną, gotową zadrzeć wysoko łeb i zawyc przeraźliwie, rzewnie i transpersonalnie. Natomiast Ernie siedział i milczał jak zaklęty, co wskazywało na

powrót w czasach kryzysu do religii dzieciństwa: soto zen, tyle że nie był w stanie się powstrzymać przed drapaniem się ze zniecierpliwieniem pod nosem, jakby chciał nadać mu odpowiedni kształt, jak fryzurze.

Obaj filmowcy, roztrzęsieni i spięci, wymieniali się uwagami, a Hector podszedł do nich i zawołał: „Hej, chłopaki!”, błyskając wyglansowanym obuwiem. Sid zachował się jak profesjonalista: odczekał chwilę, po czym zerwał się gwałtownie z miejsca, przewracając wykonany na zamówienie leżak, podbiegł do Hectora, padł przed nim na kolana i zawołał:

– Pięćdziesiąt procent wpływów netto! Z naszych własnych zysków, co nie, Ernie?

– Aha – z sennym wewnętrznym opóźnieniem, podczas którego Sid mówił dalej:

– Oczywiście najpierw muszą nam się zwrócić koszty...

– Wyświadcz mi tę przysługę – Hector uwolnił się z uścisku obejmującego go za kolana natręta i ciągnął go krok za krokiem za kołnierz w kierunku basenu – *mis cortinas*, człowieku, i wystrzel te wpływy na księżyc, spuść je w zlewie albo wsadź je sobie tam, gdzie powinni je wsadzić ludzie, którym się wydaje, że zgodzę się na cokolwiek innego oprócz większościowego udziału w zyskach, *me entiendes como te digo?*

Sid padł na twarz i zalał się łzami, ryjąc stopami trawę.

– Hector! Amigo! – Pogorszył swoją sytuację, próbując chwycić Hectora za buty, których połysku, o czym wszyscy wiedzieli albo powinni wiedzieć, właściciel był gotów bronić, popełniając nawet, jak sobie wykombinował, rozważając opcje, morderstwo pierwszego stopnia. Opanował się jednak i cofnął o krok, tłumacząc sobie, że facet jest pogrążony w rozpacz. Mruknął uprzejmym tonem:

– Sid, może... eee... zechcesz się, no wiesz, trochę wziąć się w garść... – mruknął uprzejmym tonem.

Sid umilkł i po chwili wstał, wytarł nos przedramieniem, poprawił włosy i kręgi szyjne.

– Masz oczywiście rację, Hector, zachowuję się strasznie niedojrzale, przepraszam... za ten wybuch i za niedociągnięcia

w roli gospodarza... poczęstuj się, proszę, bud light? Niezupełnie *bien fría*, ale wyższa temperatura lepiej wydobywa smak, nie sądzisz?

Łaskawie kiwając głową, Hector odebrał piwo.

– Chodzi o to, że wolałbym nie słyszeć o żadnych „zwrotach kosztów”, a jeśli już, to tylko w sobotni poranek podczas wyrównywania rachunków Troskliwych Misiów ze Smurfami i takimi tam, okay?

Obaj filmowcy zawołali unisono:

– To może choć o krocącym większościowym udziale w zyskach?!

– La, la la-lalla la la. – Hector specjalnie zanucił im tytułową piosenkę ze Smurfów. – La, la la-lalla laaaa...

– Powiedz nam... – błagał Sid – ...cokolwiek!

Marzył o tej chwili, jakże o niej marzył! Wiedział, że wąs układa mu się idealnie, czuł, że każdy włoszek jest na swoim miejscu.

– Okay, milion zaliczki plus połowa wpływów brutto od chwili, kiedy wpływy 2,718281828 razy przekroczą koszty produkcji.

Opaleniźna Sida pobladła do barwy niedopieczzonego biszkopta.

– Dziwna liczba. – Aż się zachłysnął.

– Ma całkiem naturalną podstawę.

Ernie o mało nie urwał sobie nosa. Przez resztę dnia darli się i ryczeli na przemian, aż spisali dokument, z którym wszyscy mogli jakoś żyć, choć Hector lepiej od pozostałych, bo udało mu się nawet wymusić chwytliwy tytuł roboczy projektu: *Narkotyki: sakrament lat 60., przekleństwo 80.* O filmie zrobiło się głośno w szczytowym okresie paniki wywołanej przez wielką ławę przysięgłych, pisano nawet o nim w gazetach i mówiono przez dziesięć sekund w *Entertainment Tonight*. Nie ulegało wątpliwości, że Ernie i Sid skoczyli jako pierwsi z antynarkotykowym spadochronem, na czym miasto mogło tylko skorzystać. Każdego dnia nad Sherman Oaks latało pięć jednosilnikowych maszyn piszących na niebie DZIĘKI WAM

ERNI I SID oraz AMERYKA NIE BIERZE NARKOTYKÓW czerwono-biało-granatowymi kolorami, choć wkrótce miejskie elementy partyzanckie zaczęły wystrzeliwać rakiety wycelowane w partykułę przeczącą, zmieniając nieco sens komunikatu. Ernie i Sid z powrotem zasiedli w takich miejscach jak Polo Lounge, do których po zatrzymaniu Sida nie tyle przestano ich wpuszczać, ile nie znajdowano dla nich wolnych stołów. A potem usłyszeli o nich ludzie Reagana i ich nazwiska zaczęły się pojawiać w przemówieniach wygłaszanych podczas kampanii: „No... można powiedzieć... – wypraktykowane przez lata odrzucenie grzywki z czoła przez wiecznie młodego żrebaka – ...że gdyby w Hollywood, kiedy tam grałem w ataku, było więcej takich zawodników jak Sid Liftoff i Ernie Triggerman... to w naszy drużynie... nie grałoby tyle komuchów... a moja robota byłaby znośniejsza” – perskie oko. Niereformowalne działające w przemyśle filmowym lewactwo pisywało listy do periodyków, piętnując Sida i Erniego jako kapusiów, nazistowskich kolaborantów i neomakkartystyczne marionetki, co oczywiście było prawdą, ale ani na jotę nie zmieniło ich planów nakręcenia filmu, który, jak im – zaćpanym głupkom – się wydawało, zapewni im nietykalność podczas długiego, czekającego wszystkich panowania ciemnogrodu. Miasto kibicowało – niekiedy z zadumą, a niekiedy z okrutnym rozbawieniem, w zależności od stopnia hysterii najświeższych doniesień – chłopakom zdobywającym dla reszty punkty. Gazu, chłopaki, gazu.

Do banku zaczęły trafiać czeki za reklamę, zarezerwowano pokoje motelowe, zamówiono długoterminowe prognozy pogody, zebrano ekipę, ale nikt nie miał najmniejszego pojęcia, o czym w gruncie rzeczy będzie ten film. Sid i Ernie, żyjący w nieustannym lęku przed Hectorem, bali się zapytać, a jedyne, co uzyskali, to niejasne zapewnienie, że gwiazdą będzie Frenesi Gates. Sama Frenesi, pracująca dorywczo w Chuck's Superslab of Love Motor Inn and Casino, niezbyt szykownym przybytku położonym po złej stronie drogi międzystanowej, gdzie podawała koktajle, nie miała pojęcia o szaleństwie

rozgrywającym się z jej imieniem na ustach, dopóki nie pojawił się Hector. Tuż przed jego telefonem zauważyła kątem oka, że poplątany kabel telefoniczny zmarszczył się i zadrżał leciutko sam z siebie jak skóra na pogrążonym w głębokim śnie wężu.

Zanim dojechali na miejsce, żadne z nich nie pamiętało, dlaczego wybrali Club La Habañera, mieszczący się w głębi kasyna o tysiącu sal, stojącego zbyt blisko lotniska i zaprojektowanego na wzór legendarnego rajy hazardzistów w przedcastrowskiej Hawanie. W klubie dym prawdziwych cygar Vuelta Abajo mieszał się z oparami rumu Santiago – oba produkty przeszmuglowano z wyspy przed trwającym od dawna embargo – a także kilkunastoma gatunkami drogich perfum. Orkiestra miała falbany na rękawach, a wokalistka w cekinach śpiewała:

Tylko wspomniałeś... [stukotanie bongosów] mi, [delikatny tropikalny rytm]
„*Es posible*”,
I nie potrzeba już replaya:
Noc moja w twoją się zamienia...
I wszystko to się staje
Incre-ible,
I straszne się wy-da-je
Śnić kolejne sny?
¿*Es posible*?
Ze TEN to właśnie TY?
Incre-ible,
Och, radość sprawisz mi
Gdy
Szepczesz [stukotanie bongosów, jak wyżej] ty, że wszystko jest *posible*
Gdzie Karaibów błyszczą fale
W księżycu srebrnym szale,
Es possible,
Incre-ible,
To love... [wypełniacz w rodzaju B-C-E-C-B-dur]
To love... [etc., delikatne wyciszenie]

Mocno opaleni klienci w podejrzenie białych tropikalnych garniturach i słomkowych kapeluszach zsuniętych na potylicę tańczyli nieprzyzwoite tańce z gorącookimi towarami na

szpilkach, w obcisłych, jaskrawych, kwiecistych sukienkach, a za wrzącą niewyraźną plamą płomiennych i papuzich barw, w cieniu, majaczyły złowrogie kształty, targowały się i podawały sobie z rąk do rąk zawiniątka o niezwykłych gabarytach. Byli to japiszoni z takich miast jak Torrance czy Reseda na tematycznej wycieczce.

Od razu, mimo upływu lat, rozpoznała Hectora, lecz jego wygląd nie dodał jej otuchy. Hector wyglądał jak kupa gówna – złachany, przekrwiony w każdym układzie krążenia, przypominał jej brzeg świetlnego okręgu, wyłaniający się z lodowatej ciemni lat służby, zawierania umów i zrywania ich, zdradzania nawet siebie, torturowania i bycia torturowanym... Długotrwałe spustoszenia... Powinien już być złamany... co popychało go dalej? Ktoś, kogo kochał, jakieś uzależnienie, zwykłe uparte wyparcie? Wdychała jego tytoniową aurę, znosiła szemrany jowialny śmiech straceńca. Więc stał się kimś takim, kimś, kim i ona – przynajmniej dlatego, że nic już jej nie dziwiło i nie czuła niczego poza odruchowym współczuciem – musiała się stać.

Żeby już mieć to z głowy, zapytała:

– To oficjalne przesłuchanie? Masz jakiś nakaz z DEA, Departamentu Sprawiedliwości czy pracujesz na własną rękę?

Hector zaczął mrugać i przewracać oczami, jakby mu w całej pełni odjebało. Na telewizyjnym detoksie spotykał kobiety, które zwracały się do niego w taki sposób przez cały czas, co było jeszcze jednym powodem, żeby stamtąd uciec, bo nie mógł na nie wrzasnąć, bo za wrzask dostałby punkty karne, które opóźniłyby jeszcze bardziej jego zwolnienie. Nieporównanie lepszy był bliski kontakt cielesny, odrzut broni, ryk wściekłości, okazja do wbicia w coś pięty, ale w tych czasach jego opcje nie obejmowały nawet zgrzytania zębami. Kiedyś gładki w obejściu i dzierzący mocno wodze, miał teraz „problem – jak zauważył niegdyś Marty Robbins w zupełnie innym kontekście – z utrzymaniem się w siodle”.

Frenesi zaniepokoił nieco jego stan.

– Hector, nie myślałeś nigdy, żeby się wycofać, wykaraskać się z tego?

– Nie, póki mam ciebie i Brocka Vonda na jednej fotografii, uśmiechniętych.

– O Chryste... Nie, Hector, to nie jest program *This Is Your Life*, w gruncie rzeczy może się okazać, że wręcz przeciwnie... Nie wiesz już, kim jest Brock? Te konowały z detoksu napakowały ci tyle Pudła do łba, że przestałeś myśleć?

– Posłuchaj mnie! – wrzasnął przez dolne zęby, niczym restauracyjny parodysta naśladowujący Kirka Douglasa.

Przewidziała, że będzie chciał chwycić ją za kłapy, i odsunęła się w porę – miał już przytępiony refleks – zerwała się z krzesła, obróciła, wbiła pięty w podłogę i powiedziała sobie: „Jestem gotowa”. Widziała przed sobą pałającego żądzą krwi antynarkotykowego agenta, przechodzącego kryzys wieku średniego, który w dodatku – co za idiota! – zapomniał przynieść coś, co mogłoby przestraszyć ją bardziej od mieszczącego się w kosmetyczce pojemnika z lakierem do włosów. Wyczerpany Hector opadł z powrotem na ratanowe, skrzypiące i trzeszczące krzesło.

– Jesteś uczciwym żołnierzem, Frenesi, a przez lata stoczyliśmy razem tyle bitew...

Sentymentalna nuta, odgrywana ze śmiertelną powagą, policyjna solidarność, jego problemy z rasizmem w agencji, jej pięćdziesiąt dziewięć centów na dolara zarabianego przez mężczyzn, może odrobina *Hill Street Blues* dla smaku oraz Bóg wie jakie jeszcze chwytły z Pudła, choć wydawało się jej, że rozpoznała Roberta Ironside’a granego przez Raymonda Burra i kapitana z *Mod Squad*. To przygnębiające, jak bardzo polegał na tych telewizyjnych fantazmatach w wykonywaniu zawodu, propagując bezlitośnie ich propagandowe przesłanie: „gliniarze są tylko ludźmi i robią, co do nich należy”, zamieniające rządowych ciemiężców w sympatycznych bohaterów. Nikt nie widział już w tym niczego nadzwyczajnego: w tych rutynowych naruszeniach konstytucyjnych praw; naruszeniach, jakich dopuszczali się tydzień po tygodniu bohaterowie telewizyjnych

seriali przyswajanych przez Amerykanów w ich codziennym oknie na świat. Prawicowy tygodnik „TV Guide” umieszczał seriale o glinach w gatunku noszącym nazwę „dramaty kryminalne” i twierdził, że do ich gorących miłośników należą pełniący służbę policjanci, tacy jak Hector, którzy powinni przecież wiedzieć! A teraz Hector żąda od niej, żeby wyreżyserowała, ba!, napisała kolejny kryminalny dramat! O jej życiu „pod ziemią” z silną antynarkotkową wymową. Cudownie.

– Twoja historia stanie się przykładem dla innych – basował seksownie Hector, emanując latynoskim czarem. – Natchnieniem!

– I sprawi, że przestaną ćpać, tak? Hector, Hector. Dorastałam, słysząc o tym przez cały czas, od jednego filmu do drugiego, moja matka czytała scenariusze, potem je redagowała, a nawet sama pisała. Początkowo myślałam, że to wszystko na poważnie, że wystarczy trochę poczekać, a każdy z nich trafi w końcu na ekran... – Sasha powiedziała jej wreszcie, jak to działa, porównując scenariusz do któregoś z milionów plemników, z których tylko jeden zapładnia jajeczko.

To porównanie przemówiło wówczas do wyobraźni Frenesi, choć przeżyła taki sam wstrząs jak wtedy, kiedy się dowiedziała, że dzieci nie spadają z nieba. Teraz też czuła przez chwilę jakąś dziwną pustkę. Szła na to spotkanie z niedużą, dwu-, trzyprocentową, ale zawsze nadzieją, że Hector nie jest jednak obłąkany. Choć wraz z Brockiem pracował nominalnie dla policji Edwina Meese’a, była gotowa – nie biorąc pod uwagę osobowości i opierając się na samych procentach – postawić na wsparcie tego agenta DEA, ale teraz, żyjąc znów po tych wszystkich latach na powierzchni i stając się wraz z innymi ofiarą Amerykańskiej Wrażliwości, przekonała się zrozpaczona, że lepiej będzie, jeśli czując na karku chłodny powiew podążającego za nią niebezpieczeństwa, zachowa drobne w rękawiczce, zamiast zadręczać się przyzywaniem na pomoc Hectora. Pamiętała, że w czasach 24k/s żyła w jakiejś

odbierającej rozum nieprzepuszczalnej fantazji, że składa siebie w ofierze na ołtarzu Sztuki i że, co gorsza, Sztukę to obchodzi. Teraz Hector żywił się podobnymi złudzeniami i pozostawał równie głuchy na kontrargumenty, oddawszy już bardzo wiele, za wiele, za coś tak tandetnego i bezwartościowego.

Kiwał głową z nieobecny wzrokiem, a w Local 369 AFM nadawali *A Salute to Ricky Ricardo*, wiązaną melodię śpiewanych przez Desi Arnaz w *Kocham Lucy* – w tym *Babalu*, *Acapulco*, *Cuba* i *We're Having a Baby (My Baby and Me)* – w odcinku, w którym po raz pierwszy wspomina się o postaci Małego Ricky'ego, a jego losy bardzo obchodziły Hectora.

– Tak, i pominąwszy wszystko inne, to zajebista mała perkusistka. Zupełnie jak jej tatuś.

Frenesi uniosła wzrok. Coś się szykowało. Oczy Hectora miały taki wilgotny połysk i rozjaśniały się z każdą sekundą. I wtedy zrozumiała.

– O, nie... Ustaliliśmy wszystko przed wielu, wielu laty, nie rób mi tego teraz.

– Nie wygłupiaj się, nadstaw te arystokratyczne uszka i nie mów mi, że nie chcesz usłyszeć wieści.

– Ostrzegam cię, Hector, nie wkurwiał mnie.

Ale przesunął przez stół, jak pionka w grze, polaroidowe zdjęcie utrzymane w zielononiebieskich barwach Północnego Wybrzeża, a na nim dziewczynę w koszuli Pendleton w czarną kratę, siedzącą na omszałym drewnianym ganku obok dużego psa z wywalonym jęzorem. Nie było słońca, ale mrużyła oczy.

– Ty skurwysynu – rzuciła Frenesi.

– Zoyd zrobił to zdjęcie. Można poznać po porąbanej orientacji kadru. Widzisz tego psa? To Desmond. Brock go przegonił. Widzisz ten dom? Zoyd budował go przez lata, ale przyjechał Vond i go zajął, powołując się na RICO, i pewnie nigdy już tam nie wróci. Umowa, którą, jak nam się wydawało, zawarliśmy, umowa, której się trzymaliśmy przez te wszystkie lata, poszła się jebać za sprawą Wściekłego Psa Vonda, słuchasz mnie?

– Nie, kutasie jeden. Przyglądam się twarzy córki. Przeszkadza ci to? – Spiorunowała go wzrokiem. – Martwią was cięcia? Szlag trafił wasze układy z piaskownicy? Pogadaj o tym z Reaganem, jak go spotkasz. To on zabrał forszę.

– Zgadza się. Ale słyszałaś, że zabrał też forszę Brockowi? Wyobraź sobie, jaki jest wkurwiony! Taa, PREP, obóz, wszystko poszło się... Zrobili badania, wyszło im, że od osiemdziesiątego pierwszego dzieciaki przychodzą same i pytają o pracę, więc nie trzeba ich wsadzać do obozu. Budżet Brocka trafił do wielkiej niszcarki Intimus na niebie, a w tych starych barakach trzymają teraz Wietnamczyków, Salwadorczyków, wszystkich uchodźców, i nie wiadomo nawet, skąd się dowiedzieli o tym obozie...

– Hector... – Kręciła głową, nie mogąc oderwać oczu od zdjęcia.

Obdarzył ją wymuszonym łzawym uśmiechem.

– Chce się z tobą zobaczyć.

Wzięła głęboki oddech i wyłożyła kawę na ławę:

– Słuchaj, widziałam parę razy, do czego zdolni są ludzie dla jednej fotografii, a znając twój życiorys, wiem, że nie zawahałbyś się użyć przeciwko mnie mojego własnego dziecka, ale pamiętaj, żeby napisać w raporcie, że figurantka ostro się sprzeciwiła duchowemu molestowaniu jej dziecka przez agenta Zuñigę.

Hector zmarszczył brwi, próbując się zorientować, o co jej chodzi.

– To nie jest oficjalne, jak ci się wydaje. Nie... Rodziny powinny trzymać się razem, to wszystko. Nie uratowałem własnego małżeństwa, ale to nie znaczy, że nie mogę uratować innych, nie?

Będąc już pod wpływem paru ćwiartek specjalności zakładu znanej jako Zemsta Battisty, Hector rozgadał się o swojej byłej żonie, Debbi, która podczas rozwodu, za radą jakiegoś naćpanego, długowłosego, nawiedzonego adwokata, uznała odbiornik telewizyjny – dziewiętnastocalowy model French Provincial – za powód rozpadu ich pożycia małżeńskiego

i twierdziła, że Pudło stało się członkiem rodziny, cieszyło się specjalnymi przywilejami, zżerało domowy budżet rachunkami za prąd, ba!, dyskutowało i rozmawiało z pozwany, uwodząc go jak każda tania żdzira, którą Hector mógł poznać w pracy. Kiedy to trwało, postanowiła zniszczyć wzmiankowany odbiornik za pomocą mrożonego mięsa duszonego z warzywami w samym środku powtórki *Green Acres*, na którą czekał Hector, co mogło się przyczynić do upadku pozwu, tym bardziej że zdenerwowany Hector nałożył na nią areszt obywatelski, oskarżając Debbi o usiłowanie zabójstwa Pudła, które – jak sama twierdziła – było człowiekiem. W opartym na jego życiorysie filmie z Marie Osmond w roli Debbi i samym Ricardem Montalbanem w roli Hectora sprawa rozwodowa stanie się jedną z tych epickich bitew sądowych, poruszających głębokie kwestie filozoficzne. Czy Pudło jest człowiekiem? Półczłowiekiem? Do jakiego, można powiedzieć, stopnia jest człowiekiem i tak dalej. Czy odbiorniki telewizyjne ożywają pod wpływem sygnału telewizyjnego, jak ulepione z gliny postaci mężczyzny i kobiety ożywione boskim tchnieniem? Przed sądem stanie cała ta menażeria świadków i biegłych sądowych: profesorów, rabinów, uczonych, a Eddie Albert wystąpi w nominowanej do nagrody Emmy epizodycznej roli papieża... Ale wszystko to okazało się mrzonką w nietelewizyjnej rzeczywistości, działania obu stron uznano za lekkomyślne i przyznano im rozwód bez orzekania o winie, pod warunkiem wszakże, że Hector natychmiast podejmie leczenie z telewizyjnego uzależnienia...

– Chcę cię poinformować najuprzejmiej – ponieważ nie mógł tego zrobić nikt inny – że za sprawą Pudła i tych szarlatanów new age z detoksu zostało, obawiam się, bardzo niewiele z twojego mózgu. Tylko tyle, żebyś mógł jako tako funkcjonować.

– Okay, świetnie. Nie obchodzi cię własne dziecko ani wojna przeciwko narkotykom, kupuję to, ale nie mogę uwierzyć, że chcesz zrezygnować z jednej jedynej szansy powrotu do filmu!

– Ach, „filmu”! „Filmu”, powiadasz! Ale wydawało mi się, że mówiłeś o Triggermanie i Liftoffie? Chyba wiesz, co oni robią z „filmem”, nawet rysunkowym.

– Słuchaj, z tobą, czy bez ciebie, to będzie nakręcone. Włożono w to pieniądze, podpisano papiery... wszystkie, z wyjątkiem umowy z reżyserem, którym możesz zostać... jeśli tylko zechcesz. Zdjęcia zaczynają się w przyszłym tygodniu i prosto stąd jadę na plan.

Chciał, żeby zapytała „dokąd”.

– Dokąd?

– Do Vinelandu.

– Hector, pewnie o tym doskonale wiesz, ale odkąd zostałam TW, zwiedziłam całe Stany: byłam w Waco, w Fort Smith i w Muskogee też, przejechałam każdą międzystanową szosę, nawet te bez numerów, pociałam tyłek w Corpus Christi, marzłam w Rock Springs i jebanym Butte na prawym półdupku, zawsze jeździłam tam, gdzie mnie posyłano, lecz ani razu, taka była umowa, nie posłano mnie w pobliże Vinelandu. Brock, który kocha rządzić innymi, trzymał mnie z dala od dziecka, a ja, jako wyrachowana suka i wyrodna matka, też się tam nie pchałam.

Oboje byli bliscy łez, choć Hector bardziej z bezsilności niż z czegokolwiek innego.

– Usiłuję ci wytłumaczyć – odezwał się chrapliwie i wymuszenie – że nie ma już żadnej umowy. Brock zajął lotnisko w Vinelandzie z całą jebaną armią i chyba na coś czeka. Na co, twoim zdaniem? Niektórzy mówią, że na zbiory marychy, bo koordynuje działania z KAMP-em i miejscowymi bojówkami. Ale inni uważają, że kieruje się bardziej romantycznymi pobudkami.

– Jak w scenariuszu twojego filmu, Hector?

– Frenesi, nie ma już powodu, żebyś trzymała się z daleka. Możesz się spotkać z córką, jeśli chcesz, zabawa skończona. Wróc do Vinelandu... nie byłaś tam tak dawno... cała rodzina twojej mamy siedzi na kempingu nad Seventh River...

Świdrowała go dwoma błękitnymi wiertłami.

– Kim ty, kurwa, jesteś, żeby mieszać się do tego, co robi moja rodzina?

Wzruszył ramionami i spojrzał na nią tak, że gdyby mówili o jej dziewictwie, uznałyby to spojrzenie za pożądliwe.

– Chodzi ci o Brocka? Boisz się go?

– A ty nie?

– Znasz Clarę Peller? Tę aktorkę, co grała w reklamie hamburgerów i darła się: „Gdzie jest mięcho? Gdzie mięcho?”. Na tym polega mój problem, z tobą i Brockiem. Czy może być gorzej? Czy możecie się jeszcze bardziej nawzajem zawstydzić? Ma za krótkiego kutasa?

Wybuchła cichym śmiechem.

– Dużo chcesz dziś wiedzieć. Chcesz mi wmówić... naprawdę uważasz, że powinniśmy znaleźć sobie wykwalifikowanego mediatora, usiąść, porozmawiać i podzielić się uczuciami?

– Tak jest!

– Ze Wściekłym Psem Vondem?

Hector pozwolił sobie oblać się rumieńcem, a potem uśmiechnął się szeroko i wskazał na orkiestrę.

– ¡*Caramba!* Krew pulsuje mi żywiej od tych rytmów! A pani, pani Fletcher?

– Co?

– Pozwoli pani? – Była to wiązanka przyczesanych dla północnego ucha przebojów Pereza Prado: mambo, cha-cha, nie tańczyła tego, odkąd przestała być dziewczynką. Hector, który wcześniej celowo sprawiał wrażenie klinicznego okazu zapuszczenia i nieudolności, zadziwił ją wdziękiem, muskulaturą i rytmem, który odnalazł w półbutach. On sam stwierdził z zaciekawieniem, że mu stanął, lecz nie na widok Frenesi, która z nim tańczyła, ale na wspomnienie Debbi, której tu nie było – tej dziewczyny w mormońskim makijażu, której dowód rejestracyjny był tak miły jego sercu, Debbi, z którą tańczył po raz ostatni w kuchni przy zgaszonym świetle do muzyki z radia, Debbi, którą kochał i która go kochała, co zawsze dziwnie się splatało nocami... W innych wyciszonych salach odzywały się głosy krupierów, okrzyki wygrywających

i bełkot pijaków, plastikowe listowie wielkości i wagi motelowych zasłon marszczyło się z wolna tuż pod progiem ludzkiej zdolności widzenia, wyginając się wysoko ku światłom, rzucając paraboliczne i zębate cienie, a tysiące nowo przybyłych zabierano na przyspieszony kurs regulaminu, którym rządził się Dom, mówiono im najogólniej, czego się od nich oczekuje, podawano zwykle statystyki i wskazówki psychologiczne, a Frenesi i Hector trafili tanecznym krokiem w głąb roziskrzonego gmaszyska – szykownej paraboli świata – zostawiając zdjęcie Prairie na stole, Prairie z Desmondem, mrużących oczy i patrzących w górę na nic szczególnego, zostawiając je na potencjalnie niebezpieczną pastwę czarnej magii, którą odprawiono tutaj za pomocą lodu i ognia, choć nie, polaroid leżał bezpiecznie, póki nie podniosła go tancerka z Las Vegas o twardym spojrzeniu, lecz delikatnym wnętrzu, której Prairie przypominała młodszą siostrę i która oddała zdjęcie Frenesi, gdy ta pojawiła się w klubie następnego dnia z bijącym gorączkowo sercem, modląc się, żeby fotografia wciąż leżała na stole, żeby ją mogła odnaleźć i zabrać.

Tuż przed wyjazdem na lotnisko – znów pora na „idź szybko” – Justin poprosił mamę na stronę.

– Czy ktoś nas goni, mamusiu? – Według jego snów, conocnego serwisu informacyjnego, to, co ich goniło, było duże i niewidzialne. Czy zdradzi się, że wie, o co chodzi?

– Nie martw się – pocieszyła syna – to, co nas goni, nie zjada dzieci. – Ale sama nie była tego pewna. Oboje zachowywali się dziwniej niż kiedykolwiek za pamięci Justina, krzyczeli na siebie i na niego, pili i palili za dużo, zjawiali się i znikali w porach, których nie był w stanie przewidzieć. Najmądrzejsze dziecko, które Justin spotkał w przedszkolu, powiedziało mu, żeby udawał, że jego rodzice są postaciami z serialu komediowego. „Musisz tylko wyobrazić sobie ramkę wokół nich, jak w Puddle, musisz tylko wyobrazić sobie, że to program, który oglądasz. Sam możesz zagrać w tym serialu, jeśli będziesz chciał, albo możesz tylko oglądać i nie mieszać się”. Ta rada bardzo mu się przydała, kiedy znaleźli się na lotnisku McCarran

International i stwierdzili, że obsługa strajkuje i pikietuje. – Oo – powiedziała Frenesi. „Oo”, powiedział Justin do siebie. Mama nie przedzierała się przez linię pikiety. Rzuciła, że kiedyś to zrozumie.

– Kochanie – odezwał się do niej Flash – ci ludzie nie latają samolotami, zajmują się tylko obsługą terminalu, więc nie korzystaj z toalety, okay?

– Nie mogę pójść do ubikacji? – zapytał Justin.

– Fletcher, złapiemy jakiś autobus i polecimy z innego lotniska.

– Odprawili już bagaż, najdroższa.

– Nie, idź po torby!

Głowa i kark Flasha wysunęły się do przodu pod kątem, który, o czym doskonale wiedziała, oznacza wściekłość.

– Mówisz mi, co mam robić? – rzucił takim tonem i tak głośno, że ci z pikiety mogli zacząć nadstawiać ucha, nie wspominając już o kilku pasażerach w poczekalni, którzy rezygnowali z codziennej porcji dramatów w działających po wrzuceniu monety odbiornikach telewizyjnych przy fotelach i decydowali się na obejrzenie tego odcinka na żywo. – Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi! To twoja jebana rodzina! Twój tatuś na pewno przeleciał to stare pudło ze związkową flagą.

– Nie mieszaj do tego Huba, skurwysynu, choć twoja matka i tak by nie zauważyła...

– Ani słowa o niej! – ryknął Flash. – Rozumiesz, co do ciebie mówię, suko?

Frenesi uśmiechnęła się, wciągając powietrze przez nos.

– Coś ci powiem – zaczęła zadziornym głosem – przejdę przez linię pikiety, jak dasz się wydymać w dupę, okay? Wtedy porozmawiamy o starych przelecianych pudłach, chyba że coś przede mną ukrywasz...

W końcu podeszła do nich koordynatorka pikiety.

– Przeprowadziliśmy głosowanie – zwróciła się do Frenesi. – Zrobimy dla was wyjątek jeden jedyny raz. Możecie przejść.

– Zdobyliśmy większość?

– Przez aklamację. Jesteś dobrym dzieckiem. Spokojnego lotu.

Justin specjalnie usiadł między nimi. Miał już fryzurę na donicę, jak Moe Howard, nie musiał więc specjalnie się uczyć, żeby wchodzić między nich jak Moe rozdzielający Larry’ego i Curly’ego i wołać: „Rozsuńcie się, rozsuńcie się!”. Kiedy znaleźli się na wysokości przelotowej, wydawało się, że kłótnia została na ziemi. Zamiast tego zaczęli się zastanawiać – za późno! – dlaczego lecą na Vineland International, skoro rozłożył się tam obozem Brock i jego ludzie. Co z tego, że Hector zapłacił za bilety i zostawił je w Biurze Regionalnym u Roya Ibble’a, który kiedyś prowadził Flasha.

– Zostawił tylko wiadomość, że spotka się z wami w Vinelandzie – mruknął Roy, zerkając podejrzliwie na Flasha znad koperty.

– I to wszystko, Roy? Nie masz mi nic więcej do powiedzenia jak człowiek człowiekowi? Nie masz żadnej innej pocieszającej informacji dla najodważniejszego z agentów, który dostarczył ci najważniejszy w życiu numer telefonu, dzięki czemu twoja kariera nabrała rumieńców?

– Jestem tak samo sentymentalny jak każdy inny, Flash, i mógłbym bez końca łać łyzy za epoką Nixona, ale z przykrością muszę ci powiedzieć, że większość z was, weteranów, wyleciała z komputera, robiąc miejsce dla kolejnego pokolenia. Wszystkie te znajome maleńkie zerka i jedyneczki zmieniły się na nowe, pobierające mniej prądu, niż ci się wydaje, a jakbym ci podłączył ten prąd do chuja na dobranoc, jest szansa, że nawet byś nie poczuł.

Flash zrozumiał, że obowiązki zawodowe Roya obejmowały tego rodzaju czynności, a może nawet obejmują do tej pory, ale zgodnie ze swoją dewizą „Jęcz albo zdychaj”, zaczął jeszcze raz nieznośnie marudnym tonem:

– Agencje specjalny Ibble, nie był pan chyba dawno na ulicy, więc zapomniał pan, jak to jest, kiedy pańska kobieta i synek znajdą się na łasce któregoś z tych tęponosych drobnych przestępców ze sprężyną kupioną na pchlim targu, ze smutną

historią z dzieciństwa. Łaziłem dla ciebie tyle lat! Żebyś mógł wracać do domu na weekend i jeździć jebanym beemą, żeby twoja żona, pani Ibble, mogła pierdzieć w jedwabie! Tak jest, Roy, człowieku, nie patrz na mnie jak wkurwiony mąż! Widzę na twojej gębie udrękę żonatego mężczyzny, więc oszczędź sobie, bo to ja jestem ofiarą, twoja szczęśliwa rodzinka tarza się w dostatkach, a moja tarza się jak gówno w trawie, czekając, aż jakiś pieczony gołąbek spadnie jej do garnka, więc mam prawo być wkurwiony, tak czy nie, Roy?

Roy, w jakimś dziwnym paraliżu woli, odsuwał się w fotelu od biurka i ukrył za gabinetową szafką. Drżała mu broda.

– Wystarczy, błagam! Powiem ci, co wiem... – Pokazał nawet Flashowi dalekopis o nim i Frenesi.

Nikt, jak twierdził Roy, nie wie, o co chodzi Brockowi Vondowi, choć chodzą słuchy, że ma to jakiś związek z Reaganowskimi ćwiczeniami gotowości bojowej, manewrami o kryptonimie REX 84. W przeciwnym razie wszystkim odbija szajba, jak to w roku wyborów.

– Na ten moment – powiedział agent specjalny Ibble – przyjmijmy, że w ogóle cię tu nie było, ale... – Przyturlał się odruchowo do biurka, żeby wystukać jakiś numer wewnętrzny. – Irmo, kochanie, czy mogłabyś mi podać dokładną kwotę na rachunku reprezentacyjnym?... Parę kilo? Dwadzieścia? Okay, kilkanaście... mhm... ja też... cześć.

– Roy, jestem wzruszony, nie powinienes...

– To z meczu koszykówki, rzeczywiście nie powinienem był...

– Co? Wy... wy... obstawiacie zakłady sportowe? Funduszami federalnymi? O kurna, chyba faktycznie przykręcili wam śrubę.

– Nikt nas nie lubi w tej administracji, Departament Stanu nas nienawidzi, NSC ma nas za ścierwa, jeśli coś nam zostaje po chłopakach z Urzędu Celnego, którzy kradną nam ziemię z ogródka, Departament Sprawiedliwości i FBI kładą na tym łapy i wszystko pierdołą, a tak między nami... – ściszył głos – ... zauważyłeś, jak potaniała koka od osiemdziesiątego pierwszego? Jak, kurwa mać, można to wytłumaczyć?

– Roy! Chcesz mi powiedzieć, że nasz prezydent jest w coś umoczony? Nie wygłupiaj się! Zaraz mi powiesz, że George Bush też!

Roy trzymał na biurku w charakterze dekoracji egzemplarz Biblii, który okazał się bardzo przydatny podczas rozmów z odrodzonymi w Chrystusie fundamentalistami z Agencji. Teraz otworzył Pismo i udał, że czyta:

– Słuchajcie słów tego przymierza i czytajcie je z moich warg, i powtarzajcie do mężów Judy i żon Jerozolimy: zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że wszędzie tam, gdzie CIA zagłębi swe szpony, z ran wypływa substancja, którą stworzył Bóg, a zakazał w zatwardziałości swego przewrotnego serca Kodeks Karny USA. Tak mówi Pan. Kapujesz? Stary Bush kierował CIA, więc resztę sobie dośpiewaj.

Przyszła Irma z pieniędzmi, Flash udał, że je przelicza.

– Przypomnij mi, jakie to są koszty?

– Koszty bycia miłym przez te wszystkie lata. – Irma, wychodząc, przesłała mu pocałunek.

– To jej zdanie, nie moje – dodał Roy.

– Co się stanie, jak wylądujemy na lotnisku w Vinelandzie? – zapytała teraz Frenesi.

Flash sam chciałby to wiedzieć. Choć w zasadzie od początku wiedział, o co chodzi Brockowi, wiedział od czasów PREP, kiedy z daleka składał hołdy Frenesi, jako nieosiągalnej kobiecie Brocka Vonda, wiedział, że gdyby miał ją ocalić i zdobyć jej miłość, musiałby wystąpić przeciwko Brockowi i odebrać mu ją. Na kolejnych placówkach w, jak mówiła, NoUSpA, bo zawsze czuła się na nich tak, jakby miała bóle menstruacyjne, w klimatyzowanych wnętrzach, w rzadkich chwilach na świeżym powietrzu przy złomowiskach czy szybach naftowych z widokiem na odległe kępy topoli, na podwórkach wychodzących na tory kolei do Santa Fe, nigdy nie wyrwała się z dalekiej orbity Brocka. Małżeństwo i Justin, i wszystkie te lata, które spędzili razem, nie zbliżyły jej bardziej do Flasha. Obojgu to wystarczało, satysfakcjonowało ich w całej pełni życie w nakreślonej przez rząd historii bez konsekwencji i nigdy nie

wyobrażali sobie, że mogłoby się skończyć, paść ofiarą kolejnego Reaganowskiego snu o tanim państwie, jakiejś wyśnionej po obiedzie fantazji o życzliwych aktorach charakterystycznych w garniturach agentów FBI, pilnujących przez całe noce nieszczęsnej wychudzonej trzódki, którą mieli paść – skazanej na potępienie i zbawianej jedynie dzięki użyteczności dla państwowego aparatu egzekwowania prawa, który nazywał siebie „Ameryką”, choć byli tacy, którzy nazywali to inaczej.

Lotnisko w Vinelandzie leżało na południe od miasta w szerokiej dolinie tuż przed zalewową niziną ujścia Seventh River. W trawie między pasami startowymi mnożyły się dzikie króliki, pasły się krowy, a na dalekich obrzeżach lotniska fruwały mewy. Manewr lądowania sprowadził błędnie samolot w dyszące przemysłowo obszary za drogą 101 – coś było nie tak, coś ze światłem, kiedy spłaszczały się kąty i gęstniała atmosfera: blask, lokalizacja, nie wiadomo. Z kokpitu nadeszły wieści, że kontrolerzy lotów na dole posługują się żargonem z Wietnamu, na wieży kontrolnej nie siedział żaden cywil, a w radiu na wszystkich częstotliwościach słychać było wojskową wymianę. Przelecieli nad portową zatoczką i przy pierwszych wieczornych rozbłyskach światła na kościelnych wieżach, antenach i liniach wysokiego napięcia wykonali jeszcze jedno podejście za autostradą, za ciemniejszymi bagnami, po czym dotknęli niewyczuwalnie ziemi. W ten sposób Flash znalazł się po raz pierwszy w Vinelandzie, a Frenesi tam wróciła.

Lotnisko zamieniono w punkt przerzutowy dla pojazdów wojskowych, które były wszędzie. Zatrzymywano każdego wysiadającego z samolotu pasażera, by poddać go krótkiemu przesłuchaniu, podczas którego operator wystukiwał na klawiaturze nazwiska i cyferki, a potem albo przepuszczał, albo wysyłał przybysza do tymczasowej zbiorowej celi.

– Myślisz, że ten jebany Hector nas wystawił? – zaświtało w głowie Flashowi.

– Może nie. Luknij tam.

I rzeczywiście: w strefie oczekujących stał Hector. Z całą ekipą filmową! Światłami, panaflexem i paroma ręcznymi arrisami. Podszedł niespiesznie do Flasha, Frenesi i Justina, wyprowadził ich z czekającej na kontrolę kolejki i powiódł przez terminal, ignorując wycięte z szablonu strzałki poprzyklepane do drzwi i kolumn; wymachiwał odznaką i rozdawał na prawo i lewo, głównie jednak do sił bezpieczeństwa, profesjonalne uśmiechy. Po jakimś czasie zameldował ich wszystkich na czas trwania zdjęć w Vineland Palace. Za hotel płaciło Triglyph Productions, Inc. Frenesi kręciła z niedowierzaniem głową.

– Ten Hector! Jest zupełnie taki jak ja, kiedy miałam dwadzieścia lat, choć chyba bardziej naiwny. Naprawdę uważa, że jest nieśmiertelny. Ten panaflex to jego tarcza. Wkręcił się. Stał się kolejnym Sidem Liffem.

Zjawiała się hotelowa obsługa z cheeseburgerami, frytkami, gorącymi lodowymi deserami i karafkami ciężkiego burgunda i dopiero wtedy przyznała sama przed sobą, że Hector faktycznie nie robi ich w konia i prawdopodobnie nakręci ten film.

– Nie martw się o niego, mamusiu – powiedział jej Justin. – On mówi prawdę, słowo.

– A ty skąd wiesz?

– Poznałem po tym, jak ogląda telewizję.

Justin i Hector oddalili się we dwóch na pewien czas, żeby obejrzeć cykliczny Twi-Nite Theatre, w którym tego wieczoru wyświetlano *The Bryant Gumbel Story* z Johnem Ritterem w roli tytułowej. Po seansie rozpoczęli fachową dyskusję o niuansach Pudła, która mogłaby się toczyć przez całą noc, gdyby nie to, że Hector musiał skoczyć do Cucumber Lounge, żeby złapać Billy'ego Barfa and the Vomitones, którzy, jeśli nie okażą się za drodzy, mogliby nagrać muzykę do filmu. Spóźnił się do Cuke, przez co ominął go jednoosobowy występ Ralpa Wayvone'a Juniora w lśniącym zielonym garniturze z cekinami, rzucającego do mikrofonu dowcipami, żeby rozgrzać publiczność, która, zdaniem Ralpa, bardzo tego potrzebowała.

Sprawy przyjmują niekiedy zabawny obrót. Ojciec wysłał Ralpa do Vinelandu za karę za kilka drobnych pomyłek w interesach. Ralph nigdy nie chciał imperium Wayvone'ów, chciał zostać komikiem. Okazało się, że w Cucumber Lounge znalazł idealne miejsce, by spełnić marzenia: warsztat, w którym mógł doszlifowywać komediowe występy. „Więc któregoś dnia strzelam minetę żonie i żona mówi... – czekał na reakcję, ale usłyszał tylko szum klimatyzacji i brzęk kieliszków – »Uau! Liżesz mi cipkę, no, no. No, bo wiesz, to jest jak z mafią... jedno przejęzyczenie i jesteś w czarnej dupie!«”. Paru nastolatków zarechotało nerwowo, a stojący za barem Van Meter próbował się przyłączyć. Nic z tego. Nic nie pomagało, a Ralph Junior wpadł w rozpacz i uciekł się do samobiczowania: kawałów o Włochach. Wreszcie, wycisnąwszy z tłumu tyle niechęci, ile tylko był w stanie znieść, opowiedział na pożegnanie niewypowiedziane obraźliwy dowcip „Jak zajść Włoszkę w ciążę”, uśmiechnął się spocony i zaczął rozdawać całusy, jakby mu zgotowano owację.

– Dzięki, dzięki, a-a-a-aaa tee-eeraa-aaaz... – werble Isaiaha Dwa Cztery – ...mistrzowie metalu, prosto z koncertu w nudystycznym kurniku, skąd ledwo uszli z jajami... panie i panowie, wielkie oklaski całego Cucumber Lounge dla Billy'ego Barfa! and the Vomitones!

Zespół, znając już lokalną publiczność, rozpoczął z miejsca od trzytaktowego bluesa, autorstwa samego Billy'ego Barfa: *Jestem gliną.*

*Pieprz się facet
Razem z bratem
Razem z siostrą,
Z mamą ostrą,
Pieprz się gnido,
Jestem gliną!
Lepszym jeszcze,
Kiedy pieprzę
Twoją niunię,
Twoją dziunię.
Ty, pieprzę cię*

Ej, jestem men.

Tłum zareagował na to jak na pieśń gospel, odwrzaskując, klaszcząc i tupiąc: „Święta prawda!” i „Chiba mi stanie!”.

Zoyd – bez brody, ze znacznie krótszymi włosami, czający się z tyłu sali w przebraniu przeciętnego zjadacza chleba, tak jak wyobrażał go sobie markiz de Sod, co obejmowało między innymi krawat wypożyczony z niewiarygodnie wprost ohydnej kolekcji krawatów markiza – był obecnie nieco przewrażliwiony na punkcie policji, więc tylko kiwał głową do rytmu. Na mocy nowej Ustawy o kompleksowym przepadku mienia, którą Reagan miał podpisać i uczynić prawem w każdej niemal chwili, rząd złożył w sądzie cywilnym wnioski o zajęcie domu i ziemi Zoyda, który raz czy dwa zbliżył się do chaty, żeby tylko popatrzeć, żeby posłuchać dźwięku własnego telewizora, dobiegającego z głębi posiadłości. Federalne dobermany, nażarte – inaczej nie mogłyby podejść tak blisko – leżały za nową okalającą dom siatką i nie obmyślały przez krótką chwilę, jak odgryźć mu rękę przy samej dupie. Według ostatnich doniesień pies Zoyda, Desmond, który uciekł na samym początku inwazji, był widziany w okolicach Shade Creek, gdzie przyłączył się do sfory należącej niegdyś do wydziedziczonych obecnie plantatorów marihuany. Sfora ta nawiedzała lokalne pastwiska i nie gardziła taką czy inną niewinną krówką, za co groziła kara śmierci z dwururki. Tym także martwił się Zoyd.

Domu pilnowało tylko dwóch zastępców szeryfów, większość żołnierzy Brocka wyniosła się po tygodniach terroryzowania okolicy, biegania po gruntowych drogach w szyku bojowym z okrzykiem „Wojna z dragami! Wojna z dragami!”, publicznego rozbierania ludzi do naga w celu przeprowadzenia rewizji, zabijania psów, królików, kotów i kurczaków, wlewania herbicydów do studni, z których w żaden sposób nie dało się nawadniać zbiorów, słowem, jak zauważył jeden z sąsiadów, po tygodniach okupacji przez obcą armię najeźdźców, która wylądowała nie tak znów daleko od San Francisco.

Początek chacie Zoyda dała nieduża używana przyczepa kempingowa w kształcie szynki w puszcze. Obok była studnia bez pompy. Zoyd, pracując samemu lub z przyjaciółmi, używając drewna wyrzuconego przez morze, ocalonego z doków, zwiezionego ze starych stodół, które pomagał rozbierać, przez lata rozbudowywał domostwo: pokój dla Prairie, kuchnia, łazienka, chatka na drzewie między czterema rosnącymi niżej sekwojami – jej podłoga znalazła się na poziomie strychu i była połączona z domem za pomocą sznurowego mostu. Konstrukcje te nie były zgodne z przepisami budowlanymi, co dotyczyło szczególnie instalacji wodno-kanalizacyjnej, nieustannej przyczyny wielu niestrawności, skleconej z rur o różnych niepasujących do siebie przekrojach, w tym z prehistorycznych rur pięcio- i ośmioletowych, wymagających kolanek i przejściówek, których szukanie zajmowało całe dni na pchlim targu, a nawet na wielkim wysypisku śmieci w Crescent City. Kiedy mieszkał w domu, myślał o tym – jeśli w ogóle o tym myślał – jako o komplikacjach, które przechodząc z fazy przewlekłej w ostrą, będą wymagały jego uwagi. Teraz dom był dla niego niczym żywa ukochana istota, o której bezpieczeństwo się obawiał. Zaczął miewać koszmary o domu w płomieniach, kiedy wyjeżdżał z za zakrętu, za późno, żeby cokolwiek uratować: smród płonącego drewna i nie tylko drewna spopielającego się na zawsze, ginącego w czerni za płomieniami...

Kiedy występ dobiegł końca, Zoyd wyszedł na dwór z Isaiahem Dwa Cztery, a Van Meter wymknął się z baru, żeby do nich dołączyć. Poszli na tyły do bungalowu Van Metera i stanęli na werandzie, żeby zapalić; w środku trwał jak zwykle ożywiony scysjaton.

– Krótco – Zoyd zwrócił się do wysokopiennego perkusisty. – Van Meter zwołał paru ludzi, jedyne, czego nam teraz trzeba, to odpowiednie środki wyrazu, najlepiej z półautomatyczną opcją.

– Wiem, gdzie są tanie podróbki AK-czterdzieści siedem na naboje kalibru dwadzieścia dwa. Dostanę dobrą cenę, ale ktoś

będzie je musiał przerobić na full wypas i pojechać do Contra Costa po odbiór...

– Siostry mają kwaterę w Walnut Creek – zapalił się Van Meter. – Więc nie ma problemu. – Mówiąc „siostry”, miał na myśli zakon harleyitek, męski klub motocyklowy, który ze względów podatkowych przekształcił się w żeńskie zgromadzenie zakonne. Van Meter spotkał siostry, uganiając się za transcendencją, i był pod ogromnym wrażeniem emanującej z nich duchowości. Obrawszy sobie za dewizę slogan z dobrze znanego graffiti: „Jeśli nie wpuszczają harleyów do nieba, wstąpimy na nich do piekieł”, siostry wiodły wyjątkowo antynomijnie czysty żywot. Nadużywały dalej narkotyków i alkoholu, stosowały przemoc symboliczną i rzeczywistą, uprawiały seks w sposób, który nie przypadłby do gustu pani Grundy, i żywiły zdecydowaną nienawiść do wszelkich autorytetów, jednak każda z podejmowanych przez nie czynności uległa przeobrażeniu za sprawą Jezusa, Pierwszego Motocyklisty – tak twierdziła przynajmniej siostra Vince, teolożka zakonu.

„Możesz się sprzeczać, że nie było wtedy motorów – w przekrzywionym kornecie na głowie siostra Vince podała Van Meterowi butelkę supermarketowej tequili, którą popijała jakieś barbiturany – ale hej, jak się poruszał po pustyni? Jak myślisz, koleś, skąd się wzięła nazwa motocross?”, i tak dalej, póki nie ogarnęła jej senność. Van Meter pozostawał w bardzo dobrych stosunkach z siostrami i z radością umówił je z Zoydem, przedstawił im plan, choć obaj mieli jeszcze sporo wątpliwości.

– Sądziłem, że to najlepsze wyjście, Zet Wuj? Im wystarczy, że cię zabiją... To rozwiąże ich problem w znacznie prostszy sposób...

– Myślałem, że będę miał wsparcie... a teraz mi mówisz, że zostanę sam? Siostry w to nie wchodzi?

– Siostry? Mają to pewnie w dupie. Ich klubowy tatuaż głosi „Łaski pełne”, wierzą, że wszystko, co robią, ma poparcie

Jezusa, nawet zbrojne powstanie przeciwko rządowi, tak się to chyba nazywa, choć mogę się mylić, bo nie jestem prawnikiem.

– Zapytam Elmhursta.

Prawnik Zoyda, który odziedziczył po ojcu nie tylko praktykę, ale i przywilej reprezentowania w sądach potępionych z północnego Zachodniego Wybrzeża, zajął się sprawą Wheelera bezpłatnie, obawiając się dalekowzrocznie, że ta cywilna broń RICO może stać się prokuratorskim orężem przyszłości, w związku z czym należy ją poznać. Ale dostanie się do Elmhursta nie było takie proste. Jak mawiał Ziom Gomez, jedno z najgorszych meksykańskich przekleństw brzmi: „Oby ci prawnikami padało”. Zoyd uważał „system prawny” za bagno, w którym człowiek musi się poruszać na bardzo wysokim zawieszaniu, żeby nie dać się wessać na zawsze w rojący się od węży smród. Elmhurst z radością przyznał mu rację. „Ale czy można się skarżyć? Czy hydraulik narzeka na gówna?” Wyglądał jak coś ukradzonego z działu zabawek, a ton jego głosu wskazywał raczej na sobotni poranek niż na „godziny największej oglądalności”. Zoyd zauważył pokrytą futrem dłoń wysuwającą się z tweedowej marynarki prawnika i opierającą o aktówkę ze zmierzwionej zimowej wołowej skóry, zaopatrzoną w paski i sprzączki, kupioną przed laty na przedpłaty od jakiegoś kaletnika w Berkeley. Nawet iskierka w oku maleńkiego i potencjalnie szalonego adwokata wydawała się futrzana.

– Wygląda pan na... eee... zaprawionego w bojach – zauważył Zoyd. – Często pan to robił?

– Prawa są całkiem nowe, ale kryjące się za nimi intencje są stare jak sama władza. Specjalizuję się w nadużyciach władzy, jestem w tym dobry, szybki i bardzo to lubię.

– Mój dentysta gada dokładnie tak samo. Będzie zabawnie. – Zoyd próbował się uśmiechnąć, powstrzymując się przed zmierzwieniem czupryny Elmhursta.

Ciężar przeprowadzenia postępowania dowodowego, tłumaczył Elmhurst, zostanie w tym przypadku odwrócony:

żeby odzyskać posiadłość, Zoyd musi udowodnić swoją niewinność.

– A co z domniemaniem niewinności?

– To było na innej planecie, zdaje się, że mówili na nią kiedyś „Ameryka”, dawno temu, przed wybebeszeniem czwartej poprawki. Stałeś się automatycznie winny w chwili, w której znaleźli tę rosnącą na twojej ziemi marihuanę.

– Zaczekaj pan! Ja nic nie hodowałem!

– Mówią inaczej. Zaprzysiężeni funkcjonariusze w mundurach, z bronią, broniący konstytucji. Myślisz, że tacy ludzie są zdolni do kłamstwa?

– Dobrze, że nic za to nie płacę. Jak mamy to wygrać?

– Musi nam się poszczęścić u odpowiedniego sędziego.

– Jak w Vegas.

Adwokat wzruszył ramionami.

– To dlatego, że życie jest jak Vegas.

– Ojezu – jęknął Zoyd. – Siedzę w gównie po uszy i słyszę, że „życie jest jak Vegas?”.

Elmhurstowi napłynęły łzy do oczu, zadrżały mu wargi.

– Chce... chcesz mi powiedzieć, że... życie nie jest jak Vegas?

Po powrocie do Cuke Zoyd miał czołówkę z Hectorem, który od razu go rozpoznał – to tyle, jeśli chodzi o przebranie – i oznajmił:

– Właśnie się spotkałem z twoją starą, człowieku! – z tak wielkim zapalem, że nie trafił do ust trzymanym w dłoni cygarem i niemal przypalił brodę stojącego obok drwala, co mogło oznaczać nagły zjazd z autostrady życia. – A-a według moich tańskich źródeł twój dzieciak powinien być już w Shade Creek.

– Tylko tego mi trzeba: teściowej! – rzucił Zoyd kłótliwie, nie przyswoiwszy jeszcze tego, co usłyszał.

– A skoro już o niej mowa...

Ku wielkiej radości Sida Liftoffa, który znał Saszę od czasów, kiedy pracował z Hubem, jako główny elektryk i wszyscy razem chadzali regularnie do Musso and Frank's, pani Gates zjechała cadillakiem wielkości winnebago, pomalowanym na jaskrawy

kolor lakieru do paznokci, na strzeżony parking Vineland Palace, wysiadła i wpadła do hotelowego lobby półtora kroku przed swym towarzyszem, Derekiem, znacznie od niej młodszym i bledszym, z fryzurą na jeża ufarbowaną niemal pod kolor cadillaca, angielskim akcentem i futerałem na gitarę, którego nigdy nie otwierał; zabrała go z pobocza, jadąc tu znad Wielkiego Kanionu, gdzie się rozstała z ostatnim amantem, Texem Wienerem, po dramatycznej wymianie wrzasków tuż nad krawędzią przepaści, po której, kierowana impulsem, postanowiła wziąć udział w tegorocznym zjeździe Traverse'ów-Beckerów w Vinelandzie i zostawiła Texa samego pośród odbijającego się wciąż echem pogłosu ich starcia, które sprowadziło niżej helikoptery z turystami chcącymi się przyjrzeć wszystkiemu z bliska, wyprowadziło z równowagi ospałe zazwyczaj muły na szlaku poniżej, każąc im wierzcąc nad brzegiem Wieczności, i ciągnęło się przez cały zachód słońca, przypominający spojrzenie z najbliższej odległości w przekrwione i zażółcone oko Boga, spozierające na nas bez entuzjazmu, a potem jeszcze na nocnej arenie parkingu tak niebezpiecznie pochyłego, że nawet przy zaciągniętym ręcznym hamulcu i zaklinowanych kołach istniało poważne niebezpieczeństwo, że fura skończy półtora kilometra niżej z mocno nadwerżoną wtórną wartością rynkową. Znów dała się nabrać na mundur – jasnosrebrzysty, szyty na zamówienie kombinezon z wyścigowymi pasami, płomieniem i naszywką na ramieniu z eleganckim napisem „Tex Wiener Ecole de Pilotage”.

A teraz, być może, ponownie da się nabrać Derekowi, maniakalnemu zwolennikowi trzeźwości, lubiącemu skóry, metal, nazoidalne insygnia i towarzyszące im zapatrywania, którego najdłuższa wypowiedź brzmiała: „Fiuuu... wszystko to bzdury, nie?”. Od perwersyjnego pociągu do Dereka Sasha aż drżała i przeciągała się nerwowo, i w zasadzie nie myślała o niczym innym, kiedy oboje weszli do Sali Wielkiej Stopy w Vineland Palace, gdzie stanęła twarzą w twarz, jak to często się zdarza gościom hotelowym, z Frenesi, własną córką.

Choć Ernie i Sid zrobili z wyprzedzeniem wszystko, co w ich mocy, aby złagodzić szok, chwila ta była jedną z tych, które nie mieszczą się na żadnej skali i po której ani jedna, ani druga nie wróciła już do dawnego świata. Sasha wyglądała młodziej niż kiedykolwiek, a Frenesi jaśniała jak tani piecyk opalany drewnem. Usiadły w łoży wyściełanej skajem pod ścianą pokrytą czerwonożłocistą tapetą i nie potrafiły oderwać od siebie oczu, jakby któraś z nich mogła zniknąć, a Derek, poczuwszy się dziwnie w obecności takiego wzmożenia, wycofał się do samotni męskiej toalety i nikt już więcej o nim nie słyszał.

– Piszczą? – przesłuchiwał Sida Hector. – Płakały, padły sobie w ramiona? No, powiedz coś, Sid.

Sid uśmiechnął się z filmową dobroduszością.

– Tańczyły.

– Taa... – potwierdził Ernie. – Jitterbuga.

– Pianista zna dużo starych swingowych kawałków. *Polka Dots and Moonbeams. In the Mood. Moonlight Serenade...*

– Ha! – Hector się skrzywił. – Szkoda, że nie możemy ich wykorzystać. Ale piski i wrzaski wychodzą lepiej na ekranie. Aktorki to uwielbiają.

– Masz rację, Hector – odpowiedzieli chórem Sid i Ernie.

Nad samym ranem Sashy przyśniła się Frenesi, która – być może pod wpływem zaklęcia czarnoksiężnika – mieszkała na grządce melonów jako melon: gładka żłocista elipsoida, na której dało się wypatrzeć niewyraźne oczy Frenesi. O wyznaczonej porze każdego miesiąca, przy pełni księżyca, oczy te – z mocy zaklęcia – mogły się otworzyć i ujrzeć księżyc, światło, świat... ale za każdym razem z jakiejś niewytłumaczalnej rozpaczy zerkały tylko w dół i w bok, gdzieś daleko, po czym znów się zamykały i nie można ich było ocalić, aż do następnego cyklu. Frenesi jako melon modliła się o to, żeby Sasha ją odnalazła we właściwym momencie – w tym, w którym otwiera oczy – i pocałowała ją, i stało się tak, że po długim wyczekiwaniu w wonnym świetle księżyca Sasha ucałowała córkę namiętnie i wyzwalająco: babcia na kolanach

na grządce melonów, całująca młodego bladego melona pod złocistym, bajecznie brzemienным księżycem.

Tymczasem Prairie latała jak oszalała. Najprostszym sposobem na spotkanie mamy byłoby pojawienie się na zjeździe Traverse'ów-Beckerów. Zwykle bycie tam.

– Ale nie wiem, czy jeszcze chcę – wyznała Prairie DL.

– Znam to uczucie – mruknęła DL.

Siedzieli wszyscy w Zero Inn, w loży, która była Responsorialnym Kącikiem DL i Takesziego na początku ich praktyki w Shade Creek. Od tamtej pory wiele się tu zmieniło, zajazd wyremontowano i zjeżdżały do niego z pewną regularnością zamiejskowe talenty, a tego wieczoru pojawił się zespół z East Bay, który nazywał się Holocaust Pixels i grał tu już po raz drugi, gdyż jego najnowszy utwór *Jak klops mielony* stał się sporym przebojem w okolicy. Basista pochylił się, jakby chciał wypróbować mikrofon, i zaśpiewał:

Jak klops mielony...

[Dołączył do niego akordeonista]

Jak klops mielony...

[A potem elektryczny skrzypek i razem stworzyli trzygłosową harmonię]

Jak klops mielony na drugie śniadanie.

Zawiśli nad mającą się właśnie przewrócić septymą, a publiczność wybuchła aplauzem, uderzając szklankami z piwem o blaty, po czym wokół podjął akordeonista.

*Jak mielony klops z pudła na śniadanie,
Jak goryle w grobie,
Utknęliśmy wśród Wietnamców
Ratować ich sobie...*

*Trochę się szarpali, a co,
Uch, jak te goryle w zoo,
Gdy cholerne śniadanie im robię.*

Oklaski i tupanie – ci Tanatoidzi hałasowali dziś głośniej niż kiedykolwiek przedtem w obecności DL i Takesziego. Czy w powietrzu wisiały jakieś zmiany, czy był to tylko efekt trwającego od dawna zepsucia prowincjonalnym światem za sprawą telewizji? Melodia miała swoje korzenie w Appalachach i była utrzymana w tradycji kantyku i responsorium, a rytm należało uznać za, no cóż, żywy.

*Na Marmurowej Górze my siedzieli
Nad Perfumową Rzeką czasem ich widzieli,
A czasem paru zwiąło,
Ale zawsze jak my ich widzieli, się nam zdało,
Że lepiej nie widzieć ich razy tyle
Jak to mielone w mogile
I goryle na drugie śniadanie.*

*Jak klops mielony,
Jak klops mielony,
Jak klops mielony na drugie śniadanie...*

*I za kutasów czubkami [aplauz] szli my
Dalej,
Szlakiem koło granicy
I ktoś ich sześćdziesięciu ośmiu naliczył
A ktoś jednego więcej [owacje]
Bo czasem było ich jakby kilka tysięcy
A czasem jakby ani jednego
No i tak tego...
A w trumnach klopsa było tyle
Na drugie śniadanie mielone goryle.*

Podszedł do nich Ortho Bob w towarzystwie Weeda Atmana, obaj rozświergotani po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Prairie była speszona, jakby miała przeproszać za mamę albo coś w tym rodzaju.

– O mało nie byłem tobą – poinformował ją Weed.

– Och, z pewnością...

Ale Weed opowiedział jej o bardo, stanie pośrednim po śmierci, podczas którego należy szybko znaleźć sobie nowe ciało i umiejscowienie w łonie nowej matki: szuka się wtedy mężczyzn i kobiet uprawiających akt prokreacji, myszkuje między właśnie zapłodnionymi jajeczkami, wnika się tam i z powrotem wraz z wieloma innymi posępnymi potrzebującymi duszami w jakąś przestrzeń przypominającą ponurą brązową od dymu dzielnicę sex-shopów i kin porno, wypatrując magicznej stop-klatki, przez którą wydziedziczona dusza może wrócić ponownie do świata.

– Popełniłem podstawowy błąd – wyznał Weed. – Miałem za dużo na głowie, niczego nie znalazłem, czas dobiegł końca, więc trafiłem tutaj w takiej postaci.

– Wiedziałeś o mnie?

– Pomyślałem, że w jakiś perwersyjny sposób wyrównuję rachunki, życie za życie, zbilansowanie ksiąg.

– Więc jeśli nie jestem tobą, to kim jestem?

– Człowiek często się nad tym zastanawia... – Takeshi pokiwał głową. – Prawda?

– Co zrobisz mojej mamie? – chciała wiedzieć Prairie.

Był przecież – nawet w tym przedziwnym, wieczorowym, niemal przerażającym stroju, który miał na sobie – nadal żywą komórką pamięci, niezgody na wybaczenie, żeglującą niczym świadomy wirus poprzez populację, żeby ją odnaleźć.

Ale Weed tylko wzruszył ramionami.

– W takim stanie? Niewiele mogę zrobić. Jako Tanatoid mogę tylko włóczyć się po okolicy i monitorować sytuację, próbując od czasu do czasu szturchnąć tego i owego, jeśli sytuacja nie rozwija się należycie, ale w gruncie rzeczy jestem bezradny, a co za tym idzie przygnębiony.

– Ale jeśli ja jestem ekspiacją? Czy twoje księgi nie zbilansują się wreszcie?

– To będzie zależało od tego, kim się staniesz i ile zgromadzisz punktów karmy.

– Trochę to skomplikowane.

- Już nie tak bardzo, odkąd Takeshi wszystko skomputeryzował. Ale i tak istnieje niebezpieczeństwo, że wszystko zamieni się w sprawę osobistą, twoją, w obsesję na punkcie tych, którzy cię skrzywdzili i wciąż unikają kary... Czasem tracę zmysły, o, tak, wychodzę nocą wściekły i groźny, odnajduję twoją mamę i daję jej popalić. Krzyczy, kłóci się z mężem. I co z tego? Wiem, że w ten sposób nie spłaca nawet odsetek długu, jaki ma wobec mnie. Więc ostatnio daję jej pożyczyć... dochodzę do wniosku, że może zapomnę, choć nigdy nie wybaczę. Śnię... bo Tanatoidzi miewają sny, choć nie zawsze wtedy, kiedy im się wydaje, że śnią... więc śnię, że podróżuję pociągiem, który jedzie bez względu na to, czy o nim śnię, czy nie, bo ciągle do niego wsiadam i wyruszam w podróż... Jestem świadomy, leżę na jakimś lodowatym posłaniu, zajmuje się mną dwoje ludzi, którzy na każdej stacji szukają koronera, żeby przeprowadził sekcję i ogłosił wreszcie światu nazwisko mordercy, nazwiska morderców... Nie rozpoznaję twarzy tych dwóch towarzyszy, choć przychodzą i siadają przy mnie od czasu do czasu. Zawsze jest zimno, zawsze jest noc, a jeśli dzień, to nic nie wiem, bo śpię. Toczę się po torach latami, każda jurysdykcja, do której się zbliżamy, wie o nas z wyprzedzeniem, na peronach czekają na nas mężczyźni w kapeluszach, z bronią, i machają, żebyśmy jechali dalej, gotowi przysiąc, że nigdy nas nie widzieli. W obliczu tego wszystkiego oddanie tych moich dwóch żałobników, towarzyszących mi rok po roku z miasta do miasta, jest niezwykle. Żywią się kawą z wagonu restauracyjnego, papierosami i kanapkami, grają często w wista i spierają się niczym teolodzy o motywy, które kazały Brockowi mnie ścigać, a potem, można by rzec, zamrozić. „To przez miłość”, mówi jeden z nich. „Gówna prawda – odpowiada drugi – to przez politykę”, „Zbuntowany gliniarz z własnymi bardzo osobistymi celami”, „Wypełniał tylko rozkazy opresyjnego reżimu, którego fundamentem jest śmierć”. I tak dalej, i tym podobne... Słyszę ich do późna w ciemnym stukocie godzin, tę moją ostatnią gwardię honorową, wierną do ostatniej stacji, ostatniego rozczarowania. No... To mi wygląda na DL

i Takesziego – mówi do Prairie. – Czasem myślę, że to moi rodzice... którzy wciąż, rozumiesz, są tutaj i mnie szukają, bo zawsze wierzyli w jakąś wyższą jak ją nazywali, sprawiedliwość. Mają już puste kieszenie, wieje przez nie wiatr, noce toczą się jedna za drugą, ale oboje są pewni jak własnego adresu w jakimś bezpiecznym, wolnym miejscu, że kiedyś to wszystko się wyprostuje.

– Czy w takim wypadku ktoś nie powinien zająć się tym Rexem, tym, który to zrobił?

– Rexem? Dlaczego? On był tylko przysłowiowym palcem spustowym, marionetką, tak jak Frenesi. Kiedyś wydawało mi się, że wspinam się stopień po stopniu ku rozwiązaniu: najpierw Rex, nad nim twoja mama, potem Brock Vond, a w końcu... Ale wtedy robi się ciemno i te drzwi, które widziałem na szczycie, gdzieś znikają, bo gaśnie za nimi światło.

Wyglądał na tak załamane, że odruchowo ujęła go za rękę. Skrzywił się, kiedy go dotknęła, a ją zaskoczył nie tyle chłód dłoni, ile jej lekkość – prawie nic nie ważyła...

– Czy miałabyś coś przeciw temu, gdybym... cię odwiedził od czasu do czasu, no wiesz, nocą?

– Będę na ciebie czekała.

Wkrótce stali się dobrze znaną parą w okolicach Shade Creek; kręcili się o przeróżnych porach w mieście bezsennych, włóczyli się zadymionymi zadaszonymi promenadami oświetlonymi migoczącymi jarzeniówkami, chodzili po krytych mostach ze sklepami i straganami, przechadzali się pod tarczami zegarów jaśniejącymi wysoko, mijali tańskie psy leniące się w sforach, niemachające już ogonami, lecz wskazujące nimi znacząco. Weed opychał się wiaderkami popcornu, a Prairie uczyła go sekretów pachinko i rzadko, jeśli w ogóle, rozmawiali o Frenesi, którą Prairie w końcu spotkała. Nie zdołała ostatecznie wymówić się od balangi Traverse'ów-Beckerów, a witając się z ludźmi, których nie widziała od roku, dała się porwać do trwającej nieustannie tradycyjnej gry w szalone ósemki, w której stawki były tak niskie jak małoduszna atmosfera wokół. Podejrzeni moralnie krewni

i przypadkowe megamendy ciągnęły z dołu talii, kradły z banku, podpowiadały sojusznikom, bekając lub pierdząc, i znaczyły karty – swoje i innych – smarkami. Do tej pory najwięcej ugrała Prairie i jej wuj Pinky, który wyglądał złowrogo w bezkształtnym garniturze sportowym z bistoru, który kiedyś, dawno temu, miał jaśniejszy groszkowy odcień. Kiedy Sasha wsadziła głowę do Airstreama, Pinky’emu skończyły się karo, którymi zagrała Prairie, zmuszając go do ciągnięcia. Podobnie jak on miała wątpliwości, gdzie się podziała Matka Zagłady, jak w towarzystwie oktomaniaków nazywano królową pik. Zdaniem wujka Pinky’ego, leżała w talii, ale Prairie wydawało się, że skitrał ją kuzyn Jade.

– Dołączku mój! – zawołała babka.

Prairie poprosiła ją grzecznie, żeby zaczekała, aż wyjaśni się sytuacja z Matką, ryzykując ósemkę i zmieniając kolor na pik – wówczas rzeczywiście pojawiła się Ona, wkurwiona i wkurwiająca jak zawsze, zmusiła wujka P. do ciągnięcia pięciu kart, w których, choć grał mężnie, było o jedną kartę za dużo.

Na dworze obok przyczepy i Sashy stała czterdziestoletnia mniej więcej kobieta – dziewczyna z filmu, operująca kamerami i światłem – tęższa, niż Prairie się spodziewała, pomarszczona tu i ówdzie od słońca, ze znacznie krótszymi włosami, które w oczach znawczynie prosiły się o piankę do układania, choć Prairie nie miała pojęcia, jak mogłaby podnieść ten temat.

Sasha – sama oszołomiona powrotem córki – postanowiła błaznować dla zmniejszenia napięcia.

– Oć, oć, oć tu do mię, dołączku, pokaż babci te ślicności, pokaż, babcia sprawdzi, ci nie ma kłaćków na ramionkach, no... ślicniutka moja, najślicniejsia... – Wyprawiała Prairie bezwzględnie na powrót do dzieciństwa, szczypiąc ją w oba policzki równocześnie, robiąc jej dziubek z ust i rozciągając je szeroko.

– Wysthaci, babhu!

– Moja śliczniutka wnusia! – W końcu litościwie puściła jej głowę. – Chcę, żebyś zaśpiewała dla mamusi piosenkę z *Gilligan’s Island* – poleciała.

– Babciu!

– Wtedy po raz pierwszy zainteresowała się Pudłem, pamiętasz, Frenesi? Maleństwo... miałaś może ze cztery miesiące i wyświetlali *Gilligan's Island*, tak jest, Prairie, robiłaś zeza, ale usiadłaś poważnie i gapiłaś się na cały odcinek...

– Przestań! Nie chcę tego słuchać!

– ...a potem, kiedy wyświetlali kolejne, uśmiechałaś się i gruchałaś i kołysałaś w przód i w tył, śliczniutka, jakbyś chciała wdrapać się do telewizora prosto na tę wyspę...

– Błagam... – Prairie szukała wzrokiem pomocy u Frenesi, ale jej matka była tak skonsternowana jak ona.

– Znałaś słowa tej piosenki, zanim skończyłaś trzy latka, wszystkie! I śpiewałaś je, sepleniąc, i machałaś rączkami... piorun... „bum!”, śpiewałaś... „I gdyby nie męstwo nieustraszonego majtka”, i przebierałaś w tę i we w tę tłuściutkami paluszkami, modulując głos, a jakże! Jak mała lalunia...

– Dobrze! Dobrze! – zawołała Prairie – Zaśpiewam! – Rozejrzała się. – Tylko czy muszę to robić publicznie? Tutaj?

– W porządku – mruknęła Frenesi. – Ona chce tylko pomóc...

– Chwyciła Sashę za ramiona i udała, że trzęsie nią, by przywrócić jej rozum.

– Przepraszam, babciu, chyba...

Prairie poszła za nimi do stojącej pod dębem lodówki z piwem i sodówką, usiadły przy niej i siedziały tam całymi godzinami, opowiadając sobie, przędąc i splatając nici pamięci, tkając ostrożnie od nowa, a wokół nich wirował strumień ciotek, wujów, kuzynów, kuzynek i dzieci kuzynów i kuzynek, a każdy i każda z nich mieli własną opowieść, dziwniejszą od poprzedniej, ulepszaną twórczo przez lata. Kręcili się tam i z powrotem, wymachując kolbami kukurydzy, oblewając sobie koszule wodą sodową, kołysząc się i tańcząc do muzyki Billy'ego Barfa and the Vomitones, a nad dołami, przy których stali rzędem mężczyźni Traverse'ów i Beckerów, unosił się zapach barbecue; mężczyzn było kilkunastu, każdy miał stosowną białą czapkę kucharską i stali za ociekającym

tłuszczem ogniem, zajmując się wielkimi połciami wołowiny zabitej karabinem szturmowym i pokawałkowanej na miejscu piłą łańcuchową podczas jakiegoś najazdu na strome pastwisko, leżące między Vinelandem a Montaną, przy nieoświetlonej księżycem gruntowej drodze. Stali wypicowani, poowijani fartuchami, gotowi gasić ogień. Obok tłoczyła się dzieciarnia z plastikowymi butelkami sikającymi marynatami i sosami, sikającymi w odpowiednim momencie, gdy obracano mięso, a magiczne polewy mogły do niego przywrzeć, spłynąć, skapnąć, dymić, unosić się i smażyć. Wkrótce przy długich sekwojowych ławach zasiedli pozostali Traverse'owie i Beckerowie, a na blatach wyrosły półmiski z sałatką ziemniaczaną, zapiekanką fasolową i pieczonym kurczakiem, a także spaghetti i grillowane tofu dostarczone przez młodsze elementy, i rozpoczęło się jedzenie ze smakiem, trwające aż do samej nocy. Wspólne spożywanie pokarmów było fundamentem uroczystości ku czci związku, który połączył Eulę Becker i Jessa Traverse'a, definiującym spoiwem nadającym wszystkiemu sens w oczach tych, którzy tu przybyli z okręgu Marin i Seattle, znad Coos Bay i z centrum Butte – ustawiaczy zapłonów i drwali, dynamitardów ryb, tkaczy gontów i ulicznych zaklinaczy, starych i złachanych, młodych i całkiem nowych. Wszyscy kierowali wzrok ku szczytowi stołu, gdzie zasiedli razem Eula i Jess, każdego roku mniejsi i bardziej przezroczyści, czekając na rokroczne czytanie nowiny z Emersona, którą Jess odnalazł i zapamiętał przed wielu laty, była bowiem cytowana w jego więziennym egzemplarzu *Doświadczeń religijnych* Williama Jamesa. Jess, wątki jak mgła nad Vinelandem, lecz obdarzony czystym donośnym głosem, przypominał im:

– Zapłaty tajemne zawsze wyrównują naruszoną równowagę sprawiedliwości bożej. Przechylić belkę wagi jest niemożliwością. Tyrani, właściciele i monopolisci świata całego na próżno wagę tę podpierają ramionami. Ciężka strzałka powraca zawsze do swego punktu, i człowiek i żdźbło, gwiazda i słońce muszą podporządkować się jej, by jej rozmach nie rozgniótł ich na

*proch*¹⁸. – Potrafił tak to powiedzieć, że chwycił wszystkich za serca, a Eula nie mogła oderwać od niego oczu. – A jeśli nie wierzycie Ralphowi Waldo Emersonowi – dodał Jess – zapytajcie Crockera „Buda” Scantlinga...

Ze Stowarzyszenia Pracodawców Przemysłu Drzewnego, który nakazał zwalić drzewo na Jessa i którego nieczysty żywot dobiegł nagle końca na drodze 101, niezbyt daleko od miejsca, w którym siedzieli, gdy wjechał nowiutkim, bo tygodniowym bmw w nadjeżdżającą z przeciwka lorę z tarcicą przy łącznej prędkości obu pojazdów wynoszącej ponad dwieście trzydzieści kilometrów na godzinę. Od tego czasu minęło już kilka dobrych lat, ale Jess nadal uważał to za zabawne.

Kiedy zrobiło się ciemno, Hub Gates, który przywiózł ze sobą łukowe lampy oraz starych wspólników, Ace’a i Dimitriego, zapalił parę reflektorów dla dzieciaków. Miał akurat wolne, bo następna robota czekała na niego dopiero za tydzień w Beaverton w Oregonie. Jego nieduży interes, Lux Unlimited, przynosił jakimś cudem takie zyski, że jadał każdego dnia, choć miejsca, w których sypiał, pozostawiały najczęściej wiele do życzenia. Ludzie w dalszym ciągu reagowali na tajemnicę potężnych świateł bijących w niebo w dużej odległości. Pokazał nowo odnalezionemu wnukowi, Justinowi, jak rozbujać węgle w elektrodach, żeby uzyskać najsilniejszym promień, i jak je przycinać i w ogóle, ale w końcu nadeszła Frenesi i Justin przypomniał sobie, że jest już niemal czas największej oglądalności.

– Hej, mała elektryczko.

– Cześć, tato.

Przyśnił się jej poprzedniej nocy, odjeżdżał, toczył się z klekotem po starej wiejskiej asfaltówce, pola i wzgórza zalewało metaliczne przefiltrowane przez chmury światło końca dnia, wiedział jak zawsze, ile godzin i minut zostało do nocy i ile kandel na metr kwadratowy pali się na niebie, ciągnął za sobą jak kurczęta rząd lamp, agregatów prądotwórczych i reflektorów, każde urządzenie sunęło na

niedużej przyczepce, jechali do następnej roboty, na kolejny jarmark albo kolejną wyprzedaż aut, nie marząc o niczym innym, jak tylko o cudownej przemianie śmiertelnie groźnych amperów w światło – w wielką rozgrzaną do białości i lodowatą jak sama śmierć plamę, powódź i pęd – dokądkolwiek dane mu będzie trafić, na jakiegokolwiek warunki przystać, żeby robić to dalej. Wołała go, ale nie odwrócił głowy, pełził przed siebie, ciągnąc za sobą ołowiany ciężar, odpowiadając, lecz odmawiając jej widoku swojej twarzy.

– Trzymaj się, mała elektryczko. Opiekuj się umarłymi albo oni zaopiekują się tobą.

Urażona, wściekła, krzyknęła za nim:

– Naprawdę? A może oni są zwyczajnie zbyt zajęci byciem umarłymi. – A choć nie mogła tego widzieć, poczuła, że na jego obliczu odmalowała się wówczas pustka, i wtedy się obudziła...

Justin odnalazł tatę i Zoyda na tyłach furgonetki, oglądali *Say, Jim*, półgodzinny serial komediowy oparty na *Star Trek*, w którym wszyscy aktorzy byli czarni z wyjątkiem oficera łączności, piegowatej, białej i rudej porucznik O'Hara. Kiedy Spock pojawiał się na mostku, wszyscy salutowali jak na Wulkanie i przybijali górne trójki. Kiedy odcinek dobiegał końca, pojawiła się Prairie, a Zoyd i Flash poszli rozejrzeć się za piwem. Usiadła z Justinem jak przyrodnia siostra z przyrodnim bratem, bo właśnie zaczynał się Film o Ósmej: Pee-wee Herman w *Historii Roberta Musila*. Był to głównie popis Pee-wee, który gadał z obcym akcentem albo siadał przed czystą kartką z jakimś przedziwnym markerem, więc uwaga dzieci raz po raz kierowała się ku sobie nawzajem.

– O dziewiątej jest Film o Dziewiątej – powiedział Justin, zerkając do programu. – *Cudowna katastrofa*, film telewizyjny o playoffach w NBA w sezonie osiemdziesiąt trzy–osiemdziesiąt cztery... Czy to nie było w zeszłym roku? Szybko nakręcili...

– Z roku na rok są coraz szybsi, z tego, co pamiętam – zauważyła Prairie.

– Hej, Prairie, nie popilnowałabyś mnie czasem?

Spojrzała na niego uważniej.

– Chyba nie jesteś już dzieckiem? Raczej umówiłabym się z tobą na randkę.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że trzeba się... łaskotać! – Prairie rzuciła się ku pachom i bokom Justina, on zaczął się wić, zanim go dotknęła.

Pod żółtymi żarówkami nad długą zniszczoną ławą Zoyd usiłował pomóc Flashowi otrząsnąć się z szoku po spotkaniu tyłu teściów w jednym miejscu, a od czasu do czasu obaj rozglądali się ze strachem, niczym nieuzbrojeni turyści na polanie w dżungli, gdyż poza tą konkretną plamą światła Traverse'owie i Beckerowie ćwiczili gamy, naprawiali silniki, debatowali, gadali z Pudłem i wzniecali tumany śmiechu niczym rytualne dymy niesione niedającą się ubłagać wichurą. Jakaś babcia z Traverse'ów przestrzegała gdzieś niedaleko działki przed październikowymi jeżynami na tym wybrzeżu.

– To maliny diabła! Każdy, kto zje taką malinę, należy do niego, a on nie lubi złodziei jeżyn. I da wam popalić! – Nawet sceptyczne nastolatki słuchały jej jak zaklęte. – Jak zobaczycie te nieszczęsne duszyczki gdzieś na poboczu, w głębi leśnych duktów, pomiędzy zrujnowanymi zabudowaniami starych farm, tam gdzie jeżyny najgęściejsze, jeśli zobaczycie, jak je zbierają w październikowej mżawce pochmurnego dnia, to jedźcie dalej i nie oglądajcie się za siebie, bo wiecie już teraz, skąd się wzięły i dla kogo się trują i dokąd pójdą po fajrancie.

Inni starsi ludzie kłócili się o kwestie zasadnicze: czy Stany Zjednoczone nadal spowija przedfaszystowski zmrok, czy może ciemności ogarnęły już tę ziemię dawno temu, a jedyne światło, które da się zobaczyć, pochodzi z milionów Pudeł pokazujących te same jaskrawe cienie. Do debaty włączały się jeden po drugim kolejne głosy, rzucono nazwiskami – niektóre wykrzykiwano, innym towarzyszyło plucie – starymi nazwiskami sprawdzonymi w sporach, podczas zaburzeń jelitowych oraz bezsenności: Hitlera, Roosevelta, Kennedy'ego, Nixona, Hoovera, mafii, CIA, Reagana, Kissingera, całą kolekcją nazwisk i ich tragicznych powiązań, które nie tworzyły konstelacji na niebie w ogólnonarodowym oddaleniu od

światła, ale spadały na ziemię utyłane co do jednego niedającymi się znieść amerykańskimi sekretami, wdeptywano je coraz głębiej i głębiej w błoto przypadkowymi twardymi podeszwami, aż stawały się fermentującym czarno liściem na podściółce lasu, gdzie nikt nie chciał ich obrócić ze względu na to, co żyło, wiło się jadownicie i tylko czyhało tuż pod nimi.

– Rozpolitykowana rodzina – zauważył Zoyd. – To pewne.

Flash, pilnując się, żeby niczego nie dać po sobie poznać wyrazem twarzy, kiwnął głową i zaryzykował:

– No... zupełnie jak ona, nie?

Uczyli się dopiero, jak rozmawiać ze sobą o Sashy, Brocku Vondzie czy nawet Hectorze, ale żaden nie miał pojęcia, jak powinni ze sobą gawędzić, nie mówiąc już o chlapaniu czegokolwiek na temat Frenesi. Nie pomagało również to, że Zoyd widział we Flashu czarującego psychopatę udającego, że jest normalny, lecz zdradzającego się niuansami – długością i dyslokacją bokobrodów na głowie w kształcie młota, zapadłym latynoskim akcentem prosto z pierdła czy tatuażem na ramieniu przedstawiającym skrzyżowane M16 i AK-47 z mottem „Towarzysze Śmierci”. Oprócz tego Flash brzmiał jak facet, któremu odpierdoliło na punkcie Frenesi, i to tak potężnie, że mógłby prowadzić długie piwne seminaria na jej temat, a wspomniawszy o niej, pewnie nie mógłby przestać... Przez dziwną krótką chwilę wyglądało to tak, jakby zamienili się życiami, i to Flash stracił ją dawno temu i nie mógł o niej zapomnieć, a Zoyd męczył się u jej boku przez dekadę i dłużej. Obaj chcieli ponarzekać, ale raczej nie na nią. Zoyd, widząc desperację i potrzebę kryjącą się za gałami rozmówcy, domyślił się, że zostanie pocieszycielem, bo lata jej nieobecności uodporniły go i chroniły przed Frenesi, a ten nieszczęsny sukinsyn siedzi w tym bezradny po same uszy.

– Byłem tylko przygrywką – przypomniał Flashowi. – Nie myśl sobie, że się dobrze poznaliśmy czy coś w tym rodzaju.

– Więc nie unikasz jej z mojego powodu, nie? – Flash wszedł w te smęty jak w masło.

– No... słuchaj... w gruncie rzeczy...

Ale zjawił się Isaiah Dwa Cztery z najnowszymi wieściami o karabinach szturmowych. Dea trafił nieodwołalnie szlag, co może i dobrze, biorąc pod uwagę nastroje, jakie zapanowały wśród harleyitek od czasu ich pojawienia się w zeszłym tygodniu w talk-show Donahue. Nagle, wraz z podpisywaniem kolejnych umów na filmy, miniseriale, podkoszulki, plastikowe figurki, pojemniki na drugie śniadanie i tym podobne, siostry co do jednej urosły tak bardzo, że przestały mieć czas na cokolwiek innego, a najmniej na takie drobiazgi jak pomaganie Zoydowi w odzyskaniu domu.

– Problem z waszym pokoleniem – zaopiniował Isaiah – ale nie bierzcie tego do siebie, polega na tym, że wierzyliście w Rewolucję i byliście nawet gotowi złożyć życie w ofierze, ale nie rozumieliście Pudła. Jak tylko zajęło się wami Pudło, przepadliście z kretesem, a cała alternatywna Ameryka stała się *el martve miencho*, sprzedaliście wszystko, tak jak Indianie, prawdziwym wrogom, i nawet po kursie z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego nie wzięliście drogo...

– Mam nadzieję, że nie masz racji – Zoyd westchnął – bo plan B był taki, że pokazujemy mój przypadek w *60 Minutes* albo czymś takim...

– Jak tylko dowiedzą się o Holytail – mruknął Isaiah – zostaniesz szefem narkotykowego kartelu i masz w sądzie przejebane.

– Gada jak mój adwokat. – Elmhurst nalegał, żeby Zoyd podczas nalotów KAMP-u na zbiory w tym sezonie trzymał się z daleka od Holytail.

Każdego dnia nad zielonymi wzgórzami Vinelandu unosiły się nowe kolumny wonnego dymu i smużyły niebo, a w każdym *Wiadomościach o Szóstej* szeryf Willis Chunko wrzynał się radośnie na oślep w kolejną połąć dojrzałych roślin za pomocą osławionej piły łańcuchowej ze złotą rączką, przysięgając widzom, że wypleni raz na zawsze straszliwe zielsko z żyznej gleby Vinelandu, a Skip Tromblay ze swoją ekipą wił się i gruchał do mikrofonu. Nie była to pora, w której Zoyd mógłby pojawić się w Holytail, a już na pewno nie przy zwożeniu

plastikowych toreb na liście wypełnionych świeżo zebranych żeńskimi pąkami lub całymi ściętymi pośpiesznie roślinami, czy przy zabawie w chowanego z zastępcami szeryfa poruszającymi się wytrzymałymi krążownikami dodge napędzanymi potężnymi silnikami Mopara, nakręconymi, gotowymi się ścigać, grzmiącymi na błotnistych i kamienistych ścieżkach drwali i na drewnianych wiszących mostach między Holytail a autostradą; ale i tak robił to od kilku tygodni, starając się, jak wszyscy, ocalić tyle ze zbiorów, ile tylko się dało, przed ogniskami Willisa, ścigając się z czasem, zgadzając się bez słów wraz z innymi: pierdolić czas, pierdolić wszystko i grać do samego końca.

Podczas zwożenia, pędząc po zachodzie księżyca z wygaszonymi światłami pośród zapachu sekwoi, wypatrując różnych odcieni czerni przed zakrętami, zastanawiając się, jaki wrzucić bieg na zupełnie niewidocznych podjazdach, tłukąc się w klasycznym dodge’u power wagon z czyjejs kolekcji zrujnowanych ośmiokołowców, Zoyd słuchał najczęściej kasety z największymi przebojami the Eagles, a szczególnie *Take It to the Limit*, piosenki o jego życiu aż do teraz, którą śpiewał smętnie z zespołem, przerywając od czasu do czasu, kiedy pojawiały się niespodziewanie czyjeś przednie światła – okay, Zoyd, gotowość obronna! – a widząc je, marzył niemal o czołowce z Brockiem, choć wiedział już przecieź dobrze, że to nigdy nie wydarzy się oko w oko, jeśli dalej będzie chciał odzyskać swój mały kawałek Vinelandu, że wydarzy się tutaj, gdzieś na peryferiach, w ruchu, na jednej z tych dróg, które oddalały go od domu i musiały prowadzić prosto do...

Co drugiej nocy śnił mu się płonący dom. I za każdym razem pojmował coraz lepiej, że ten dom prosił go po dwunastu latach budowy od podstaw, żeby go podpalił, bo to jedyny sposób na wyzwolenie się z niewoli. Kiedy go odwiedzał, przekradając się między pniami drzew, drżąc na myśl o psach, które go wyczuły, padając na ziemię i czołgając się niespokojnie w poszyciu, wyobrażał sobie, że przenika bezgłośnie do środka, gdzie nie było już ani śladu po nim i Prairie, gdzie zostały tylko puste,

wymiecione ze wszystkiego pokoje i federalna albo wynajęta zmiana po zmianie ochrona oraz psy, które drapały w parapety przed świtem.

– Wiesz co, najprościej byłoby znaleźć tego skurwysyna i wyłączyć mu ten serial – zaproponował Flash. – Myślałeś kiedyś o tym?

Ciekawa propozycja. Właśnie ją mieli omówić, ale weszła Prairie, wepchnęła Justina do śpiwora i zabrawszy swój, zmierzała do lasu, żeby побыć trochę sama.

– Jestem totalnie przejeżdżona rodziną – powiedziała Zoydowi. – Nie bierz tego do siebie, rzecz jasna. – Przyjrzała się ojcu uważnie, a spędziwszy wiele godzin z twarzą Frenesi, potrafiła już bez problemu odnaleźć za rosnącą kwakwawersalnie brodą i brudnymi szklami okularów własne, niezbyt jeszcze lubiane oblicze. Nadejdzie taki dzień, że go zapyta: „Czy nigdy się nie bałeś, że nie jesteś moim ojcem? Że jestem córką Weeda albo Brocka?”. Przytuli się do niego mocno.

„Nie! Bardziej się bałem, że to ja mógłbym należeć do Brocka”.

Teraz zdobył się tylko na:

– Co u mamy?

– Chyba działałam jej na nerwy – odpowiedziała Prairie. – Chce się na kogoś wściec, ale nie sprawię jej tej przyjemności.

– Denerwuje cię?

– Och... czuję się przy niej jak przy jakiejś celebrytce. Ale nic mi nie jest, chyba. I teraz już wiem, dlaczego się z nią ożeniliście, chłopaki.

– Dlaczego? – zapytali szybko razem. Zoyd i Flash.

– Jesteście dorośli, powinniście wiedzieć.

– Jakaś podpowiedź? – poprosił Zoyd.

Ale Prairie już wyszła, ruszyła między drzewa i znalazła kawałek lasu, którego nie знаła, małą polanę w zagajniku sitkajskich świerków i olch, gdzie rozłożyła śpiwór i rozkoszując się samotnością, musiała usnąć. Obudził ją hałas wirnika helikoptera tuż nad głową. Wpatrywała się w maszynę, z której wyskoczył na kabestanie w uprząży sam Brock Vond.

Wyglądał zupełnie jak na filmie. Brock, którego współpracownicy nazywali „Śmiercią z Niższych Przystworzy”, od mniej więcej tygodnia patrolował niebo w ciasnej formacji trzech czarnych jak śmierć hueyach bez uzbrojenia, latając w górę i w dół Vinelandu tuż nad ziemią, wyskakując niespodziewanie znad spokojnego grzbietu lub zwizgując się z wysokości na drogę wprost na niewinnego kierowcę i podążając za nim w odległości mniejszej niż metr od rury wydechowej. Brock w kamizelce kuloodpornej i wojskowych butach z Wietnamu pozował w luku strzelniczym z miotaczem płomieni na biodrze, a pod jego stopami uciekały w popłochu strome, gęste od sekwoi wzgórze, posępne choiny poprzerastane jasnymi flarami jesiennych płomieni liści, a łopaty wirnika rozrywały wysokie postrzępione kolumny unoszącej się nad dolinami mgły.

Jednak tym razem Brock był połączony zdalnym sterowaniem z silnikiem wciągarki hueya i mógł opuścić się o centymetry od przerażonej dziewczyny, która spojrzała w niewyraźne oblicze podświetlone od tyłu reflektorami z helikoptera. Pierwotny plan, który wielokrotnie przedstawiał pokrótce Roscoemu – który, mówiąc szczerze, zaczynał pękać, jak opona po bieżnikowaniu u Marka C. Bloome’a – zakładał namierzenie celu, lot, zjazd na kabestanie, przechwycenie celu i wciągnięcie go na pokład macierzystego statku.

– Kluczem jest wniebowzięcie. Świat nie usłyszy już o niej więcej.

Roscoe w swoim czasie robił kurewsko gorsze rzeczy od porywania dzieci. Wyobrażał sobie siebie w jakiejś przerośniętej zezwierzęconej postaci, szurającego nogami i garbiącego się nad bladym i bardziej ludzkim Brockiem Vondem. „Obiecałeś mi jej cycki, panie!”

„Jędrne młode cycki, Roscoe. Soczyste jak jabłuszka”.

Leżała sparaliżowana w dziecięcym śpiworze z kaczkami na poszewce i przekonała się, że mimo ciemności jego skóra jaśnieje niezwykłą bielą. Przez chwilę wydawało się, że

hipnotyzuje ją wzrokiem jak wąż. Ale wyrwała się z odrętwienia i wrzasnęła mu prosto w twarz:

– Wypierdalaj stąd!

– Witaj, Prairie. Wiesz, kim jestem, prawda?

Udała, że szuka czegoś w śpiworze.

– Mam finkę. Jeśli stąd nie...

– Ależ Prairie, jestem twoim ojcem. Żaden Wheeler... tylko ja. Twój Prawdziwy Tatuś.

Nie zaskoczył jej, zastanawiała się nad tym wcześniej, lecz mimo to przez jakieś pół sekundy czuła pustkę, nim przypomniała sobie, kim naprawdę jest.

– Nie może pan być moim ojcem, panie Vond – zaprotestowała. – Mam grupę krwi „A”. A pańska to Preparat H.

Zanim Brock rozwikłał tę wieloaspektową obelgę¹⁹, poczuł mieszane sygnały dobiegające po łączącym go z helikopterem kabestanie. Nagle jakiś biały mężczyzna gdzieś daleko musiał obudzić się ze snu i pohulanka skończyła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rozkaz nadszedł drogą radiową z polowej kwatery głównej na lotnisku w Vinelandzie. Reagan oficjalnie zakończył „manewry” pod kryptonimem REX 84 oraz to, co było w nich przemilczane, nieudokumentowane, czego zawsze można się było wyprzeć. Ciężarówki miały wrócić do baz, mobilne zespoły prokuratorskie miały się rozwiązać, a wszyscy oddelegowani do sił specjalnych wrócić pod zwykłą komendę, co dotyczyło również Brocka, któremu cofnięto autoryzację i którego właśnie wciągano z powrotem, mimo gromkich protestów, na pokład helikoptera przy wtórze hałaśliwego zgrzytu łożysk i klocków hamulcowych, którym Brock wydawał sprzeczne polecenia za pomocą zdalnego sterowania, uchylane przez sterującego całą maszyną Roscoego.

Kłócili się o to przez cały lot powrotny, Roscoe, jak doradca zawodowy, podkreślał zalety posłuszeństwa i cierpliwości, a Brock darł mordę:

– Ty chuju! Są wszyscy razem! Jedno chirurgiczne cięcie! Nie można im pozwolić uciec...

Wyglądało na to, że opanował się po wylądowaniu, ale został przy helikopterze i nagle wyciągnął służbową broń, wskoczył na fotel pilota i włączył silniki.

– Okay, jak sobie chcesz, Brock! – wrzeszczał Roscoe, kiedy Huey zaczął się unosić i Vond już nie mógł go słyszeć. – Ale gwarantuję ci, że Ed Meese nie będzie zachwycony!

Tyle że w tym momencie Brock podążał już za penisem – bo za czym innym? – prosto w wieczorne chmury nad Vinelandem.

Tymczasem drzewa wokół Prairie, wysokie masywne świerki i smuklejsze zgrabniejsze olchy, zafalowały łagodnie na wietrze – pamiętała ten widok z okna swojej sypialni właśnie w takim świerkowo-olchowym zestawie. Nagle na polanie pojawił się jakiś młody człowiek – tak jasnowłosy i tak, według standardów obowiązujących w jej pokoleniu, seksowny, że zaczęła podejrzewać w tym udział UFO. Usłyszał odgłos wirnika i jej krzyki i przyniósł ze sobą trzymaną za gryf gitarę pokrytą napisami w cyrylicy; trzymał ją tak, jakby chciał z niej strzelać. Miał na imię Aleksiej i był na przepustce z rosyjskiego traulera, który zawinął do Vinelandu na awaryjną naprawę generatora.

– Dałeś nogę? – zapytała Prairie.

Roześmiał się.

– Szukam amerykańskiego rock and rolla. Znasz Billy’ego Barfa and the Vomitones? – Czy zna? – Bardzo popularni w Związku Radzieckim. Znasz *Taśmy z Garażu* z osiemdziesiątego trzeciego?

– Jasne! Wsadzili je do wielkiego słoika po maśle orzechowym, zamknęli, zalakowali i wrzucili do morza z Old Thumb, gdzie jest silny prąd. Chcesz mi powiedzieć...

– We Władywostoku bez przerwy grają ich w radiu. Nauczyłem się solówek Billy’ego, Meathooka też. *Bolszoy metalista!* Możesz mnie do nich zaprowadzić? Chciałbym z nimi pograć.

Film o Dziewiątej był czymś więcej niż zwykłym koszykarskim eposem, był opowieścią o transcendentnym

męstwie rycerskich, lecz skazanych na przegraną L.A. Lakers, walczących w piekielnie niehumanitarnych warunkach Boston Garden przeciwko pozbawionemu skrupułów wrogowi, wrogim sędziom oraz kibicom, których zachowanie przynosiłoby wstyd ich matkom, gdyby nie to, że matki te siedziały obok nich, wykrzykując epitety, rujnując rzuty wolne Lakersów i w chwilach wielkiego napięcia oblewając piwem pociechy. Mówiąc szczerze, producenci obrazu starali się, żeby Celtics nie wypadli źle. Oprócz Sidneya Poitiera w roli K.C. Jonesa w filmie wystąpił również Paul McCartney – po raz pierwszy nie grał Beatlesa – jako Kevin McHale, oraz Sean Penn jako Larry Bird. Po stronie Lakersów grali: Lou Gossett Junior jako Kareem Abdul-Jabbar, Michael Douglas jako Pat Riley i Jack Nicholson jako on sam. Cholera i Ziom, którzy oglądali film w warsztacie w Vinelandzie – a obaj byli zagorzałymi kibicami Lakersów – musieli znaleźć sobie inny temat do kłótni.

– Sam powiedz, cholera – rzucił agresywnie Cholera. – Jack ma dziś zajebiste okulary!

Ziom parsknął.

– To okulary do tłumików, ziom, popatrz se, nawet nie zasłaniają mu gał!

– A ty, co masz dzisiaj na nosie, cholera? Po co je nosisz, stawiasz się Contrás? Hej! – Obaj aż podskoczyli na widok idealnego wsadu Lou Gossetta.

Był to leniwy wieczór, nikt nie dzwonił przez cały film, po którego wstrząsającym końcu Ziom i Cholera zużyli we dwóch całe pudełko męskich kleenexów. Jednak koło północy telefon się rozdzwonił. Odebrał Ziom, a kiedy odkładał słuchawkę, mrugał i kręcił głową.

– Wiesz, kto dzwonił, co nie?

– Nie mów, bo to znów złamie mi serce.

– Brock Vond, człowieku. Osobiście. Jego huey leży na wzgórzu, a fura w strumieniu.

– Czas się wziąć do roboty, cholera.

– W drogę, ziom.

Brock nie potrafił wyjaśnić przez telefon, w jaki sposób lot helikopterem zakończył w samochodzie. Nie odnotował żadnej przesiadki. Ale był to bardzo niezwykły samochód, niemal bez sprężania, przez co nie mógł podjechać pod żadne wzniesienie, aż w końcu zwolnił i stanął, i nie chciał zapalić. Przy drodze stał telefon i świecący znak z napisem ZRÓB TO, więc podniósł słuchawkę, a po drugiej stronie odezwał się Ziom. Brock był jakiś zubożniały, nie mógł się skupić ani – co dziwne – przypomnieć sobie, co działo się przed tym, jak zasiadł za kierownicą psującego się nieznanego auta, którego akumulator w końcu padł, a światła gasły powoli w ciemności.

Wreszcie zobaczył w oddali dwa reflektory, niczym światła sygnalizacyjne okrętu na morzu... wokół nie było już nic... ledwo widział drogę. F350 El Mil Amores podjechał hałaśliwie bliżej i zatrzymał się obok Brocka.

– Wskakuj, cholera.

– A co z samochodem?

– Jakim samochodem?

Brock rozejrzał się i rzeczywiście nie zauważył nigdzie żadnego samochodu. Usiadł obok Cholery i ruszyli niemal zupełnie niewidoczną drogą. Wkrótce skończył się asfalt i wjechali na drogę gruntową, na którą z obu stron wpychały się drzewa. Podczas jazdy Ziom opowiadał starą legendę Yuroków o człowieku z Turip, jakieś osiem kilometrów w górę Klamath od morza, który stracił młodą ukochaną i wyruszył za nią do krainy śmierci. Kiedy trafił na Illa'a – tego, który przewoził martwych przez ostatnią rzekę – wyciągnął jego łódź na brzeg i zgruchotał dno kamieniem. I przez dziesięć lat nikt nie umarł na świecie, bo nie było czym przewieźć zmarłych przez rzekę.

– Odzyskał ją? – chciał wiedzieć Brock.

Nie. Ale wrócił do swoich w Turip i stał się sławny, bo wszyscy myśleli, że umarł, i opowiadał tę historię wiele razy. A opowiadając ją, zawsze przestrzegał przed Szlakiem Duchów prowadzącym do Tsorek, krainy śmierci. Szlakiem tym szło tylu ludzi, że wydeptana ziemia sięgała im po pierś. A jak się wpadło pod ziemię, nie było już powrotu. Brock wyjrzał przez okno

i zdał sobie sprawę, że po obu stronach wąskiego duktu wznoszą się wały ziemi, poprzerastane wysoko korzeniami drzew. Błoto, kiedyś mokre, teraz pociemniało i tylko czuło się jego zapach. Wkrótce usłyszeli przed sobą szum rzeki, niosący się echem, grzmiący, nieustanny, a za nim bębnienie i głosy, które nie tyle śpiewały, ile wspominały, spekulowały, kłóciły się, opowiadały, rzucały klątwy, mruzczały pieśni, słowem, robiły wszystko to, co robi się głosem, ale bez ustanku, bez najkrótszej choćby przerwy na oddech czy ciszę. Wszystkie głosy razem, na zawsze.

Za rzeką zobaczył światła, rząd za rzędem – wspinającą się krzywo gęstą zabudowę piętrzącą się warstwa po warstwie. Ujrzał ludzi tańczących przy ogniskach i w świetle pochodni. Podeszli do niego staruszka ze starcem. Starzec niósł coś w rękach, ale nie widział co. A potem dostrzegł w półmroku wokół siebie kości, ludzkie kości, czaszki i szkielety.

– Co to jest? – zapytał. – Powiedzcie, proszę.

– Wypatroszą cię z kości – wytłumaczył mu Ziom. – Kości muszą zostać po tej stronie. Reszta idzie na drugi brzeg. Będiesz wyglądał zupełnie inaczej i śmiesznie się poruszał przez jakiś czas, ale, jak mówią, przywykniesz. Daj tym nieborakom z Trzeciego Świata szansę. Są bardzo zabawni.

– Żegnaj, Brock – powiedział Cholera.

Wiadomość o tym natychmiast rozeszła się wśród Tanatoidów, a Takeszi i DL zostali wezwani o północy z nalotu na miejscową fermę jaj, skąd Takeszi chciał ukraść worek karmy dla kurcząt ze względu na wysoką zawartość amfetaminy w produkcie. W tym tygodniu brał nieco więcej niż zazwyczaj i znów wyczerpał zapas... nagle rozdzwonił się pager, a dwa tysiące kurczaków rozdarło dzioby i zaniósło się gdakaniem, do czego dołączyły syreny alarmowe, więc oboje z DL musieli dać nogę. Wrócili do Zero Inn, gdzie impreza trwała w najlepsze, wszyscy się czymś chełpili, Weed pił daiquiri z mango i przymierzał różne kapelusze, a Ortho Bob dołączył do zespołu i śpiewał, choć tej nocy nie grano nic wolniejszego od *Your Cheatin' Heart*.

Takeszi i DL, bez amfy, obeszli parkiet.

– Dziewczyna... brakuje ci jej, dam sobie uciąć!

– Czytasz mi w myślach, T'kesz.

– Dlaczego... nie pojedziesz tam i nie odwiedzisz jej? To tylko dziesięć minut drogi stąd.

– Taa... raczej piętnaście lat.

– Nie ma już Brocka, *ne*? Dobra okazja!

Czy naprawdę minęło, jak się zaczęła obawiać, aż tyle lat tego, co Budda nazywa „namiętnością, wrogością, szaleństwem”? Przypuśćmy, że przez cały ten czas przyszłoby jej zajmować się czymś zupełnie innym. Dwa czy trzy lata temu, poruszając się w trybie trans-am skomplikowanym tańskim szlakiem od jednego naftowego rachunku bankowego do drugiego, postanowili, kierowani impulsem, zrobić pętlę we wschodnim Teksasie i wpaść do Houston, żeby odwiedzić jej matkę, Norleen, która przy pierwszej okazji wzięła DL na bok i udając, że ładuje zmywarke, zachwycała się Takeszim – jego wyglądem, urokiem i wyrafinowaniem.

– To prestiżowa praca, o jakiej zawsze marzyłaś – powiedziała bez cienia ironii, co tak zaskoczyło DL, że załapała ją nieduża fala czułości.

– Ależ mamó – rzuciła łagodnie – jest duża szansa, że ma nie po kolei w głowie. Wiem, że ścigają go różni ludzie, a o innych wcale mi nie mówi. Od lat prowadzę z nim życie... nawet nie wiem, jak to się nazywa... międzynarodowego przestępcy?

– Bóg zsyła na nas dopusty, abyśmy je przemogli, Darryl Louise, to się nazywa zwykle życie. Cóż, każdy, kto ma oczy do patrzenia, widzi, że bardzo cię potrzebuje, że cię uwielbia i... wielkie nieba... wygląda jak japoński Robert Redford! To ty masz raczej nie po kolei w głowie!

DL nie potrafiła się zmusić – ani wtedy, ani później – żeby opowiedzieć matce, która bez przerwy o to pytała, jak się poznali. Nie powiedziała jej o japońskim burdelu i Wibrującej Pięści, o zmartwychwstaniu pod punkutronem ani o rokrocznych wizytach w Samotni Służebniczek Kunoichi, gdzie ich sprawdzano i przedłużano umowę partnerską – nic

z tych rzeczy. Wiedziała, że gdyby zaczęła o tym opowiadać, prędzej czy później wypłynęłaby sprawa wstrzemięźliwości seksualnej, piękne marzenia Norleen doznałyby uszczerbku, a DL znów naraziłaby się na matczyną wzdgarę. Więc po co o tym mówić? Tego samego roku okazało się jednak, że sporna klauzula ascezy została wreszcie anulowana i DL przekonała się wreszcie, czego tak bardzo jej brakowało przez te wszystkie lata.

– Juu-pii! – Tak to wyraziła.

– Czar orientalnej miłości. – Takeszi machnął leniwie okularami, których wcześniej nie zdjął.

Hm, niezupełnie, ale na tyle namiętnie, żeby ją zainteresować.

– Takeszi, nie wiedziałam, że ty to czujesz... nie wiedziałam, że ja to czuję. Co się dzieje?

Po anulowaniu klauzuli jechali przez parę dni po I-40, zanim do tego wrócili, a gdyby DL nie była tak wytrącona z równowagi, pewnie o nic by nie pytała. Wynajęli penthouse wysoko nad Amarillo w odwiecznym wietrze, słońce właśnie zmieniałło transparencję na nieziemsko żółtą i ultrafioletową, nad mrocznym bezkresem wysokiej równiny wirowały inne neonowe kolory, DL przyglądała się Takeszemu ze świeżo oczyszczoną uwagą, a jej niosące światło włosy odznaczały się na tle prostoty za oknem niczym fraktalna aureola trwających od zawsze komplikacji... W takiej chwili od mężczyzn wymaga się, aby okazywali troskę i umiar.

Ale Takeszi zachichotał.

– Szkoda, że cię nie było za pierwszym razem, Piegusku. Nie musiałyś pytać. – Bo za pierwszym razem w Tokio Takeszi wcale nie poczuł się urażony, że DL tak bardzo skoncentrowała się na zamordowaniu Brocka, że zupełnie ominęła ją część erotyczna. A według siostry Rochelle ta obsesja na punkcie Brocka, pojawiająca się prędzej czy później niczym policyjny krążownik na każdej z jej życiowych dróg, dręczyła ducha DL i podczas tego życia stanowiła główną przeszkodę uniemożliwiającą spełnienie karmicznego projektu.

– Czyli? – ośmieliła się zapytać DL.

– Och, zwykłej podróży z punktu A do punktu B. A jeśli ten nieprzyjemny facecik nigdy nie był celem, tylko środkiem transportu, albo nawet biletem, którego nie skasował konduktor? – Kolejny koan, który miał doprowadzić ją do szaleństwa; właśnie tego było jej trzeba!

Jeśli chodzi o Takesziego, przełożona nindzетка przydybała go na punkutronie, podłączonego do maszyny bez możliwości ucieczki, kiedy atramentowa drukarka poruszała się wzdłuż południków po jego gołej skórze, oznaczając różnymi kolorami wszystkie punkty spustowe, dodając numery referencyjne i chińskie ideogramy, które pokazywała wskaźnikiem z kości słoniowej starsza nindzетка, punkutechnik, omawiając je i komentując po kolei przed niewielką trzódką nastoletnich nowicjuszek ubranych w białe *gi* z opaskami uczennic na ramieniu, więc siostra Rochelle, jak zdarzało się nie raz i nie dwa w przeszłości, przywaliła mu alegorią, tym razem Piekła. „Kiedy dawno, dawno temu Ziemia była rajem, dwa wielkie imperia, Piekło i Niebo, zmagaly się o jej posiadanie. Piekło zwyciężyło, a Niebo wycofało się na stosowną odległość. Wkrótce obywatele Dolnego Królestwa zapisywali się gromadnie na grupowe wycieczki na Okupowaną Ziemię, a ich azbestowe autobusy i pojazdy rekreacyjne zakorkowały krajobraz. Turyści rozglądali się za sklepami z tanią siłą roboczą i robili sobie zdjęcia w błękitnozielonych okolicach, które nie wychodziły na żadnym filmie z tych dostępnych w Piekle. Z czasem atrakcje spowszedniały, a goście zdali sobie sprawę, że na Ziemi jest tak samo jak w domu – że są tu tak samo zapchane drogi, jedzenie jest tak samo niedobre, środowisko bywa tak samo skażone i tak dalej. Po co wyjeżdżać z chaty, jeśli trafia się do gorszej wersji tego, od czego się ucieka? Więc przemysł turystyczny podupadł, imperium odwoływało sukcesywnie władze okupacyjne, a potem nawet wojska, jakby obkurczając się do wewnątrz, bliżej chtonicznego ognia. Po jakimś czasie Bramy Piekieł zaczęły zarastać, rozmywać się i znikać za trującymi dębami i kłującymi

krzakami, zasypywały je ziemne lawiny, zasały powódzie, aż w końcu odnajdywały je gdzieś na pustkowiu, i to też przypadkiem, tylko osamotnione jednostki – dzieci albo wiejscy idioci, którzy bali się wejść głębiej niż do pierwszego zakrętu, tam, dokąd sięgało dzienne światło. Wreszcie wszystkie Bramy Piekieł zniknęły na zawsze z ludzkich oczu i przetrwały tylko w ludowych podaniach przekazywanych z pokolenia na pokolenie, smętnych wypominkach pytających, dlaczego odeszli goście i czy wrócą, klechdach tak przekrwionych i mrocznych, jak eteryczne i świetliste są opowieści o UFO. I zawsze wstydlivych, przepełnionych poczuciem winy, a nie uniesieniem jak historie o UFO: winy, że nie byliśmy dla nich zbyt dobrzy – dla tych, co mieszkają w Piekle. Więc z czasem Piekło stało się spichlerzem grzechu i skruchy za grzech i zapomnieliśmy, że pierwotną obietnicą Piekieł nie była kara, ale zjednoczenie z prawdziwą dawno zapomnianą metropolią Nieodkupionej Ziemi”.

Tak brzmiała ta opowieść, która była niemal wszystkim, z czym wyprawiała ich w drogę pod koniec pobytu – klauzula o roku bez seksu nie została cofnięta po roku, a kiedy za ich plecami czarne choiny unosiły się ku chmurom i znikwały w nich, nie czuli, że się staczają, ale też nie traktowali tego jako błogosławieństwa, choć można się było domyślać, że przełożona nindzetka interesuje się – przynajmniej naukowo – tym, czy Amorek, ten podstępny onanista, podda się i ustąpi przed nieubłaganymi siłami popychającymi ku sobie partnerów niczym wichry czasu, ścigającymi ich obojętnie, przeważnie dościgającymi, jak ci pozbawieni twarzy drapieżcy, którzy wsiedli niegdyś na pokład samolotu Takeszkiego wysoko na niebie, czy ci, którzy rozdeptali laboratorium Chipco, czy wreszcie ci, którzy – mimo wszystkich znanych zasobów Karmicznego Wyrównywania – zwyczajnie nie ustępowali, trwali z kamienną powagą poza przyczyną i skutkiem, odrzucając wszelkie próby negocjacji i pojednania, podążając poprzez kałuże nocy, w których nikt inny oprócz haniebnie opętanych nie porusza zapomnianych przez wszystkich

krzywd, odmawiając uporczywie jak jeden mąż okupu z wyjątkiem najwyższego, którego wysokości nikt nigdy nie poznał. Ale tamtej nocy, kiedy Brock Vond przepłynął rzekę, nocy bez białych kryształków czy choćby drobiowej amfy, zagraniczny iluzjonista i jego jasnopomidorowa asystentka wykradli parę niewinnych godzin surowym wymogom Sztuki, jej nocnym i porannym udawanym sprzeciwom, udawanej powadze i śmierci i znaleźli się – spowolnieni – w paranoicznym tanecznym uścisku w samym jazgotliwym środku imprezującego w zajeździe tłumu, choć żaden Tanatoid nie zwracał na nich uwagi, bo tylu ich tu przylazło i tyle się działo. Nadjechał wóz transmisyjny Radia Tanatoid z ekipą, która transmitowała przebieg wydarzeń do innych enklaw Tanatoidów, tu i tam w świecie żywych. „Bezpośrednio, choć niekoniecznie na żywo”, jak ujął to spiker. W tumanie dieslowskich spalin nadjechał autobus wycieczkowy, który, być może, zagubił drogę po nocy i na jałowym biegu czekał na pasażerów, z których wielu odkryło, że są Tanatoidami, choć o tym nie wiedzieli, w związku z czym postanowili nie wracać. Rozdawano darmowe przekąski – minienchilady czy krewetki teriyaki – oraz wódkę po cenach happy hour. Zespół Holocaust Pixels odnalazł rytm, a raczej atrakcję wieczoru na całą noc i dłużej – nawet gdyby nie pojawili się później Billy Barf and the Vomitones – zapraszając na estradę Aleksieja, który okazał się rosyjskim Johnnym B. Goode’em, potrafiącym przekrzyczeć w pojedynkę, bez wzmacniacza, obie kapele naraz. Prairie miała dowiedzieć się o tym wszystkim następnego dnia. Odprowadziła Aleksieja do furgonetki Vomitonesów, a potem z żalem pożegnała się z nim, żeby wrócić – przerażona, ale i przymuszona – na polanę, na której odwiedził ją Brock Vond. Zniknął zbyt szybko. Powinien zostać dłużej. Położyła się, drżąc, na ziemi w ściworze na wznak, olchy i świerki sitkajskie wciąż tańczyły na wietrze, a na niebie gęstniały konstelacje.

– Możesz wrócić – szepnęła i przeszły ją lodowate ciarki. Wpatrywała się spokojnie w noc, która za chwilę mogła stać się całkiem nie do zniesienia. – Wszystko w porządku, chyba.

Chodź, chodź tu. Mam wszystko gdzieś. Zabierz mnie, dokąd chcesz. – Podejrzewała jednak, że jest już nieosiągalny, że jej wezwania o północy pozostaną bez odpowiedzi, choćby nie wiadomo, jak się starała. Mała polanka mieniła się w świetle księżyca, a zakłęcia Prairie stawały się coraz bardziej ekstrawaganckie, gdy wpływała w cienką przejrzystą błonkę snu na jawie, flirtując bez skrępowania. Potem coś ją budziło, jakieś kroki w lesie, jakiś rozbłysk na niebie, i dryfowała tam i z powrotem między fantazjami o Brocku a niemymi ciemnosrebrzystymi obrazami wokoło, aż w końcu usnęła i spała nienawiedzana, aż do samego świtu, kiedy mgła uniosła się nad kotlinami, jelenie i krowy wyszły razem paść się na łące, słońce oślepiło pajęczyny wśród wilgotnych traw, myszołów rdzawosterny wzniósł się w prądzie wstępującym nad górskimi grzbietami, a niedziela miała się właśnie rozpocząć. Właśnie wtedy poczuła natarczywe lizanie po policzku. To Desmond, nikt inny! Wykapany śliną obraz babki Chloe, zmęczniały od przebytych kilometrów, z pyskiem pełnym sójczych piórek, z uśmiechniętymi oczami, machający ogonem, wyobrażał sobie, że chyba jest w domu.

- 1 Weather Underground Organization, radykalna organizacja lewicowa z końca lat 60. XX w., dążąca do obalenia siłą rządu Stanów Zjednoczonych.
- 2 Racketeer Influenced and Corrupt Organizations Act – amerykańska ustawa o przeciwdziałaniu korupcji i przestępczości zorganizowanej, dopuszczająca, oprócz ścigania z mocy prawa, kroki cywilnoprawne, na przykład konfiskowanie mienia, przeciwko osobom popełniającym wymienione w ustawie przestępstwa.
- 3 Amerykański sprawozdawca sportowy.
- 4 Amerykański aktor znany z roli porucznika Steve’a McGarretta w serialu telewizyjnym *Hawaii Five-O*.
- 5 Przekłady piosenek: prof. dr hab. Bogumiła Anna Kawiewska.
- 6 Bohaterka serialu komediowego *Kocham Lucy*.
- 7 Industrial Workers of the World – amerykańska organizacja związkowa istniejąca od 1905 roku, nazywana „Wobblies”.
- 8 Mario Savio, studencki działacz polityczny z lat 60. XX w.
- 9 Torn Mooney, radykalny przedwojenny działacz lewicowy z San Francisco.
- 10 Culbert Olson, prawnik i gubernator Kalifornii, który w roku 1939 uwolnił Torna Mooneya z więzienia.
- 11 International Alliance of Theatrical Stage Employees – związek zawodowy techników filmowych.
- 12 Amerykański aktor i komik z wodewilowo-filmowego tercetu The Three Stooges.
- 13 Works Progress Administration – amerykańska agenda rządowa z czasów Nowego Ładu, zajmująca się organizowaniem robót publicznych.
- 14 Mowa o *The Hearse Song*, popularnej piosence z czasów I wojny światowej, która trafiła do dziecięcego folkloru w Wielkiej Brytanii i Ameryce.
- 15 Tak nazwał Amerykę Leif Eriksson, wiking, który około roku 1002 jako pierwszy Europejczyk dopłynął do Ameryki i założył tam osadę, prawdopodobnie na Nowej Fundlandii.
- 16 House Un-American Activities Committee – Komisja Izby Reprezentantów do spraw działalności antyamerykańskiej istniejąca w latach 1938–1975.
- 17 Ustawa z 1878 roku, zakazująca używania armii amerykańskiej do egzekwowania prawa na terenie Stanów Zjednoczonych. W roku 1981

ustawę zmodyfikowano w taki sposób, by nie dotyczyła Gwardii Narodowej.

[18](#) Cytat za William James, *Doświadczenia religijne*, w przekładzie Jana Hempela.

[19](#) Preparation H jest maścią na hemoroidy.